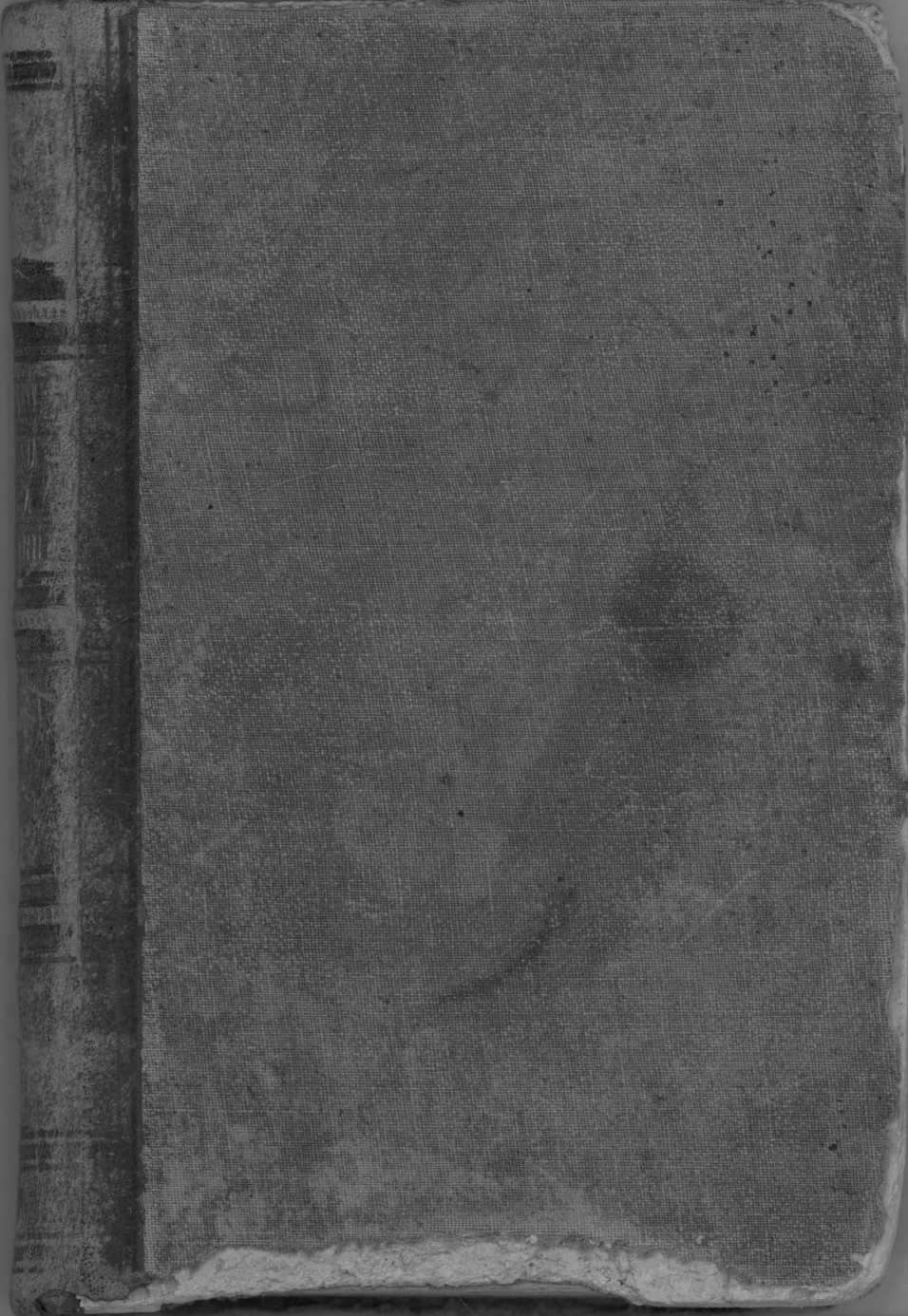




Ładne Karty
PAMIETNIA
ZBIEGA
Z SYBIRU

1

DL

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXXIV.

Krzyżanowski
162

LUŻNE KARTY
PAMIĘTNIKA ZBIEGA

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
»HELIOS« PRZEZ M. Krzyżanowskiej

OLIWA
X. PURK. = KRUPSKI

[Krupski]

TOM PIERWSZY.

90



LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1877.

GDAŃSKI
ANTYKWARIAT NAUKOWY

A. Krawczyński
Gdańsk 6, Marchlewskiego 15



CZYTELNIA KSIĄŻEK

94(438). 041 : 94(47+54) "18" : 314.151.1
(= 162.1) : 929-051(438) "18"

WINCENTEMU OLEWIŃSKIEMU

IGNACEMU PAWŁOWSKIEMU

PRZYJACIOŁOM;

MICHAŁOWI ELPIDINOWI

PRZYJACIEŁOWI I TOWARZYSZOWI WIEZIENNEMU

POŚWIĘCAM.

Krzyżanowski

WSTĘPNE SŁOWO.

Przedewszystkiem winienem czytelnikom zdać sprawę, w jaki sposób przyszedłem do tych kart, których wydawnictwo obecnie przedsięwzię. Mogłbym sprawozdanie w niewielu streścić słowach, wolę jednak poświęcić mu cały rozdział, bo rzecz zdaje mi się tego wymagać. Nazwa: Luźne Karty, nadana niniejszej publikacji, formą, jak mniemam, dostatecznie usprawiedliwioną zostanie. Nie jest to powieść jednym ciągiem pisana, lecz szereg obrazów, skreślonych w czasach rozmaitych i pod rozmaitemi wrażeniami. A oto wyjaśnienie, jak się dostały w moje ręce.

Burze polityczne roku 1863 zagnały i mnie do Syberji. Wyrokiem sądu wojennego skazany zostałem do służby wojskowej na czas nieograniczony. Moskale powoływali do obrony państwa — i to państwa opartego przeważnie na bagnietach — tych właśnie, co biorąc udział w powstaniu, objawili wyraźnie, że radziły przyczynić się do jego zburzenia. Pochodziło to na pozór z głupoty, której zagraniczne dzienniki nie zaniechały wyszydzić. Nam samym nawet wydawało się dziwaczne takie postępowanie i pozwalało się ludzi nadzieją, że otwartem nam będzie obszerne pole do propagandy i podkopywania politycznej moralności wojsk moskiewskich. Przypatrzywszy się jednak następstwom tych wyroków zbliżka, potrzeba wyznać, że były one skutkiem głębokiego wyrachowania, opartego na długoletnim doświadczeniu.

Nie tak rychło nie karłowaci i nie przekształca bujnego i niecierpiącego wędzideł umysłu, jak zimna forma i rutyna, krępująca wszystkie objawy osobistej wolności. Nigdzie zaś forma ta i rutyna nie są do tego stopnia rozwinięte, jak w wojsku moskiewskim. Że zaś przeznaczano do służby wojskowej w ogóle tylko takich powstańców, których komissje przedstawiały jako mniej samoistnych, a zatem rozmaitym wpływom łatwo podlegających ludzi, to można powiedzieć,

że czyniono to umyślnie. Rok 1831 uwięził zresztą aż nadto dobrym skutkiem próby czynione w tej mierze, to też chciano systemu tego użyć i w roku 1863, i niezawodnie niedługo, co szedł do wojska w najgłębszym przekonaniu, że zdemoralizuje całe pułki, pociągając żołnierzy ku sobie, ujrzałby się po upływie pewnego czasu sam zdemoralizowany i nieznacznie ściągniętym z onej wysokości, na której go moralnie postawił udział w powstaniu. Na szczęście rząd zniewolony szyderstwami zagranicznych dzienników, powstrzymał wkrótce owo wysyłanie do wojska, a wydane już podobne wyroki pozamieniał na inne.

W gronie 400 współwygnańców, skazanych to do robót w kopalniach, to na zaludnienie, odbywałem podróże etapem, powoli wprawdzie, dość jednak wesoło. Słyszac ciągle w koło siebie dźwięk ojczyściej mowy, przychodziło mi rzadka tylko na myśl, że jestem w dalekiej obczyźnie. Prawda, przypomnienie podobne bywało tem boleśniesz, im bardziej człowiek żył się z myślą, że przeżywa między swoimi; lecz gwar rozmów wesołych, skoczne obozowe piosenki, dyktoryjki z czasów powstania i to życie tryskające zawsze z pośrodku grona młodych ludzi, z których składali się po największej części moi towarzysze podróży, wyprowadzały wnet z chwilowej zadumy i zapędzały, że tak powiem, tęsknotę gdzieś w daleki serca zakątek. Do tego coraz odnawiające się wrażenia ciągłego pochodu nie dawały mi czasu rozmyślać nad położeniem, lecz bawiąc nowością przedmiotów, wprawiały w pewien stan namiętnego wyczekiwania świeżych widowisk. To też droga na wygnanie wydawała mi się poniekąd wybieżką, podjętą z własnej woli w gronie przyjaciół.

Rozumie się samo przez się, że do takiego usposobienia przyczyniał się bardzo wiele, ba jedynie może, sposób, w jaki nas prowadzono na Sybir. Od czasu, kiedy widzieli się zmuszonymi wysłać Polaków z kraju większemi, jak się wyrażali, partjami, Moskale obrali bardzo praktyczny i dogodny dla siebie sposób transportowania wygnańców. Im więcej zbliżaliśmy się do Syberji, tem większej dozwolano nam swobody. Po wsiach, w których przypadały dniówki, mieszkaliśmy po domach prywatnych bez najmniejszego dozoru. To wyrozumiałe na pozór obchodzenie się z nami rządu, tak srodze przez nas obrażonego, a przynajmniej roszcącego sobie pretensje do wielkiej obrazy, powinno było, tak przypuszczano, wyrzucić na nas tem silniejsze wrażenie, ile że z więźniami niepolitycznymi, co prawie wyłącznie byli Moskalami, i których prowadzono osobno, obchodzono się wcale przeciwnie. Strzeżono ich jak najsrożej, kuto w kajdany i zganiano na nocleg, jak bydło, do mało co od stajni różniący się budynku, który etapem zwano. Dumni takim

pierwszeństwem, oddawanem nam przy każdej sposobności — (choć właściwie ten rzekomy zaszczyt zbytniego godności naszej lustru nie dodawał) — ujęci zaufaniem, jakie w nas pokładano, pozostawiając bez straży, i udobruchani grzesznością niektórych oficerów i urzędników, co nie taill rozkazu, wydanego im jakoby z góry względem łagodnego obchodzenia się z nami, szliśmy na wygnanie sami prawie, jak owce na zarżnięcie, ciesząc się płonną nadzieją, iż kiedy tu tak dobrze, dalej jeszcze lepiej będzie. Do tego podtrzymywali na każdym prawie noclegu żołnierze i oficerowie straży tę naszą nadzieję przesadnemi swobody sybirskiej opisami. Rzadkie bywały wypadki ucieczki, a i te, które się wydarzyły, nie posiadały współczucia ogółu. O wydobyciu się z niewoli wspólnymi siłami, to jest o rokoszu podczas pochodu i ucieczce wspólnej, nikt i nie pomyślał z wygnańców. Najprzód możebność doprowadzenia takowej do skutku była rzeczywiście bardzo wątpliwą, tak w obec uprzedzonych z początku względem nas mieszkańców, jak i dla zupełnego braku środków; a potem każdy, widząc tak łagodne obchodzenie się rządu podczas podróży na Sybir, wierzył jak w pewnik, że amnestja doścignie go jeszcze przed przybyciem na miejsce przeznaczenia. Ale za to nie było dniówki, podczas której byśmy głośno nie twierdzili, że tylko od woli naszej zależało, rozbić w puch składającą się z kilkunastu żołnierzy straż etapową i dotrzeć napowrót do kraju. «Nie wy nas, mawialiśmy zwykle do straży, lecz my was prowadzimy na Sybir.» Dodać należy także, że życie obozowe i wojna partyzancka z niepewnem nigdy jutrem wpłynęły do tego stopnia niekorzystnie na pewną część młodych wygnańców, że i podczas pochodu na wieczne, jak się zdawało, tułactwo, dawał się u nich spostrzegać gorączkowy jakiś pociąg do hulanki i potępienia godnej rozrzutności. Wygnanie uważano za żart, a pieniądze, dane na drogę przez płaczące matki i siostry, trwoniono na zbytki i karty. Nie jeden z owych rostrze pańców sparł się potem może w minach nerczyńskich zmęczony na łopacie, nie mając czem opłacić dozorcę, by mu ulżył roboty, i pożałował gorzko i serdecznie przemarnotrawionych podczas podróży pieniędzy...

Samo przez się rozumie się, że taki sposób podróżowania trwał tak długo tylko, dopóki rząd widział się zmuszonym posyłać na wygnanie po 500, 600, a nawet i 1000 osób razem. Wtenczas bowiem użycie srogości mogło tak znaczną ilość wygnańców pobudzić do jakiego rozpaczliwego kroku i stać się niebezpiecznem. Skoro zaś potrzeba ta ustała, przeprowadzanie więźniów politycznych na Sybir odbywało się trybem zwyczajnym, to jest tak samo, jak pospolitych

zbrodniarzy. Tu już dopuszczano się barbarzyństw, którym ci, co ich nie doznawali, wierzyć by nie chcieli.

Doszedłszy do Tiumentia, pierwszego po drodze na wschód miasta sybirskiego, położonego nad rzekami Turą i Tiumentką, musiałem się pożegnać z dotychczasowymi towarzyszami podróży. Ja bowiem i jeszcze kilku współwspółgnańców, skazanych do służby wojskowej, poszliśmy prosto na wschód do Omska, gdzie była siedziba władzy, od której zależeliśmy; tamtych zaś popędzono na wschodnią północ, do Tobolska. Jako przewodnika dano nam jednego tylko żołnierza, i to bez broni. Na trzeci, czy na czwarty dzień mieliśmy stanąć na dniówkę w miasteczku Jałutorowsku, gdzie był zwyczaj zamykać do więzienia takich jak my podróżnych, nie zważając na to, że po wszech puszczano nas samopas, i że jako rekruci nie byliśmy właściwie więźniami. Jużci, nie podobало nam się to wcale, ponieważ edwykliśmy już byli trochę od murów więziennych i powrót za kraty tak bardzo nas nie nęcił. Zbliżywszy się tedy do Jałutorowska o tyle, że spostrzegliśmy już czerwony dach i białe mury tiurny powiatowej, zwolniliśmy znacznie kroku, jakby folgując niechęci śpieszenia się do miejsca wypoczynku, gdzie nas trzymać miano pod zamkiem. Pocieszailiśmy się tą myślą jedynie, że dłużej nad dwadzieścia cztery godziny nie będzie trwała nasza niewola.

Więzienia i cerkwie stoją we wszystkich miastach i miasteczkach moskiewskich na pierwszym planie i najpierw uderzają wzrok przechodnia. Po miastach sybirskich zaś one same tylko zwracają na się uwagę. Wszelkie inne zabudowania maleją i nikną przy nich, co dziwnie uzmysławia stan społeczeństwa tamtejszego, w którym fanatyzm i despotyzm ręk wodzą, a nie cierpiąc nic równego sobie, druzgoczą wszystko, lub do uległości i uniżenia przed sobą zmuszają. Podobnie ma się rzecz i w Jałutorowsku. Prócz dwóch murowanych cerkwi, dających się trudno podejrzeć pod jakikolwiek ze znanych rodzajów stylu budowy, i ogromnego więzienia, które się wznosi na krańcu miasteczka po lewej stronie głównej drogi, nie tu nie zajmuje oczu widza. Można sobie więc wyobrazić, w jakim usposobieniu wchodzi się do miasta, gdzie podobne godła najpierw myśl zajmują i tych uczuć stają się przyczyną, które widok środków ujarzmnienia człowieka zwykły obudzać w piersi każdego.

Przy wspomnianych budynkach drewniane domki mieszkańcy wyglądały zdala jak kupki mrowisk lub mogiłki. Na szerokich zaś ulicach, do połowy trawą zarosniętych i przecinających się wzajemnie jak sztaby kraty, tak mało było ruchu i życia, żeś mniemał się przeniesionym gdzieś na niemy smętarz azjatycki. Pominąwszy nawet wpływ owego

dla miasteczka niekorzystnego wrażenia, jakie wywoływało zaraz przy wstępie więzienie, zewnętrzny widok jego sam przez się miał coś wymuszonego i nienaturalnego. Jeden rzut oka przekonywał cię dostatecznie, że tu budowano wszystko po ukazu; w myśli patrzyłeś prawie na stojącego gdzieś na rynku podczas pierwotnych robót budowniczego rządowego, który trzymając plan w jednej, knut w drugiej ręce, krzyczał co chwila na robotników: po formie! po formie!

Idąc do kancelarii naczelnika rotty inwalidów dla wypełnienia niektórych formalności, żywej nie spotkaliśmy na ulicach duszy. Całe miasto zdawało się wymarłe, niby we śnie pogrążone. Bo też i dzień był skwarny; rzekłbyś, że powietrze napoiło się gorącem. Jakaś dziwna ociepłość udzielała się wszystkiemu, co żyło. Witamy nas tylko psy leniwem naszczekiwaniem, nie ruszając się nawet z legowisk przed wrotami. Zresztą i we dnie mniej skwarne nie wiele więcej ruchu można tu napotkać. Miasta sybirskie ożywają się tylko w dniu targu, w innym zaś czasie są tak martwe, jak stępy, na których szeroko się zwykłe rozsiadły.

Stanąwszy po załatwionych u naczelnika rotty inwalidów formalnościach u malowanych na czerwono wrót więzienia, radziśmy byli niewymownie, że odpocznemy raz przecież po upale i znoju, chociażby nawet w cieniu murów więziennych. Ledwośmy weszli do środka, oskoczyło nas kilku żołnierzy od straży więziennej i okazało najżywszą chęć przeszukiwania naszych tlomoczków i waliz. Sprzeciwialiśmy się temu energicznie. Posłano więc po dozorcę. Ten na szczęście polak i, jak się okazało, nie zły człowiek, zapobiegł kłótni i kazał nas bez rewizji odprowadzić na czwarty korytarz więzienia, który mieścił się na trzecim i najwyższym piętrze zabudowania i był w dwóch trzecich częściach niezamieszkały. Zajęliśmy tam najwygodniejszy numer (komnatę); i pomyśleliśmy o posiłku, którego potrzeba dawała się czuć potężnie po dziewiętnasto-wiorstowym pochodzie.

Po obiedzie wszyscy towarzysze ułożyli się pokotem do spoczynku na tapczanie zielono pomalowanym, ciągnącym się pod oknami wzdłuż całej komnaty, i posnęli wkrótce głęboko snem znużonych; ja zaś chodząc po izbie i podziwiając wzorową czystość, która mnie tak tu, jak i w całym więzieniu uderzyła, rozmyślałem nad prawdą przysłowia: «Nie taki diabeł czarny, jak go malują.» Zbliżając się bowiem do Jałutorowska, obawialiśmy się, aby nas nie zamknęto do brudnej ciemnicy, pełnej różnorodnych owadów, śmieci i plugastwa; tymczasem zaprowadzono nas do mieszkania, które się nam wydawało pałacem, dzięki naszemu uprzedzeniu.

Więzienie to niedawno, jak widać, zbudowane, jaśniało jeszcze całym blaskiem nowości moskiewskich zabudowań

rządowych, w których powierzchowna czystość i wytworność biorą górę nad mocą i trwałością. Podłoga, pomalowana na korytarzach na żółto, po komnatach na czerwono, szkliliła się, jakby woskowana; zielone, sosnowe tapczany nie odstęrczały brudem, jak po innych więzieniach, znużonego i chcącego na nich spocząć; ściany zaś białe, z czarnymi u dołu obwódkami, nie nosiły na sobie jeszcze tych śladów, jakie dają się widzieć po dłuższym używaniu w zabudowaniach, przeznaczonych na cel podobny. Powietrze nawet nie przesiąkło było jeszcze odrębnym i nieprzyjemnym zapachem więziennym.

Przeszedłszy się kilka razy po komnacie, usiadłem w framudze okna, chcąc zobaczyć krajobraz, rozścielający się daleko ku wschodowi. Było to jakoś około połowy sierpnia. Okna porożwierano na roście i powietrze miało wolny przystęp przez nie nadto gęste, choć dość mocne kraty. Słońce poczynalo się zniżać ku zachodowi, i było już czuć w około świeżość wieczorną, poprzedzającą, niby straż przednia, to zimno, którem się odznaczają tamtejsze noce letnie, mimo najmocniejszych upałów dziennych. Całe miasto leżało jak na dłoni rozpostarte u stóp więzienia. Za niem po stepie rosły kępami tu i owdzie karłowate brzoški, a z po za nich świeciła często błyszcząca szyba jeziora. Srebrną wstęgą, jak oko sięgało, wiał się wśród zieleniących obszarów kręty Toboł i opasywał półkolem ledwie znaczną wyniosłość, na której mieście zbudowano. Gdzieś tam u krańców widnokregu, gdzie blade-siniawe, jakby cienką gazą powleczone i dziwnie do tęsknoty nastrojające sklepienie stykać się zdawało z gładkim stepem, czerniał bór sosnowy, a opodal od niego jaśniały pozołcone promieniami słońca szyby chaty jakiejś wioski. Cicho było w przyrodzie i na stepie, i ciszy tej martwej nie przerywał żaden dźwięk z miasta, co zawsze jeszcze milczało, jakby skamieniałe. W około nie było widać ani jednej istoty żyjącej, świegotania nawet ptaszek nie udało mi się dosłyszeć. Spiekota wprawiła wszystko, co żyło w bezczynność i ospałość, a świeżość wieczorna nie była jeszcze na tyle silną, aby je rozbudzić do życia. Jakis właściwy rodzaj nudoty i zniechęcenia, którego dotąd nie spostrzegałem nigdzie, powlekał niby mgłą cały ów krajobraz bez ruchu i życia, a od stepów, jak od mogił, wiało śmiercią na tego, co na nie spoglądał.

Nie dostrzegłszy po długim i gorliwym oglądaniu się nigdzie i rysu jednego, któryby ojczyznę przypominał, posmutniałem jakoś niewymownie, i odwróciwszy oczy od stepu, zwiesiłem głowę na piersi, powtarzając: «U nas inaczej, inaczej, inaczej!» Wkrótce jednak przyszło mi na myśl, że głupio rozводить żale, gdzie takowe nie nie pomagają; też zwróciłem

oczy znowu za okno. Tym razem zatrzymałem je na gaju, który otaczał tuż za drogą, naprzeciw więzienia, jakiś domek, niezawodnie mieszkanie któregoś z zamożniejszych obywateli miasteczka. Był on właśnie wedle mego gustu. Wysokie, płaczące brzozy stały tak, jak je przyroda umieszcila, i nie było tam ni ścieżek gracowanych, ni laweczek, ni sztucznych trawników, ni chodników prosto wytkniętych. Mogłeś chodzić, kiedy ci się podobało i usiąść, gdzie uczuleś znużenie. Około domu, którego ściany przegłądały z po za grubych drzew, rosły dowolnie jakieś krzewy i służyły za schronienie mnóstwu ptaków, co rankiem i wieczorem napełniały powietrze życiem i melodią. Tylko niech czytelnicy nie myślą, że ptaki owe należały do rzędu słowików, których nie ma w Syberji (prócz okolicy miasta Aczyńska w Krasnojarskiej gubernji); były to po prostu żółto-brzuszki, sikorki, szpaki i t. p. Niezbyt wysoki parkan otaczał dom i gaj, a z dwóch altanek, wystawionych przy nim w chińskim stylu, można było wygodnie poglądać na wiodącą obok drogę i na miasto. Kiedy znowu wzrok podniosłem, spostrzegłem przedmiot, którego dotąd nie zauważałem. Na murze, u którego siedziałem, stały napisane ołówkiem następujące polskie wiersze:

Czy wiecie wy ludzie, co znaczy
Dwa serca, stworzone dla siebie,
Rozdzierać i topić w rozpacz
Natenczas, gdy marzą o niebie?!

— Oho! — zawolałem — toć to cały romans... dramat jakiś miłosny.... i gdzie? na Sybirze, w więzieniu!

Odkrycie to rozciekawilo mnie bardzo. Zacząłem szukać czegoś więcej, ale prócz powyższych wierszy nic nie znalazłem. Miejsce tylko, gdzie opierałem się głową, było zabrudzone, co świadczyło, że ktoś często musiał tu przesiadywać i wyglądać na ulicę, podobnie jak ja. Wyglądający, jeśli to on był autorem wierszów, musiał być widocznie polakiem; jednego więc serca można się było domyśleć; lecz gdzie szukać drugiego? Jakim sposobem mogły się te serca tak skłócić, że aż rozrywać je ktoś ujrzał potrzebę? Kto był na koniec ów, co targnął się na to?... Wiersze zostały widocznie napisane w chwili, kiedy autor patrzył na rozłączenie, kiedy bolał nad niem; musiał się więc cały dramat tu odbywać. Ale jak to się mogło stać, i gdzie była podczas najżywszej akcji kochanka? Czy nie w gaju, którego najodleglejsze zakątki było widać z wysoko położonego okna? Może jaka Polka na wygnanie wysłana?...

Gubiąc się w takich domysłach i nie mogąc oczywiście przyjść do żadnego wyniku, postanowiłem już był naśladować przykład towarzyszy, co leżeli w słodkim śnie pogrążeni

na tapczanach, kiedy we drzwiach pojawił się klucznik więzienia z pękiem kluczy w ręku.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł po polsku, przypominając akcentem Mazowsze.

— Na wieki! — odgadłem zdziwiony, że Moskal, za którego go miałem, mówi po polsku. — Czyście służyli wojskowo w Polsce? zapytałem po chwili.

— Polakem ja panie! urodzonym na Mazowszu, a zesłany do wojska na Sybir po roku 1831.

— Nie pozwoliliż wam wrócić?

— Owszem, mógłbym pojechać do kraju i teraz, bo swoje lata już wysłużyłem... ale ożeniłem się tu, mam domek, dzieci... ta i wracać podobno nie ma po co. Żle tam być musi, kiedy panowie idziecie tu wszyscy do nas — dodał uśmiechając się — a zresztą, panie mój, żona moskiewka, dzieci taksamo, ta i człowiek już przy nich jakoś niby zmokwił się.... przywykł!... — Tu machnął nieborak ręką.

Westchnąłem, rachując w myślach, ilu to z teraźniejszych wygnańców powie tak samo go po upływie lat kilku...

— Czy przynieść mleka na wieczór? — zapytał klucznik po chwili milczenia — to, coście panowie jedli niedawno, było także odemnie. Zawsze go tu dostarczam, a czasem, oto jak przeszłego tygodnia, żona warzyła i obiad podczas dniówki. Może panowie każecie sobie także co zgotować na jutro?

— A niezawodnie! niech tylko towarzysze wstaną, to się poradzimy i powiemy wam — odparłem, myśląc wcale o czym innym. — Powiedźcie mi panie kluczniku — rzekłem po chwili, podając mu woreczek z tytoniem — czy nie ma tu jakiego polaka?

— Nie ma już panie! — odrzekł napychając ogromną fajkę.

— Więc był ktoś?

— A był bez pół roku prawie pan S. Przed dwoma tygodniami dopiero odprawiono go do Tobolska. Stamtąd wysłał go do robót i mają tam gdzieś aż na miejscu wymierzyć czterdzieści pletni.

— Czterdzieści pletni?... a to za co?

— Długa to historia, mój panie! — mówił klucznik, krzesząc ognia. — Nikt tu nie wie właściwie kto on taki i skąd rodem; sam powiada się być nie naszego cara poddany, ale Austryjak z Galicji.

— Chcecie pewnie powiedzieć polak z Galicji — wtrąciłem.

— Ta ono niby tak, ale wychodzi zawsze cō Austryjak, bo pod Austryjakiem — prawil klucznik. — Zjawil on się był

u nas łońskiego roku jakoś w zimie, skądśiś aż z wschodniej Syberji, dokąd go w roku 1861 wysłali z Warszawy. Dostał miejsce w gorzelni, co o 30 wiorst stąd i miał wcale piękną pensję. A mieszkał w naszym mieście wtenczas Nekrasów, student wysłany z Kazania, ta i był także syn tutejszego kupca, tego oto, którego dom w gaiku widać z okna, co to go ze szkół wygnano za jakieś książki. S. poznał się z nimi, taj kiedy wybuchło powstanie, chciał zabrać obydwóch do Polski. A jeszcze zapominałem panu powiedzieć, że i brat Nekrasowa nadjechał był z Moskwy i miał podobno także z nimi wyruszyć. Syn kupca i S. uciekli rzeczywiście pewnego poranku, a Nekrasów z bratem zostali, chcąc zacząć jeszcze na kogoś, jak mówią, na Polaków z Omska.

— Czy już i wtedy byli w Omsku Polacy? — zapytałem.

— A gdzież i kiedyż ich w Syberji nie było, mój panie — odpowiedział stary wiarus z westchnieniem. — W ostatnich czasach zaś tyle ich już tu nasylają, że i pojąć trudno, skąd oni tam młodych ludzi biorą.... Bóg to wie chyba jeden, kiedy ta nasza bieda się skończy.... Otóż wracając do S. — ciągnął klucznik dalej — stary kupiec tego samego dnia jeszcze zwąchał pismo nosem i narobił okrutnego rajwachu w mieście. Co było wolnych od służby żołnierzy, wszystkich porozysłano na rozmaite strony. Nekrasowa z bratem aresztowano, a kiedy wytropiono drogę, którą się udali S. i syn kupca, wysłano za nimi pogoń. Doścignął ich kwartaszka tutejszy aż gdzieś w Kazaniu i także przyaresztować kazał. Tam ich potrzymano pewien czas i odesłano w kajdanach do nas. Wkrótce potem wypuścili na wolność obydwóch Nekrasów, młodszego z nich przenieśli do Tary, a starszemu do domu jechać kazali. Syna kupca uwolnili także, S. zaś został skazany do robót i na 40 pletni za ucieczkę i za to, że drugich do niej namawiał. Na nim biedaku wszystko się skrupiło... i nie dziwota, nie było za nim komu chodzić, opłacić się w sądzie także nie miał czem i do tego jeszcze Polak... A szkoda go, nie zły był człowiek.

— Gdzież siedział? — zapytałem.

— Tam, na końcu korytarza w sekretnej. Strzeżono go bardzo pilnie z początku, dopiero gdy nastał teraźniejszy dozorca, sfolgował mu nieco. Mnie on tu najbardziej jakoś ufał, i nieraz mu pokryjomu papier nosilem. W ostatnich czasach przesiadywał najwięcej w tej tu komnacie.

— Jakżeż się nazywa ten kupiec?

— Mikołaj Piotrowicz Bałakszyn... jest to najmajętniejszy człowiek w całym miasteczku.

— I dla czegoż on wysłał pogoń? mógł przecież wiedzieć, że gdy naciągną, to aresztują mu i syna.

— To też on nie spodziewał się tego; myślał że tylko S. do kozy się dostanie, a syn z kwartalnym powróci.

— Czy młody Balakszyn tu mieszka?

— Jest zawsze przy ojcu, czasem tylko jeździ do Kurganu, gdzie mieszka siostra, co wyszła przed miesiącem za kupca.

Coś mi szepnęło, że jestem na tropie kochanki.

— Wyszła za kupca? — spytałem skwapliwie — musiała być niezawodnie piękną?

— Tak, tak — była bardzo piękną; w mieście równej sobie uroda nie miała...

— A S. znał ją?

— Tego już dalebóg nie umiem panu powiedzieć... Czy go pan znasz, że się tak o niego dopytujesz?

— Bynajmniej... pierwszy raz od was o nim słyszę.... pytam oto z ciekawości, aby mówić o czemś...

— S. znał dobrze Aleksandra, brata panny Marji... no, i mówią tam ludzie coś — jak ludzie zwyczajnie — że znał i panienkę, która się w nim kochać miała. Jenemu mnie się widzi, że to wszystko bajki, boć czyżby poszła była za innego, gdyby kochała S.?

Rozświłało mi w głowie po tem oświadczeniu klucznika. Dziewczynę przymuszono do zamęścia... o tem świadczyły wyraźnie wiersze na murze. Byłem tylko bardzo ciekaw początku tego romansu, którego koniec poznałem z kilku słów, skreślonych ręką więźnia, a zarazem bohatera. Wiedziałem, że u klucznika nie zaspokoję ciekawości, bo sam on pewnie nie wiele co więcej wiedział odemnie, postanowiłem tedy szukać przewodniej nici gdzieindziej. Dałem klucznikowi na wódkę i poprosiłem go, aby mi wskazał sekretną, w której siedział S. Zgodził się naturalnie chętnie na to.

Korytarz był przedzielony drewnianymi przegródkami na trzy części. Zachodnią zajmowały kobiety pod sądem stojące, w środkowej naszych przechodniów zwykle pomieszczano, a wschodnia stała obecnie pustką. Do niej to udaliśmy się z klucznikiem.

— Oto cęła pana S. — rzekł on, odryglowawszy dość grube drzwi małej komnatki o jednym oknie, wychodzącym na step.

— Piękny miał przynajmniej widok! — powiedziałem, spoglądając na krajobraz stepowy, który się rozwijał od stóp więziennego muru.

— Nieraz pan S. przypatrywał się stąd wschodowi i zachodowi słońca — mówił klucznik puszczając z widocznym zadowoleniem kłęby dymu.

— Jakto? — zapytałem — z jednego i tego samego okna?

— Bo widzi pan, u nas latem zachodzi słońce u tego tam gaiku, a wschodzi niedaleko zaraz, wedle tego oto drzewa... prawie w jednym i tem samem miejscu.... A co? prawda, że tu nic ciekawego nie masz? — zapytał po chwili, widząc że się ogładam po celi — komnatka jak wszystkie inne...

— Nie na komnatkę przyszedłem ja się popatrzeć — odparłem. — Mówiliście, panie kluczniku, żeście nieraz papier panu S. nosili; musiał więc pisywać; chciałbym tedy znaleźć coś pisanego jego ręką.

— Ho! ho! ho! tego pan nie dokażesz. Tu zlatywała się niekiedy cała straż więzienna na rewizję, lecz nic nie znajdowała! A straż nasza umie szukać, mój panie. Pan S. chował tak dobrze, co miał do chowania, że ja nawet, co mu nosiłem i papier i pióra i atrament, a czasem przeniosło się i liścik do Aleksandra — bo to wie pan, człek przecie nie z kamienia ma serce, przytem także Polak — otóż ja nawet, panie, nie wiedziałem i nie wiem gdzie jego kryjówka.

— Więc miał przecież jakąś kryjówkę....

— Juźci że ją mieć musiał, i to nie gdzieindziej jak w tym pokoiku, ale trudno to panie znaleźć u nas w więzieniu, czego się nie położyło. Zresztą pan S. musiał zabrać wszystko z sobą.... Pewnego razu — ciągnął wiarus dalej, wychodząc ze mną na korytarz — kapitan tutejszych inwalidów złowił w jakiś sposób list Aleksandra pisany do S. Czytali tam na nim, czytali, ta nie nie mogli wyczytać. Wszystek był ci jakoś liczbami pisany. Posłali tedy z nie-nacka z rewizją do S. Drżałem, kiedy szedłem otwierać, bo wiedziałem, że właśnie zasiadł był do pisania. Ale że to do niego dwa zamki trzeba było odmykać, i ja kluczków umyślnie nibyto nie doszukiwałem, to tak się dobrze uprzątnął, że po najściślejszej rewizji, przy której byli obecni i kapitan i gorodniczy i strjapczy, z niczem poszli....

Wróciliśmy napowrót do środkowej części korytarza. Niekiedy z towarzyszów już powstawali, kazaliśmy tedy zgotować obiad na jutro i posłali wiarusa po mleko na wieczór.

Po odejściu jego udałem się znowu do celi dla dalszych poszukiwań; zdawało mi się bowiem, że muszę tam koniecznie znaleźć nic, która mnie doprowadzi do dziwnego kłębaka, zaczynającego mnie wprawiać w niemłą ciekawość. Przystąpiłem do ścian, tych najzwyczajniejszych powierników więźnia. W framudze okna odkryłem następujące wiersze igielką w wapnie wyżłobione:

Cierpieć?... dopókiż? Pani, już serce
Cierpiąc tak długo, złało się krwią.
Wzburzone w strasznej tej poniewierce
Uczucia wszystkie, jak piekło wrą!

Dzisiaj przy każdym, najmniejszym ruchu
 Pęta me głuchy wydają brzęk —
 Lecz i myśl każda dzisiaj już w duchu
 W dziki rozbrzmiewa i krwawy dźwięk....

Późno więc stroić na ton łagodny
 Lutnię, co musi o zemście brzmieć —
 Kto jarzmo znosi, jarzma ten godny!
 Ja muszę, muszę uciec i mścić....

Prócz tego nie więcej nie znalazłem. Zaglądałem w szpary futryn, próbowałem, czy jaka cegła z ściany lub pieca się nie wyjmuje, czy nie rusza się jaka deska u podłogi, obracałem tapczan, czy nie ma w nóżkach wydrążonego schowku — słowem — oglądałem wszystko jak najdokładniej, ale na próżno. Miałem już wychodzić z celi wielce niezadowolony z nieudania się poszukiwań, gdy zwróciłem przypadkowo oczy na listwę koło pieca, którą były obite ściany do koła przy podłodze. Zacząłem się jej bliżej przypatrywać i spostrzegłem, że był przypojony do niej kawałek deski, który musiano tam włożyć dla lepszego przypasowania podłogi. Deska ta ruszała się wprawdzie nieznacznie, gdy stanąłem na nią, lecz podnieść jej do góry w żaden sposób nie było można, bo listwa nie puszczała. Obejrzałem więc tę ostatnią dokładniej i zauważyłem, że była przymocowaną kołeczkiem ledwo widzialnym do drugiego kawałka listwy u rogu pieca. Wyjąłem go, podniosłem deskę do góry, jak wieko i odkryłem obszerną kryjówkę pod podłogą...

Długo macałem po niej ręką, nim w głębi nadybałem zwitek papierów. Były to bruljony listów pisanych przez Władysława do Aleksandra i Marii Balakszynów. Sposób w jaki się mogły tam dostać, łatwy do wytłumaczenia. Korespondencja odbywała się za pomocą szyfrów. Władysław nie bardzo biegły w języku moskiewskim, musiał naprzód napisać cały list zwykłym pismem, nim go mógł przekopiarować szyframi. Bruljony składał w schowku, a wychodząc z więzienia zapominał o nich.

Wziąłem się naturalnie zaraz do czytania, a że mi się wydały dość ciekawe, przepolczyłem je będąc już w Omsku. Prócz tego miałem nadzieję, że przecież usłyszę coś kiedy o dalszych losach Władysława, i że będę mógł na tle wiadomości, zebranych o nim, osnuć jaką powiastkę. Jakoż nie zawiodły mnie oczekiwania. W kilka tygodni po przybyciu na miejsce mego przeznaczenia rozpowszechnioną już została wieść o jego ucieczce z więzienia tobołskiego, a przybyły do nas z Kurganu nieco później wygnaniec opowiedział o nim tyle nowego, iż mogłbym być zamiar swój łatwo do skutku doprowadzić, gdybym wśród nowego swego położenia miał był czas i sposobność do zajęcia się pracą literacką.

Spoczywały więc przepolszczone listy Władysława na dnie żołnierskiej mojej tobołki aż do jesieni r. 1866, w którym to czasie wyjednali mi rodzice pozwolenie powrotu do kraju. Chcąc co rychlej obaczyć swoich i nie mając odwagi narażać się na niewygodny powolnej podróży etapami, oświadczyłem władzom gotowość podróżowania na swój koszt pod dozorem rozumie się żołnierza. Trudności nie stawiano mi żadnych, ponieważ złożyłem potrzebną na to kwotę pieniężną. Do Permy dotarłem ze swoim stróżem pocztą, tu zaś siedliśmy na parowiec, który miał nas dowieść aż do Niżnego.

Jechałem drugą klasą. Raz w nocy wyszedłem na pokład, gdzie się mieści trzecia klasa, aby się orzeźwić; w kajucie bowiem nieznosnie było gorąco. Zbliżyłem się do miejsca, gdzie był umieszczony ster statku i usiadłem na krawędzi. Niebo było gwiaździste, księżyc świecił jasno i powlekał fantastycznym światłem skaliste brzegi Kamy i górzystą w tem miejscu okolicę nadrzeczną. Jakoś mimowolnie chciało się marzyć. Postacie z pieśni i bajek ludowych narzucały się same prawie na widok smętnego i dzikiego zarazem kraju, a wyobraźnia rwała się za niemi to w tajemniczą głąb czaharów, to na pośrebrzone nagich urwisk szczyty, to w głęboki cień lasów, pokrywających odległe nieco wzgórza. Szum kół parowca rozchodził się daleko i budził tysięczne echa po uśpionych rozdołach. Komin buchał kłębam jakby rozżarzonego dymu, wyrzucał gorejącą sadzę i zostawiał po sobie ślad ognisty w powietrzu, jak ogon komety. A po rzece znaczyła się droga parowca wyżłobionym niby rowem, co długo jeszcze burzył się i kipiał, zanim się zdołał zlać w jedno z resztą zwierciadlanej powierzchni. Nie zapomnę nigdy owej nocy. Byłem wśród niej bardzo szczęśliwy, bo wiedziałem, że każdy obrót koła zbliża mnie o kilkanaście kroków do ukochanej ojczyzny, której nie spodziewałem się obaczyć tak prędko.

Tymczasem spostrzegłem, że nie sam lubuję sobie w pięknej nocy jesiennej. Niedaleko odemnie siedział także na krawędzi młody jakiś człowiek, którego szare palto i włos krótko strzyżony kazały mi podejrzewać, że jest, a przynajmniej był żołnierzem. Nie widział on mnie jak się zdaje, lecz patrzył w rzekę i zdawał się dumać. Oglądałem go tedy uważnie, i spostrzegłem, że musiał się podnieść niedawno z choroby, bo lice miał blade i zmęczone, aczkolwiek przyjemne i coś niezakrawające na twarz zwykłego moskala. W tem zaczął nucić piosnkę na tęskną nutę krajową. Zdziwiły mnie natychmiast pierwsze jej słowa, był to bowiem początek wierszu, napisanego przez Władysława do albumu Marii, którego kopję znalazłem między owemi ramotkami pod

piecem. Przystąpiłem tedy do mniemanego żołnierza, i zapytałem po moskiewsku:

— Skąd znacie tę piosnkę? —

Zapewne poznał po akcencie, że Polak, bo zwrócił się błyskawicznie na mnie z zadziwieniem i odparł czysto po moskiewsku:

— Pan jesteś Polakiem? —

Potwierdziłem.

— A skąd, jeśli wolno wiedzieć?

— Z Galicji... wracam teraz z Syberji...

— A! — i zamyślił się. — Piosnkę tę, mój panie, zrobił także Polak — dorzucił po chwili milczenia.

— Wiem — odpowiedziałem — mógłbym wam nawet powiedzieć, jak się nazywa i dla kogo ją zrobił... i właśnie też dla tego zapytuję, skąd wyście się jej wyuczili...

— Musiałeś pan zapewne przechodzić przez Jałutorowsk do Omska, i od niego samego ją słyszeć — mówił żołnierz po krótkim namyśle.

— Przechodziłem wprawdzie przez Jałutorowsk, lecz Polaka owego już tam nie było. Znam skądinąd tę piosnkę.

— Skądże?

— Odpowiedzcie mi wprzód na moje pytanie, to i ja wam odpowiem na wasze.

— Moja odpowiedź, mój panie, nie będzie ciekawa; służyłem oto w Jałutorowsku przez cały rok prawie, tam musiałem często stać na czatach na podwórzu, na które wychodziło okno celi Polaka. Nucił on ją prawie zawsze; stąd i ja nauczyłem się jej. A wy panie skąd ją znacie?...

— Znalazłem w jałutorowskim więzieniu papiery, między którymi była i ta piosnka.

— A!... — zawołał żołnierz i zadumał się nieco. No, szczęśliwej drogi, mój panie! — dodał po chwili i odszedł. Widząc, że się spać położył, nie nagabalem go więcej, choć wielką do tego miałem chętkę.

Nazajutrz do dnia stanęliśmy w Kazaniu. Wyszedłem na brzeg w celu zakupu kilku melonów, których mnóstwo przywożą z Astrachanu. Wracając nazad, spotkałem znajomego z przeszłej nocy, idącego z małym zawiniątkiem z parowca.

— Szukałem was, panie — rzekł, zobaczywszy mnie — chciałem się z wami pożegnać.

— Nie jedziecie dalej ze mną?

— Nie... zostaje w Kazaniu... A na pamiątkę spotkania weź pan oto ten pakiecik. — Tu wsunął mi spory zwitek papierów, obwiązany sznureczkiem.

— Cóżto? — zapytałem zdziwiony.

— Obaczysz pan — odrzekł — tylko czytaj tak, aby nikt nie widział. —

I ścisnąwszy mi rękę, znikł w tłumie, napelniającym przystań.

Przyszedłszy do kajuty, oddałem żołnierza na pokład, zamknąłem się i rozwiązałem pakiecik. Na samym wierzchu była kartka, pisana ołówkiem po polsku, następującej treści:

«Znając ze znalezionych w Jałutorowsku listów początek mojej historii, zechcesz się pan dowiedzieć zapewne i końca. Znajdziesz go w załączonych ramotkach. Nie wiem, czy dozwolą mi losy obaczyć ojczyznę, a nie chciałbym aby zaginęły te karty. Weźmij je tedy z sobą, przegladnij i ogłoś po przybyciu do kraju, w jakiej chcesz formie. Tylko strzeż się Warszawy, bo tam trzęsą naszych. Szczęśliwej drogi!»

Tak więc człowiek, wzięty przezemnie za żołnierza, był sam Władysław S., który, jak się dowiedziałem z pamiętnika, umknął po raz trzeci z Syberji.

Papiery jego znalezione przezemnie w Jałutorowsku, jako też i wręczony mi przezeń w Kazaniu pamiętnik, znajdziesz czytelnik w następujących rozdziałach.

Tato to...

I.

Z papierów znalezionych w Jałutorowsku.

WŁADYSŁAW DO OLESIA.

Jałutorowsk, w lutym 1864.

Dawno już nie doznałem takiej radości, jaką mi list twój sprawił, drogi Olesiu! Nie przypuszczałem nawet, abym zdolny był jeszcze do tak głębokich wrażeń; sądziłem był bowiem, iż po tylu i takich zawodach, rozczarowaniach i cierpieniach jakich ja doznałem, uczucie zupełnie się już przytępiło na wszelkie tego żywota niespodzianki. Pismo twe wyprowadziło mnie z błędu. Widzę, że mimo groźne burze, które mi nad głową przewiały i wiele przyjemnych mrzonek zniszczyły, pozostało jeszcze dosyć, co mnie wiąże do życia. Ty Olu pomiędzy tem niepoślednie zajmujesz miejsce.

I tak przecież udało im się rozbić naszą trójkę... Teodozy w Tarze, ja w więzieniu pod trzema zamkami, a ty w domu na wolności, która jednakże jest gorszą, jak widzę od mojej niewoli... Ha, cóż robić? czekajmy! uderzy zapewne i dla nas szczęśliwa godzina. Dziś rok byliśmy razem, i wesoło nam było. Pamiętasz Olku? strzelaliśmy do celu przygotowując się do powstania... Kto wie czy za rok nie ujrzymy się znówu...

Piszesz, że ile razy myślisz o mojem położeniu, tyle razy opuszczasz bezwładnie ręce i powtarzasz bezowocnie: nic mu pomódz nie mogę! Dobry Olku... dzięki ci za tyle nieklamanego współczucia; lecz wierz mi, położenie moje nie jest tak okropnem, jak je sobie wyobrażasz.

Prawda, jestem w więzieniu ciężkiem; strzegą mnie jak oka w głowie; przed drzwiami mojej celi sypia nocą żołnierz, a podoficer od straży przybiega kilkakrotnie na dzień niby to odwiedzić mnie. Lecz czy sądzisz, że w ten sposób można odjąć człowiekowi wszelką swobodę? Brednie kochanku! On znajdzie sobie zawsze coś, co mu choć w części starczy za

odjętą wolność. Byleś sam przez kilka miesięcy w więzieniu, przypomnij więc sobie, jak ci ów czas upływał, a przyznasz, że nie powiedziałem niedorzeczności. Aby cię jednak jeszcze więcej uspokoić, opiszę ci, jakim to sposobem ja zdołałem mimo wszelką srogość straży utworzyć sobie swobodę w więzieniu, o której ci, co mnie w niem trzymają i wyobrażenia nie mają.

Celem tem większego uciśnięcia mnie i ułatwienia żołnierzom tem pilniejszego czuwania nademną, oddzielono mnie najzupełniej od tłumu więźniów i pomieszczono na osobnym korytarzu, który zamyka się aż na trzy zamki. Ja zaś, mówiąc z Sokratesem: nigdy nie byłem mniej samotnym, jak wtedy kiedy byłem sam, dumam i pisuję do woli bez obawy, że mi kto przeszkodzi. Nim oni bowiem troje drzwi odemkną, jam już gotów na ich przyjęcie. Zresztą przyznam ci się, że nie potrafiłbym znieść życia wśród więziennej gawiedzi, której zwyczajom miałeś i ty sposobność podczas drogi z Kazania przypatrzeć się zbliska. Tak dobrze znam najskrytsze jej tajnie, że nie znalazłbym u niej przedmiotu ani do badania, ani do rozrywki. Jam szczęśliwy poniekąd, że samotny; mogę bowiem częściej i głębiej wnikać w siebie, rozmyślać i kształcić się tym sposobem.

O wierzaj, Olku mój drogi, nie pojmują ci panowie, co to samotność znaczy dla człowieka w moim wieku. Wychowani w zgłętku, nie umiejący nigdy być sami z sobą, przyzwyczajeni do towarzystwa ludzi, od których odbierają pochybstwa, albo którym sami schlebiają, sądzą że samotność dla każdego jest podobnie nieznośną i straszną, jak dla nich. Nie wiedzą, że umysł, który wśród tłumu w tysiąc rozmaitych stron się rozpromienia, mnóstwo tam naraz przedmiotów obejmuje, lecz gruntownie nie bada żadnego, tysiąc naraz odbiera wrażeń, ale nad żadnem się z nich nie zastanawia — że umysł ten mówię skupia w samotności swe siły do jednego ogniska, zespala je do jednej organicznej i wytrwałej pracy, nabiera mocy, połotu, gibkości, jedrniej i dojrzalej wnioskuje — słowem w potęgę wzrasta olbrzymią!

To też słusznie powiedział Mickiewicz:

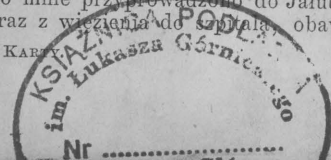
Ludzie! każdy z was mógłby samotny, więziony
Myślą i wiarą zwać i podźwigać trony!

choć z drugiej strony wolałbym być, aby zamiast słowa: podźwigać, umieścił był wyraz: gruchotać...

Tak więc z tego już widzisz mój Olku, że co zrobić chcieli na moje zmartwienie, właśnie ku memu lepszemu zrobili. Ale idźmy dalej.

Skoro mnie przeprowadzono do Jałutorowska, przenieśli ciebie zaraz z więzienia do *obozu*, obawiając się, abyśmy

LUŻNE KARTY



nie zawiązali korespondencji; teraz cię wypuścili i śledzą, jak donosisz, każdy krok twój, byle nie dopuścić porozumienia się ze mną; myślą, że dopięli celu. A ja kpiąc z nich w duchu, patrz jak długie do ciebie pisuję listy!...

Papier, czernidło i pióra są to rzeczy, których jak się domyślić możesz, wzbraniają mi najbardziej. Pomimo tego pisuję co dzień atramentem ukradzionym z kancelarii dozorczy na papierze, który musiano przenieść w bucie przez bramę więzienną, a każde słowo, co płynie z pod pióra, jest szyderstwem na ścisłą przezorność moich stróżów. I kiedy zasiadam do gryzmolenia, to uczuwam jakąś złośliwą uciechę, jakieś wewnętrzne zadowolenie z tego, że mimo najśroźszego zakazu mogę nie posłuchać siepaczów, mogę oszukiwać ich w tem właśnie, w czem najmniej by oszukanymi być pragnęli.

O wiem ja, jakie skutki pociągnąć zdoła za sobą taki stan, gdyby dłużej miał potrwąć; lecz musisz mi przyznać także, że kto chce być swobodnym w więzieniu, inaczej postępować nie może...

W cytadeli warszawskiej, kiedy mnie wprowadzić miano do okrzychanego 10go pawilonu, rozbierano mnie do naga i szukano w nosie, ustach, uszach, we włosach, między palcami, pod powiekami, słowem wszędzie, gdzie im się zdawało, że można coś ukryć; nie mogłem więc przynieść do celi ani kawałka ołówka... mimo tego miałem po trzech tygodniach i papier i czernidło i pióra... Wiesz jak? oto dym z fajek i cygar, osiadający drobnym pyłkiem na szybach, zmyty stamtąd, dostarczał mi wybornego atramentu; skrzydła gołębi latających po podwórzu i dających się brać do rąk więźniom, których wypuszczano od czasu do czasu na przechadzkę, dawały piór pod dostatkiem; kawałek szkła służył mi za nożyk, a z pierwszych kartek książek, przynoszonych mi do czytania, miałem papieru tyle, ile mi było potrzeba.

Jeżelim umiał sobie poradzić w Warszawie, gdzie strzegą wzorowo, i gdzie co ćwierć godziny zagląda ktoś do celi tak we dnie jak w nocy, to czemuż miałbym tu rospaczać w obec straży, która i zapiektów warszawskiej nie warta?... Wiesz co za psikusa wyrządził mi jeden z tutejszych podoficerów? Oto zrobiłem sobie szachy z chleba i zabawiałem się nimi niekiedy dla przepędzenia nudów. Podczas rewizji, która się odbywa w naszym więzieniu po dwa, po trzy razy na tydzień, zabiera on takowe z tego niby powodu, że rozstawiając figurki i manewrując nimi, mógłbym się wyuczyć sposobu, w jaki pobić można na głowę białego cara — czego on, wierny jego sługa, dopuścić nie może... Czy nad tak grubą i nieokrzesaną siłą gibki umysł nie ma osiągnąć zwycięstwa?

Rozumie się samo przez się, że otwartym bojem tu nie nie zyskasz, tak samo jak biernem cierpieniem i zdaniem się na łaskę. Co do mnie, nie wierzę wcale, żeby to ostatnie mogło być możliwem dla człowieka. Seraficzni marzyciele, którzy je zalecają, mało widać znają naturę ludzką.

Dla wyleczenia ich z manji doradzania nam, abyśmy miasto z za krzaka w łeb palić cychającemu na nas tygrysovi, udali się do niego w pokorze, przedstawili mu nie-moralność jego postępków, a gdy to na nie się nie przyda, dali się pożyć w nadziei, że śmierć nasza heroiczno-męczeńska poruszy jego sumienie, posadziłbym ich na rok, na dwa w moskiewskim więzieniu, i jestem pewny, żeby innego tam nabrali przekonania. Co do mnie, wyznaję otwarcie, że nie mógłbym się zachować bezczynnie i wyczekująco w obec ucisku. Postradałbym zmysły po dwóch tygodniach, albo powiesiłbym się na kracie. Że zaś nie mam najmniejszej ani do jednego, ani do drugiego ochoty, to walczę z grubą siłą fortelem, podstępem, udawaniem, jako żywo mogę, przywodząc sobie na pamięć Paskę, o którym ci tyle opowiadałem, i który w pamiętniku swoim pisze: «Weźmieć konia nieprzyjaciela, staraj się ty, żebyś mu odebrał dwóch, ponieważś takiś człowiek, jak i on, i na nim skóra nie z skaraczyny, jak i na tobie...»

I wierząc Olku, srogością zgnieść mnie nie nie potrafiać, jętrzą tylko i nie nadto... Umysł ludzki choć trochę rozwinięty, to piłka elastyczna, która tem wyżej podskakuje im rzucisz ją mocniej... Nie utyskuj więc i nie ubolewaj za nadto nademną. Życie, które utworzyłem sobie we więzieniu, ma tyle przyjemnostek i tyle swobódek, że mi starczą poniekąd za wolność. Wiecznie mnie przecież tu trzymać nie będą; kiedyś poprowadzą gdziekolwiek — a wtedy zobaczymy!

Bardziej jak moja fizyczna, troszczy mnie twoja moralna niewola i ten upadek na duchu, który widać z twego listu. Jeśli prawdą jest co piszesz, to stan twój umysłowy bliskim jest rospaczy. A wiesz ty Olku kto rospacza?... Durnie!

«Poznawszy ciebie» — piszesz — «odchyliłem maluczko drzwi życia i zacząłem wciągać w zgnępane piersi trochę świeżego powietrza; lecz nagle drzwi zatrzaśnięto, mnie się zrobiło duszno i upadłem bez sił na podłogę!...» Wstydz się Olku pisać coś podobnego o sobie, i pisać to do mnie, który ci nieraz powtarzałem, że chyba wtedy nadzieję na zwycięstwo utracę, kiedy będę miał stryczek na szyi. Jeśli ci duszno w pokoju, a drzwi otworzyły niepodobna, to odchyl okno. Zamkną okno, więc wpusć przez komin świeżego powietrza, a gdy ci i tego zabraknie, tedy myśl nad tem, jak dziurę w ścianie wybić niepostrzeżenie; lecz nie upadaj bez sił

na podłogę i nie płacz, jak dziecko, któremu nie dano pier-
ników. Trzeba brać rzeczy jak są i szukać sposobu prze-
mienić je na takie, jakimi byśmy je mieć chcieli, nie zaś
rospaczać, że same przez się nie robią się takimi, jakimi
być powinny. To do niczego nie doprowadzi.

Wiem ja, że w łonie twojej rodziny życie jest niezno-
śnem, podobnie jak we wszystkich waszych rodzinach, gdzie
jeden przypisuje sobie prawo do naznaczenia celu, ku które-
mu wszyscy chcąc nie chcąc dążyć powinni. Ale jarzmu
temu można wedle mego zdania i trzeba koniecznie ulżyć.
Nie bój się walki, ona wzmacnia i dodaje interesu życiu,
choćby najpowszedniejszemu. Czyż jest mniej zajmujące po-
łożenie, jak biednego więźnia, który ci powie dziś, co będzie
jadł za miesiąc na obiad — a jednak trawi on całe godziny
nad tem, aby z oderwanej od bóta podkówki zrobić sobie
nożyk, którego mu posiadać nie wolno. I wierzej, że umysł
jego jest podczas tej pracy tak samo zajęty, jak umysł
bankiera, który przemysła nad operacjami milionowemi.

Jest tu, jak słyszałem kilku zesłanych Polaków; postaraj
się poznać z nimi. Znajdziesz niezawodnie takiego, u któ-
rego się będziesz mógł odświeżyć, kiedy ci będzie za mało
duszno w domu. Niech cię nie zraża ich duma i nieprzy-
stępność początkowa. Polacy, wierzej mi, dzielni i dobrzy
ludzie; nie sądz o nich według wrażenia, jakie wyniesiesz
z pierwszego spotkania się z nimi; ono będzie z pewnością
niekorzystnem dla nich, bo nie przyjmą cię jako równego
sobie, lecz jako Moskala, którego od kolebki przyzwyczaili
się nienawidzić w nazwisku nawet. Prędko jednak potrafią
oni ocenić dzielność, choćby i u Moskala.

Uczyń, jak radzę, a zobaczysz, że każde, choćby najnie-
znaczniejsze zwycięstwo, w tej walce domowej odniesione,
doda ci tyle otuchy, że nie zawahasz się pokusić o drugie
znaczniejsze. Ile razy dostaję się do kozy, t. j. ile razy od-
bierają mi świat, w którym żyłem dotąd, tyle razy tworzę
sobie nowy w swojej celi, i staram się urządzić go w taki
sposób, aby mi poniekąd starczył za postradany. Próbu-
ję i ty podobnie uczynić, a zobaczysz, że dobrze ci z tem
będzie...

WŁADYSŁAW DO OLESIA

(Urywek).

W marcu 1864.

.... O sobie cóż ci donieść? życie moje jednostajne, szare
jak mury więzienia, nudne, ciężkie nawet czasem — prze-
dewszystkiem zaś wewnętrzne, bo na zewnątrz się wylewać

nie ma innego sposobu, jak tylko za pomocą pisma. Pisuję
też często i wielką mi to sprawia przyjemność.

Siedział tu ze mną przez kilka dni żołnierz z rotę inwa-
lidów i opowiadał mi, co się działo w mieście po naszej
ucieczce. Zapewne mało ci znane te szczegóły, napiszę więc
o wszystkim w krótkości.

Twój ojciec, dowiedziawszy się z listu, któryś tak nie-
rozsądnie posłał mu przez Teodozego, że wyjechałeś z Pa-
duna do Permy (że ci też na myśl nie przyszło napisać, iż
jedziesz do Irkucka, byliby wysłali pogoń w przeciwną stronę)
udał się natychmiast do kapitana, prosił go o żołnierzy i ka-
zał cię szukać najprzód w okolicy. Uśmiechniesz się, gdy ci
powiem, w jakich miejscach miały się odbywać te poszuki-
wania: oto po pastwiskach i łożach nad Tobołem.... Wido-
cznie sfiksował był stary, nie chciał mu się wierzyć z po-
czątku abyś ty, młokos, zdolny był czynu, który zakrawał na
chęć wyjarzmienia się z pod jego jurysdykcji. Żołnierze
w liczbie około czterdziestu, rozumniejsi od twego ojca
i swego naczelnika, pokładli się w cieniu wierzb i radzi, że
dzień im przejdzie bez musztr i warty, gawędzili sobie
o tem, o czem mówiło całe miasto, to jest o nas obydwoh.

Powszechnie mniemano, żeśmy zabrali u twego ojca
z 80,000 rubli i pojechali za granicę pohulać... Innej przy-
czyny ucieczki nie mogli przypuścić ci ludzie... Że zaś wi-
adomo było, iż przed wyjazdem ani ty, ani ja nie byliśmy
w Jałutorowsku, i 80,000 rubli sami wziąć nie mogliśmy,
więc wmieszano tu, aby rzecz pogodzić, i twoją siostrę Marję.
Powiadano sobie, że będąc zakochaną we mnie i przeźemnie
namówioną, wydała nam nocą szkatułę ojcowską i sama by
niezawodnie była pojechała z nami, gdybym ja nie był jej
zawiódł co do czasu naszego wyjazdu...

Piękną jak widzisz kazano mi rolę odgrywać w tej wy-
marzonej powiastce. Zupełnie jak Turgeniew: kiedy mu
potrzeba do powiastki jakiego łotra, bierze Polaka...

A wiesz bratku, że dopiero teraz dowiedziałem się, iż
masz ośmnastoletnią i do tego piękną siostrę... Byłem
kilka razy tylko w waszym domu, i to w tej jego części,
którąś ty zajmował; siostróm więc, z którymi jak wiesz nie
rozmawiałem nigdy, przypatrzeć się sposobności nie miałem.
A tu ni stąd ni z owąd staje się kochankiem jednej z nich...
Gdybym był przesadnym, powiedziałbym, że to omen!

Kiedy jednak kwartalny nadzieratel Chlebników
wrócił z pogoni za nami i zamiast, jak się spodziewano kilku
tysięcy rubli, przez nas mu darowanych, przywiózł urzędowe
zapewnienie, że nas uwieziono, a przy rewizji więcej nad
czterdzieści rubli nie znaleziono, szanowni Jałutorowczanie
nie mogli się wydziwić. Wtedy dopiero zaczęto wierzyć ojc

twemu, który upewniał, że mu żadnych nie wykradłes pieniędzy; uwierzono i rządcy Paduńskiej gorzelni, co powtarzał i przed sądem i przed znajomymi, że nim odjechałem, oddałem jak najrzetelniej swemu następcy cały magazyn kilku dziesięcio-tysięcznej wartości, który był powierzony mojej pieczy. Jedni wywyższali nas pod niebo, drudzy zwali głupcami; a tych ostatnich była większa ilość...

Okoliczność, że nas Chlebników nie przywiózł, jak to uczynić przyrzekł solennie, podała nową żywność miejskim plotkom. Zapewniano, że gdzieś w drodze, podpiwszy sobie, strzelaliśmy do portretu cara, i że nas za tę zbrodnię rozstrzelają w Kazaniu...

Ze wszystkich tych bajek podoba mi się najlepiej przypisywany mi romans z twoją siostrą. Czy uwierzysz, że nie mogę się doczekać chwili, kiedy zginie śnieg w waszym gaiku; mam nadzieję bowiem, że będę cię wtedy często widywał w altance. Niezawodnie i ja przy tobie obaczę... Tymczasem ukłoń się jej pięknie odemnie i powiedz, że rad byłbym bardzo, gdyby mi kiedykolwiek losy pozwoliły powiedzieć jej ustnie, jak mocno boleję nad tem, iż z mojej przyczyny, choć nie z mojej winy została obmówiona...

Wspominałeś, że Teodozy pisał; przyślij, jeśli będziesz mógł, list jego.

WŁADYSŁAW DO TEODOZEGO.

Marzec 1864.

Pisałeś do Olesia, aby ci doniósł co się z nami działo od ucieczki z Jałutorowska, aż do powrotu tamże w kajdanych. On przysłał mi twój list do więzienia z prośbą, abym ja nań odpowiadał, dodając, że lepiej to od niego potrafię. Po części miał słuszość, ponieważ działał nieraz w owym okresie czasu według tego, jak mu wskazywałem, i nie znalazł ostatecznego swych działań celu. Otóż czyniąc zadość jego prośbie, zaspokoje twoją ciekawość.

Zostawiwszy cię w zapasach z gorodniczym, który chciał koniecznie znaleźć proklamację Czerniszewskiego, wyjechałem sam z Jałutorowska i przybyłem szczęśliwie na drugi dzień po południu do Szadryńska. Zdawało mi się, że przebył Rubikon, mając w tyle granicę Syberji. Twój brat i Oleś czekali mnie na miejscu umówionem. Zdziwiło ich niezmiernie, że bez ciebie się zjawiłem, dali sobie jednak wytłumaczyć, dla czego musiałeś zostać. Postanowiliśmy tedy, że ja z Olkiem pojedziemy dalej, niezbyt śpiesząc, a brat twój wróci do Jałutorowska, i jeśli nie będzie nadziei na Polaków z Omska, zabierze cię z sobą i dogoni nas albo w Kazaniu, albo w Niżnym.

Tego samego dnia wyjechaliśmy i stanęli w przeciągu tygodnia w Ossie nad Kamą, robiąc na dobę wiorst 150—200 i nie nocując nigdzie. Samo miasteczko leży o trzy wiorsty od przystani. Nie zajeżdżając więc doni, udaliśmy się wprost nad rzekę, gdzie kilka tylko stoi domków. W jednym z nich umieściliśmy się, mając zamiar zanocować, ponieważ statek godziną przed naszym przybyciem był odpłynął. Zasiedliśmy do herbaty i byliśmy nadzwyczaj dobrej myśli. Do weselości tej przyczyniała się wiele obecność młodej i hożej dziewczeczki, która nucąc krzątała się po izbie i z nami szczerbiotała.

Może w godzinę po naszym przyjeździe wchodzi do izby jakiś jegomość w mundurze z czerwonym kołnierzem i wita się z Aleksandrem, jak z dawnym znajomym. Z początku nie przyszło mi nawet na myśl, że to może być urzędnik, wysłany za nami w pogoń; dopiero kiedy oświadczył Olesiowi, że umyślnie przyjechał, aby go zawrócić do domu, zacząłem pojmywać o co rzecz chodzi. Odgadniesz zapewne bez opisywania, co się działo ze mną po tem odkryciu.

— Ha to wracajcie, Mikołajewiczu, gdy potrzeba, ja już chyba sam dalej pojedę... rzekłem do Olesia łamanym językiem moskiewskim, udając Niemca, jak to przez całą drogę czyniłem.

— To Chlebników, kwartałny z Jałutorowska, on cię zna! — szepnął tenże.

— Ale bo ja i po was przyjechałem, p. S. — odrzekł Chlebników, poglądając z niejakim respektem na pas mój, od którego nie byłem jeszcze odpiął kindżała ni pistoletu.

— Po mnie? — odparłem — ja się nie nazywam S. lecz jestem saksończyk Schwarz. Mogę się panu wykazać paszportem. Zapewnie zachodzi pomyłka co do mojej osoby.

Chlebników ruszył ramionami i nie mi nie odpowiedziałszy postąpił do okna.

— Wypierać się nie pomoże — szepnął Oleś — ja próbuję przekupić go — i zbliżył się do Chlebnikowa.

Nie spuszczałem ich z oka, kiedy rozmawiali cicho w kącie izby. Widząc jednak przeczące gesta kwartałnego i przeczuwając, że to cośmy mu mogli ofiarować nie wystarczy na przekupienie go, odezwałem się w następny sposób:

— Ojciec Aleksandra przyobiecał panu sowitą nagrodę, jeśli go przywieziesz napowrót. Wiem ja to tak pewnie, jak pan sam, panie Chlebników. Aleksandra zaś tylko wtedy weźmiesz do Jałutorowska, kiedy mnie puścisz. Jeśli się tedy nie zgodzisz na ten układ — nagroda cię minie, bo rząd ci nie da za trudy.

— Tak nie będzie, panie S! was aresztują, a Mikołajewicz pojedzie ze mną. Mam upoważnienie od gorodniczego

z Jałutorowska i od ojca do zabrania go z sobą — odparł Chlebników.

— Zareczam pana, że ono nie nie pomoże. Jeśli ja zostanę, to i Mikołajewicz nie ruszy się odemnie. Namysł się, panie kwartalny, póki czas jeszcze.... będziesz potem żałował.

— Cobyś miał żałować.... Przemocą Aleksandra pan nie zatrzymasz, a sąd tutejszy wyda mi go, choćby i sam nie chciał jechać, bo mam urzędowe upoważnienie. Zresztą przyjechał oto gorodniczy, zobaczysz pan, że tak będzie, jak ja mówię — dodał kwartalny śmiejąc i wyszedł do sieni naprzeciw urzędnika, który zajeżdżał w tej chwili przed dom z kilkoma chłopami.

— Co robić? — zapytał Oleś.

— Masz ochotę wracać do domu?

— Wcale żadnej.

— Więc żądam przy protokóle, by cię odesłano do permskiego gubernatora, któremu masz odkryć coś bardzo ważnego. Powiem ci potem, jak trzeba dalej postępować i co mówić.

— Dobrze! — była odpowiedź Aleksandra.

Pocziwy chłopak ufał mi ślepo. Tymczasem miałem plan już ułożony, bo jak sam przyznasz, nie było czasu długo się namyślać. Przypominałem sobie Kilińskiego i jego wykręt, kiedy go wezwano pierwszy raz do Igielstroma, i postanowiłem go naśladować. Ale prawie ci tu o Kilińskim, a ty może i nie słyszałeś nigdy o nim. Trzeba cię więc poznać bliżej z tym naszym bohaterem.

Był to sobie szewc z Warszawy, który, kiedy się rozeszła wieść o powstaniu Kościuszki, umyślił wypędzić waszych ze stolicy. Zawiązał tedy spisek, za pomocą którego zamiar swój do skutku doprowadzić mu się udało. Zanim jednak przyszło do wybuchu, zadenuncjował go ktoś do Igielstroma. Ten go kazał przywołać do siebie, i jak sam Kiliński opowiada w swoim pamiętniku, następną z nim zaczął rozmowę:

«— Ty jesteś Kiliński? odpowiedziałem mu (pisze nasz szewc): że ja. — Powtórnie pytał mnie: ty jesteś radny? odpowiedziałem mu: że ja. — Po trzeci raz pytał mnie: ty jesteś szewc? odpowiedziałem mu że ja jestem; aż on mi powiedział: że ty bestja jesteś, buntownik. — Więc ja chciałem go się zapytać, jakim sposobem jestem buntownik, ale że mi kazał milczeć, tylko sam na mnie wymyślał tyle, ile mu się podobało, a to temi słowy: bestja, szelmo, zmienniku, huncwot, kanajja, worze czyli raczej złodzieju! Na ostatek mówił mi, że mnie każe na nowej szubienicy przed kapucynami powiesić, więc ja powtórnie prosiłem go, aby mnie pozwolił się explikować....

Potem Igielstrom odczytał mu denuncjację, w której działania jego i zamiary jak najwierniej były skreślone. Biedny Kiliński zadrzał ze strachu, nie straciwszy jednak fantazji taką na zarzuty dał odpowiedź:

«Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju! Lubo ja stoję przed tobą jako winowajca, to jest prawda, ale któż z nas jest do tego przyczyną, jeżeli nie sam pan? a to takim sposobem: że dnia onegdajszego był prezydent u JW. Pana, który był proszon od pana, aby nas wszystkich radnych imieniem pańskim prosił, abyśmy chodzili dowiadywać się po wszystkich kafehauzach, winiarniach i bilardach i słuchali, co szulery i inni gadają o buncie, o którym już coraz głośniejszą gadają, i nawet już ludzi namawiają do rozpoczęcia onego; więc gdy się z nas który czego dowie, abyśmy prezydentowi powiedzieli, a on zaraz miał przed JW. Panem raportować. Więc prezydent powróciwszy od pana do nas na ratusz, zaraz nas imieniem pańskim wszystkich radnych prosił, abyśmy w żądaniu jego dogodzili; więc ja dowiedziawszy się o tem żądaniu pańskim, zaraz starałem się szukać gadających o buncie; więc dnia wczorajszego w wieczór poszedłem w to miejsce, gdzie się znajdowali tacy, którzy o buncie gadali i gdy ja do nich wszedł, to i mnie do niego namawiali; więc ja jakżem im miał odpowiedzieć, jak tylko udać przed nimi, że chcę z nimi do buntu należeć, bo-bym się od nich niczego nie dowiedział. Więc mówiłem do nich te słowa, któremi tu przed panem oskarżony jestem przez dozorcę pańskiego; bo gdybym im odpowiedział, że ja nie chcę do nich wraz z nimi należeć, toby mnie byli zaraz od siebie wypchnęli, a możeby gdzie w kącie zabili, bojąc się abym ich przed panem nie oskarżył, bo nawet dozorca, który na to umyślnie jest wyznaczony do szpiegowania, to musi właśnie udawać, jakoby był największy patriota, chcąc się czego od nich dowiedzieć. Także i ja musiałem zrobić; więc te wszystkie słowa do nich mówiłem, które mi pan czytałeś, chcąc od nich wyczerpać, co oni zamyślają; więc gdyby ten szpieg o nich panu nie był doniósł, to ja już u siebie zacząłem ich pisać, a potem prezydentowi ich imiona i przezwiska spisane podać, aby on ich panu podał do aresztowania...»

Ten wybieg pomógł Kilińskiemu do oswobodzenia. Igielstrom wódka go nawet uraczył. Otóż i ja postanowiłem urządzić podobną komedyjkę.

Skoro gorodniczy wszedł z Chlebnikowem do izby, oświadczyłem, że jestem rzeczywiście ten, kogo szukają i domagałem się, aby zrobiono ze mną protokół. Powiedziano mi, że to nastąpi i bez domagania się w urzędzie, dokąd nas po rewizji rzeczy odwieżą.

Tu przypomniałem sobie że mam fałszywy paszport, który na szczęście znajdował się przy mnie w bocznej kieszeni bluzy. Trzeba było zniszczyć go koniecznie, nie chcąc się narażać na sąd i jedynastoletnie kopalnie. Szepnąłem więc Olkowi, aby im otwierał tłomoki, a sam postępowałem niepostrzeżenie do pieca, w którym spore gorzało ognisko. W oka mgnieniu fatalny ów papier stał się pastwą płomieni, podczas kiedy obecni schyleni byli nad tłomokami.

W pół godziny potem odwieziono nas w powozie gorodniczego do policji, gdzie spisano protokół. Zażądaliśmy w nim kategorycznie, aby nas odesłano wprost do gubernatora permskiego, któremu mamy bardzo ważnych i nie cierpiących zwłoki udzielić wiadomości. Mimo że Chlebników starał się przeszkodzić zadośćuczynieniu temu żądaniu, powołując się na swoje upoważnienie, postanowił gorodniczy zrobić wedle naszej woli. Wiesz, co to znaczy oświadczyć przed waszym niższym urzędem, że się ma ważne i jeszcze do tego polityczne zeznanie do zrobienia wyższemu, łatwie więc pojmiesz, z jaką nas do Permy odesłano atencją. Tego samego wieczora wyjechalśmy pocztą na dwóch osobnych kibitkach, pod strażą dwóch tylko nieuzbrojonych żołnierzy, którzy nam atoli wcale nie przeszkadzali rozmawiać na stacjach.

Przy odjeździe miałem sposobność rzucić kwartalnemu wzrok tryumfujący i szepnąć:

— A co, mówiłem, że nie będzie nagrody!

— Zabiorę go z Permy! — odrzekł Chlebników widocznie rozstrojony.

Odpowiedziałem mu na to uśmiechem.

Na drugi dzień po południu stanęliśmy u celu — a w pół godziny po przybyciu mieliśmy zaszczyt oglądać drobne i tatarsko-głupie oblicze, z dwoma do żarzących, w maśle pływających węgielków podobnemi oczkami Jego Ekscelencji Łoszkarewa, który o tyle małego jest wzrostu, o ile wielką rządzi przestrzenią. Wyszedł do nas w mundurze bez epoletów, lecz z wielką liczbą krzyżów i w towarzystwie młodego i strojnego adjutanta — tego samego zapewne, o którym opowiadałeś mi ongi, że pełni zarazem służbę gacha u pani gubernatorowej.

— Dokąd że to przebieraliście się, kochankowie moi?... czy nie do Polski? — zapytał cieniuchnym głosikiem, któremu starał się przydać trochę ironji. Nie udało mu się to jednak. Pan generał nie miał widać sposobności przysłuchiwania się swemu adjutantowi, kiedy ten rozmawiał o nim w pewnych chwilach z jego żoną, bo byłby się niezawodnie wyuczył doskonale wszelkich odcieni tonu ironicznego.

— Nie do Polski, lecz do Waszej Ekscelencji jechaliśmy — odpowiedziałem.

— Do mnie?! — odparł ze zdziwieniem i przestachem zarazem i cofnął się dwa kroki w tył. Przysiągłbym, że spodziewał się usłyszeć zeznanie, iżemy przybyli w zamiarze zamordowania go.

— Tak, do Waszej Ekscelencji — mówiłem — mamy ważne i najmniejszej zwłoki nie cierpiące poczynić zeznanie.

— No, no, no! mów mój kochanku, mów... słucham cię z największą uwagą! — zaszczebiotał i zbliżył się znowu tak prędko, jak prędko odskoczył przedtem odemnie. Oczki mu błysnęły, rospromieniło się liczko, a całe ruchawe ciało, zdawało się pragnąć w owej chwili zamienić w uszy. To pragnienie jednak wydawało mi się zupełnie zbyt czem, bo pan generał o ile małego był wzrostu, o tyle wielkie miał uszy. Porównać by je można chyba tylko do owych, wiesz, wielkich łyżek, co to dają nieraz do stołu z półmiskiem, na którym jest budyń, lub inna jaka piankowata legumina. Najniezawodniej od tych wielkich uszu, które są pewnie dziedziczne w jego rodzinie, dostało mu się nazwisko Łoszkarew. Uwagi te przemknęły lotem błyskawicy przez umysł, lecz nie sprawiły na tyle rostargnienia, abym nie mógł odpowiedzieć w porę.

— Wyznam wszystko, Ekscelencjo, ale tylko przed nią samą! — Tu spoglądałem na kilku urzędników, co stali w pocztitelnom oddalenji.

— Czy tak ważnego co? — zapytał gubernator.

— Bardzo! — odpowiedziałem. — Proszę mnie odosobnić od towarzysza, i zrobić dla większej pewności z każdym z nas osobny protokół. —

Łoszkarew spojrział na adjutanta, jakby go chciał zapytać co robić. Ten skinął mu głową na znak, że się zgadza na moją propozycję i szepnął coś najbliższemu stojącemu urzędnikowi. W skutek tego wyprowadzono Aleksandra do innej komnaty.

— Ça commence à être intéressant — mówił Łoszkarew do adjutanta.

— Ah oui, Excellence, et ce sera important, ce me semble! — odrzekł tenże.

— Mam was ptaszkowie — pomyślałem — nie ujdziecie moich sidełek...

— Więc proszę za mną! — rzekł mi gubernator, udając się do wewnętrznych pokoi. Na progu obrócił się i spostrzegł, że adjutant nie idzie za nim.

— Venez donc — rzekł mi — vous êtes mon aide de camp, et pouvez tout entendre!

— Naturalnie! — pomyślałem w duchu — pomaga ci

w sprawach małżeńskich, więc może ci także pomódz i w politycznych... I poszedłem za nimi.

Weszliśmy do biura dość bogato umeblowanego. Łoszkarew wskazał mi fotel, sam usiadł na drugim, adjutant zaś zajął krzesło na uboczu. Zacząłem sprawę w następny sposób.

— Dwa tygodnie temu przejeżdżał przez Padun, gdzie pełniłem obowiązek magazyniera przy gorzelnii, niejaki Szulc. Zajechał był do chłopu, u którego wynajmowałem pokój, a że późno już było i konie gospodarz nie prędko obiecywał sprowadzić z pastwiska, postanowił zanoć. Ofiarowałem mu swój pokój, gdzie ze mną mieszkał także Aleksander Bałakszyn. Dowiedziawszy się, że Polak, gość nasz skierował mowę na powstanie i po rozmaitych zboczeniach dał nam do zrozumienia, że i w Moskwie się na coś podobnego zanosi. Kiedy zaś okazaliśmy mu swoje w tym względzie powątpiewanie, dobył z podróżnego tołmoczka kilka drukowanych arkuszy i podał je nam do odczytania. Były to proklamacje: *Mołodaja Rossija*, *Ziemia i Wola*, *K'mużykam* i kilka innych jeszcze. Po parogodzinnej rozmowie odkrył nam wreszcie, że on to rozwozi wspomniane proklamacje po permskiej i tobołskiej gubernji, że rozrzucał ich bardzo wiele po kraju i wraca teraz napowrót. Zarazem prosił, abyśmy i my rozeszali do swoich znajomych kilkadziesiąt egzemplarzy, które nam wręczył. Widząc, że to człowiek bardzo niebezpieczny, zacząłem go badać ostrożnie i dowiedziałem się, że należy właśnie do tego komitetu, który wydawał ostatnimi czasy kilka głośnych i znanych odezw. Zapytał mnie potem, czemu nie jadę do powstania. Odpowiedziałem, że nie mam tyle pieniędzy, aby się dostać do Polski, lecz oświadczyłem zarazem, iż chętnie udałbym się do Moskwy, aby tam pracować w organizacji rewolucyjnej. Na to Szulc zrobił mi następującą propozycję: Nam wielki brak ludzi doświadczonych na polu agitacji, pan przydałbyś się naszemu komitetowi. Otóż przyjeżdż przy końcu czerwca do Kazania, tam się zdybiemy i ułożymy co robić. Zapoznam też pana z ludźmi, od których będziesz odbierał rozkazy.

Przyrzekłem mu więc, że będę na czas oznaczony w Kazaniu. Na drugi dzień Szulc odjechał, a my z Aleksandrem Bałakszynem radziliśmy, jak tu postąpić. Obaj jesteśmy jak najmocniej przeciwni ruchom rewolucyjnym, i radziliśmy wszelkimi środkami pomódz rządowi do uśmierzenia takowych. Zważywszy rzecz dokładnie, postanowiliśmy pojechać do Waszej Ekscelencji, opowiedzieć jej wszystko i zwrócić uwagę na to, ile to tajemnie moglibyśmy odkryć i z jakim skutkiem działać na korzyść rządu, zostawszy raz wcieleni do komitetu rewolucyjnego, który tak zgubne i niebezpieczne

knuje zamiary. Przyjechaliśmy tedy do Ossy, wybierając najkrótszą drogę, i czekaliśmy właśnie na parowiec, na którym możnaby do Permy pojechać, kiedy nas przytrzymało w skutek pojawienia się Chlebnikowa, urzędnika policyjnego z Jafutorowska.»

Jak na szczęście gospodarz, u którego mieszkaliśmy w Ossie, zeznał także do protokołu, żeśmy się wypytywali, kiedy parowiec odchodzi do Permy. Nasz zamiar więc udania się do tego miasta był przypadkowo i skądinąd potwierdzony.

Ta bajeczka niezmiernie uradowała Łoszkarewa, widać to było z jego rozpromienionej twarzy. Wiesz przecież, że cała policja moskiewska była w ową porę niezmiernie przestraszona pojawiającymi się zewsząd proklamacjami, a nie wiadzano, gdzie były drukowane i kto je rozwoził. Podobne więc zeznanie i podany przezemnie projekt stawały się bardzo interesującymi, ile że mogły mieć nieobliczone następstwa i do wielkich doprowadzić odkryć. A każdy urzędnik policyjny marzył u was tylko o spiskach i tychże odkryciach. Co bardziej jeszcze pociągało Łoszkarewa do uwierzenia osnutej przezemnie bajce, to przewidywanie, iż w razie urzeczywistnienia podanego mu przezemnie planu, wielką część zasługi spadnie na niego. Rostrząsałem ja to wszystko, nim pierwszy jeszcze z nami zrobiono protokół w Ossie, i byłem niemal pewny, że mi się wybieg uda.

Po krótkim namysle zapytał gubernator, niby nie dowierzając mi jeszcze:

— Wszystko to dobrze mój panie, ale czemu nie pojechałeś do Tobolska i swojemu gubernatorowi tego nie wykryłeś. Nie mogłeś przecież nie wiedzieć, że jako zesłanemu nie wolno ci przekraczać granic Syberji.

— Myślałem i o tem wasza Ekscelencjo — odrzekłem, przygotowawszy się już dawniej na podobny zarzut. — Lecz jakżeż miałem jechać do tobołskiego gubernatora, kiedy on Polak, i Bóg go wie, co myśli. O waszej Ekscelencji zaś nie od jednego już słyszałem, że jesteś najwierniejszym sługą rządu. —

Radość i zadowolenie, które się rozlały w skutek tej odpowiedzi po zwigldem licu gubernatora, nie dadzą się opisać. Aby je pojąć, trzeba było koniecznie widzieć. Trafiłem w tak słabą stronę tego człowieka, pogłaskałem tak zęczenie jego próżność, że mogłem oddać jego powolności dla siebie być pewnym. Zwrócił promieniejące wesołem oczyma adjutanta, a widząc że mu skinął kilka razy ufrizowaną i napomadowaną główką jakby w znak uznania, chciał jeszcze raz doznać przyjemnego z pochwał uczucia i zapytał:

— A któż to wam o mnie opowiadał?

Wydał mi się gubernator w owej chwili podobnym do pewnego zwierzątka, co to poczuhrane po jednej stronie z przyjemnością przewraca się na drugą, by ponowić i urozmaicić łaskotliwe wrażenie. Dla czego, pomyślałem sobie, mam mu odmówić tej przyjemności?

— Wszyscy, wasza Ekscelencjo — rzekłem — z kimkolwiek o niej rozmawiałem. Lecz co mnie ostatecznie przekonało, iż tak jest w samej rzeczy, to, że Szule skarżył się bardzo przed nami, iż największą trudność w rozdawaniu proklamacji miał w tutejszej gubernji. Opowiadał, że po wsiach policja miejscowa jest bardzo czujną, a porządek taki, jakiego nigdzie nie natrafił. Mówił w końcu, że mało jest w Moskwie gubernatorów, którzyby tak pilnie przestrzegali wszystkiego, jak wasza Ekscelencja. Zresztą — ciągnąłem dalej — proszę usilnie, aby dano znać o wszystkim telegraficzną drogą do Petersburga, gdyż sprawa najmniejszej nie cierpi zwłoki. Opóźnienie może bardzo złe skutki pociągnąć za sobą.

— Widzę, widzę mój panie — prawił Łoszkarew przychylnie — że masz czyste zamiary. Sprawa to ważna, i dziękuję, żeś miał tyle zaufania, i udał się do mnie. Nie zaniecham donieść zaraz, dokąd należy. Tymczasem proszę pana, byś się potrudził napisać to wszystko... ale wszystko, rozumiesz pan, nawet to, dla czego do mnie przyjechaliście, nie do tobołskiego gubernatora, bo to ważne, bardzo ważne!

— Nie tylko że napiszę, ale gotów jestem nawet przysięgnąć, żeś ty najwierniejszy, a zarazem i najgłupszy sługa carski — pomyślałem i usiadłem do biórka, na którym adjutant przygotował już był materiały do pisania. Pocziwy ten francik nie zapomniał nawet o cygarach, postawił przedemną całe pudełko wybornych hawanna... możesz sobie więc wyobrazić, jak rokoszowałem i z jakim pisałem natchnieniem. W kilka chwil pojawił się także i lokaj w białych rękawiczkach, niosąc na tacy dwie filiżanki herbaty i koszyk z ciastami. Druga filiżanka była przeznaczona dla adjutanta, który został przy mnie, podczas gdy gubernator wyszedł, zapewne do Aleksandra.

Zakończyłem zeznania, które więcej jak arkusz zajęły, żądaniem, aby nas odwieziono pod strażą do Kazania i tam dopiero dano sposobność widzenia się z Szulcem. Korzystniej bowiem zdalo mi się odbyć podróż z Permy do Kazania, tj. 750 wiorst na koszt rządu i potem dopiero zemknąć, jak natychmiastowego domagać się uwolnienia.

Odprowadzono mnie po tem wszystkim do policji i umieszczono w osobnym i dość wygodnym pokoiku. Z napisów na drzwiach dowiedziałem się, że był zamieszkiwany

niegdyś przez ciebie, a później przez brata twego. Na drugi dzień powołano mnie przed urzędnika, mówiącego dobrze po polsku, który jak się później dowiedziałem, był wychrztą z Warszawy i pełnił tam dawniej obowiązki szpiega policyjnego. Musiał się dobrze rządowi zasłużyć, gdyż go przeniesiono do Permy i dano posadę radcy gubernialnego. Powód tego zawezwania był następny. Cielecki jak wiesz, prosił mnie bardzo, abym mu z drogi doniósł, kędy pojedziem i jak nam się w ogóle powiedzie. Z Uralu napisałem tedy do niego krótki liścik i oddałem na pocztę, gdzie jednak kilka dni leżeć musiał, nim go dalej mogli wysłać. Droga bowiem, którą jechaliśmy, była boczna i nieuczęszczana. Chlebników, jadąc naszym śladem i wypytując wszędzie, cośmy gdzie robili i mówili, dowiedział się także o liście i wynotował sobie adres, który zapamiętał. Mówił on mi wprawdzie w Ossie o tem, lecz sądząc, że zapomni nim pojedzie do Permy i nie chcąc nazwiska Cieleckiego mieszać do naszej sprawy, przemilczałem o całej okoliczności. Tymczasem kwartaszka, przyjechawszy wieczorem do Permy, nie miał nic pilniejszego, jak powiedzieć gubernatorowi wszystko, co o nas wiedział. Urzędnik tedy, przed którego mnie zawezwano, pytał, co zawierał list do Cieleckiego.

Nie był on tego rodzaju, iżby nas mógł kompromitować, bo zawierał tylko pożegnanie i wiadomość, żeśmy przebyli szczyt Uralu. Powiedziałem więc treść jego i dodałem, iż z Cieleckim poznałem się w przejeździe przez Omsk. Bardzo nie na rękę mi jednak było to odkrycie, choć nie przeczuwałem jeszcze wtedy, iż ono stanie się głównym powodem spełnienia na niczem wszystkich moich zamiarów. Obawiałem się, aby nie zrobili rewizji u Cieleckiego i nie znaleźli innych moich, daleko niebezpieczniejszych listów. Myśl jednak, że Cielecki musiał niezawodnie spalić całą moją korespondencję, jak go o to prosiłem, i że list zakwestjonowany ani mnie, ani jemu nie zaszkodzi, uspokoiła mnie nieco.

Na trzeci dzień powiedziano nas pod strażą żandarmów w dwóch osobnych kibitkach do Kazania. Byłem więc dobrej myśli. Podczas drogi umówiliśmy się z Aleksandrem jeszcze dokładniej, co mówić, gdyby nas na nowo pytać zaczęto, i ani mi przez myśl nie przeszło, żeby się mogło stać inaczej, jak sobie układaliśmy.

Żandarmom nakazano odstawić nas do gubernatora, co było nowym dla mnie dowodem, że Łoszkarew robił wszystko, jak się domagałem.

Nie uwierzysz jednak, jakie nieprzyjemne uczucie mnie oładnęło i jakie męczarnie przechodziłem, kiedy nas przyprowadzono do kancelarji gubernatorskiej, i jeden z urzędników zaczął rozpaczliwie pakiet, który mu żandarm

wręczył. Wiedziałem wprawdzie, że człowiek, któremu powierzają rozpieczętowywanie tajemnych papierów, należeć musi do rzędu ludzi, którzy nie potrafią dopatrzeć czegoś gorszącego w naszym oświadczeniu; jednak myśl, że ktoś ma choć na minutę prawo posądzania mnie o zdradę, wywoływała dziwną gorączkę i jak skała ciężła na piersiach. Okropne to, mój kochany, podobne chwile. Jedynie nadzieja gładkiego wymknienia się z drapieżnych szponów zwierza, jakim jest nasz rząd, dodawała odwagi do przenoszenia takowych. Nie życzylibym sobie, aby się miały kiedykolwiek powtórzyć, choć i dziś jeszcze pojmuję jasno, że jeśli nas mogło co uratować, to tylko taki podstęp. Grubą, dziką a przytem podłe sobie poczynającą siłę, słaby i uciśniony zwyciężył może tylko za pomocą wybiegu — niczem innym....

W pół godziny potem zawiadomiono nas, że gubernator przykazał oddać naszą sprawę śledczej komisji do zbadania. Sądziłem z razu, że to będzie osobno dla tego wypadku wyznaczona komisja, bo zupełnie nie wiedziałem jeszcze o wysłanych tu umyślnie z trzeciego oddziału urzędnikach w celu wyszukania roznosicieli i autorów proklamacji. Kiedy nas jednak zaprowadzono do więzienia, na które przerobiono strażnicę Kremlinu kazańskiego, kiedy obaczyłem drzwi pojedynczych numerów, opatrzone okienkami, zakrytymi zewnątrz czarnym płótnem i żołnierzy stojących na straży w korytarzach, zacząłem się domyślać prawdy...

Zostawszy sam w celi, przekonałem się niebawem z całej jej powierzchowności, że niedawno przemieniono te miejsca na więzienie polityczne. Kit u okienka we drzwiach nie zasychał był jeszcze, a na ścianach i piecu widoczne były ślady niedawnych restauracji. Otóż dostałeś się bratku do grobu, w którym nikt przedtem jeszcze nie leżał, pomyślałem i zacząłem jako doświadczony więzień zajmować się naprzód kłatką, by zbadać wszystkie jej słabe strony, z których jakąkolwiek będzie można ciągnąć w przyszłości korzyść... Nowe moje mieszkanko, bardzo niedokładnie naśladujące więzienia 10. pawilonu cytadeli warszawskiej i rawelinów petropawłowskiej twierdzy, miało ich dosyć. Okna były pojedyncze, niezamazane gipsem, wielkie, i można je było otwierać. Cienkie przepierzenie od sąsiedniego numeru sprzyjało jak najcichszemu pukaniu, a cała służba więzienna, nie wyjmując dozorczy, najmniejszego nie miała wyobrażenia o formalnościach, z jakimi strzedz zwykli u was więźniów politycznych. Wszystko to pozwalało karmić nadzieję znośnego pobytu przez ten czas krótki, który sobie zakreślałem. Powziąłem był nawet licze wyobrażenie o zdolnościach komisji śledczej, która dochwalała dwóm więźniom z jednej i tej samej spra-

wy siedzieć obok siebie. Aleksandra bowiem zamknięto do sąsiedniej celi.

Mimo to żałowałem, że nazaczyłem tak długi termin widzenia się z improwizowanym Szulcem. Trzy tygodnie bowiem miały jeszcze upłynąć, zanim ono powinno było przyjść do skutku. Zrobiłem to wprawdzie z wyrachowania, chcąc zostawić gubernatorowi permskiemu dosyć czasu do porozumienia się z Petersburgiem, lecz gdybym był wiedział o stołecznej komisji w Kazaniu, nigdy nie byłbym wydał tak długiego na siebie wyroku. Stało się — pomyślałem i zacząłem uczyć Aleksandra rozmowy więziennej.

Nadszedł wieczór. Nie wiem czy zdarzyło ci się kiedykolwiek anatomizować życie więzienne i studjować psychologję jego. Ja, który to skrzętnie na sobie nieraz czynilem, doszedłem do tego rezultatu, że wieczorem bywam daleko więcej skłonny do marzeń i do mistycyzmu, jak rano. Pokrzepiwszy snem nerwy, daleko zdrowiej patrzę na rzeczy, jak pod koniec dnia. Wieczorem tedy przeważała w więzieniu zawsze dotąd w moim umyśle wyobraźnia, podczas gdy rano rozsądek był górą. Być może że i po za więzieniem dziać się to zwykło, lecz na wolności nie wpadło mi na myśl zastanawiać się nad tem. I mniemam, że gdybyśmy posiadali dokładną statystykę zrad i upadków na duchu pojedynczych więźniów, ujrzelibyśmy, że trzy przynajmniej części takowych zostały poczęte wieczorem.

Położywszy się na materacu, który jak ci wiadomo zabraliśmy z Paduna, by go spieniężyć korzystnie w Kazaniu, puściłem wodze myślom, co podlegane tak wyłącznem położeniem, kilkudniową bezsennością podrażnione i szybko po sobie następującymi wrażeniami piorunnej jazdy z Permy do Kazania, jako też nieregularnem podczas niej życiem do rodzaju hallucynacji przywidzione, uniosły mnie prędkością strzały w krainę mrzonek i głupich przywidzeń.

Najprzód zacząłem uwielbiać zamiar gładkiego wymknienia się z rąk Moskwy i sposób, w jaki go do skutku doprowadzałem. Cieszyło mnie to niezmiernie, że przywiódł rząd niejako do tego, iż mi sam dostarczy środków do ucieczki, i deklamowałem, jak Hamlet w ostatniej scenie trzeciego aktu: «Tylko dalej! śmiać się będę, gdy w swoje własne sidła wpadną ci, co mnie pojmać chcieli. O, pięknie to, kiedy dwa podstępny, jak dwie miny, wręcz przeciw sobie są skierowane!» To uwielbienie planu doprowadziło mnie do uwielbienia umysłu, w którym się wylagł, tj. do ubóstwienia siebie samego. Zacząłem się rozwodzić w pochwałach nad sobą, zawyrokowałem, że muszę być istotą niezwykłą, skoro tak jenałne miewam pomysły, dziwiłem się piorunnej chyżości, z którą powstały w chwili tak niespodziewanej, jaką było

pojawienie się Chlebnikowa i gorodniczego z chłopami — słowem rozkochałem się w sobie. Spostrzegłszy jednak niedorzeczność podobnego toku myśli i nie mogąc się wznieść do realniejszego ocenienia rzeczy, rzuciłem się na inną drogę i zacząłem zbierać dowody na wmówienie w siebie, że jestem wybranym narzędziem jakiejś wyższej, nadprzyrodzonej władzy, jakiejś wszystko obejmującej opatrności, co całem mojem życiem tak kierowała, aby doprowadzić do tego punktu, na którym się obecnie znajduję. Cokolwiek mi się od dzieciństwa aż dotąd zdarzyło, było w oczach moich uwerturą do sztuki, która miała się teraz odegrać, łańcuchem nieprzerwanym o wypływających jedno z drugiego ogniach, dramatem, w którym ja, bohater, wiedziony byłem niewidomą ręką wyższej istoty ku tej przed narodzeniem jeszcze mojem przewidzianej scenie... Aby ci dać pojęcie o niedorzecznościach, do jakich człowiek dojść może na tej drodze, powiem, że nawet materac, którego nie mogliśmy sprzedać, a na którym spoczywałem, dostarczył mi dowodu o istnieniu tej niewidowej, opiekuńczej ręki. Zdawało mi się bowiem, że ona to nie nadarzyła sposobności sprzedania go li tylko dla tego, abym mógł wygodnie teraz na nim spoczywać!... Zważ do jakiego wyrafinowanego, i wszystko wykluczającego samolubstwa prowadzi marzycielstwo, ta jeśli nie stworzona tegoczesnem wychowaniem, to przynajmniej podsycona przez nie choroba...

Naturalnym wynikiem takiego biegu myśli było, że przeniosłem ubóstwianie, którego sobie przedtem nie szczędziłem, na ową istotę, co mnie tak wywyższyła nad drugih, i chciałem już być ukłekać przed nią i wylać się w dziękczynnych uczuciach... Kraty jednak, ponury odgłos mierzonych kroków straży na korytarzu, lampa na ścianie, napełniająca jakimś fantastycznym, pełnem grozy półświatłem, cienie mojej celi, wreszcie posepne mury twierdzy, których ząbczaty wierzchołek, srebrnym księżycą promieniem oblany, zaglądał przez okno, jak rząd wyszczerzonych zębów trupiej czaszki, ocuciły mnie trochę z marzycielstwa i naga przywołując na pamięć rzeczywistość, wróciły owym chwilom, kiedy to umysł nie mógł pogodzić przemocy i jej narzędzi z istnieniem wszechmiłości i opatrności... Rzuciłem się znowu na łożo, myśl ubiegła na widownię powstania i zasnąłem wśród obrazów wrzawy wojennej, krwi, szczęku broni, kul świstu, przekleństw, jęków i zwycięstwa okrzyków.

Po przebudzeniu się nazajutrz zacząłem z braku innego zajęcia anatomizować dzień wczorajszy. Nie uwierzysz jak pożyteczna jest taka robota. Powolną lecz pewną drogą prowadzi do poznania siebie, tej zaiste najtrudniejszej umiejętności. Naturalnie, że roześmiałem się w głos nad wie-

czorną hallucynacją. Nie jesteś bratku niczem innym — rzekłem do siebie — jak tylko zajęcem, co prześladowany od smyczy chartów zatrzymuje się nagle w biegu, przylgnie do ziemi i pozwala pogoni przeskoczyć przez siebie, by mógł potem w przeciwną rzucić się stronę. Zaś o ile ci się ta sztuka uda — tj. czy Moskale rzeczywiście przeskoczą przez ciebie, nie zdolawszy się powstrzymać w biegu, w drugiej się dopiero okaże części...

Po południu wezwano mnie do komisji. Był to nowy dla mnie dowód, że Moskale wpadną w sidła. Wpadało im bowiem przesłuchać najprzód Aleksandra, jako mniej doświadczonego i starać się wydobyć z niego coś, czemby mi mogli dowieść nieprawdy słów moich. Tak przynajmniej praktykuje się po wszystkich rutynowanych komisjach śledczych. Skoro zaś ci inaczej postępują, widać, że nie są biegli i będą mi wierzyć. Pierwsze posiedzenie potwierdziło w zupełności te rachuby, które czyniłem przez drogę. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że komisja obradowała w osobnym domu, aż gdzieś na końcu miasta, i że więźniów wożono do niej z rozmaitych, jak się później dowiedziałem więzień.

Przybywszy do sali posiedzeń w dość odważnem usposobieniu, zostałem najprzód uderzony wytwornością jej urządzenia, a potem strasznie biurokratyczną powierzchownością trzech członków komisji, którzy siedzieli przy długim stole. Nie byli to, jak się spodziewałem, urzędnicy miejscowi. Z min, orderów, wytwornych ubiorów i z lodowatej powagi czysto wygolonych twarzy wnioskowałem, że muszą być ryby stoliczne. I nie myliłem się. Miałem przed sobą Zdanowa i jego towarzyszy, wysokich urzędników trzeciego oddziału, wysłanych, jak wiesz, umyślnie z Petersburga dla wysłedenia sprawy proklamacyjnej. Spostrzeżenie to zamiast osłabić, wzmocniło jeszcze moją energję. Jest przynajmniej z kim walczyć, pomyślałem sobie.

Oglądając mnie od stóp do głów — a byłem ubrany w czerwone moskiewskiego kroju koszuli, wysokich butach i czamarcie z grubego sukna — prezydent wezwał mnie do siebie. Po drodze wzięłem krzesło, postawiłem przy stole i usiadłem. Nie uwierzysz, jak wielkie oczy zrobił wszyscy na ten manewr, który uważali pewnie za śmiałość, posuniętą do zuchwalstwa. Najstarszy z nich podniósł się, położył mi rękę na ramieniu i rzekł dość łagodnie, ale stanowczo:

— Dotychczas jesteś pan jeszcze posieleniem, pozbawionym wszelkich praw, ja zaś rzeczywistym tajnym radcą jego carskiej mości, tj. generałem; nie przystoi więc panu siedzieć w mojej przytomności...

— Ach, przepraszam waszą ekscelencję — zawołałem wstając — nie wiedziałem... nie poważyłbym się być nigdy...

— Nie szkodzi, panie S. Później pozwolimy panu i dzieć obok nas, jeżeli okażesz się tego godnym... Teraz zaś muszę pana uprzedzić, że go znamy dobrze; mamy przed sobą jego dawniejszy wyrok — tu wskazał na leżący na stole papier — jesteście stare wróble, których się na lep nie łowi tak łatwo. Radzę panu, byś z nami nie żartował, jak to czynić chciałeś z warszawskimi urzędnikami. Nasz car jest panem miłosiernym i dobrym; gdybyś pan postąpił był w Austrii lub Prusach, jak postąpiłeś w Warszawie, nie miałbyś prawdopodobnie zaszczytu znajdować się tu przedemną. Jestem pewny, żeby go tam na szubienice byli skazali. Trzeba się więc szczerze nawrócić, chcąc sobie zjednać dawnych przewinień przebaczenie. A możesz pan mieć nadzieję, że to nastąpi, skoro pomożesz nam rzeczywiście do wykrycia czegoś ważnego. Słuchamy więc pana...

Starą ty mi piosnkę śpiewasz, stary kłamco! — pomyślałem sobie, i zacząłem im opowiadać bajeczkę, którą narkreśliłem w Permie. Chodziło tu o moją wolność i Aleksandra — chodziło dalej o dostanie się do Polski kosztem rządu moskiewskiego, możesz sobie więc wyobrazić, jak usilnie starałem się przekonać ich o prawdziwości swoich zeznań i szczerości zamiarów. O ile zdolałem zauważać podczas dość gorącej przemowy, zainteresowałem tajnych radców swoją osobistością. Słuchali z wielką uwagą i mimo pilnego śledzenia nie postrzegłem powątpiewania na żadnej twarzy. Kiedy skończyłem, powiedział Zdanow, że mi dadzą sposobność widzenia się z Szulcem, i że jeśli prawda, co mówię, to mogę rachować na świetną od rządu nagrodę.

— Jednakże — zakończył — omyliłbyś się pan bardzo, gdybyś nas chciał oszukać! —

Aby lepiej wymacać, jak dalece pozyskałem ich przychyłność, prosiłem o pozwolenie palenia tytoniu i o książki, na co też natychmiast zezwolono. Znak to, jak wiesz, jasny dobrego usposobienia komisji dla winowajcy. Wracając, tryumfowałem w duchu. Skoro bowiem nie podlegało wątpliwości, że mnie wypuszczą choć na godzinę z więzienia, to niemniej pewnem było dla mnie, że nawet mimo szpiegi i straże potrafię przemknąć się do Wołgi, sięść na czołno i zniknąć. Nie wyda ci się uskutecznięcie tego planu trudnem, skoro weźmiesz na uwagę, iż rendez-vous było naznaczone na najludniejszej ulicy miasta i o zmierzchu. Powiedziałem także, iż wedle wskazówek Szulca nie mam go zaczynać na ulicy, lecz pójść za nim tam, gdzie on pójdzie...

Naksztat fałszywego tonu odzywało się jednak wśród tej zwycięskiej piosnki, jaką nuciła wyobraźnia, przenosząc się już na szeroką matuszkę Wołgę i bujając swobodnie w czołnie po pośrebrzonych światłem księżycą falach, przypominie-

nie, że do chwili, w której urzeczywistnienie marzeń miało nastąpić, przeminać musiały wprzód jeszcze trzy tygodnie... W przeciągu tego czasu mogła się komisja wiele rzeczy dowiedzieć, które były w stanie dać jej inne o mnie wyobrażenie. Najbardziej zaś niepokoił mnie ów list nieszczesny do Cieleckiego. Wszystkie te obawy jednak nie potrafiły odebrać mi nadziei. Los i opatrność, które widocznie mi sprzyjają — powtarzałem — nie dopuszczą, aby miała zająć jaka przeszkoda... Jak też dzisiaj daleki jestem od tych mrzonek, co pobudzają człowieka do spuszczenia się na cuda... Ale bo też i drogo opłaciłem nieraz w życiu podobną wiarę.

Na drugi dzień powołano Aleksandra, którego zadaniem było odgrywać rolę mego narzędzia, i mnie wysuwać na pierwszą linję do boju. Muszę mu przyznać, że wywiązał się z tego lepiej, niż się po jego miękkim i łagodnem usposobieniu spodziewać należało. Wrócił z komisji bardzo zadowolony, bo spostrzegł widoczne u Zdanowa przychylenie się do moich planów i propozycji. Powiedziano mu w końcu niemal to samo, co mnie. Była tedy wielka nadzieja wygranej i radowaliśmy się, jak dzieci, co obmyślają figla komus wyplatać. Po dwóch tygodniach przerwy prowadzą mnie znowu do komisji. Byłem pewny, iż chodzi o traktowanie sposobu, w jaki ma się odbyć improwizowana konferencja z Szulcem, i według tego obmyślałem po drodze odpowiedź. Lecz jakież było moje zdziwienie, kiedy miasto układać się ze mną, przedstawiają mi z sarkastyczno-lodowatym uśmiechem trzydzieści sześć arkuszków z tyłak pytań, i żądają wyjaśnień co do listów pisanych przeze mnie do Cieleckiego. Łotry urządzili telegrafem u niego rewizję i znaleźli dziesięć listów haniebnie mnie kompromitujących. Dla czego on ich nie spalił, dalibóg nie wiem... Cierpiemy też obydwa za tę nieostrożność.

Zarzucono mi tedy: 1) ucieczkę do powstania; 2) namawianie innych do niej; 3) zamiar zebrania oddziału z mających chęć uciekać z Syberji Polaków w celu rozbicia poczty i uzyskania potrzebnych do ucieczki zasobów pieniężnych... Pomniejszych zarzutów nie pomnę. Ujrzałem stąd, że o wydobyciu się z ich szponów nie ma co myśleć na teraz. Zznałem więc, że chciałem uciec z Syberji, ale nie do powstania, jeno do domu. Nie będąc bowiem poddanym moskiewskim, nie miałem co robić w obcym kraju. Przysznałem także, że Szulce i wszystko, co pisałem w Permie, jest bajeczką osnutą na to, aby się wydobyć z więzienia. Mogłem to uczynić tem bezpieczniej, że po waszych sądach tajemnych nie ma kary za kłamliwe zeznania. Jeśli by bowiem istniała, nie jednego odstraszyłaby od prawdziwych i mniej by było zdrady, co nie na rękę waszym inkwizytorom. Trzeciemu

myślne!

zarzutowi na koniec zaprzeczyłem absolutnie, i łatwem to było, bo miejsca listów potwierdzające go niby, były tak przepełnione metaforami, iż mogłem je naciągnąć, jak mi było potrzeba. Sprzyjała wykrętom i ta okoliczność, że mi kazano wyjaśniać tłumaczone na moskiewskie ustępy listów, które były pisane po polsku. Gdzie więc nie było można przeczyć myśli, dość jawnie wyrażonej, przeczyłem tłumaczeniu, mówiąc, że to a to słowo w polskim języku nie ma takiego znaczenia, jakiego mu podobalo się nadać komisji. Takieża — zakończyłem — największym dowodem, że nie miałem nic podobnego na myśli jest fakt, iż nic się podobnego nie stało.

Majacząc w ten sposób, doszedłem trzeciego dnia do dziewiętnastego pytania, to jest do połowy. Kazano mi podać przyczynę, dla której namawiałem C. do ucieczki. Wyprzec się namowy nie mogłem, ponieważ była w liście jasno wypowiedziana. Napisałem tedy w odpowiedź: Namawiałem wprawdzie C. do ucieczki, lecz wcale nie dla tego, aby go pobudzić do niej w rzeczy samej, lecz tylko, aby się dowiedzieć, czy też on przypadkiem sam nie myśli o niej. Gdyby tak było w istocie, chciałem donieść o tem dotyczącej władzy i przeszkodzić. Jednak C. odpowiedział mi, iż ma nadzieję być uwolniony w legalny sposób, to jest w skutek amnestji, że przeto uciekać nie myśli. Jako dowód, że tak było w istocie niech służy to, że C. pozostał w Syberji.

Każdą odpowiedź czytał zaraz Żdanow, i dopiero potem dawano mi świeży arkusz z nowem zapytaniem. Tym razem jednak skoczył jak oparzony z fotelu, cisnął mi rozdarty arkusz w oczy i krzyknął z zaiskrzonym od złości wzrokiem:

— A to beczelny kłamca! Precz mi z tym łotrem natychmiast do więzienia — niech tam zgnije, jak pies!... Przenieść go do turmy, posadzić na wikcie areztanckim i... i... ja ci pokażę polska ty jęzdo, co ja znaczę! —

Obecny członek komisji zrobił go uważnym, że jeszcze na siedemnaste pytanie brakuje odpowiedzi.

— A daj mi pan pokój z tym krętaczem... to łotr, jakiego świat nie widział. Prawdy od niego nigdy się nie dowiemy. Czyż pan nie widział, że on kpi sobie z nas?!... Precz mi z nim natychmiast! —

To rzekłszy, wleciał do swego pokoju, który przytykał do sali. Po chwili wrócił jednak i zbliżył się do mnie.

— Słuchaj! — mówił z jadowitym uśmiechem i udanym spokojem — tyś nie głupi, wiem ja to, przyznawać się do zbrodni, które miałeś zamiar popełnić, i za które by cię stryczek czekał. Ale przyznałeś się do ucieczki, tego mi dosyć. Byłeś pozbawiony praw, czekają cię więc pletnie! Otóż ja, Żdanow, naczelnik III. oddziału kancelarji jego

carskiej mości, jenerał po randze, daję ci najświętsze słowo honoru, że wszelkich dołożę starań, aby te pletnie były ci w ten sposób wymierzone, iżby ziemi naszej nie kalala długiej taka zmija, jaką ty jesteś! Teraz marsz... precz mi z oczu!...

— Gadaj ty sobie zdrów, mój kochanku! — pomyślałem wychodząc z sali — ja przecież ujdę cało ręk waszych. Aby mnie sądzić za ucieczkę, musisz wysłać na Sybir, to jest do miejsca, skąd uciekłem. Tak bowiem każe forma, której mimo żeś jenerał, nie przemienisz, przyjacielu... A do Sybiru 1,500 wiorst się liczy, czyli trzy miesiące drogi... i tam ja pan, nie ty!

Byłem bardzo zadowolony, że się tak skończyło, bo już i mnie ta komedja męczyć zaczynała, osobliwie kiedy spostrzegłem, że na nic się nie zda. Na drugi dzień po tej scenie przeprowadzono mnie do miejskiej turmy i posadzono w sekretnej na korytarzu szlacheckim. Nowa moja cela miała dwa kroki szerokości, a cztery długości. Żdanow mścił się dokuczaniem, bo innego nic robić nie mógł. Nie wiem czy z jego rozkazu, czy też przypadkiem palono mi przez kilka dni w piecu. Możesz sobie wyobrazić, co za okropną męczarnię przenosiłem siedząc wśród upałów czerwonych w opalonym, ciasnym pokoju, w którym cztery kroki zrobić tylko mogłem po jednej desce, ponieważ resztę przestrzeni zajmowało łóżko. Przypomniałem sobie więzienia weneckie z ołowianymi dachami, o których śpiewa Silvio Pellico. Tak było nieraz nieznosnie od gorąca i smrodu, który otwarty, przesiąkły amoniakiem cebrzyk wydawał, iż aby ulżyć sobie, kładłem się na podłogę, i w tym stanie godzinami przebywałem. Miałem także, jak już wspominałem, być na wikcie areztanckim. Nie potrzebuje ci mówić, co to znaczy. Jednak nie powiódł się ten eksperyment Żdanowowi. Posiadałem pieniądze, a dozorca więzienia, jak wszyscy wasi urzędnicy, lubiał boczne dochody. Zgodziłem więc wikt u niego. Prawda, że w ciągu dwóch miesięcy porachował sobie czterdzieści rubli, ale za to kpiłem ze Żdanowa, bo zamiast grochowiarki lub krupniku raz na dzień i grubego chleba z plewami, piłem herbatę rano i wieczór, jadłem żoński obiad i paliłem papierosy.

Chciałem ja mu nawet figla wypłatać i uciec, ale się nie udało. Zwalono podówczas zewnętrzna ścianę więzienia w celu wzniesienia nowej. Właśnie przy tej ścianie znajdowała się obszerniejsza od mojej sekretna, która stała pustką. Donieśli mi o tem włóczęgi, u których jako zbieg sybirski miałem zachowanie. «To nasz» — mawiali, nie wiedząc za co siedzę — «trzeba mu więc pomódz.» Otóż poprosiłem dozorcę, aby mnie przeniósł do owej sekretnej,

popierając prośbę podarunkiem dwóch łyżek srebrnych, któreśmy zabrali z naszego gospodarstwa w Padunie. Uczynił zadość żądaniu memu myśląc, że chcę zmienić mieszkanie tylko na celu pozyskania większego pokoiku, uprzedził mnie atoli, że każdym razem, kiedy będzie kto z starszyny odwiedzał tiurmgę, przeniesie mnie na chwilkę do starej celi. Zbadawszy po przenosinach pozycję, ujrzałem, że ucieczka bardzo łatwa do uskutecznienia, gdyż od wolności dzieliła mnie tylko kraty nie wpojona, lecz przybita do futryny, i żołnierz, co stał na wylomie ściany na warcie. Kratę można było wyłamać, żołnierza zaś podmówić do ucieczki... Wiesz bowiem, że żołnierz moskiewski, osobliwie z garnizonu, mało co od więźnia się różni. Wziąłem się więc natychmiast do roboty. Dostałem był od włóczęgów dość gruby i mocny żelaza kawałek i nóż 6 cali długości. Za pomocą tych narzędzi wyjąłem gwóźdź od jednej sztaby kracianej i złamałem ją potem mimo znacznej grubości. Zrobił się więc otwór, przez który łatwo było by mi wyleźć. Oczywiście wszystko to było niedostrzegalnem dla wchodzących do celi, bo gwóźdź zastąpiłem chlebem, a miejsce złamane zasmarowałem gliną i sadzą. Pozostawał tylko żołnierz. Nie potrzebuję ci mówić, jak ostrożnym trzeba mi było być w wyborze, aby się nie zdradzić. Że zaś niejednokrotnie już miałem sposobność spoglądać z po za kraty na straż, i dokładne robić studia nad pojedynczymi żołnierzami, porównując wyraz ich twarzy z rozmową, jaką z nimi często wsczyynałem, to doszedłem do pewnego stopnia biegłości w rozpoznawaniu tych ludzi z powierzchowności. Otóż na drugi, czy na trzeci dzień pobytu mego w nowej celi postawili pod moim oknem żołnierza, którego wszystkie ruchy zdawały się znamionować człowieka niezadowolonego ze swego losu. Chodził leniwo, często wzdychał, siadał i zatapiał wzrok tęskny na doliny nad Wołgą, palił papierosy oglądając się do koła, czy go kto nie widzi — słowem był to człowiek, jakiego właśnie potrzebowałem. Żołnierze stoją na warcie po dwie godziny. Całą godzinę więc przypatrywałem mu się dobrze, a po upływie takowej, widząc że się sparł na karabin i tęskno w dal poglądał, zagadnąłem go następnie:

- Ciężko ci pono, przyjacielu?
- Och ciężko, bracie, ciężko!
- Komandir pewnie srogi?
- I komandir, i służba, i wszystko, wszystko nie tak jakoś idzie, jakby się chciało człowiekowi...
- Ach Boże, Boże! kiedy ty, sługa carski, utyskujesz — ty, coś przecież swobodny; cóż ja nieszczęśliwy mam robić?
- E, bracie mój, wam dalibóg lepiej w tiurmie niż

nam na swobodzie! Cóż wam?... siedzicie sobie, jeść dają, jałmużnę noszą z miasta, a robić nie każą; naszego brata zaś pędzą na musztrę dzień w dzień, że wracasz jak z kąpieli... nabijają się, natłukają, jeść nie dają... tam znowu na służbę do tiurmy iść każą... a jeżeli nie na służbę, to do koszar, i na zamek, jak aresztantów! Dalibóg, lepiej wam, niż naszemu bratu!

— Jesteście przecież między ludźmi, to wam się nie tak nudzi...

- A ty sam siedzisz?
- Sam jeden jak palec.
- A długo już?
- Pół roku będzie.
- Zabiłeś pewnie kogo?
- Nie, przyjacielu, za fałszywe pieniądze i za włóczęgostwo.

— A... więcś piśmienny?

— Trochę...

— Chciałeś być pomocnikiem cara — co?

— Raz pamiętam zrobiłem pięćdziesięcio-rubłówkę...

— O! aż pięćdziesięcio-rubłówkę?! — przerwał żołnierz podchodząc bliżej do okna.

— Tak, bracie mój, pięćdziesięcio rubłówkę, bo któżby się tam paskudził na drobiazg. Otóż zrobiłem i dałem chłopu, aby zmienił. A on ci z nią prosto do kasy podatek zapłacił... i wiesz, wzięli, sam kasjer nie poznał!

- Patrz-no!
- Nie dziw, przyjacielu, byłem przy mennicy w Petersburgu.

— Oho! to taki z ciebie ptaszek? Toż to musiałeś hulać po świecie!

— Ach bracie, nie przypominaj! Był czas, oj złoty był... Otóż widzisz, moj drogi, wam choć źle, aleście na swobodzie; każdy z was może, kiedy zechce, rzucić karabin i pójść, kiedy oczy patrzą... ja zaś nie ruszę się z miejsca, choćbym i ptakiem chciał ulecieć do matki-swobody.

— A dokąd-że to nasz brat uciecze, mój miły? gdzie się schroni?... Ho, ho — rzuciłbym ja nieraz do czortowej matki i karabin i szynel i kask, gdybym wiedział, że mnie nie złapią, nie obiją i nie poszłą, dokąd św. Marek cieląt nie ganiał.

— Alboż to nie można zrobić sobie paszportu, rozzyć*) się gdziekolwiek u bogatego kupca, i zamieszkać sobie spokojnie w oddalonej jakiej gubernii?

*) Rozżytsia, tyle co okraść, okpić, zrabować. Jaki to charakterystyczny zwrot mowy! Moskal tylko wtedy odżywa t. j. żyje pełnem życiem, kiedy kradnie, okpiwa, rabuje!

— Ba, gdyby to ja był piśmienny i umiał robić paszporty!

— To można znaleźć takiego, co umie!

— A gdzie go szukać?

— Kiedy będziesz tu znowu na warcie, przyjacielu?

— Za trzy dni.

— A możesz tak zrobić, aby cię na to same miejsce postawili?

— Mogę!

— To wiesz-że co, postaraj się, aby na ciebie kolej przypadła w nocy... pójdziemy obydwu w świat boży... ze mną nie zginiesz... a co pohulamy, to pohulamy!

— A jakże ty wyjdiesz z za kraty?

— To już moja rzecz, tylko ty dotrzymaj słowa.

— Dotrzymam! i jeżeli chcesz, to przyniosę ci nawet czem wyłamać kratę.

— Nie trzeba mi miły, postaraj się tylko, abys tu był za dwa dni w nocy, reszta głupstwo!

— Może ty żartujesz tylko?

— Co mam żartować!... komuż więcej zależy na tem, jak mnie, by się wyswobodzić?

— A tytoniu masz dla rozpedzenia nudów?

— Nie mam!

— To ci dam trochę! —

I poczciwy strażnik dał mi garść machorki z swego zapasu, jakby w zakład, że dotrzyma słowa. Niedługo potem zmieniono go. Możesz sobie wyobrazić moją radość z takiego zwrotu rzeczy. Już naprzód przeżuwałem w myślach roskosz, jakiej doznam po wydobyciu się z za kraty i po wyrządzeniu takiego figla Zdanowowi.

Lecz niestety, i tym razem jeszcze zawiodła nadzieja. Na trzeci dzień po rozmowie z żołnierzem, tj. w wigilję dnia, kiedy miał przyjść na straż pod moje okno, usłyszałem wielki ruch na korytarzu. Dowiedziałem się od klucznika, że przenoszą tu politycznych więźniów z odwachu. Celę, w której siedziałem, naznaczyła komisja jakiemuś innemu więźniowi, musiałem tedy wrócić do starej klatki, z której w żaden żywy sposób uciec nie było można. Nie potrzebuję ci opisywać, z jakim żalem odbyłem te nienawistne przenosiny. Szczęściem doznawałem w życiu bardzo często podobnych zawodów, oswoiłem się więc niejako z niemi, i nie pozwalałam brać góry w takich razach rozpacz. Owszem, staram się jak najprędzej zapomnieć o przeszłej klęsce, a snuję natychmiast nowe plany na przyszłość. I wiesz, dobrze na tem wychodzę... nie tracę energii... czuję nawet, że dopiero wtedy przestałbym mieć nadzieję wydobyć się

z ich rąk przeklętych, gdyby mi zarzucili kaptur śmiertelny na oczy, a na szyję sznureczek z dwoma paciorkami...

Z tiurmy raz tylko byłem powołany do komisji na konfrontację z Aleksandrem. On nie wiedział bowiem, że odwołałem bajeczkę o Szulcu i myśląc, że to podstęp komisji, trwał ciągle przy swoim. I wiesz, nie spodziewałem się, żeby było tyle hartu u tego młodego chłopca. Nawet, kiedy mu już powiedziałem podczas konfrontacji, że odwołałem, widząc iż się to na nie nie przyda po znalezieniu moich listów, milczał ciągle i milcząc podpisał swoje odstąpienie... Wtedy Zdanow odezwał się do obecnych członków, wskazując Aleksandra:

— Patrzcie panowie! ten niedorostek liczy teraz dwiętnaście lat dopiero, a jaki już uparty! Co by to z niego było w trzydziestym roku życia, gdyby nadal został pod wpływem tego oto — tu ukazał na mnie — buntownika! Na szczęście — dodał obracając się do nas obydwóch — mogę was zaręczyć moi fałszywi Minin i Pożarski, że się już nigdy więcej nie zobaczycie!

— Kiep jesteś! — pomyślałem — widać mało znasz Sybir i etapową drogę! —

Po trzech miesiącach nakoniec okuto mnie przy obecności delegata z komisji w kajdany i wysłano na Sybir dla osądzenia. Tydzień później zrobiono tak samo z Aleksandrem. Doszedłszy do Permy, czekałem na niego w szpitalu, i szliśmy razem, póki nie zasląbłem na gorączkę. Pożegnaliśmy się jakby na zawsze, bo sam nie miałem nadziei podniesienia się z choroby. Ty znasz szpitale więzienne i ich apteki; dodaj do tego, że leżałem w malej, zamkniętej, smrodliwej i pełnej robactwa celi, w której prócz mnie leżało jeszcze pięciu na tyfus słabych więźniów, na pięciu stykających się z sobą łózkach, i w której odbywały się wszelkie potrzeby fizyczne, a pojmiesz, że miałem słusność. Ni razu jednak podczas czternastodniowej silnej słabości, kiedy się przyroda pasowała ze śmiercią, nie żałowałem życia. Tak nienaturalnie spokojnie spoglądałem w ciemną przyszłość pozagrobową, mającą mi się wkrótce według mego mniemania odsłonić, że sam sobie się dziwiłem. Przyczyną tego spokoju było pewnie to, że spodziewałem się oswobodzenia z kajdan, których mi nie zdjęto, i których dźwięk przykry przypominał przy każdym poruszeniu, i mnie i moim towarzyszom, gdzie jesteśmy.

Po czterech tygodniach jednak podniosłem się i poszedłem w dalszą drogę. Teraz zaś siedzę w Jałutorowsku, koresponduję z uwolnionym Aleksandrem i wygnańcami Polakami, i czekam cierpliwie wyroku jako chwili, w której mi o nowej wolno będzie pomyśleć ucieczce...

P. S. Ale, ale! Będąc w Permie dowiedziałem się, że

Łoszkarewa oddalono z posady, przenosząc go w stan spoczynku. Urzędnicy twierdzili, że się przyczynił najbardziej do tego Żdanów, podając za powód, że jest niezdolny do rządzenia gubernią... Niezawodnie dla tego, że w raporcie, który mu dał o nas, wystawił nas jako Minina i Pożarskiego. Biedny ex-gubernator! Posyłając nas do Kazania marzył o krzyżach i gwiazdach, a tu spłynęła nań, jak grom wśród niebios pogodnych, nielaska i odstawka... Chlebników, który nas aresztował w Ossie, także się zawiódł w swoich nadziejach. Łoszkarew obiecał mu był miejsce gorodniczego w swojej gubernji za to, że się tak pięknie sprawił. Wróciwszy więc napowrót do Jaltutorowska i przeczekawszy miesiąc, przypomniał się gubernatorowi listownie, lecz otrzymał nieborak odpowiedź, której nie chce nikomu pokazać... Był raz u mnie z kapitanem, pytam go więc, kiedy pojedzie do Permy objąć posadę gorodniczego? Żebyś ty był widział, jak on na mnie popatrzył! Poznać było z jego wzroku całą gorycz zawiedzionych marzeń. W miesiąc po tych odwiedzinach wybuchł pożar w domu ojca Aleksandra, przybiegł więc i Chlebników jako policyjny urzędnik. A że był pijany i zgrzał się, a potem napił się wody, to zasłabł i umarł...

WŁADYSŁAW DO ALEKSANDRA.

Maj 1864.

W ostatnich czasach wydarzyło mi się kilka tak dziwacznych wypadków, że niekiedy (śmiej się ze mnie) ludzi mnie myśl, szeptała niby tajemnym jakimś głosem, że muszę być zapewne niezwykłą istotą... Oczywiście, należało do niej przywiązywać wagę, i sztych z siebie serdecznie, ile się razy pojawi... Ale zważ, jak silne są wrażenia i przekonania w pierwszej nabyte młodości. Głos ich, odzywający się czasem w duszy, jest niejako echem przysłabionem wprawdzie, lecz zawsze jeszcze dość silnem, aby było słyszanem. Wierzyło się dawniej w przyrodzoną wyższość, w genjusze, co byli przeznaczeni jeszcze przed narodzeniem na takowych, w pomazańce boskie, co namaszczenie jeszcze w łonie matki odebrali i t. d.... uwielbiało się ich, podziwiała, a co najważniejsza, we własnych piersiach karmiło życzenie zostania im podobnym, wywołania takiegoż, jak oni, podziwu... Życie czego innego mnie nauczyło; doświadczenie, znając bliżej z wypadkami, wykazało sprzeczność ich istoty z zaszczepionemi we mnie o takowej wyobrażeniami... wywołało nieufność ku tym wyobrażeniom i ściślejszy onych rozbiór za sobą pociągnęło. Wynik z tego taki: doszedłem do pewnika, że największa część tego, co mnie nauczono uważać za

prawdę, i o czym niby przekonany byłem, jest tylko przesądem, zaszczepionym przez wpływy, pod jakimi ukształtowała się młodość. Zmieniłem przekonania do gruntu, lecz pamięć ich odzywa się jeszcze od czasu do czasu przy zdarzonej sposobności podobnie, jak nuta dawno słyszanej piosnki, skoro ją powtórnie gdzie posłyszysz... To odzywanie się przeskadza mi niekiedy do zastosowania wyznawanej teraz teorii wszędzie i zawsze w praktyce, jednak nie tracę nadziei, że stanę się powoli takim, jakim być pragnę. U nas jest przysłowie, co twierdzi, że nie od razu Kraków zbudowano.

Ale wróćmy do owych dziwacznych wypadków, bo znowu, jak widzę, odlatuję od rzeczy.

Było to podczas wielkiego tygodnia, w środę, czy w czwartek, nie pomnę... Siedziałem według zwyczaju przy tapczanie i pisałem; w tem słyszę powtarzające się na stepie wystrzały. Zdjęty ciekawością, komu się też chciało wychodzić na step podczas topniejących śniegów, popatrzyłem do okna. Wprost naprzeciw mojej celi, kilkadziesiąt kroków od muru, stało koło brzozy dwóch ludzi. W jednym poznałem porucznika tutejszej inwalidnej roty, drugi, ubrany po francusku, podobnie jak się ubierają pisarze tutejszego sądu, u których każda część garderoby jest albo za krótką, albo za długą, był mi wcale nieznamy. Skoro się ukazałem przy oknie, zaczęli machać czapkami, na co im kiwnięciem głowy odpowiedziałem. W kilka chwil potem zaczęli obaj coś krzyczeć do mnie, lecz z wszystkiego mogłem rozumieć tylko słowa: są pieniądze, są pieniądze! Z całego ich zachowania się powziąłem mniemanie, że byli pijani, i zająłem się dawniejszą robotą. We dwie godziny później, kiedy zupełnie już zapomniałem o nich, przychodzi dozorca i powiada, że nauczyciel tutejszy, to jest ów jegomość, co towarzyszył porucznikowi, dostał dla mnie 100 rubli od kogoś i że mi je jutro sam przyniesie. Możesz sobie wyobrazić jak byłem zdziwiony tą nowiną. Gubiłem się w myślach, kłoby mógł być ów dobroczyńca, i nie mogłem w żaden sposób wpaść na trop jego. Zrazu podejrzewałem ciebie; ale nasunęła mi się twaga, iż ty nie byłbyś tak nierozsądnym powierzać pieniądze człowiekowi, znanemu, jak dozorca powiada, z pijaństwa i nierzetelności, mając zwłaszcza inny i pewniejszy sposób do wręczenia mi takowych. Ten jakiego użyto, aby mi pomódz, kazał mi się koniecznie domyślać kobiety, i sądzę, że się nie mylę.

Śród takiej niepewności minęło dni kilka. O poruczniku i nauczycielu i słychu nie było. Dozorca prawil, iż obaj już od kilku dni rozpili się na piękne. Nie było przeto wątpliwości, że się nie obaczę z pieniędzmi. Kłamię też, co się wlaźło, moskiewskich urzędników — złodziei. W wielką so-

botę po południu wchodzi nareszcie ku memu zdziwieniu porucznik w towarzystwie nauczyciela i podoficera straży. Dwaj pierwsi usiedli na narach, ostatni stanął jak posąg koło drzwi i patrzył ponuro i złowieszczo na nas wszystkich. Nieśczęście chciało, że właśnie w ten dzień był na straży najgorszy podoficer, ten sam co to mi szachy był zabrał i od którego niejednokrotnych i dotkliwych doznawałem już przykrości. Po wymianie zwykłych pozdrowień nauczyciel dobywa z zanadru sporej flachy wódki i chciał mnie nią częstować. Podziękowałem, mówiąc, że nie pijam. Wtedy dopiero wspomina o pieniądzach. Pytam, od kogo je ma. — Pan wiesz przecie od kogo być mogą — była jego odpowiedź, po której podał mi zwitek banknotów, nie zawierający jednak, o ile z powierzchowności mogłem sądzić, i połowy stu rubli. Biorąc go do rąk spojrzałem przypadkowo na podoficera. Ponury wyraz jego twarzy wróżył mi cały szereg nieprzyjemności i kłopotów. Milczał, bo mówić nie śmiał przy oficerze. Widziałem jednak z oczu, iż tego samego dnia będzie kapitan wiedział o wszystkim. Przeczuwałem rewizję, badania, śledztwo całe... A obawiając się przedewszystkiem o swoje ramotki i kilka fałszywych pieczęci, które leżały w schowku, i które mogli wykryć, szukając pieniędzy, zabronionych, jak wiesz, więźniowi, oddałem nauczycielowi zwitek napowrót i rzekłem: Niech pan będzie łaskaw oddać to panu K. do którego, jako do dozorczy więzienia, należy prawo przechowywania moich pieniędzy.

Po tem wynieśli się ci panowie. Wieczorem przy pierwszej pytam dozorcę, czy mu dał co nauczyciel dla mnie, i dowiaduję się, że nawet u niego nie był. Proszę go więc, aby się udał nazajutrz do niego do domu, i zażądał objaśnienia. Wyobraź sobie jednak moje zadziwienie i złość moją, kiedy mi K. na drugi dzień powiada, że nauczyciel nie myśli wcale oddawać pieniędzy, bo jak mówił, zostałby powieszony, gdyby wchodził w jakiegokolwiek stosunki z politycznym przestępcą...

Powiedz mi Olku, jak to wytłumaczyć? Tyś na swobodzie, więc łatwo możesz się dowiedzieć o wszystkim. Już nie tyle mi chodzi o pieniądze, chociaż by mi się przydały bardzo, co o osobę, która je posłała. Proszę cię, postaraj się zaspokoić moją ciekawość.

Drugie zdarzenie było następujące. W kilka dni po świętach, wieczorem przed samą powierką, tj. w porę, kiedy pochowywaliśmy wszystko, co jest niezgodnego z przepisami więziennymi w mojej celi, mam zwyczaj siadywać przy oknie korytarzyka i na wasz gaik albo na niemy step nad Tobołem poglądać, wbiega żona dozorczy z zawiniątkiem i kaze mi je czempredziej ukryć, szepcząc, że to od jednej z twoich

sióstr, która dając jej to dla mnie, kazała mi się kłaniać. Pytam od której, wiedząc, że ich masz trzy, lecz mi nie chciało powiedzieć. Nadto dodała K. że panienka owa dopytuje się bardzo często o mnie, ale i prosi, by mi nic nie wspominać o tem.

Dziwna — pomyślałem sobie, kiedy odeszła — nie znam żadnej z sióstr Olesia, a z zachowania się jednej z nich wypadłoby sądzić, że plotki nie kłamały... Bo juźci, jeśliby czyniła to wszystko tylko przez litość nad mojem położeniem, to nie używałaby takiej tajemniczości. Tajemniczość gorętsze od litości uczucie zdradza u młodej dziewczyny...

Po ukończeniu powierki zaświeciłem łojówkę i zacząłem przeglądać zawiniątko. Znalazłem w niem czerwoną koszulę, kepi, pasek, cukru trochę, herbaty i kilka kawałków nadzwyczaj pięknego pieczywa. Piszę o tem dla tego tak szczegółowo, bo oglądałem wszystko jak najstaranniej, siłąc się z układu koszuli, z formy kepi, z paska, z wszystkiego, słowem, co tam było, odgadnąć uczucie, jakie kierowało dawczynią. Człowiek wiecznie nader pełen próżności... Wyobraź sobie, podczas owego przeglądu wszystko mi mówiło, że uczucie to miłości się równa. Tak starannie wystebnować koszulę, tak misternie ją ułożyć — mówiłem sobie — może tylko dziewczyna, co powtarza przy każdym dzierzgnięciu igłą: to dla lubego!... I jeszcze do tego czerwona koszula, właśnie jaką lubię... Tak mi się błogo zrobiło na sercu... tak lubo jakoś na wspomnienie o miłości, że, wiesz, chciałbym, aby mrzonki nie kłamały... Cha, cha, cha... co też ja plotę! i mnie to myśleć o kochaniu, kiedy knuty na karku! Patrz Olku, jaki ze mnie wartogłów! Ale żart na stronę, powiedz mi drogi, jeśli będziesz mógł, jak się nazywa ten aniołek pocieszyciel, niech mu przynajmniej podziękuję wierszykiem do album.

Sądziłbyś, że tu koniec owym zagadkowym zdarzeniom... nie, kochanku, jeszcze wypadnie ci ponudzić się trochę nad tym listem.

Wczoraj siedzę przy oknie i poglądam na zielenić się zaczynający obszar po za miastem z tęsknotą więźnia, co już drugą z kolei wiosnę przepędza za kratami w zgnilem powietrzu kazamatniem. Ciężko mi było niewymownie. Czulem jak każda niemal żyła rwała się do matki swobody, na przestwór, z pod dławiącego ciężaru, jakim sklepienia przygniatą więzienną... Tam tak cudownie pięknie w cieniu brzoź płaczących, nagiętych ku sinym Tobołu nurtom, tu tak okropnie ciężko, skwarno, duszno i ponuro... Zazdrościłem nawet komarowi, co przenosił się swobodnie z mojej ręki za kratę, zatruwającą wprzód świeży powiew wietrzyka, zanim zdola ochłodzić rozpalone więźnia czoło. Ha! niech los ochroni

każdego od katusz podobnych, opisać ich niepodobna, a znosić tak trudno... tak trudno!

Była może druga godzina po południu, kiedy ściągnęło na siebie uwagę moją grono dziewcząt, śpieszących z miasta gdzieś w pole, na majówkę. Ubiór, jak na Jałutorowsk wytworny, kazał mi się w nich domyślać córek pierwszych domów tutejszych. Wnosiłem więc z tego, że muszą tam być i twoje siostry. Zboczyły z głównej drogi i udały się na ścieżkę, co wiedzie po pod mur więzienny do gaju. Jak wiesz, jest przed oknem mego korytarza, po za rowem zewnętrznym, polanka. Na niej tedy zatrzymuje się całe grono i rzuciwszy koszyczki na trawnik, zaczyna biegać, igrać, skakać — szaleć po prostu. Możesz sobie wyobrazić, z jakim zadowoleniem patrzyłem na te szczebiotki, co swawoliły niby stadko sarnek w leśnem gdzie ustroniu. Pozbawiony od dwóch prawie lat widoku płci pięknej, upatrywałem w nich grono aniołków. Poszły na chwilę w niepamięć i tęsknota niedawna za swobodą i ciężar obecnego położenia na widok tych wiotkich i lotnych istotek, w letnie przyodzianych sukienki, z których każda osobnem cię napawała uczuciem roskoszy. Najbardziej zajęła mnie ich przewodniczka. Młoda, lat szesnaście najwyżej licząca, o jasnych włosach, spływających z pod pasterki w loczkach na krągłe ramiona, o dużych błyszczących oczach, tak była wesoła, tak szczęśliwa, że mi się wydało, jakoby pobyt na tej polance właśnie był jej radości przyczyną. Po kilka razy powstrzymywała towarzyszek, co chciały odejść. Śmieje się ze mnie Olku, lecz byłem mocno przekonany, iż to dla mnie czyniła. Nie przypominam sobie, abym widział kiedykolwiek tę dziewczętkę, jednak jej częste, bezustanne prawie zwracanie wzroku ku memu oknu, jej zadowolenie z obecnej chwili, słowem coś, co się opisać nie da, i co uczuć tylko można, kazało mi się domyślać w niej twojej siostry, tej samej, co się dopytywała tak często o mnie, i co mnie niedawno przedtem owem winiątkiem obdarzyła. Nareszcie na dany znak pierchnęły moje gołębki z polanki i wróciły na główną drogę, co mnie jeszcze bardziej utwierdziło w mniemaniu, że umyślnie tu zboczyły. Jak długo się dało, tak długo przewodniczka ich oglądała się na moje okno. Nie mogłem się powstrzymać, aby nie posłać jej ręką całuska...

Jeszcze nie ochłonąłem był z niedawnych roskosznych wrażeń, i przedłużałem w wyobraźni miłe widzenie, na które przed chwilą spoglądałem rzeczywiście, kiedy nadszedł klucznik, niosąc w ręku zawiniętego coś w papierze.

— Przysłano to dla pana — rzekł z uśmiechem, podając mi pakiecik.

— Kto? — zapytałem.

— Jakież panny!

— Panny? — mówię zdziwiony — toć nie wszystkie razem podawały, lecz jedna. Któż jest ta, co dawała?

— Nie widziałem ich — dał mi to podoficer mówiąc że od panien, ale od jakich, nie wspomniał. —

Klucznik poszedł, zostawiając mnie zdumionego z pakietem w ręku. Rozwijam go i znajduję znowu cukier, herbatę, pieczywo i kilka karmelków... Byłem od tego stopnia głupi, że chciało mi się koniecznie odszukać także i bilecik jaki. Poszukiwania moje były oczywiście daremne. Natomiast zrobiłem odkrycie, które mi wynagrodziło w części brak biletu. Cukier i herbata były zawinięte w kopertę, w jakich przesyłają gazety, a na niej stał adres: Marja Bałakszyn.

— A więc to ona! — krzyknąłem i puściłem się w poszukiwanie po całym korytarzu, jak istne chłopię.

Mój drogi rozwiąż mi tę zagadkę... Dowiedz się, czy przewodniczka owego miłego grona jest tą samą osobą, co i dawczyni zawiniątka, które otrzymałem za pośrednictwem K. Dla ułatwienia zadania opiszę ci przewodniczkę. Miała na głowie rzyżowy kapelusik z niebieskimi wstążkami, sukienkę jasną, muślinową, ciemną materjalną zarzutkę i złoty, gruby łańcuch na szyi. Twarz okrągła, barwy oczu dopatrzyć nie mogłem, lecz oczy same duże; włos jasny, wzrostu nie wielkiego, figury zgrabnej. A rączki, nóżki... niech cię Bóg uchowa, abyś miał patrzeć kiedykolwiek na podobne z po za kraty... Ach, to także męczarnia swojego rodzaju.

ALEKSANDER DO WŁADYSŁAWA.

Dowadywałem się, gdzie tylko mogłem, o pieniądzech, o których pisałeś; lecz wszystkie poszukiwania były daremne. Byłem nawet na poczie i upewniłem się osobiście, iż ani porucznik, ani nauczyciel żadnej pieniężnej w tym czasie nie otrzymali posyłki. Mówiła mi wprawdzie gospodyni domu, w którym nauczyciel mieszka, że krótko przed świętami pojawiła się u tegoż jakaś znaczna kwota, bo zaczął pić nadzwyczaj z porucznikiem i po nocach się awanturować. Żonę bardzo często wyganiał z domu, bił, a kiedy ukrywała się biedaczka gdziekolwiek u sąsiadów, to latał jej szukać z nożem w ręku. Przez dwa tygodnie powtarzały się podobne sceny prawie codziennie. Jednak skąd i jakie to były pieniądze, powiedzieć mi nie umiała.

Możesz być pewny, że ci takowych ani ja nie posyłał, ani też nikt z domu naszego. Najprzód gdybyśmy i chcieli, byłoby to dla nas niepodobieństwem; po drugie, nauczyciel zanadto dobrze jest znany ze swego nałogu, abyśmy go do podobnego mogli użyć pośrednictwa.

Siostra, która ci posłała niedawno zawiniątko, nazywa się Marja. Wszystko własną ręką szyła. Dobra to bardzo dziewczyna, najlepsza, a jak mówią i najpiękniejsza z moich pięciu, a nie, jak ty mniemasz, trzech siostr. Lubię ją bardzo, i przy naciągniętych, jak ci wiadomo, stosunkach familijnych uważam ją jak swego anioła pocieszyciela, bez którego dwakroć nudniej musiałbym czas przepędzać. Bardzo często rozmawiam z nią o tobie.

Aby zadość uczynić żądaniu twemu, i dać ci dokładne o niej wyobrażenie, powiem, że Marja jest woskiem, na którym, co chcesz, wycisnąć można. Ręka mistrza nadałaby temu woskowi zachwycające kształty. Mimo to nie jest ona pozbawiona wszelkiej samodzielności; niezależność charakteru przebija się u niej często i kształty, któreby jej można nadać łatwo, musiałyby być poniekąd zgodne z jej usposobieniem. Żałuję bardzo, że nie mogę się na prawdę zająć jej wykształceniem. Marja ma dopiero lat siedmnaście i wiele wprawdzie umie, lecz na podstawie wiadomości, których nabyła bezładu i składu, możnaby zbudować coś prawdziwie pięknego. A ja do tego za leniwy, za ospały, a co najważniejsza niezdolny. Zmarnuje się biedaczka wśród życia, jakie teraz wieść zmuszona i jakie jej gotują na przyszłość ci, co do ustalenia tej przyszłości roszczą sobie prawa. Szkoda jej...

WŁADYSŁAW DO ALEKSANDRA.

Czerwiec 1864.

Nie, mój drogi! to już nie jest chłodna litość nad losem wygnańca, to nie dla nieszczęsnego więźnia współczucie... w sercu Marji kryje się coś więcej. I wiesz, jużby mnie to bolało, gdyby tak nie było. Widziałem ją, rozmawiałem z nią, i czuję głęboko, ile szczęścia wydarło mi więzienie...

Trzy dni temu przychodzi pani K. i szepce mi z tajemniczą miną do ucha, abym się przygotował na czyjś odwiedziny. Kiedy? gdzie? — pytam — tu w celi? — Nie! — odpowiada — jutro przed południem przyjdzie do nas Marja Mikołajówna, tam pana zawołamy. Prosiła tylko bardzo, aby pan bratu nie wspominał o tem.

Ha, niech mi już daruje, że nie wysłucham jej prośby, lecz z kimże się podzielię tem błogiem uczuciem, jakie jej odwiedziny wwały w moją duszę, jeśli nie z tobą? Toć nie zimnym zwierzać mi się głazom, nie plesnią pokrytym murem, nie kratom, na których tyle mych westchnień zmieniło się w rdzę rudawą...

Nie chciało mi się z początku wierzyć owej nowinie; w głowie mi się pomieścić nie mogło, skąd ja do tego przychodzę, by się mną tak gorąco zajmowano... Czekałem więc

niecierpliwie tego jutra, a gdy nadeszło, robiłem już od rana przygotowania, aby się w korzystnym przedstawić światu. Ogoliłem brodę zostawiając hiszpankę, jak można najzgrabniejszą, kazalem sobie podciąć włosy, wdziałem czerwoną koszulę, wyczyściłem wołynkę i czapeczkę żuawkę; słowem, koniecznie pięknym być chciałem. Pożyłem sobie nawet zwierciadło, i przeglądając się w niem, uznałem, iż na Syberji, pośrodku rasy mongolskiej, śmiało mogę się wydać jako ów sławny Adrijana przyjaciel, nieboszczyk Antynous. Była jednakże rzecz, która mnie niezmiernie martwiła... Oto wystaw sobie, prócz grubych płóciennych, aresztanckich, innych spodni nie miałem. Piękny, powiesz Antynous w zgrzebnych spodniach! Szczęściem mam długie, powstańcze buty sięgające wysoko po za kolana. Wyciągnąłem tedy cholewy i nie mało się uradowałem widząc, że przy długości wołynki da się jako tako pokryć fatalny ów niedostatek.

Wygotowawszy w myśli stosowną orację, zacząłem się przechadzać zupełnie ubrany po korytarzu i zgadywać, co Marja mi powie prawdopodobnie, a co ja jej odpowiedzieć mam na to. Odpowiedzi, jakie układałem, były jak się domyśleć możesz pełne czułości i słówek dobieranych, zdradzały oglądę salonową i ton wielkiego świata, gesta im miały towarzyszyć wyszukanej elegancji — słowem chciałem olśnić, zadziwić niemi Marję... kropla w kroplę jak bohater francuskiego jakiego romansu.

Ach niestety! jakżeż to wszystko inaczej się stało!

Po godzinnem marzeniu dano mi znać nareszcie, że mogę się udać do mieszkania dozorczy. Poszedłem, a idąc pytałem się, dla czego mi serce tak bije?

Na pierwszy rzut oka poznałem w Marji ową przewodniczkę grona dziewcząt, co to igrały raz na polance przed mojem oknem. Tak mnie to jakoś zajęło, że myśląc o tem zapomniałem na śmierć o przygotowanym powitaniu, na którego efekt tyle rachowałem... Przyznam ci się, że nie przypominam sobie nawet, czy ukloniłem się dość zgrabnie. Przy sposobności zapytaj jej o to. Już nie wiem jak to tam daleko było, dość że usiadłem koło niej na krzeselku i bąknąwszy coś nakształt podziękowania, wlepiłem oczy w podłogę i milczałem... Jak na złość przypomniał mi się w tej chwili ów niedostatek przeklęty. A! wiesz, nie spodziewałem się nigdy, aby brak porządných spodni był w stanie przyprowadzić mnie kiedykolwiek o tak okropną meczarnię... Byłem zmuszony zwracać ciągle uwagę na siebie, aby przez jakiś ruch niefortunny nie wydać się z nim, i zamiast starać się podniecać rozmowę i bawić Marję, obliczałem skutki, któreby pociągnęło za sobą jego odkrycie... A musisz wiedzieć, iż mam to do siebie, że właśnie podczas podobnych chwil poważnych,

kiedy mi wiele zależy na tem, aby mi nie zarzucono śmiešności i nieumiejetności znalezienia się w towarzystwie, przychoǳą mi na myśl same najniedorzeczniejsze uwagi, jak np. coby to było, jeżeliby się wywrócił ze stołkiem i nos sobie rozbił, albo gdyby mi but pękł na samej przyszwie, lub też obcasy obleciały, albo szkarpetka wylazła i t. p. Nie jest że to śmieszne usposobienie? powiedź! Parafianin jesteś, pomyślisz pewnie. Chciałbym nim nie być, mój drogi, ale cóżem temu winien, że formy naszego tak zwanego towarzyskiego życia mają tyle wymagań i tyle reguł jakichś nieubla-ganych, że samo staranie nie wykroczyć przeciw którejkol-wiek z nich, robi cię już niezgrabnym i śmiesznym...

— Dawno pragnęłam was poznać Antonowiczu — rzekła Marja w końcu głosem, który poruszył najtkliwsze struny w mojej duszy — nie wiedziałam tylko, jak przełamać przeszkody. Nareszcie dzięki pani K. udało mi się przyjść odwiedzić was! czy nie potrzebujecie czego? mówcie Anto-nowiczu!

— Dziękuję wam Marjo Mikołajówno! mam wszystko... dziękuję od serca! — odrzekłem. — Jak się ma Aleksander? — dodałem czempredzej, aby się pozbyć natrętnej myśli o wiadomym ci braku, która jak na złość znowu się była pojawiła.

— Zdrow, nie chodzi nigdzie, czyta ciągle. —

Nastało znowu milezenie, potem wymieniliśmy znowu słów kilka, i czuliśmy pono oboje, że nam niedobrze jakoś było. Jąbym był wołał, siedząc u nóg jej, wpatrywać się w jej duże, niebieskie oczy, a ona... ona możeby także była wołała skłonić główkę na moje piersi i marzyć... Ale cóż! etykieta, formy życia towarzyskiego, wstyd ów fałszywy, co nam każe tać, co jest najpiękniejszego w uczuciach, ciążyły na nas obojgu jak skały i robiły z odwiedzin, obopólnie tak upragnionych, nieznośną męczarnię.

Nareszcie Marja napomknęła w ciągu rozmowy o bliskim swoim wyjeździe.

— Dokąd — pytam — pojedziecie?

— Do Kurganu.

— Na długo?

— Na zawsze! na nowe gospodarstwo...

— Jak to? za mąż wychodzicie, Marjo Mikołajówno?

— Ach! wychodzę... — odrzekła głosem, że trudno się

• było nie dorozumieć: — niestety, wydają mnie za mąż!

— Pozwólcie więc — rzekłem kłaniając się — abym wam złożył życzenia szczęścia, na któreście zasłużyli.

— Dziękuję Antonowiczu — odpowiedziała mi obojętnie.

Rozmowa nie kleiła się dalej widocznie. Obojgu nam pilno było, zdaje się, przeżuwać w samotności wyniesione

z pierwszego bliższego zetknięcia się wrażenia. Marja po-żegnała mnie i wyszła, ja zaś wróciłem do kaźni. Tu dopiero zaczęło się powtarzanie w myślach całego przebiegu odwiedzin, przypominanie rozmów, słów i wyrazów twarzy, jakie im towarzyszyły; tu dopiero ujrzałem, że miałem wyborną spo-sobność zawiązania rozmowy długiej, żywej, interesującej, gdyby nie głupia jakaś lekliwość; tu przekonałem się do-wodnie, że posiadam niezmiernie wiele dowcipu, ale niestety schodowego, jak to mówią. Zatem wszystkiem idzie, że da-leko łatwiej przyszło by mi może napisać romans, jak go prowadzić. Nie potrzebuję ci mówić, że mi się Marja bardzo podobała. Cały dzień powtarzam bez ustanku: O! co to za los przekłety, że mi dał poznać ten kwiatusek wtedy dopiero, kiedy mnie od niego nieprzeżyta już dzieli przepaść.

Dotąd pisałem nie wstając z siedzenia. Przyniesiono obiad, zjadłem; oddałem klucznikowi próżny cebryczek i od-począwszy chwilę, znowu do listu zasiadłem. Ujrzałem jed-nak po przeczytaniu, że przepelniłem go głupstwami. Nie powinienem ci był przedstawiać Marji niby zakochanej we mnie, wtedy, kiedy się jej i nie śniło być może o tem. Oto, przyszła jej fantazja zobaczyć człowieka, o którym swego czasie tyle mówiono w mieście, a ja głupi podsuwam jej zaraz miłość. Ale stało się... drugiego listu pisać nie będę. Poznaj stąd, jak trudno pozbyć się tego egoizmu, co nas przeksztalca we własnem wyobrażeniu na centra, około któ-rych wszystko się na świecie obraca. Gotoweś wierzyć na-reszcie, iż jedynie dla tego została stworzoną ziemia, abyś ty się mógł na niej narodzić! I dla czego to tak? Rzeczą to łatwą, według mego zdania do wytłumaczenia. Od kolebki prawią ci o Bogu, co ciągle patrzy na ciebie i wyłącznie się niby tobą zajmuje, o opatrności, co wszędzie nad tobą czu-wa, o aniele stróżu, co cię nie odstępuje nigdzie na krok i t. d. matka, niania, mamka nadskakują i wszelkim do-gadają kaprysom, co dziwnego, że w końcu pomyślisz, iżś jakąś istotą nadprzyrodzoną, ku której wszystko, jak ku swemu środkowi ciężcyć powinno...

WŁADYSŁAW DO MARJI.

Sierpień 1864.

Marjo! krata tylko, rozpалona mocniej od spoczywającego na niej czoła mego, jak od skwarnych słońca promieni, mogłaby opowiedzieć, co cierpię. Dzisiejszy ranek dopiero przekonał mnie, że mnie kochasz. Gdyby ci Oleś był poka-zywał moje listy, dowiedziałaby się, odkąd ja cię już kocham. Nie jestem w stanie powiedzieć dzisiaj, jak się to stało; by-łoby to nad moje siły. Nie wiem nawet prawdziwie, w jaki

sposób mogło mi się skleić w głowie kilka tych słów, które rzucam na przedce na papier. Wszak podczas gdy piszę, tyś z drugim u ołtarza... Przed pół godziną patrzyłem, jak cię z gaiku ciągnięto do ubrania w ślubną suknię... i tłułem nieszczerą pieśnią o kraty, co mi stoja na przeszkodzie, by cię pośpieszyć na ratunek. O, i w piekle nie może być większych męczarni nad te, które dziś rozdzierają mi serce... Gdyby cię Marjo droga, raz choć jeszcze zobaczyć... usłyszeć choć jedno słówko pocieszenia od ciebie... może by mi lżej było... Nie śmię prosić o to, ale nieba byś mi przychyliła, gdybyś uczyniła zadość mojemu życzeniu...

WŁADYSŁAW DO ALEKSANDRA.

Sierpień 1864.

Czemu nie śpiewam? czy nie pragniesz ty przypadkiem abym tańczył? Czemu nie piszę?... cóż ci mam pisać? o burzy, piekle, namiętności strasznej, dzikiej, dziwnej, o ogniu, o jakim wyobrażenia nie miałem dotychczas? Czy ty rozumiesz, co znaczy kochać w więzieniu? Pojmiesz, co to za okropność przypatrywać się z za kraty, jak wloką do ślubu z drugim tę, którejbyś szczęścia okupić się nie zawahał własnym życiem, i o której wiesz, że cię kocha wzajemnie? Zdołasz przedstawić sobie, jakie morze cierpień przeciekać musi przez serce, co boleje jednocześnie nad utratą wolności i kochanki?

Odpowiedz wprzód na te pytania, a odpowiem ci natychyast na twój bilecik lakoniczny, w którym zapytujesz, czemu śpiewać przestałem, i czemu nie piszę.

A!... drażni cię to? niech cię drażni! nie wiedziałeś ty, że siostra wychodzi za mąż zmuszona? Wiesz, gdybym ja był na twoim miejscu i tak Marję kochał, jak ty kochać się mienisz, musiałbym ją zrobić szczęśliwą, musiałbym mimo ojca, matkę, siostry i cały szwadron braci, mimo piekło, szatany, niebo i wszystkie dwanaście, czy wiele ich tam jest pułków aniołów! Do krośset miliona fur beczech szatanów! wyrzuciłbym cały dom do góry nogami, wypoliczkowałbym narzuczonego męża, wyrzuciłbym go za dziesiąte progi, i w kałki przygotowaną do ślubu poszarpałbym sukienkę... Ja? ja wywioziłbym Marję o 1000 wiorst z domu, lecz nie siedział, jak ty w pokoiku i nie przypatrywał się spokojnie, jak cały dom się krząta, aby zrobić dziewczynę nieszczęśliwą na całe życie...

MARJA DO WŁADYSŁAWA.

Kurgan, we wrześniu 1864.

Drogi mój Władysławie! Gdybyś ty wiedział, dokąd się dostałam!... do piekła, między ludzi, których pojąć nie mogę... Zginę ja tu między nimi. Czemużeś prędzej nie mówił, że mnie kochasz? O Boże mój! cóż pocznę teraz z sobą? I głowa mało nie pęknie, i na sercu mi ciężko, ach! bardzo ciężko... i żyć prawie nie mam ochoty... Posłuchaj, sokole mój, jakim sposobem pokochałam ciebie. W sobotę wielkanocną wyszliśmy z Olesiem na przechadzkę do gaiku. Gawędząc, usłyszeliśmy głos rzewny, rozlegający się po gaju wśród ciszy wieczornej od strony więzienia. Nuta była mi nieznana, bo jakaś nie nasza. Wstrzymałam więc Olesia i zaczęłam słuchać, a po chwili zapytałam, czy nie wie, kto to śpiewa. Oles wymienił ciebie. Słuchałam więc, słuchałam twej smutnej piosenki, zrobiło mi się tęskno, o! bardzo tęskno jakoś, i zaplaakałam. Odtąd chodziłam co wieczór do gaju przysłuchiwać się, a słuchałam długo nieraz, długo... I wtedy to pono pokochałam ciebie. Odtąd serce dla ciebie tylko biło, i wszystko, wszystko byłabym chętnie oddała, byle cię wyswobodzić... Potem już i po nocach sypiać nie mogłam powtarzając ciągle, jakam ja nieszczęśliwa! kocham go tak mocno, a on nawet nie wie o tem... W owej to porze wręczył mi Aleksander twoje wiersze. Opisać ci, jak byłam rada tej posyłce, niepodobna! Wyuczyłam się ich na pamięć, i ciągle je noszę z sobą. Wszystko to zrodziło we mnie chęć poznania cię osobiście, i pracowałam tak długo, póki cię nie odwiedziłam w więzieniu. Chwila owa była rozstrzygająca, bo odtąd na zawsze zaczęłam należeć do ciebie. O czemuż nie wiedziałam wtedy, że i ty mnie kochasz? Wszystko byłoby się może inaczej złożyło...

Później, gdyś przeszedł do pokoju od frontu, mogłes mnie co dzień widywać przy brzozie, przy której wiecznie pragnęłabym była stać, patrząc na ciebie. Przeklinałam nie raz żołnierzy, co wychodząc często przed bramę więzienną, przeszkadzali mi patrzeć... zresztą widziałeś sam wszystko... Władysławie! kiedyż obaczę cię znowu? Piszę i płaczę rzewnie, a mąż podchodzi i pyta: do kogo? Odpowiadam, do przyjaciółki, i znowu płaczę... On zaczął mnie pocieszać i kłął się, widząc łzy moje, że wszystko uczyni, czego zapragnę. O, gdyby zaglądał mi w duszę, to ujrzałby jedyne życzenie: być daleko od niego. Mąż mój kocha mnie bardzo, a ja patrzeć nie mogę na niego. Pieszczoty i laski jego zmieniają się dla mnie w męczarnię, bo twoje pocałunki gorą mi jeszcze na ustach. Władysławie, Władysławie! co ja pocznę z sobą?

Niktby nie uwierzył, co to za piekło mieszkać z mężem, którego się nienawidzi... Co mnie robić mój drogi, mój jedyny? chyba rzucić się do Tobołu i skończyć życie, co mi obmierzło... Wychodząc za mąż, sądziłam, że pozbędę się przynajmniej tego piekła, które miałam codziennie w domu, a tu do gorszego się jeszcze dostałam. Tam nie dawano mi nigdy spokoju, powtarzając ciągle, że mi pora mieć swoje gospodarstwo... tu siostra mego męża, stara, niedobra kobieta, śledzi każdy krok mój, i plotkami jałutorowskimi prześladowuje. O, nie przebaczę ja nigdy rodzicom, co tak nielitościwie wydarli mi szczęście...

Pisz gołąbku mój wiele, wiele! Twoje listy są dla mnie jedyną pociechą wśród zgryzot, które mnie trapią bez ustanku.

Chodzę i powtarzam ciągle: ach, jak ja kocham Władysława!

Dopisek Władysława w 8 lat później.

Daleko w odwiecznych lodowisk krainie
Wśród burz, uraganów, zawiei —
Błysnęła mi niegdyś, pamiętam jak ninie,
Gwiazdeczka promykami nadziei.

A ciemno mi było podówczas — o ciemno,
I straszno na dzikim pustkowiu,
Lód, śniegi do koła, noc wieczna nademną
Z chmurami wiecznymi z ołowiu.

O, blask jej był cudny, jak niebiam wejrzenie,
Jak zorza północna tęczy: —
W odwagę upowił, rosproszył zwątpienie
I przewiodł przez śniegów parowy...

To teraz, gdy burza śnieg wzbija w tumany,
Że słupem gdzieś niknie w obłoku:
Wspominam gwiazdeczkę, wspominam kajdany
I lza mi zakreśli się w oku...

II.

Więzienie w Tobolsku.

I pójdę pieszo, aż za świat w te lody —
Rzeczypospolitej wnuk ja i swobody
Pośród złodziejów skajdanionej trzody...
Ostatni.

Naprzeciw ujścia Tobołu do Irtyszu, na prawym brzegu tej ostatniej rzeki, leży miasto Tobolsk. Niezwykły obraz surowej i wspaniałej zarazem dzikości przedstawia widok tego miasta dla przybywających z zachodu. Z wysokiej skały, spadającej stromo do rzeki, panuje jedna jego połowa despotycznie nad rozległą i dziką okolicą moczar i lasów i wieży oko o wiorst już kilkanaście ogromnymi budynkami rządowymi, starą twierdzą i wieżami kilkunastu cerkwi, podczas gdy druga, na płaskim brzegu leżąca, tuli się pokornie do skały i składając się z poziomych po największej części domków, maleje i znika niejako przy okazałości i dumie możnej siostry swojej.

Groźną wydaje się owa część miasta na skale. Rzekłbyś, że uronione przez despotę słowo skamieniało na tych głazach, zrosło się z niemi i wystrzeliło potem w powietrze w postaci ogromnych zabudowań, co otoczone wiankiem dziewiczych lasów wyglądają jak twierdza graniczna u ziemi krańców, lub zamek zaczarowany wśród niezamieszkałej pustyni.

Rozległe doliny lewego brzegu Irtyszowego i obszerny step, ciągnący się wzdłuż Tobołu, zdają się pokornie hołdować stopom górnego Tobolska, który, siedząc jak car na kamiennym tronie, przyjmuje z zimną i obojętną powagą te hołdy, jakby mu się słusznie należały. Padoł natomiast, jak zwą niższy Tobolsk, usiadł jak biedny niewolnik u stóp pana i ze łzawem spojrzeniem zdaje się wyczekiwać jego rozkazów.

Zrazu surowa ta powaga i buta bezwzględna z jednej, a uniżająca pokora i do zaparcia siebie posunięta służbiistość z drugiej strony, budzą w umyśle świeżego widza rodzaj mimowolnego przestachu i podziwu; przypatrzwszy się jednak

blżej temu, dla zawartej w nim sprzeczności godnemu uwagi obrazowi, pierwotne uczucia zmieniają się w pogardę i litość. Cała historia Tobolska, choćby jej nawet nie znał, stanie ci po szczegółowym krajobrazu przeglądzie przed oczy i pojmiesz, że tu jedna strona musiała być uciskającą, uciśnioną druga, inaczej Kremlin, czyli zamek obronny tobolski, co zwiesza się ze skały, nie przewodziłby z taką butą całej okolicy.

Założycielem sławnego tego w dziejach naszych wygnańców miasta był zbójca Jermak, czy Iterman Tymofiejew — kozak z nad Donu. Po rosproszeniu bandy, której był dowódcą, przez wojsko cara Iwana Groźnego w potyczce nad Wołgą, udał się z niedobitkami w górę po Wołdze i Kamie w północne krainy carstwa, niedawno przedtem kazańskiego, i trudnił się dalej swoim rzemiosłem. Rozbijając po Uralu, zetknął się z narodami Sybiru i postanowił je zawojować. Pobił cara sybirskiego Kuczuma, poraził w okolicach dzisiejszego Turinska księcia Jępancę, roskazującego Tatarom i Woguliczom i zniósł zastępy męznego Mametkula, synowca Kuczuma, tudzież hordy Ułusów księcia Karaczy. Szybko te po sobie następujące zwycięstwa zawdzięczał Jermak jedynie broni palnej, której tu nie znano do jego przybycia. Pobici uciekali w stepy iszymskie, a ci co zdążyć za nimi nie mogli, zamykali się w swoich gródkach, czyli świątyniach i walili na siebie ich sklepienia, mieniać śmierć mniej groźną od moskiewskiej niewoli i wiary. Wiele takich gruzów powalonych ukazują dziś jeszcze Sybiracy i zwą je gródkami Czuti, tj. narodu czudskiego. Trzy czy cztery wiorsty od Tobolska, na pagórk łasem okrytym, znajdują się szczątki jednego z główniejszych.

• Po zdobycu stolicy Isker, siedliska cara Kuczuma, owego być może pod Tobolskiem gródka, wyprawił zwycięzca kolego swego, atamana Kolca, do cara moskiewskiego, poddając jego władzy zajęte obszary. Iwan Kolco był równie jak i Jermak skazany na śmierć za rozboje. Mimo to przyjął go car bardzo chętnie, dał posiłki w ludziach, pochwalną hrabstwo i tytuł księcia sybirskiego dla Jermaka i odprawił z podarunkami napowrót do Syberji. Niedługo jednak cieszył się Doniec książęcami zaszczytami, utonął bowiem w roku pono 1585, tj. w kilka lat po zdobyciu Syberji, uciekając przez Irtysz przed niespodzianym napadem tuziemców. Kilka stacji od Tobolska na wschód pokazują na Irtyżu skałę, z której moskiewski ten bohater miał się rzucić podczas ucieczki do rzeki.

Otóż jakże nie ma być hardym górny Tobolsk z tego, że się ochrzcił we krwi licznych plemion, i że potrafił je do tego przerodzić stopnią, iż dziś po trzech wiekach niespełna,

prócz kilku niejasnych podań, zaginęła już o nich i pamięć? Drzemające lasy tylko szumem wysokich modrzewi, smukłych sosen i cedrów dziewiczych grają zbutwiałym kościom, spoczywającym pod gruzami, ponurą piosnkę wiecznego pokoju, i wyganianiec jaki, zaszedłszy w te pustkowie, westchnie nad niemi niekiedy, wspominając własnego narodu uciśnienia. Tobolsk, podniesiony dopiero w r. 1782 do godności miasta gubernialnego, bywa uważany nie tak dla piękności budowy, jak dla starożytności i znaczenia administracyjnego, za jedno z pierwszych miast Syberji. Dla wygnańców ma on wielkie znaczenie, bo przezeń musi każdy przechodzić, kogo zsyłają do Syberji. Osobno ustanowiony urząd, przykaz o zsylnych, trudni się jedynie rozporządzeniami, dotyczącymi zesłanych. Średnia roczna ilość przechodzących przez to miasto więźniów dochodzi do okragłej liczby 10,000. W latach zaś 1863—65, w których z nieszczęsnej Polski tyle wypędzono Polaków, że o połowę mniejszą ilość bydła, wywieziona z innego jakiego kraju, dostatecznym byłaby powodem do wojny europejskiej, liczba ta dochodziła, a nawet przewyższała 100,000. Konieczność zatrzymywania tu znaczniejszej gromady więźniów, którzy po dwa, trzy i cztery tygodnie muszą oczekiwać rozporządzeń przykazu, wywołała potrzebę odpowiedniego pomieszczenia. To też więzienie tobolskie największem jest prawie w całej Moskwie.

Przepłynąwszy na promie Irtysz i przeszedłszy ćwierć milową równinę, będącą widocznie dawnym korytem rzeki, co w tem miejscu wielkie teraz tworzy kolano, dochodzi się do dolnej części miasta, która, jak rzekliśmy, leży u stóp skalistej wyniosłości, służącej za siedzibę górnej, rządowej części. Poziome, drewniane, rzadko stojące i w szerokie ulice, co jesienią błotem, a latem znów pyłem odrażają, ustawione domki nie bardzo przyjemne na przechodnia wywierają wrażenie. Nie ubawi tu nie wzroku, ni uczucia nie podniesie. Miasto zdaje się jak wymarłe, i gdyby nie dym, dobywający się z pod tarcie, któremi domy pokryte, rzekłbyś że pod linję zbudowane chatki nie są zamieszkałe.

Gdzieniegdzie tylko powita cię ze dziwną i gapowatą miną chłopak stojący u wrót w ojcowskiej czapce i butach, lub zaskrzypi wózek dwukołowy z beczką wody, którą dla braku studzien muszą wozić aż z Irtyżu. Bliżej ku skale dopiero przybiera ta część miasta nieco urozmaicony i więcej życiem obdarzony widok. Na szerokich, drewnianych chodnikach, ciągnących się z obu stron ulicy, napotkasz przechodniów, śpieszących na bazar (rynek), lub stamtąd wracających; domy bywają już większe, lecz rażące pstrokacizną niezliczonych swych okienic, a tu i owdzie wznosi się po nad nie, jak olbrzym wśród karłów, murowany, piętrowy budynek za-

możniejszego jakiego kupca, albo wystrzela dzwonnica i kołupa jakiej cerkwi. Uszu twoich doleci tu już częściej ulubione moskiewskie lajanie.

U samego podnóża skalistej wyniosłości, pod klasztorem biskupim, co razem z twierdzą nad całym panuje padołem, i do którego prowadzą niedawno sporządzone drewniane schody, droga skręca się pod skałę w prawo, i idąc równolegle z niewysokim murem twierdzy, wiedzie ślimakiem po niebardzo w tem miejscu spadzistym sklonie do górnej części Tobolska.

Tuż przy drodze, naprzeciw twierdzy, na samym szczycie pagórka wznosi się pomnik Jermaka. W najnowszych czasach założono około niego ogród publiczny. Nie należy jednak brać tej nazwy dosłownie. Miano ogrodu publicznego w Tobolsku nadano niewielkiej przestrzeni ziemi, ogrodzonej prostą poręczą i w wygracowane porzniętej ścieżki, które schodzą się u żelaznych sztachet pomnika, niby promienie u słońca. O drzewach, klombach, kwiatach i innych przy należitościach podobnych ogrodów i mowy tu nie ma. Władze tobolskie, za których rozkazem powstało to miejsce, kazały je nazywać: narodnoje gulanje (narodową przechadzką). Co do pomnika, jest to prosty słup pyramidalny, dość wysoki, na murowanej z cegieł podstawie wzniesiony. Na szczycie ma spżową wyłaczaną kulę. Próżnobyś szukał napisu, objaśniającego, na jaką pamiątkę on postawiony. Pisać zaś, kto stawia podobnego rodzaju pomniki, nie ma zwyczaju w Moskwie. Tem, prócz rządu, nikt inny trudnić się nie śmie. Patrząc zatem na ten goły, czysto wybielony słup, mający przedstawiać dowód wdzięczności narodu, i wiedząc dla kogo jest postawiony, przychodzi ci mimowolnie myśl do głowy, że się wstydzili jego założyciele powiedzieć, komu są wdzięczni...

Wzniósłszy się koło pomnika na szczyt pagórka, wyjdiesz na taras, utworzony skalistym Irtyszu brzegiem. Ogromną przestrzeń otaczają półkolem, cisnąc się do brzegu, co na padół zapada, wspomniane wyżej zabudowania rządowe; a u zachodniego jej kraju, nad samą przepaścią, spadającą stromo do Irtyszu, stoją mury więzienia, wzniesione podobnie jak i twierdza przez Szwedów, których tu za czasów Piotra Wysokiego z pod Pułtawy napędzono.

Te zabudowania, kilka cerkwi i nie wielka ilość domów tworzą górną część Tobolska. Przy zewnętrznej jednak okazałości i gromadnej wielkości zabudowań administracyjnych, którym nawet cerkwie co do budowy są podrzędnymi, niskie i gdzieś do północnego krańca tarasu, aż pod las, wyparte domki prywatne nikną i gubią się do tego stopnia, że

zaledwie po dwu lub trzykrotnem obejrzeniu się dostrzedz ich można.

Kto był raz w Tobolsku i widział górną część jego, ten niechybnie będzie mógł zdać sprawę gdzie stoją zabudowania rządowe, nie powie jednak, jakie jest położenie domów prywatnych. W żadnym bowiem z większych miast moskiewskich istniejący porządek rzeczy nie wyrąził się tak dobitnie w budownictwie, jak właśnie w Tobolsku. Nigdzie nie dopatrzysz zniknięcia pojedynczej jednostki w obec władzy centralnej, tak wyraźnie, tak surowo upostaciowanego, jak tutaj. Zasady caratu, gdybyś ich nawet nie znał, możesz odczytać słowo po słowie na zewnętrznej fizjonomii tego miasta, a cisza, co daje się uczuć w tej części daleko więcej jak na padole, objaśni cię dokładnie, iż wszystko tu zamilkło wobec strasznego absolutyzmu głosu.

Daleko groźniej od miasta przedstawia się przybywającemu po raz pierwszy w te strony, więzienie tobolskie. Od niepamiętnych czasów słynie ono między więziami, jako ojciec wszystkich więzień moskiewskich. Ta nazwa za nadto wymownem jest świadectwem jego mocy i wielkości, by się tu o nich szeroko rozpisywać.

Z po za wysokich i szarych od starości murów, co dla tem większej trwałości szerzej u dołu są zbudowane, jak u góry i tworzą czworokąt, obejmujący najmniej kilkanaście tysięcy sążni kwadratowych, wyglądają tylko kominy zabudowań wewnętrznych. Front więzienia znajduje się od strony tarasu. Wielki wjazd, utworzony przez kilka arkad bez słupów, zamyka się ogromną broną z gęstych i grubych sztab żelaznych, która otwiera się w środku naksztalt bramy. Za broną znajduje się strażnica dla 80 żołnierzy, co pełnią obowiązki straży, a za tą idzie dość długa i obszerna sieni sklepiona. Nad tym wjazdem i sienią, jakoż i po nad mury zewnętrzne, wznosi się coś naksztalt szerokiej baszty czworokątnej, podobnej bardziej jednak do domku, i panuje tak nad tarasem, jak i nad całym wnętrzem więzienia. Jest to mieszkanie dozorczy i jego kancelarja, która i po innych więzieniach znajduje się najczęściej nad wchodem. Przezorny car strzeże więźniów swoich, jak Turek żon, bo i ten mieszka także nad harem bramą.

Widok każdego więzienia, jak wszystko, co grozi swobodzie, wznica w człowieku mimowolne uczucie strachu i wstrętu. Więzienie tobolskie ma jeszcze i to do siebie, że napawa cię oburzeniem, i milej ci nałożyć staj drogi, jak przechodzić blisko niego. Brzęk kajdan, przechadzających się po wewnętrznym podwórzu więźniów, dolatujący aż na taras, wyschłe i szare twarze tych, którzy wyciągają kościste ręce z po za brony, aby u przekupek, siedzących prawie

ciągle u wrót, kupić co do zjedzenia, sama w końcu zgrozą napelniająca postawa budynku, nie są tego rodzaju przedmiotami, któreby wabiły wzrok i uwagę człowieka. Każdym razem, kiedy przechodzisz mimo murów, ścisła ci się serce na wspomnienie tego szarego, wcale odrębnego charakter noszącego świata, który zamykają, i żal ci sił i życia, co muszą marnie ginać pod sklepieniami i wśród dusznej atmosfery ciemnic.

A wiele sił, i życia wiele tam przepada...

O ile zewnętrzny widok więzienia jest jednostajnym, o tyle wewnątrz jego przedstawia się ożywionem, choć dzikiem i ponurem.

Składa się ono z kilku wielkich i małych podwórców symetrycznie rozłożonych i oddzielonych przegrodami murywanymi i bramami w taki sposób jeden od drugiego, iż tworzą razem z budynkami, które do nich należą, jakoby osobne więzienia.

Minąwszy wjazd i sień sklepioną, która się ciągnie pod mieszkaniem dozorczy, stajesz na podwórzu obszernym twarzą w twarz z długim budynkiem dwupiętrowym, pięknej powierzchowności. Po skrzydłach tego zabudowania wznoszą się w kształcie wieżyczek wcale zgrabne mezoniny. Wielkie okna pierwszego i trochę mniejsze drugiego piętra nie są opatrzone kratami, ponieważ cały ten budynek przeznaczony jest na szpital więzienny. Plac znajdujący się przed nim nosi nazwę podwórca szpitalnego. Od tarasu oddziela go mur zewnętrzny z bramą i mieszkaniem dozorczy, od innych zaś więzienia części, które leżą po obu stronach, wspomniane powyżej przegrody murywane.

Na tem to podwórzu, które jest najobszerniejsze ze wszystkich, bywa zawsze pełno więźniów, którzy skracają sobie długie niewoli chwile to przechadzką, to gawędką, to bezmyślnem na niebo i chmury gapieniem się.

Gwar rozmówców różnorodnymi językami, mającymi tu zawsze swoich przedstawicieli; brzęk kajdan, rozmaite i dziwaczne odzienia więźniów, uważających to miejsce za rodzaj publicznej przechadzki; srogie rysy typowych twarzy, dzikie wzroki, ruchy nieobudzane — wszystko to razem wzięte nadaje tej części więzienia ów dzikiego i ponurego życia wyraz, o którym wspomnieliśmy poprzednio.

Zatrzymamy się cokolwiek tutaj, nim dalszy ciąg opowiadania zaprowadzi nas i do innych części zamku.

*

Miało się ku wieczorowi. Silny wiatr miotał od czasu do czasu grubemi, jakby zerwanymi z przelatujących chmur

ddzdu kropkami, a choć wilgotno było na podwórzu szpitalnem, przepelniali je jednak więźniowie, jak zawsze. Ze wszystkich prawie okien pierwszego i drugiego piętra budynku szpitalnego, co stały otworem dla dość ciepłego wieczora — wrześnie bowiem ubiegła była dopiero połowa — wyglądały wybladłe twarze rekonwalescentów, szukających roztargnienia w widoku ożywionego bulwaru więziennego.

W jednym z nich na pierwszym piętrze stało ich trzech, żywą między sobą rozmową zajętych.

— To ten, patrzcie panowie — mówił środkowy po moskiewsku — co chodzi sam koło bramy szlacheckiego podwórza po deszczanym chodniku.

— W czarnej czamarze, wysokich butach i francuskim kępi? — zapytał drugi.

— Ten... ten... ma podróżną torebkę przewieszoną przez plecy... o, teraz zwraca się ku nam... widzicie?

— Dziękujemy wam... widzimy go teraz dobrze.

— Nie ma za co, panowie! — odparł środkowy i odszedł od okna.

Dwaj pozostali przypatrywali się jeszcze przez chwilę przechadzającemu się po podwórzu więźniowi, który ich mocno zajmować się zdawał. Był to młody człowiek, lat nie więcej jak dwudziestu kilku o twarzy ogorzałej, jasnych włosach, siwem oku i dobrze już opuszonej brodzie. Ubiór świadczył, że był polakiem, bo podobnym do jego był strój większej części naszych wygnańców.

— Z oczu mu w rzeczy samej nie patrzy, jakby miał ochotę dojść do Nerczyńska — mówił starszy z pozostałych po polsku. Warto by się z nim zapoznać... zna on już Sybir, i jeśli by nie chciał nam towarzyszyć, to udzieliłby przynajmniej niejednej pożytecznej wskazówki.

— A dlaczegożby nie miał towarzyszyć? — zapytał młodszy — wszakci lepiej mu będzie w towarzystwie, jak samemu...

— A kto nas z nim zapozna?... on nie zdaje się mieć tu znajomych... od godziny już widzę go przechadzającego się samego... nawet do moskali nie zbliża się.

— Nie łatwiejszego, jeżeli o to chodzi. Zejdę na dół, i zacznę z nim rozmawiać. Nie zechcesz przecież, abyśmy tu zachowali jakąś etykietę...

— A jeśli cię wezmie za szpiega i z niczem odprawi?... z projektami ucieczki nie zwierza się pierwszemu lepszemu, Janie!

— A, ba! alboż to wszyscy ludzie tak podejrzliwi, jak ty? Zresztą badać go o zamiary nie będę... zaproponuję mu po prostu, aby z nami uciekał...

Tu Jan wdział na rękawy żółty płaszcz szpitalny, który

dotąd miał zarzucony tylko na plecach i zwrócił się od okna ku drzwiom sali.

— Tylko proszę cię, bądź ostrożny, by go nie zrazić — zawołał w ślad za nim towarzyszy.

— Nie bój się, nie bój! — odparł Jan i znikł w korytarzu.

Po chwili ukazał się na podwórzu, a upatrzywszy porę, kiedy koło młodego więźnia nie było nikogo, zbliżył się do niego i rzekł stłumionym nieco głosem.

— Przepraszam pana... chciałbym z nim chwilę pomówić...

Młody więzień zatrzymał się i spojrzał z pewnego rodzaju zdziwieniem na Jana.

— Wszak przybyłeś pan dziś z Jałutorowska?

— Tak, panie! — była odpowiedź zagadniętego, podana także zniżonym głosem.

— I nazywasz się Władysław S.?

— Do usług...

— Skazany za ucieczkę do robót? — ciągnął Jan dalej.

— Na sześć lat do kopalni, panie... czy masz do mnie jakie zlecenie od kogo? — pytał coraz więcej zdziwiony więzień.

— Od innej osoby, nie, lecz sam pragnąłbym z panem pomówić o pewnej rzeczy.

— A więc słucham pana — odparł więzień chłodno. Obcesowe pytania Jana nie podobały mu się jakoś. Ten widocznie teraz nie wiedział od czego zacząć.

— Oto, widzisz pan... my — tu chrząknął — to jest ja sądzę... słowem — rzekł wreszcie — mniemam, że skoro się panu raz uciec nie udało, zechcesz pewnie drugi raz spróbować...

— Ja?... drugi raz?... — odparł zdziwiony do najwyższego stopnia więzień — Ależ tego, ile mi się zdaje, nie mówiłem panu nigdy...

— Tak myślę tylko — odparł Jan zbity nieco z tropu chłodnym zachowaniem się więźnia. — A musisz pan wiedzieć — dodał po chwili — że należę do ludzi, co zawsze mówią, jak myślą. —

Zakłopotania Jana udobruchało nieco więźnia.

— Gdybyś pan jednak chciał mojej rady usłuchać — mówił z uśmiechem — to w położeniu, w którym się obecnie znajdujesz, mawiałbyś zawsze to, czego nie myślisz...

— Dziękuję za naukę, panie Władysławie! w las ona nie pójdzie... choć wobec pana, wiem to, zbyteczną by było postępować według niej... A teraz o jedno pana proszę... powiedz mi, czy domysł mój jest prawdziwym?

— Jaki domysł? — zapytał więzień.

— Że pan powtórnie zamierzasz uciekać. —

Po tak bezgródkowem przystąpieniu do rzeczy, więzień zmieszał się trochę. Spojrzał badawczo w oblicze nieznajomego sobie współwygnańca, który go jednak tak dobrze znał zdawał się, a nie widząc w wyrazie jego twarzy nic, coby zdradzało podstęp, zapytał na wpół z uśmiechem:

— I któżś to pan, że przenikasz tak tajemne zamiary, jak zamiar ucieczki? — Od kilku minut już mówimy z sobą, lecz nie wiem kogo miałem zaszczyt poznać...

— A... przepraszam... — pośpieszył Jan — rzeczywiście wypadało mi się zarekomendować... lecz to nic nie szkodzi, co się odwlekło, nie uciekło. Jestem Zabiello z Litwy, dy-misjonowany porucznik wojsk moskiewskich; byłem już po 1863 r. wysłany do Orenburga w żołdacy, i zemknąłem. Na nieszczęście złowiono mnie; jestem teraz takiż katorżnik, jak i pan, i chciałbym znowu drapnąć. Nie łudzi mnie bowiem, jak tych niestety, co idą z nami, swoboda, jakiej nam tu używać pozwalają. Znam rząd, i wiem, jak nam za nią każą zapłacić w Nercyńsku; dla tego nie życzę sobie wcale tam dochodzić.

— Skądże pan znasz mnie tak dobrze, że nie wahasz mi się odkrywać podobnych zamiarów? — zapytał Władysław, przedłużając wspólnie z Janem przerwana przechadzkę.

— Jakiż z ciebie niewierny Tomasz, panie Władysławie! Ja Litwin, lecz więcej mam zaufania do ludzi, jak ty. Ale kiedy już konieczne o wszystkim chcesz wiedzieć, to ci powiem. Staliśmy u okna, kiedyś się przechadzał, a przyprowadzony dziś do naszej komnaty słaby włóczęga jakiś, moskal, co siedział z tobą w jednej partji, opowiedział nam, co wiedział o tobie.

— Czy mówił także, że chcę uciekać?

— Nie, to mój domysł... prawda, że się nie mylę?

— Być może... ale choćby i tak było, cóż panu z tego przyjdzie? razem uciekać nie możemy.

— Dla czego?

— Was jako przestępców politycznych nie pilnują tak ściśle; mnie zaś, który z powodu pierwszej ucieczki straciłem już prawa więźnia politycznego, przyłączyli jako zbiega do moskali i strzegą baczniej.

— E... głupstwo! volenti, czy jak tam, nil difficile! Ty sam o tem wiesz najlepiej, panie Władysławie! Oto powiedz, w jaki sposób moglibyśmy się najłatwiej wydostać z zamku?

— Przybyłem dopiero dzisiaj do Tobolska i nie miałem jeszcze czasu rozpatrzeć się, jak należy. A domyślasz się panie Janie, że takie rzeczy, jak ucieczka, trzeba od razu

dobrze robić, bo trudno je potem naprawiać. Otóż sam jeszcze nie wiem, jak się tu wziąć do dzieła.

— Przecież musisz mieć jakiś zamiar? —

Władysław popatrzył jeszcze raz z ukosa na nowego znajomego. Ten zdawał się nie przypuszczać, aby słowa jego mogły dać powód do jakiego podejrzenia i był zupełnie spokojnym. To utwierdziło nieufającego Władysława w mniemaniu, iż Jan szczerze postępuje.

— Jeżeli prawda — rzekł po krótkim namyśle — co mi mówiono o tutejszych porządkach, to najłatwiejszy dla Polaków sposób ucieczki byłby z przykazu.

— Tak, tak... i my podobnegośmy zdania.

— Jakto wy? więc jest was więcej?

— Z tobą, panie Władysławie, byłoby nas czterech... czy masz co przeciw tej liczbie?

— Bynajmniej. Wprawdzie we czwórkę niebezpiecznie uchodzić, bo łatwo można wzbudzić podejrzenie, lecz na to jest środek: moglibyśmy po ucieczce rozejść się i różne obrać drogi. Dziwię się tylko, że przy tak ogólnie rozpowszechnionej nadziei powrotu legalnego niektórzy nań nie rachują... Takiej praktyczności nie u wielu z naszych dostrzegłem.

— Niech sobie tam marzą zdrowi! roszarują się w Nercyzynsku!

— Wszystko to dobrze mój panie! — mówił Władysław biorąc Jana za rękę — im więcej tem lepiej! gdybym tak mógł, namówiłbym wszystkich do ucieczki... Rzecz główna ta, jak się wy dostać z tego piekła... warto się nad nią dobrze zastanowić. —

Zegar na wieży biskupiej cerkwi uderzył siódmą. Na dworze dobrze już ściemniało. Oświecone okna pierwszego i drugiego piętra szpitalu wyglądały jak tyleż lamp zawieszonych w powietrzu, bo murów dla ciemności nie można już było odróżnić. Po więzieniu rozległ się z nad głównej bramy jęczący odgłos dzwonka, dającego znak do zamykania kazen. Tłum więźniów zaczął się leniwie roschodzić z podwórza na swoje miejsca. Była to pora przeliczania przez straż więźniów, czyli tak zwanej powierki.

— Oto już dzwonią na nas — rzekł Władysław, żegnając Jana. — Do jutra więc, a pomówimy obszerniej.

— Gdzież cię umieszczono? — zapytał Jan.

— Na podwórzu kajdannem.

— Razem z zbrodniarzami?

— Tak jest, na pierwszym piętrze.

— A więc do widzenia jutro o siódmej z rana, na tem samem miejscu. Poznajomię cię z przyszłymi towarzyszami. — I rozeszli się.

*

Naprzeciw głównej więzienia bramy znajduje się w budynku szpitalnym, i to w samej jego połowie, przejście, prowadzące do tej części zamku, która nosi nazwę podwórza kajdannego, po moskiewsku dwor: kandalnyj. Przeznaczonem ono jest dla katorżników (kajdaniarzy, kandszczyków), podczas kiedy przebywają w Tobolsku, i stąd jego nazwa. Podobna, co u wjazdu brona ze sztab żelaznych, tylko rozumie się mniejsza i otwierająca się zupełnie jak brama, zamyka to przejście. W dzień stoi zwykle otworem, na noc zamykają ją zawsze i stawiają przy niej strażnika-żołnierza.

Zabudowanie, wznoszące się na tem podwórzu, zasługuje prawdziwie na nazwę więzienia we więzieniu. Jest to szary, złowrogi z pozoru i posepny budynek jednopiętrowy, zbudowany w czworogran i obstawiony do koła w taki sposób innemi budynkami, że wąskie uliczki pomiędzy nim a temi wyglądają jak rowy twierdzy. Brak światła, które dla wysokości murów otaczających budynków nie ma przystępu, podnosi jeszcze bardziej oną ponurość i czyni go straszny. Nie wiem, czy jest gdziekolwiek na kuli ziemskiej zabudowanie, któreby lepiej uzmysławiało pojęcie niewoli, jak to właśnie, o którym mowa. Widok jego przywołuje zawsze na pamięć opisy więzień średniowiecznych, lub ciemnych inkwizycji świętej lochów i budzi tak przykre uczucia w duszy, iż znam ludzi, co aby nie wznawiać takowych, nie odważali się po jednorazowym oglądnięciu powtórnie odwiedzać tych miejsc smutnych.

Cały bok tego czworogranu, obrócony do szpitalu, a zatem frontowy, zajmuje cerkiew więzienna. Wehód do niej jest nieco w lewo od przejścia, które się mieści w budynku szpitalnym. Wprost naprzeciw tego ostatniego tworzy ściana czworogranu półokrągłą wypukłość, zawierającą wielki ołtarz. Zewnątrz namalowany jest na niej wcale nieźle Zbawiciel w postaci, kiedy mówił biblijne słowa: Przyjdźcie do mnie wszyscy, i t. d. Bardziej sprzecznych przedmiotów, jak obraz, mający przedstawiać godło nieskończonej miłości i miłosierdzia bez granic, a budynek, ten żywy pomnik nieubłaganej zemsty i srogości, nie podobna sobie wyobrazić. Rażą one tak dalece, że patrząc na nie, zdajesz się widzieć upostaciowane piekielne sztyrsto z całej nauki i ze wszystkich słów Chrystusa. Zgrozą przejmujące sąsiedztwo krat, zamków i bron żelaznych, jako też szare i ponure tło ściany na której obraz namalowano, sprawiają, iż w obliczu Chrystusowem nie dobrotliwego i przebaczącego Zbawcę świata, lecz surowego i nieubłaganego dopatrujesz despotę, a po: «Przyjdźcie do mnie wszyscy», nie: «którzyscie głodni» — lecz: «którzy sprzeciwiać się mojej carskiej woli», czytać się zdajesz.

Trzy inne boki czworogranu zawierają kaźnie dla więźniów. Na dole siedzą tacy, który jeszcze zostają pod sądem (podsudimyjne), na pierwszym piętrze zaś wygnańcy, zsyłani do robót katorżnych (kandalszczyki).

W czasie jednak, kiedy pędzono mnóstwo Polaków na wygnanie, to jest w porę, w którą opowiadanie nasze przypada, katorżników politycznych mieszczono na innych podwórcach, podwórzec zaś kajdanny, a raczej całe pierwsze piętro było przeznaczone dla wygnańców grażdzańskich, to jest niepolitycznych, skazanych bądź do robót, bądź na załudnienie.

Udając się od przejścia w szpitalnym budynku na prawo, dojdiesz do wysokiej, wąskiej furty gotyckiej, umieszczonej w drugim czworogranu boku. Zamyka ją także brona z grubych sztab żelaznych. Krużganki, do których ta furta, jedyny wechód do tego zabudowania, prowadzi, ciągną się wzdłuż trzech boków czworogranu i są oświetlone wysokimi oknami, które wychodzą na małe, wewnętrzne podwórze. Że zaś takowe jest bardzo ciemnem i tylko jakiegoś wątpliwego półświatła udzielić może, to bywa na korytarzach wśród dnia nawet tak, jak gdzieindziej o zapadłym zmroku. Powietrze jest tu nader niezdrowe i ciężkie, z przyczyny, że miejsca odchodowe znajdują się na owem podwórzu wewnętrznem i żadnego nie mają odpływu. Fundament bowiem pod tą częścią więzienia jest głuchy, to jest na kilka sążni w głąb pod całą przestrzeń z kamienia murowany, więc też nie porobiono kanałów. Budujący chciał tym sposobem uniemożliwić podkop, co też i uskutecznił. Po jednej stronie krużganków ciągną się kaźnie dla więźniów podsudimych. Nad każdymi drzwiami wisi czarna tabliczka z białym napisem, objaśniającym rodzaj przestępstwa. Trzeci południowy bok budynku, zajmują owe straszne sekretne, tj. wąskie, wysokie, o jednym oknie komnatki, w których do niedawna trzymano przykutych do ścian zbrodniarzy, skazanych na wieczne więzienie. W języku urzędowym zwano tych więźniów ciepnijje, co znaczy: łańcuchowi. Byli to po największej części zbiegli z robót katorżnych przestępcy, którzy dopuścili się podczas ucieczki nowych zabójstw i zbrodni. Do dziś dnia są jeszcze w tych komnatkach żelazne, w ścianie wmurowane kółka, do których przyczepiano łańcuchy, choć kara ta w 1860 pono roku została zniesioną. Na tym samym korytarzu znajduje się tak zwana tiomnaja tj. areszt bez okien, dokąd wtrącają więźniów za przewinienia we więzieniu popełnione. Wszystkie okna kazien dolnych, kwadratowe prawie co do formy i mocno okratowane, wychodzą na wyżej wspomniane, do rowów twierdzy podobne uliczki.

Pierwsze piętro zabudowania, o połowę niemal niższe od

dołu, nie ma ani kurytarzy, ani osobnych kazien, lecz składa się z rzędu komnat, ciągnących się do koła trzech ścian budynku i jeden tylko wspólny wechód mających. Sklepienia niskie, półokrągłe, czynią je do pieczar, lub piwnic podobnemi. Małe, łukowate, gęsto okratowane i dla niskości komnat przy samej podłodze umieszczone okna przepuszczają przez wieczne zakopcone i we wszystkie barwy tęczy ozdobione szyby tak mało światła, że tu zawsze tak samo ciemno, jak na dolnych krużgankach. Niskość pułapu czyni powietrze nadzwyczaj ciężkiem i dusznem, i nie podobna by było wyżyć tłumowi więźniów, który tu zganiają, gdyby otwory u pułapu umieszczone nie odświeżały trochę atmosfery.

Tapezanów, czyli tak zwanych nar nie ma w tej części więzienia. Rozesłane do koła ścian wojloki, służą więźniom za posłanie.

Wieczorem, kiedy powierka wszystkich zgromadza więźniów, rząd ten komnat, połączonych między sobą otworami podobnemi do wąskich bram, przedstawia jedyny w swoim rodzaju widok. Tu i owdzie rozstawione światła, gorejące wśród zgęszczonego powietrza jak błędne ogniki na bagnie, co mgła otacza wieczorna, nie rospaszają cieni zupełnie i rząd komnat przedstawia się przez to nieskończoną tajemnicą. Ocknąwszy się nagle na tych miejscach nie mógłbyś inaczej sądzić, jak że znajdujesz się w jaskini pośrodku licznych grona opryszków, odpoczywających wesoło po wyprawie.

Bo wesołość i do tych miejsc ma przystęp. Jest ona wprawdzie tak różną od tego, cośmy przywykli nazywać tem mianem, tak barbarzyńską i dziką, iż wypadłoby raczej nazwać ją rozpaczą, objawiającą się za pomocą śmiechu i krzyku. Lecz zważywszy usposobienie tych, co się jej oddają i miejsce, w którym się to dzieje, przynależąca, że inną być nie może. Zbrodniarze bywają po więzieniach weseli gromko, huczno, po zwierzęcemu: bo najprzód są obdarzeni tą naturalną filozofią, cechującą moskali, która ich jasno oświeca, iż smutek na nic się nie przyda, a potem potrafilo zaspokoić choć na chwilę wrzące namiętności dostaniem mimo czat i rewizji wódki, kart, tytoniu i kostek. Jest to więcej jak dostateczny powód do uciechy dla moskiewskiego więźnia — zbrodniarza. Na swobodzie trzeba mu oszustw, kradzieży, rozbojów i mordów; we więzieniu zadawała się drobnostkami jak wódka, kartami, tytoniem i kochanką. Czemu? — łatwa na to odpowiedź. Aby dopiąć we więzieniu tych drobnostek i ukryć je, trzeba bardzo często daleko więcej sprytu i przebiegłości, jak do okradzenia lub zamordowania kogo na swobodzie. To też w obudwu wypadkach oddaje się zbrodniarz swoim zatrudnieniom ciałem

i duszą i zadowolenie jego z udania się przedsięwziąć bywa tu i tam jednakowem.

Dzikie postacie o twarzach gęsto zarosłych, często z przyczyny gorąca na pół nagie, to z piętnami zbrodniarzy na zwiedzionych policzkach, plecach lub łokciach, to z głowami na pół golonemi lub o roszochrzanych włosach, to w brudnej do okliwosci i grubej aresztanckiej odzieży, to znowu w ulubionej od moskali cienkiej i pstrej bieleźnie, przesuwają się w półmroku tej jaskini, jak cienie piekielne, i oddychają zepsutem więzienia powietrzem tak lekko i swobodnie, jak gdyby się tu porodzyli i do tych miejsc były stworzonymi. Rzadko gdzie napotkasz w kąciaku wśród gęstszego zmroku oblicze zadumane i smutne; wszędzie rysy wybitne, ostre, srogie; wzroki pełne tego ognia dzikiego, co to wśród rozruchanych zwykł gorąc namiętności; ruchy nieobudane; cyniczne, głośne i hałaśliwe rozmowy.

Gwar krzykliwych śmiechów, hałas kłótni i straszliwych przekleństw, szum pomieszanych pieśni, z różnych miejsc dolatujących, brzęk kajdan, sztuk i rozgardzajsz wszelkiego rodzaju, wszystko to, zlewając się razem w jeden wrzask chaotyczny, wzmocniony jeszcze ciasnotą miejsca, ogłusza zupełnie i uniemożliwia odgadnięcie własnego nawet, jak to mówią, słowa. Zrozumieć cokolwiek z tej gmatwaniny dźwięków i tonów, znaczyłoby rozwiązać węzeł gordyjski palcami.

Więzień, który się nie mięsza do ogólnej wrzawy i spokojnie poleżeć pragnie, uczuwa ciągle, drażniące uderzanie jakichś niezrozumiałych, szalonych głosów w bębni słuchowych narzędzi i nie widzi możliwości skupienia umysłu choćby do jednej myśli.

Żeby dać choć przybliżone pojęcie o tem, co się dzieć zwykło w owych miejscach podczas długich wieczorów jesiennych i zimowych, i w ogóle zawsze po zamknięciu kazen, kiedy więźniowie są już pewni, że ich nikt z urzędników nie przydybie z nienacka, skreśliłmy tu kilka obrasków wyjętych z tego życia. Przez to samo chcielibyśmy udzielić także ogólnego rysu życia więziennego w Moskwie, które, o ile mogliśmy zauważać, jednakowem jest w swoich objawach od źródła Wolgi i Donu, aż po Nerczę i Amur...

Dla tych to przyczyn czytelnik zechce wybaczyć, że przy objaśnianiu pewnych wyrazów mowy więziennych i więziennych zwyczajów, zapuścimy się w dłuższe nieco wywody, które dla łatwiejszego zrozumienia opisu zdały nam się niezbędnymi.

Chcielibyśmy, ile można odmalować rzeczywistość. Dzieją się jednak po więzieniach rzeczy, o których pisać niepodobna. Unikając więc przedstawienia zbyt cynicznych objawów tego bytu oryginalnego, przemilczając zupełnie o pewnych rodza-

jach zbrodni, które mają tam swoich przedstawicieli, jak niemniej nie używając wszelkich zwrotów mowy więziennych, powiemy wszystko, jak widzieliśmy i jak się nam przedstawiło. Przedmiot to już nie zbyt estetyczny; ale byt więzienny w Moskwie stanowi jednak część składową bytu społecznego i jako taki godzien jest opisu.

*

Słusznie gdzieś Dumas powiedział o Moskalach, że skoro się ich dwóch zejdzie, nie lepszego począć nie wiedzą, jak zagrać w karty. Pociąg do gier hazardowych wrodzonym jest rzekłbyś Moskalom. U więźniów, u których z powodu położenia ogólny charakter narodu daleko wybitniejszy, spotęgowane, przybiera rysy, występuje on bardziej jeszcze na jaw. Moskal w więzieniu bywa stokroć namiętniejszy przy grze, jak na swobodzie. Czy mu się świecą, nakształt węgla żarzących; usta zaciska, aż posinieją; wyraz twarzy ma dziki, złowrogi; słowa nie dopytasz się u niego, jak długo trzyma karty w rękę, a jeśli ci odpowie, to z rostargnieniem; najęściej milczy jak posąg i wzrokiem jastrzębia godzi na ręce dającego karty: z majdanu, tj. z miejsca gry, nie go nie odciągnie, skoro raz zasiadł. Gra zaś lekkomyślnie, stawia wysoko; zapala się, kiedy przegrywa, i gotów wszystko przegrać, co posiada; bywa szyderczym, skoro mu szczęście sprzyja. Widzieliśmy więźniów schodzących z majdanu, jak ich matka urodziła. W języku więziennym zowią się ci od losu przesładowani gracze żyganami, ci zaś, którzy często wygrywają fartownymi, od wyrazu fart, szczęście w grze.

Podczas gry więzień moskiewski bywa zawsze podejrzliwy, zawistny i cychający na zgubę współgracza. Gotów on go w każdej chwili oszukać, czy to za pomocą znaczonych kart, czy woltów, czy innych sztuczek, dla których ogólne służy miano podrzynania. Mimo to płaci, co przegrał, rzetelnie i stawki nie zaprze się nigdy. Przegrawszy wszystko, nie oddaje się bynajmniej rozpacz i wesoło przyjmuje od szczęśliwego przeciwnika kilka lub kilkanaście kopiejek, które on tenże w takim razie zawsze z kalety swej wyrzuca na ziemię.

Prawo zabrania naturalnie jak najostrzej gier po więzieniach, atoli pozostaje, jak Moskwa szeroka, martwą tylko głośką. Żadne środki ostrożności, żadne kary, żadne rewizje, z nienacka do kazen nasyłane, nie potrafiły mu dotąd wywalczyć posłuchania.

Majdan jest własnością ogółu, która się sprzedaje jednemu z publicznej licytacji. Kupujący, zwany majdanszczy-

kiem nabywa prawo monopolu kart, tytoniu, wódki, świec, bułek i t. d. i jego już wtedy jest rzeczą prowadzić wszystkie te przedmioty do więzienia i ukrywać je przed wzrokiem stróżów. Przebiegłość majdanszczyków, z jaką urząd swój sprawują, wprawia często w zadumienie. Kości i jułki robią się na miejscu, karty zaś dostają się do więzień nie rzadko w chlebach i bułkach, podawanych przez mieszkańców, jako jałmużna dla «nieszczęsnych» więźniów. Wódka, że nie wspomniemy innych tysiącznych, a jeden od drugiego dowcipniejszych sposobów, przemycą się często za kratę więzienną w lufach karabinów straży więziennej, a niekiedy, jak w Permie pewnego czasu, przez rurki, umieszczone w kanale odchodowym, którego zakratowany otwór znajdował się zewnątrz murów więziennych...

Zdarza się i to, że sam dozorca (smotrytiel) jest w spółce z majdanszczykiem i wszystkiego mu dostarcza, co mu jednak wcale nie przeszkadza zabrać zakazanych rzeczy, skoro je znajdzie podczas rewizji.

Zwykle majdanszczycy doskonale wychodzą na swoim rzemiośle. Handel wódką i innymi przedmiotami przysparza im ogromne zyski, za karty zaś płacą wygrywający, rzucając po każdorazowym zysku kopiejkę lub dwie w umyślnie na to przygotowane naczynie, tak zwaną kruszkę. Światło i tytoń są dla graczy bezpłatne, wkładania zaś owych kopiejek po każdorazowym chluście («flus» w tryszaku) nikt nie kontroluje; gracze bywają w tej mierze bardzo sumiennymi.

Rzadko kiedy gra kończy się spokojnie po więzieniach; namietność bowiem grających bywa zanadto wielką. Przystąpmy do jednego z kółek i przysłuchajmy się.

W kącie oto, za piecem, rozesłano kilimek. Na nim, podgiwwszy nogi po turecku, siedzą gracze. Ciasnem kołem otaczają ich widzowie i przypatrują się z natężoną uwagą gry kaprysom, jak gdyby sami byli jej uczestnikami. Na środku kilimka pali się cienka łożówka, i oświeca słabo namiętne graczy twarze, z których każdy nosi na czole zwykle pigmento kajdaniarzy: K. A. T. tj. początkową zgłoskę słowa katorżnyj.

— Hej, majdanszczyku! podaj tu na majdan nowe karty i tytoniu — ozwie się jeden z nich, zasłaniając dłonią świecę od tej strony, gdzie siedzi rozdający karty, a to w tym celu, aby uniemożliwić poznanie ich, gdyby były znaczone... I godziny jeszcze nie ma, jak siedliśmy, a już w kruszce masz 40 kopiejek!

— Tytoń przydałby się, ale kartami grać jeszcze można — odpowie rozdający.

— Dla ciebie są one może dobre, dla mnie zaś nie!

— To ruszaj do djabła z majdanu, obejdzie się bez ciebie!

— A do milion szatanów! czy nie widzisz, psi synu, że ani jednego chlusta nie miałem tego wieczora? Już wszystko przegrałem... kajdany nawet zastawiłem!

— A mnie djabli do tego...

— Jak to, przeklęty? wszak sam jeden prawie wszystko wygrywasz!

— Kto nie ma o czym, ten nie gra. Precz z majdanu!

— Ja? precz z majdanu? byś lepiej mógł podrzynać i innych okpiwać? Nie doczekanie twoje psi synu!

— Kto podrzyna, trutniu? Kiedy nie dowierzasz, to mięszaj sam... masz! — i rzuca mu karty w oblicze.

— A! bić się chcesz, łotrze?... ja cię tu — i zerwawszy się z siedzenia, uderza przeciwnika kulakiem.

Rozpoczyna się bójka. Inni gracze chwytają za swoje pieniądze, powstają z majdanu i przypatrują się z ciekawością. Niektórzy z widzów spieszą rozrywać. Łojówka przewrócona gaśnie, ktoś pochwyta kruszkę i oddaje ją majdanszczykowi; zgiełk, wrzawa, zamieszanie trwają minut kilkanaście, poczem ciż sami zabierają się znowu do gry.

*

Przy kipiącym samowarze siedzi grono Tatarów. Jeden z nich wyrывa za pomocą szczypcyków włosy z brody i wąsów towarzysza, który złożył głowę na jego kolanach. Twarzy bowiem nigdy nie gołą Tatarowie, lecz jeśli zarasta zbyt, co się zresztą rzadko zdarza, zamiast brzytwy używają szczypcyków. Piękność brody i wąsów stanowi według nich rzadkość włosów. To też u każdego niemal dałyby się one na twarzy z niewielkim policzyć trudem. Reszta, popijając herbatę gawędzi o czymś wrzaskliwie i przypatruje się starcowi, co rościła na kilimku kilkanaście kupek cedrowych orzeszków, mięsza je i znowu rozdziela, wlepią w nie oczy i coś z nich towarzyszym, jak z kabały, opowiada. Tego sposobu wróżenia, nazwanego bobkami, używają, Moskale zarówno z Tatarami i Kirgizami.

Zbliżył się jakiś Moskal z pigmentem na twarzy i przysiadł do ich grona.

— Powróż-no mi, tatarska łopatko! — mówi do wróżbity roskazującym tonem, jakim zwykli przemawiać Moskale do Tatarów.

— Nie umię ja wróżyć Urusom (Moskalom)! — odpowiada tenże łamanym językiem.

— Co za ochota przeszkadzać nam?... my wam przecież nigdy nie przeszkadzamy! — wtrącają inni Tatarzy.

Przyjdź potem, znajomy, widzisz przecie, że teraz nam wróży.

Trzeba wiedzieć, że w ogóle rzeczy biorąc, Tatarzy stanowią po więzieniach zupełnie osobne ciało. Z Moskalami niechętnie się łączą już z powodu różnicy w religii, i mają często osobną komnatę. Gdzie im zaś tego nie pozwolono, to we wspólnej komnacie osobno wybierają kącik. Sporów z Moskalami ile mogą unikają, lecz nie bywają znów zbyt niepotulni.

— No, no, wróćcie sobie; poczekam póki nie skończycie — mówi zbrodniarz protektorskim tonem. — Dziwna! — dodaje potem podnosząc się i poprawiając czapki z ucha na ucho — ile razy widzę Tatara, tyle razy przypomina mi się pachole, co umierało w moich oczach...

— Gdzież to było? — zapytał stojący obok więzień z goloną na poły głową.

— Rozumie się, nie w łóżku, lecz na stepie pod nożem! — odpiiera piętnowany.

— Opowiedz no Misza tę historję... ty majster opowiadać! — mówi inny ze stojących za gronem tatarskim więźniów, których tu ściągnęła chęć przypatrzenia się wróżbicie, a których uwaga zwróciła się teraz na katorżnika. Więźniowie bowiem moskiewscy przepadają za opowiadaniem wszelkiego rodzaju, i tem pożądanże bywają one dla nich, im bardziej są okropne. A Misza miał wielkie między znajomymi poważanie, z powodu licznych zbrodni, które w życiu popełnił. To też skoro postrzeżono, że chce zadość uczynić wezwaniu, obstawiono go natychmiast ciasnem kołem.

— Lat temu będzie ośm — zaczął z pewną emfazą — kiedy po raz, nie pamiętam już który, wracałem z nad Kary*). A było nas coś dwudziestu idących razem. Minęliśmy Jałutorowsk, gdzie wtedy, psiawiary, trzydziestoma pletniami na śmierć zabijali, i zrobiwszy koło na jakie wiorst pięćdziesiąt, wyszliśmy na główną drogę koło Osinowych Kołków. Wszak wiecie gdzie Osinowe Kołki?

— Wiemy, wiemy — ożwały się głosy.

— O, wiem i ja! — dorzuca więzień z goloną głową — to w tiumeńskim powiecie. Jak Bóg pozwoli wrócić, spale tę wieś niezawodnie. Psu-braty chłopci wzięli mnie tam!

— Takich szubrawców jak ty, zawsze tam biorą! — odpowie z lekceważeniem piętnowany.

— Com ja za szubrawiec? sto djabłów zjadłeś! byłem takimże katorżnikiem jak ty. Wracałem wtedy z aleksandrowskiej gorzelni!

*) Złotonośna rzeczka w nercyńskim okręgu.

— Zobaczcie katorżnika, chłopcy! widzicie jak mu posieleńska skóra wygląda ze ślipiów?... a śmie mówić że katorżnik! Daleko ci nieboże do tego. Jeśliś był w gorzelni, to pewnie dla tego, że idąc na posiedlenie za kradzież, zamieniłeś nazwisko z jakim katorżnikiem, co ci dał pół rubla i czerwona koszulę w dodatku. Oj bratku, znamy my takich molojców!

— Cóż ty trutniu pomiatasz drugimi? Czy myślisz że tylko ten katorżnik, co ma piętna, jak ty, na ryle? Byłem sądzony przez sąd wojenny, to i piętna mi nie wycisnęto. A musisz wiedzieć, że zabiłem rotnego dowódcę i przeszedłem 4,000 szpicrutów!

— O, o! aż cztery tysiące! ha, ha, ha! po czterech tysiącach, psi synu, wylazłaby z ciebie dusza nosem! rozumiesz?

— Ze mnie nie, ale z ciebie gapiu, pewnie!

— Co tam z pustego w próżne nalewać! — mówią słuchacze — opowiadaj dalej Misza! a ty łbie golony nie przerywaj! —

Opowiadacz zadowolony zwycięstwem, odchrząknął, splunął, przełożył czapkę z ucha na ucho i ciągnął dalej rzecz zaczęta.

— Otóż za Osinowemi Kołkami znajduje się, jak wiecie, po obu stronach drogi las sosnowy. Brzegiem tego to lasu szliśmy gęsiego, kryjąc się za krzaki i zarośla, bo coś wtedy niebezpiecznie się było pokazywać na drogach. Na około po wsiach robiono oblawy na naszych, djabeł wie z jakiej przyczyny. Tak jakoś pod wieczór — słońko tylko co zaczęło zapadać — nadnosi nam licho Tatarzyna w taradajce. I w myśli nie mieliśmy niepokoić go, chociaż też nie kryliśmy się bardzo przed nim. Wjechałszy w las i ujrzawszy naszych po krzakach, Tatar wstał, dał lejce chłopięciu, co podług niego siedział, i wziawszy szablę w jedną a gwintówkę w drugą rękę, zaczął śmiało i zuchwale poglądać po obu stronach drogi. Rzekłbyś że wyzywał nas, szelma. Coś jakby mnie ukuło na widok tego psa niewiernego, urągającego się naszej biedzie. Nie wiedząc co robię, istnie jak gdyby mnie kto pognał, wyskoczyłem z lasu na drogę i podsunąłem się cichaczem do wozu. A miałem w ręku tęgą pałkę, ćwierć puda najmniej ważyła. Tatar stał tyłem do mnie obrócony, tak samo, jak ja teraz do tego łba golonego, co to katorżnika udaje. Machnąłem tedy raz tylko i padł, psiawiera, bez jęku, jak długi na wóz. Wymierzyłem w samo ciemie... Dopiero kiedy chłopię wrzasnęło, połapałem się, że może z tego bieda wynikać. Trzeba się było rychło związać... lada chwila mógł kto nadjechać, bo główna droga nie śpi. Pozwalem więc towarzyszyów, aby pomogli. Zwią-

zaliśmy chłopaka, usta mu na przedce zatkaliśmy jego małą chajem (czapką) i zaprowadzili wóz z końmi manowcami nad jezioro błotniste, co to za lasem leży. Tam dla zniszczenia poszlaków rozsiekaliśmy Tatara na drobne kawałki toporem, i rozniósłszy je po błocie, wzięliśmy się do wozu. Nasi chłopcy zuchy! w okamgnieniu połamali go tak, że stos tylko drzewa pozostał, który podpaliłszy.

— A pieniędzy znaleźliście wiele? — zapytał któryś.

— Djabła tam! i paskudzić się nie warto było dla tej odrobiny. Przy starym Tatarze nie było ani kopiejki — wiecie bowiem, że taki wędrujący kupiec nie trzyma ich koło siebie. W dudze*) znaleźliśmy tylko coś 300, a po osiach 400 pono rubli.

— No, to przecież 700 rubli! — zawołał drugi.

— Ale na to, gapiu, było nas dwudziestu!

— A z chłopakiem i koniem coście zrobili?

— Konia odprowadził w nocy jeden z naszych do znajomego Sybiraka, i sprzedał go za różową (10 rs.), a chłopak... to ten sam, o którym chciałem mówić... psi syn wół się jak wąż u nóg naszych i prosił by go puścić żywym... i prawdę mówiąc żal nam go było, choć to nie naszej wiary... ale cóż? wypuściwszy go, wypadłoby nam wszystkim iść prosto do tury. Nie daliby nam przechodu obławami... a do tego wiedzieliśmy, że na około po stepach byli nasi, więc i im dostałoby się z tej przyczyny nie mało. Musieliśmy więc i z nim koniec zrobić. Choć wszyscy to uznali za potrzebne, jednak żaden nie chciał się wziąć do roboty. Tyś zaczął, mówili do mnie, to i kończ. Porwałem go tedy za więzy, podniosłem do góry, i tak w powietrzu przebiłem nożem. Jeszcze teraz widzę, jak się skrzywiło to szczenię niewierne, kiedy poczuło nóż we wnętrznościach. Szkaradny był, umierając... tylko raz jęknął, przeklęty...

— Widzisz! jęknął poganin! — ozwał się ktoś z słuchaczów tonem, jak gdyby się bardziej dziwił jękowi, jak całej wyżej opisaney scenie.

— Nie bój się! jęknąłbyś i ty nieboże... nóż, to nie brat! — odparł drugi.

— A co Misza? — zapytał trzeci — musiał ci chłopak ów długo spać nie dawać?

— Mnie? — odrzekł z dumą zbrodniarz — cóżbym ja był za włóczęgą, żebym nie wiedział jak odpędzać senne mary? Kiedy kogo zabijesz, to napij się tylko trochę krwi jego, a pewnie nie pokaże ci się we śnie ni razu... ręczę za to!

— Patrzo! co za własność ma krew zabitego!

*) Kابلک w uprząży moskiewskiej, co się unosi nad głową końską.

— O, ta krew — odpiera stary jakiś włóczęgą tonem pouczającym — ma wielką moc. Również, gdy się pożegnasz z zabitym, to nie przyśni ci się nigdy. Oto powiem wam, co mnie się raz zdarzyło, kiedy jeszcze nie wiedział o tem wszystkim. Lat temu dwadzieścia — bo tak długo już włóczę się po Sybirze tam i nazad, byłem nad Szachtamą*). Wtedy jeszcze kopalnia ta nie była zamknięta. Rozeszła się była wieść między naszą bracią, że wielu zbiegów znika bez poszlaku za Niżnoudińskiem. Co pójdzie kilku z jakiej fabryki, to przejdzie step briatski, przemknie się koło morza**), minie Irkuck, a przypadnie za Niżnoudińskiem. Po więzieniach ich nie było, droga inną nie poszli, bo tylko tę znali; więc wątpliwości nie było, że czołdon***) jakiś musiał czatować na nich, zabijać i obdzierać. Postanowiliśmy tedy pójść we czwórkę i zbadać tę rzecz. Może na trzy tygodnie przed nami, wyszło 5 z naszej kopalni. Tym nakazaliśmy, aby wszędzie po drodze zostawiali znaki i szli na Udinsk. Obiecali, że to uczynią. Upatrzywszy więc dobrą porę, kiedy sekretnej straży kozaków nie było po lasach, przebiliśmy się i my na robocie przebojem przez łańcuch zwykłej straży i skryli się w lesie. W cztery tygodnie po ucieczce, mieliśmy i morze i Irkuck za sobą. Znaki były dotąd wszędzie, to nacinane na drzewach, to karteczki w kołkach wetkniętych w ziemię, to kupa kamieni na drodze, słowem byliśmy pewni, że poprzednicy nasi aż do samego Udinska doszli szczęśliwie.

Za miastem zrobiliśmy manowcami koło na jakie wiorst czterdzieści i wyszli znowu na szlak zwyczajny. Lecz tu już znaków nie było. Wróciliśmy tedy napowrót do Udinska. O jakie wiorst dwadzieścia przed miastem stoi w lesie, na miejscu samotnem, chatka, w której nasi zwykli nocować, lub przynajmniej odpoczywać. To miejsce wydało się nam podejrzane. Tu mógł Sybirak ilu chciał uprzątnąć, i nikt by go nie był wytropił. Podle zaraz była wielka trzęsawica, do której mógł chować trupy. Zaczailiśmy się tedy w lesie, jakie dwieście kroków od chatki. Tego dnia jednak czekaliśmy daremnie. Nazajutrz dopiero o świcie nadjechał czołdon na koniu z trzema gwintówkami na plecach. Puścił konia na łączkę, a sam poszedł do chatki, i usiadł jakby na kogo czatował. W godzinę może nadszedł jakiś nieborak. Załedwie zrównał się z chatką, bo ścieżka tuż koło niej wiodła, aż tu wyskoczył czołdon i krzyknie: Stój! stanowiąś pod pulu! (stój — stań pod kulę!).

*) Rzeczka złotonośna w nercyńskim okręgu.

**) Morzem zowią włóczęgi jezioro Bajkał.

***) Przewisko, nadane sybirakom przez włóczęgów.

— Widzisz, co za urwisz, kazał mu stawiać na cel... — zauważał ktoś z słuchaczy.

— Tak, lotr kpił sobie jeszcze. W nas wszystkich, cośmy byli ukryci, krew zawrzała... ale cóż? trzeba było czekać sposobniejszej chwili, by i samym nie zginąć. Otóż ów nieborak padł na kolana, jał prosić Sybiraka, by mu życie darował, przeklinając się na wszystko w świecie, że kopiejki nie ma przy duszy.

— Za półszubek dadzą pół sztofa — odpowiedział czołdon — zawsze to więcej jak za wywiórkę! — i wystrzelił.

Ani jęknął nasz biedak i powalił się na ziemię. Nie spiesząc się, bo wiedział, że tamtędy tylko włóczęgi chodzą, Sybirak zaniósł gwintówkę do chaty, zapalił fajkę, poszedł powolnym krokiem do trupa i począł go rozbierać. Otóż w ową porę dopiero zaczęliśmy się czołgać na brzuchach do chatki, i przybyliśmy tam nie spłoszywszy czołdona, który szczęściem był tyłem do nas obrócony. Dobrawszy się do gwintówek wypadliśmy na dwór i otoczyli go w oka mgnieniu. A! żebyście widzieli, jak ta bestja się przelekła. Przez kilka chwil i słowa nie mógł wybełkotać. Teraz na niego przyszła kolej błagać o życie na kolanach. Obiecaliśmy z razu, że będziemy miłośni, jeśli powie, ilu też naszych zabił i jak ich tropił. Otóż wyznał nam, przeklinając się ze mowy prawdę, iż dopiero 73 włóczęgów zgładził; a dowiadywał się o ich przechodzie takim sposobem, że stawiał syna o piętnaście wiorst stąd na czatach i ten mu donosił o przechodniach. Jeżeli ich było wiele — mówił — tośmy z synem przyjeżdżali i przywozili więcej gwintówek, jeśli jeden, dwóch albo trzech, sam się z nimi uprawiałem.

— Oto, jakim sposobem nasz brat ginie na stepach! — wtrącił któryś z słuchaczy — i dziwuj się tu, że tylu ucieka z katongi, a tak mało ich siedzi we więzieniach.

— Wtedy to — prawil dalej opowiadacz — wznicił się ogień i zaczęli obrachunek z czołdonem. Obiecywał nam, psi syn, każdemu po dwieście rubli, byśmy go tylko puścili żywego; ale wszystkie jego prośby były daremne. Najprzód odciegliliśmy mu ręce, potem darli pasy z grzbietu, przypiekali ciało nad ogniem, odrabali nogi, a gdy już konać zaczął, posiekali w kawałki. Potem złożyliśmy trupa w worek, jeden z nas napisał na kartce, dla czego to tak się stało, i przywiązali to wszystko do konia. Ten poczuwszy martwe ciało na sobie, popędził jak wiatr do wsi. Pogrzebawszy zabitego włóczęę, odeszliśmy od tego miejsca tak może wiorstę, aby nieco odpocząć. Znaleźliśmy byli kwartę wódki u Sybiraka i tam ją wypiliśmy. Mnie, który całą wyprawą kierowałem, dostała się największa porcja; wypilem ją też duszkiem. Po posiłku pokładliśmy się na ziemię i usnęli, ja naturalnie

usnąłem najtwardziej ze wszystkich. Kiedy mnie zaczęli potem towarzysze budzić do dalszej drogi, odpowiedziałem im przez sen, aby poszli naprzód, a ja ich dogonię. Tak i zrobili. Gdy się obudziłem, już było późno z południa; zerwałem się tedy i zacząłem biegać, by tamtych dogonić. Nie wiem już dalibóg jak się to stało, ale spostrzegłem się wkrótce koło owej chaty, gdzieśmy zabili Sybiraka. Oczom swoim nie chciałem wierzyć, ale tak było rzeczywiście. I ogień był jeszcze, i ślady krwi świeżej i wszystko, psia mać! Zwróciłem tedy, jak mi się zdało, w stronę, którą poszli towarzysze, ale po niedługim czasie znowu przyszedłem do chaty. I tak coś kilka razy: pójdę... pochodzę w kółko i znowu na starem miejscu stanę. Złe, pomyślałem sobie, kiedy noc już zapadła... krew nie puszcza... trzeba widać zginąć! syn sybiraka naprowadzi tu obławę, wezmą mnie i skażą na śmierć... Zmęczony, że kosztuję kręcić można było, i trzęsąc się od strachu, upadłem bez sił w chatce i zasnąłem. Nie wiem co by się było stało ze mną, gdyby towarzysze, nie widząc mnie, nie byli się wrócili i nie uprowadzili z sobą. Oto widzicie co za moc ma krew zabitego!

— A gdybyś się był pożegnał z Sybirakiem, albo krwi jego trochę napił, byłoby ci się nie stało.

— A już ci nie!

— Widzisz, jak to bywa na świecie! —

I zakończywszy opowiadanie tym filozoficznym wykrzyknikiem, zbrodniarze rozchodzą się w różne strony, tak jakby wcale niewinnych słuchali powiastek...

*

Przed zawieszonym na ścianie miedzianym obraskiem bije jakiś starowiec liczne pokłony i syczy jak gadzina każdym razem kiedy wymawia słowo: Issus. Obok niego leży kilka więźniów i sili się gromką pieśnią przekrzyknąć wszystkich.

Długo modlił się starowiec, żegnając nieustannie; nakoniec zdje muje ze ściany obrazek, obwija go starannie w kawałki płótna, chowa do worka i wyjmuje zeń grubą księgę.

— Czasby wam już chłopcy poprzestać tych paskudnych pieśni — mówi tonem mentora do śpiewających. Nawet poczytać nie dacie człowiekowi.

— Widzisz go! jaki pan! — odpowie jeden ze śpiewaków — czytać mu nie dadzą heretyckich książek! Nie trzeba ci było chodzić po nocach z pałą na drogi, byłbyś sobie mógł czytać spokojnie w domu... kiedyś wlaź między wrony, krakaj nieboże jak one!

— Nie za zabójstwo, ani za kradzież pędzą mnie na Sybir, lecz za wiarę! — mówi starowiec.

— Wy wszyscy za wiarę cierpicie, lecz gdyby kto zajął do statejnych spisków, okazałbyś się jeden z drugim takim, jak nasz brat...

— Hej Wańka, psi synu! — ozwie się szyderczo inny śpiewak — podaj panu fajkę, poduszki na kanapie rozłóż... pan będzie czytać gazety!... widzisz heretyk jakiś! nie przeskaczaj mu...

— Biesa tam wzięły ci on fajkę do ust, wszak to starowie i do tego bezpopowszczyk!...

— Miłczeć wy lotry! ja pomówię z ojcem o rzeczach świętych — dorzuca inny i podsuwa się do zelzonego. Co tam słuchasz, ojcze, tych durniów nieokrzesanych, to hołota... Oto przeczytaj mi lepiej coś z tej książki. Chciałem już dawno dowiedzieć się, dla czego to święci ludzie zabraniają palić tytoniu, lecz nikt mnie nie mógł dotąd dokładnie objaśnić. Czy nie wiesz ty ojcze tego?

— Dla czegoż nie miałbym wiedzieć — odpowie sekciarz — lecz cóż pomoże mówić napróżno?... palić ty przecież nie przestaniesz... wszystko jedno, co groch na ścianę rzucał... a pismo święte powiada, że pereł nie godzi się rzucać przed wieprze.

— To prawda, ojcze, żeśmy grzeszni — odpowie z pokorą więzien — ale jeżeli nikt nie objaśni, dla czego tej lub owej rzeczy nie godzi się robić, to i nie porzucisz jej nigdy...

— Jest wielu wezwanych, lecz mało wybranych! Tak i wy, choć usłyszycie, nie nawrócicie się do królestwa bożego... — mówił sekciarz. — Jednak — dorzucił — uczynię zadość żądaniu twemu! —

Sekciarze moskiewscy lubią szpikować wszystkie rozmowy cytatami z pism św. i ojców kościelnych, w których bywają bardzo biegli. W ogóle teologia i spory teologiczne są najulubieńszymi przedmiotami ich gawęd. O dogmata nie chodzi tu zwykle; w nich zgadzają się prawie wszyscy moskale, do jakiegokolwiek bądź sekty należą, a raczej nikt z nich do dogmatów wielkiej nie przywiązuje wagi. Spory toczą się przeważnie o słowa, pisownię używać się mającą w świętych księgach, obrzędy i tym podobne drobiazgi.

Najbardziej zadowoleni bywają sekciarze, kiedy mają słuchaczy tj. kiedy wolno im żywić nadzieję zrobienia prozelitów. Dokładają oni w takim wypadku wszelkich starań, aby olśnić uczonością. Wszelkie zarzuty zbijają z zarozumiałością, arbitralnie na nie odpowiadając: Tak napisano! Lubią przywdziewać na siebie powagę nauczycielską i przejmują się nią do tego stopnia, że każdy z nich uważa się przynajmniej za równego jednemu z owych pisarzy kościelnych, którego pismami nabił sobie głowę.

Widząc, że starowiec zabiera się do wyjaśnienia powo-

dów, dla których grzechem jest palić tytoń, szydzący przed chwilą z niego więźniowie przysunęli się doń także i z wielką ciekawością zdawali się wyczekiwać opowieści sekciarza.

Choć raskolniki (sekciarze, odszczepieńcy) przesładowani bywają od rządu moskiewskiego, lud moskiewski jednak patrzy na nich z rodzajem podziwu i rad słucha ich rozpraw teologicznych, ulegając temu wpływowi, który nań wywiera każdy prawie nowiniarz religijny. To też Zachód nie wydał w dziesięciu wiekach tylu sekt, ile ich w Rosji powstało za czasu Aleksieja Michałowicza, kiedy patriarcha Nikon podjął się poprawy ksiąg pisma świętego. Zresztą lud moskiewski, jak wszystkie w kolebce zostające, skłonny jest bardzo do fanatyzmu religijnego, a stąd i konserwatywnych trzyma się zasad. Cokolwiek osłabia wędzida, do których przywykł, cokolwiek zmiękcza surowe jego obyczaje i odstępować od tego, co od kolebki zwykł uważać za święte prawo, zdaje mu się grzechem, o pomstę do nieba wołającym. To zaś, co się sprzeciwia postępowi i w ogóle wszystkim nowościom, jest mu miłem i pożądanem. Rządowa tedy religia, uważana przez wszystkich odszczepieńców za nową, nie szczyci się sympatją ludu, chociaż jest przezeń wyznawana. I jeżeliby pozwolono moskiewskim prawosławnym wybrać sobie wiarę, bardzo by mało z nich zostało się przy prawosławiu. Wielka część wcieliłaby się do sekt istniejących obecnie, reszta zaś utworzyłaby nowe. Ideałem życia dla Moskala-chrześcijanina jest ascetyczny byt pierwszych gmin chrześcijańskich w Judei. Z podziwem i ubóstwianiem, z zachwytem niemal, spogląda on na i przenosi wielką część tych uczuć na ludzi, co według jego mniemania naśladują pierwszych chrześcijaństwa adeptów. Stąd ta cześć dla mnichów i miejsc, gdzie się takowi znajdują. Stąd to mimowolne niemal sprzyjanie odszczepieńcom, którzy w oczach gminu przedstawiają konserwatystów. Moralne zepsucie nie wyłącza wcale u zbrodniarzy fanatyzmu; jedno z drugim idzie tu w parze. To jak tamto jest rodzajem umysłowego niedołęstwa; mogą więc oboje zupełnie zgodnie obok siebie istnieć. Każdy zbrodniarz oszuka, zabije z krwią najzimniejszą, lecz rzadko który siądzie do stołu, nie przeżegnawszy się, lub odważy się jeść z mięsem w środę albo piątek. Forma jest dla nich wszystkim. Następną anegdotę odmaluje ich zresztą lepiej, jak przedługie komentarze.

Jakiś Moskal zabił przechodnia. Złowiono go i pytano przy śledztwie, dla czego się dopuścił zbrodni. Byłem głodny — odpowie — i myślałem, że znajduję co do jedzenia. Dla czego więc nie jadłeś tego kawałka wieprzowiny — pytają — coś musiał znaleźć w torbie podróżnej zabitego. Moi panowie! odpowie indagowany — przecieżem nie poganin, ale

prawosławny i chrzczone!... środa była, jakżeż miałem post łamać?...

Widząc więc z boku, z jaką uwagą więźniowie zawiśli na ustach starowiera, rzekłbyś że ludzie, słuchający z taką gorliwością ropraw bogobojnych, nie zdolni są zbrodni; a przecież każdy z nich miał, jak się wyraża język więzienny, kilka przynajmniej dusz na sumieniu....

— Czy widziałeś kiedy obraz biesa? — zapytał starowiec poważnie tego, co go najpierw zagadnął.

— Widziałem!

— Prawda, że mu para i ogień z paszczy zionęły?

— Tak, ojcie... złego nie malują inaczej.

— A więc i człowiek, pałacy tytoń, podobnym siebie czyni do biesa przekłętogo. Już św. Jan pisał w apokalipsie o ludziach, którzy się mają pojawić przy skończeniu świata przed antychrystem: a będzie im, powiada, buchać z pyska para i ogień. Także przepowiedział, że kiedy się antychryst pojawi, będzie jeździł żelaznym wozem bez koni, jedno za pomocą ognia. Otóż wy, co palicie tytoń i one żelazne wozy, co biegają po żelaznych drogach, znamionują koniec świata...

— Któż może wiedzieć, kiedy on nastąpi?

— At, głupiś! o wszystkim jest napisano w księgach; a kto w nich gorliwie czytuje, temu łatwo dzień i godzinę nawet przepowiedzieć. Każda głoska w piśmie św. oznacza jakąś liczbę, trzeba je tylko umieć zestawić i obrachować. Rozumi się samo przez się, że nie każdemu taka wiedza dana...

— Widzisz, jak to dobrze umieć czytać i pisać!

— Ale cóż złego w tytoniu, ojcie? — wtrąca inny słuchacz — wszak to także trawa, jak inne, od Boga stworzona.

— Od Boga?! — wykrzyknął z oburzeniem starowiec — milczałbyś lepiej trutniu i nie obrażał niebieskiego cara takimi bredniami! Bóg nie zniżał się nigdy do stworzenia podobnego brzydactwa. Tytoń wyrósł z mózgu przekłêtej dziewczyny, a sam zły go pielęgnował, podlewając codziennie trzy razy.

— Powiedz że nam ojcie, jak to było?

— Onego czasu był oto król możny, wielki i bogaty, który zapadał często na smutek. Nikt go nie mógł rozweselić, gdy dostał melancholji, choć dworzanie silił się na wymysły, aby pana rozerwać. Przyszedł więc do nich raz jeden go djabł w postaci lekarza i powiedział, że rozweseli go trawą, którą skoro popali i wesół będzie i pijany. I donieśli królowi o tem sługi jego. I kazał przyprowadzić lekarza onego przed siebie i wypytywał go pilnie. A dowiedziawszy się, posłał sługi swoje za djabłem. A ten wypro-

wadziwszy je za miasto, pokazał im na stepie trawę wysoko rosnącą. A ci wykopawszy ją, przekonali się, iż korzenie wychodziły prosto z mózgu dziewczyny, zabitej od pioruna i jakoby na 30 stóp zapadłej pod ziemię. I objął strach wszystkich, i zaniecono trawę królowi. A ten nakazał ją wysuszyć, a wysuszywszy zapalił w fajce, którą mu był zły podarował. I poweselał król rzeczywiście, będąc jakoby pijanym, kiedy palił. Albowiem trawa była umyślnie na to pielęgnowana przez czarta. I stało się od onej godziny, że król rozkazał sadzić trawę po wszystkiej ziemi, i bezbożni ludzie jeli ją palić. Oto dla jakiego to zielska wy, tabacznicy, przyjmujecie tyle grzechów na duszę.

— Učení ludzie wiedzą o wszystkim, a człowiek był durniem i durniem zostanie — dorzuci smętnie jeden ze słuchaczy. — I ktoby to pomyślał o tytoniu, za który tak drogo tu płacimy... z mózgu przekłêtej dziewczyny!

— Patrz-no, Miszka, durniu! ty pono i czytać majster i pisarz z ciebie nielada, bo robiłeś przecież Sybirakom pieniądze, a o tem nie wiedziałeś!... A herbaty, ojcie czy także pić nie wolno?

— Kto pali tytoń, ten według pisania raz jest przeklęty — odpiera starowiec — zaś kto pije herbatę, jest nim trzykroć. Tytoń bowiem, chociaż biesowska pokusa, rośnie jednak i na naszej ziemi — chrzczeni ludzie go uprawiają; herbata zaś idzie od pogan, i niechrysty ją sadzą i zbierają.

— Powiadają uczeni ludzie, ojcie, że targowica oczyszcza wszystko. Cokolwiek przez nią przechodzi, to tak jakby przez ogień. Herbata więc czystą nas dochodzi z rąk kupców, a nawet car i metropolici ją piją; oni zaś muszą wiedzieć, co grzesznem, a co nie!

— Car? metropolici? — mówi starowiec szyderczo — o! wiem ja, że oni piją herbatę i fajkę palą, a i postów nie zachowują nawet wcale, jakoby niechrzczeni... lecz cóż to za ludzie? są to poprzednicy antychrysta i jego przyjaciele... Tak, tak — prawil dalej — gdybyście wiedzieli, co to za trawa ten wasz tytoń, to byście się nie dziwili, czemu my nie chcemy składać palców do zegnania tak, jak do brania tabaki, ani modlimy się do obrazów malowanych, na które malarz, malując, puszcza nie raz kłęby dymu z fajki lub cygara.

— Przecież i wy macie obrazy, ojcie!

— Mamy, ale miedziane, przy których odlewaniu fajki palić nie można.

— Ha, może i wasza prawda, ojcie! kto to wie?...

— Świat — kończy pedagogicznym tonem sekciarz — do woli każdemu zostawiony. Swobodnemu swoboda, zba-

wionemu raj! Kto ma uszy ku słuchaniu, niech słucha, kto ma oczy ku patrzeniu, niechaj patrzy!

*

Pośrodku komnaty, przechód prawie tamując, stoi kilkunastu więźniów, zajętych żywą rozmową, której dusza zdaje się być wysoki, blady męczyzna, lat trzydziestu kilku, o herkulesowej niegdyś, obecnie chorobą czy więzieniem nieco złamanej postaci. Zgarbiony był, jakby go wielki jakiś dławiał ciężar; chude ręce opadały z szerokich bark bez wszelkiej energii, nogi zaś i uda wydawały się bez ciała. Długie jasne włosy miał starannie zaczesane na ten bok, który był golony, tak że sztucznej lyszyny na pierwszy rzut oka nie można było dostrzedz, tembardziej że na uchu, od którego się zaczynała, siedziała z pewną fantazją okrągła, bobrowa czapka. Cienka, czerwona koszula, nie podwiązana jak zwykle w pasie i w szyi, rozpięta spadała mu na szerokie, aksamitne, czarnej barwy hajdawery, które na kostkach ściągnięte były tasiemką i dość malowniczo około nóg się drapowały. Rękawy od koszuli były po łokcie zakasane; na nogach miał trzewiki, jak na więzieniu bardzo zgrabnej formy; jeden koniec kajdan gubił się pod koszulą do pasa przywiązany, podczas gdy drugi obejmował jak należy lewą kostkę. U więźniów bywalców kajdany zwykle tak są urządzone, że się dają z nóg zdejmować; w więzieniu noszą oni je często w sposób powyżej opisany, bądź to w chęci odznaczenia się od tych, którzy nie mają kajdan, bądź też dla tego, aby w razie potrzeby można je rychło naciągnąć i nie uleść karze za zdjęcie ich z nóg.

Zbrodniarz należał widocznie do arystokracji więziennej, której członkowie powstają i znikają, innym miejsca ustępując, najczęściej wedle tego, jak im szczęście służy na majdanie. Opowiadał on coś otaczającemu go gronu współwięźniów, którzy go z wielką słuchali uwagą.

— Człowiek musi mieć niezaprzeczenie coś z kociej natury... każde inne zwierzę bite w podobny sposób, jak nas biją, zdechłoby niezawodnie, na nas wszystko przysycha... — mówił bezdźwięcznym głosem, w którym łatwo dosłuchać się było smutnej nuty.

— Nowe pokolenie szczęśliwsze od nas — odpowiada mu jeden z bliżej stojących — nie dozna ono tego, co my przeżywać musieli.

— I znosić do końca życia będziemy, bo cielesna kara nie dla nas zniesiona — wtrąca trzeci.

— Dziej lżej i nam daleko — prawi znowu frant — biją przynajmniej po ludzku jakoś... nie robią kalek na całe życie... ale dawniej... Ja teraz jeszcze bez zgrozy i strachu

nie mogę pomyśleć o dniu, w którym pierwszy raz miałem pójść na rusztowanie. Lat dziesięć minęło od tego czasu, lecz pamiętam wszystkie szczegóły, jakby się wczoraj wydarzyły... ogniem wryły się w pamięci. —

Słuchacze kiwają głowami i smętno się jakoś przytem uśmiechają, jakby poznać dać chcieli, że słowa mówcy znajdują zupełne potwierdzenie w ich własnych wspomnieniach.

— Siedziałem w Saratowie za rozbój i morderstwo — ciągnął opowiadający dalej. — Trzy lata trwało śledztwo. Wreszcie wyszedł wyrok na 20 lat do Nerczyńska, piętna na twarzy i 90 pletni. Wiedziałem oddawna, że mnie taka czeka kara, lecz im więcej zbliżał się dzień egzekucji, tem straszniej mi było na sercu. Nigdzie miejsca sobie znaleźć nie mogłem. Siądziesz bywało na majdan i kart nie widzisz... pół-godziny nie wytrzymasz... coś cię parzy na siedzeniu, coś piecze w piersiach i w głowie myśli mąci... przed oczyma trzykończasta pletnia i kat w czerwonej koszuli i plac ludźmi przepełniony... po ciele dreszcz przebiega na wspomnienie przyszłych uderzeń pletni... Rzucasz więc karty i chcesz się rozzerwać rozmową... ale gdzie tam! nie rozumisz co mówię do ciebie, bo zawsze jedno tylko masz na myśli: czy wytrzymam? czy nie umrę pod razami na rusztowaniu? I tak ci się wtedy żyć chce, tak ci świat pięknym się wydaje!... Od wódki nawet, choćby jej wypił Bóg wie wiele, nie pianiejesz... piecze cię tylko jeszcze bardziej w piersiach, i w głowie więcej szumu, więcej tylko bezładu sprawia. O spaniu mowy nie ma... jakie tam spanie?... przewracasz się jeno z boku na bok, oblewasz potem i tak ci duszno, straszno, jak gdyby tuż tuż zwał się miało na ciebie więzienie. A kiedy zaśniesz nad rankiem — nie, źle mówię, nie zaśniesz, lecz zdrzemiesz — wnet się zrywasz na nogi, wystraszony z posłania jakimś okropnymi widmami sennymi... Ja nie miałem nawet pociechy, że będę mógł przekupić kata. Urzędnicy byli strasznie na mnie rozczłosczeni, a prokurator, za rozmaite grubiaństwa, które musiał słyszeć nie raz odemnie, obiecał mi odemścić przy egzekucji. Kat dostał oczywiście zwykły podarunek ze wspólnej ogółu kasy, ja mu też osobno dałem kilkanaście rubli... obiecał zrobić co będzie mógł, lecz nie ręczył, wiedząc o tem, jakich sobie porobiłem nieprzyjaciół z urzędników. Jeżeli prokurator będzie nastawał, mówił, żeby cię bić, jak należy, tedy bracie, przebac, słuchać go muszę, bo po egzekucji mnie by się dostały różgi... Nadeszedł wreszcie straszny ów dzień... Calusięnką poprzednią noc oka nie zmrożyłem... okropnie długa to była noc... ciągnęła się jak wieczność, choć się to čziało latem. Rano starosta więzienny dla dodania mi serca przy-

niósł półsztopa wódki. Musiałem pić z przestankami po czarce i przekąsać cybulą, aby jej słysząc odemnie nie było... odłożyliby psie wiary egzekucję, skoroby tylko spostrzegli, że mój... pianego w żaden sposób by nie bili: nie uczuliby razów, mówią... Ja byłem w takim usposobieniu, że i sztof duszkiem wychylony nie byłby mnie z nóg zwał. Prosiłem, błagałem starostę, aby dał więcej, nie chciała jucha... bał się. Im więcej zbliżała się fatalna godzina, tem straszniej kipiało w moich piersiach. Była chwila, w której, gdybym był miał któregoś z urzędników przed sobą, przebiłbym go był z pewnością nożem.

— I lepiej byłbyś może na tem wyszedł! — wtrącił jeden z słuchaczy. — W Omsku kilka lat temu jeden włóczęga, który miał dostać kilkadziesiąt pletni, tak się bał tej kary, że aby ją odłożyć, w dzień egzekucji zabił klucznika, spotkawszy go na korytarzu. Zaczęto więc nowe śledztwo, które się przeciągnęło rok cały. Tymczasem wyszedł manifest i włóczęgę wysłano do Nerczyńska bez egzekucji.

— Miałem i ja to samo na myśli, lecz na nieszczęście żaden z urzędników nie zjawił się dnia owego w więzieniu... Około dziewiątej zaturkotał wóz przed więzieniem... wszyscy powłazili do okien, aby się mu przypatrzeć... miał jakieś rusztowanie, na którym było siedzenie dla mnie, tak, żeby mnie drogą wszyscy widzieć mogli. Wyprowadzili mnie, zawiesili na piersiach deszczułkę z napisem, za co mnie bić będą i kazali wyleżeć na owe siedzenie. Wóz otoczyli żołnierze i pochód ruszył z miejsca powoli głównymi ulicami miasta na targowicę. Dzień był pogodny, ludu zebralo się mnóstwo za wozem. Siedziałem obrocony plecami do koni, mogłem więc widzieć cały tłum, który się coraz zwiększał im dalej jechaliśmy. I dziwna, na widok tych ludzi, z których każdy miał oczy zwrócone na mnie, jakoś mnie strach był opuścić... przybyła skądś odwaga... daleko lżej mi było na sercu, jak niedawno przedtem w więzieniu. Nareszcie przybyliśmy na targowicę, gdzie z powodu targu trzy razy tyle było ludzi, jak szło za wozem... dni zawsze na egzekucję wybierają w czas targowy... Rusztowanie znajdowało się na środku placu; kat stał już na nim w czerwonej koszuli, z zakasowanymi rękawami i w aksamitnych spodniach i poprawiał rzemienie na ławce. U stóp zgromadzeni byli urzędnicy... Kiedym to wszystko zobaczył, napadła mnie znowu drżączka... ledwie zlażem z wozu i nie pamiętam wcale jak się dostałem na rusztowanie. Odczytano mi wyrok, z którego ani jednego słowa nie rozumiałem, choć cicho było na placu, jakby makiem siał. Słyszałem tylko, jak prokurator nakazywał katowi, aby nie żałował pletni, inaczej on jemu różęg nie pażaluje... Kat potem zbliżył się do mnie z półsztofem,

odbił szyjkę, napił się trochę, dał i mnie pociągnąć nie wiele dla dodania serca i szepnął: bić muszę, jak widzisz, mocno, lecz postaram się nie zabić... nabierz odwagi! Tu zdjął ze mnie tabliczkę, rozerwał pasik od koszuli, kazał odpiąć spodnie i na ławkę się położyć, która stała na środku rusztowania. Koło niej ujrzałem leżącą pletnię... jak węże, psia kość, wily się jej trzy długie bicze z surowca z stwardniałymi jak druty końcami. Nogi zadrżały podemną na ten widok, ledwie co nie upadłem. Kat pomógł mi położyć się, przywiązał nogi i ręce rzemieniami do kobyły*), koszulę podwinął, wziął pletnię w rękę, przeszedł na drugą stronę, krzyknął: baczność! oparzę! rozmachnął się... i oparzył.

Opowiadający zatrzymał się chwilę. Pot grubemi kroplami wystąpił mu na czoło, na licu widać było, że odczuwał wszystko o czem opowiadał. Słuchacze, z których każdy przez takie same chwile w życiu już przechodził, potakiwali mu głowami w milczeniu.

— I oparzył, psia wiara, żeby mu ręka uschła... — ciągnął dalej. — Drgnąłem cały na kobyłę, że rzemienie zatrzęszczały... krzyczałem, ile głosu stało... z bólu, myślałem że mi piersi pękną. Nie cierpiałby człek tak mocno, jeżeliby uderzenia następowały prędko jedno po drugim... lecz nie!.. tak bić nie każą... Kat po każdym uderzeniu przechodzi powoli na drugą stronę kobyły, rozmachuje się i z całą siłą spuszcza ci pletnię na ciało. Pierwsze razy czułem każdy odrębnie. Po trzecim, czy czwartym krew mnie oblała... Potem ból stał się ogólny... jakby mi kto żaru nasypał na całe ciało, którego każda żyła drgała, jak szalona. W oczach zaczęły naprzód skakać jakieś iskry, w głowie szum okrutny... potem ściemniało zupełnie... głosu w piersiach zabrakło i straciłem zmysły... Kat dotrzymał słowa, bił mocno, to prawda... inaczej nie mógł... prokurator z oka go nie spuszczał... lecz nie zabił. A mógłby był to uczynić trzydziestoma, co dopiero dziewięćdziesięcioma uderzeniami. Za to też dałem mu trzecią część z pieniędzy, które lud złożył dla mnie na chustce, rozesełanej u stóp rusztowania... zebralo się tego około 60 rubli, tak wiele w ten dzień było narodu na targu. Z kobyły zdjęto mnie na pół martwego. Ciało było posiekane do samych kości... jedna, okropna rana, krwią zapiekłą powleczone... Zawieziono do szpitala, gdzie trzy miesiące przeleżałem. Wyzdrowiałem wreszcie, lecz dawniejszych sił nigdy nie odzyskałem... pierś rozbita, członki jak połamane...

— Jak u tych katów dostaje serca bić swoich... dali-

*) Techniczne więzienne wyrażenie dla nazwania ławki na rusztowaniu.

bóg nie wiem... — wtrąca po chwili milczenia inny więzień. — Toż oni tacy, jak my... od rusztowania i Sybiru uwolnili się tylko tem, że urząd kata przyjął. Wolalbym ja dalibóg i jedno i drugie, jak takie życie, które oni prowadzą. Wiecznie mieszkać w więzieniu, wiecznie być strzeżony, a do tego ciągle być postrachem dla swego brata... to położenie prawdziwie nie do pozazdroszczenia.

— Z Rosji wszystkich teraz wysłali już pono na Sybir... w główniejszych miastach tylko rozstawiono po jednemu, na przypadek, gdyby potrzeba było pozbawiać na rusztowaniu praw jakiego szlachcica, nad którego głową oni w takim razie szpadę łamią. —

— Mnie jeden z katów popamięta, póki żyć będzie — prawi tuż obok franta stojący starzec o długiej brodzie i poważnym obliczu.

— Z jakiej przyczyny? — pytają go w koło.

— Przed sześciu laty, wracając raz trzeci z Sybiru, dostałem się do więzienia w Ossie nad Kamą. Był tam gorodniczy nadzwyczaj srogi. Więzienie mieściło się w temże samym budynku, w którym był sąd powiatowy i policja. Na podwórze nas nie wypuszczano z kamer i co dzień ktoś z urzędników zaglądał do nas z rewizją. Nikt i kopiejki zarobić nie mógł, choć wielu było takich, co umiało pisać pieniądze. Ani farb nie można było dostać, ani papieru, a choćby kto i miał to, ukryć by nie mógł w żaden sposób. Otóż bieda była u wszystkich, co się zowie. Kat brał pieniądze, lecz jeżeli kto nie miał mu ich dać, bił bez miłosierdzia. Jednemu z naszych wypadł wyrok na czterdzieści pletni. Nie miał biedak ani grosza. Składka, którą dla niego urządziliśmy między sobą, przyniosła tylko dwa ruble, bo wszyscyśmy byli biedni. Kat małą tę kwotę przyjął nawet nie chciał i oczywiście osmagał biedaka w straszliwy sposób, tak że po trzech dniach ducha nieborak oddał w szpitalu. Ja byłem przyjacielem nieszczęśliwego. W dzień egzekucji postarałem się, aby mnie posłano do piekarni, z której można było wychodzić na podwórze. Tuż koło piekarni była drewnitnia, z której wychodziło małe, zakratowane okienko na ulicę. Kat po egzekucji musiał tamtędy wracać do więzienia. Udałem się tam, a widząc go idącego, pozwałem do okienka.

— Czy dobrze obileś tego niegodziwca? — zapytałem.

— Popamięta, jeżeli żyć będzie — odpowiedział ponuro.

— Doskonale zrobiłeś — mówię mu — wart tego... łotr był wielki... masz oto rubla za twój trud.

Kat sięgnął ręką do okienka. Ja uchwyciłem go za nią i dotąd targałem i kręciłem, nie zważając na jego krzyk, póki nie wykręciłem. Nadto odkaśiłem mu prawie zupełnie dwa

palce. Zaczęło się srogie śledztwo. Na szczęście kat nie mógł poznać mnie, bo przez okienko nie było widać dobrze z ulicy; nasi zaś, choć wszyscy wiedzieli, że to ja zrobiłem, nie zdradzili. Sprawa skończyła się na niczem, kata tylko innego przysłano, ponieważ ten nie był zdolny do służby. Z następują rzeczy poszły daleko gładziej...

*

Pośród tych to ludzi, w jednej z powyżej opisanych komnat przebywał Władysław. Leżał on na posłaniu rzędem z innymi aresztantami z założonemi pod głowę rękami i oczyma w sklepienie wlepionemi. Myśl jego bujała widocznie gdzieś daleko po za więzieniem. Ani rozmaitość obrazów życia do koła wrzącego, ni gwar wrzaskliwych rozmów, ni śmiechy, ani klótnie uwagi jego zwrócić nie zdołały; owszem zdawał się być na wszystko niemy i głuchym. Na twarzy widać było wielkie zmęczenie moralne, jak po odbytej niedawno stanowczej, lecz przegranej walce; w oczach tylko błyskała czasem iskra nadziei, zapalana widocznie nowemi jakimiś pomysłami.

Od widzenia się z Janem upłynęło dni kilkanaście...

— Kiedy pan zamierzasz wyruszyć w drogę? — zapytał po polsku leżący obok więzień, wysoki, blady, suchy męszczyzna, lat około 45, dawny, jak cała powierzchowność zdradzała, więzień mieszkawiec.

— Nie umiem wam powiedzieć Michale — odparł Władysław leniwie, przeciągając ręką po twarzy, jakby chciał zebrać rozpierzchnięte myśli i umysł skupić do uwagi na otaczający go świat zewnętrzny. — Będzie to prawdopodobnie od tego zależeć, kiedy papiery nadejdą z Jałutorowska; dotąd nie ma ich jeszcze...

— Szelmoski to sąd w tym Jałutorowsku... czekałem i ja na papiery coś około tygodni.

— Prawda... dawno tu już siedzicie... nie spodziewałem się was zastać w Tobolsku... wszak to dwa miesiące będzie, jakście wyszli z Jałutorowska.

— A tak... coś około tego... zresztą po cóż mi się spieszyć, panie? nie do domu mnie pędzą przecież... Panu jednak wartoby się pośpieszyć — dorzucił po chwili.

— Mnie? — zapytał Władysław z zadziwieniem — cóżem ja lepszego od was? Idę, jak wy, do robót, a prócz tego czekają mnie knuty, kiedy dojdę do miejsca, skąd pierwszy raz umknąłem. Nie pilno mi wcale do nich...

— Wiem ja, wiem... mówili mi o tem ci, co razem z panem do Tobolska przyszli; wydaje mi się jednak, że pan

nie z tych, co to czekają na knuty... a w Krasnojarsku mocno biją, psiawiary; dotąd noszę stamtąd znaki na ciele.

— Radbym nie czekał... lecz zmuszą mnie, zdaje się, do tego — odparł Władysław i westchnął głęboko.

— Ho, ho! — zawołał Michał, uśmiechając się niedowierzająco — nie takiś to pan potulny, abyś się dał zmusić tak lekko.

— A cóż uczynię?

— I pan się pytasz jeszcze?... wszak droga mu otwarta wszędzie... i niedaleko zresztą uciekać panu... tylko do Kurganu! — tu uśmiechnął się znacząco.

— Do Kurganu? — zapytał Władysław, udając wielce zdziwionego — a cóżbym ja tam robił?

— Ej panie, panie! wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi — mówił Michał, grożąc palcem żartobliwie. — A Marja Miłokajówna?...

— Bredziecie, Michale!... nasłuchaliście się plotek w Jałutorowsku i bierzecie je za prawdę!

— I po co to kryć się przedemną? wszak pan wiesz, że ja nie z tych, co długi język mają; przecież sam nieraz widziałem pannę Marję w ogrodzie naprzeciw pańskiego okna, kiedy dumki zawodziła... zaprasz się tego? A zresztą nie tajemnica to, że ją dla tego za mąż wydano, że się w panu kochała...

— Czego wy też nie zmyślicie jeszcze, Michale! — rzekł Władysław, któremu widocznie nie był na rękę taki zwrot rozmowy.

— Nie przychodził za do więzienia? nie chodziłżeś pan do dozorczy, kiedy tam była... co? — ciągnął nieublagany więzień.

— I cóż z tego?... przynosiła mi listy od swego brata, któremu nie wolno było widywać się ze mną, jak o tem dobrze wiecie...

— No no... niech i tak będzie... mnie tam nie pilno znać pańskie tajemnice — odparł Michał dobrodusznie — radziłbym panu tylko nie czekać...

— A czegoż wy czekacie, Michale?

— Ja co innego, mój panie! mam czas i na przyszłą wiosnę... mnie o powrocie do domu myśleć nie można... jam zbrodniarz prosty... piętnowany i na plecach i na rękach. Powąleś się jeszcze w Syberji lat kilka, póki nie zabiją gdziekolwiek... ale pan możesz się udać, kiedy żywo zechcesz; na ciele piętn nienosisz, a po paszport nie pójdziesz do powiatu, bo go sam napisać potrafisz.

— I cóż wam przyjdzie, Michale, z tego wiecznego waleśniania się? — zapytał Władysław, usiłując nadać rozmowie inny kierunek.

— Cóż robić, panie mój drogi? toż nie gniew mi w ko-paźniach nerczyńskich, albo nad rzeką Karą... płaczesz, jak mówią moskale, i uciekasz. Oto teraz naprzykład: osądzono mnie na 25 lat do robót, z tych pięć mam być przykuty do tacek, dziesięć w kajdanach, a dziesięć bez... Podobnaż to wszystko wytrzymać, zwłaszcza kiedy kto tyle był bitym, jak ja w życiu? Oni psiawiary myślą, że nam tak łatwo pracować w minach, jak im napisać wyrok... Nasz brat, panie, wiecznym włóczęgą być musi... tak widać przeznaczono mu od Boga! Oto choćby ja teraz... zima mi przejdzie w drodze, na wiosnę będę w Irkucku, stamtąd zemknę, bo tam nie strzegą nas tak srodeż, jak tu... byle tylko za Bajkał się dostać, już łatwiej daleko... Rok lub dwa powąleś się potem w Sybirze po izbuszkach, będę kradł, co się da, rozbijał, gdzie można, uzbieram trochę grosza i udam się na spoczynek znowu do więzienia... Więzienie, to nasza gospoda... nie jeden z naszych latem ucieka, a zimą, gdy go głód i mrozy przyprą, sam idzie do turmy, mówiąc: bierzcie mnie, jam włóczęga; nie pamiętam jak się nazywam, gdzieś się rodził, gdzie przebywał... I tak oto życie schodzi na waleśnianiu się, dokąd djabli nie wezmą człowieka, gdzie na stepie lub w turmie. —

Tu zaśmiał się dziko jakoś, nienaturalnie, piekielnie, szyderczo. — Nie prawdaż — dodał — piękne życie!

— A pletnie? — zapytał Władysław.

— Pletnie?... ho, ho! to furda panie!... przywykliśmy już do nich!... kilkanaście rubli katowi w łapę, a będzie bił, jakby głąkał. Przecie pan wiesz, że dostałem ich w Jałutorowsku ośmdziesiąt... nie poszedłem nawet do szpitala... skóra tylko poczerwieniała trochę. Lat kilka temu nie tak bili, a uciekaliśmy częściej, jak teraz. Knut i pletnia dla nas niczem. Nam byle chwilkę pohulać, co się zowie, a odważymy się na wszystko!

— Już to wy Michale nie daremnie, zdaje mi się, tutaj czekacie... jest coś pewnie, co was trzyma w Tobolsku.

— Prawdę mówiąc, masz pan słusność... daremnie tu nie siedzę... mam kochankę i czekam, póki jej nie osądzą... Droga będzie mi z nią wesele. Kosztuje mnie to wprawdzie nie mało, bo felczerowi trzeba co tydzień płacić, aby mnie zapisywał jako chorego, lecz nie żałowałbym, jeżeliby się udało doczekać jej wyroku... Jeny moja panna bałamucić się zaczyna, szelma... zdarłem z niej dzisiaj wszystko, co jej sprawiłem. Donieśli mi, że rozmawiała z innym... pan wiesz, że w więzieniu takie sprawy nie ukryją się... tu, jak w szklannym pałacu jakim, wszystko widzieć można... jeden drugiego zawsze ostrzeże. Od rana nie wychodzę już

do niej na podwórze, choć kilka razy posyłała po mnie. Trzeba ją trochę wytrzymać, będzie lepiej czekać szanowała. —

Dziwną się może wydać ta wzmianka o miłostkach w więzieniu. Są one jednak tak powszechną rzeczą, że nie robi tu wyjątku ani jedna tiumra moskiewska, chyba że w niej kobiet nie masz wcale, jak to bywa naprzykład w koszarach rot aresztanckich. We wszystkich innych tiumrach istnieje dla kobiet osobne pomieszczenie, bądź to na jednym z wyższych pięter budynku, mającem osobny wchód, bądź też, jak w Tobolsku, w domku od innych części więzienia zupełnie oddzielnym. Prawa zabraniają srodze wszelkich schadzek aresztantów z aresztantkami. Dozorca odpowiedzialnym jest, jeżeli więziona kobieta zostanie ciężarną; robi też co może, aby do tego nie dopuścić; zabiegi jego jednak i starania nigdy prawie celu nie osiągają, więźniowie umieją zawsze dobrać się do zakazanego owocu. Czasem, jeżeli kobiety w osobnym mieszkają domku, a klucznicy i żołnierze nie dają się przekupić, co jest bardzo rzadkiem, lub za wiele żądają, co zdarza się częściej, robią podziemny przechód, i w ten sposób dostają się do nich. Przebywając zaś pod jednym z niemi dachem, nierównie łatwiej schadzki urządzają: tu dorabiają fałszywe klucze do zamków; tam dostają się do oddziału kobiet przez cerkiew, która zwykle z wszystkimi więzieniami częściami jest połączoną; gdzieindziej windują się na wyższe piętra, lub spuszczaają na niższe przez miejsca odchodowe... Najczęściej jednak do schadzek pomagają przekupieni klucznicy, lub też sami dozorczy, zwodząc pary miłosne bądź w bórze więziennym, bądź w piekarni, bądź w parowej łaźni, bądź też w pralni; a nie skończylibyśmy tak prędko, gdybyśmy chcieli wliczać wszystkie sposoby, któremi więźniowie moskiewscy umieją obchodzić istniejące pod tym względem przepisy.

Zaloty i miłostki należą zresztą we więzieniu do dobrego, jak to mówią tonu. Chcąc mieć zachowanie i powagę między współwięźniami, i stanowisko jakieś widne zajmować, trzeba nie tylko wielkim być zbrodniarzem, grać szalenie w karty, upijać się raz na tydzień przynajmniej, ale nadto mieć kochankę, lubownicę. Niech ona tam będzie brzydka, stara, piękną, młodą, dziewczyną czy mężatką, wszystko to jedno, byle była. Nią imponuje się reszcie gminu więziennego, który nie posiada tyle pieniędzy, aby mógł podolać wydatkom połączonym z takim trybem życia. Zdarza się często, że kiedy taki modniś więzienny zgra się do koszuli, lub w inny jaki sposób wszystkie pieniądze wyszasta, za pewną umówioną cenę ustępuje drugiemu dulaney, która tego wcale za złe nie bierze. Nowy kochanek bowiem nowe da podarki, nowe sprawi przyjemności. Bywa i to, że kobiety się sprzenie-

wierzają, w takich razach jednak rzeczy nie idą tak gładko, jak kiedy kochankowie sami ustępują. Zwyczajnie zdradzony mści się w ten sposób, że chcąc sobie wynagrodzić poniesione wydatki, zdziera z bylej przyjaciółki wszystko, cokolwiek ta ostatnia ma na sobie z odzienia w danej chwili; niekiedy obje ją także porządnie; czasem zaś zemsta taka wyradza się w zbrodnię, i niewierna pada, ugodzona nożem zdradzonego. Wypadki takich zabójstw zdarzały się tak często w Syberji, iż musiano nakoniec zupełnie oddzielić mężczyzn od kobiet i prowadzić ich na wygnanie w osobnych partjach. Zwyczaj ten ustał dopiero po zaprowadzeniu konnego etapu. Dodać należy, że opuszczony kochanek nigdy nie szuka zemsty na tym, który zajął jego miejsce: w wyobrażeniu więźniów główną winowajczynią jest sama tylko kobieta.

Wyznania Michała słuchał Władysław z rostargnieniem, jakby zupełnie o czym innym był myślał. Nie odpowiedział nawet, gdy tenże skończył i nastała chwila milczenia. Przerwał ją znowu Michał.

— Coby to panu szkodziło — mówił — pójść z polakami do przykazu... nie łatwiejszego, jak stamtąd uciec.

— Zdaje wam się tak, Michale — odparł Władysław. Dziś rano chciałem tam pójść, by się dowiedzieć, czy nie ma do mnie listu... dozorca zawrócił mnie już z bramy... Jakiś łotr z tej partji, z którą przybyłem z Jałutorowska, zadenuncjował mnie... teraz mają mnie na oku lepiej, jak przed tem.

— A ba! nie dziwiłbym się komu innemu, co by tak mówił... ale panu... Nie udało się raz, można drugi spróbować... oczywiście przebrać się potrzeba... chustką twarz obwinąć, płaszczem się odziać... niby to pana trzeba uczyć jeszcze tego rodzaju wybiegów...

— Trudno to będzie, Michale! wypadnie pono czekać lepszej pory — odpowiedział Władysław i podniósł się na posłaniu, chcąc zapalić papierosa.

— Lepiej, jak teraz nie znajdziesz pan... po jakiego diabła daleko się zapędzać; zima na karku, a jeżeli się pan dasz zaskoczyć jej we więzieniu, wtedy doprowadzą do Krasnojarska... a tam mocno biją, niech mi pan wierzy... Ale, ale! pan mówi pono po francusku — dodał, urywając nagłe.

— Trochę — odrzekł Władysław. — Czy nie chcecie czasem Michale, abym wam list napisał do waszej panny?

— E nie!... ale jest tu jakiś francuz, który po moskiewsku ani słowa nie rozumie... możebyś się pan rozmówił z nim, toby mu się nie nudziło tak bardzo.

— A gdzie on?

— Leży oto koło pana... Ej ty, mosju Francuz! —

wołał Michał chwytając za ramię leżącego po drugiej stronie Władysława więźnia. — Spi bestja! — i znowu począł go ciągnąć za rękę. Zbudzony w ten sposób więzień przewrócił się na wznak, przetarł oczy i zaczął błędnym wzrokiem około siebie poglądać, poczem usiadł na posłanie. Był to mężczyzna średniego wieku, pociągłej, smagławej twarzy, orlego nosa o kruczonych, nadzwyczaj bujnych a kędzierzawych włosach.

— Czy pan z Francji rodem? — zapytał go Władysław po francusku.

— Tak panie! z południowej... z okolic Bordeaux.

— Jakimże sposobem dostałeś się w te strony i do więzienia?

— Bawię w Rosji od krymskiej kampanji... dostałem się jako jeńiec w ręce moskali.

— Jakto? przecież jeńców ówczesnych wymieniono...

— Jam tego szczęścia nie dostał, panie... Po bitwie zaprowadzono nas do Kaługi, gdzie chodziliśmy wolno po mieście. Pewnej nocy, będąc w restauracji, pokłóciłem się z jakimś urzędnikiem policji, który nalegał, abym szedł na kwatere. Byłbym się powodował jego rozkazowi, gdyby był trochę grzeczniejszym; brutalstwo jednak, z jakim spełniał swój urząd, wzburzyło mnie... powiedziałem mu grubiaństwo, on zaś w twarz mnie uderzył. W gorączce porwałem za sztylet i przeszyłem nim urzędnika na wylot, tak że na miejscu skonał... Wzięto mnie oczywiście do więzienia i skazano na lat szesnaście do robót. Potem zapędzono do Irkucka i kazano pracować w jakiejś gorzelni. Po kilku miesiącznym tam pobycie umknąłem i dostałem się aż do Omska, gdzie mnie przytrzymało jako włóczęgę. Skryłem jużci nazwisko swoje i nie powiedziałem im skąd jestem; za to skazali mnie na cztery lata do rot aresztanckich. Tutejszy gubernator jednak robi mi nadzieję, że powrócę do Francji. Oto panie, moja historia...

— Jakim że sposobem udało się panu przejść z Irkucka aż do Omska bez znajomości krajowego języka? — zapytał Władysław rozciekawiony opowiadaniem francuza.

— Udałem chińskiego lekarza...

— Chińskiego lekarza?... to zabawne... i kogożeś pan leczył?

— Baby, dzieci, pisarzy włościańskich, kto chciał... i bardzo dobrze mi się działo w podróży.

— A znasz że pan medycynę?

— Uchowaj Boże!... tego zresztą tutejszemu lekarzowi wcale nie potrzeba... tu nie ma ludzi panie! są tylko bydlęta pełne przesądu i zabobonu. Byle poszeptać nad niemi jakie niezrozumiałe słowa, podać tajemniczo przygotowany napój, lub inny jaki hokus pokus urządzić, już cię za zręcznego

uznają doktora a co lepsza, sownie nagrodzą... Pan się śmiesz — dodał — proszę mi jednak wierzyć, że tak jest. Bo i cóż najbieglejszy lekarz poradzi babie naprzykład, która całą swą chorobę streszcza w słowach: koło serca mnie dusi?... —

— I jakże pan leczyłeś podobną kobietę? — zapytał Władysław, coraz więcej zajmując się opowiadaniem więźnia.

— Najprościej w świecie... Kazałem sobie przynieść ze dwa funty masła, z półkopy jaj, garnuszek śmietany, itp., zamykałem się potem w izbie, sporządzałem wyborną jajecznicę, zjadałem ją smacznie, resztę zaś przyniesionych produktów chowałem do torby na drogę. Potem odrobina masła zmieszanego z popiołem smarowałem chorą, mrużąc francuskie obozowe piosnki. Czy uwierysz pan, że każda pacjentka zapewniała najuroczyściej, iż jej znacznie lepiej po takiej operacji?... Odchodziłem oczywiście z nabitemi workami, niepróżną kieszenią, a często odwożono mnie nawet do innej wsi leczyć... Samo przez się rozumi się, że nie wszędzie używałem jednych i tych samych leków... mieniałem je według tego, jaki miałem apetyt. Tu mi potrzeba było świeżej krwi z kury, tam z gęsi lub kaczki, gdzie indziej soku z ćwiartki cielejcej itp. Sybiracy znosili wszystko... uważali mnie jak półbożka...

— O wierzę panu! — mówił Władysław, śmiejąc się serdecznie. Z temi włosami i bródką wydawałeś się im jak czarownik!

— A co pan powiesz na to, że włosy moje przysporzyły mi pewnego razu dziesięć rubli!.. Było to już niedaleko Omska, w jakiejś wielkiej włości. Na wstępie zaraz zatrzymali mnie chłopci, domagając się paszportu. Udałem, że ich nie rozumiem; zaprowadzili mnie więc do pisarza. Temu jak mogłem i umiałem po rosyjsku wytłumaczyłem, że jestem chińskim lekarzem, na dowód zaś pokazałem list ojca mego po francusku pisany, twierdząc że to dyplom. Pisarz, nie chcąc zapewne dać poznać chłopcom, że nie rozumi tego, co było napisane, uznał dyplom za ważny i zaprosił mnie do siebie na herbatę. Oczywiście przyjąłem zaprosiny i podczas gdy mnie z właściwą sybirakom serdecznością poił i karmił, opowiadałem mu o Chinach niestworzone rzeczy, posługując się językiem francuskim, kiedy mi brakło wyrazów moskiewskich. Czy mnie rozumiał, nie wiem, oka jednak ze mnie nie spuszczał — a właściwie z moich włosów. Zapytał mnie potem, czy wszyscy Chińczycy mają takie włosy. — O nie! — odpowiedziałem mu — bo nie wszyscy umieją robić pomadę, która sprawia taki porost.

— A pan umiesz? — zapytał skwapliwie. Potwierdziłem.

Zaczął tedy prosić i zaklinać, abym mu sporządził masę taką, obiecując nagrodzić sownie. Kocham się — mówił —

w bogatej dziewczynie, która mnie nie chce. Jestem pewny, że gdybym miał takie włosy, toby mnie polubiła... Ociągałem się z początku, potem, kiedy obiecał zapłacić dziesięć rubli, zgodziłem się. Na drugi dzień rano zagotowałem trochę smoły z dziegciem, ogoliłem pisarzowi głowę zupełnie i posmarowałem ją grubo ową mieszaniną. Kazałem mu nadto leżeć w łóżku przez całe trzy dni, jeżeli chce, aby zarost był bujny i kędzierzawy, poczem poszedłem, napełniwszy worek podróżny żywnością. —

Władysław kładł się od śmiechu.

— Myślisz pan, że kłamie? — dodał Francuz, śmiejąc się także.

— Nie, nie!... wiem ja drogi panie, że to się mogło zdarzyć — odparł Władysław. — Podobnych głupców, jak pański pisarz, jest mnóstwo w Syberji.

— Co mnóstwo!... wszyscy, powiedz pan lepiej... wszyscy bez wyjątku... ja obstagę przy swoim: to nie ludzie, lecz bydłeta. W sto ludzi naszego kroju podejmuję się zdobyć cały kraj ten! —

To rzekłszy, wyciągnął z pod posłania kilka starych koszul, kamizelkę jakąś, spodnie i parę motków nici, wstał i zarzucił wszystko przez plecy.

— Byłem żołnierzem francuskiej armji — rzekł do Władysława — dziś zeszedłem na tandeciarza... Co robić?... trzeba zarabiać na grosz, jak można, inaczej wypadałoby z głodu umrzeć przy strawie, jaką tu dają. U nas, panie, byłoby lepiej karmić, jak tu ludzi. —

I poszedł, wołając głośno po więzieniu z kiepska po moskiewsku: Ej, panowie! sprzedaje się koszula... Kto potrzebuje koszuli? dziesięć kopiejek dają... kto da więcej?

Podobna sprzedaż rozmaitych rzeczy praktykuje się bardzo często w więzieniu; jej przedmiot stanowi wszystko, cokolwiek więźniowi może być użytecznem — od czerwonej koszuli z aleksandrowskiego perkalu i czarnych manszestrowych hajdawerów, przez więźniów bardzo poszukiwanych, do najlichszych szmat płóciennych, mogących służyć tylko za onuczki, do nożyków, robionych z blachy lub podkówkę. Nadto sprzedaje rozmaite przedmioty, które tylko, w więzieniu wartość posiadają, jak np. rozmaite przyrządy do kajdan, tak zwane podkajdanniki, naszyjniki, podwiązki itp. Użycie ich rozumie tylko więźniów... Cena tych towarów stosuje się oczywiście do wartości pieniędzy we więzieniu, że zaś ta ostatnia jest wysoką, to kupić można wszystko za bezcen prawie, zwłaszcza kiedy gracz się jaki wysprzedaje, któremu fortuna chwilowo nie sprzyja. Roznosiciel bywa najczęściej tylko pośrednikiem między sprzedającym a kupującym, zarobkiem zaś jego jest pewien procent od sumy, za

którą rzecz została sprzedana. Czasem zaś jest on przekupniem w całym tego słowa znaczeniu, tj. skupuje rzeczy na własne ryzyko i sprzedaje je potem, jak może, drogo. Są też więźniowie — i żadna turma nie jest bez nich — co posiedziawszy dwa, trzy lata w więzieniu, składają sobie w podobny sposób po 200 i więcej rubli. Do turmy przychodzi taki przemysłowiec bez grosza; wkręca się do kuchni lub piekarni, gdzie sami więźniowie gospodarują; za miesiąc, za dwa już uciułał kilka lub kilkanaście rubli na sprzedaży potraw osobno przyrządzanych, lub chlebów nad przeznaczoną liczbę wypiekanych. Potem zaczyna handlować odzieniem, wódką lub herbatą, co bardzo popłaca; nabywa monopol majdanu; daje pieniądze na zastawy, a w końcu zostaje starostą więzienia, który to urząd nie mały przynosi dochód. W języku więziennym zwą tych ludzi charakternymi, odróżniając ich od żyganów, tj. więźniów graczy i utracjuszków.

*

Patrząc z boku na tę pstro z różnorodnych pierwiastków złożoną zgrałę dzikich i wyuzdanych ludzi, których cały sposób zachowania się zdaje się świadczyć dowodnie, że nie przywykli kłaść tamy swoim pożądliwościom i namiętnościom, nie uwierzyłbyś nigdy, że bywają w tych miejscach chwile, kiedy wszystko wraca do najprzypadniejszego porządku, a wrzask najsilniejszy zmienia się nagle, jakby pod wpływem różeczki czarodziejskiej, w ciszę prawie klasztorną. Chwilą taką jest tak zwana powierka, tj. przeliczanie więźniów, które w każdym więzieniu odbywa raz lub dwa razy na dzień dozorca z oficerem straży i całą czeredą kluczników oraz podoficerów. Nigdy on oczywiście nie zastaje więźniów nieprzygotowanymi. We wnętrzu więzień nie ma straży; komnaty bowiem bywają zwykle przez cały dzień otwarte, i zamykają je tylko w nocy. Owoż na korytarzach czatują najęci przez majdaniuszczyków więźniowie, których obowiązkiem jest dawać znać o zbliżaniu się czy to dozorecy, czy też innego jakiego urzędnika. Skoro ostrzeżenie dojdzie do komnat, cały obraz zmienia się w oka mgnieniu nie do poznania. Krzyki, śpiewy, śmiechy ustają jakby uciął; gracze rozpierzchają się na wszystkie strony, unosząc z sobą wszystko, coby ich mogło zdradzić; kłócący się ucinają na niedokończonych przekleństwach; fajki, noże, cygarety i inne ostro po więzieniach zabronione rzeczy znikają, jak pod ziemię i każdy z więźniów zajmuje co rychłej swoje miejsce, zachowując się cicho, przykładnie, skromnie i starając nadać twarzy jak najprzystoitszy wyraz — tak, że trudno posądzić te spokojne teras miejsca o zagłuszającą wrzawę, od której przed chwilą

w głowie się kręciło nie biorącym w niej udziału. A jako dozorca menażerii w porę karmienia zwierząt zastaje je łagodnymi i uległymi w klatkach, tak i grono urzędników, skuteczniających powierkę, natrafia wszędzie porządek i spokój po kaźniach, które wrzawą kipiały i hałasem na kilka minut przed jego pojawieniem się. Świecący guzik munduru urzędnika jest dla więźnia moskiewskiego tem, czem dla dzikiego puszcza mieszkańca, zamkniętego w menażeryjnej klatce magiczny wzrok dozorczy.

Rzadko też kiedy wydarza się, aby rozruchy, powstające tu i owdzie po więzieniach moskiewskich, nie były uśmierzane natychmiast za pojawieniem się urzędnika, umiającego tupnąć i krzyknąć, jak należy. Gdziekolwiek w takich wypadkach dochodzi do użycia broni, tam pewnie urzędnik więzienny był słabym w początkach buntu i stchórzył. Więźniowie sami przyznają, że nie zdolni są do energicznego sprzeciwienia się władzy. My naród zahukany, obity — mówią — i nie nam to walczyć z przełożonymi. Myliłby się więc bardzo, ktoby rachował na czynny ich udział w jakim rokoszu. Niekiedy rozruchy więzienne, powstałe w skutek nadzwyczajnego ucisku i nadużyć dozorców, wszelką cierpliwość przechodzących, przybierają prawda takie rozmiary, że użycie broni do ich uśmierzenia staje się nieodzownem; nigdy jednak w takich razach, po poniesionej oczywiście klęsce, więźniowie moskiewscy nie mogli się zdobyć na zgodne zeznania i śmiało krzywd swoich wypowiedzenie; owszem zawsze znajdują się tchórze i zdrajcy, którzy, chcąc siebie obronić, oskarżają podczas śledztwa innych o podburzanie i namawianie do buntu i oddają ich na pastwę srode w takich wypadkach mszczącego się rządu. Gorsza zaś to, że zdrada ta nie podlega nawet potępieniu przez więzienną opinię publiczną. Zgodni są więźniowie wtedy tylko, kiedy idzie o dostarczenie sobie środków do chwilowego zaspokojenia więziennych namietnostek, jak naprzykład, kiedy robią wycieczki do oddziału kobiet, kiedy sprowadzają wódkę, karty, tytoń — słowem, kiedy z jedności wypływają jakieś zmysłowe korzyści — i kiedy jedność ta nie grozi pałkami... Niezmiernie też rzadko się zdarza, aby ten, co im pomaga w dostawie zabronionych srogo przedmiotów: klucznik, żołnierz, czy dozorca, został zdradzonym przez nich.

Grono urzędników, skuteczniających powierkę, spotyka u drzwi każdego oddziału starosta więzienny, wybierany przez ogół więźniów dla prowadzenia wewnętrznego zarządu, ile takowy do więźniów należy. Oprowadza on ich po kamierach, rachuje z nimi i udziela objaśnień, jakich żąda ten lub ów urzędnik. Starosta taki przyjmuje prócz tego żywność od liweranta więziennego w surowiznie, oddaje ją kucharzom,

wybieranym z pomiędzy więźniów, rozdziela potrawy i chleb, zawiaduje ogólną kasą, powstałą z jałmużny, którą znoszą mieszkańcy, i z sprzedaży monopoljów więziennych, jako to: majdanu, prawa do sprzedawania wódki, tytoniu, itd.; opłaca z niej piekarzy, kucharzy, łaźnienników i paraszników, tj. czyszcicieli kanałów tiuremnych; przestrzega porządku po kaźniach itp. Niekiedy bywa mu dodany do pomocy podstarosta, zawsze zaś ma pod sobą dziesiętników, których liczba odpowiada ilości więźniów, przebywających w tiurmie. W podróży na Sybir starosta rozdziela między więźniów pieniądze, które im rząd wyznacza zamiast strawy; odbiera on je na każdym etapie z rąk oficera straży dla całej partji. Sprawozdanie o stanie kasy zdaje on ogółowi każdodziennie wieczorem, obwołując po kaźniach, ile pieniędzy przybyło, a ile i z jakich powodów ubyło. Urząd jego, jak powiedzieliśmy jest wybieralny i dostaje się zwykle więźniom, którzy postępowaniem zuchwałem, wielkością zbrodni popełnionych, siłą, ubiorem, bogactwem wreszcie zyskali poważanie tych, co wyborami kierują. Ogół bowiem, w właściwym tego słowa znaczeniu, udziału w nich nie bierze. Kilkunastu więźniów, umiających najwięcej krzyczeć i posiadających zachowanie u towarzyszy, wybiera z pośród siebie jednego, obwołuje go starostą, i na tem koniec; większej części więźniów sprawa ta nie interesuje nawet wcale. Niechętnie się pełni obowiązki członka społeczeństwa, do którego się należy z musu... Urzędowanie starosty trwa dotąd, dopóki się nie pokłóci z tymi, co go mianowali. Często dostaje także dymisję od ogółu dla tego, że zbyt głęboko i nadto jawnie zapuszczał rękę do wspólnej kasy.

Jeszcze jedna uwaga co do powierki. Po małych powiatowych i gubernialnych więzieniach dostarcza ona nieraz więźniom sposobności odemśzczenia w oryginalny sposób oficerowi lub podoficerowi straży, za zbytnią srogość jego w czuwaniu nad tem, aby z zewnątrz nie zabronionego nie dostało się do więzienia. Straż zmienia się zwykle co dwadzieścia cztery godziny. Naczelnik ustępującej zdaje więźniów pod rachunkiem naczelnikowi świeżo przybyłej. Wtedy to więźniowie ukrywają jednego lub dwóch z pomiędzy siebie bądź to pod podłogą, bądź w kominie, bądź w cerkwi, bądź też w jednym z owych licznych schowków, które zwykle posiadają w zabudowaniu tiuremnem. Oczywiście przy obliczaniu liczby się nie zgadzają, okazuje się brak; liczą raz, dwa, trzy razy, zawsze z tym samym skutkiem. Naczelnik ustępującej straży w okropnym kłopotcie, ponieważ odpowiedzialnym jest, gdy więzień jaki uciecze; udaje się więc z prośbą do areztantów, aby mu powiedzieli, co się stało z brakującym, którego daremnie wszędzie szukano, wypędzwszy wszystkich

więźniów na podwórze. Ci obiecują go wybawić z kłopotu, jeżeli im przyrzecze być mniej srogim, co tenże rad nie rad czyni. Wpuszczają ich więc napowrót do kamer i doliczają się wszystkich przy ponownym obrachunku.

Wspomniawszy o zemście więźniów za sumienne wypełnianie obowiązków strażniczych, nie od rzeczy będzie przytoczyć jeszcze dwa wypadki, dotyczące się tego samego przedmiotu, dla zuchwałości trudne wprawdzie do uwierzenia, jednak autentyczne. Obydwa wydarzyły się w Permie. Był tam zwyczaj stawiania straży po korytarzach, kiedy kamery na noc pozamykano. Pewnego razu postawiono na jednym z nich rekruta, który nie był obznajomiony z więziennym trybem życia i sądził, że mu wypada jak najściślej się stosować do instrukcji, którą mu dano w koszarach. Skoro tedy ujrzał przez otwór we drzwiach, że w jednej z kamer więźniowie zabierają się do gry w karty, oświadczył im stanowczo, że zawoła oficera, jeżeli grać nie przestaną. Nie zmiękczyły go ni prośby ni pieniądze ofiarowane przez majdańskiego. Tedy dobywa jeden z więźniów flaszki z wódką, pokazuje ją strażnikowi i wychyla w jego oczach prawie do dna. Przełknięty rekrut daje sygnał, na który przybiega oficer, kilku podoficerów i z dziesięciu żołnierzy. Rekrut zdaje raport. Otwierają komnatę i znajdują rzeczywiście flaszkę z resztą niedopitej wódki u więźnia wskazanego przez rekruta. — Skąd ją masz? — pytają. — Panowie wiecie — odpowiada — że do miasta sam nie chodziłem; przyniósł ją ten oto żołnierz, który mnie przed wami zadenuncjował; a uczynił to dla tego, że mu nie chciało dać tyle, ile żądał... Oficer wiedział dobrze, że więzień kłamie, lecz wiedział także, że ktoś musiał wódkę do więzienia przynieść. Że zaś fakt stał się głośnym i winnego koniecznie wykryć wypadało, inaczej mógłby dostać nagane od swego naczelnika, to zeznania więźnia przyjął jako prawdziwe i ściągawszy rekruta z posterunku ukarał go kijami za przekroczenie instrukcji... Łatwo się domyślić, że po takim doświadczeniu biedny nowicjusz przestał być zbyt gorliwym w pełnieniu służby.

Innym razem zemsta podobna dotknęła policyjstra, który był sprawił, że więźniów i w ciągu dnia trzymano w zamkniętych kaźniach, nie pozwalając im wychodzić na podwórze. Podczas gdy odwiedzał więzień i piękny płaszcz, podbity futrem kosztownym zostawił w przedsiönku, skradziono mu takowy i ukryto w ogromnym kotle kuchennym pod ugotowaną a chłodną kaszą. Oczywiście dokładano wszelkich starań, aby go odszukać, lecz daremnie, bo nikomu nie przyszło do głowy zajrzeć do kotła pełnego kaszy... Płaszcz ten dostał się potem za pośrednictwem wodowozu

więziennego do miasta i tam sprzedany został; policyjster zaś miał się względem więźniów znacznie zmienić na lepsze...

*

Do lewego skrzydła szpitala przypiera mur, który od głównego dziedzińca oddziela dwa inne. Nad bramą, wiodącą do mniejszego z nich, czytasz napis: d^uorianskij dwor, podwórze szlacheckie; drugi większy, przegrodzeniem muirowanem na dwie części podzielony, nosi nazwę podwórza dla posieleńców nieżonatych, chołostoj posieleńskiej dwor. W latach 1863, 1864 i 1865 umieszczano w budynkach, do tych dziedzińców należących, wszystkich nieżonatych Polaków, skazanych do robót w kopalniach lub fabrykach. Polacy którzy mieli lżejsze wyroki, zajmowali dla braku miejsca w więzieniu, koszarę na Padole tj. w niższej części miasta.

Była może siódma godzina rano, kiedy Jan w odzieniu szpitalnem i Władysław weszli na większy z onych dwóch dziedzińców.

— Tu trochę weselej, niż tam u ciebie — rzekł pierwszy, zmierzając wprost do długiego budynku, przypartego do muru, który otaczał całe więzienie.

— Nie tak ponuro przynajmniej i nie tak ciemno... zawsze jednak więzienie — odrpiał Władysław. Lecz dokądże my to idziemy? — zapytał, widząc że Jan chciał się udać na ganek, z którego się wchodziło do wnętrza budynku.

— Na herbatę...

— To za wcześnie, Janie!... przejdźmy się lepiej trochę po dziedzińcu na świeżem powietrzu... nie uwierzysz, jak mi go potrzeba po nocy, spędzonej sród tak okropnej atmosfery, jak w naszym oddziale. Czy ty byłeś tam kiedy?

— Zaglądałem raz, czy dwa... u nas powietrze daleko znośniejsze, mimo że ludzi jest zawsze pełno... kamery są daleko wyższe... Ale kiedy chcesz przechadzki, to służę ci...

— Powiedz mi — zapytał po chwili — w której części więzienia mieszkales, kiedyś przejeżdżał tedy w r. 1861?

— W tym oto domku — odrpiał Władysław, ukazując budynek na podwórzu szlacheckiem.

— Tam, gdzie teraz nasza magnaterja siedzi...

— Tak... miałem tam wspólną celę z Michajłowem z Petersburga, skazanym w r. 1861 do katorgi.

— To znasz Michajłowa?... Powiedz że mi co o nim, proszę cię... moskale, jak wiesz bardzo wysoko go cenią.

— I mają słuszną! — mówił Władysław — człowiek to ze wszech miar godny szacunku i wielce w obec nich zasłużony. Już to jedno, że urodzony z księżniczki i ze starego

szlacheckiego gniazda pochodząc, należał cały do postępowej demokratycznej partii i był jednym z jej filarów, daje mu wszelkie prawo do uznania. Nam zaś cieszyć się wypada, że go moskale szanują; dowodzi to bowiem że ogół z nim sympatyzuje, co tyle ma znaczyć, że się skłania do rewolucji.

— Ho, ho... jak ty galopujesz, Władku!... w Moskwie daleko jeszcze do niej — odparł Jan.

— Nie tak może, jak ci się zdaje...

— W najlepszym razie zastąpią jednego tyrana drugim, jak to już nie raz robili... Toć oni bez cara się nie obejdą... znam ja ich dobrze!

— Znasz wojsko, lecz nie znasz młodego pokolenia, a przyszłość do tego ostatniego należy... Oto posłuchaj historii Michajłowa, a przekonasz się, że sprawa inaczej trochę stoi.

Jan ruszył ramionami, lecz słuchał nie przerywając.

— W roku 1860 będąc współpracownikiem *Sowremien-nika* i docentem na petersburskiej wszechnicy, Michajłow, wspólnie z innymi, napisał proklamację do młodego pokolenia w duchu niezmiernie rewolucyjnym i podburzającym. W samej stolicy rozrzucono jej przeszło 4000 egzemplarzy, drugie tyle rozesłano na prowincję. Nie pominięto nawet carskiego pałacu, dokąd w oryginalny dostała się sposób.

— Jak? — zapytał Jan.

— Pocieszna to historia, a prawdziwa... sam Michajłow mi o niej powiadał; prócz tego słyszałem ją od pewnego oficera gwardji, który był obecny tej scenie i którego później wysłano za coś na kirgiskie stopy. W sam dzień pojawienia się proklamacji, czy też w kilka dni później wyprawiano w zimowym pałacu jakąś uroczystość. Car był z całym dworem na mszy w kaplicy i przyjmował potem w salonach. Jak zwykle, musiała być i szkoła paziów obecną na urzędowej części uroczystości. Cerkiew była natłoczona. Podczas długich obrzędów greckiej mszy pontyfikalnej znudzili się starszyszkowie z senatu i generałowie i pozasypiali w ławkach. Owóż wtedy niektórzy z paziów i kadetów zaczęli uwijać się po cerkwi i powsadzali, komu się dało, proklamacje do kieszeni. Po skończonym obrzędzie udano się na pokoje — paziów i kadetów odprawiono oczywiście do domu. Jeden egzemplarz proklamacji dostał się był także wielkiemu księciu Mikołajowi, młodszemu synowi cara. Miał on ją w salonie wyciągnąć z kieszeni wraz z chustką do nosa i okrzykiem zdziwienia zwrócić uwagę ojca, który odebrawszy mu ją, zaczął czytać głośno. Każdy z obecnych sięgał wtedy do kieszeni i każdy niemal znajdował jeden egzemplarz... Możesz sobie wyobrazić, z jaką żarliwością starała się policja odkryć niewiadomego autora; w proklamacji bowiem było

wzewanie do wyróżnienia całej rodziny carskiej, w razie gdyby ta miała stać na przeszkodzie zaprowadzeniu postępowych reform...

— Jakimże sposobem dowiedzieli się o Michajłowie? —

— Na krótko przed pojawieniem się odezwy aresztowano w Moskwie Kostomarovą, brata sławnego historyka. Jeździł on tam podobno w interesie proklamacji. Śledztwa na miejscu nie prowadzono, lecz odesłano go do Petersburga, gdzie sprawą zajęła się komisja trzeciego oddziału. Z więzienia pisze ten gap karteczkę do Michajłowa, ostrzegając go, aby się miał na ostrożności z «odezwą d. m. p.» Oczywiście kartkę przejęto, lecz nie zrozumiano, co by to miała być za proklamacja. Nie wiadano także do którego z licznych w Petersburgu Michajłowów ostrzeżenie one było adresowane; Kostomarov bowiem odmówił kategorycznie wszelkich objaśnień. Że zaś w tem wszystkim podejrzewano coś niebezpiecznego, więc pewnej nocy robia równocześnie rewizję u wszystkich Michajłowów, ile ich było w Petersburgu, myśląc, że tym sposobem znajdą najprędzej nie wyszłą wtedy jeszcze na świat odezwę. Oczywiście nic nie znaleźli... Mówił mi Michajłow, że właśnie podczas rewizji miał u siebie w kominku przeszło trzy tysiące gotowych odbitek... Biorą więc znowu Kostomarovą na ściślejszą indagację. Ten przebąkuje coś o swoich stosunkach z docentem Michajłowem, nie objaśniając ich jednak co do odezwy. Robią więc powtórną rewizję, lecz i tym razem daremnie. W tem pojawia się proklamacja «do młodego pokolenia», a zagadka owych głosek d. m. p., których Kostomarov użył w kartce, zostaje rozwiązana. Komisja wzięła się teraz ostro do więźnia i przełamała w końcu jego upór. Michajłow został zdradzony... Uwięziono go natychmiast, że zaś nie przyznawał się do niczego, postawiono mu do ócz Kostomarovą. Na widok zdradzonego przyjaciela struchlał on, zbladł i nie chciał mówić ani słowa. Po wielokrotnem dopiero naleganiu i zachęcaniu prezesa komisji w te odezwał się słowa: Nie dziwiecie się panowie że ja nie mówię; Michajłow więcej wie odemnie, i milezy. — Usłyszawszy to Michajłow strasznie się oburzył... chciał nazwać Kostomarovą w obec komisji podłym i nieczemnym zdrajcą, powściągnął się jednak, lękając, by go nie rozdrażnił bardziej jeszcze i w głębszą przepaść zdrady nie wtracił. Wielu z sprysiężonych zostawało bowiem na swobodzie i Kostomarov wiedział o tem. Poprosił więc, aby tego ostatniego oddalono z pokoju; co gdy uczyniono, przyznał się do winy, przyjmując wszystko na siebie... Komisja poprzestała na tem, nie szukając dalej. Dostę jej było, że mogła donieść carowi, iż autor proklamacji odkryty. Michajłowa oddano pod sąd wojenny; a tak popularnym stał

się on w Petersburgu po owej proklamacji, że dwóch generałów wymówiło się od prezydentury w tym sądzie, za co też niezwłocznie z Petersburga wydaleny zostali. Wyrok opiewał na 12½ lat do robót. Był to zresztą najmniejszy stopień kary, którą prawo przepisuje w podobnych wypadkach. Na prośby carowej, która w Michajłowie uczyć chciała szermierza emancypacji kobiet i autora głośnego dzieła o tej sprawie, zmniejszył mu car karę na lat sześć, jeżeli sobie dobrze przypominam. Fotografie jego, zdjęte w chwili gdy go miano prowadzić pod pręgierz dla dopełnienia formalności odjęcia mu praw szlacheckich, roschodziły się tysiącami po całej Rosji.

— Jakież wrażenie na ciebie zrobił? — zapytał Jan, który z uwagą przysłuchiwał się powyższej opowieści.

— Mnie on się bardzo podobał... Ile to można było w ciągu dni dwunastu spędzonych z nim w jednej celi, poznałem w nim prawdziwego i rzetelnego postępowca, choć na wszystkie jego zdania nie mógłbym się pisać. Zdaje mi się, że mimo realistycznych poglądów swoich był on w gruncie rzeczy niepoślednim idealistą... Tak na przykład utrzymywał, że Rosja dziś już dojrzała do przyjęcia wszelkich reform społecznych, które zachód przeprowadził u siebie po tyloletnich krwawych walkach i zapasach. Wierzył także w możliwość ludowego powstania w Rosji, bez zbyt długich i męczących prac przygotowawczych. Oryginalnie też zapatrywał się na naszą sprawę. Wy Polacy, mówił, sami najbardziej sobie szkodzicie wobec postępowych pierwiastków w Europie. Domagając się granic 1772 r. stajecie w sprzeczności z zasadą, dla której walczyście. Chcecie wolności dla siebie, lecz odmawiacie jej poniekąd Małej, Białej i Czerwonej Rusi. Dla czego pragniecie koniecznie przyłączenia tych krain do waszej Rzeczypospolitej? Zostawcie im swobodę utworzenia swej własnej, jeżeli tego zapagną; łączcie się zaś z nimi tylko na wypadek, gdy same tego zażądają. Tylko federacyjne związki są stałe i wróżące przyszłość... Potem macie jeszcze jeden zakorzeniony u was niedostatek, który nie idzie w parze z demokratycznymi tego wieku zasadami. Przywiązujecie się oto z nadto do głośniejszych imion; sądzicie, że skoro pradziad takiego np. Zamojskiego, Czartoryskiego, Potockiego itp. był wielkim człowiekiem, prawnik także nim być musi... nie przypuszczacie, aby potomkowie ludzi, co zasłużyli u was na sławę, mogli być niedołęgami. Blask świetnego imienia nie gaśnie w waszych oczach, lecz przenosi się na późne nawet pokolenia i nie daje wam doręcz ich nicości, wad i niedostatków. Jest to poniekąd piękna strona waszego charakteru, to prawda... umiecie być wdzięcznymi... wszakże wdzięczność taka za daleko posunięta.

Ona nie powinna przechodzić na dzieci zasłużonych mężów, skoro te ostatnie same nie zasłużyły na nią przez czyny... inaczej przywilejów się nie pozbedziecie, a zachcianki arystokratów zawsze u was znajdują posłuch, i taki Czartoryski, albo Potocki, posługując się blaskiem, który otaczał jego dziada, zaprowadzi was, dokąd zechce, dając firmę swoją temu lub owemu sprzysiężeniu lub przedsięwzięciu... Trochę republikańskiej niewdzięczności nie zaszkodziło by wam wcale...

— No... co się dotyczy zdań jego o Polsce i Polakach, nie powiem, aby były trafne — zauważał Jan. — Zresztą i oryginalnymi nie są, jak je nazwałeś... słyszałem je nie od jednego Moskala... Ale pono i tu w Tobolsku była jakaś awantura z powodu owacji, jakie mu robiono — dorzucił po chwili.

— A tak... — odparł Władysław. — Zdjęto mu kajdany zaraz na drugi dzień po przybyciu; odwiedzano go w więzieniu; kobiety znosiły mu kwiaty pielęgnowane w wazonach; wreszcie i ucztę wyprawiono w mieście dla niego, na której był wicegubernator, pułkownik żandarmerji, policmajster, i inni. W pół roku potem pospłecztał się adjutant pułkownika żandarmerji z swoim naczelnikiem o coś, i mszcząc się, doniósł o wszystkim do Petersburga. Przesłano oczywiście komisję, a po śledztwie oddalono policmajstra, pułkownika, wicegubernatora Sołowiewa, bardzo czcigodnego człowieka i samego nawet gubernatora, Winogradzkiego. Wszakże nie tylko w Tobolsku doznał on takiego przyjęcia. Przez wracających żandarmów, którzy go do Irkucka odwieźli, doniósł on mi, że i tam podobne jak w Tobolsku wyprawiono mu owację*).... Ale zagawędziliśmy się, Janie, a ty może dobrze już głodny. Idźmyż na herbatę! —

*

Zwrócili się obaj ku gankowi. Tu Władysław zatrzymał się jeszcze i wskazując na półokrągłe okienko, należące do budynku podwórza szlacheckiego, rzekł:

— Stąd oto przypatrywałem się pierwszy raz w życiu, jak Moskale biją różgami.

— Kogoż bili? — zapytał Jan.

— Jakiegoś zbrodniarza. Było to w piątek; podówczas

*) Michajłow zmarł w r. 1865, czy 1866 w kopalniach sybirskich. Z początku nie używano go do robót i wcale łagodnie z nim się obchodzono. To wywołało denuncjację jakiegoś niższego urzędnika, w skutek której dyrektor kopalni został odwołany i pod sąd oddany. Następca jego, jak się łatwo domyślić można, zaczął się obchodzić z Michajłowem nielitościwie, który też z przyczyny słabego zdrowia i bardzo wątpliwej konstytucji uległ niebawem barbarzyństwu.

wyprowadzono każdego piątku wygnańców z tutejszego więzienia w dalszą podróż do Syberji. Mróz był niesłychany, rzecz działa się jakoś około Jordanu. Wypędzono z tej oto sali, do której idziemy, wszystkich więźniów, ustawiono ich w szereg i zaczęto przetrząsać rzeczy. Służący naszego korytarza mówił mi i Michajłowowi, że chcą się przekonać, czy który z więźniów nie przemarnotrawił przypadkiem danego mu na podróż odzienia skarbowego. Natrafiono na jednego, co miał na sobie dwa kożuszki, które zeszył w jeden, chcąc je ukryć. Rospruto je, odebrano nadliczbowy i położono na nim winowajcę. Przyniesiono dwa pęki różg i dwóch żołnierzy stanęło naprzeciw siebie tak, że więzień leżał pośrodku. Jeden z nich obrócił różgę grubszym końcem. Na dany znak zaczęto bić nieboraka w dwójkę tak prędko, że ledwie dostrzedz było można, jak się pęki różg spuszczały i podnosiły. Krew załała kożuszek. Nie wiem ile dostał, lecz nasz służący, co się rozumiał wybornie na tych rzeczach twierdził, że mu dano najmniej dwieście. Sposób ten karania grubszym i cieńszym końcem różgi nazwał on «w pere-sypku» i upewniał że to bardzo boli. Po skończeniu egzekucji, nie zważając na to, że biedaczysko nie mógł się ruszyć, wtłoczono go na sanie między dzieci i kobiety, włożono kajdany na ręce i odprawiono z partją. Nie wyobrazisz sobie, jak straszne to widowisko — —

Więźniowie weszli potem do wnętrza budynku.

Cały ten dom, mający jak rzekliśmy dwa wchody z gan-kami, podzielony był na pięć sal, które obecnie zajmowali sami Polacy. Okna pierwszych dwóch wychodziły na jedną połowę podwórza, okna dwóch drugich na drugą, piątą salę zaś oświecały niewielkie, wysoko umieszczone i gęsto okratowane otwory, wychodzące na ulicę. W tej części budynku, do której weszli Jan i Władysław, było najwięcej Litwinów. Koroniarze wybrali i wchód inny i drugą połowę przegrodzonego dziedzińca. Nie było wprawdzie widać jawnej niechęci jednego szczeplu do drugiego, jednak nie powiem, aby istniała między nimi zażyłość i braterstwo, jak tego wymagała wspólność sprawy. Gdzie się tylko nadarzyła sposobność, tam się dzieliły i tworzyły kółka osobne. Wyjątki były, i to częste nawet, ale ogół skłaniał się widocznie do tworzenia dwóch ciał odrębnych.

Mieszkanie to składało się z dwóch obszernych i wysokich pokoiów, które łączył otwór, podobny do bramy. Srodek pierwszego z nich zajmował tapczan, w języku więźniowym narami zwany, zajmujący tyle miejsca, że zostawały się tylko wąskie przejścia między nim a ścianami. Cały był zasłany kirgiskimi kilimkami, co służyły za posłanie. Wielki nieporządek panował w całym pokoju i czynił go podobnym

do tymczasowego koczowiska jakiegoś groma przechodniów. Poustawiane przy ścianach i pod tapczanem kuferki, tłumoki i walizy najrozmaitszych kształtów i objętości, wszystkie upakowane i posznurowane, świadczyły, iż właściciele ich każdej godziny gotowi byli do drogi.

W chwili, kiedy Jan i Władysław weszli, wiele więźniów używało jeszcze spoczynku. Leżeli oni, odziani w szare, więzienne płaszcze, głowami do siebie po obu stronach tapczanu. Inni już się ubierali; jeszcze inni, siedząc na wpół rozebrani na posłaniu, naprawiali podarte odzienie. Mała garstka zupełnie już ubranych, krzątała się przy ogromnych samowarach, rozstawionych tu i owdzie na stołach koło okien. Para, dobywająca się z pod pokrywek samowarów, osiadała na wielkich szybach i cmiła wpadające z podwórza światło tak, że dzień zdawał się pochmurny.

Już na pierwszy rzut oka dawała się spostrzegać wielka różnica między więźniami, zajmującymi tę część więzienia, a zbrodniarzami, których widzieliśmy na podwórzu kajdannem. Miło było patrzeć na te oblicza otwarte, śmiałe, po największej części młode, zdrowe i rumiane, żadnymi jeszcze nie oszpecone namiętnościami.

Każda para oczu spotykała cię tu ogniem szlachetnej dumy i życia, które kazało się domyślać ogniska wyższych uczuć w duszy. Właściciel ich czuł i wiedział, zdawało się; że jest godzien szacunku, odpowiednio więc temu postępował z tymi, co się do niego zbliżali. Musiałeś ulegać wpływowi, który zwykły wywierać na otoczenie samą powierzchownością już ludzie głębokich przekonań i sere młodych, prawych i gorących. W gronie tem od razu, nie wiedząc jak, nabierałeś sam tej otuchy i pewności siebie, które jaśniały na wszystkich niemal twarzach. Czoła wysokie, otwarte, zdradzające myśli wyższe, pociągały ku sobie szlachetnością, nakazywały szacunek, a wyraz tęsknoty i bólu, który je pokrywał bez wyjątku prawie, głębokie budził współczucie, im zaś samym nadawał cechę dojrzałości. Chętnie też przebywałeś między tymi młodzieńcami, których większość znamiętowała powierchownością już osobistą odwagę, samoistość i zdolność poświęcenia się za sprawę szlachetną.

Podobnie jak obliczem, tak samo i odzieniem różnili się znacznie więźniowie Polacy od Moskali. Suknie ich, chociaż sporządzone z grubego szarego sukna, nosiły na sobie cechę dobrego smaku i jakiejś wytworności, która atoli umiała się chronić tak dobrze pod maszką prostoty, iż nie raziła nigdy pretensją. Zdawało się, iż suknia więźnia Polaka była nierozdzielną częścią jego jestestwa, tak zgrabnie, i z taką lekkością nosił. Bywały wypadki, że niektórzy z więźniów Moskali, widząc łagodniejsze obchodzenie się żołnierzy

i urzędników z Polakami, i chcąc pozyskać także przywileje dla siebie, przebiegali się podczas pochodu w czamary lub samodziałówki i naciągali buty wysokie; fortel ten jednak prawie nigdy się nie udawał; poznawano ich zawsze jedynie po ruchach mniej zgrabnych, ciężkim chodzie i śmiesznej napuszystości, którą starali się naśladować dumę polskich więźniów. Z drugiej strony nie było łatwiejszego, jak odróżnić w tłumie więźniów obydwu narodowości Polaków, nawet wtedy, gdy mieli na sobie takie, co i zbrodniarze brodiażki, czyli płaszcz z czworogrannymi płatkami na plecach.

Jan i Władysław, nie zatrzymując się w pierwszej, dopiero opisanej sali, przeszli do drugiej, gdzie podobny panował nieporządek i taki sam się im przedstawił widok. Na jednym ze stołów, które stały, jak i w pierwszej sali koło okien, kipiał ogromny samowar z odchyłoną trochę pokrywką i zdawał się oczekiwać biesiadników, co mieli zasiąść koło niego. Jeden z więźniów, mężczyzna lat około 38, średniego wzrostu, brodaty, szatyn, łagodnego wejrzenia i twarzy ujmującej, krzątał się około mycia filiżanek i łyżeczek, których dobywał z obok stojącego kuferka. Obmyte przedmioty kładł rzędem na kraju stołu. Obok niego siedział na przypartej do ściany ławce inny, trochę młodszy więzień, z ogorzałą twarzą, długim jasnym włosom i nieco do góry zadartym nosem. Miał głowę spartą na rękę i poglądał beznamiętnie na towarzysza.

Do owej to grupy podeszli nasi znajomi.

— Gdzieżecie się tak długo zasiedzieli? — zapytał nowoprzybyłych siedzący za stołem — od pół godziny samowar już kipi....

— Zagawędziliśmy się na przechadzce — odrzekł Jan podając rękę mówiącemu. — Dzień dobry Olku! — dodał witając się także z krzątającym się około herbaty więźniem.

— Władysław przyszedł? — zapytał tenże, nie odwracając się od zajecia.

— Jestem! dzień dobry wam! — odpowiedział Władysław, usiadł przy stole i przyciągnął ku sobie jedną z przygotowanych filiżanek. Herbatniczka, przykryta złożonym we troje ręcznikiem, stała już od dawna na samowarze, wzięto się tedy do nalewania.

— I jakżeście tam uradzili? — zapytał Oleś, który usiadł także do stołu.

— A cóż tu radzić? — odparł Jan, nalewając sobie ukropu do filiżanki. — Antoni da swój szal Władowi, obwinimy mu twarz, niby go zęby bolały, i wyjdziemy... Drugi raz nie poznają go pewnie....

— Kiedy? — zapytał Antoni.

— Jużci przy najbliższej sposobności — odrzekł Olek. W poniedziałek czy we wtorek idą nasi do prykazu....

— Tylko musisz się dobrze przebrać — mówił Antoni zwracając się do Władysława. — Nadzorca zawsze sam wyprawia....

— Spróbuję! — odparł Władysław lakonicznie.

— Jakto spróbuję? — zawołał Oleś, stawiając filiżankę na stole i wpatrując się we Władysława. — Ty musisz koniecznie wyjść z nami... cóż my bez ciebie zrobilibyśmy?

— Ja gotów, moi kochani, każdej chwili... choćby na przebój... ale nie mogę ręczyć, czy mi się uda. Wicie sami, jak mnie tu mają na oku.

— At, co by się tam nie miało udać! — zawołał Jan, podsuwając opróżnioną filiżankę Olesiowi, który pełnił obowiązki gospodarza.

W tej chwili cicho się zrobiło na sali, a z drugiego jej końca ozwał się donośny jakiś głos, wymawiający dobitnie słowa: «W imię Ojca i Syna i Ducha świętego»!

Władysław spojrzął z zadziwieniem w stronę, z której głos ów pochodził. Dziwny widok przedstawił się oczom jego.

Przy ostatnim oknie gorzały na stole, przykrytym czystym prześcieradłem, w dwóch cynowych wysokich świecznikach, dwie kościelne świece woskowe. Pośród nich stał krzyż drewniany z wyobrażeniem ukrzyżowanego Zbawiciela. U stołu klęczał przy rozłożonej książce kapłan w bieluchnej komży i stule. Twarz jego obrośnięta razila przy czarnej sutannie, komży i stule. Był to bowiem jeden z tych księży, którzy nie golili twarzy z przyczyny, że im w skutek wyroku, skazującego ich na utratę praw wszystkich, zabroniono nosić odzienie swego stanu. W Tobolsku uchodziło to jeszcze cichaczem. Dalej w Syberji jednak przestrzegano nieco srożej tego dziwnego nakazu. W niejakiem oddaleniu od kapłana, klęczało między tapczanem a ścianą kilka dziesiątków więźniów w szarych czamarkach lub świtkach, sporządzonych krojem wołyńskim. Głowy mieli pochylone ku ziemi; nabożność głęboka malowała się na twarzach smutnych, w oczach błyszczały łzy u niektórych, a ręce były złożone do modlitwy. Dziwnie jednak wyglądała ta pokora przy ryśach, nacechowanych po największej części odwagą i dumą szlachetną; widać było zaraz, że więcej przywykli stawiać czoło burzom i losowi, jak korzyć się przed kimkolwiek. Inni, należący do tego grona, stali z braku miejsca oparci o tapczan lub ścianę, i słuchali z takim co i klęczący nabożnictwem modlitw, odczytywanych głośno przez księdza. Reszta sali tworzyła wielką sprzeczność z tym obrazem, który tak żywo kościół przypominał. Koło okien wrzały sa-

powary, przy których garstki więźniów piły herbatę; tu i owdzie przeciągało się na tapczanie kilku obudzonych ze snu szmerem odmawianej litanji; w kącie znów jakiś więzień nawpół rozebrany zaszywał sobie brodiażkę; tu znów inny sznurował tłumok, a tam po opróżnionem przejściu między ścianą a tapczanem, przechadzało się kilku rozmawiało, nie zwracając nawet uwagi na modlących się.

— A to co takiego? — zapytał Władysław, kładąc na stół kępi, które dotychczas miał na głowie. — Cały, widzę, ołtarz wiozą z sobą na Sybir...

— Przybyła wczoraj partja Ukraińców i Wołyniaków z księdzem, który zabrał z sobą wszystkie przyrządy kościelne... modlą się — odrzekł Olek. — Nadto — dodał po chwili — będą dziś chrzciny, bo przeszej nocy narodziło się jednemu z naszych dziecię na podwórze żonaty.

— No, to ciekawe! Sądzę, że te mury odkąd stoją, nie były świadkami czegoś podobnego! — mówił Władysław oglądając się na wszystkie strony sali.

— Ha cóż! — prawił Oleś tonem wyrzutu i lekko przytem wzdychając — ludzie się modlą, a my o Bogu i nie pomyślim! Zasiadliśmy do śniadania, nie przeżegnawszy się nawet.

— Nie tęsknij za tem — wtrącił Jan — nażegnasz się do woli podczas ucieczki po chatach sybirskich...

— Kto wie, czy Bóg dozwoli nam uciec! Właśnie wypadałoby pomodlić się do niego o to...

— Wierz mi Olku — rzekł Antoni — trudnoby mi było teraz szczerze westchnąć do Boga...

— Bo też te mury z tem wszystkim co w nich jest, prędzej cię przekleństwem natchnąć zdolne jak chęcią do modłów — dodał Jan ponuro.

— Wiecie co, bracia moi! — zawołał Władysław, opróżniając filiżankę i stawiając ją do góry dnem na spodku — ani modły, ani przekleństwa nie wyprowadzą nas z więzienia... trzeba będzie uciec samym, i basta... Czyn, czyn i jeszcze raz czyn — oto co zostało dla nas. —

Ogólny ruch na sali towarzyszył ostatnim słowom Władysława. Litanję skończono, a do stołu przystąpiła kobieta z niemowlęciem na ręku, ubrana w odzież świąteczną. Kilku mężczyzn, których długie kapoty przypominały żywo zaściankowych naszych szlachciców, postępowalo tuż za nią z uroczystym wyrazem na twarzach. Po odbytem kolejno ucałowaniu rąk kapłana zaczął się obrzęd chrztu. Co było w sali więźniów, skupiło się około stołu, a ci co nie mogli się pomieścić w przejściu, powłazili na tapczan. Po przymilonym wzroku i licach smętno uśmiechniętych odgadłeś natychmiast, że miłe wspomnienia poruszyły się w umyśle każdego. Śród

ponurych ścian więzienia przypomniła się wszystkim na widok znanego obrzędu droga ojczyzna, i każdy z tem większym zachwytem napawał się tem wspomnieniem, im pożądańszy dla coraz przybywającej odległości stawał się jego przedmiot.

I grono znajomych naszych nie zdołało się oprzeć owemu wpływowi, jaki wywiera powtórzony śród obczyzny, choćby najpospolitszy obyczaj ojczysty. Zmieszani z tłumem cisnących się około stołu więźniów, spoglądali w milczeniu i z całą uwagą na sprawiane przed ich oczami obrzędy, i jak u wszystkich tak i u nich przybrały twarze wyraz umilenia, zmieszanego z tęsknotą. Każdy marzył o domie, i każdy tem więcej chciał marzenie to przedłużyć, im dotkliwiej rzeczywistość dawała mu uczuwać jego stratę.

Po ukończeniu chrztin tłum więźniów rozstąpił się z poszanowaniem przed kobietą, która wychodziła z sali, huśtając na ręku płaczące niemowlę; każdy niemal rozrzewnił się na myśl o doli, w jakiej to dziecko zrodzone, i jaka je czeka w przyszłości.

Po chwili sala znowu przybrała zwykłą fizjonomję. Podzielono się na gromadki, zaczęto gawędzić, śpiewać; a tłem, na którem się snuły opowiadania, było oczywiście powstanie.

Byli i tacy, co do kart zasiedli...

Nie zawadzi przytoczyć kilka urywków tych gawęd, podsłuchanych w rozmaitych kółkach. Uwydatni się przez to żywy stan rzeczy.

*

— Ze wszystkich Moskali, nienawidzę najbardziej kozuńców! — mówi młody jakiś powstaniec, którego ubiór i powierzchny układ świadczyły, iż należał do wyższych warstw społeczeństwa.

— Musieli cię zapewne, biorąc do niewoli, nahajkami dobrze osmagać — odpowiada mu uśmiechając się jeden ze słuchaczy.

— O, nie dla tego to ja ich tak nienawidzę! Wprawdzie dostało mi się od nich dosyć... obili mi łotry plecy, że trzy dni potem ruszyć się nie mogłem, ale mniejsza już o to. Każdy z nas wiedział z kim ma do czynienia, i był przygotowany na podobne rzeczy. Prócz nahajek jednak bez liku, spotkało mnie jeszcze coś gorszego... Posłuchajcie i śmiejcie się... Po utarcze nieszczęśliwej, w której nas rozbito i gdzie Narbut poległ, odłączyłem się jakoś od swoich, i nie znając dobrze miejscowości, wyszedłem na dolinę, okoloną lasami. Chciałem się dostać do przeciwnego boru, gdzie według

mej rachuby nie mogli być Moskale; pragnąłem wypocząć po szalonej robocie. Jużem był uszedł połowę drogi, aż tu słyszę po za sobą tupot końskich kopyt i przeraźliwe, dobrze mi znane krzyki: Nie ujdjosh, nie ujdjosh! Łowi! Nie ujdjosh! Żle, myślę sobie... las daleko, ja zmęczony, skryć się nie łatwo... Miałem wprawdzie dubeltówkę nabitą, ale ich było coś dwunastu. Co tu robić? Ha! wszystko jedno! — rzekłem do siebie. Choć dwóch położę przed śmiercią! I obróciwszy się do pogoni twarzą, wymierzylem. Gdybyście wiedzieli, jak się to psiarstwo śmierci boi! Jakby piorun w nich uderzył, tak się szelmy rozprysnęły na wszystkie strony, i nuż ślaniać się na koniu to na bok, to w tył, to naprzód... takim wierceniem się chcieli wyminąć kulę. Widząc, że zmierzenie się moje powstrzymało trochę ich zapędy, obróciłem się znowu i hajda co siły, ku lasowi. Ale te bestje nie głupie! Rozwinęły się w półkole i zamierzali mnie widocznie otoczyć, nim dobiegnę do lasu... Powtórzyłem tedy poprzedni manewr z takimże, co dawniej skutkiem; mierzyłem kolejno do każdego z osobna prawie, i znowu uzyskałem chwilę czasu. Posunąwszy się naprzód jeszcze o kilkadziesiąt kroków, zrobiłem to smutne spostrzeżenie, że rogi tego półkola pogoni były już ze mną w jednej linii prawie; i że niebawem kozunie wezmą mnie zupełnie w kółko. Stałem tedy, wymierzylem do jadącego przodem po lewej stronie... paf!... i chybiłem... Oczywiście brakło mi naówczas krwi zimnej; zamiast kozaka koń się wyrócił. Do lasu było jeszcze ze dwieście kroków. Biegnę więc... biegnę... Rospiąłem samodziółówkę, rzuciłem torbę... wszystko to jednak na nic się nie przydało. Okolili mnie juchy tuż przed wejściem do lasu i ścieśniali koło coraz bardziej. Wystrzeliłem jeszcze raz... ostatni niestety... ale jak się łatwo domyślić możecie, kula poszła gdzieś szukać gruszek po sosnach... Koniec końcem, złapali mnie, i obiwszy, co się zowie, zaczęli według swego zwyczaju obdzierać. Kiedym został już tylko w koszuli i spodniach, siada jeden z tych oczajduszów przedemną i podając nogę, każe sobie podarte swe buciska ściągać. Ściągam jeden... ściągam drugi... Co robić? myślałem, od razu lotry nie zabijają, a co się naćwiczają nahajkami, to wiek popamiętasz! Potem każe mi znowu siadać i zdejmować moje doskonałe, nowe buty. Słucham go. Nie dosyć na tem. Wystawcie sobie, ten urwipoleć zmusił mnie nakoniec, pośród ogólnego śmiechu i naigrawania się swoich towarzyszy, stojących nademną z nahajkami, jeszcze i do tego, żem go musiał ubrać we własne moje buty! —

Śmiech pusty wszczął się do koła opowiadacza po tych słowach, i on sam towarzyszył mu od serca.

— Chciałbym cię był widzieć Stasiu, w owej chwili — powiada jeden.

— Wierz mi, mój drogi — wtrąca drugi — że cię mocno żałuje, bo to było i śmieszne i smutne i upokarzające zarazem!

— A to jucha kozunio! — dodaje trzeci — na jaki wybredny dowcip się zdobył!

— Dobrze się wam teraz śmiać z tego — odparł opowiadacz — ale mnie wtenczas było nie do śmiechu. Chwila ta zaszczepiła we mnie taką nienawiść do tych lotrów, że powiesiłbym z największym gustem każdego z nich za nogi na pierwszej lepszej brzozie, gdyby się dostał kiedy w moje ręce!

— Zaczekaj Stachu — rzecze inny z grona — kiedy wrócim z Sybiru, zrobimy znowu powstanie, i wtedy biada kozuniom! —

*

— Powiedźcie mi, proszę — zapytuje ktoś w innem kółku — co też to może być za przyczyna, że to psiarstwo tak się uganiało za nami? Jużci patrijotyzmowi niepodobna przypisywać ich gorliwości, a zaprzeczyć trudno, że i szeregowi nawet żołnierze byli gorliwi w pełnieniu swoich obowiązków...

— Pafek się bali, i kwita! — odpowiada inny. — Przecież wiesz co to u nich rygor znaczy. Nie razsuǳat', a słaszat', oto i cała tajemnica. Fryderyk Wielki dobrze scharakteryzował moskiewskiego żołdatę, kiedy powiedział, że po zabiciu trzeba go jeszcze trącić, aby upadł, bo inaczej stać będzie bestja i po śmierci!

— Eh, wiecie moi panowie — prawi trzeci — tego nie można tak zupełnie zastosować do postępowania ich w ostatniem powstaniu. Było tam jeszcze coś innego, co ich pędziło za nami po lasach i debrach.

— No, cóż takiego? — pytają do koła.

— Nadzieja zdobyć! zegarki, pierścienie, pieniądze, odzienie bogate... oto, co ich nęciło!

— A prawda, że nasi panice, przypominając sobie pospolite ruszenie z pod Pilawicy, wybierali się do lasu, jak na wesele.

— O tem też Mochy wiedzieli, a raczej dowiedzieli się zaraz po pierwszych utarczках, gdy trupów z pola bitwy sprzątali. Kiedy mnie wzięli do niewoli, to mi Moskalisko jakiś sam powiedział: «Czort by nas gonił tam za wami po lasach, gdyby nie to, że u każdego z waszych można było znaleźć zegarek i kilkaset lub kilkadziesiąt rubli!»

— O, że chciała była ta hołota, to ja sam mogę poświadczyć — wtrąca któryś ze słuchaczy, zdradzający akcentem Litwina z pod Trok lub Oszmiany — napatrzyłem ja się raz do syta, jak oni trupów naszych obdzierali!

— Jakżeż? powiedz no!

— Byłem wtedy w partii Kozielly. Jakiś djabeł strzelił dowódcy do głowy, że wyprowadził nas z wybornego i mocnego stanowiska na równinę nad Wilgą. Rozłożyliśmy się obozem, mając rzekę w tyle, a zarośla przed sobą. Mówiono, że Moskale nie ma w pobliżu — więc nie oglądaliśmy się tak bardzo na stanowisko. Aż tu na drugi dzień rano słyszymy trąbki, grające znaną nutę do ataku. Natarli tak niespodzianie, że zdołaliśmy się zaledwie uformować w łańcuch. Zrazu szło jednak wszystko dobrze. Strzelano rzadko, lecz celnie. Mnóstwo Mochów napadało. Trzy razy musieli ustępować... przy czwartym natarciu przecież przyparli nas półksiężycem do rzeki i ani rusz tego psiarstwa odeprzeć. Niektórzy z naszych strzelców poczęli się widocznie cofać z łańcucha. Wtedy Koziello, co zawsze był w pierwszym szeregu i strzelał jak każdy inny, powstał z ziemi, krzyknął: «Pół godziny jeszcze panowie, a ustąpią!» — i upadł nieżywy... Kula ugodziła go w same czoło... Z śmiercią dowódcy wszczął się nieład; poczęliśmy ustępować; wielu puściło się na rzekę; niektórzy potonęli, lecz większa część dostała się wpław na przeciwny brzeg. Mała tylko garstka rospierzchła się po zaroślach, i tych wszystkich połowiono. Do nich należałem i ja. Moskałom, trzeba wam wiedzieć, utworzyli byli cztery łańcuchy jeden za drugim i ścieśniając półkole, posuwali się coraz bliżej ku rzece. Wyminał się pierwszy łańcuch, to wpadł drugiemu w ręce, a udało się przeleźć przez drugi, to trzeci lub czwarty zoczył się pewnie. Już trzy szeregi przesunęło się koło mnie, przetrzasnąc zarośla, a jeszcze leżałem nieodkryty pod krzakiem. Nadciągał w nieładzie czwarty. Może o dwanaście kroków odemnie leżał obywatel z naszej partii, śmiertelnie ranny, którego Moskałom ciągle pomijali dotąd. Tym razem zbliżył się do niego jakiś junkier-kapral; poznałem go po żółtym galonie, wiszącym u rączki bagnetowej. Widząc, że jeszcze żyje, łotr ten zaczął mu powoli wiercić bagnetem dziurę w piersiach... Wiedzie, patrzyłem ciągle na nieszczęsną ofiarę, lecz mogłem przysiąc, że się nawet nie skrzywiła z bólu. Leżał biedak, jakby spoczywał u siebie w domu na kanapie, wzrok tylko utkwiał w mordę Moskala, którą szpecił zwierzęcy uśmiech, wywołany tą dziką zabawką. Junkier chciał zapewne wywołać tem pastwieniem się ból na spokojne oblicze rannego, lecz daremnie. Już mu był zadał coś trzy rany w piersi, kiedy mi się zdało, że obywatel zaczął nieznacznie

przysuwać rękę do pasa, za którym miał zatknęty rewolwer. Naterzyłem wzrok jeszcze bardziej, bo strasznie pragnąłem, aby Moskał wziął zasłużoną nagrodę za swoje barbarzyństwo.

— A tyś czemu w łeb mu nie palnął z za krzaka? — przerwał ktoś z grona.

— A, ba, w łeb palnął! Nie bój się, byłbym ja i bez ciebie to uczynił, gdyby dubeltówka była nabita... Otóż widzę, że już, już ręka się ima pistoletu... Chwilę potem padł wystrzał i usłyszałem wyraźnie przekleństwo moskiewskie, z którym junkier zwał się martwy na ziemię. Po chwili skończył obywatel, bo ostatnia rana była głęboka.

Nastąpiła chwila milczenia, po tem wzruszającym epizodzie.

— Ale proszę was — ozwał się nareszcie któryś ze słuchaczy — co to jest, że każdy z Mochów, kiedy pada martwy albo ranny, musi przeklinać? Nigdy nie słyszałem z nich żadnego, aby wzywał Jezusa albo Marię, jak to nasi zwykłe czynią.

— Rzecz to łatwa do wytłumaczenia — odpowiada drugi. — Żaden Moch nie idzie z własnej woli na wojnę, więc padając, musi tych przeklinać, co go wysłali.

— No, ale tyś nam chciał opowiedzieć coś o obdzieraniu poległych — zagaduje trzeci opowiadacz.

— Przyjdę i do tego, tylko chciałem po porządku. Wszystkie zdarzenia dnia onego wyrły mi się głęboko w pamięć, więc jedno bez drugiego jakoś nie można. Otóż po wystrzale rewolwerowym, usłyszałem w przeciwnej stronie niedaleko mego krzaka-zbawcy głośnie hopkanie. W odpowiedzi nań ozwało się naokoło mnie mnóstwo dzikich głosów takim samem hopkaniem. Zrobiło to na mnie wrażenie, jakbym się zabłąkał gdzie w lesie w lutym i usłyszał nocne wycie wilków. Byłem otoczony Moskałami i lada szelest zmuszał mnie już zamykać oczy i czekać wystrzału, mającego me życie zakończyć... hu!... niech djabli biorą, jak to źle tyle razy umierać. Zwracałem wzrok na wszystkie strony, aby mózgi przynajmniej dojrzeć, skąd największe groziło niebezpieczeństwo, i stosownie się ukryć za krzakiem. Podczas tego wypatrywania spostrzegłem o jakie dwadzieścia kroków od siebie dwóch Moskali, pochylonych nad dwoma trupami, leżącymi niedaleko od siebie. Szukali po kieszeniach, zdejmowali buty, czamarki, przetrząsali ładownice, słowem, rewidowali jak najdokładniej. W tem podnosi się bliżej mnie stojący i woła na drugiego, co tyłem stał obrócony. «Pa-słusz, padlec ty etakoj, nie trogaj jeha, wied on moj, ja jeha ubił, jej bogu ja!»*) A tamten mu odpowiada nie ruszając

*) «Słuchaj, łotrze jakiś! nie rusz go, on mój... jam go zabił, dali-bóg ja!»

się z miejsca. — «Wot тебе, naszol duraka! Ty ubił, a ja naszol, wot-tie i wsio!*) Na taką odpowiedź pierwszy Moskal nie wiele myśląc zmierza się do towarzysza, pali i powala go na powstańca, nad którym był pochylony. Potem patrzy do koła, czy go kto nie widział, idzie ku trupom i obdziera najspokojniej w świecie obydwoh...

— Jaka szkoda — mówi ktoś z kółka — żeś nie miał nabitej broni... warto było i trzeciego tam położyć...

— A, toć poczekaj, jeszcze nie koniec mej opowieści... Obywatel, o którym opowiadałem, leżał odemnie tylko o kilkanaście kroków, a Moch, co obdzierał, był obrócony tyłem. Poczłgałem się więc ku obywatelowi i wzięłem karabin młodego junkra; patrzę... nabity... Poczekaj! myślę sobie... mierzę, taf! i Moskal tylko nogi zadarł... Ale dwa tak prędko po sobie następujące strzały zwabiły Moskali w to miejsce, i odkryto mnie... Chcieli mnie łotry podnieść na bagnietach w powietrze, szczęściem nadbiegł oficer i obronił...

— A wiecie, że byli tacy oficerowie, co tę dziec rozpasaną powstrzymywali niekiedy od barbarzyństw! — dodaje inny.

— Mówiono — odpowiadają mu — że im tak nakazano, dla tego, że się nasi obchodzili łagodnie z jeńcami moskiewskimi.

— O, nawet za łagodnie... Trzebaż to było puszczać i dawać jeszcze po 2 i 3 ruble? To psiarstwo uganiało się na drugi dzień znowu za nami... Jabym był wszystkich wieszał — wszystkich co do łapy! Kiedy walczyć, to na śmierć!

— O, to prawda, prawda! — wtrąca inny. — Nietylko że zginęłoby Mochów o kilka tysięcy więcej, ale i nie jeden z naszych nie byłby się tak łatwo im poddawał, wiedząc, że mu wet za wet oddadzą!..

*

— Mój Boże! — prawi w innym gronie młodzik jakiś, zdradzający miną i postawą byłego akademika — ile to czynów prawdziwie heroicznych, spełnionych w powstaniu bez najmniejszej pretensji do chwały lub nagrody, a podjętych jedynie z natchnienia najczystszej miłości ojczyzny, pozostanie na zawsze tajemnicą dla potomności!

— Ani słowa... aby dać światu i tym co po nas przyjdą sposobność ocenienia, czem było ostatnie powstanie, trzeba by koniecznie, aby wybitniejsze epizody jego zostały kiedykolwiek opisane... rozumi się, opisane jak należy. Ile to

tam było wzniosłych uczuć, ile poświęcenia, enót obywatelskich ile! Istna to epopeja, i tem wyższa od Iliady, że do sporu tego nie mieszały się ani bogi ni boginie...

— Tak... tak... rzecz znowu akademik — piękny to ustęp dziejów Polski, mimo wad niektórych i rzadkich zresztą zbrodni, co światłe tło jego plamią tu i owdzie... Oto, posłuchajcie, opowiem wam, czego naoczny byłem świadkiem w oddziale Rogińskiego. Wtedy on był się już rozłączył z Czachowskim i przeszedł na Litwę dla rozbudzenia i tam powstania. Rozpoczął był właśnie ów sławny pochód, który Moskale nazwali dowcipnie sumaszedszaja plianska,*) i który mógłby się stać wiekopomnym, gdyby znalazł swego Ksenofonta. Uciekając pewnego razu przed prześladowającym nas, a kilkakroć silniejszym od nas atriadem**) przesłiznęliśmy most, rzucony na niewielkiej wprawdzie, ale głębokiej rzeczce, i zatrzymaliśmy się na wzgórzu przeciwnego brzegu. Rogiński kazał się nam rozwinąć w łańcuch i strzelać. Przekonał się jednak niebawem, że nasze wystrzały, jakkolwiek celne, nie wstrzymują Moskali. Owszem widać było, że się sposobią do zajęcia mostu, przez co zmusiliby nas byli, zmęczonych i zziębniętych kilkonastugodzinnym forsownym marszem do niekorzystnej, bo wcale nierównej walki. Zrobił tedy uwagę, że zrzuceniem mostu można by powstrzymać na kilka godzin moskiewskie zapędy i zniknąć w pobliskich lasach... Powiedzenie to wodza słyszało wielu, i ja do nich należałem, lecz żadnemu z nas nie przyszło na myśl postąpić tak, jak jeden z naszych towarzyszy, syn mieszczanina z Królestwa, chłopak lat najwięcej 18, ledwie czytać umiejący. Nazwisko jego wypadło mi niestety z pamięci. Nie mówiąc ani słowa nikomu, pobiegł do bagażów, wziął spory woreczek prochu, zbiegł z pagórka śród gradu kul, dostał się pod most i umieściwszy tam worek z prochem, dobył w naszych oczach zapalnik z kieszeni... Zglupieliliśmy... każdy przewidywał niechybną śmierć jego... on jeden tylko zdawał się nie wiedzieć o tem. Potarł zapalnik o spodnie, czekał póki się nie rozżarzy, ale wiatr zgasił płomień. Niezrażony tem niepowodzeniem, dobył drugiej, usiadł tyłem do wiatru, zapalił, przyłożył do prochu i znikł nam z oczu śród dymu i huku. Po chwili dostrzegliśmy zamiast mostu pływające tylko po wodzie belki, ale nie mogliśmy już dostrzedz sprawcy tej eksplozji. Znalazł zapewne grób pod szutrem i palami mostu... my zaś dotarliśmy szczęśliwie do lasu...

— To coś podobnego — odzywa się ktoś z boku — jak w Reducie Ordona.

*) Warjacki taniec.

**) Oddział wojska.

*) «Patrz — no, jaki mądry!... tyś zabił, lecz ja znalazł... więc basta!»

— Ani słowa, jedne i te same uczucia kierowały obydwoma bohaterami; jednak chłopak ów nie wyglądał wcale na takiego, co czytywał Mickiewicza. Nie sądzić, że tam chcę powiedzieć, jakoby Mickiewicz nie był zdolny zagrać swemi pieśniami do czynów heroicznych, twierdzą tylko, że dzisiejsza wykształcona klasa jest w ogóle daleko mniej do nich sposobną, jak ludzie, zbliżeni bardziej do przyrody, tj. lud i stan średni.

— A to dla czego? — pytają go.

— Dla czego? Więc powiedzcie, jak się to stało, że żaden z tych, co czytali Redutę Ordonu, a nawet umieli ją na pamięć, chociaż ich wielu tam było, nie pośpieszył uczynić tego, co chłopak ów z gminu uczynił?

— Bo im to na myśl nie przyszło!

— Tak!... a dla czego? Oto dla tego, że ich zanadto nauczono kochać siebie. Byli to marzyciele, co wszędzie widzą własne tylko ja, i oprócz tego nic więcej... nie mogli więc powziąć podobnego zamiaru. I zaręczam, gdyby nawet zamierzył który z nas, podówczas tam obecnych, pójść grobu szukać pod mostem, byłby to zrobił zupełnie inaczej od owego chłopaka. Jestem pewny, że nie obeszłoby się przynajmniej bez patetycznego wykrzyku: «Dajcie mi prochu, ja pójdę!»

— E, sądzisz znowu zanadto źle o ludziach, podsuwając im wszędzie próżność, jako pobudkę do czynów — odpowiadają mu.

— O, nie wątpię, że taki zarzut boli... ja sam to czuję aż nadto dobrze. I właśnie ból ten zmusza mnie do uznania zarzutu uzasadnionym. Uderz w stół, odezwa się nożyce... Sobkowstwo tak dziś u nas rozwinięte, że z po za niego mało co i widać. Miłość własną, wrodzoną i wcale nie złego w sobie nie mającą, podniesiono nieszczęsnem wychowaniem prawie aż do ubóstwiania siebie, z czego oczywiście rodzi się życzenie być także ubóstwianym wszędzie od drugih. Powiedzcie, skądby się brała chęć owa, tak dzisiaj widoczna, przodowania wszystkim i wszystkiemu? Skąd napotykanie niemal na każdym kroku poświęcanie ogólnej sprawy własnemu ja? Dzisiejszym trybem wychowywania młodzieńiec nie jest w stanie zrobić coś szlachetnego bez tajemnego życzenia być widzianym i chwalonym!

— Oho kochanku! wpadłeś w paradoksa Jana Jakuba! Toć by według ciebie nie było szlachetnych ludzi na świecie.

— Taki wynik mój drogi, nie odstraszy mnie bynajmniej od obstawiania przy swoim. Dodam tylko, że młodzież wcale tu nie winna, a winni ci, co ją w pierwszej młodości nie umieli pobudzić do dobrego inaczej jak przez próżność. Czy ci nie mawiano: Ucz się pilnie, a dostaniesz medal, a wy-

przedzisz Jasia, a sprawimy ci piękniejszy mundurek, jak Michasia i t. d.? Ty może sądzisz, że te słowa obijały się o twoją duszę, jak groch o ścianę?

— Władek ma poniekąd słusność, panowie! — wtrąca wysoki, młody brunet z okularami na nosie. Ja sam byłem świadkiem bardzo śmiesznej sceny podczas bitwy. Jakiś młody gimnazjalista, co stał tuż obok mnie w szeregu, został zadrażniony kulką w ramię. Przeleknięty tą pierwszą raną — pada na ziemię i krzyczy: «Naczelniku! bywaj zdrow, ginę za ojczyznę!»

— Ha cóż! — dodał akademik wśród ogólnego śmiechu — idąc do powstania przewidywał możebność śmierci, rozmyślał więc nad tem, jakby poledz z szykiem. A otrzymawszy ranę, sądził, że pora wykonania postanowień nadeszła. Podobne donkiszotwo nie trafiło się pewnie nikomu z ludu, lub klasy średniej!

— No, jeśli już o to chodzi, by poprzeć zdanie Władka — zaczyna inny z grona — to i ja wam opowiem dzieje całego oddziału powstańczego, do którego miałem nieszczęście należeć. Zapewne słyszeliście o siebiejskich powstańcach na Białej Pusi. Mało było oddziałów na Litwie jak ten tak pod względem uzbrojenia, jak i składu. Liczba nasza nie przekroczyła 200, lecz wszyscy byli albo akademicy z petersburskiej lub moskiewskiej wszechnicy, albo też synowie najmajętniejszej szlachty powiatowej, nawet magnatów... słowem, kwiat młodzieży. Możecie sobie wyobrazić, że mieliśmy w obozie wszystkiego podostatkiem. I prawdziwie, gdy przypomnę usposobienie, jakie panowało między nami, dzielność i poświęcenie każdego powstańca z osobna, prawdziwy patriotyzm i brak wszelkiej chęci przodowania, a nakoniec uzbrojenie, na które każdemu pozwalały dostatki, to mi się w głowie nie może pomieścić, jakim sposobem się stało, że nas rozbiły dwie głupie rotę Moskwy. Zebraliśmy się jakoś zaraz po śniegach, w końcu kwietnia podobno i zajęliśmy dość dobre stanowisko. Na dowódcę przysłano nam tymczasowo Kulezyckiego, młodzika lat 22, byłego ucznia Genuńskiej szkoły. Był on najmniej stworzony na takie stanowisko. Młody, chorowity, krótkiego wzroku, bez energii, nie umiał wcale odpowiedzieć swojemu zadaniu. Serca i uczucia było tam wiele, ale zdolności militarnych wcale mało. Widzieliśmy to wszyscy, i on sam nieraz to uznawał; jednak patrzcie, ani jednemu z nas nie przyszło na myśl sprzeciwić się niewiedomej władzy, która go nam przysłała na dowódcę. A musicie wiedzieć, że byli pomiędzy nami ojcowie rodzin, ludzie, co to już od kilku lat gospodarowali na swoim. Pocięliśmy się nadzieją, że nam przysłał lepszego, jak było zapowiedzianem. Moskali w okolicy nie było wcale, i wo-

góle w Witebskiej gubernji było ich mało wtedy, prócz tych co w Dynaburgu. Nie spodziewano się tu powstania... Życie zaś nasze społeczne nauczyło nas cenić chłopą bardzo nisko. Żadnemu z nas przez głowę nie przeszło, aby chłop potrafił... mógł pomyśleć nawet, być szkodliwym nam, panom! Przyszłoby się tem chętniej do tego, im jaśniej teraz widzę, jak mylnem było nasze zdanie...

Pierwsze dwa tygodnie tej dziwnej kampanji upłynęły spokojnie. Siedzieliśmy w lesie, odbywali służbę obozową przykładowie, jeździli po żywności i furaż po dworach, słowem, wszystko szło jak z płatka. Pamiętam jaką odwagę gorzały nieraz serca, kiedy popisywaliśmy się na koniach na podwórze jakiego dworu; nie wyobrażaliśmy sobie siły, któraby zdołała nas złamać. Wkrótce jednak rzeczywistość odczarowała nas strasznie. Dnia pewnego siedzieliśmy sobie wygodnie koło kociołków, pełnych kaszy ze szwedami, porozbierani, broń poroskładana, ani myśląc o Mochach, kiedy wraz z wystrzałem niedaleko stojącej pikietki zerwała nas na równe nogi salwa kilkuset karabinów i przeraźliwy świst kul nad głowami. Gdzie się wtedy podziała nasza odwaga, gdzie przekonanie o sile, gdzie wiara w siebie, nie wiem; to jedno pewna, że pierwszym naszym poruszeniem na widok nadpływającej półkolem Moskwy był... odwrót!

— Rzetelniej mówiąc fugas chrustas — wtrącił któryś z słuchaczy.

— Niech i tak będzie... O ile sądzić mogę według siebie i według tego, com się dowiedział później od drugih, gdyśmy siedzieli w Dynaburgu, winą całej porażki był niespodziewany napad. Tak byliśmy pewni, że w okolicy nie ma Moskali, iż na ich widok straciliśmy zupełnie przytomność. Nie mogło nam się w głowie pomieścić, aby nasze piękne teorie o dotrzymaniu placu już teraz w praktykę wchodzić miały. Oszołomieni, przerażeni, pełni jakiejś niewytłumaczanej bojaźni śmierci, której w myślach zaglądaliśmy tak często w oczy, chwytaaliśmy, co można było z broni i odzienia i cofali się w tył. Co się z dowódcą działo, nie wiem. Anim go słyszał, ani widział wtedy. A jaki chaos panował w owej chwili w głowach naszych, możecie wnioskować z następującego epizodu. Jeden z naszych został ranny i upadł. Inny podnosząc go, zwraca się jakby do Moskali i krzyczy po moskiewsku: Gospoda, gospoda, zdzies ranenij! nie strelajtie!*) I zważcie, że ani jeden z nas nie zdołał wówczas pojąć całej śmieszności tego okrzyku... Druga, trzecia salwa dopiero ocuciła nas nieco. Wstrzymaliśmy się i zaczęli odstrzeliwać. Że zaś działo się to wszystko bez

*) Panowie, panowie! tu jest ranny, nie strzelajcie!

najmniejszego porządku i planu, to i nie dziw, żeśmy się nie mogli już oprzeć. Naszych padło tylko dwóch. Jeden z nich zwał się Sobolewski, nazwiska drugiego nie pamiętam. Rozpierzchliśmy się potem na wszystkie strony, i zostali co do jednego wyłapani przez chłopów... Niektórych wzięto już z domu, dokąd byli powrócili po klęsce. Dowódzca w łeb sobie palnął na drugi, czy trzeci dzień po rozbiciu...

— Prawda... dziwaczna to była porażka... Poznałem w drodze wszystkich prawie z tego oddziału; tak dzielnej młodzieży niełatwo spotkać; to też nie mogło mi się pomieścić w głowie, dla czego ich tak przedko rozbili...

— A widzisz bratku — tłumaczy akademik — bo każdy z nich był chowany na wielkiego człowieka. Każdemu wpojono z młodu jeszcze, że jest wyższym od innych, każdy też ubóstwiał siebie i kochał nadewszystko. Wierzę bardzo, że i odwaga, jaką przed napadem okazywali, i pochop do poświęceń i wszystkie przymioty, które nam Broniek wyliczył, istniały rzeczywiście i nie były udane, ale wszystkiego tego nauczyli się nie z życia, nie z praktyki, które zaszczipiały w nich tylko wręcz przeciwnie skłonności, lecz z książek, z powieści, poezji, marzeń. Zapał wszystkim był dla nich; siła jego czyniła ich niezwykłymi w własnym mniemaniu. Tymczasem samego zapału nie dość do walki ze ślepą siłą. Wychowanie i życie wyrobiły z nich egoistów, najbardziej więc rozwiniętym był u nich pociąg zachowawczy. Reszta przymiotów wznosiła się na tym gruncie dopiero, jak budynek na fundamencie. Otóż wobec niebezpieczeństwa, które ich do tego zaskoczyło nieprzygotowanych, pierwszą myślą było ratować siebie... więc pierzchnęli...

— Zatem ty chcesz dowiedzieć po prostu, mój Władku — wtrąca jeden z dawniejszych oponentów — że nauka i wykształcenie prowadzą do egoizmu, tchórzostwa, gnuśności, itd?...

— Taka nauka i takie wykształcenie, jakich nam dotąd udzielali, niezawodnie... Rospatrz się dobrze, a dowiodą ci fakta to samo. Karmią nas wiecznie doktrynami, nam zaś brak najbardziej szkoły życia. To też precudownym teorjom, jakich pełne nasze głowy, rzadko się kiedy wydarza wejść w praktykę, i jak tam ktoś dobrze powiedział, pomiędzy postanowieniem a wykonaniem leży u nas zawsze niezmiernie morze wahań. Znadto wiele nauczono nas marzyć...

— No, no, nie sarkaj... masz oto i szkołę życia; jesteś na Sybirze!

— To też gdybyśmy po roku wrócili, Polska stanęłaby na przekór całej Europie!

— Czy nie pod twojem dowództwem, szanowny realisto?

— Nie, natenczas wszyscy szlibyśmy przodem. Dla braku

przodowników nie byłoby idących w tyle, i tem właśnie wyższymi byłibyśmy od naszych wrogów...

*

— Powiedz mi, proszę cię, co tu robisz tak długo? — pyta średniego wieku mężczyzna towarzysza swego, z którym od niejakiego już czasu przechadzał się po uliczce między ścianą a tapczanem. — Wszak to rok już cały, jak wyszedłeś z kraju. My tam sądziliśmy, że ty dawno w Nercz...

— Pst! nie mów tak głośno! — przerwał ten, do którego powyższe pytanie było skierowane, chwytając mówiącego za rękę i oglądając się w około siebie. — Ja tu znany jestem pod innym nazwiskiem i nie idę do katolicy — mówił dalej cichym głosem.

— Jakto nie idziesz do katolicy? — zapytał pierwszy, także głos znijając — wszak dostałeś wyrok na dwanaście lat do kopalni!

— No... to... to było tak we Wilnie... tu, mój drogi, ja sobie kpię z tego wyroku!

— Ty kpisz sobie?... a... to rzecz ciekawa... Mój kochany Michasiu, mów jaśniej, bo dalibóg głupi jestem na to wszystko!

— Nie dziwnego, i ja nie rozumiałbym ciebie, gdybyś mi powiedział był coś podobnego przed rokiem.

— No, ale jakżeż to? bo wiesz, i mnie lotry napisali coś że 6 latek...

— Teraz już trochę zapóźno radzić co na to. Jest tam, widzisz, w Moskwie pewien etap, na którym służy pisarzem żołnierz, były uczeń szkoły wojskowej, czyli kantonista matacz i pijak od świata! Na każdym etapie, jak wiesz, przeglądają papiery, dotyczące pojedynczych aresztantów, którzy są w partji. Pisarz naówczas ma takowe w rękę. Otóż kilku z naszych, między innymi i ja, podmówiliśmy tego pisarza, aby za opłatą 3 rubli skradł tyżące się nas akta całkowicie i popoprawiał w imiennym spisie nasze nazwiska. Zgodził się na to... My te papiery, między którymi był nasz rysopis, nasz wyrok i t. d., spaliliśmy i zaczęliśmy już figurować pod innymi imionami. Za przybyciem do Tobolska wołają nas według owego poprawionego spisu i pytają: Gdzie papiery? Odpowiadamy oczywiście, że nam ich do przechowywania nie dawano. Na taką słuszną uwagę trudna odpowiedź... Pytają więc, gdzieś byli pod sądem i jaki otrzymaliśmy wyrok. Ja naprzykład powiedziałem, że wcale nie byłem sądzony, że wysłano mnie tylko do Tobolska drogą administracyjną z Częstochowy, aż do uśmierzenia powstania, i że jestem Galicjaninem. Pytają, za co? Mówię,

że ja sam nie wiem; przyjechałem na odpust, wzięli jak swego, uwięzili, wywieźli, i na tem koniec. Teraz zaś czekamy tu sobie spokojnie, póki odpowiedź z kraju nie nadejdzie.

— Ależ stamtąd odpiszą, iż takich a takich nie było.

— A to z panem Bogiem, niech sobie odpisują zdrowi, my im zaś powiemy, że musieli być, kiedy tu są; wszak z nieba nie zlecieliśmy u kata... niech nam dowiodą, że kłamiemy...

— Toć oni mają duplikat wyroku, który z miejsca wysyłają pocztą.

— I cóż to ma do rzeczy? W przykazie leży 100,000 wyroków, myślisz że będą wszystkie przeglądali? A zresztą choćby przeglądali i znaleźli... ja przecież nie głupi przyznawać się do niego. Właściciel tego wyroku mógł umrzeć, uciec, może iść z tyłu, leżeć w szpitalu, itd.

— A cóż z wami robią, kiedy nadejdzie odpowiedź?

— Co?... wypuszczą na wolność, i zamiast w kopalniach nerczyńskich będziemy sobie mieszkali w Tobolsku... Takie rzeczy już się praktykowały...

— A... a... dla czegoż o tem nie wiedziałem? I ja nie byłbym od tego...

— A przeglądałeś ty napisy na ścianach etapów?

— Nie wszędzie.

— Szkoda bratku, bo i my o tej sztuce dowiedzieliśmy się z podobnego napisu na ścianie. Poczciwi nasi poprzednicy skorzystawszy sami, nauczili i nas i wielu może, jak sobie radzić.

— Czy za Tobolskiem nie ma gdzie podobnego etapu?

— Tu nic już nie zrobisz, bratku, bo wyroki zostają w przykazie. Ale wiesz, ja ci dam inną radę... zostań się gdziekolwiek w szpitalu... Nasi chorują w drodze bardzo często; jeśli który z posileńców umrze, daj felczerowi 10 rubli, on napisze po prostu, że to ty umarł, i pojedziesz sobie spokojnie za umarłego na posiedlenie.

— A... i to sposób wyborny... Tylko wiesz nie miałbym serca czekać na śmierć którego z towarzyszy; coś to, jakbym chciał korzystać z jego nieszczęścia...

— I cóż to jemu zaszkodzi, że pójdzie na tamten świat pod cudzem nazwiskiem? Tak czy owak, zawsze by umarł; przez to, że korzystasz z jego śmierci, nie przyspieszysz jej, a ręczę ci, że na tamtym świecie prowadzą lepsze spisy imienne, jak u Moskali. Nie bój się, nie pomyśl się i nie posłaj go za ciebie do piekła, jeżeli zasłużył na niebo...

— Niech cię gęś kopnie z twoją filozofją... Mówisz, jak ateista!

— Całej tej filozofji, mój drogi, nauczyłem się na wszechnicy niewoli: wyczytałem ją z krat, murów, wilgoci,

nędzy i pleśni... Tu praktycznie bracie uczą, jak w naszych szkołach.

— Ale wiesz Michasiu — rzekł po chwili milczenia ten, co zaczął pierwszy gawędę — nigdybym nie przypuścił iżby się takie rzeczy dziać mogły!

— Ho, ho, mój drogi, zbrodniarze płatają nie takie jeszcze figle. Zamiast czekać, aż kto umrze, płacą felczerowi 25 rubli, i ten pomaga jakiemu posieleniowowi arszenikiem do przeniesienia się co rychlej na tamten świat. Napisze potem, że umarł katorżnik, i któż go może skontrolować?... Głupi ten, co myśli, że Moskwą car rządzi; nią rządzi najniższa hałastra pisarczyków, felczerów, stróżów i innych siepaczy. Im większy despotyzm w zasadzie, tem większa anarchja w praktyce. Pamiętaj to zawsze!

*

— Mówcie wy sobie, co chcecie, ja zdania mego nie zmienię! — prawi w innym kółku lat średnich mężczyzna, z powierzchowności na obywatelczuka zakrawający. — Chłop zawsze chłopem zostanie. Na Litwie mamy upadek powstania podziękować ludowi wiejskiemu bardziej może, jak moskałom...

— Jest w tem niejaka słusność — odpowiadają mu. — Nie tyle jednak był on nam przeciwnym, co nie ufał... Lecz kto temu winien?

— Jużciż nie my, lecz chłopci sami... nie masz nigdzie gorszego i bardziej fałszywego ludu, jak u nas... Alboż to nie przypominacie sobie, co chłopci robili z powstańcami, kiedy ich dostali w swoje ręce?

— Nie wszędzie, nie wszędzie!

— Nie wiem jak było gdzie indziej; co do powiatu, w którym mnie przytrzymano, i wspominać przykro!

— Opowiedz nam przecież... dostało ci się zapewne dobrze od nich, kiedyś tak rozzłoszczony... może z twej opowieści da się wyciągnąć jaka nauka na przyszłość — mówił blondyn, jakiś, w okularach, z długimi, w tył zarzuconymi włosami.

— Nie tyle fizycznie dokuczycie mi to szelmostwo ludu naszego, jak moralnie, wstydem i upokorzeniem... Wzieli mnie na polu, związali i przyprowadzili do wsi... Wszystko co żyło, zbiegło się przed karczmę... baby z motykami, kociubami, łopatami... chłopcy z cepami i widłami... dzieci nawet zleciały się na wpół nagie. Zapewniam was, że wołałbym być tysiąc razy dostać się w ręce kozaków, jak tej hałastry... miłszemi by mi były nahażki, jak to piekło, które wtedy wycierpiałem. Nasamprzód zaczęły się naigrawania,

szysterstwa, groźby wszelkiego rodzaju, których i powtórzyć nie umiałbym. Potem przystępowały kobiety po jednej naprzód, później gromadkami; szczypały mnie, pluły na mnie, kłuły wrzecionami, niektóre policzkowały nawet... jedna z nich osmarowała mi całą twarz krowim gnojem, podjętym z ulicy?... Dzieci za przykładem matek, przyskakiwały jak szczeniátka, i dawszy po szturchańcu, odskakiwały... Chłopi zaś stali do koła z założonemi rękami, podzęgali baby i śmieli się z całej tej piekielnej komedji. Powiedzcież, nie mam że przyczyny źle mówić o ludzkiej naturze?

— I cóż dalej? — pyta blondyn.

— Dalej?... alboż tego nie dosyć? Odwieźli mnie potem do sąsiedniej wsi, gdzie takie same przenosiłem katusze; i tak aż do powiatu.

— No, to jeszcze bardzo łagodnie się z tobą obeszli, mój kochany — odpowiada blondyn cierpko. — Mnie dziwi tylko, dla czego, mając cię w swojej mocy, nie mieli dośladniej... nie poćwiertowali naprzykład, lub nie upiekli przy powolnym ogniu...

— Oszalałeś? — zawołał obywatel.

— Bynajmniej... Czyś się ty zastanowił, czem we wielu miejscowościach na Litwie i Rusi był chłop do samego powstania?... he?... Wymienić ci może majątki, w których lud pędzono nahażkami na pańszczyznę, podczas gdy w królestwie już się bito z Moskałami? A wiesz ty, że niewolnik ssie już z piersi matki nienawisć do swego pana? Wieleżemy robili, aby tę nienawisć zlagodzić, usunąć? Prawda, było pięknych przykładów dosyć, które pouczyły, jak to z ludem się trzeba obchodzić, aby pozyskać jego serce, urazy zresztą bardzo łatwo się zapominające; lecz czy nie krzyżowano na tych, co je dawali, nie nazywano ich demagogami? Komuż miał chłop być przychylnym, czy rządowi, który mu się przedstawiał w postaci oswobodziciela, czy panu, który bardzo często uciskał go i zdawał się zazdrościć mu swobody? Tyś dla owej, jak ją nazywasz hałastry, nie był czem innym, jak właśnie przedstawicielem takiego miejscowego ciemięsy, odpłaciła ci więc, jak umiała... Sluchaj — mówił młodzik dalej z coraz wzrastającym zapałem — idź na Białoruś, porównaj pałace panów z nędznymi lepiankami wieśniaków, w których ludzie i zwierzęta razem mieszkać muszą, bo mimo obfitości lasów nie mają drzewa budulcowego, aby sobie stajnie pobudowali... Idź i porównaj... a potem, ręczę ci, dziwić się będziesz, że ci miasto uragań dziecińczych, nie zadali śmierci okrutnej... Mówisz, że nie ma ludu gorszego od naszego; ja ci zaś powiadam, nie ma lepszego! Mógł on powtórzyć rzeź humańską... rząd podzegał go nawet do tego... broń dawał... czy znalazł posłuch?

— E, co z tobą mówić! — odpowiada obywatelczuk. Tyś z Królestwa... anarchista, demagog... u nas inaczej na te sprawę patrz!

— Nie wszyscy, chwala Bogu, nie wszyscy!... Mógłbym ci wiele przytoczyć nazwisk; wspomnę o jednym tylko obywatelu, którego znasz pawnie. Świętorzecki mieszkał w minskim województwie, w ihumeńskim powiecie, gdzie lud nie był nam wcale przychylny, a jednak swoich chłopów miał on za sobą. Byli w jego partji, bili się... To też wiesz, co Moskale zrobili z większą częścią jego poddanych... całemi osadami wypędzili ich do Moskwy i na Sybir...

*

— Juzbym też chciał, coby nas rychlej stąd wyprawili — mówi kosynier Mazur do siedzącego obok na tapczanie Litwina — dyć ci bratku całą noc spać nie mogłem, tak mnie bestja jakasić kąsała!

— Albo po etapach, myślisz, lepiej ci będzie? — odparł Litwin, spoglądając z ukosa na towarzysza. — Będiesz się musiał walać gdzie pod narami, a pluskwy tam cię jeszcze bardziej się nażrą, jak tutaj!

— Owa! pod narami!... jescem ta nie sypiał pod narami! ja se zawsze znajdę miejsce na nich!

— Bardzo cię też panowie do nar dopuszczają! Zapomniałeś już wiatkie etapy, co?

— Com-ta miał zaboczyć... ja wiem tylo, żeśma nigdy nie dawali nad sobą górować panicom. Było nas pięciu, cośma się tśmali kupy, i nikt nam nie śmiał grać na nosie... i kwita! Oni całe życie sypiali na puchach, a i w obozie nawet mieli ta jakieś skóry, coby nie leżeć na mokrej trawie, a cłek, to musiał sypiać nieraz i na śniegu w początkach partyzantki. Toć pora, coby i oni się nauczyli biedy. Oni, wiesz, tak... ksyca juchy... jak widzą co im ustępujes, to jescce barziej... ale utsyj im jeno raz nosa ostro i dobrze, oho, psychiczną, jakby ich nie było...

— Djablać tam przycięną — wtrąca trzeci kosynier, co przechodząc koło rozmawiających i dosłyszawszy kilka słów rozmowy, przyłączył się do ich grona — jest ich tu więcej jak nas.

— Więcej to więcej! — odpowiada Mazur — jeno nie wsysey robią tak, jak panowie. Oto na jednym etapie, co był strasnie ciasny, pankowie z nasej partji uprosili oficera, coby ich puścił do etapu psed innymi, i coby sobie obrali dogodniejsze miejsca dla spania. Otós jak się wiara nie nasunie do etapu, jak się nie zawinie wele nich, to ani jeden się nie ostał na narach... heć, z walizami, futrami i po-

duskami opaśsyli się w jeden mig na ziemi. Tedy ci zacynąją na nas wyzywać, ksyceć, co nam się nie godzi mieć lepszego miejsca, bośma zawsze pierwsi przed Moskalami uciekali. Dopieroś to ja im nagadał prawdy, mieli ta dobrze co słuchać!

— I cóż im powiedziałeś? — pyta Litwin.

— Co? a powiedziałem, że im się było za co bić, to się i bili, a nam się nie było za co bić, tośma uciekali. Taki ponek sypiał se wygodnie i w lesie, a cłek musiał stać na pikiecie; on se kuzył doskonałe cygara, a clekowi dawali tytoń, co strach było palić, taki był zgnily. Po bitwie ponek se posed do dworu i tam wele panien się umizgał, a cłek nie miał cem i głodu nieraz zaspokoić... oni se spijali wina, a nam natocyli śmierdziuchy. Oj, jeno mi się gadać nie chce!

— To ty — mówi ten, który się przyłączył do grona — wyszedłeś do powstania dla tego, żebyś miał gody, a nie żebyś walczył za ojczyznę?

— Dyć ja ci nie mówię — odpiera zaperzony Mazur — co posedłem, coby miał gody. Ja niemniej kocham ojczyznę, jak ty, jak drugi i tseci. Jenośma wsysec tam posli bić się za kraj, a cemus nie wsysec mieliśma jednakowo? Coby ja nie widział, co nas rozróżniają, tobym nie był pomyślał, co nas pany znowu osukują i kazać się bić, coby im jeno było lepiej. Niechby ja był pewny, co z panem się tak obchodzą jak ze mną, toby ja nie uciekał mój Dobrodzieju! Otós, kiedyś to wszystko powiedział głośno, to choć wiela panów było z znami, psecies wsysec się obrusyli na tych, co posli miejscę wybrać — i nie pozwolili im, coby nas zepchali z nar. Musieli się walać na ziemi, kole paraski, bez całą dniówkę. Strasnie ta obstawał za nami zyd jeden z Warszawy, ale zyd bogaty, co to wieta, po polsku się nosi — Epstein, cy jak mu ta było na psezwisko. Ech, pocciwe to było cłecysko. Widziałem ja sam nieraz, jak nasi panowie psegrywali w karty do prostych nawet arestantów Mochów po kilkanaście inperjałów, a biednemu, co sedł o 5 kopiejkach, niebyłby ci dał zaden z nich złamanego grosa, żeby ta niewiedzieć co. On zaś całe insy był. Wszystko co miał, rozdawał biedniejszym. Do kazdej gubernji psysyłał mu ojciec telegrafem jakoś, ćma pinieędzy... nigdy mu nie starczyło... Był to cłek pocciwy, co się zowie. Byle więcej takich zydów!

*

«Gubernator w zamku!» ozwało się ode drzwi wchodowych wśród mieszaniny tych różnorodnych goworów, co obydwie sale czyniły podobnemi do ula pszczoł pełnego. Okrzyk ten nie zrobił tu jednak takiego wrażenia, jak owo: powierka

idzie! w mieszkaniu zbrodniarzy. Powierzchność sal wcale się nie zmieniała. Bardzo mała tylko liczba więźniów zaczęła się przygotowywać do przyjęcia urzędnika, co nigdy, kiedy odwiedzał tiumnę, nie zaniedbywał zaglądać do oddziału, w którym mieszkali przestępcy polityczni; a przygotowawali się jedynie tacy, którzy go mieli o co prosić, albo nowoprzybyli, ciekawi zobaczyć człowieka, o którym między Polakami tak wiele mówiono. Przeszto wprawdzie spiewać i zebrano karty ze stołu, zresztą chodzono i rozmawiano jak przedtem. Ci, którzy mieli interes do gubernatora, stanęli w gromadce na środku sali, i pozapinawszy czamarki lub samodziałówki, oczekiwali gawędząc jego przybycia.

Po niedługim przeciągu czasu przybył gubernator w towarzystwie dwóch urzędników gubernialnych i dozorey więzienia, zapitego, jak Moskale mówią, na wszystkie guziki. Postępowali oni za nim z uszanowaniem w pewnem oddaleniu. Sposób taki towarzyszenia niższych urzędników wyższemu, nazywa się u Moskali technicznym wyrazem: nachaditsa w pocztitelnom atdalenii — i polega na zwyczajami przepisaniem ułożeniu twarzy i całej postawy, na niewolniczym zastósowaniu swoich ruchów do ruchów urzędnika, na postępowaniu za nim naksztalt cienia w pewnem oddaleniu, które według wysokości urzędu mierzonem bywa, i na lakonicznych wreszcie odpowiedziach na pytania dostojnika. W mowie polskiej nie ma wyrazu, któryby techniczny ów wyraz moskiewski w zupełności oddać był w stanie.

Aleksander Despot-Zenowicz, z rodziny sławnych ongi Despotów w Serbji, których krewniak jeden za czasów Witolda jeszcze na Litwę przybył i tam, zasłużwszy się księciu, osiadł, potomek Krzysztofa Zenowicza, starosty ciecierskiego, co to za czasów Stefana w wojnach moskiewskich się wślawił, podówczas gubernator cywilny tobolski i kawaler kilku orderów, był mężczyzna wysokiego wzrostu, lat najwyżej 40 liczący, brunet, rysów twarzy nadzwyczaj wyrazistych, i tuszy, której szczupłość nie zupełnie odpowiadała wzrostowi. Postawa wspaniała, pełna godności i poważna bez przesady; czoło białe, wyniosłe; wyraz oblicza dumny, groźny niemal; wzrok sokoli, bystry; ruchy rzutkie, pewne siebie i bez wszelkiego przymusu, nacechowane tą elegancją, jaka salonowców odznacza — znamionowały człowieka, co od dawna przywykł być słuchanym bez sprzeciwu. L'état, c'est moi! wionęło z całej jego powierzchowności. W zmarszczeniu brwi gestych, czarnych, zrośniętych prawie nad nosem, w dźwięku mowy szybkiej i płynnej, w lakonicznych i dobitnych zapytaniach lub odpowiedziach, w gestach energicznych podczas rozmowy — słowem, w każdym niemal ruchu przebiegał się autokrata, który nie wie, co to cofać rozkazy,

który żył się z myślą, że zdania jego rostrzygającymi być powinny. Nos orli, trochę wielki, którego ruchawe nozdrza znamionowały namiętą naturę i wąż jak heban czarny, po polsku zawieszisty, uwydatniały jeszcze bardziej piękne, acz nieregularne rysy twarzy śniadawej, kształtnego owalu, co, mimo dumy i surowości, wzbudzała żywą sympatję. Usta wąskie i ślicznie wcięte nabierały jednak nieraz tyle cierpkości i tyle sarkazmu, że lękałeś się, patrząc na nie, by nie zionęły niemi na ciebie.

Na pierwszy rzut oka można było w gubernatorze poznać arystokratę pierwszego rzędu, człowieka, co wzrósł w salonie, w najwyższem, jak to mówią, towarzystwie. Mimo nieprzystępności jednak, która go jako takiego cechowała, posiadał on w czarnych, wielkich, i pełnych ognia oczach, które bardzo często podczas rozmowy ciepłem wymownie przemawiały uczuciem, coś tak ujmującego, że wzbudzał mimowolne zaufanie w rozmawiających z nim.

Ubiór czarny, pojedynczy, bez najmniejszych oznaków godności, którą piastował, ale gustownie i wytwornie zrobiony, nadawał jeszcze większej powagi tej pięknych kształtów postaci, która i tak już dobitnie od gminu się odróżniała. Mimo że dwaj towarzyszący mu urzędnicy i bogaciej ubrani i kilkoma ozdobieni orderami, nie byłys ich trzymał za wyższych od niego i w takim razie nawet, gdyby się nie byli zachowywali tak uprzedzająco i niewolniczo względem niego, jak to czynili wtedy.

Pierwsza młodość Zenowicza upłynęła na Litwie; nauki gimnazjalne pobierał w Wilnie, a skończywszy takowe, udał się do Moskwy na wszechnię. Znający dobrze przeszłość jego twierdzą, że nie miał wcale funduszów i możność dokończenia nauk uniwersyteckich zawdzięczał jedynie jakiejś grafini moskiewskiej Tuczkowej, która się nim opiekowała. Po złożeniu egzaminów i osiągnięciu stopnia uniwersyteckiego, wstąpił do służby rządowej w Petersburgu za panowania jeszcze cara Mikołaja. Za jakieś drobne przewinienie polityczne został wydalonym do Kazania.

Miedzy Polakami wygnańcami jednak wcale odmienna wieść krążyła o jego przeszłości. Podajemy ją tu, jak ją ongi słyszeliśmy na Sybirze.

Miał on się wychowywać w tak zwanym pażeskim korpusie, tj. w zakładzie, do którego przyjmowano tylko dzieci najznamienitszych w kraju rodzin celem przygotowania ich zawczasu do służby przy carskim dworze. Paziowie, czyli wychowawcy tego zakładu, tworzą, dopóki w nim pozostają, coś naksztalt dworu i swity następcy tronu, poki on jest młodziemiaszkiem, a rosnąc z nim wspólnie i dzieląc jego

zabawy, kształcą się na jego przyszłych adjutantów, generałów, dworaków.

W porę kiedy Zenowicz miał być w onym zakładzie, car dzisiejszy był jeszcze młodzieńcem. Pożycie i wspólne zabawy miały ich zbliżyć do siebie. Zdarzyło się, iż obaj wymknęli się raz byli do pewnego, stanowi i wieku wcale nieodpowiedniego miejsca. Na nieszczęście postępek ten został wykrytym, doszedł do wiadomości Mikołaja i obudził gniew jego. Skrupiło się oczywiście wszystko na szesnasto- czy osmastoletnim Zenowiczu. Wysłano go natychmiast do Kazania na pokutę, gdzie byłby może na zawsze pozostał w cieniu, gdyby go przypadek nie zetknął był z człowiekiem, który się zajął jego przyszłością.

Tym człowiekiem był Murawiew, daleki krewny Murawiewa-dekabrysty. Będąc wyniesionym na urząd gubernatora wschodniej Syberji, spotkał się w podróży do Irkucka z Zenowiczem w Kazaniu. Zgrabny, gładki i piękny młodzieniec miał mu się podobać bardzo. Murawiew lubiał w ogóle młodych i wykształconych ludzi, i chętnie ich protegował. Ze zaś nie był dworakiem i posiadał pewną samodzielność i niezależność charakteru, skąd go liberałem zwano, choć do liberalnych zasad równie mu było daleko, jak ziemi do nieba: to miał mu przypaść do gustu postępek młodego paza. Wpływami swemi wyrobił w Petersburgu, że mu pozwolono zabrać Zenowicza z sobą do Irkucka. Przyjechawszy tam, zrobił go najprzód przybocznym swoim urzędnikiem do szczególnych poleceń, a w kilka lat później wyniósł na naczelnika miasta Kiachty, tej bylej Odessy Sybiru.

Mikołaj tymczasem umarł; po nim objął samodzielnictwo Moskwy Aleksander, ale, jak to zwykle bywa, nie przypomniał sobie Zenowicza. Towarzysz młodzieńczych wybryków wypadł mu był dawno z pamięci. Zbyt dumny, aby się przypomnieć carowi, Zenowicz siedział spokojnie w Kiachcie i czekał. Z początkiem też roku 1863 zaświeciła nad nim nowa gwiazda. Dotychczasowy gubernator tobołski, Winogradzki, został w skutek obiadu danego dla Michajłowa, jak to wyżej wspominaliśmy, pozbawiony swego urzędu. Ktoś z przyjaciół Zenowicza miał go przypomnieć carowi, i dotychczasowy grodonaczalnik został zamianowany dziejstwielnym statskim sowietnikom, obdarzony gwiazdą i wyniesiony na urząd cywilnego gubernatora tobołskiej gubernji.

Taką jest wersja o przeszłości Zenowicza, krążąca na Sybirze między Polakami w 1864 i 1865 roku. Pewna to, że koniec swego wygnania zawdzięczał on Murawiewowi i że z grodonaczalnika skokiem rzadko w dziejach moskie-

wskiej biurokracji praktykowanym ocucił się na ważnej posadzie gubernatora najważniejszej gubernji sybirskiej.

Nowy gubernator przyjechawszy do Tobolska zaczął po swojemu gospodarzyć. Cała maszyna administracyjna i sądowa nowym poszła trybem. Przypatrzywszy się przez lat kilka z bardzo bliska czynnościom Murawiewa, obrał go sobie za wzór, i starał się we wielu rzeczach naśladować. Energia, stanowczość, wytrwałość i szybkość nadzwyczajna w prowadzeniu spraw bieżących, odznaczały wszystkie jego czynności. Samodzielność i odstąpienie od wszelkiej rutyny w sposobie doprowadzania ich do skutku, nadawały im cechę zupełnej reformy. Nieubłagana surowość względem wykroczeń pojedynczych urzędników, sądzonych przezeń z nieznaną tu dotąd sprawiedliwością, a wyrozumiałość ojcowska, niemal pieczołowitość i często nawet pobożanie dla klas niższych, uciśnionych przez biurokrację, sprawiły w krótkim czasie, iż się stał bożyszczem ostatnich, a postrachem i przedmiotem nienawiści dla pierwszych. Jak piorun z czystego nieba, niespodzianie, szybko, zlatywał on, nie uprzedziwszy nikogo, do miast powiatowych, zajeżdżał przed więzienie lub urząd, przeglądał sprawy, wypytywał więźniów, badał, wyszukiwał nieporządki, gromił, karmił i wyjeżdżał, zostawiając drżących i długo nie mogących się opamiętać urzędników. Trudno sobie wyobrazić przestrach tych ostatnich, gdy uslyszeli, że gubernator w mieście. Każdy, czując się w niejednym winnym, drżał na samo wspomnienie, co to będzie, gdy wina jego odkrytą zostanie. A Zenowicz w podobnych wypadkach nie rachował się z słowami. W obec całego grona dygnitarzy powiatowych, którzy mu wszędzie podczas takich odwiedzin towarzyszyli, beszał winnego ostatniemi słowy, ktokolwiek by był, tuż przy odkryciu jego winy, używając nawet znanych łajañ moskiewskich. Jeżeli zaś wina była znaczniejsza, pozbawiał go natychmiast urzędu.

Największej pieczy doznawali od niego więźniowie. Porządki, do jego przybycia po więzieniach istniejące, zmieniły się w pierwszych zaraz czasach jego urzędowania nie do poznania. Tak jedzenie, które dotąd w istocie było nieznośne, jak i cały byt więźniów, polepszył się znacznie. To też był on lubiany od aresztantów, którzy go drugim Murawiewem nazywali. A Murawiew dotąd jeszcze nosi nazwę «ojca aresztantów» u więźniów na Sybirze, którzy z roskoszą opowiadają sobie o nim przeróżne anegdoty.*)

Dla rzucenia światła na sposób postępowania Murawiewa przytoczymy jedną z najczęściej opowiadanych i więźniom najbardziej do smaku przypadających anegdot:

*) Mowa tu nie o Murawiewie — wieszatelu.

Jak wiadomo cesarz «niebieski», czyli chiński, darował, podczas rządów Murawiewa w Irkucku i głównie za jego przyczynieniem się, kraj amurski carowi moskiewskiemu. Stąd też Murawiew uzyskał przydomek «Amurskiego». Kraj ten, położony z obu stron rzeki Amur, jest pusty, bezludny, nadzwyczaj lesisty, ale urodzajny i przytem ogromny kawał ziemi. Zaludniony i dobrze uprawiony mógł by się stać wkrótce jedną z najbogatszych prowincji carstwa. Chodziło więc o to, aby go napęłnić mieszkańcami. W Moskwie wszystko dzieje się przymusowo, a zatem i zaludnianie podobnych pustyń. Przykazano przeto, aby wszystkich zdrowych i młodych aresztantów obojga płci, skazanych na zasiedlenie Syberji, nie zostawiać po bliższych guberniach, lecz wysyłać nad Amur. W Irkucku zbierano partje i odprawiano je do onej prowincji. Przed wyprawieniem w podróż kazano zwykle tym z amurskich posiadleców, co żon nie mieli, wybierać sobie takowe z pośrodku niezamężnych aresztantek. Naturalnie, że pomiędzy temi ostatnimi trafiały się bardzo często stare i brzydkie. Powstawały tedy, jak się łatwo domyśleć można, spory i nadużycia. Murawiew, dowiedziawszy się o tem, zapobiegł rychło wzmagającej się niedogodności. Kiedy partje były już do podróży gotowe, przyjeżdżał sam przed więzienie, kazał wyprowadzać do zaślubin sposobnych więźniów na podwórze, dzielił ich według płci na dwa obozy, rozporządzał, aby czapki mężczyzn, stosownie naprzód naznaczone, porzucano na jedną kupę, i zmuszał potem kobiety do rozbierania onych pomiędzy siebie. Razem z czapką wybierała sobie każda męża. Żadne względy postanowienia takiego zmienić nie były w stanie, i ślub odbywał się tuż pod jego okiem w cerkwi więziennej.

Zdawałoby się, że samowolne takie postępowanie raczej nienawiść jak współzucie u aresztantów obudzić by było powinno. A jednak rzecz się miała zupełnie przeciwnie. Więźniowie uwielbiali Murawiewa, i ze swego stanowiska mieli zupełną słusność; tą samowolą bowiem uwolnił on ich od tyranji mnóstwa niższych urzędników, nadzorców i kluczników, którzy przy wolnym wyborze żon nie zaniebdywali z nich ciągnąć rozmaitych korzyści. Więzień każdy wie doskonale, że póki w niewoli, z pod władzy mu się wymknąć niepodobna; woli więc widzieć jednego nad sobą i jednego widzimisiom ulegać, jak słuchać dziesięciu, z których każdy na swój sposób go tyranizuje... To też w ogóle tylko ten z naczelników i przełożonych ma u aresztantów wielkie poważanie, który większym jest despotą. Naczelnik słaby, choćby był nawet ludzkim i dobrodusznym, nigdy nie zjedna sobie u nich tyle szacunku, co autokrata. Zresztą ten, któremu się dostala brzydka i stara żona, wiedział przynajmniej,

że inny, co pojął młodą i ładną, nie zawdzięczał tego kupionym względem urzędników, a zatem większym swoim dostatkom, lecz tylko losowi; a zatem większym poniżeniu widział więc dowód, iż nikt z towarzyszy nad niego wywyższonym nie został, i czuł się za to Murawiewowi obowiązany.

Zenowicz wstępował nieraz, jak już rzekliśmy, w ślady Murawiewa, i ten to absolutyzm jego podobał się właśnie więźniom, którzy prócz powyżej przytoczonych powodów jeszcze i dla tego sprzyjają autokratom, że sami są nimi.

Najbardziej prześladował gubernator przekupstwo, tę wiecznie ropiącą ranę na ciele moskiewskiej Temidy, i tak nie bardzo zdrowem. Skoro tylko dowiedzionem zostało, że urzędnik jaki wziął od strony podarunek, choćby nieznacznej wartości, można było być pewnym, że dostanie niezawodnie dymisję...

Dymisji takich, jak się łatwo domyśleć, było wiele. W żadnym kraju przekupstwo nie jest tak zagnieżdżone między biurokracją, jak w Moskwie, a w żadnej części Moskwy nie dochodzi ono do takich potwornych rozmiarów, jak w Syberji. W krótkim więc bardzo czasie skład wszystkich prawie urzędów, tak powiatowych, jak gubernialnych został przez Zenowicza nie do poznania zmieniony. Wiedząc atoli z doświadczenia długoletniego, iż u Moskali nie tak łatwo przekupstwo wykorzystać, zaczął opróżnione posady nadawać Polakom. Już we dwa lata po jego przybyciu do Tobolska, najznaczniejsze miejsca tak w gubernji jak i na prowincji zajmowali Polacy, których ściągali z rozmaitych krain Moskwy. Można sobie wyobrazić, jaką w skutek takiego postępowania pomiędzy urzędnikami-moskalami wzbudził niechęć.

Ten pociąg ku Polakom objawił się u Zenowicza jeszcze i przy innej sposobności, i tem więcej dawał do myślenia, ile że mógł nieprzyjemne dla niego spowodzić skutki. Mowa tu o politycznych więźniach Polakach, którzy widocznie byli protegowani w jego gubernji. Zmiana postępowania urzędników, a nawet i żołnierzy-strażników względem Polaków, wyraźnie uczuwać się dawała każdemu idącemu etapem, skoro przeszedł granicę permskiej gubernji i stanął na ziemi tobołskiej. W samym Tobolsku zaś grzeczność wszystkich urzędników, stykających się z więźniami politycznymi, była prawdziwie zadziwiająca.

Gdy nadeszła wiadomość o nadciąganiu owych ogromnych transportów, jakimi przy końcu r. 1863 i z początkiem 1864 r. zaczęto przeprowadzać na Sybir Polaków, Zenowicz kazał dla nich przygotować w zamku więziennym pomieszczenie i urządził je własnym, jak mówiono, kosztem. Pojawily się na tapeczanach, czyli tak zwanych narach, w onych

salach, które powyżej opisaliśmy, kilimki kirgiskie; wniesiono ławki i długie stoły; nakryto je obrusami; zakupiono talerze, noże, widełce, łyżki; sprowadzono dziesiątek ogromnych samowarów tulskich; urządzono osobną zupełnie kuchnię, w której wybierani przez więźniów ze swego grona kucharze sporządzali jedzenie z dostarczanych przez osobnego liweranta surowych żywności — słowem, postarano się o wszelkie możliwe wygody i ulepszenia. Nie zapomniano nawet o osobnej katolickiej kapliczce. Do utrzymywania zaś czystości w salach zostali wyznaczeni areztanci — moskale.

W porę jednak, w której nasza powieść przypada, z największej części tych ulepszeń zaledwie tylko ślady zostały. Cały zarząd istniał wprawdzie, jak go w początkach zaprowadzono, ale z kilimków były tylko okrawki, a nożów, widełców, łyżek i obrusów i pamięć zaginęła. Młodzież powstańcza, uważając się ciągle na wojnie, zabierała wszystkiego po trochu, aż w końcu i brać już nie było czego. Samowary tylko wysługiwały się jeszcze, świadcząc jak najdobitniej zabrudzoną i zakopconą swą powierzchownością o niepraktyczności i złych skutkach komunizmu. Będąc własnością wszystkich, nie miały nikogo, koby chciał się starać o utrzymywanie ich w porządku.

Jak już wspomnieliśmy, umieszczano w zamku więziennym tylko takich, którzy byli do robót przeznaczeni, lub których papiery w drodze gdzieś poginęły. Zesłani na posiedzenie lub mieszkanie, mieli na swoje usługi koszary w mieście, gdzie ich wcale nie strzeżono. Zesłanym na mieszkanie lub posiedzenie do Tobolskiej gubernji przestępcom politycznym Zenowicz jeszcze i ten przywilej zostawił, iż mogli sobie sami wybierać miasta lub wsie, w których mieszkać chcieli.

Prócz tego gubernator otoczył się był Polakami w swoim własnym mieszkaniu, które zaraz po przybyciu do Tobolska z rudery na istny pałac przebudował. Porobił sobie z nich lokajów, odźwiernych, coś naksztalt rezydentów i t. p. Nadto obiadowało u niego zawsze kilku wygnańców, którzy w mieście mieszkali i do tak zwanej wyższej warstwy społeczeństwa należeli.

Ktokolwiek z tych, co się z nim stykali, przypadł mu do gustu i łaskę jego zaskarbić sobie umiał, mógł się rychłej amnestji spodziewać. Szczególniej spotykało do takich młodych ludzi, co salonowym polorem i błyszczącymi zdolnościami jakimi, jak n. p. piękną grą na fortepianie, śpiewem i t. p. zdołali przydać blasku wieczorom i zabawom, które wyprawiał u siebie.

Wobec takiego samodzielnego, i z istniejącymi za przeszłych satrapów-gubernatorów porządkami niezgodnego po-

stępowania wrogowie Zenowicza, jak się łatwo dorozumieć, nie zalegali pola. Skarg i doniesień tajemnych otrzymano, osobliwie w początkach rządów Zenowicza, w trzecim oddziale carskiej kancelarji dosyć.

Czy to w skutek skarg owych, jak rozgłaszali wrogowie, czy też dla porozumienia się nad nowo w życie wejść mającym sposobem przeprowadzania więźniów do Syberji, jak twierdzili stronnicy, Zenowicz został zawezwany do Petersburga. Ostatnie to twierdzenie zda się być prawdopodobniejszem, ile że Zenowicz pierwszy projektował ów nowy sposób przeprowadzania więźniów konnym etapem, czyli pocztą etapową. Zresztą rząd moskiewski nie zwykł powoływać kogoś do tłumaczenia się z zarzucanych mu przewinień, lecz robi praktyczniej, bo wysyła komisję, która bada sprawę na miejscu, za ciepła, jak to mówią. Tak czy owak rzeczy się miały, dość, że przez kilka dni cały Tobolsk był w niepewności co do powodów wyjazdu gubernatora. Po tygodniu zaczęto nawet przebąkiwać na serjo, iż nie wróci więcej. Między mieszczanami krążyła wieść głucha, iż go widziano, jak w ciemnej kibitce z żandarmami jechał na Sybir! Przeciwnicy podnieśli głowy. Stronnicy Zenowicza mawiali o nich złośliwie, iż są podobni płazom, co przeleżawszy całą zimę we śnie, za pierwszym promykiem wiosennego słońca zbliżają się do krawędzi swych nór, aby zobaczyć, czy pora im już wylazić na powierzchnię ziemi. Rzucano sobie obelgi nawzajem, a plotki miejskie dawno nie miały tyle przedmiotów do ogadywania, jak wówczas.

Jak grom wśród pogodnego nieba spadł na to wszystko Zenowicz z Petersburga. Urzędnicy posunęli się tłumem, aby go przyjąć u przewozu przez Irtysz. Gubernator, ozdobiony nową gwiazdą, dowodem świeżym carskiej łaski, przyjął ich zimno i surowo. Ogarnawszy wszystkich dumnym wzrokiem, odezwał się w te słowa do nich: «Moi panowie, kto chce teraz służyć ze mną, musi tak działać, jak ja każę, inaczej precz pójdzie!» Ostatnie wyrazy były poparte wymownym i energicznym, jak zwykle, ruchem ręki.

Nowy order i przytoczona przemowa sprawiły ogromną sensację w Tobolsku. Najsilniejsi z przeciwników przycichli. Zenowicz po powrocie swoim stał się istnym carem Tobolska. Widać było z całego postępowania jego, iż stanął na silnej podstawie.

Miejskie plotki rozmaicie tłumaczyły ten tryumfalny jego powrót. Między innemi opowiadano sobie na ucho, iż zawezwany do tłumaczenia się względem swego postępowania z Polakami, miał odpowiedzieć: «U mnie w Tobolsku przebywa nierzadko po 5 i 6,000 Polaków, a mam wszystkiego jeden bataljon niewyćwiczonego żołdactwa i setkę kozaków,

z których każdemu już dawno szabla zardzewiała w pochwie. Jeżeliby trzymał ostro Polaków, mogliby w każdej chwili całe miasto w puch rozbić, i niktby się im oprzeć nie potrafił. Aby więc nie dopuścić do tego, staram się obchodzić z nimi jak najgrzeczniej i co rychlej ich z Tobolska wyprawić.

Oczywiście, że do tej anegdoty bardziej jak do czego innego, można zastosować znane włoskie przysłowie: *si non è vero, è ben trovato* — ale w mieście wierzono jej, i nawet między Polakami byli tacy, co ją z dumą powtarzali.

Z wszystkiego, cośmy powiedzieli, wnosić by wypadało, iż Zenowicz nie był złym Polakiem. Są przecie, co inaczej się nań zapatrują. Przytaczają oni tę okoliczność, iż właśnie w czasach, kiedy rząd moskiewski najbardziej nie ufał Polakom, i ze wszystkich miejsc wpływowych ich usuwać się starał, Zenowicz był posuwany od zaszczytu do zaszczytu i piastował urząd, który posiadającemu tylko wysokie zaufanie u rządu mógł być powierzonym. Gdyby działania jego nosiły były na sobie tylko cień anti-rządowych dążeń, rząd, co bacznie za wszystkim śledził, nigdy byłby nie ścierpiał tego. Pewną jest rzeczą, iż Zenowicza denuncjonowano bardzo często, i że czynili to Moskale; niewątpliwa także, iż denuncjacje owe, przynajmniej co do obchodzenia się jego z Polakami, były poniekąd uzasadnione. A jednak z Petersburga ani razu komisja nie przyjechała dla zbadania stanu rzeczy na miejscu. Jeżeli wreszcie zważymy, iż w końcu roku 1866 czy z początkiem 1867 Zenowicz został przeniesiony do Petersburga, aby objąć dość znaczny urząd w ministerstwie spraw wewnętrznych, t. j. w najważniejszej gałęzi moskiewskiej administracji, i że to się stało właśnie wtedy, kiedy liczba politycznych więźniów do Syberji wysyłanych znacznie zmalała: wypada sądzić, że mu umyślnie na czas najgorętszej przesyłki Polaków dano urząd gubernatora w Tobolsku, aby złagodzić niejako tę nienawiść do rządu, która w skutek niesprawności, krzywdzących nadużyć i okropnego ucisku podczas drogi przez Moskwę w piersiach każdego Polaka wyrobić się musiała, i zapobiedz jej wybuchowi, który właśnie w Syberji groźne dla rządu mógł przybrać rozmiary.

Jeżeli rzeczywiście takim był cel rządu, to przyznać należy, że wybór był trafny. Każdy z Polaków tracił za przybyciem do Tobolska, w obec uprzejmości władz administracyjnych i tych przywilejów, które miłość własną tak przyjemnie lechtały, a których rzeczywistego celu miała liczba tylko wygnańców się domyślała, to złe wyobrażenie o Sybirze, które był wyniósł z kraju, i zapominał o cierpieniach, jakie niedawno przedtem znosić był zmuszony. Tem samem już potrzeba skojarzenia się w celu zemsty, lub też wybicia

się z pod jarzma, była niejako usunięta. Zabrakło dotkliwych pobudek do powzięcia podobnego zamiaru. Z presją ustala i reakcja...

Bardziej jeszcze upoważnia do zapatrywania się w podobny sposób na tę sprawę ta okoliczność, że zakres przywilejów, udzielanych Polakom pędzonym w ostatnich latach na wygnanie, doznawał pewnego systematycznego rozwoju i ścieśniania. Od Petersburga aż do Tobolska z każdym krokiem go rozszerzano. Skutki tego rozszerzania skreśliśmy na początku niniejszego opowiadania. Doszedłszy w Tobolsku swego punktu kulminacyjnego zaczął po za nim upadać. Im głębiej w Syberji, t. j. im więcej tak miejscowe położenie, jako też i większe rozproszenie wygnańców skupieniu się ich na zawadzie stały, tem znaczej zakres przywilejów onych był ścieśniany. Już w Tomskiej gubernji rzeczy się miały daleko inaczej. Tam Polacy nie śmieli tego robić, co im wolno było w Tobolsku. Gubernja Jenińska zaś była gorszą od Tomskiej. A jakiego losu doznawali w Irkućku, t. j. kiedy ich już doprowadzono do miejsca i do robót użyto, dowodzi jasno powstanie Polaków nad Bajkałem r. 1866., to rozpaczliwe, konwulsyjne, że tak powiemy, rzucenie się na-oślep na swoich ciemięśców, choć i cienia nadziei być nie mogło, że się dołę tem uda poprawić...

Dzisiaj, kiedy takie skupienie się ku wspólnemu działaniu w skutek rozproszenia jednostek po niezmiernym Sybiru obszarze, stało się prawie niemożliwem, stan wygnańców, jak świadczą najnowsze wiadomości, powzięte od wracających, jest prawie nie do zniesienia. Skazani na nędzę, ogołoceni ze wszystkich środków zapobieżenia jej, strzeżeni i trzymani na uwiezi, dochodzą do tego stopnia rozpacz, że często samobójczą dłonią przychodzi im zrywać pasmo dni bez pomocy, któremu wśród ucisku, nędzy wszelkiego rodzaju, głodu i chłodu snuć się przeznaczono. Wiadomo niestety obecnie każdemu z wygnańców, że dla tego się z nimi podczas drogi tak łagodnie, tak uprzedzająco obchodzono, aby doprowadzić do miejsca, tem snadniej, tem dotkliwiej ich ugniatać.

Mimo to, dalecy jesteście od zupełnego potępienia byłego tobolskiego gubernatora, i dziwimy się, że są ludzie co mogą od Zenowicza czegoś więcej żądać nad to, co robił. Zenowicz nie powinien być uważany jako Polak; on nim może nigdy nie był... Zaledwie tę cechę zachował polskości, że nie zapomniał mówić po polsku... Zresztą był to Moskal duszą i ciałem, ale Moskal ze stronnictwa liberalnych konserwatystów, t. j. tych umiarkowanych arystokratów, co tworzył zastęp anti-murawiewowski, i do których należeli Suworow, Wałujew, Maniukin, Murawiew (syn Wieszatela,

kowieński gubernator cywilny) i inni. Uganianie się za popularnością było ich celem jedynym.

Podobnych Zenowiczowi Polaków z imienia, choć stokrót gorszych co do przekonań i postępów, można wielu naliczyć. Do składu zarządu Wschodniej Syberji należy wnuk konfederaty barskiego, Strawińskiego, który czuje się każdą razą obrażonym, jeżeli go kto inaczej nazwie jak Strawenskoj! Zenowicz ma jeszcze i tę wyższość nad nimi, że posiada tyle dumy i niezależności, iż nie potrafiłby splamić swego imienia płaszczeniem się u dworu i służalstwem, i mamy nawet powody mniemać, że jeśli był narzędziem rządu, to był nim mimo wiedzy i woli... Jest on przedewszystkiem arystokratą. Wszystkie błędy i wszystkie zalety tej klasy ludzi posiada w niemalym stopniu. Przed własnem «ja» znika u niego choćby najświętsza sprawa. Dla dogodzenia dumie i próżności gotów wyznawać zasady liberalne. Gdyby popadł w nielaskę u rządu, stałby się rewolucjonistą, podobnie jak forytowany za czasów Mikołaja, byłby może gorszym od Paszkiewicza. Cała zasługa Zenowicza leżała w energii, z jaką wprowadzał ulepszenia w zarządzie gubernji i z jaką starał się położyć tamę nadużyciom. Co się tyczy jego przychylności dla Polaków — wygnańców, ta nie może mu służyć za dyplom na patriję. Ceniśmy ją, wierzymy, że nie była udaną, lecz ubolewanie nad losem politycznych więźniów weszło było podówczas w modę u stronnictwa, do którego Zenowicz należał. Suworow lży ronił na widok tysięcy młodzieży polskiej przechodzących przez Petersburg na Sybir...

I w ogóle nie zapatrywano się w Moskwie na Polaków z taką nienawiścią i z takim oburzeniem, jakie rząd pierwotnie obudzić usiłował. Co więcej, prostemu ludowi moskiewskiemu ku szczeremu dla nich współczuciu stała na zawadzie tylko różnica religji. Ona to przeważnie stała się powodem pewnego rodzaju obojętności, którą mylnie za nienawiść przyjęto. Niestłuszenie więc przedstawiają niektórzy z pisarzów naszych położenie wygnańców w Moskwie i w Syberji, jako nieznosne już dla samej pogardy i wstrętu, jakie okazywali im niiby mieszkańcy. Kilka razy, w początkach, przyjęto ich wprawdzie w Petersburgu i Moskwie obelgami, nawet pociskami kamieni i błota, ale sprawy tej prawdziwie murawiewowskiej demonstracji byli przekupieni pijacy, włości i ulicznicy — baciarze, jak u nas mówią. Nikt z ludzi porządných do tego nie należał. Po przejściu przez Moskwę kilku oddziałów tak okrzyczanych przez rząd i jego organa Polaków, mieszkańcy ujrzeni, że pogłoski, puszczane na karb tych ostatnich, są wierutnym fałszem, i zmienili w skutek tego zupełnie swoje względem nich postępowanie. Prawdzi-

wość tu powiedzianego stwierdzić musi dziś każdy powracający, jeśli się nie chce rozminąć z prawdą.

Dziwi nas więc bardzo, jak mógł autor powieści: «My i oni» w tak jaskrawych, a co gorsza, w tak nieprawdziwych barwach wystawić nienawiść Moskali ku Polakom, że czuł się aż powodowanym powiedzieć, iż wygnańcom naszym trudno było znaleźć tam sługę, trudno wyszukać pomieszkani. Wątpię, aby ktokolwiek z tych ostatnich mógł to potwierdzić z czystym sumieniem. Ale i w takim nawet razie pojedyncze fakta nie nadawałyby jeszcze prawa sądenia niekorzystnie o ogóle, który był zupełnie inaczej usposobionym. Rząd i naród w Moskwie, są to dwa różne pojęcia... Sympatje pierwszego są bardzo często antypatjami drugiego — i odwrotnie. Entuzjazm, jaki według owej powieści wzbudziły środki represyjne Murawiewów i Militynów, i ta groźna niły opinja ogółu, co rząd cały ku srogości względem Polaków popychała, istniały jedynie w Moskowskich Wiedomostiach i w ustach kilkudziesięciu zapalonych wielbicieli tej gazety. Ogół obojętnie się zachowywał w obec tych gaziarskich demonstracji.

I nietylko, że nie było w Moskwie podobnej, jaką w przytoczonej powieści opisano, nienawiści ku Polakom, lecz owszem, zdarzały się wypadki, jasno świadczące o wręcz przeciwnem uczuciu. Pozwolimy sobie zwrócić uwagę szanownego autora powieści: «My i oni» na zabawę, daną umyślnie dla Polaków, pędzonych do Syberji, przez mieszkańców Ekaterjenburga w lasku okolicznym, jako też i na to, że po dziś dzień nie nazwą w Syberji żadnego wieczorku świetnym, jeśli nie było na nim Polaków. A zaszczytne miano «dwigatelej proswiszczienja»*), które im powszechnie przysłużyła we wschodnich prowincjach Carstwa i w Syberji, czyż nie jest jasnym dowodem, jak się tam na nich zapatrują? Nie uwzględniając zresztą tak zwanego podajania, t. j. jałmużny, udzielanej Polakom w Moskwie przy Rogowskich rogatkach przez znakomitszych kupców miasta, ile, że takową raczej na karb religijnego zwyczaju, jak współczucia policzyć wypada, dorzucimy jeszcze jedno zdarzenie, zupełnie u nas nie znane, a stwierdzające jasno prawdziwość słów naszych. Do Symbirska, miasta nad Wołgą poniżej Kazania leżącego, napędzono w końcu r. 1863 do rot arezsztanckich mnóstwo politycznych przestępców. Pomiędzy nimi było wiele młodzieniaszków lat 13 — 15. Tych wyprowadzono pewnego razu na drogę, gdzie zmuszeni byli tłuc kamienie. Mieszkańcy nie, mogąc przenieść tego barbarzyństwa, zebrali się tłumnie, odebrali przemocą młodych więźniów z rąk straży, i zapro-

*) Cywilizatorów.

wadzili ich przed pałac gubernatora, na którym wymogli przyrzeczenie, że ich nigdy więcej do podobnych nie będzie używał robót. Tak postąpił lud moskiewski. Zobaczmy, co zrobił rząd dla sparaliżowania owego tak jawnie się wykluwającego współczucia. W kilka tygodni po owem zdarzeniu powstaje pożar w mieście. Pogłoski się szerzą, że sprawcami jego są Polacy. Uplywa kilka dni, i znowu w mieście gore, a podczas pożaru garstka ludzi porywa jedną z mieszkających w Symbirsku rodzin polskich i wrzuca ją do ognia...

Pierwszego zdarzenia napróżno byś szukał po dziennikach moskiewskich; o drugim donoszono w swoim czasie, dodając, że to lud był sprawcą owego całopalenia... Zapewne więc tylko dzienniki moskiewskie służyły tym, co o nienawiści Moskali ku Polakom rosprowadzają, za podstawę do podobnych twierdzeń. Musieli się więc mylić, bo nigdzie mniej nie są publiczne pisma objawem opinii ogółu, jak w Moskwie.

Podobnie też i stronnictwo umiarkowane, uganiające się, jak rzekliśmy, za popularnością, nie okazywało niechęci ku Polakom. Mówiliśmy już wyżej o łzach księcia Suworowa. Frejliny dworu carskiego także bardzo często odwiedzały więzienie, znane w Petersburgu pod nazwą «peresylnoj tiurny», i pocieszały jak mogły pędzonych na wygnanie «biednych Polaczków.» Prawda, że wcale inne je do tego skłaniały powody, jak Suwarowa. W roku 1863 i 1864 wywożono najpiękniejszą młodzież Polski...

Nie zawadzi przy tej sposobności opowiedzieć zdarzenia, które miało miejsce podczas takich odwiedzin frejlin. Między tłumem wygnańców znajdował się jeden, rodem z Litwy, co rzadką swą pięknoscią przykuwał wzrok wszystkich do siebie. Młody, bo zaledwie lat ośmnaście liczący, tak dziewczopięknie miał rysy twarzy, i takie pogodne, łagodne wejrzenie, że na widok jego przypominały się biblijne cherubiny... Murawiew wysłał go na Sybir do służby wojskowej. Zbyt uczęszczając, że podczas wizyty frejlin, tak wybornych znawczyń męskiej piękności, nie uszedł ich uwagi. Zaczęto go wypytywać, pocieszać, obiecano zająć się na dobre jego losem. Za pośrednictwem Suwarowa i innych dygnitarzy frejliny wyrobiły, że W. zatrzymano w Petersburgu, celem zmienienia jego wyroku na łagodniejszy. Suworow, upoważniony ku temu od cara, posłał do Murawiewa zapytanie, za co W. wysłany na Sybir. Murawiew miał odelegraflować lakonicznie: «Zgadnijcie!» Rozdrażniony tą odpowiedzią, Suworow udał się ze skargą do cara. Cały dwór, który jak wiadomo, nienawdził Murawiewa, poparł słuszne zażalenie księcia. Car ustąpił, i zażądał osobiście od naczelnika «Zachodniego kraju» wszystkich papierów, dotyczących W., który dzięki ujmującej fizjonomii stał się przedmiotem cieka-

wości i rozmów całego dworu. Po nadejściu papierów oddano sprawę osobnej komisji dla rozpatrzenia. Podczas gdy się ta rewizja toczyła, frejliny odwiedzały codziennie szczególniego młodzika, któremu w skutek szczególnej łaski wyznaczono osobny pokój na mieszkanie; karmiły go wymienicie, zwożąc cukry, konfitury i inne bakalie; zaopatrywały wszystkie jego potrzeby. Nareszcie po kilkotygodniowej pracy komisja ukończyła swoje zadanie, i uznała wyrok Murawiewa za srogi. Zmieniono go więc o tyle, że nie wysłano W. do wojska, lecz na mieszkanie do Tobolskiej gubernji, z prawem powrotu, skoro kraj się uspokoi. Jedyny to znany wypadek, w którym śmiano zmienić wyrok Wieszatela. Tak to czasami dobrze być i pięknym...

Zdarzyło mi się widzieć tego młodzieńca w Kurganie, i słyszeć opowiadanie o tem zdarzeniu od niego samego, chociaż przedtem już wiedziałem o niem od towarzyszy jego podróży. Widać było, że bardzo mile wspomnienia przywiązywał do tej awantury, bo ile razy wspominał o niej, na piękne się rozmarzał. Jednak nie powiem, aby ona mu na dobre wyszła. Do Petersburga przyjechał głodki i piękny, niby krew z mlekiem, a wyjechał błądliwy i wycieńczony, i nie przyszedł już nigdy potem do zdrowia. Chorowity rumieniec tylko wtedy mu się pojawiał na marmurowo białem obliczu, kiedy się zapalał przy kartach, do których po wyjeździe z Petersburga namiętnego nabrał pochopu...

A więc nie dziwnego, że i Zenowicz należąc do stronnictwa, co jawnie potępiało postępowanie Murawiewa, nie taił się ze swą skłonnością ku Polakom. Dla jakich zaś z nich najbardziej był uczynnym, objaśni następne wydarzenie.

Pewnego razu przy obiedzie ubolewał hrabia jakiś nadlosem pewnego wygnańca Galicjanina, co się także hrabią mianował i którego wyrok opiewał na zsyłkę do Krasnojarska, Jenisejskiej gubernji.

— A czemużecie mi nie powiedzieli, że on hrabia? — zawołał Zenowicz. — Ja go każe dla słabości zdrowia w Tobolsku zostawić! —

I uczynił, co przyrzekł. Moglibyśmy i więcej podobnych przytoczyć przykładów.

Na sprawę polską Zenowicz zapatrywał się zupełnie ze stanowiska swego stronnictwa. Nie wierząc bynajmniej w możliwość dźwignięcia się Polski, uważał całe powstanie za nowoczesny wybuch rozbijającej młodzieńczej wyobraźni i trzpiotostwa i patrzył na każdego powstańca, jak na człowieka zbłąkanego, któremu się w głowie przewróciło. Dobrze mu było ze rządem, więc i pojąć nie był w stanie potrzeby, która innych zmuszała do pokuszenia się o jego zmianę.

Pewnego razu, podczas odwiedzin w Jaluńtorowsku kazał zebrać się wszystkim wygnańcom u siebie. Nie brakło oczywiście ani jednego. Przeszedłszy się kilka razy po komnacie, potoczył wzrokiem do koła i zawołał uśmiechając się: «Co tu osłów się zebrało! Aj wy durnie, durnie! I wy to chcieli Polskę odbudować? wam to walczyć z wywieszonym żołnierzem?... No!...» — tu ścisnął ramionami. Potem zwracając się do najstarszego z zebranych, dodał: «Ty nadzoruj mi tu tych smarkaczów, aby głupstw nie robili żadnych; pamiętaj, że mi będziesz odpowiedzialny za nich!» — I na tem skończyła się owa oryginalna wizyta, o której wiadomość posiadamy właśnie od tego, który do nadzorowania był przeznaczony.

Inną razą znowu w Tobolsku, idąc do biura, spotkał na pagórku koło pomnika Jernaka pełny wóz wygnańców w konfederatkach, krakuskach i czamarach, jadących na jakąś wycieczkę. Nie podobała mu się ta junakierja; kazał stanąć woźnicy.

— Co wy sobie myślicie, wisusy? — krzyknął do siedzących na wozie — chcecie mi burdy wyprawiać po mieście? Zdać wam się, że to rok 1861 — he? Dam ja wam konfederatki i czamarki! Wszystkich do Berezowa powysylam!

— My i do Kamczatki jechać gotowi, panie jenerale! — odparł najśmielszy.

Ta odpowiedź zmięszała nieco Zenowicza. Spojrzał na wszystkich, milczał chwilę, jakby się namyślał, nareszcie pluł najbliżej siedzącemu w oczy i poszedł dalej...

Mimo tych dziwactw, które razić będą tylko wtedy, gdy Zenowicza uważać zechcemy jako Polaka, nikt z wygnańców, co za jego urzędowania przebywali w Tobolskiej gubernji, żalić się na niego nie może. Mogąc robić źle, czynił dobrze, i należy mu się za to wdzięczność.

Lecz wróćmy do opowiadania.

Wszedłszy do sali, Zenowicz wedle zwyczaju potoczył bystrym wzrokiem na około i mruknawszy coś naksztalt powitania, na które tylko blisko stojący odpowiedzieli, poszedł śpiesznym krokiem naprzód.

Na środku zastąpił mu drogę jakiś Litwin, lat około 48, niskiego wzrostu, brodaty, ponury, barczysty, odziany w samodziółkę, a utkwivszy wzrok w ziemię, rzekł gęstym basem po polsku, wymawiając dobitnie każde słowo:

— Mam prośbę, panie Dobrodzieju, do pana jenerała!

— Słucham! — odparł Zenowicz także po polsku.

— Jestem szlachcic, panie Dobrodzieju, praw nie pozbawiony — prawil zaściankowic — należy mi się podczas drogi według prawa 15 kopiejek dziennie, panie Dobrodzieju, i osobny furgon. Ale w drodze, panie Dobrodzieju, przy-

siaduje się zawsze do mego furgonu trzech lub czterech takich więźniów, którzy wedle prawa, panie Dobrodzieju, winni iść pieszo. Plotą, panie Dobrodzieju, że są zmęczeni, i nie dają mi panie Dobrodzieju, siedzieć wygodnie! Otóż prosilbym, panie Dobrodzieju, aby pan jenerał był łaskaw rozkazać, komu należy, by nie dopuszczano do mego furgonu nikogo, panie Dobrodzieju! Jestem szlachcic, i należy mi się osobny furgon, panie Dobrodzieju! —

Calej tej gadaniny słuchał Zenowicz uważnie, nachyliwszy się nieco naprzód, i starał się nie dać poznać po sobie, co za wrażenie na nim sprawiała.

— Skończyłeś? — zapytał, gdy Litwin domówił ostatniego panie Dobrodzieju.

— Skończyłem, panie Dobrodzieju! — odpowiedział tenże, obcierając wąsy i brodę kraciastą, zatabaczoną chustką.

— Jesteś kiep, panie Dobrodzieju! — zaczął Zenowicz przedrzeźniając Litwina i mówiąc coraz szybciej i głośniejsze — jesteś osioł panie Dobrodzieju, i jesteś duren, panie Dobrodzieju! Ani 15 kopiejek, ani podwoły ci nie dam, panie Dobrodzieju — i pójdiesz piechotą dalej, kiedy ci jechać niewygodnie, panie Dobrodzieju!... Chłopczy! — dodał, zwracając się do stojących naokoło więźniów — nie bądźcie takimi durniami, jak ten oto... to was zawsze gubiło!... Zapisać jego imię i nazwisko — rzekł potem po moskiewsku do jednego z towarzyszących mu urzędników.

Skonfundowany szlachetka nie wiedząc gdzie ma oczy podzić, poszedł jak zmyty. Przytłumiony śmiech młodzieży i urywkowe przycinki prześladowały go aż do drzwi. Gubernator zaś wyprostowawszy się dumnie, przeszedł do drugiej sali, a ciągle w jednakowym oddaleniu postępowała za nim gromadka urzędników.

Tuż przy wstępie spotkał go młodzik jakiś, pretensjonalnie ubrany, w rękawiczkach, gładko ufrzyzowany i wymuskany, jak to Francuzi mówią, à quatre épingles. Skłoniwszy się salonowo, zagadnął gubernatora po francusku:

— Excellence! j'aurais, avec votre permission, quelque chose à vous demander!

— Est-ce que vous êtes Français, monsieur? — zapytał gubernator.

— Non Excellence, je suis Polonais!

— A to i ja Polak, mój kochanku, i mówię po polsku! — odparł Zenowicz cierpko, kładąc nacisk na ostatnie słowa.

Młode gapiątko poczerwieniało po same uszy.

— Czego chcesz? — zapytał gubernator znowu, widocznie znieczierpliwiony. Znieść nie mógł, jeśli kto w obec niego godził na efekt, i rad poniżał zawsze podobne indywidua.

— Ta ja... to jest... ja panie jenerale — ja chciałbym poczekać tu na mego przyjaciela! — zaszczębiotał, jękając się francik.

— A dokąd idziesz?

— Do Irkucka, panie jenerale.

— A przyjaciel?

— Także tam, panie jenerale.

— A więc zobaczycie się w Irkucku!

I rzekłszy to, Zenowicz zgrabnym obrotem odwrócił się tyłem do franta i poszedł dalej, zostawiając tego ostatniego w osłupieniu. Doszedłszy do końca sali, zwrócił się ku małemu chłopcykowi, zaledwie lat 14 mającemu, ujmującej powierzchowności i nadzwyczaj delikatnych rysów twarzy, i zapytał z niemałym zadziwieniem:

— A cóż ty tu robisz? czy z ojcem idziesz?

— Nie — odpowiedział chłopczyk — byłem w powstaniu.

— W powstaniu? ty? — zawołał bardziej jeszcze zdziwiony — a cóżś tam robił?

— To co i drudzy — odparł śmiało młodzieniaszek.

— Jak się nasywasz?

— Szczęśny R.!

— Skąd?

— Galicjanin, ze Sambora.

— Dokąd idziesz?

— Do Tomska.

— A to dziwna! — rzekł Zenowicz, ściskając ramiona — i takich nawet zaciągano do rokoszu!... Czy nie życzyłbyś sobie pozostać w Tobolsku kochanku? — dodał po chwili namysłu.

— Jeżeli łaska pana jenerała zostawić mnie tu, czemuż nie!

— Dobrze! zostaniesz i będziesz u mnie mieszkał! Proszę zapisać! — dorzucił, zwracając się do urzędnika.

Ten zbliżył się do młodego wygnańca, zrobił mu kilka grzecznych pytań i zanotował odpowiedzi. Zenowicz tymczasem poszedł dalej, rozmawiając od czasu do czasu z tymi, co mieli go o co prosić.

Szczęśny R., Samborzanin, jemu tylko zawdzięcza rychły swój powrót do kraju. Gubernator zaraz na drugi czy trzeci dzień wziął go do siebie i po kilku miesiącach wpływami swojemi w Petersburgu wyjednał mu pozwolenie powrotu.

Odzwiedzając w kilka dni potem towarzyszy swoich we więzieniu, Szczęśny opowiadał, że ile razy go gubernator spostrzeże, tyle razy ściska ramiona i mawia, z politowaniem się uśmiechając: «Gdzież tam rozum był u tych ludzi, brać takiego malca do powstania!»

Przybycie gubernatora zaskoczyło Władysława tak nie-

spodzianie, że nie mógł się ukryć inaczej, jak pod nary. A nie chciał się z nim spotkać, bo w razie gdyby go który z towarzyszących gubernatorowi urzędników poznał i ujrzął bez kajdan, czekała go sekretna i wysłanie w dalszą podróż z najbliższą partją wygnańców. Po wyjściu gubernatora wyszła i Władysław z swej kryjówki, z której mógł widzieć wszystko, sam nie będąc widzianym. Jan zawezwał go dla zabicia czasu, jak mówił, do przechadzki po więzieniu.

Wyszedszy z sali, zwrócili się ku podwórzcu szlacheckiemu. Część ta więzienia przytykała, jak już powiedzieliśmy, do podwórza beżennych; tj. do tej części zamku, w której znajomi nasi przebywali. Składała się z małego ciemnego dziedzińca, do którego osobna prowadziła brama, i z domku o jedenastu wysoko położonych, małych, półokrągłych i gesto okratowanych okienkach.

Więzienie tobolskie zbudowane nadzwyczaj symetrycznie, podobnie jak wszystkie zabudowania rządowe. Część, leżąca po prawej stronie podwórza szpitalnego, a dopiero co opisana, podobna jest zupełnie do części, leżącej po lewej stronie. Podwórzcu beżennych odpowiada przedzielony także na dwa mniejsze podwórza, dziedzińce żonaty, a podwórze szlacheckie znajduje się wprost naprzeciw podwórza kobiet niezamężnych. Pośrodku leży podwórze szpitalne, jak to już wspomnieliśmy.

Przechodząc przez dziedzińczyk, Władysław uderzony został zaraz przy wejściu porządkiem i czystością jaka tu panowała. Wprawdzie wszystkie podwórza były pozamiatane; gubernator bowiem odwiedzał dość często więzienie; jednak ciemny ten zakątek zamku wyszczególniał się schludnością przed innemi. Było tu coś wyszukanego; coś, czem widocznie chciano godzić na efekt... Taka odrębność nie mogła ująć uwagi człowieka, przyzwyczajonego widzieć po więzieniach porządek moskiewski, tj. pozorny, powierzchowny.

— Nie dziw — mówił Jan, odpowiadając na uwagę w tej mierze przez Władysława uczynioną i zdającą od drzwi budynku — to rezydencja magnaterji naszej. Zapoznam cię z pewnym komisarzem wojennym z Litwy; jednym z tych, co to, wiesz, i o sobie nie zapominali... Ma wyborną herbatę i przepyszne cygara...

— Jak się nazywa? — zapytał Władek.

— Trabadero, Trabucco... zapomniałem, hiszpańskie jakieś; ale on ci je nazwie, częstując.

— Ależ nie cygara, tylko on!

— A, on... — Jan wymienił nazwisko.

Weszli do wnętrza. Z małego przedsionka prowadziły drzwi na dość długi, ciepły korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się rzędem cele. Władysław nie poznał tego miejsca,

porównując je w myślach z tem, czem było w r. 1861. Z nieczystej, szarej, przebrzydłym odorem pluskiew przesiąkłej kazamaty zrobiło się schludne, czysto wybielone, duszkiem, jak Moskale mówią, arystokratycznym woniejące mieszkanko. Skrzętnie wymyta, białym żwirem przy progach wysypana podłoga znajdowała się najniezawodniej w podobnym stanie po raz pierwszy odkąd istniała. U samych drzwi wchodowych stały na bieluchnej ławce wiadra blaszane z wodą, ponakrywane surowym płótnem. Dalej pod oknem kipiała na stoliku kilka samowarów rozmaitej wielkości. Na samym zaś końcu korytarza mieściło się z ławek i kilku desek improwizowane łożo służącego tych miejsc, pokryte nowym kocem więziennym. Służącym był oczywiście Polak, kosynier. Moskał nie byłby w żaden sposób sprostał pokusie, jaką zwykły nań wywierać srebrne łyżki i łyżeczki leżące na stole, zegarki wiszące na ścianach cel niezamkniętych, walizy łatwo dające się otworzyć i t. p. rzeczy.

W chwili, kiedy znajomi nasi weszli na ten korytarz, drzwi kilku cel stały otworem. Wnętrze ich jaśniało dostatkiem, który, jak na więzienie, przypominające się co chwila brakiem światła i kratami, mimo że widoczne były starania mieszkańców, osłabić jego nieprzyjemne wrażenie, można było nazwać przepychem. Atlasowe, czerwone koldry i bieluchna pościel na prostych łóżkach, dywaniki na podłodze i nad łóżkami, urządzone z tłumoków i dywanów szezlagi, futra i wykwintne odzienia, wiszące tu i owdzie na ścianach, i ta niezliczona ilość poustawianych na stolikach przedmiocików i blyskotek, jakimi się lubią otaczać ludzie, którzy takim tylko sposobem umieją objawiać na zewnątrz czynność malutkich swych umysłów, wskazywała jasno, jakiego rodzaju mieszkańce zajmują tę część więzienia.

Z czwartej z rzędu celi dolatywały głosy i śmiechy kilku rozmawiających. Do niej to wprowadził Jan Władysława. Był to pokoik 7 kroków długi a 5 szeroki, wybielony, wymyty; wczesany nawet, bo pajęczyn nie było; ale ciemny i ponury. W kącie pod zasłoniętym półokrągłym okienkiem stało proste sosnowe łożo, zaścielone świeżą, bogatą i wygodną, ale pomiętą pościelą. Dość duży dywan, przedstawiający strzelca i psa legawego, pokrywał tę część ściany, do której przytykało łóżko. Na stoliku przy głowach dostrzeżę mnóstwa flaszeczek aptecznych, flakoników i słoików z pomadą, kilka pudełek cygarów, szczotki, szczoteczki, grzebienie, grzebyczki, mydełka, toaletkę z mosiężnymi brzegami i z perłowej macy inkrustacją, lusterko owalne w srebro oprawne, cały przyrząd do golenia, kilka piankowych cygarnic z bursztynami i bez takowych, stojącą fotografię w ramach złożonych i dwie czy trzy książki, z któ-

rych jedna rozłożona i do góry grzbietem obrócona spoczywała na krawędzi. Widoczna tam była pretensja do milego nieładu, i nie należy wątpić, że przy obszerniejszem nieco mieszkaniu i w innych okolicznościach cel byłby osiągnięty. Tłumoki i walizy pod przeciwną ścianą, zakryte starym jakimś kilimkiem, przedstawiały sofę. Stół nieco większy, stojący na środku, i dwa pojedyncze drewniane krzesła dopełniały umeblowania komnatki, która była w rażącym przeciwieństwie ze wszystkiem, co się w niej znajdowało.

Mimo że dzień był na dworze jasny, gorzały na stole dwie świece w srebrnych niewielkich świecznikach, i oświecały twarze czterech graczy w preferans. Na łóżku siedział gospodarz w szlafroku z szarego sukienka z pasowemi kutasami i sznurkami, i w tkanych pantoflach, które wraz z nogami spoczywały na rozłożonym pod stołem futerku. Włóczkowa krakuska zakrywała głowę o rzadkich, krótko strzyżonych włosach, z przodu nieco łysą. Mógł mieć lat około 40. Twarz pełna, wygolona gładziutko, niczem jednak nieożywiona, wionęła trochę biurokratycznym chłodem, a rączki białe, starannie widać pielęgnowane, i kilka bogatych pierścieni, wklesłych niejako w pulchne, okrągłutkie palce, znamionowały człowieka, co to zwykł dbać o siebie. Cygaro palił niedbale, trzymając je w ustach do góry; czasem kładł je na bok, strzepując popiół zręcznem poruszeniem palców, i zaciągawszy się dymem, wypuszczał go cienką, niebieską strugą wprost na siedzącego naprzeciw gracza. Wszystkie ruchy i cała powierzchowność tego jegomości świadczyły o chęci bawienia się w arystokratę; w rzeczy samej zaś najbardziej był podobnym do bankiera...

Tuczny obywatel jakiś z Wołynia, młody i blade hrabia z Kongresówki, i chudy, wysoki doktor z kokobrodami carskimi, przypominający Petersburg na pierwszy rzut oka, wszyscy wystrojeni jak do salonu, dotrzymywali gospodarzowi placu przy grze.

Kiedy nasi znajomi weszli do celi, gospodarz właśnie królował. Jan uściśnął podaną rękę i przedstawił Władysława.

— Bardzo mi miło poznać pana — odrzekł z uśmiechem, co to z wielkiego wysilenia być uprzejmym, staje się tylko nic nieznaczącym grymasikiem. — Proszę, proszę... miejscą wprawdzie mało, ale wybaczyć panowie... nie w domuśmy. Pan dajesz, byłeś na rękę — dodał on, zwracając się do doktora i podsuwając mu karty — a co to było? — zapytał go potem.

— Siedm w karach — odrzekł tenże; hrabia ma obydwie lewy!

— No i cóż panowie porabiacie? — odezwał się gospodarz do nowo przybyłych, zapisując zarazem wygraną.

— Nudzi nam się... wysłaliśmy trochę z naszej dziury... — odpowiedział Jan.

Dawniejsi goście ani słowem nie powitali przybyszów i nadal też nie troszczyli się o nich wiele. Gra zajmowała ich całkowicie.

— A dziękuję, dziękuję, panie Janie, że pamiętasz o mnie — mówił gospodarz porządkując karty.

— Cóż, jak zdrowie? — zapytał Jan.

— Ot tak! — bez atu!

— Siedm pierwszych!

— Drugich!

— Sam!

— Pas!... jestem jeszcze trochę chory. Gdyby jednak list nadszedł, wyruszyłbym dalej. To nieznosna dziura ten Tobolsk. Pan pali? — dodał zwracając się do Władysława.

— Palię! — odpowiedział tenże.

— A to bardzo proszę, czem mogę służyć? Trabukos?... papierosy?

— Zostanę, jeśli pan dobrodziej pozwoli, przy papierosach!

— Proszę, bez ceremonji! Więc co się gra?

— Ośm pik!

— A, to do pik... pójdę! — tu zadzwonił w dzwoneczek, stojący na stoliku przy głowach, o którym zapomnieliśmy wspomnieć przedtem.

Nadbiegł kosynier.

— A masz tam jeszcze wody kochanku?

— Jest, proszę Wielmożnego pana.

— To przynieś herbaty dla panów. Wszak pijecie panowie!

Jan i Władysław skłonili się w odpowiedź. Kosynier wyszedł.

— Leżę raz! — rzekł hrabia po chwili milczenia.

— O, to można było przewidzieć — odparł gospodarz, przeciągając się i prostując kości — wszystkie kara były u mnie!... Wystaw sobie panie Janie, był tu dziś Zenowicz i oświadczył mi, że za długo siedzę w Tobolsku...

— Trzeba było powiedzieć, żeś pan słaby!

— Nie bój się, zna on się na słabościach... a potem już i mnie się tu nudzić zaczyna, trzeba ruszać dalej! —

W podobny sposób przeciągała się rozmowa jeszcze z kwadrans, przy schyłku którego zaczęła już być widocznie nudną. Gospodarz coraz bardziej zatapiał się w grze, a reszta obecnych wtrącała się rzadko do niej. Znajomi nasi pożegnali na koniec pana komisarza i wyszli.

— Cóż? — pytał Jan, przechodząc przez podwórze — prawda, że ich nie już nie poprawi! To klasa zgubiona dla społeczeństwa...

— Ba, żeby tylko zgubiona! — odparł Władek — mniejsza o to, nie wieleby tam społeczeństwo straciło. Ale widzisz mój kochany, ona dlań jest prócz tego jeszcze szkodliwa. Całe życie składa się na to, aby z tych panów zrobić przyrodzonych wrogów postępu. Zważ, jak dalece są konserwatyści, kiedy nawet tu, w więzieniu, gdzie wiedzą, że nad dni kilka nie zostaną, nie mogą się obejść bez wygodek i bez zadosyćuczynienia drobnostkowym nawykniom. Wymyli, wyczyścili, przebrali kazamatę, by z niej przynajmniej cień zrobić mieszkania, w jakim wzrosli, i móż się choć na chwilę otoczyć przedmiotami, wśród których spłynęła ich przeszłość. Patrz, na sali każdy gotów choć natychmiast do pochodu: tu urządzili się tak, jakby mieli wiekować. Nie wiem prawdziwie, dla czego car ludzi takich wysyła na Sybir...

— To prawda, w kraju mogliby mu być daleko pożyteczniejsi!...

III.

Ucieczka.

Facilis descensus Averno est;
Noctes atque dies patet atri janua Ditis;
Sed revocare gradum, superasque evadere ad auras,
Hoc opus, hic labor est...
Virgil.

Nastał dzień prawdziwie jesienny; zdawało się, że kir jednostajny pokrywa niebo, które też smutnie ciążyło nad szarą masą zabudowań więziennych, i jeszcze bardziej ponurą nadawało jej powierzchowność. Już od ósmej godziny z rana podwórze szpitalne było ożywione. Najwięcej snuło się po niem Polaków, poubieranych w płaszcze, burki i kapoty, jakby do wyjścia. Gromadka żołnierzy, opartych leniwie na karabinach, stała w bramie i przypatrywała się z bezmyślną uwagą snującym się po podwórzu więźniom. Miano poprowadzić kilkudziesięciu Polaków do przykazu dla oświadczenia im, dokąd i kiedy zostaną wyprowadzeni z Tobolska; czekali tylko na dozorcę więzienia, który w kancelarii swojej przygotowywał jeszcze jakieś papiery.

Mimo że przy podobnych okolicznościach zmieniano nierzadko wyroki z ciężkich na łagodniejsze, i że osądzonemu w kraju na lat naprzykład 20, czytano nieraz w tobołskim przykazie wyrok już tylko na lat 12, podając za przyczynę ulaskawienie, chwila ta nie wywierała na Polaków takiego wrażenia, jakby się spodziewać należało. Młodzież tak już była oswojona z tem beźmiernem szafowaniem czasu, na jaki ją do robót skazywano, że z taką samą prawie obojętnością dowiadywała się o wyrokach, z jaką ją katowie zawiadamiali o nich. Mało ją obchodziło, czy dodadzą, czy ujmą cokolwiek; rzekłbyś, że pojęcia czasu zatarły się u niej zupełnie. Mawiano: Idę do kopalni na lat 20, 15, 12, jakby sobie oznajmiano: Jadę na wizytę i zabawię dwa, trzy dni! Nie przesadzamy. Widzieliśmy powstańców, wysyłanych do robót na zawsze — w dol po katorgę, jak mówią włóczęgi — a prawiących o tem z taką lekkością, jakby słowo «zaw-

sze» żadnego dla nich nie miało znaczenia, jakby czcym tylko było dźwiękiem... Ktoś czułby się może pokuszonym, policzyć ten objaw na karb lekkomyślności; bez wątpienia, lekkomyślność młodzieńcza miała w tem także udział. Jednak to cenie nie sobie za nic wyroków, tak nieraz okrutnych, wypływało z innego jeszcze źródła. Srogość kar ma to do siebie, że raczej zatwardza i robi nieczulym, niż zastrasza. Dla Moskala 200, 300 pałek są niczem; mówi o nich z lekceważeniem nieudaniem i odwagą, lepszej sprawy godną; dla takiego, jak się wyraża głupstwa, nie odstępował nigdy od powziętego zamiaru. Otóż według tego samego prawa i dla Polaków liczba lat, określająca czas męczarni i katusz, stała się tak obojętną, iż przestali nawet zważać na nią. Zresztą każdy z tych ludzi przeżył już i na polu bitwy i w więzieniu ciężkie chwile oczekiwania śmierci — a w więzieniu życie z szubienicą przed oczyma straszne — to też każdy uważał katorgę poniekąd za dobrodziejstwo. Mniejsza o czas kary, kiedy życie zostało .. od czegoż nadzieja!

I zaiste, patrząc na te ofiary despotyzmu i barbarzyństwa, czuleś się pokrzepionym i wzmocnionym. Zwątpienie o doli ludzkości musiało ustąpić; obawy o przyszłość społeczeństwa, zagrożonego niewolą, niknęły jak mgła nocna przy słońcu brzasku; i stan ojczyzny zdawał ci się nie tak rozpaczliwym, na widok tej trzpiotowatości, tej niemal wesołości w ucisku, i tego odważnego lekceważenia nieszczęść, na których samo wspomnienie drży człowiek prawy i krwią się zalewa serce czule a nie zepuste. Wszystko to bowiem dostarczało żywych i niezbitych dowodów, jak bezsilnym jest tyran, choćby był nawet tak rospasany i krwiożerczym tygrysem, jak ten, co pędził tysiące młodzianków na lodowe świata krańce! Srogość, którą chciał zdusić, stłumić, zniszczyć już w zarodkach wszelką myśl wyższą, stała się właśnie środkiem, ubezwładniającym jego zapędy i barbarzyństwa, źródłem, z którego czerpano siłę i odwagę do znoszenia ich, wiatrem na iskrę wśród palnego materiału... Lały się wprawdzie na tę iskrę strugi krwi i łez; ale wiatr był silniejszy, krew i łzy suszył, a rodmuchiwał iskrę! O, i buchnie ona kiedyś pożarem, i zatrwoży się carat własnego swego dzieła! Przyznałoby ciemniejszy sami nawet prawdę słów tych, gdyby zechcieli byli zmniejszać się choć na jeden wieczór, choć na godzinę z tłumem polskich wygnańców ówczesnych i przypatrzeć się z bliska, jak mało osiągnęli tem, że zwolali na siebie klątwę wieków i wszystko robili, by ich napiętnowano nazwą ludobójców i tyranów! Przekleństwa nie poprawiły ich, na hańbę byli nieczuli, jęki stały się im piosnką do snu po wszetecznych orgiach, ale widok nicości swej potęgi, poświadczony

każdą twarzą wygnańca, dałby im pewnie do myślenia...
Bo to prawda, że:

Gdziekolwiek nas wyrok carski zawleczę,
Oszukamy jego dumę:
Niesiemy ze sobą prawa człowiecze
I wolności dume!

Otóż ona to sposobność wyjścia z zamku wybrali nasi znajomi, aby doprowadzić swój zamiar do skutku. W najmniejszym kącie podwórza, tuż obok szopy, przeznaczonej na przechowywanie wozów z beczkami na wodę, sań i innych przedmiotów, stali owinięci w płaszcze, rozmawiając, i poglądali od czasu do czasu ku bramie, skąd nadzorca więzienia miał przybyć. Jan, najgorętszy z nich wszystkich, odłączał się co chwila od grona, i zaglądał aż na schody, wiodące do mieszkania dozorczy, by się przekonać, czy nie idzie. Mniemał, że tem przyspieszy jego przybycie. Władysław, podwiązany chustką, tak, że większą połowę twarzy miał zakrytą, i w długi płaszcz, sporządzony krojem sybirskim, owinięty, stał bokiem do podwórza, oparty o ścianę, i niekiedy tylko wtrącał słów kilka do rozmowy towarzyszy. Z odsłoniętej części twarzy trudno było wnioskować o wewnętrznym jego usposobieniu. Ruchy jego były nacechowane jakimś lenistwem, w którym się przebiegał pewien rodzaj niewiary w to, co robił. Zdawało się, że mimo woli stoi, mimo woli mówi, mimo woli się porusza, niby automat jaki. I stan ten apatyczny nie był wcale udany. Wynikał on z usilnego poprzedniego przygotowania się w myśli na wszelkie możliwe wypadki; pochodził stąd, że Władysław, nie chcąc przenosić moralnych cierpień z nieudania się zamiaru, starał się już od dni kilku wmówić w siebie, że mu wcale będzie obojętnem, czy potrafi wyjść z więzienia czy nie... I dokazał nareszcie siłą woli, że w tak ważnej chwili zachował niemal więcej jak zimną krew, bo obojętność prawie. Niebezpieczny byłby to stan umysłu, gdyby był naturalny. Brak energii w działaniu stałby się był koniecznym jego następstwem. Że zaś wymuszona ta obojętność dla sprawy, którą przedsiębrał, nie była zgodną z jego raczej ognistym usposobieniem, więc myśl o bliskiej wolności zapalała mu często oko i barwiła mocniejszym rumieńcem policzki. Były to wprawdzie tylko jakby drgania konwulsyjne władz umysłowych, nie mogących znieść jarzma, przemocą nałożonego; drgania, które się objawiały na zewnątrz chwilowem obgryzaniem paznokci i utkwionym bezmyślnie w jedno miejsce wzrokiem. Władysław natychmiast otrząsał się z nich — ale wystarczały one do zrównoważenia apatii i podtrzymania siły ducha na wysokości takiej, jaka była potrzebna do wykonania zamiaru. Najwięcej naturalnego spokoju zatrzymał Oles. Ten wi-

docznie był pewny siebie i nie przypuszczał nawet, aby mogło się inaczej wydarzyć, jak było potrzeba. Praktyczny jego umysł nieprzystępny był wymarzonemu obawom i zachował tę równowagę, której nie posiadali ani Jan ani Władysław.

Nareszcie pojawił się na podwórzu dozorca w towarzystwie podoficera straży i jednego z kluczników. Kazano się w podwójny szereg ustawić mającym iść do przykazu Polakom. Władysław stanął, jak się łatwo domyślić, w drugim szeregu, i starał się ukryć jak mógł najlepiej za wysokim Antonim. Dozorca przeszedł się wzdłuż całego rzędu, zaglądał każdemu w oblicze i udał się ku bramie. Za nim postępowali, naśladując go, podoficer i klucznik. Otworzono furtkę, ustawiono na placu przedwieziennym w półkole straż, złożoną z kilkunastu żołnierzy, i kazano więźniom wychodzić po parze. Wychodzących liczyli przed furtką dozorca i podoficer, na placu przeliczył ich na nowo klucznik. Narachowano 37 par i zapisano tę liczbę na czarnej tablicy, która wisiała na ścianie obok brony żelaznej. Za ostatnią parą wyszedł i dozorca za bramę, obejrzał raz jeszcze wszystkich, chcąc się przekonać czy nie wmięszał się jaki zbrodniarz Moskal, a widząc, że tak nie było, rzekł do podoficera, dowodzącego strażą:

— Uważajcież, aby żaden do miasta nie poszedł; gubernator srodcze zakazał puszcząć ich samych...

Po tej przestrodze obrócił się do więźniów i zawołał:

— No, teraz idźcie z Bogiem dzieci! —

I poczet ruszył z miejsca, postępując długim szeregiem ku północnemu krańcowi tarasu.

Podczas całego tego obrzędu przeglądania, przeliczania i wypuszczania za bramę, jak owiec z owczarni, żaden z naszych znajomych nie przemówił do drugiego ani słowa. Każdemu z nich trwożna niepewność dawała wiele do myślenia. Kiedy zaś wszyscy już stanęli na placu, i podoficer zapisywał na tablicy liczbę idących do przykazu, zbliżył się Jan do Władysława i rzekł na ucho:

— Niech pisze dureń... zabraknie mu pewnie czterech przy powrocie!

Władysław odpowiedział mu tylko uściśnieniem ręki.

Po chwili znalazł się koło nich i Oles z wesołą twarzą i szepnął:

— No, udało się! Teraz się już nie bój, nie poznają!

— Poczekaj — odparł Władysław — jeszcześmy pod strażą. —

Na samym północnym krańcu miasta stało odosobnione od innych domów i niedokończonym parkanem otoczone zabudowanie, w którym mieścił się przykaz. Był to obszerny

dom, z przestronnymi sieniami, z kilkoma salami i magazynem na rzeczy i bieliznę dla więźniów.

Tam zaprowadzono Polaków i kazano im czekać w sieniach, dopóki urzędnicy, zgromadzeni w jednej z sal, nie poczną wołać każdego z osobna. Żołnierze, którzy ich tu przyprowadzili, stanęli częścią u obu wchodów domu, częścią usiedli na belkach, które leżały na podwórzu. Gawędząc, nie zwracali wiele uwagi na poruczonych ich pieczy więźniów, którzy przechadzali się gromadkami po obszernej sieni. Polaków nie strzeżono tak ściśle jak Moskali. Nie przypuszczano bowiem, aby któremu z nich mogła przyjść do głowy myśl ucieczki. Sądono, że niezajomość kraju, języka i zwyczajów, mogąca zdradzić zbiega na każdym kroku, powstrzyma każdego od podobnego zamiaru. Z drugiej strony łatwe obchodzenie się władz administracyjnych z Polakami, oddziaływało także na żołnierzy, z których żaden — w Tobolsku przynajmniej — nie poważiłby się być obrażony Polaka. Wszyscy Polacy byli w wyobrażeniu żołdactwa szlachcicami, i jako tacy zasługiwali na szacunek. Gdy do tego dodamy jeszcze i tę okoliczność, że żołnierze, widząc większą część zsyłanych Polaków, mieszkających w koszarach miejskich zupełnie bez nadzoru, nabrali przekonania, iż ci, co są strzeżeni, są nimi tylko dla formy, to nie będzie nas dziwić, że ta opieka ich i nieprzeorność, która umożliwiła naszym znajomym wykonanie zamiaru.

Nie długo po przybyciu do przykazu przystąpił Jan do Władysława i Olesia, przechadzających się po sieniach, i oświadczył, że pora pomyśleć o wykonaniu przedsięwzięcia.

— Dobrze! — odrzekł Władysław — jam gotów! —

Drżenie głosu, z jakim były wypowiedziane te słowa, zadawały oczywisty kłam spokojowi, który starał się nadać całemu obliczu.

— Wy oba pójdziecie naprzód — mówił Jan dalej — i z czekając na nas w mieście, na głównej ulicy, ja zaś z Antonim przekupimy podoficera, aby nam pozwolił pójść niby do szynku.

— Tylko róbcie tak, abyśmy na was czekać nie potrzebowali — rzekł mu Oleś.

Po tej krótkiej rozmowie udali się wszyscy na podwórze. Stojący we drzwiach żołnierze przepuścili ich bez wahania, wiczając, że na podwórzu także straż stoi. Przeszedłszy się kilka razy wzdłuż parkanu, zaczęli swawolić, gonić się, rzucali do siebie śniegiem, i uspokoił tym sposobem żołnierzy, którzy zrazu nie spuszczały ich z oka. Niebawem podzielił się na dwie pary; Oleś z Władysławem przechadzali się na jednym, a Jan z Antonim na drugim końcu podwórza. Narazie, gdy żołnierze przestali zupełnie za nimi śledzić, obaj

pierwsi zwrócili się do odchódka, który był zakryty budynkiem głównym przed wzrokiem straży, siedzącej na środku podwórza. Dwie straże były takim sposobem ominięte. Zostawała trzecia, stojąca u drugich drzwi przykazu.

Straciwszy z oczu żołnierzy z podwórza, Władysław i Oleś puścili się szybkim krokiem w drogę do miasta. Podoficer trzeciej straży, spostrzegłszy idących, kiedy już byli kilkanaście kroków od niego oddaleni, zawołał:

— A wy dokąd?

Oleś nie oglądając się poszedł dalej.

Władysław jednak wrócił się — przystąpił do podoficera i zapytał:

— Wy do mnie mówicie, panie podoficerze?

— Dokąd idziecie? — powtórzył tenże.

— Dokąd idę?... — odparł Władysław udając zdziwionego — wracam, skąd przybyłem... do domu.

— Jakto do domu? — zapytał znowu podoficer.

— Do miasta; tam mieszkam... Byłem tu po list, który przybył do mnie z pieniądźmi, odebrałem i wracam.

— A, tak... to co innego... myślałem że pan z tury.

— Więcej nic nie macie do powiedzenia?

— Nic... idźcie z Bogiem! — rzekł podoficer i zwrócił się do swoich żołnierzy.

Władysław naściągł wkrótce Olesia i obaj znikli niebawem w jednej z bocznych ulic górnej części miasta.

*

Wysoki, skalisty brzeg Irtyszu, na którym zbudowana wyższa połowa Tobolska, ciągnie się wzdłuż rzeki z jakie sześć wiorst na północ za miasto. Tworzy on ogromny taras, który przerzynają miejscami głębokie jary. W pewnych odstępach zmieniają się na nim karłowate gaje, gęste krzaki, łąki i lasy. Północny kraniec jego zapada prostopadłym prawie stokiem na dolinę, która tworzy początek stepu. Kraniec tarasu panuje więc nad nią i nad wioskami, tu i owdzie blisko rzeki zbudowanymi.

Noc była ciemna, wiatr dął nadzwyczaj silny i pruszył z pokrytych chmurami niebios rześmistym deszczem, prawdziwym kapuśniaczkiem. Irtysz, który liczne przylewy z nizin błotnistych lewego brzegu wysoko podniosły, wezbrał w skutek plut kilkudniowych znacznie i miotał się szalenie po łożysku, rozbijając spienione fale o piaszczyste skały prawego brzegu z szumem, głośniejszym ryk burzy. Niekiedy tylko wyglądał z za rozdartych chmur blade księżyc, i oświeciwszy na chwilę zbałwaną powierzchnię rzeki i przyległe cza-

hary zniknął znowu, gęstsze jeszcze po ziemi rozścielając cienie.

Nie było widać na pięć kroków przed sobą; im później w noc, z tem większą siłą wyla burza, tem wścieklej szumiał Irtysz, szamocąc się po szerokim łożu, i tem szalenięj uderzały jego bałwany o brzeg wysoki. Rzekłbyś, rozzłościł się ten król stepów, iż nie może, jak to zwykł był czynić o tej porze roku, zalać na jakie wiorst kilkanaście przyległe niziny i lasy błotniste. Wyl więc i szumiał z burzą w zawody, i przyskał wodą wysoko w powietrze przy każdym fal zetknięciu, jakby płał bluźnierczo w niebo, że wzbroniło mu wylewu...

Na samym krańcu skały, panującej nad wspomnianą doliną, gorzało spore ognisko, zakryte drzewami, i sycząc od kropli dżdżu, oświecało czerwonym światłem twarze czterech ludzi, co się schronili przed niepogodą w szałasie, skleconym naprędce z chojn sosnowych. Ostatki ubogiej wieczerzy, składającej się tylko z suchego chleba, leżały przed nimi na rozesłanym na ziemi worku.

Byli to nasi znajomi z tury: Jan, Oleś, Antoni i Władysław.

— Straszna noc!... — mówi Oleś, nakładając fajkę — jakby umyślnie dla tego, że nam potrzeba przepłynąć na drugą stronę...

— Nie wiem, jak to będzie z naszą przeprawą — dodaje Antoni, usiłując zobaczyć z za gęstych gałęzi ciemne niebo, i zbadać, o ile sprawiedliwiemi są jego obawy. — Jakoś się nie wyjaśnia... a do tego jeszcze i łódki może nie będzie... Co myślisz o tem, Władysławie?

— Ja zupełnie spokojny... — odparł Władysław, który od czasu, gdy się ujrzał bez straży, zmienił się zupełnie. Miejsce dawnej wymuszonej obojętności zastąpiła energia i pewność siebie, objawiająca się w każdym ruchu. — Burza dosięga już kresu, ustanie niebawem; a łódka być musi, bo wieś niedaleko... Zresztą, gdyby i wiatr nie ustał, przewiozę was po jednym.

— Co, się tam troszczysz o burzę i Irtysz — wtrącił Jan — niech sobie szumią i buszują... Wolę słuchać ryku uraganu na stepie, jak przeraźliwego brzęku kajdan i nieznosnego «służaj» straży w więzieniu. Tuirma za nami... oto grunt! zresztą kpię sobie z wszystkiego! Nieprawda Olku?

— Oho! szacowna tuirma już pewnie we śnie pograżona... Nie wspominaj jej, bo gotowa dostać czkawki! — odrzekł Olek, uśmiechając się dobrodusznie i podając fajkę Władysławowi.

— Czkawki jak czkawki — wtrąca Antoni — ale lękam

się bardzo, aby nie wysłano pogoni za nami... Radbym co rychłej być po tamtej stronie Irtyszu.

— Pora by ci raz uspokoić się już! — rzekł Jan niecierpliwie — bojaźnią swoją nudzić nas już zaczynasz... Jaka pogon szukać nas będzie po takich wertepach? Tu i djabeł nie trafiłby... Przypomnij sobie przysłowie włóczęgów: «Nam jedna droga, a dla nich dziesięć!» A potem oni nie spostrzegą nawet, że kogo brakuje; wszak im codzień nie dostaje przy powierce najmniej z pięciu. Musisz wiedzieć, że tam kilka tysięcy więźniów; trudno się nie omylić przy takiej ilości...

— Nas to jak nas, ale Władka będą szukać natychmiast — mówił Oleś — jego strzegli jak oka w głowie, i gdyby się nie był przebrał, byłby jeszcze siedział...

— Niech sobie zdrowi szukają! — odparł Władysław. — Ich rzeczą było strzedz, moją uciekać...

— Gdzie ty Władku zamysłasz się udać, przepłynąwszy Irtysz? — zapytał Jan, którego ta rozmowa widocznie niecierpliwiła.

— Przedniujemy w lesie za rzeką, potem wyprowadzę was na Toboń. Tam albo się rozłączymy, albo jeśli zechcecie, pójdziemy razem aż do Jałutorowska.

— Ja z tobą Władku trzymam! — wtrącił Oleś — my się nie rozłączymy...

— A dobrze! Tylko robię was uważnymi, że czterem razem iść niebezpiecznie... Lepiejby było, gdybyśmy się podzielili.

— Zobaczmy jutro — odparł Jan.

W tej chwili burza zawyla okropnie; rzekłbyś siłła się powyrwać drzewa z korzeniami, z taką wściekłą zjadłością zasumiała po lesie. Deszcz ustał trochę, a buchające płomienie ogniska, rozdętego szerokim wiatrem, migotały wężykowatemi językami wśród grubych cieni nocnych. Był to ostatni i najsilniejszy wybuch uraganu, który zaczął się trochę uciszać po tem niezmiernem wysileniu. Irtysz jednak szumiał jeszcze i miotał się jak dawniej.

Nastąpiło krótkie milczenie, podczas którego każdy ze zbierających się w swoje własne dumaniach. W więzieniu wydało im się trudnem tylko wyswobodzenie z pod straży... resztę sądzili drobnostką. Teraz zaś, kiedy tamta przeskoda znikła i nie tamowała wzroku, ujrzeli przed sobą mnóstwo innych trudności, nad którymi się mało dotąd zastanawiali. Byli wprawdzie wolni, ale ze stepem sybirskim przed sobą, który z poza murów więziennych nie wydawał im się tak strasznym, a który przebyć trzeba było koniecznie. Rachowali w myślach mile, które ich oddzielały od ojczyzny,

i poznali, że w tym kraju dla nich nie tylko tura, ale kraj cały był więzieniem...

— Już musi być północ niedaleko — rzekł nareszcie Władysław, wychodząc z szalasu i zgartując rozrzucone ognisko na jedną kupę. — Deszcz nie pada, burza słabiej buszuje po lesie; myślę, że pora nam w drogę... Nim zejdziemy na dół i znajdziemy łódkę, będzie się można puścić bezpiecznie na rzekę. —

Podnieśli się wszyscy. Każdy wziął do ręki kostur, których stos leżał przy ognisku, i zaczęli się spuszczać po krętej spadzistości do rzeki. Niebawem stanęli bez szwanku na piaszczystym jej brzegu. Po Irtyszu bujały jeszcze wysoko balwany, bo wiatr uciął był wprawdzie trochę między drzewami lasu, ale dął jeszcze dość silnie otwartą koryta doliną. Księżyc zajaśniał teraz na oczyszczonym niebie, a drzące jego promienie rosływały się po grzbietach fal w tysiące srebrnych iskier, i cała szeroka powierzchnia rzeki lśniła się od nich pasmami, jakby od świętojańskich robaczek.

Czterej zbiegowie szli piaskiem po nad samą wodą i szukali czółna. Nareszcie zaczęło coś zdala, jak pień wyrócony.

— Łódka! — krzyknął stłumionym głosem, idący przodem Władysław.

— Ale nie pomieścimy się w niej... za mała! — mówił Jan nadbiegając. — Dla dwóch nawet niebezpieczna w taką nie pogodę!

— Przewiozę was po jednym — odparł Władysław, staczając czółno do wody.

— Poczekaj chwileczkę, Władysławie; tu niedaleko musi być owa łódka, w której widzieliśmy płynących rybaków. Niepodobna, aby wrócili do Tobolska. W niej będzie nam wszystkim wygodnie. —

I nie czekając odpowiedzi Jan pobiegł dalej wzdłuż brzegu.

— Jest! chodźcie! — ozwał się po małej chwili głos przytłumiony.

Wszyscy udali się za Janem.

Piękne czółno, znacznie większe od pierwszego, kołysało się na falach, przywiązane do pała, głęboko wetkniętego w piasek. Władysław wskoczył doń i przekonawszy się że nie cieknie, rzekł:

— Mocne, siadajmy! —

Trzej zbiegowie powodowali się temu wezwaniu i zajęli miejsca tak, że dwóch z nich usiadło na środku, jeden zaś na przedzie czółna. Ten ostatni, a był nim Jan, odwiązał sznurek, siedzący zaś u steru Władysław skierował łódź na wodę. Zwykła deska, którą podjął był na brzegu, służyła

mu za wiosło. Po chwili zaigrało czółno na głębinie, ale skrócone niewprawnym wiosłowaniem i postawione równolegle z balwanami, zachwiało się silnie i zagroziło wywrotem. Przestraszeni zbiegowie zerwali się na nogi i czółno bardziej jeszcze pochyliło na stronę. Okrzyk przestachu dobył się z ich piersi, bo niebezpieczeństwo było w samej rzeczy groźne. Każdy większy balwan, uderzając o bok łódki, mógł ją wywrócić.

— Rzućcież do krośet... kostury do wody i siadajcie, jak się patrzy! — zawołał Władysław, który nie ruszywszy się z miejsca, usiłował skierować łódkę przeciw piętzącym się balwanom i zapobiedz niechybnemu jej wywrotowi. — Po co bierzecie się do wiosłowania kiedy nie umiecie? Ja sam popłynę! — dorzucił, gdy usiłowania jego pożądany odniosły skutek.

Zbiegowie, ulegając, jak to się zwykle dzieje w chwilach niebezpieczeństwa, mimowolnie silniejszemu duchem, usiedli jak na komendę i porzucali kostury do wody. Czółno, kierowane jedynie przez Władysława, zaczęło przerzynać wały i parło w ukośnym kierunku przez rzekę, kołysząc się wprawdzie silnie, lecz bez niebezpieczeństwa wywrotu. Przeprawa trwała z godzinę podczas trwożnego milczenia. Czółno dawało się z trudem tylko utrzymać przeciw balwanom, bo niezgrabna deska mogła tylko w części zastąpić wiosło. Na koniec siedzący na przedzie Jan zawołał:

— Brzeg już widać! —

I owe «ziemia!» co się rozdało po kilkumiesięcznej podróży z masztu okrętu Kolumbowego, nie było przyjemniejszem dla zniechęconych żeglarzy, jak wiadomość o bliskości brzegu dla naszych zbiegów. Brzeg przeciwny był dla nich w owej chwili czemś nakształt przytuliska, zabezpieczającego ich, jak mniemali, przed pogonią i poszukiwaniami. To też wszyscy odetchnęli wolniej, kiedy cienie nocne, zgęszczone bardziej w tem miejscu, gdzie brzeg się ciągnął, jak gdzieś indziej, zwiastowały im bliskość lądu.

Niebawem wryło się w piasek dno łódki rospędzonej, i wszyscy zachwiali się od nagłego uderzenia. Było jeszcze z 10 kroków do suszy; dla płytkości jednak niepodobna było przybić do samego brzegu. Wskoczyli więc wszyscy do wody i pobrnęli czempredzej do lądu. Władysław zostawszy w tyle zepchnął czółno w kierunku wiatru na rzekę.

— Bylibyście narobili swoim wiosłowaniem — rzekł on wychodząc z wody — omal żeśmy nie potonęli.

— A wszystkiemu winien ten bohajs Antoni! — odparł Jan. — Usiadł sobie twarzą do Olka, i nuż popychać w przeciwnym kierunku.

— Bo wiedziałem — mówił Antoni, wesoło się uśmie-

chając — że Irtysz nie poważy się przyjąć takich ludzi, jak my!

— Jermak był trochę odważniejszy od ciebie, a zginął w nim przecież! I ty bratku inaczej zaśpiewałyś, gdybyś był musiał wziąć w nim zimną kąpiel!

— Oho! — rzeknie Olek — bylibyśmy chcąc nie chcąc popłynęli do Obdorska!

— Dobrze, że się skończyło na strachu — zakończył Władek i wezwał towarzyszy do dalszego pochodu.

I poszli wszyscy w głąb łożyny, którą lewy brzeg Irtyszu był porośnięty, podczas gdy łódka, co ich przywiozła, błakała się samotnie po falach, wiatrem pędzona. Daleko nie oddalali się od rzeki, która teraz jedynym ich była przewodnikiem. Upatrzywszy gęsty krzak łożyny, który zasłaniał ich jako tako od niepogody, rozłożyli ogień i przesiadzieli przy nim do rana, gawędząc o zdarzeniach dnia ubiegłego.

*

Szeroko rozległ się step przy ujściu Tobołu do Irtyszu. Karłowate krzewy łożyny i brzeziny rosną po nim ostrowami i otaczają wiankiem albo małe, błotniste jeziora, zarośnięte szuwarem, albo soczyste łąki, na których jesienną porą mieściły się liczne stogi siana. Jak oko sięgnie, nie widać po tej stronie rzeki nigdzie ni wioski, ni mieszkania ludzkiego, tylko ostrokatne wierzchy kopie siana wyglądają naksztalt kurhanów po nad niskie krzewy.

Niziny te błotniste zalewa co wiosna burzliwa rzeka na przestrzeń kilkunastowiorstową; to też leżą one pustkami, i służą za wygodną siedzibę niezliczonemu mnóstwu kaczek, dzikich gęsi i żorawi, albo Sybirakom za sianozęcią. Zrzadka, bardzo zrzadka pobudowali Tatarzy swe jurty po tej stronie Tobołu na wyżynach, których woda nie dosięga, i miejsca te są prawdziwymi oazami wśród rozległej pustyni, rościagniętej wzdłuż dolnej części lewego brzegu.

Wyższy, miejscami skalisty brzeg prawy gęsto jest za to zasiany wsiami to moskiewskimi, to tatarskimi.

Niebo było pogodne, zachód palił się jeszcze od promieni słońca, co się skryło za drzewami puszczy, czerniejącej na widokregru, a po północnej połowie sklepienia tu i owdzie migotały już gwiazdy.

Ponuro i złowieszco przeglądały się szare mury więzienia w wodnej szybie płynącego u stóp Irtyszu, a białe gromady zabudowań świeciły z przeciwległej skały wśród cieni wieczornych słabym odbłaskiem łuny zachodniej. Z okien niektórych domów górnego miasta przebijały się już wie-

czorne światła przez mgłę cieniuchną, co się unosiła nad szeroką powierzchnią zlewu dwóch rzek.

Taka cisza była do koła, że można było słyszeć świst skrzydeł kaczek, przelatujących co chwila stadami na żer z jednego jeziora do drugiego. Mały przymrozek stężył trochę grząską w tych miejscach ziemię, a tu i ówdzie białą po zapadlinach śnieg, spadły wczoraj nocą, którego słońce nie zdołało już stopić.

Z za krzaków, co otaczały maleńką łączkę, wyszło dwóch ludzi; oglądali się oni bacznie do koła, zmierzając do jednego z najbliższych stogów. Byli to Władysław i Oleś.

— Chwała Bogu, mamy wybory nocleg — mówił pierwszy, przełaząc w najdogodniejszym miejscu przez płocik, którym każda kopca z osobna bywa zwykle ogrodzona.

— Dziś przynajmniej zaśniemy lepiej — odrzekł Olek, kładąc na ziemię woreczek z zapasami żywności. — Pożyliśmy się trochę ciepłą strawą, a wczoraj nic nie jedliśmy, dzięki Janowi i Antoniemu.

— Ciekawym też, co się z nimi stało?

— Wrócili do Tobolska... a jeżeli ich nie przytrzymają, gdziekolwiek, pójdą inną drogą. Ja sobie tak tylko tłumaczę ich wczorajsze zniknięcie... — mówił Oleś, zabierając się do wyłobienia legowiska w stogu.

— A może ich chłopci wzięli we wsi?

— Gdzie tam... dziś rano i myśmy przecież przechodzili koło wsi, a nic nam nie mówili. Oto, im się zdawało, że ucieczka, igraszka. Nie podobała się podróż przez błota, w których brnęliśmy po pas... i wrócili. Byli pewni, że poprowadzisz nas drogą, nie puszcza mi, gdzie trzeba i zmożnąć i zziębnać, nie dojeść i nie dospać...

— Ha, mój kochany! do twierdzy brama szeroka, ale z twierdzy djabelnie wąska, jak mówią włóczęgi.

— I to ich zraziło. Lecz co nam się troszczy o nich? Tak czy owak, nie moglibyśmy byli iść razem. Kładź się Władku — dodał wskazując na wyłobione w sianie legowisko — będziemy spali jak w domu... My nie rozłączymy się tak prędko...

— Jaki to miły zapach siana! — zauważał Władysław, wlażąc do legowiska.

— A jaki zdrowy!... Jutro wstaniemy jak nowonarodzeni... Wybornie się wypimy!

— Niezawodnie, że lepiej jak na tapczanach więziennych, napełnionych robactwem. Jutro — prawil Władysław dalej — przeprawimy się przez Tobo! i pójdziemy rzeką aż do Iłwowej, stamtąd zwrócimy do Jałutorowska.

— Jakżeż się będziemy tłumaczyć, jeżeli nas kto spotka po drodze i zapyta kto my i dokąd?

— Powiemy, żeśmy majtkowie z parowca, i że idziemy do berlinki, co osiadła na mieliznie i którą parowiec musiał zostawić. To się bardzo często zdarza na rzece. To samo będziemy mówić, kiedy nam wypadnie zejść do jakiej wioski po żywność. Tylko proszę cię Olku, nie rospawiaj wiele z Sybirakami, nim się dobrze nie zapoznasz z nimi. Nie uwierzysz co to za przebiegli ludzie: z jednego słowa, któremu nie dasz akcentu moskiewskiego, każdy Sybirak już pozna, żeś nie Moskal!

— Nie obawiaj się, zastosuję się we wszystkim do twoich nauk... Zresztą do Jakutorowska nie tak daleko; często nie zdarzy nam się zaglądać do wiosek... możemy przecież zawsze zakupić żywność na dni kilka. —

*

Wężykowatą wstęgą wije się Toboń wśród stepów obszernych, wypisując najrozmaitsze kręgi i zagięcia. Czasem wznosi się brzeg jego prawy, zasiany wioskami, do znacznej wysokości, i spadając stromo do rzeki, tworzy coś naksztalt skał piaszczystych, z których szczytu drewniane mieszkania Sybiraków spoglądają spokojnie na płynące u stóp ich wody i na niziny lewego brzegu, rościągające się daleko na zachód, aż do Uralu.

Nie wszędzie jednak i na prawym brzegu było można budować blisko rzeki. Nie rzadko, a mianowicie tam, gdzie wpada do Tobołu z tej strony jaka rzeczulka, zniża się i ten brzeg do tego stopnia, że dopiero o wiorst kilka podobna się ostać wiosce na wzgórzu jakim.

Okolice nad Tobołem, jak i w ogóle w całej Syberji, nie należą wcale do malowniczych. Dzikie pustkowia z błotnistymi jeziorami, porośnięte najczęściej gęstymi krzewami łożyny, zupełny brak gór i rzadko do rzeki przytykające lasy, czynią je jednostajnymi i nadzwyczaj nudnymi. Oko nie ma się tam na czem zatrzymać; samo sobie jest granicą. Razem z wrokiem buja i myśl w dali bez granic, i jest jak ona nieokreślona, mglista... Tęsknisz za czemś, czego brak; nie zadowolonyś, że nikniesz w przestrzeniach bez widoków niepostrzeżony; radbyś ująć, by znaleźć granice i dla wyobraźni i dla oka...

Na stepach owych pojmujesz jasno, dla czego piosnki tamtejszego ludu wyrażają w wiecznie jednostajnej nucie tyle nieokreślonego smutku, bo i samemu rwą ci się piersi do wypięwania mglisto-niemego jak kraj ten dumki. Nie dziwisz się więcej, dla czego nomada zwija swój namiot i opuszcza bez żalu stronę, skoro zabrało w niej trawę dla bydła, bo i sam czujesz, że urodzony tu, nie nazwałbyś ojczyzną ni

wioski ni powiatu, a step cały bez granic. Wędrówki narodów, które po tamtej stronie Uralu podobne zamieszkiwały stepy, przestają ci już być zagadką historyczną, bo i sam radbyś gdzie ulecieć wichrem-uraganem, by dla myśli, żądzy i oka znaleźć oparcie... O, zaboreza polityka Moskwy znajdzie zawsze u siebie ludzi, pochopnych do najazdu, bo stepy i płaszczyzny bez granic prą w dal nieokreślona silniej od głodu i nędzy wirchów i hał górskich...

Przejdiesz czasami dzień i dwa ponad rzeką, a nie ujrzysz miejsca, któreby uwieźło choć na chwilę wzrok znudzony. A znajdzie się gdzie takie miejsce, to tem wyżej stawisz jego uroczność i silisz się wyszukać w niem piękności tem więcej, im dłużej musiałeś na nie czekać. Więc i miernie od przyrody uposażone okolice nad Tobołem, które trochę tylko wyżej stoją od błotnistej pustki, uważasz już za piękne i radbyś lubować się niemi przez całe godziny.

Idąc w górę wzdłuż rzeki, natrafisz na jedno z miejsc takich o sześćdziesiąt wiorst od Tobolska, niedaleko granic tiumeńskiego okręgu. Toboń wypisuje tu ogromne koło, widne w całej swej rościągłości. Na lewym brzegu, wyższym w tem miejscu od prawego, stoi niewielka liczba jurt tatarskich, tulących się do gaju sosnowego, co leży tuż nad rzeką. Wysmukły minaret meczetu, z stojącym półkisięciem na szczycie, rysuje się malowniczo na ciemnym tle boru, wylatując wysoko nad gromadkę zabudowań, kupiących się ciasno około niego. Daleki jeden koniec rościągłego półkola rzeki przepada na widokregu w jarze, utworzonym dwiema lesistemi górami, jakby w przepaści i wydaje się pięknem, długiem jeziorem, opasującym to ciche ustronie. Pewien ródzaj życia jest rozlany po całym krajobrazie i nadaje mu koloryt wesela, który przy uroczystym i głębokim spokoju, górującym nad wszystkim w tych stronach, może nawet zachwycić.

Dzień był ciepły i pogodny, jeden z tych dni, w których konające lato zdaje się żegnać z osmutniałą ziemią, oddając ją w chłodne objęcia srogiej zimy. Ani chmurki na niebie, ani choćby lekkiego ruchu w powietrzu. Rzeka zdawała się stać, nie płynąć; gładka jak zwierciadło jej powierzchnia jaśniała od promieni słońca niby kryształowa, i marszczyła się tylko od czasu do czasu w coraz dalej rozsuwające się kręgi drobniutkich marszczek, jeśli rybka jaka igrając pluśnęła po nad nią. Żaden szum ani krzyk żaden nie przerwał uroczystego milczenia przyrody, i tak głęboki, tak smętny spokój był rozlany po niej, jak na twarzy człowieka wśród marzeń o minionem szczęściu.

Na piasku, pod cieniem łożyny wprost naprzeciw jurt

tatarskich, leżeli Władysław i Olek, i poglądali z podziwem na rozwinięty przed nimi krajobraz.

— Co za szczęście Olku, widzieć się swobodnym pośród takiego ustronia. Patrz, jak tu pięknie do koła! — rzecze Władysław, wciągając całemi pierściami czyste i wonne powietrze.

— A popatrz, jak tam słicznie odbija się aul z swoim gaikiem w niebieskich wodach Tobołu; rzekłbyś, że w rzece druga jest wioska i gaik drugi.

— Powiedz, czy nie dobrze zrobiliśmy, żeśmy uciekli?... Roskosh jednej takiej chwili każe zapominać o wszystkim, cośmy przenieśli niedawno.

— O pewnie! idąc etapem, nie użylibyśmy czegoś podobnego.

— A gdyby nawet i można użyć, to by się nie chciało. Swoboda, Olku, to życie życia, bez niej i życie śmiercią... Pod strażą przeszliliśmy obojętnie koło pięknieszego nawet, jak ten krajobraz; będąc zaś swobodni, lubujemy się i tym już od godziny...

— Cóż to za ogrodzone kurhanki u brzegu gaju?

— To mogilki tatarskie... Brakuje tylko jakiejś młodej Tatarki, płaczącej u mogiły męża lub kochanka, a krajobraz stałby się nawet romantycznym!

W tej właśnie chwili, jakby w zadośćuczynienie życzeń Władysława, rozległ się z przeciwnego brzegu czysty a dźwięczny głos kobiecy; zabrzmiała tęsna, monotonna, zalewająca się, jak mówią moskale, piosnka tatarska, a pomiędzy drzewami gaju pojawiły się dwie postacie przyodziane w długie, pstre koszule, które u Tatarek zastępują miejsce sukien. Tak cicho było do koła, że nawet słowa piosnki można było rozróżnić. Długo przysłuchiwali się zbiegowie drzeniu pełnego głosu Tatarki, i piosnka już ustała od chwili, lecz im się ciągle jeszcze zdawało, że ja ktoś śpiewa w okolicy. O, bo pierwszy to był dzień dopiero, odkąd uciekli z więzienia, w którym mogli roskoshować w słodyczach z trudem zdobytej wolności spokojnie i bezpiecznie na łonie przyrody, nucącej łabędzi śpiew lata...

— To trudów naszych nagroda, Olesiu drogi! — rzekł Władysław po dobrej chwili milczenia. — Patrz, jak ta prosta, rzewna melodia przystaje do krajobrazu... zdają się one wzajemnie uwarunkowywać, i nie wiesz, czy to pieśń cudownym jakim sposobem upostaciowała się w krajobrazie, czy też ten ostatni wylewa z siebie tony, które spłynęły w tę piosnkę... I ręczę ci, ani mazur, ni krakowiak nie sprawiłyby na nas tego wrażenia przyjemnego, którem się obecnie lubujemy...

— Niezawodnie — odparł Oleś — mazur lub krakowiak wydałby się tu jak śmiech wśród ogólnego płaczu...

— Poczekajno, i ja zanucę piosnkę tym sybirskim rusalkom! —

I Władysław zaśpiewał jedną z tych dumek bez końca w melodji, któremi lud moskiewski wyraża tak wymownie i dobitnie swoją niedolę. Głos jego rozległ się daleko nad Tobołem i zwabił Tatarki, które się już były udały w głąb lasu, powtórnie nad brzeg rzeki. Ze zdziwieniem spoglądały one z początku na zbiegów, a potem w przystępie swawoli zaczęły śmiać się gromko i dawać im znaki chustkami.

— Gdyby była łódka w pobliżu — rzekł Oleś z uśmiechem.

— Taby ci figę pokazały i czmychnęły do aulu, nimbyś dopłynął do środka rzeki. —

Nie każdy dzień jednak podróży bywał równie sielankowy dla naszych zbiegów. Przeciwnie, wypadało nieraz drogo opłacać swobodę chłodem i głodem, zmoknięciem do kości i strachem przed rozmaitemi niebezpieczeństwami. Ustawiczna walka z żywiołami wrogiej i dzikiej przyrody, ciągle natężenie umysłu dla zachowania przeczności, tyle niezbędnej w wyjątkowym tem położeniu, jako też i radość z pomysłnych skutków, które przez to osiągnęli, nastrojały ich uczucia na wyższy od zwykłego ton, i sprawiały, że wszystko ich blisko obchodziło i żywo dotykało. Niespodziewane pojawienie się człowieka na tych pustkowiach, boczna rzeczulka Tobołu, przecinająca im drogę i do mozolnego nieraz okalania zmuszająca, wioska, za blisko brzegu położona, każdodzienny nocleg, każdorazowe wyszukanie żywności, burza, deszcz, przymrozek — wszystko to były w ich życiu zdarzenia epokę stanowiące, wszystko to stało się przyczyną narad, obaw i postanowień najrozlicniejszych. Każdy dzień miał swoją odrębną historję przygód i wypadków, których szczegółowe opisanie mogłoby mieć tylko wartość jako drogie wspomnienie dla tych, którym głęboko się wryły w pamięć i którzy w walce z niemi stawiali swobodę na kartę; czytelnika zaś, mniej więcej obojętnego, znudzić by musiało w końcu...

Chcąc jednak umozębnić jak najdokładniejsze wyobrażenie o kraju tym, w dziejach naszych tak ważnym, jako też uwydatnić trudności, połączone z wydobyciem się zeń przez ucieczkę, nie możemy pominąć wybitniejszych i charakterystyczniejszych chwil z tego ciągu przygód, wśród którego spływało życie naszych zbiegów. Dla tego też prosimy czytelników najprzód o przebaczenie za tu i owdzie wydarzyć się mogące powtórzenia. Są one nieuniknionemi w obec naszego zadania.

Po dniu o znośnej pogodzie zapadła noc zimna i pochmurna. Drobną, przenikającą deszcz, zmieszany z mokrym śniegiem, co zaraz topniał, upadłszy na ziemię, przemieniały na grząskie błoto gliniasty brzeg rzeki. Wiatr zachodni zaczął przybierać z wolna kierunek północny, i dojmował zimnem do żywego. A nie było nadziei, aby zmieniwszy raz kierunek, ustał rychło, bo wiatry sybirskie dmą długo i jednostajnie.

Z trudem zdążali zbiegowie naprzód, brnąc w rozmokłej linii. Szukać zaś suchszej drogi, oddalwszy się od rzeki, było niebezpiecznem, ponieważ mogli zejść za daleko w łozy, rosnące gęsto na płaskim brzegu, i stracić z oczu Tobo! — jedyne przewodnika śród pustyni bez granic. Trzymali się przeto łożyska, usiłując dotrzeć do jakiego stogu na noceleg, który tem pożądanym był dla nich, ile że przemokłe płaszcze mało ich chroniły od zimna. Grube cienie jednak jesiennej syberyjskiej nocy nie pozwalały im zapuszczać wzroku zbyt daleko; to też wyszukanie zwykłego schronienia na noc stawało się niezmiernie trudnem.

Wreszcie łożyna zaczęła rzednieć, a czystszy obszar przedstawiał większą możliwość zdybania stogu. Zbiegom przybyło otuchy. Czasem tylko, kiedy glina stawała się więcej grząską, lub kiedy który z nich zabnął niebacznie powyżej kostek w kałużę, z przykrem wyciem wiatru mieszały się urywkowe ich utyskiwania, dobywające się mimowoli z rozdrażnionych znużeniem piersi. Do wszelkich niedogodności przybyła ta, że Władysław utykał mocno na prawą nogę, i utrudzał jeszcze więcej pochód i tak już dość ciężki.

— Do kroćset milion szatanów! co za przekłete szczęście, że nie możemy zdybać stogu... zapadły się w ziemię, czy co? — zawołał on, zatrzymując się, drżącym od rozdrażnienia głosem. Ton w jakim wypowiedział te słowa, zdradzał dostatecznie, że długo się zmuszał do cierpliwości, lecz że na koniec ta cnota zwyczajonych opuściła go zupełnie. — Dniem do licha ich po drodze... teraz, kiedy ich potrzeba, nie można znaleźć jednego... Iść już nie mogę, tak mi natarły nogę djabelskie te brodnie... jak na złość jeszcze, nie ma jej czem obwinać...

— Czy zraniły ci już ciało? — zapytał troskliwie spokojniejszy i więcej nad sobą panować umiejący Oleś.

— Ależ do krwi... mówię ci!... i to, żeby je kaci wzięli, na tem samem miejscu, gdzie miałem już raz ranę od kajdana...

— Zaczekajże tu chwilkę... pójdę zobaczyć, czy nie stóg tam widać oto, gdzie te zgęszczone cienie. Miejsce zdaje mi się po temu.

— Pójdę i ja z tobą, bo czy znajdziemy, czy nie, ja odpocząć muszę koniecznie. —

Nie uszli jeszcze kilkudziesięciu kroków od rzeki, kiedy przodem idący Oleś rzucił się nagle ku Władysławowi ze stłumionym krzykiem przerażenia i pochwycił go za ramię.

— Co ci to? — zapytał tenże nie mniej przerażony, choć nie znał przyczyny strachu towarzysza.

— Patrz! — wyjęknął Oleś, wskazując w ciemności, gdzie zabłyszczały w niejakim od zbiegów oddaleniu trzy pary dziwnych światełek, gasnąc i zapalając się co chwila. Nie wytłumaczony, paniczny strach ogarnął obydwóch, i powiększał się w miarę przybliżania się do nich nieodgadniego zjawiska. Ciemności mają to do siebie, że ukrywając, powiększają niebezpieczeństwo. Rozgorączkowana wyjątkowym położeniem wyobraźnia przedstawiła im coś okropnego i nadzwyczajnego, a w przerażonym umyśle ożyły wszystkie zasłyszane w młodości powieści o duchach, dziwożonach, wilkołakach itp. i tamowały wszelką rozsądniejszą czynność jego. Nawet śmierć straszna, bez ratunku, okropna przyszła im na myśl, co wywołało u Olesia kilka prędkich przeżegnań.

Na chwilę przestały się naprzód posuwać owe światełka, lecz zarazem ozwało się przeraźliwe wycie od strony, gdzie migotały. Oleś pochwycił obiema rękami Władysława, nie mogąc sobie zdać sprawy z tego, co zaszło. Ten, nie mniej przerażony z początku, na odgłos niesamowitych tonów, rozlegających się daleko po stepie, odzyskał zupełną przytomność.

— To wilki! — rzekł z niejakim lekceważeniem — nie bój się Olku! wyminą nas.

I w rzeczy samej światełka zboczyły z pierwotnego kierunku, a o kilkanaście kroków od zbiegów pojawiły się trzy cienie, kształtem do wielkich psów podobne. Szły razem tak, że jeden drugiego głową wyprzedzał i nie zwracając żadnej na zbiegów uwagi zniknęły niebawem w zaroślach.

— A tom się przeląkł... takiego strachu doznałem dopiero pierwszy raz w życiu! — mówił Oleś przychodząc z wolna do przytomności.

— Nie było czego — odparł Władysław — choć i mnie nabawiły zrazu niemałego strachu... Tu wilki nie są dla człowieka niebezpieczne... nie słyszałem jeszcze, żeby kogo napadły.

— Nawet kiedy głodne? — zapytał Oleś.

— Zdaje się... przynajmniej włóczęgi wcale ich się nie lękają... wilki tu łaskawsze od ludzi, bo gdybyśmy spotkali teraz Sybiraka z gwintówką, moglibyśmy się pożegnać z życiem. Dla płaszców naszych zabiły nas. —

Uspokoiwszy się, zbiegowie poszli dalek. Lecz i tym razem

omyliły ich oczekiwania. Miejsce, co im się wydało stogiem, było zajęte ciernistymi krzakami róż polnych.

— Nie ma nic gorszego, jak puszczać się nocą w drogę! — prawil Oleś tonem wyrzutu, zachodząc z tej strony kępy krzaków, która dawała od wiatru jakie takie schronienie. — Nie lepiejże nam było zanocować o zmroku? Ale z tobą, to zawsze tak... tam ci było za blisko wsi, a tu nie znajdziesz i stogu...

— Czy ty bardzo zmęczony Olku? — zapytał Władysław, upuszczając się na trawnik niby zwalona kłoda i oddychając kilka razy przeciągle.

— Połóż oto głowę na moje kolana... lepiej ci trochę będzie, jak na mokrej ziemi — mówił Oleś, siadając u głów towarzysza. — Uszliśmy dzisiaj z 50 wiorst, a po takiej drodze i koń by się umęczył.

— Ja iść już nie mogę, a do tego sen mnie tak morzy, że i mówić trudno...

— Gdybyśmy nie szli brzegiem rzeki, byłibyśmy już dawno w Jałutorowsku...

— Albo w więzieniu!

— Ale wiesz, aby przejść wiorstę robiliśmy nieraz po krzakach i zaroślach dziesięć...

— Za tośmy wolni, Olku, wolni!

— I głodni... W przeciagu 9 dni dwa razy jedliśmy ciepłą strawę...

— Jeszcze kilka dni cierpliwości, Olku! W Jałutorowsku wynagrodzimy sobie za wszystko, a w Kurganie kupimy konia i pojedziemy... Marynia da pieniędzy... ach, jak ta przekłeta noga mi dokucza!...

— Jakżeż ty się dostaniesz do niej, Władziu? Wszakci zamężna, i mąż, jak mówileś, zazdrośny!

— Ona mnie kocha... tego dosyć! Tę miłość podniecono jeszcze, wydawszy ją przemocą za mąż, to więcej, jak dosyć... Widzisz oto, ja kocham swobodę, dostałem się też do niej mimo krat, straży, zamków i kajdan; jej zaś w kajdanach nie trzymają...

— I cóż ci z tego przyjdzie, że się z nią zobaczysz?

— Co przyjdzie?... hm... nie zastanawiałem się nad tem dotąd, i nie chcę nawet tego czynić. To ci tylko powiem, że i ja ją kocham i pragnę być w życiu choć raz, choć minutę, chwilkę jedną szczęśliwym... Prawa mi do tego nie odmówisz, sądzę... A potem, widzisz, da nam pieniędzy na drogę i paszportów dostać pomoże... Ty nie uwierzysz Olku, co to za luba dziewczyna... Wyobraź sobie, z pośród grona gości, zebranych na przymuszone jej zręko-

winy, wymknęła się do ogrodu, przelazła przez parkan

i przybiegła do mnie do więzienia, by się pożegnać i wręczyć pieniądze, które brat jej dał dla mnie.

— Jak to, do więzienia?

— To jest do nadzorcy, a nadzorca był przekupionym.

— A... rozumiem... kazał cię z kaźni wywołać na to słodkie rendez-vous.

— Tak! — odrzekł rozmarzonym tonem Władysław. — Była ubrana jak rusałka, w lekkiej, przeźroczystej sukni... przylgnęła z takim uczuciem do mnie, jakby pragnęła, żeby jej żadna w świecie siła oderwać odemnie nie mogła... A pocałunek... Olku, Oleczku!... wiele, wiele dałbym za to, aby się taka chwila jeszcze raz powtórzyła...

— Poetyzujesz, Władku!

— Bynajmniej... to prawda, przynajmniej dla mnie... Ale wiesz Olku, tak nieprzytomny byłem w owej chwili, że z przygotowanego dawno dyskursu, nie wybąknąłem ani słoweczka... ale to ani joty jednej. Rzekłbyś, żak na egzaminie! Oczywiście zgłupiałem z nadmiaru szczęścia.

— A któż ci zaręczy, że i teraz tak samo nie będzie, kiedy ją obaczysz?

— Teraz... tak samo?... O nie! pewno nie Oleczku! teraz co innego.

Władysław rozmarzył się był na piękne. I minione chwile, o których dopiero co wspomniał, i nadzieja powtórzenia się ich, jaką żywić pozwalały obecne stosunki, dawały mu dosyć wiatku do marzeń, którym oddał się tem skwapliwiej, im mniej zaspakajała go teraźniejszość. Rozwijając jeden obraz po drugim, za których tło służył mu przedmiot ukochany, zapominał i o nodze, natartej ogromnym sybirskim butem, i o zimnie, co ucuwać się dawało coraz bardziej, i o przykrem swoim i towarzysza położeniu, któremu zaradzić wypadało koniecznie... Błąkał się myślą po cudnej i obfitej w ułudne widoki krainie miłości i roskoszy. Rozbijała wyobraźnia, której giętkość została jeszcze podwyższona wyłącznem położeniem, przedstawiała mu z nadzwyczajną szybkością niby w panoramie miłe przedmioty, przybierając je w najrozmaitsze kształty i tworząc z nich najróżnorodniejsze obrazy, które krążyły około niego, jako około środka, i których on sam był duszą. Być może, że umyślnie skierował on rozmowę na ten przedmiot, aby nie potrzebował się troszczyć o środki do zapobieżenia trudnościom, jakie przedstawiała obecna chwila, bo dla marzyciela wszelki rodzaj troski jest nie tyle niemożliwym, jak niezdolnym i zatrudniającym.

A Władysław nie otrzasał się był jeszcze z pociągu do marzycielstwa, jakie zaszczerpiło w nim wychowanie. Życie uplynione dostarczało mu wprawdzie podostatkiem dowodów

o zgubnych następstwach tego usposobienia umysłowego, lecz dawniejsze przyzwyczajenia były zanadto głęboko wkorzenione, aby nie miał pójść kiedy niekiedy torem wartogłówów. Wyznawał przed sobą, że źle robi, puszczając wyobraźnię samopas, lecz starania zastosować wszędzie i zawsze teorię do praktyki, nie zawsze mu się jeszcze udawały.

Oleś, który nie miał do myślenia o żadnej Maryni i drżał na całym ciele, jak liść osikowy, a do tego jeszcze był głodnym, spozierał co chwila to w około siebie, to na leżącego na jego kolanach Władysława, i byłby już dawno ruszył z miejsca, gdyby nie chęć przyniesienia ulgi cierpieniom towarzysza przez odpoczynek. Nakoniec przebrała się miarka i jego cierpliwości.

— Pójdmy Władku! — rzekł łagodnie i podniósł się z miejsca — trzeba koniecznie pomyśleć o noclegu. W sianie nie zmarnieemy i nie zmokniemy. —

Im miłsze było marzenie, tem przykrzejszą się wydała Władysławowi rzeczywistość, która mu odsłaniała całą prawdę słów towarzysza. Uznając jednak potrzebę usłuchania rady, podniósł się z trudem i skrzywił jak istne dziecko z bólu, który mu sprawiała nabrzmiała i natarta noga. Omal że nie zapłakał... Lecz widać przypomniał sobie nauki wytrwałości, któremi hojnie szafował Olkowi, bo niby z pyłu otrząsł się z opanowującej go niechęci i poszedł milczkiem za towarzyszem. Zwycięstwo to atoli nad sobą zapłacił sobie wykrzykiem:

— Przekłete życie!... ha! gdybym tu miał cara, lub przynajmniej carzątko jakie... powiesiłbym na pierwszej brzozie!

— Ta, ta, ta... wartogłów z ciebie Władku! — mówił śmiejąc się Olek — zaręczam, puściłbyś go przy pierwszym krzyku bólesci...

— Co? ja? nigdy! — odparł Władek tonem, z którego łatwo było można wnosić, że w głębi serca żałował już nie ludzkich słów, chodziło mu tylko o konsekwentność. — Wiesz — mówił dalej — nieraz w więzieniu przedstawiałem sobie, że jestem przy pożarze Zimowego pałacu, i widzę, jak pachole carskie wyciąga do mnie rączkę i prosi łzawem okiem, abym je wyciągnął z płomieni. Ani razu nie ulitowałem się...

— To było w więzieniu, przy pożarze zrobiłbyś inaczej...

— Zobaczylibyśmy!

Uszedłszy kilkaset kroków, zbiegowie napotkali nareszcie ku wielkiemu zadowoleniu ogromną stertę siana, w której wyłobili sobie niebawem wygodne legowisko.

*

Na końcu czwartej stacji od Tobolska, jadąc ku zachodowi, droga prowadzi tuż ponad prawy brzeg Tobołu. Miejsca te błotniste porośnięte są karłowatą brzezią tak gęsto, że mimo późnej jesiennej pory, a zatem opadłego liścia, o kilka kroków w głąb gęstwiny już nie było widać z drogi. Cienka warstwa śniegu pokrywała ziemię, a że to było w samych początkach października, więc mróz niebardzo był jeszcze silny. Wiatr północny jednak chłodził powietrze do tego stopnia, że zimno, zmieszane z wilgocią, na wskroś przejmowało. Ciężkie, brzemienne chmury wałęsały się tuż ponad ziemią, i prosiły od czasu do czasu drobnym śniegiem, podobnym do mgły zmarniętej.

W jednym z najgęstszych miejsc brzeźniaku, o kilkaset kroków od drogi, siedzieli nasi zbiegowie na kępach, utworzonych błotnistym gruntem, i grzali ręce nad małym ogniem, który podniecali od czasu do czasu drobnymi gałąskami. Smutny i rozdrażniony był wyraz ich twarzy, bo taka była i otaczająca ich przyroda. Jej było źle w objęciach zimy, ścisakających ją coraz silniej, i znów przy niej źle było.

— Trzeba zagasić ogień Olesiu — rzekł Władysław, ogłędając się w około — zmrok zaczyna zapadać, mógłby łatwo kto z drogi dopatrzeć...

— Gdzieżby znowu dopatrzył kto w takiej gęstwinie ognia, z którego dym nawet nie idzie? Patrz, płomień nie wznosi się nawet nad kępy — odparł Olek.

— Ty nie wiesz, co to za podejrzliwy naród ci Sybiracy. Gdyby który z nich, jadąc drogą, zwał tylko dym, zaręczam ci, stanąłby i poszedłby szukać w gęstwinie ognia. A jakbyśmy się wtedy wytłumaczyli?... Po co nam się było tu zatrzymywać, kiedy wiesz pod nosem? —

Niechętnie zabrał się Oleś wspólnie z towarzyszem do gaszenia węgla zapalonych, przyrzucając je śniegiem i ziemią. Zimno dokuczało, a o wyjściu z gęstwiny nie było co myśleć przed upływem godziny.

Po chwili ozwało się blisko na stepie rżenie konia i głośnie hopkanie Sybiraka, a nad głowami zbiegów zaszebiotała sroka, kołysząc się na gałęsce krzewu i machając co chwila skrzydłami. Pilnie zaczęli się przysłuchiwać zbiegowie, zatrzymując w piersi oddech, i przypadli do ziemi, kryjąc się za kępy.

— Przekłete sroki! — zauważał Władysław stłumionym głosem — już niejednego zbiega wykrzyły. —

Nastąpiło krótkie, lecz uciążliwe milczenie, podczas którego przysłuchiwali się obaj z mocno bijącym sercem tupotowi końskiemu, który dawał się słyszeć niedaleko. Słychać było nawet trzeszczenie gałązek, łamanych kopytami, i szelest krzaków, przez które koń musiał się przeciskać, i już już

spodziewali się z niewypowiedzianą trwogą zgubnego zjawienia się jeźdźcy. Sroka nieszczęsna jak na złość szebieotała coraz częściej i coraz głośniejsze, przelatując z gałąski na gałąskę.

Szczęściem tentent zaczął się oddalać, a im słabszym stało się hukanie Sybiraka, tem więcej otuchy przybywało przełęczym zbiegom.

— To nie — rzekł Oleś, kiedy wszystko zamilkło — jakiś Sybirak szukał pewnie koni po brzeźniaku...

— Przekłeta sroka! — mówił Władysław, ciskając kawałkiem drzewa do siedzącego niedaleko ptaka, który furknął z krzykiem dalej w krzaki. — Dobrze jeszcze, że Sybirak nie dosłyszał jej szebieotania.

— Ciekawym też wiedzieć, co ci sroka przeszkadza?

— Niechby tylko Sybirak był ją posłyszal, niezawodnie ujrzelibyśmy go koło siebie. Ty nie wiesz co to są za ludzie. Ehe bratan — pomyślałby sobie zaraz — na pewno tam jest brodjagi, koldy sorka krucit!*) Takim sposobem Sybiracy wykryli już jednego zbiega podczas obławy... są oni wprawdzie głupi jak sroki, lecz na nieszczęście i tak ciekawi, jak one.

Tymczasem zmrok zapadł już zupełnie. Po chwili opuścili zbiegowie schronienie, i przebiegłszy chyłkiem drogę, zesłi z pagórka do rzeki. Brzegiem obesłi wieś i wysłi znowu na drogę. Miejsce, z którego mieli zwrócić do Jalu-torowska, już było niedaleko.

*

Poranek był chmurny i zimny; w powietrzu pachło, jak to mówią, śniegiem, i lada chwila można się go było spodziewać. Droga ciągnęła się przez stepy, przerywając karłowaty brzeźniak, i ginęła z oczu w mgłę szarawę, która pokrywała cały krajobraz cieniuchną, przeźroczystą zasłoną. Nudna jednostajność stepów, której nawet widok niewielkiej wioski, leżącej przy drodze, rozwiać nie był w stanie, napawała niewypowiedzianem jakimś zniechęceniem umysł widza i rozbudzała w nim nieprzeciętny pociąg do senności i lenistwa.

Jak wszystko, tak i wsie w Syberji inaczej wyglądają jak u nas. Nie ma tego miłego nieporządku w rozmieszczeniu zagrod, który nasze siola cechuje, i który zostanie zawsze niezbitym dowodem, iż podczas budowania nie cudzą, lecz własną kierowano się wolą. Wsie tutejsze leżą zazwyczaj przy drodze; domy ciągną się, z bardzo nielicznymi wyjąt-

*) Oho bratku, pewnie tam są włóczęgi, kiedy sroka krzyczy!

kami, rzędem po obu stronach rowów, a to wskazuje do-wodnie, że wprzód tu drogę przeprowadzono, nim się zaczęto osiedlać.

Przywykłem do naszych wiosek oku, gdzie chatka bez ogrodu i ocieniających ją drzew owocowych wydałaby się jak opuszczona sierotka, jak pustka bez użycia, przedstawiają się domy siół syberyjskich, porządnie ustawione i ani drzew ni ogrodów blisko siebie nie mające, jak obóz, tymczasowo w stepie rozłożony, jak przechodnie nomadów koczowisko. Życia, które płynie z malowniczości, nie dostrzeżesz tam nigdzie; wszystko jakoś jednostajno-martwe, nudno-nieruchome... Poczerniało od burz, niepogód i skwaru strzechy mieszkań, które tak mile kryją się u nas w cieniu grusz, śliw lub jabłoni, co je nierzadko konarami spowijają, stoją tam nagie wśród stepów, i odbijając jaskrawo od ogólnej zieleni latem, a zimą od jednostajnej bieli, wyglądają zdala jak smutne pogorzeliska, lub gromada strupieszalnych pustek.

I u nas są stepy; lecz jadąc niemi spocznieś każdą razą mile wzrokiem na wiosce, co orzeźwi życiem, oczaruje malowniczością, poezją ubawi. Na Sybirze, patrząc na wioskę, żal ci stepu, który sam przez się posiada jaki taki urok; wioska zaś na nim to jakby błąd rażący, popełniony przez twórcę tego krajobrazu, to jakby brzydki wrzód na ciele przyrody.

Nie ma w Syberji owej jakby wrodzonej harmonji między mieszkaniem człowieczem a okoliczną przyrodą, jaka u nas wszędzie daje się spostrzegać. Człowiek przeniesiony tam siłą z innych, i przyrodą i klimatem wcale różnych okolic, nie chciał lub nie mógł pobratać się z otaczającym go światem. Zapomniałszy, co umiał w dawnej ojczyźnie i coby mu się w nowej na nic nie przydało, nie utworzył nic innego, coby odpowiadało tej ostatniej, a nie dodając nic z własnych pomysłów do przepisów rządowych, które ustanawiały z wszelkimi szczegółami formę budowania wiosek, zostawił im pętno urzędowo-martwego wyrazu. Nad każdą z nich zdaje się unosić w powietrzu krwawymi głoskami wypisane ponure i groźne «być po siemu» cara, który je wznieść rozkazał.

Dążąc powolnym krokiem naprzód, doszli nasi zbiegowie do ogrodzenia, które wsie tamtejsze zwykle otacza, opasując nierzadko przestrzeń kilkunastowiorstowego obwodu. Ogrodzenie takie, zwane w narzeczu krajowym poskotiną, służy dla bydła, które latem pasie się swobodnie po ogrodzonym obszarze; nie masz żeń wychodu na pola, które znajdują się dopiero za opłotem.

— Otóż i wieś blisko — rzekł Władysław, mijając wrota ogrodzenia, i udając się do budki, która zwykle znajduje się

przy nich dla stróża, zimą zaś stoi pustką. — Zapalimy jeszcze fajkę, a potem pośpieszmy do wsi; wejdziemy do skrajnego domu i umówimy się z gospodarzem względem koni.

— Nie zaszkodziłoby także przetrząść coś ciepłego — odparł Olek, siadając u wniścia budki, podobnej do szałasów z palów, przyrzuconego darnią i ziemią.

— Zobaczmy... tylko proszę cię Olku, nie gawędź wiele, ja sam rosprawię się z Sybirakiem... A nie zapomnij przeżegnać się, kiedy wejdiesz do chaty... pamiętasz jak ci to pokazywałem...

— Dobrze, dobrze, nie zapomnę; nawet poczuchram się, przeżegnawszy — odpowiedział Oleś z uśmiechem.

— Nie śmieć się bratku, nie śmieć! — prawił Władek, puszczając gęste kłęby dymu z potężnej sybirskiej fajki, nabijanej miedzianymi gwoździkami. Są to wprawdzie drobne rzeczy, lecz bez nich Sybiru nie przejdiesz. Tu musisz udawać dobrze, albo wcale nie. Sybirak zna areydoskonałe wszystkie niezliczone formy prawosławia, więc trudno go bardzo oszukać w tym względzie. Przekonasz się, jak on będzie na nas bacznie spoglądał; najmniejszy ruch twój nie ujdzie jego uwagi. A kiedy wpadnie na tor pytań, to bądź pewny, że żaden z członków komisji śledczej nie spełniłby z taką dokładnością obowiązku inkwizytora, jak on. Dziesięć razy powtórz ci jedno i to same pytanie w coraz innej formie... Jeszcze jedno, Olku — dodał, wytrząsając popiół z fajki i zabierając się do wyjścia z budki — nie zapomnij obmyć sobie rąk przed jedzeniem, nim się zaczniesz żegnać; bez tego kochanku i nie waż się siadać nigdy do stołu; natychmiast, mimo brody i długich włosów, poznanoby, żeś nie Moskal...

— Już ja tam będę we wszystkim ciebie naśladować — odrzekł Oleś.

Po krótkim odpoczynku zbiegowie ruszyli dalej. Wnet pokazały się na zakręcie drogi chaty wioski. Władysław zwrócił ku wrotom skrajnego domu i wszedł na podwórze.

Mieszkania wieśniaków sybirskich moskiewskiego pochodzenia są mniej więcej wszędzie do siebie podobne. Chęć izolowania się i skrzętnego ukrywania przed okiem cudzem tajemnic życia powszedniego... właściwa wszystkim narodom wschodnim i czerpiąca swój początek z czasów patriarchalnych, daje się jawnie spostrzegać w budowie tutejszych domów, mimo że zagrody bardzo są skupione jak u nas. Chęć ta nie jest wszakże wyłączną cechą Syberji, przeniesiono ją tu raczej z Rosji, gdzie stanowi cechę charakterystyczną wiejskich i małomiasteczkowych mieszkań. Wprost z ulicy nie bywa prawie nigdy wchodu do domów mieszkalnych; ogromna brama, daszkiem pokryta, umieszczona z boku bu-

dynku i w różne esy floresy, niby w rzeźbę ozdobiona, prowadzi na obszerne podwórze, które otaczają do koła szalasy dla bydła i małe spichrze. Sam dom stoi zwykle bokiem do ulicy i tworzy z bramą frontową ścianę całej zagrody. Mały, wcale zgrabny i często kryty ganeczek, prowadzi do wnętrza jego, a wchodzi się nań z podwórza wyższemi lub niższemi schodami, według tego, czy dom stoi na wysokim lub niskim podmurowaniu. Dla głębokości śniegów bowiem mieszkania muszą być budowane na podwyższeniach, które rzadko są z kamienia lub cegieł. I okna bywają zazwyczaj wysoko od ziemi.

Zagrody biedniejszych mieszkańców nie różnią się w głównych zarysach niczem od wyżej opisanych, i stoją zazwyczaj po obu końcach siola; zamiast bramy jednak z desek, która u bogatych zdala już świeci blaszkami, są tu wrota z kołów, niskie, niekiedy chrustem wplecione. Domy biedniejszych nie bywają także kryte tarciami, jak zamożniejszych, lecz słomą narzuconą na krokwie i łąty, albo ziemią, spoczywającą na korze brzozej. Czasem nie ma na nich wcale dachu, i wyglądają wtedy jak niedobudowane. Gatów nie znają jak w Moskwie tak i w Syberji.

Najbardziej tu zadziwia, że mieszkania wiejskie nie są ani zbudowane ani opatrzone odpowiednio srogiemu klimatowi kraju. Stawiają je wprawdzie z grubych i mocnych belek sosnowych lub cedrowych, wyciosanych gładko wewnątrz a zewnątrz oczyszczonych tylko z kory, ale tak jakoś wyglądają wiotko powiazane, iż patrząc na nie, rzekłbyś, że budując je, nie myślano wcale o zimie. Nowy to dowód tego, cośmy poprzednio powiedzieli o nieumiejętności Sybiraków zastosowania się do otaczającej przyrody.

W porównaniu z nędznymi lepiankami naszych wieśniaków, domy włościan tamtejszych, wydadzą się wprawdzie o wiele trwalszemi i lepszemi; biedak wygodniej i piękniej tam mieszka, jak u nas zamożny; zważywszy jednak obfitość środków w Syberji i taniość niesłychaną wszelkich materiałów budulcowych, dziwić się wypada, że mimo to wszystko tak mało zrobiono, i tylko brak przywiązania do miejsc rodzinnych, który Sybiraków-Moskali cechuje, może wytłumaczyć poniekąd tę sprzeczność.

Jeszcze jedno co uderza w onym kraju, jest mnóstwo okien w mieszkaniach, których ściany są formalnie podziurawione. Mała izdebka, którejby dosyć było jednego, ma niezawodnie trzy lub cztery okna. Gdyby kraj był piękniejszy, można by to tłumaczyć chęcią jak najczęstszego spoglądania na cuda przyrody, jak to np. ma miejsce w Szwajcarii, gdzie w domach wiejskich, także stosunkowo wielka liczba okien się znajduje. Tak zaś wypada okoliczność tę objaśnić tem

chyba, że nie posiadając wewnętrznego, sybiracy żądni są przynajmniej zewnętrznego światła...

Zagroda, do której nasi zbiegowie weszli, nie różniła się niczem od powyżej opisanych. Przełamane tylko w kilku miejscach dachy szalasów, na bok pochylony spichlerz i niewielki dom mieszkalny, świadczyły, że do niezamożnego należy Sybiraka. Przejorny gospodarz obłożył całą chatę słomą, zabezpieczając się tym sposobem od mrozów bliskiej zimy. Niziućkie i wąskie drzwi, do których wchodziło się po kilku wschodach, prowadziły do wnętrza.

— Doskonale trafiamy — rzekł Oleś, patrząc w małe okienka, co z poza słomy wyglądały — jedzą śniadanie!

— Pamiętaj tylko otem, com ci mówił — odparł Władysław półgłosem i zakolał śmiało do zamkniętych drzwi chatki.

Za chwilę otworzono je. Mała dziewczynka, zobaczywszy dwóch nieznajomych, uciekała z przestrachem właściwym dzieciom do izby. Tuż za nią weszli Władysław i Olek.

Chata, jak rzekliśmy, była własnością uboższego wieśniaka; prócz obszernej sieni mieściła w sobie tylko izbę mieszkalną. Domy bowiem możniejszych składają się z dwóch połówek, przedzielonych sienią. Pierwsza, takz wana izba, służy za kuchnię, jadalnię i sypialnię; druga, nosząca nazwę gornicy, stanowi rodzaj skarbnicy, w której przechowują kosztowniejsze ruchomości i która w uroczystych wypadkach służy za pokój bawialny.

Izba, do której weszli Władysław i Olek, dość obszerna, trochę może niska, o trzech większych i jednym mniejszem okienku, ujmowała wzorową czystością. Czystość wewnętrzną odznacza w ogóle chaty Sybiraków-Moskali. Co sobota prawie i w każdą wigilję głównych świąt gospodyni myje nie tylko wszystkie sprzęty i podłogę, która dla obfitości drzewa budulecowego, jak i z tej przyczyny, że chaty stoją na podwyższeniach, zawsze jest z desek, ale nawet i gładko wyciosane ściany, które zresztą nigdy nie bywają bielone.

Ogromny piec piekarski, służący także za kuchnię, czysto wybielony, z zapiekiem i przypiekiem, zajmował prawie trzecią część izby. Nad drzwiami, tak że z pieca nań wleźć było można, był przymocowany w niewielkim oddaleniu od pułapu rodzaj wiszącego tapczanu. Zimy tamtejsze, jako też urządzenie mieszkań, czynią takie wiszące łóżka nieodzownymi. Z pod podłogi bowiem wieje nieustannie z powodu podwyższenia, na którym domy stoją, i niższe warstwy powietrza ochładzają się w izbie mimo gorącego pieca do tego stopnia, że niepodobna wyleżeć na dole.

Wzdłuż obydwóch ścian, które nie były przez piec zajęte, ciągnęły się pod oknami sosnowe nieposzlakowane

czystości ławy. Kąt izby, w którym się schodziły, był zawieszony kilkoma obrazami, malowanymi olejną farbą na deskach. Przedstawiały one rozmaitych świętych z Matką Boską we środku, i należały do rzędu tych, którym dano nazwę bohomazów. Na drucianym okopconym łańcuszku wisiała przed niemi z pułapu szklanna lampa, a tuż za nią na nitce gołąbek, z białego wycięty papieru.

Kąt den domu uważany jest przez lud jako miejsce honorowe i święte, i nazwany «perednij ugoł»; ubarwiają go i ukraszają Sybiracy, czem tylko mogą. Znajdziesz tam przyklepiony pstry papier tapetowy, uwiadomienia wyróżnione z czasopism, czasem wzory mód, czasem karykatury z numeru niedzielnego «Syna atieczestwa», lub pozłoczone napisy, zdarte z owinięcia świec stearynowych; najczęściej zaś krasują się około obrazów świętych tak zwane lubocznyje kartiny, czyli ilustracje pieśni ludowych na temat: Aj Nastasia, aj Nastasia! otworajka worota! lub: Zaczem ty anielej moj stremiszsia na tot pogibelnyj Kawkaz? i t. d. Nie zważając jednak na sposób, z jakim się dzieje to ukraszanie przedniego kąta, jest ono jasnym dowodem czci i poważania, jakie lud żywi dla niego.

Przy niewielkim stole, który stał w onym kącie, siedziała przy dygnającej się misie cała rodzina, składająca się z gospodarza, gospodyni i trojga dzieci. Była to pora śniadania. Oprócz osób przy stole siedzących, była jeszcze w izbie stara baba, z pooranem i wyschlęm licem, siwemi włosami i oczyma pozbawionemi powiek, która siedząc na piecu przy kądzieli, obracała kościstą ręką wartko furczące wrzeciono, i od czasu do czasu pomrukiwała coś pod nosem.

Wszedłszy do wnętrza chaty, Władysław i Oleś przeżegnali się trzykrotnie przed obrazami i oddali im według tamtejszego zwyczaju po trzy pokłony. Podczas gdy się modlili, gospodarz przyciągnął bliżej do siebie dziewczynkę, która pod obrazami siedziała, i wyprzątnął tym sposobem kąt celny, którego śród modlitwy czyjejkolwiek nikt zajmować nie powinien.

— Chleb i sól! — rzekł Władysław po ukończeniu obrzędów modlitwy, do siedzących za stołem, którzy poskładawszy łyżki przed siebie, przypatrywali się ciekawie przybyszom. Gospodyni nadto wstała od stołu, a pomodliwszy się przed obrazami odeszła do pieca. Baba odłożyła także kądziel, i sparszy rękę na krawędzi wiszącego tapczanu, który nosi nazwę połatek, nachyliła się tak, aby mogła i widzieć i słyszeć nieznajomych.

— Do chleba prosimy pokornie — odparł wedle zwyczaju gospodarz nosowym Sybiraków głosem.

— Dziękujemy uniżenie, ojcie! — rzekł Władysław, postę-

pując kilka kroków naprzód — przyszlismy zapytać was, czy nie zawieźlibyście nas do Iwłowy?

— A skądże wy idziecie?

— Z parowca ojcze! Łódź nam jedna osiadła na mieliźnie koło Iwłowy i musieliśmy ją tam zostawić. Byliśmy na innej łodzi, co płynęła z wódką do Dachówki. Po wyładowaniu towaru kazano nam jechać do Iwłowy i pilnować tamtej łodzi, póki nie nadpłynie inny parowiec i nie weźmie jej ze sobą. Sądziliśmy, że łatwo przejdziemy 26 wiorst, ale coś się nam za daleko teraz wydaje... nie przywykliśmy do chodzenia...

— Teks... z parowca... — mówił gospodarz przeciągle, jakby się namyślał. Potem wstał od stołu, przeżegnał się trzykrotnie, i usiadłszy na ławce zapytał:

— Wy ruszycy?

— Towarzysz mój ruszki, ja niemiec! — odparł śmiało Władysław, którego niedowierzanie Sybiraka wcale z tropu nie zbilo.

— Teks... Miemieć! — cedził ten ostatni znowu — Miemcy mądry naród; te parowce, co nam ryby z Tobołu wypłoszyły, oni pono wymyślili, a i druty, co przy drodze, także... A czyj parowiec?

— Poklewskiego.

— Poklewskiego... Eh, jak ten Poklewski grzmi teraz po Syberji! On pono także Miemieć...

— Nie, on Polak... powiedźcież nam ojcze, powiecież nas do Iwłowy?

— Polak... teks... — rzekł Sybirak jakby nie dosłyszał ostatnich słów Władysława, i zamyślił się trochę.

— Czy macie konie, ojcze? — zapytał znowu Władysław, chcąc się dobić stanowczej odpowiedzi.

Nagłony do ostatecznego oświadczenia się Sybirak, poskrobał się w głowę, popatrzył na żonę, która ciągle jeszcze stała u pieca, rzucił ukośne spojrzenie na nieznajomych, i rzekł nakoniec cedząc jak zwykle wyrazy:

— Konie?... są... ale widzicie, owies teraz bardzo drogi, więc chude niebożęta...

— Toć my wam ojcze zapłacimy po 4 kopiejki za wiorstę... ja nie pierwszy raz tędy jadę, wiem co się płaci...

— A czemuż nie najeliście w Dachówce? tam przecież stacja...

— A bo widzicie, myśleliśmy, że dojdziemy piechotą, i schowamy rubla do kieszeni... a tu nogi boleć zaczęły już po 6 wiorstach — mówił Władysław, patrząc śmiało w oczy Sybirakowi.

— Teks... a dawno przejeżdżaliście tędy?

— Tego roku już coś dwa razy do składu naszego w Dachówce.

— Tak, tak... tam jest skład Poklewskiego u Wasyla Iwanowicza.

— Niedaleko urzędu gminnego naprzeciw cerkwi — dorzucił skwapliwie Władysław.

— Tak, naprzeciw cerkwi... widać znacie... Ha, cóż robić, odwieżę — ciągnął gospodarz, wstając z ławki. — Siadajcie, może co przekąsicie?

— Nie szkodziłoby ojcze! — mówił Władysław, kładąc czapkę na pałatki. Poczem zdjął odzież wierzchnią, rodząc świty kroju sybirskiego, i rzucił ją także na wiszące owe łózko. Oleś rozebrał się także i obaj usiedli do stołu.

— Podaj-no cokolwiek — rzekł gospodarz do żony, porządkując porozrzucone na stole i niepozбирane łyżki — może co przekąszą z naszej strawy.

— A cóż dać? zostało się tylko trochę pochlebki... nie wiem czy będą jedli...

— Mleka przynieś — wtrąciła baba, co złożywszy kądziel na stronę, gładziła obecnie suchą ręką jasne włoski młodszej wnuczki, siedzącej na jej kolanach i przypatrującej się ciekawie całej scenie z przyłożonym do ust palcem.

— Dajcie mateczko naprzód pochlebki — mówił Władysław, wstając z ławki i czegoś po chacie się oglądając — a potem poprosimy i mleka.

Gospodarz, dorozumiewając się, czego Władysław szuka, skinął na starszą dziewczynkę, co z bracińskim załęknionym przytuliła się do kącika na przypiecku. Śnać nieme to skinięcie było i jej zrozumiałe, bo wybiegła natychmiast do sieni i wróciwszy z naczyniem, pełnem wody, nalała ją w inne, które wisiało u drzwi nad cebrzyckiem i służyło za umywalnię. Zbiegowie obmywszy ręce i obtarłszy je ręcznikiem, który wisiał na kołku koło umywalni, oddali nowe trzy pokłony obrazom i usiedli do stołu. Całej tej scenie przedobiedniej przypatrywał się Sybirak z jak największą uwagą, rzucając na przybyszów częste spojrzenia z pod gęstych, nad oczyma prawie zrośniętych brwi czerwoniawych.

Tymczasem gospodyni, szepcząc zwyczajną u prawosławnych modlitwę, używaną przed rozpoczęciem każdego dzieła i składającą się z słów: «Boże pobłogosław!» wyjęła z pieca garnek, nalała zeń do miski jakiejś strawy i postawiła na stole, mówiąc do zbiegów: «Jedzcie na zdrowie!»

Maż, który siedział pod oknem z drugiej strony stołu, poprzysuwał im chleb i łyżki i rzekł także: «Jedzcie na zdrowie!»

Znajomi nasi uczynili zadość zwezwanu kładąc, wedle krajowego zwyczaju, łyżki po każdym zacerpnięciu obok

siebie na stole, i przekąsując chlebem strawę w tych przestankach. Oleś, który bardzo rzadko się odzywał, naśladował jak we wszystkim tak i w tem jak najdokładniej Władysława.

— Wy mówicie — rzekł Sybirak po chwili milczenia, podczas którego wyjął z pod ławki kopyto i zaczął w niem dłubać coś nożem — żeście Miemiec, a żegnacie się po russku?

— Bo moja matka russka... ja choć z pochodzenia Niemiec, lecz z wiary prawosławny.

— Teks, to matka wasza russka... I wy służycie oba na parowcu... Czyście bracia albo krewni?

— Nie ojcze, mój towarzysz wstąpił niedawno do służby, przed rokiem pono... wszak tak Wasylewiczu? — dodał Władysław, obracając się do Olesia.

— Rok i cztery tygodnie, jak raz wczoraj — odrzekł tenże nie namyślając się.

— Teks... a z czym szedł parowiec?

— Jedna łódź była naładowana wódką do Dachówki, a druga mąką do Tobolska, i ta właśnie co z mąką, osiadła na mieliźnie.

— A... z mąką... prawda że w Tobolsku brak teraz mąki... A gdzie, gdzie, powiadacie osiadła na mieliźnie?

— Po tamtej stronie Iwlowej, na połowie drogi do Pogorielowskiej włości.

— Teks... wy tutejsze strony dobrze widać znacie...

— Jakżeż mi ich nie znać ojcze... wszak to już czwarty rok, odkąd służę u Alfonsa Fomicza.

— Co za mądrości pojawiły się teraz na świecie — zawołał gospodarz po krótkiej przerwie, już mniej niedowierzającym tonem. Wszystko poszło na wymysły. Oto naprzykład parowce!... I szumi i iskry sypie, i dymem bucha, i pędzi to jak wiatr w górę i na dół po rzece... Co też go tak pędzi?... czy ogień?

— Nie ojcze, to para wszystko sprawia — odparł Władysław, który mimo że mówił ciągle, nie zapominał także o jedzeniu.

— Para!... patrz-no!

— Jeżeli nastawicie samowar, to gdy woda zakipi, para wydobywa się z świstem z pod nakrywki, nieprawdaż?

— A tak.

— Gdybyście zaś zatknęli wszystkie szpary, to siła jej do tego by się wzmogła, żeby podjęła nakrywkę do góry.

— A pewnie — odrzekł Sybirak, co chcąc z większą bacnością przysłuchiwać się rozpoczętej rozmowie, przestał oczyszczać kopyto, złożył je na kolana i pilnie się wpatrywał we Władysława.

— Otóż widzicie, i na parowcu jest także kociół z ki-

piącą wodą, a parę, która się z niej dobywa, zapierają w ten sposób, że nim wyjdzie na wierzch, musi obracać naprzód koła, co biją deskami jak wiosła o wodę.

— Patrz-no, jakunia wania, jak mądrze! —

«Jakunia wania» jest ulubionem przysłowiem Sybiraków, kiedy w przystępie dobrego humoru nie chcą używać znanego «kriepkaho» słowa i na powyższe je zmiekczać. Podobni są w tym wypadku do żaków, którzy pomni przestrogi katechety, by się nie przysięgali, a nie mogąc się wstrzymać od tego, w zapale zamiast «dalibóg» mówią «dalibób», lub «jak boba kocham» zamiast «jak boga kocham».

— Jednak sami byście ojcze przyznali, że to nie dziwne-go, gdybyście się bliżej przypatrzli tej maszynie — prawil Władysław dalej.

— E!... co nam patrzeć! My naród, wiadomo, ciemny! Patrzyłbyś i nie pojąłbyś... Mówią ludzie, że to wszystko zły sprawia!

— Brednie ojcze!... przecież naród prawosławny pracuje także przy maszynie, i popi jeżdżą nieraz parowcem, sam car nawet płynął już kilka razy po Woldze... a wszystko to pewnie być by nie mogło, gdyby tam rzeczy działały się nie po chrześcijańsku! —

Mocny to był dowód, nie zdawał się jednak trafiać do przekonania zatwardziałego w swoich przesądach Sybiraka. Umilkł, ale nie jako przekonany, lecz jako niechcący się wdawać w spory z przewyższającym go widocznie w znajomości rzeczy Władysławem.

Miska stała już próżna na stole, i gospodyni zapytała, czy dać jeszcze tej samej potrawy. Otrzymawszy odmowną odpowiedź, otworzyła drzwiczki w podłodze niedaleko pieca, i spuściła się przez otwór do niegłębokiej piwniczki, która w mieszkaniach sybiraków zwykle się mieści w tej stronie izby i nosi miano podpolja. Wyniosłszy stamtąd garnuszek mleka, naalała miskę i postawiła z temiż co i poprzednio słowy przed zbiegami.

— Jedzcie, jedzcie przyjaciele! byście nie byli głodni! — dodał Sybirak wtórując żonie.

W podejmowaniu gości Sybiracy są wylani i szczerzy. Gościnność jest cechą charakterystyczną ludu moskiewskiego, zamieszkującego owe strony. Możesz być pewnym, że wszędzie cię nakarmią i napoją, gdziekolwiek zajdziesz, nie biorąc najczęściej wynagrodzenia. Sybirskie wieśniaczki, które gotują tylko raz na dzień rano i nagotowaną na cały dzień strawę przechowują w piecu, gdzie do późnej nie ostygają, zostawiają zawsze część obiadu w garnkach dla mogącego się zdarzyć gościa. Uroczystość na rospromienionych obliczach gospodarzy, z jaką podejmują gościa jakiegokol-

wiekbądź stanu, jest jasnym dowodem, jak świecie pełnią obowiąski gościnności i jak wysoko je stawia. Przyjmując i ugaszczając gości, Sybirak wygląda, jak gdyby się modlił.

— Teraz ja głupia baba zapytam was o coś... nie wiem jak was zwać na imię i po ojcu... — rzekła do Władysława gospodyni, która postawiwszy misę, zatrzymała się koło stołu.

— Karol Karolowicz — odparł tenże pośpiesznie.

— Kalor Ka...ka... Kaloro...rowicz! — powtórzyła jakając się — eh, jakie mądre imię, i nie wymówisz go!

— Karol Karolowicz! — pouczył poważnym głosem gospodarz.

— Otóż Kalorowicz! — ciągnęła dalej Sybiraczka — chciałam się zapytać was, co zapewne wszystko wiecie, czy prawda, co ludzie bają, że przy stolikach od owych drutów panowie, co przesyłają listy, siedzą bez krzyża i bez pasa?

— Dla czegoż bez krzyża i pasa?

— Bo zły, który tu głównie działa, nie pozwoliłby siedzieć, jak chrzczonym przynależny.

— Brednie matulu! Tu także odhywa się wszystko tak prosto, jak na parowcu. Oto gdybyście wy na przykład byli w sieniach, a ja w izbie, i ja się z wami umówił, że jeżeli raz puknę w stół, to mi przyniesiecie wody, a jeżeli dwa razy, to chleba; w takim wypadku nie potrzebowałbym wam mówić, czego chcę, tylko zapukać... nie prawdaż?

— Prawda!

— Otóż widzicie, podobnie i tam robią. Pukają jedni do drugich według umówionych znaków, a pukanie to przechodzi po drucie.

— To listy nie idą po drucie, ani w środku drutu? — zapytała zdziwiona Sybiraczka.

— Nie matulu, druty służą tylko do pukania.

— No, a prawdaż to, że z Irkucka można przesłać wiadomość do Petersburga za godzinę? — wtrącił Sybirak, co podparłszy się obiema rękami, słuchał uważnie powyższej rozmowy.

— Można...

— Skądżeż tak prędko?... przecie to coś ze 6000 wiorst będzie, jak mówią ludzie.

— Tu działa ojciec to samo, co i grom sprawuje, i dla tego dzieje się wszystko tak szybko.

— Grom! — wyrzekli razem Sybirak i Sybiraczka takim tonem, jak gdyby nareszcie pojęli, o co rzecz chodzi.

— Więc zły ma przecie w tem swoją rękę — dodał Sybirak.

— Jakżeby ojciec, mógł nasz biały car, który jest pewnie dobrym prawosławnym chrześcianinem, i sam rozkazał roz-

ciągać owe druty, zgodzić się na współnictwo ze złym duchem? — zakończył Władysław, wstając od stołu.

— Prawda to, prawda! — mówił gospodarz głosem, jakby chciał powiedzieć: «to jeszcze nie dowodzi niczego!» — i zamilkł z tegoż samego powodu co i poprzednio.

Oleś, który podczas całej rozmowy był podobnie jak reszta obecnych niemym słuchaczem, wstał także, oddał razem z Władysławem trzy niskie pokłony obrazom i zwróciwszy się do gospodarza i gospodyni rzekł, wtorując towarzyszowi:

— Dziękujemy za chleb sól, wam ojcie i wam matulu! Niech wam Bóg udzieli dobrego zdrowia i niech was zbawi Matka Najświętsza!

— Bogu świętemu!... na zdrowie jedliście... nie zagniewajcie się na nas! — mówili kłaniając się Sybirak i jego żona.

Obaj zbiegowie po spełnieniu wszelkich obrzędów, które były Władysławowi znajome w najmniejszych szczegółach i odcieniach, usiedli znowu na ławce, a gospodyni zebrała ze stołu, zdjęła siny, gruby jak skóra obrus domowego wyrobu i postawiła stół do góry nogami na półkach, które się pod obrazami podobnie jak ławki stykały. W izbie przybyło przez to znacznie miejsca.

Podczas gdy gospodyni krzątała się koło naczynia, a Sybirak czyścił kopyto, Władysław dał znak Olesiovi, na który tenże dostał kieski z pieniędzmi i oddał ją towarzyszowi.

— Macie tu mateczko pieniądze! — rzekł tenże podając gospodyni kilkanaście kopiejek, które wyjął z sakiewki.

— Za coś to? — zapytała ona z zadziwieniem.

— Za chleb sól, mateczko! —

Sybiraczka spojrzała na męża.

— Nasi dziadowie i pradziadowie nie brali nic od przechodniów za trochę stawy, i my nie bierzemy. Grzech brać pieniądze za chleb, który Bóg dla wszystkich daje! — odrzekł tenże z uroczystą dumą.

— Ha, to Bóg wam zapłać za wasze miłosierdzie — odparł Władysław, kłaniając się nisko obojgu.

— Na zdrowieście jedli!...

— Pozwolicie przecież matko zostawić wam cokolwiek Bogu na świeczkę, kiedy wzięść od nas nie chcecie zapłaty — dodał Władysław, i nie czekając odpowiedzi położył na półeczce, na której stały obrazy, 5-kopiejkową monetę.

— Cóż ojcie, pojedziem chyba! — rzekł potem do gospodarza.

— Trzeba się chyba przygotować — była odpowiedź Sybiraka. — Idź Wańku po konie! — dodał on do chłopaka, siedzącego na przypiecku.

— Powiedźcie mi Karolowiczu — pytał dalej, gdy chło-

pak wybiegł na dwór — co to ma znaczyć, że tylu Polaków wiozą teraz z Rosji? Cóżdziej ich po kilka trójek przejeżdża pod naszymi oknami... a niedawno temu pędzono ich partjami...

— Zapewnie durniom nie chciało się cicho siedzieć... mają teraz — odparł Władysław, niezmięszany wcale tem niespodziewanem pytaniem.

— Cóż oni tam robili?

— Wiadomo, jak Polacy... buntowali się!

— Patrz-no, jakunia wania, buntowali się przeciw białemu carowi!... Lat temu będzie z ośm, nawieźli ich także wielu do nas, ale pono wrócili wszyscy... pewnie i teraz tak będzie...

— Któż to może wiedzieć...

— Przecie nasz car nie mądrze robi!... Wiezie, wiezie... pieniądze wydaje, a potem nazad wraca... Jużbym ich tam trzymał w jakiej twierdzy, albo kazał wszystkich do diabła wystrzelać... Teraz zdaje się wypędzi ich stamtąd pono wszystkich...

— Dosyć ich jeszcze tam zostanie...

— Snać wielki to kraj, ta Polska... musi być piękny i bogaty... wszyscy, którzy tędy jadą; tacy ładni, głady i tacy grzeczni, że aż miło patrzeć na nich, a nie oszukałby cię żaden na grosz za nic w świecie!

— Opowiadała mi kuma moja, Anna Wasilewna — wtrąciła gospodyni — że jeden wypiwszy u niej kwasu za kopyjkę, zapomniał zapłacić. Na drugi dzień przybiegł biedak aż z etapu i odniósł.

— Otóż to mi ludzie! Gdzieby to nasz podobnie uczynił! Widać kraj to piękny!

— O tak, piękny i bogaty!

— Czy byliście tam, Karolowiczu?...

— Nie, wiem tylko z opowiadań; w Tiumeniu wielu jest Polaków. —

Nadbiegł chłopak i oznajmił, że konie już na podwórzu. Sybirak podniósł się leniwie z ławki, wdział na siebie kożuch, zarzucił oponeczę, opasał się, i zaczął coś poprawiać około chomątów, co wisiały na kołku pod pałatkami. Robił jednak wszystko z taką powolnością, że Władysław, poglądając nań często z pod oka, zniercierpliwił się i postanowił go zmusić do wypowiedzenia wszelkich obaw i podejrzeń, które go w niepewność wprowadzały.

— He wiorst do Iwłowy? — zapytał, wyjmując pieniądze z kieszeni.

— Dwadzieścia z połową — odrzekł gospodarz.

— Więc należy wam się 8 grzywien i 2 kopyjki... tu macie! — I podał, mówiąc to, pieniądze gospodarzowi.

Ten poskrobał się w głowę i zbliżył się dopiero po chwili namysłu do Władysława. Wziąwszy pieniądze, stał jeszcze chwilę na środku izby i spoglądał kolejno na wszystkich. Widocznie walczył ze sobą, czy ma powiedzieć, co miał na sercu.

— A nie będzie mi nie za to, że was powieszę? — zapytał wreszcie.

— Skądże przychodziecie do takiego pytania?

— Bo... bo... widzicie, obawiam się, czyście nie Polacy...

— My?... Polacy?!... — zawołał Władysław z dobrze udanem zdziwieniem — co się wam dzieje ojcze? Zobaczcie nasze paszporta!...

— Co mnie patrzeć!... Ja nie piśmienny...

— To zawołaj Piotrowicza z kabaku, on przeczyta, jeżeli mają jaki papier — wtrąciła pospiesznie gospodyni.

— Zawołajcie ojcze, kiedy nas podejrzywacie — podchwycił Władysław.

— E, po co wołać ludzi... Masz, schowaj! — mówił zakłopotany Sybirak, oddając żonie pieniądze — ja pójdę zaprzęgać... Co Bóg da!... wszak ludzie zdają się być niczego... A Wasyl Piotrowicz — dodał, będąc już przy drzwiach — rozumie się tylko na książce, na papierze czytać nie potrafi. —

Sybirak wyszedł z chaty, zabrawszy z sobą wszystko, co do zaprzęgu było potrzebne. Po wyjściu jego nastąpiło krótkie milczenie, podczas którego Władek wyglądał przez małe okienko na podwórze.

— Jakie szkaradne powietrze! — mówił on, nie chcąc zapewne dać poznać, że śledził za gospodarzem.

— Wiadomo, jesień! — odparł Oleś.

Niepotrzebnie jednak siłił się Władysław zwrócić uwagę obecnych na co innego, aby tem lepiej ukryć swój niepokój, w który go wprowadziło niedowierzanie Sybiraka. W izbie nie zważał już nikt na niego. Baba wzięła się znowu do kądzieli, dzieci igrały na przypiecku, a gospodyni, zajęta myciem naczynia, nie słyszała nawet co się mówiło.

— Trzeba nam się ubrać, Wasylewiczu, byśmy byli gotowi! — rzekł Władysław, przekonaawszy się, że Sybirak rzeczywiście krzątał się około wozu.

— Dobrze! — odparł Oleś i ściągnął z pałatek wierzchnią odzież i wełniane pasy, które tam wisiały.

Przyodziaszwszy się obaj, usiedli znowu na ławie, a Władysław dobył fajki z kieszeni i woreczek z tytoniem.

— Kikeriki!... psawiary... włóczęgi... kikeriki!... tabaczniiki... kikeriki! — ozwało się nieczłowieczym głosem z pieca, skoro tylko Władysław zaczął nakładać fajkę, i baba,

z której to piersi te niesamowite głosy się dobywały, zasza-
motała się na swoim siedzeniu, jak opętana.

Władysław schował czempredzej fajkę i tytoń; Oleś spo-
glądał z podziwieniem to na piec, skąd po krzyku owym
słychać już było tylko niezrozumiałe jakieś mruczenie, to na
Władysława, od którego zdawał się żądać wytłumaczenia
tego niezrozumiałego dla siebie zjawiska; dzieci chichotały,
a Sybiraczka jakby nie nie słyszała, krzątała się dalej około
naczynia.

— Czy babunia wasza zepsuta? — zapytał Władysław,
dając znak Olesiowi, by nie zdradzał swej niewiedomości.

— Mamy ten grzech w domu... zepsuta! — odrzekła
gospodyni, nie przerywając roboty.

— A ja, nie wiedząc o tem, chciałem zapalić fajkę!

— O, tego ona nie lubi, zaraz łajać zaczyna!

— To jeszcze dobrze, że tylko łaje... ale dwa lata temu
w jednej wsi podobna baba mało mnie nożem nie przebiła,
widząc, że zapaliłem cygaro.

— Bywają i takie, co siekierę na człowieka rzucają...
nasza tylko łaje. —

W Syberji pojawia się u płci żeńskiej, najczęściej u sta-
rych, rzadziej u młodych, dziwaczna jakaś choroba nerwowa,
którą nazywają «zepsuciem». Charakterystyczną cechą ko-
biety «zepsutej» jest nadzwyczajna drażliwość nerwów, poja-
wiająca się najpospoliej na widok lub zapach tytoniu.
Spazmy naszych kobiet nie mają jednak nic wspólnego z pa-
roksyzmami owemi. Widząc tytoń lub czując zapach jego,
a czasami słysząc tylko o nim mówiących, kobieta «zepsuta»
(porczenaja) wykrzykuje zmienionym i tak nieprzyjemnym
głosem, iż przeraża wszystkich obecnych. Krzykiem tym
naśladuje zwykle koguta, bezrogę, psa lub też inne jakie
zwierzę, i chwytając, co jej pod ręce popadnie, rzuca się jak
wściekła na człowieka, którego mieni winowajcą. Inne łaja
go tylko ostatnimi wyrazami. Siła jej potęguje się w po-
dobnych chwilach do tego stopnia, że trudno i mocnemu
człowiekowi dać jej radę. Lecz niezawsze na widok tylko
tytoniu pojawiają się wspomniane paroksyzmy; często podczas
rozmowy wcale obojętnej, napada taką kobietę drżenie, do-
bywa się z jej piersi krzyk niesamowity, i po chwili ustaje
wszystko, a kobieta dalej prowadzi przerwana rozmowę, jak
gdyby się wcale nic nie wydarzyło.

Jako przyczynę tego zjawiska lud uważa czary. Ziola,
podane cierpiącej przez inną zagniewaną na nią osobę, mają
sprawiać tę słabość. Podobne wypadki pojawiają się i w Mo-
skwie, osobliwie we wschodnich guberniach, z tą jednak
różnicą, że dotkniętych tą chorobą napada wściekłość nie na
widok tytoniu, lecz na widok obrzędów mszy św. lub świę-

tych rzeczy, jako to ewanielji, kielichów, ornatów itp. I lud
tam nie przypisuje już przyczyn choroby. ani czarom, ani
czarownikom, lecz samemu djabłu i nazywa słabych opęta-
nymi od złego ducha. Rozmaite wzory takich opętanych
można spotkać w miejscach cudami słynących, jak np.
w Ławrze Peczerskiej w Kijowie, na Świętych górach nad
Dońcem w gubernji Charkowskiej, w Sergiejowsko-Troickiej
Ławrze w Moskwie, u św. Tichona w Zadońsku gubernji
Woroneskiej, w Sołowieckim monasterze na ostrowie Białego
morza i w innych podobnych, dokąd słabi umyślnie się udają
kilkaset nawet mil, aby się wyleczyć z tego okropnego
i nadprzyrodzonego, jak mniemają, nieszczęścia. Paroksyzm
tego rodzaju choroby przypominają nadzwyczaj opętanych
z biblij.

I w rzeczy samej trudno na pozór wytłumaczyć dziwne
te zjawiska w sposób naturalny. Cierpiący człowiek bywa
zwykle zdrów i na umyśle i na ciele, wyjąwszy chwili napa-
du, o którym ani cera twarzy, ani blask oczu, ani inne ze-
wnętrne znaki nie ostrzegają; poznasz go dopiero, kiedy ci
powiedzą inni, lub też sam paroksyzm objaśni.

Nastąpiło krótkie milczenie, podczas którego baba uspo-
koila się zupełnie. Władysław zaczął się rozglądać po izbie
i zatrzymał wzrok na kacie koło pieca, który aż czarnym się
wydawał od skupionych tam szwabów, pelzających zresztą,
choć w mniejszej ilości, po całym pułapie i po wszystkich
ścianach.

Czystość wewnętrzna chat sybirskich, nie przeszkadza
wcale tym obrzydliwym owadom roić się mirjadami po ką-
tach domu. Są one prawdziwą plagą w tamtych stronach,
i wyradzają się, jak naród twierdzi, z mchu, którym szpary
między belkami obficie są wyłożone. Nie wiemy, o ile mech
może się przyczyniać do rozrodzenia tych stworzeń; pewna
tylko, iż rozplodzeniu ich sprzyja bardzo ta okoliczność, że
izba mieszkalna Sybiraków jest zarazem kuchnią i piekarnią
w której pieką codziennie świeże pieczywo. Ciepło więc
i obfitość pożywienia rozradzają je w niezmiernych masach,
i w każdym niemal domu natrafisz pokryte niemi ściany,
a nieprzyjemny szmer ich pełzania czyni pobyt w takiej
izbie nieznośnym.

Zabobonny lud używa najdziwniejszych i najsmie-
szniejszych środków, aby się pozbyć tarakanów, jak je
zowie; najpospolitszym jednak środkiem jest wymrażanie.
Cała rodzina opuszcza chatę w porę najsroźszych mrozów,
wyjmuje drzwi i okna i poddaje izbę działaniu zimna przez
przeciąg kilku dni przynajmniej. Pomaga to na kilka mie-
sięcy, poczem tarakany znowu się rozmnażają.

— Czemu u was tak wiele szwabów? — zapytał Wła-

dyśław gospodyni, krzątającej się ciągle jeszcze koło pieca.
— Powinnicie je czemkolwiek wytąpić.

— A czemuż my będziemy je tępić, Karolowiczu? — odparła — tarakanniczmy każdej zimy, przekłętą latem znowu się odradzają! My naród ciemny, wiadomo, nie wiemy co z niemi robić... Może wy co wiecie?

— Kupcie boraksu za kilka kopiejek, zmieszajcie z ciastem i połóżcie w kącie pod piecem, gdzie ich najwięcej... wszystkie przepadną!

— Gdzież można dostać tego boraksu?

— Boraks?... nie wiesz co boraks?... — mówiła baba, w której głosie już i śladu nie było niedawnego wzruszenia — to sól taka... każdy kramarz ma ją u siebie...

— Są pewnie i słowa jakie do tego — zapytała gospodyni.

— Słów tu wcale żadnych nie potrzeba, matulu, zróbcie tylko jak mówię, a zobaczycie, że będzie dobry skutek...

— Boraks z ciastem!... powtórzyła gospodyni. — Ale bez słów to pewnie nie pomoże; ich się nie można pozbyć tak łatwo... U naszego sąsiada jakiś przechodzień, pomógł na zawsze. Ale on pomógł słowami. Poszeptał coś, i wszystkie szwabki i pluskwy zebrały się, jakby na komendę, koło zatkniętego w podłogę noża. Potem wziął co największego szwaba w palce, zapewne cara wszystkich, i wyniósł go na ulicę, za nim wszystkie te stworzenia wyszły jak dzieci za matką, i odtąd już ich nie było w tym domu nigdy. —

Zbiegowie uśmiechnęli się na to z silną wiarą, opowiedziane zdarzenie; Władysław chciał coś powiedzieć, lecz wszedł gospodarz z batogiem w rękę.

— Cóż ojczy, gotowicie? — zapytał go Władysław.

— Gotów! — odrzekł tenże biorąc z pałatek koc i rękawice.

— Zrobiliście dobre siedzenie?

— Wszak siana u nas nie kupię, to nie w Moskwie... Tylko ja się zawsze czegoś obawiam Karolowiczu, jakby nie spotkać się z biedą!

— Ej, jakież wy niewierny!

— Wszak mamy paszporta — wtrącił Oleś.

— Ja tu znamy w całej okolicy — zaczął znowu Władysław — Mój ojciec mieszka w Tiumeniu od lat z dzieściem, ja sam służy u Alfonsa Fomicza lat kilka, jakieżże biedy się obawiacie? Zresztą nie wieziemy ze sobą żadnych tłumoków, żebyście mogli nas o jakie złodziejstwo posadzać. — Boże nie dopuść!... ja tylko tak... — prawil Sybirak zupełnie już uspokojony, i wyszedł na podwórze.

Za nim pospieszyli Oleś i Władysław, pożegnawszy gospodynię; Sybirak zrobił bieczeni krzyż przed koniami, zbiego-

wie siedli, i wkrótce oznajmił odgłos dzwonka u długi, że wyruszyli w drogę.

*

Droga, wiodąca z Rosji do Tobolska, przerywa Tobol we wsi Iwlowej. Wzdłuż prawego brzegu tej rzeki ciągnie się odtąd ku zachodowi południowemu, wśród nieprzejrzaných stepów, boczny trakt do miasta powiatowego Jałutorowska.

Stepy one są tylko częścią obszernej płaszczyny, którą zamyka od północy skalisty brzeg Irtyszu, od wschodu takież brzeg Iszumu; i która na południu łączy się z stepami kirgiskimi, na zachodzie zaś trąca o Ural. Jak srebrna przepaska wiję się wśród nich kręty Tobol, płynący z południa na północ, a od Jałutorowska do Iwlowej prawie zamieszkują obydwaj brzegi jego wyłącznie Tatarzy. Auły ich wyglądają jak wyspy wśród morza i zawsze zbudowane są na pewnej od wylotu rzeki zabezpieczonej wyniosłości, którą, co leży o kilka wiorst z boku, otaczają brzożowe gaje. Śród pustyni chwastów, łożyn i trzciny, która wiankiem otacza gęste w tych stronach jeziora błotniste, gaje one i auły urozmaicają bardzo jednostajność stepową i mile uderzają oko podróżnego.

Wcale różną fizjonomję mają te strony Syberji od stepów, zamieszkałych przez Moskali. Patrząc na rozległą dolinę, co pomyka daleko na wszystkie strony przed oczyma, i widząc tu i owdzie pobratane wsie i galki niby zgodne stadła małżeńskie, przeglądające się zawsze w szybie jakiegoś jeziora, sądzisz, że przyroda umyślnie ustroiła te miejsca w taki sposób, aby wygodne dla Tatarów przysposobić siedliska. Kiedy zaś nasycisz wzrok bezgraniczną prawie rozległością stepów, wtedy z przyjemnością spoczniesz na wiosce, która nie wyda ci się, jak na stepach moskiewskich, fałszywym tonem, psującym ogólną harmonję przyrody. Daremnie gubisz się w domysłach, chcąc dociec, co pierwemu powstało, wioska, czy galk, jezioro, Tobol, czy step; we wszystkim taka jedność i zgoda, że jedno bez drugiego istnieć, zda się, nie mogłoby żadną miarą, że cały krajobraz, jak go widzisz, stanął od razu, zda się, na czarodziejskie zawołanie przyrody. Jeżeli na stepach moskiewskich czułeś się obcym i wygnanym, jeżeli wszystko przypominało ci tam, żeś w krainie niewoli i przymusu, tu pierś przepełnia błogie jakieś uczucie, coś nakształt tego co się w nich dzieje, kiedy patrzysz na piękną okolicę w ojczyźnie, gdzie nie obawiasz się odetchnąć swobodnie świeżym powietrzem.

Bez wątpienia, są piękniejsze okolice od tych; nie śmilibyśmy jednak utrzymywać, żeby harmonja wszystkich części składowych mniej się tu czuć dawała, jak gdzieindziej.

I właśnie ona to jest przyczyną, dla której pięknym się wydaje ten zakątek Sybiru. Nie na doskonałości bowiem, lecz raczej na harmonii części składowych polega piękność.

Trakt, o którym wspominaliśmy, wijąc się śród równin wężykowatą, aulami i gaikami niby koralami gęsto nanizaną wstęgą, jest stosunkowo daleko więcej ożywiony, jak gościnniec tobołski. Po tym ostatnim przemyka jak uragan od czasu do czasu tylko lotna pocztowa kibitka, najczęściej z więźniem i żandarmami; lub też leniwo przeciąga grono wygnańców pod strażą, rozselając daleko po stepie brzęk swoich kajdan; tu zaś spotykasz zawsze mnóstwo Tatarów, którzy spieszą konno, w telegach i pieszo od aulu do aulu.

W samej połowie tego szlaku, droga przerzyna rzekę i wiedzie odtąd aż do miasta Jałutorowska, po lewym jej brzegu. Przeprawa na drugą stronę odbywa się, jak wszędzie w Syberji, za pomocą promu. Na większych rzekach niepodobna stawiać mostów, są one zaledwie burzliwe, i w porę dżdżystą lub na wiosnę ogromne sprawiają wylewy. Zresztą, gdyby i nie wylewy, które ułatwia niskość brzegów, lody na wiosnę stanęłyby na przeszkodzie stawianiu mostów. Wszelka komunikacja więc bywa nieraz przerywana w tych miejscach na kilka tygodni.

Miało się ku wieczorowi, a mimo że niebo było pochmurne, mróz wzmagał się coraz silniej. Cienki lód pokrył powierzchnię Tobołu, i przewoźnicy spoczywali już od południa bezczynnie przy ogniu, rozłożonym w chatce, stojącej nad brzegiem. U rzeki nikt nie oczekiwał chwili, kiedy się będzie można przeprawić.

Powolnym krokiem nadeszli drogą z za pagórka nasi zbiegowie, i na widok stężalej rzeki, która odkryła się teraz przed ich oczyma, stanęli jak wryci. Całą przykrość obecnej chwili pojęli jasno na widok promu obmarznętego, co stał przywiązany u brzegu.

— Co teraz robić? — zapytał Władysław, poglądając smutno na towarzysza.

— Nie wiem! — odparł tenże ponuro.

— Ani myśleć o przewozie!... zechcą z pół rubla, jeśli nie więcej... A czekać póki lód nie stężeje, niepodobna... I głodniemy i mogłby nadjechać jaki djabeł. —

W rzeczy samej położenie obu zbiegów było przykre. Z jednej strony głód i mróz, przeciw któremu nie zabezpieczało ich wcale odzienie, z drugiej niemożebność posuwania się naprzód z powodu zamarzania rzeki, które wszelki przechód tamowało. Wprawdzie przeprawa nie była niemożliwą. Rzeka ani się wzdęła, ani burzyła; cienką skorupę lodu można było snadno przebieć drągiem i zrobić tym sposobem przejście dla czółna lub promu; lecz aby pobudzić przewoźni-

ków do takiej pracy, trzeba było mieć pieniądze, lub przynajmniej znaczenie. Co więc było łatwem dla urzędnika lub kupca, jadącego w bryczce, to stało się prawie niemożliwem dla dwóch pieszo idących, przeziębłych i kilka tylko groszy posiadających biedaków. Dla braku więc środków, niezbędnych do zmiękczenia przewoźników, którzy podobne wypadki zwykli uważać jako żniwo, zbiegowie byli narażeni na czekanie nad rzeką, póki nie nadjedzie kto, dla kogoby musiano zabrać się do przeprawy. Ten ktoś jednakże, ułatwiając im przechód przez rzekę, mógł zarazem być zgubnym. Pierwszy lepszy urzędnik mógł na pierwszy rzut oka powziąć podejrzenie. Oleś wyglądał wprawdzie zupełnie na Moskala; gęsta, bujna, długa broda i spadające na ramiona prawie włosy przyczyniały się bardzo do nadania mu owej fizjonomji; lecz we Władysławie odrazu można było poznać cudzoziemca. Ubranie sybirskie uwydatniało jeszcze bardziej twarz jego, wcale nie moskiewską. Od podejrzenia niedaleko do pytań: kto, skąd i czy są paszporta? na podobne pytania zaś które nadto mogły wychodzić z ust posłanego w pogoń za nimi, nie łatwą była odpowiedź dla zbiegów.

Wszystko to stało im przed oczyma, na widok zlodowaciałej powierzchni rzeki. Miotani niepewnością i niespokojni o przyszłość, lada wypadkiem tak mocno zagrożoną, zbliżyli się powoli, ze zwieszonymi na piersi głowami do chatki, z której dobywały się głośnie śmiechy Tatarów. Władysław otworzył niziutkie jej drzwiczki. Dym buchnął gęstemi kłębam na zewnątrz przez otwór, i po chwili dopiero można było rozglądać się we wnętrzu. Do koła ogniska, rozłożonego na środku pustego zresztą szałasu, leżało na pomiętej i potartej słomie w najróżniejszych pozycjach kilku Tatarów. Z pod białych, filcowych kapeluszków, kształtem podobnych do tych, które kapelusznik dopiero walcuje, wyglądały srebrem wyszywane berłydky, pokrywające ich głowy golone. Odzienie ich mało co różniło się od odzienia Sybiraków-Moskali: stare chałaty z materji, tkanej z wielbłądziej sierści, podpasane pasami wełnianymi, węższe nieco szarawary i brodnie, czyli buty sybirskie, stanowiły całą ich odzież. Koszule tylko z ogromnemi kołnierzami do wykładania, sięgające poniżej kolan i urządzone do zapinania z przodu, nie były kroju moskiewskiego; te ostatnie bowiem zapinają się z boku, zasłaniając piers całą, i mają wąskie, obciskające szyję kołnierzyki.

Tatarzy, jako szczep plemienia mongolskiego, wydają się nadzwyczaj brzydkimi Europejczykowi, przyzwyczajonemu do innego składu oblicza. Zbyt wystające kości nadają im w jego oczach wyraz zwierzęcości, a małe, świecące oczka i spleśczone, u osady szeroko rozrośnięte nosy rażą to po-

czucie piękna, które wyrobiło się w nim pod zupełnie innemi wpływami. Golone głowy Tatarów uwydatniają jeszcze bardziej te, jak je Europejczyk nazwie, niedostatki kształtów. Na widok Władysława, leżący do koła ogniska przewoźnicy podnieśli się trochę na swoich miejscach.

— Bracia! — rzekł on — czy nie możnaby przejechać na drugą stronę?...

— Skąd idziecie? — zapytał łamanym moskiewskim językiem najstarszy z grona Tatar o przeciaglej, w drobne zmarszczki poranej twarzy. Małe, brwi i powiek zupełnie prawie pozbawione oczka pływały niby we krwi, i wyglądały śród martwej bladeści oblicza jak w krwawnik oprawne. Włosy na wąsach i brodzie możnaby było bez trudu policzyć, gdyby się kto chciał był zająć podobnem badaniem.

— Z Iwlowej, z parowca! — odrzekł Władysław.

Ta odpowiedź zdawała się zupełnie zaspakajać i tak nie bardzo ciekawych Tatarów. Zresztą była wcale prawdopodobną; zbliżała się bowiem pora zimowa, podczas której wyrobnicy, pracujący latem na rzekach, zwykli powracać do domów. Po krótkiej naradzie, gwaro po tatarsku odbytej, starzec znowu się odezwał:

— Jeżeli dacie na dwie kwarty wódki, to przewieziem!

— Co? na dwie kwarty? — zawołał gniewnie Władysław. — Jabyłm za dwie kwarty poszedł pieszo do Tobolska, gdyby mnie kto posłał... Choćbym miał tu czekać, póki rzeka zupełnie nie stanie, nie dałbym pół rubla...

— A jeśe co będziesz? — zapytał z uśmiechem jakiś Tatar.

— Nie troszcz się, mam suchary!

— Jak chcesz! — była odpowiedź starca, po której Tatarzy nie zwracali już uwagi na dwóch przybyszów, co oddalwszy się trochę na bok, naradzali się między sobą względem dalszego postępowania.

W tem zabrzączał w oddali dzwonek pocztowy.

Trwogę, jaka objęła naszych zbiegów na odgłos, jęczący po stepie jak dusza pokutująca, zdoła sobie wystawić tylko ten, co w podobnem znajdował się położeniu. Zbiegowi dzwonek pocztowy na Syberji obwieszcza zawsze coś urzędowego, i oblewa mu serce w piersiach takim nagłym chłodem, jakby mu je kto lodowatą ścisnął dłoń. W dźwięku owym ponurym słyszy on jakby podzwon grobowy wolności.

— Ktoś jedzie — zawołał Władysław, poglądając trwożnie po drodze. W oddali na wzgórk ukała się kibitka, zaprzężona końmi. — Czy nie zemknąć by nam w krzaki? — dodał postępując kilka kroków naprzód ku brzegowi, na którym gesta rosła łożyna.

— Jakiś urzędnik z żoną — rzekł Oleś, wpatrując się pilnie w coraz więcej zbliżający się ekwipaż.

— Z żoną?!... to nie pogoń... Zostańmy... Co będzie to będzie!... I obaj zbliżyli się znowu do chatki, z której przewoźnicy już byli powyskakiwali, aby zobaczyć kto jedzie. W pomroku, zapadającym coraz bardziej, trudno było zbiegów rozpoznać między nimi.

Kibitka zatrzymała się u pomostku; woźnica krzątał się koło odprzegnienia lejcowych koni, które nie zmieściłyby się były na promie w zaprzęgu; Tatarzy zaś zaczęli się przysposabiać do przeprawy.

— Tylko prędzej! — krzyknął rokazującym głosem siedzący w głębi wozu mężczyzna, w którym kaszkiet z srebrną na przodzie gwiazdeczką kazał się domyslać urzędnika.

— Jeszcze nie wiemy, czy będzie można przejechać — odparł powolnie starzec, widocznie niezadowolony z pojawienia się podróżnego, który nie wielką mu za trudy obiecywał nagrodę.

— Co psi synu?... Nie można? — wołał zaperzony urzędnik, zeskakując corychlej z wozu — ja wam tu zaraz pokażę, co to nie można. Natychmiast mi prom ładować, inaczej powiozę wszystkich do włości i każę tam pozakładać w kajdany...

— Ależ bo... — chciał wtrącić Tatarzyn.

— Milez! psi synu, nie ci do tego!... weź konie i prowadź na prom! —

Groźba skutkowała. Tatarzy przyciągnęli prom do pomostu; jeden z nich sprowadził nań konie i kibitkę bez przeszkody.

— Petia! — ozwał się z głębi ekwipażu głos pieszczotliwy i cieniutki — ja się boję, możeby zleźć?...

— Siedź duszko, rzeka wąska... niebezpieczeństwa nie ma — odparł łagodnie urzędnik, stając tuż przy kibitce.

Władysław i Oleś, gubiąc się się dotychczas niepostrzeżenie w gronie przewoźników, weszli także na prom, który po przecigniętej przez rzekę linie zaczął się powoli posuwać ku przeciwnemu brzegowi. Drogię przez lód torowały drągi. W kilka minut później stuknął prom o pomost; przeprawa już skuteczniona. Stary przewoźnik, rej wodzący między Tatarami, zażądał zapłaty od Władysława i Olka. Niezadowolony tem, co mu wręczył Oleś, począł się upominać o więcej. Spór ich zwrócił uwagę urzędnika, który dopiero teraz spostrzegł naszych zbiegów.

— Ani kopieiki więcej nie dajcie! — rzekł on do Władysława — jemu się od przechodniów nic nie należy! —

Władysław uklonił się nisko w odpowiedź, i schował dobyte już pieniądze nazad do kieszeni. Tatar mruczając udał

się do kibitki, by pomódz woźnicy przy zaprzęgu, i puścił Olka i Władysława na brzeg.

— Dokąd idziecie? — zapytał jeszcze urzędnik, płacąc za przewóz.

— Do Jałutorowska, Wielmożny panie! — odparł Oleś.

— Polacy?

— Polacy! — odpowiedział nie namysławiając się Władysław i jeszcze raz uklonił się urzędnikowi.

— Czy ty oszalał Władysławie? — zawołał Oleś dopędziwszy towarzysza.

— Cóż takiego?

— A gdyby on zażądał był paszportów, albo był wysłany w pogoń za nami?

— Gdybym mu był powiedział, żeśmy Moskałe, dopiero byłbym w nim wzbudził podejrzenie. Czy nie słyszałeś, że się pytał takim głosem, jakby był przekonany żeśmy Polacy? A co się tyczy pogoni, różna twoja obawa. W pogoń nie bierze się żony z sobą. Zresztą wypytywałby się u przełożonych.

Uspokojony tem wyjaśnieniem Oleś zamilkł i postępował razem z Władysławem ku wiosce tatarskiej, której pierwsze chaty stały już niedaleko. Niebawem przemknęła mimo nich kibitka urzędnika i znikła między domami głównej ulicy aulu.

Auły tatarskie różnią się bardzo od wsi moskiewskich. Zdaleka wyglądają one jak ścięta kupa mieszkań, tułącą się ze wszystkich stron do meczetu, którego minaret w kształcie wąskiej wieżyczki z blaszanym półksiężycem na szczycie, wystrzela wysoko nad poziome dachy jurt. Im bliżej meczetu, tem cieśniej skupioną zdaje się gromada domków, tworzących nieregularne koło, podczas gdy przeciwnie wsi moskiewskich cechą jest wielokąt symetryczny.

We wnętrzu aulu różnica ta daje się jeszcze bardziej spostrzegać. Sieć krętych i wąskich uliczek i widocznie nie podług planu, lecz jak wypadło, poumieszczane zagrody nadają mu widok zawilego labiryntu i świadczą o początkach i warunkach istnienia, zupełnie różnych od osad moskiewskich.

Co się tyczy zewnętrznej fizjonomii jurt czyli domów, te jeszcze cieśniej jedna przy drugiej od chat moskiewskich są pobudowane, i uwydatniają jeszcze bardziej chęć izolowania się i ukrywania tajemnic życia prywatnego. Brama wysoka prowadzi zwykle na podwórze; stamtąd wchodzi się przez drzwi niziutkie i wąskie, umieszczone na przeciwnej od ulicy stronie, do wnętrza domu.

Małe, wysoko nad ziemią znajdujące się okna, których liczba nie tak jest wielką jak u Moskali, wysokie wrota i takiż płot lub parkan, tworzący z ścianą domu część fron-

tową zagrody, czynią każdą jurtę tatarską podobną do malej twierdzy i nadają jej tyle tajemniczości, że patrząc na nią przychodzi ci mimowoli na myśl opisy i niektóre trwoga przejmujące powieści o haremach wschodnich.

Gdy zbiegowie nasi mieli już tylko kilkadziesiąt kroków do aulu, Władysław zatrzymał się śród drogi i rzekł do Olka:

— Przejdziemy cały aul, i udamy się na smętarz, który znajduje się w owym lasku. Znajdziemy tam dobry nocleg na którymkolwiek grobie; Tatarzy otaczają je zwykle ogrodzeniem, będziemy więc bezpieczni od wiatru. Jutro wyruszymy o świcie i stanimy na noc pod Jałutorowskiem.

— Nie zajdziemy do jurty? — zapytał Olek.

— Boję się, widzisz... jest tu urząd wiejski... mogli byśmy popaść w jego ręce. Bóg wie, czyby nam się udało wywinąć...

— Ha to chodźmy!

— Tylko śmiało idź Olku, kiedy będziemy przechodzić koło urzędu. Pewnie tam będą siedzieli Tatarzy... pozdrowimy ich. Tędy rzadko przechodzą Moskałe, więc trzeba się starać najmniejszego nie wzbudzić podejrzenia. —

Zmrok już zapadł zupełnie, gdy znajomi nasi weszli do wsi. Po ulicach snuło się mnóstwo Tatarów, z koronesłami i blaszanymi wiadrami; wracały one z wodą od pobliskiego jeziora. Mało która z nich popatrzyła w oczy przechodniom; przechodząc mimo, spuszczały najczęściej skromnie wzrok ku ziemi, i oglądały się dopiero kiedy już były o kroków kilkanaście. Ubranie ich składało się z białej płóciennej chustki na głowie, zawiązanej nakształt zawoju, z spuszczonej długo na plecy końcami, z kaftana obcisłego, lastykowego, spiętego na przodzie na trzy srebrne lub szklane guziki, i z długiej koszuli, która sięgała aż po kostki i wystawała z pod kaftana. Na nogach miały buciuki z różnobarwnej skóry, podobne do tych, które noszą wieśniaczki na Pokuciu, lecz o wiele zgrabniejsze i więcej obcisłe. Nazywają je tam iczygami. Skórzane kalosze chroniły te iczygi od błota. Szerokie spodnie, które Tatarci nosić zwykli, zakrywało wierzchnie odzienie. U niektórych zastępował miejsce lastykowego kaftana wiszący na ramionach kożuch.

Przed budynkiem urzędu wiejskiego siedziało na belkach, tu i owdzie porozrzucanych, jak to Władysław przepowiedział, kilkunastu Tatarów. Niektórzy z nich, co wracając z wieczornej modlitwy z opodal stojącego meczetu zatrzymali się dla gawędki, mieli na głowach białe turbany i świąteczne odzienie, składające się z takiegoż jak u kobiet lastykowego kaftana i iczygów z kaloszami. Przechodząc mimo, zbiegowie pozdrowili ich, i przeszli nie nagabnięci przez nikogo. Do-

piero na drugim końcu dość długiego aulu, kiedy jurty już rzadnieć poczynają, zwrócił się do nich idący drogą młody Tatarzyn ze zwykłym pozdrowieniem:

— Zdrastwuj znakom! —*)

Tego pozdrowienia używają Tatarzy, kiedy się spotykają z Moskalami.

— Jak się macie! — odpowiedział Władysław głosem, w którym się przebijało trochę niepokoju.

— Dokąd?

— Do Jałutorowska z parowca.

— Do Jałutorowska? — mówił Tatar z zadziwieniem — stąd 30 wiorst do najbliższego aulu po drodze jałutorowskiej; gdzie wy pod noc pójdziecie?

— Wiemy, wiemy, znajomy! że 30 wiorst. Ale cóż robić? Nam spieszno, pójdziemy nocą — odparł Władysław nieco śmiejąc.

— Po co wam chodzić po nocach... Wprawdzie nie ma tu złodziei, jak na wielkiej drodze, ale zawsze nieprzyjemnie... zanocujcie w aule lepiej...

— Choćbyśmy chcieli zanocować, nie można, nie mamy znajomych...

— Nocujcie u mnie — mówił dobrodusznie Tatar — ja sam gospodarz w domu; jurta choć niewielka, lecz pomieścicie się. —

Władysław spojrział na Olesia, jakby się chciał dowiedzieć, jakie jego zdanie.

— Zanocujemy!... — odpowiedział tenże. I tak noc będzie zimna.

— Nocujcie, nocujcie! — naglił Tatarzyn.

— Ha, pójdziem chyba... — mówił Władysław. — A gdzie wasza jurta?

— Niedaleko!... chodźcie!

— Mówią: «Tatary, Tatary!» — prawil Oleś, idąc z Władysławem obok Tatarzyna — a jednak żaden z Moskali nie ofiarowałby nam w swoim domu gościny, gdyby nas tak po nocy idących spotkał!

— Ha, u was już taki zakon — odrzekł Tatarzyn — nasz zakon każe nam przyjmować w dom przechodniów. Ja sam chodziłem po drogach, i wiem co droga... Otóż i moja jurta — dodał on, otwierając wyplecione chrustem wrota, wiodące na obszerne podwórze. —

Władysław nie dowierzał Tatarzynowi. Nie znał on jeszcze bliżej tego narodu i posądzał w głębi duszy gościnnego gospodarza o jakieś zdradzieckie zamiary. Wprawdzie szlachetna otwartość i dobroduszość, z jaką ich zagadnął

*) Jak się masz znajomy.

i do domu zaprosił, przemawiały bardzo za nim, mimo to jednak wszedł Władysław z obawą za wrota i postanowił się mieć na baczności.

Obawy te jednak były zupełnie próżne. Późniejsze postępowanie gospodarza przekonało go dowodnie, że się mylił, stawiając Tatarzyna na równi z Sybirakiem-Moskalem. Tatarzy, zamieszkujący Syberję, bardzo dobry i cichy naród, lepszy o wiele i weselszy od ponurych, podstępnych i podejrzliwych Sybiraków-Moskali. Gościnnie, uprzejmie, nie lubiący szkodzić nikomu i nie podejrzujący w nikim chęci szkodenia, Tatar bywa wyłany przed tym, co nie należąc do jego plemienia, nie gardzi ni jego chatą, którą mu rad otwiera, ni posiłkiem, który mu w niej chętnie ofiaruje. Trzymając się ściśle swojej religii i przepisów alkoranu, które mu mułła aulu wyklada co piątek w meczecie, daleko mniej jest fanatycznym, jak Sybirak-Moskal, i daleko też więcej ludzkim od niego. Moskal nie odmówiłby ci wprawdzie noclegu, gdybyś go z wszelkimi formami poprosił o to: odmawiać nie godzi się... lecz i nie zaprosiłby cię nigdy, jak to Oleś dobrze zauważał, sam do swego domu.

— Kto go wie!... może jaki włóczęga! — pomyślałby sobie, spotkawszy cię idącego w nocy. — Łatwo z nim jeszcze przyjść do biedy! —

Tatarzyn wprawdzie gorliwie pełni swoje obrzędy i zwyczaje, lecz nie narzuca wcale drugim zastosowania się do siebie, i nie ścieśnia ich swobody. Sybirak-Moskal nie pozwoliłby ci jeść u siebie w domu za nic w świecie z mięsem podczas postu, a jeżeliby tego dopuścił, natenczas zalałby cię takim potokiem pytań o twoją wiarę, pochodzenie, zwyczaje itd., żeby ci to jego pozwolenie prawdziwą stało się męczarnią. Gdyby mu się zaś wydała podejrzana twoja wiara, i on sądził żeś niechrzestny, tedy dałby ci jedzenie w naczyniu, którego sam nie używa, i które przechowuje umyślnie dla niechrzestnych lub różnowierców, nazywając je poganem, tj. nieczystym, brzydkim. Tatarzyn przeciwnie, nie żąda od ciebie, byś u niego zasiadał razem z nim do misy z końskim mięsem, owszem, on ci pozwoli nawet samemu wydoić sobie krowę, gdybyś nie chciał jeść mleka, dojonęgo przez gospodynię, i wcale ci za złe tej fantazji nie weźmie. Lecz jeżeli sam zażadasz posilić się z nim wspólnie, uczyni ci miejsce u swego stołu bez pytań, bez badań i bez najmniejszego dziwowania.

Tolerancja ta i pewien liberalizm, jakim się Tatarzy odznaczają w wypełnianiu obowiązków gościnności, i który ich o wiele wyższymi czyni od Moskali, wyrobił się nie tak w skutek większej oświaty, bo tej niepodna im przyznać, ale w skutek upokorzenia, w jakim się znajdują od trzech prze-

szło wieków. Doznając ciąglej pogardy od narodu, który nad nimi panuje, i widząc się na każdym kroku upośledzonymi, ujrzeni się nakoniec zmuszeni, jeżeli nie uznać szczerze wyższości Moskali, to przynajmniej nie przypisywać sobie prawa do krytykowania ich zwyczajów i czynności, i do narzucania im swoich obrzędów.

Po kilku wschodach wszli zbiegowie z gospodarzem wprost z podwórza do jedynej obszernej izby, która się mieściła w niewielkiej jurcie. Było to coś naksztaltu oficyn większego domu, który tworzył główny budynek zagrody i służył za mieszkanie dla ojca i starszego brata gospodarza. Zamiast polatek znajdował się tam szeroki, wzdłuż obydwóch ścian ustawiony tapezan, mogący służyć za dosyć wygodne pomieszczenie dla rodziny. Kąt na prawo od drzwi wchodowych zajmował niski kominek, żółtą gliną czysto i gładko wylepiony, przypominający nasze starodawne kominki po dworach; za nim znajdował się kocioł z piecykiem. Obok prowadziły małe drzwi do ciemnej komórki, noszącej nazwę czułana. Na lewo od drzwi wchodowych, w kącie nad tapczanem mieściła się szafka z półkami, na których krasowały się wielkie drewniane misy z wyłaczaniami na czerwonym dnie kwiatami, znane pod nazwą «kazańskich», tudzież dzbanki cynowe, wysokie, z wąskimi szyjkami, kilka garnuszków, kilkanaście łyżek klonowych i niedostępny towarzysz wszystkich rodzin sybirskich, tak tatarskich jak moskiewskich, miedziany ogromny samowar.

Kilka sztorcem na kominku postawionych polanek, żwawo płonąc, oświecało wesołym światłem całą komnatę, w której, gdy weszli nasi podróżni, prócz dwóch kobiet tatarskich i dwojga niemowląt nie było więcej nikogo. Jedna z nich, młodsza, stała z warzechą przy wrzącym i całą izbę właściwym jakimś zapachem mięsa napelniającym kociółku, i mięszała od czasu do czasu gotującą się w nim potrawę. Światło ognia, oblewając twarz jej, podnosiło przyrodzony rumieniec do szkarłatu, a czarne oczy, odzwierciadlając płomień zdawały się tryskać promieniami namiętności. Była to dziewczyna tatarska, siostra gospodarza, która przyszła pomódz w zajęciach domowych obciążonej dwojgiem małych dzieci bratowej. Jako dziewczica miała jeszcze głowę nienakrytą. Czarne jak heban włosy spadały w dwóch warkoczach na ramiona. Dwa srebrne talary, wiszące na czerwonej tasiemce przy kosach, kołysały się na plecach i dzwoniły za każdym poruszeniem Tataraki. Uszy były ozdobione wielkimi srebrnymi kółczykami. Odzienie jej składało się jedynie z długiej koszuli, uszytej z pstrej jakiejś materji i z przodu w jednym tylko miejscu do pasa przypiętej, niczem jednakże nieprzepasanej; dalej z szerokich spodni

plóciennych i zgrabnych iczygów z czerwonego safianu. Koszula była bez kołnierza, na piersiach trochę wycięta i obszyta pod szyją szerokim szlakiem monet srebrnych rozmaitej wielkości i wartości. Siegała ona prawie po kostki, i wydlatniała wszystkie zgrabnie zaokrąglone i pełne kształty zajmującej postaci. Na okrągłych jakby utoczonych rękach świeciły szerokie srebrne branzolety. O ile domyslać się miała odsłonięta szyja i część gorsu, pleć młodej Tataraki była dość biała i delikatna.

Lecz jeżeli okrągła, pełna i wcale nieszpeta twarz dziewczyny nosiła na sobie wyraz życia i zdrowia i zdradzała ruchliwość rysów i ogniem oczu pewien stopień zadowolenia i uciechy z bytu, natomiast oblicze Tataraki mężatki, siedzącej z dzieckiem przy piersiach na tapczanie, pokrytym kirgiskim kilimkiem czyli wołokiem, było tak martwo-blade, tak apatycznie-nieme i tak sennonieruchome, że wzbudzało w widzu tyleż litości, ile twarz dziewczyny wzniewiała jakiegoś rokosznego uczucia. W tym samym stopniu, w jakim ostatnia pociągała ku sobie, zniechęcała pierwsza.

Cośmy tu powiedzieli o siostrze i żonie gospodarza naszych zbiegów, można powtórzyć o wszystkich kobietach tatarskich w ogóle. Mają one to do siebie, że nadzwyczaj prędko wiedzłą po zamęściu. Zdaje się to być właściwością rasy, do której należą. We wpływach klimatu nie można szukać przyczyny tego zjawiska; bo dla czegoż by nie miały takowym podlegać Sybiraczki, o których nie można powiedzieć, że prędko wiedzłą. Być może, że i tryb życia który wiodą Tatarzy, a który przeznacza kobietę na ciągłą domatorkę i niewolnicę męża w ścisłym tego słowa znaczeniu, przyczynia się niemało do owego prędkiego przekształcenia kipiącego życiem istoty na automat, zaledwie żyjący. Ostatnie to zdanie zdaje się potwierdzać i wyraz twarzy, cechujący wszystkie mężatki tatarskie. W martwej bladeści ich oblicza, na którym bardziej jak u dziewcząt wystają kości policzkowe, maluje się jakieś chroniczne, jakby skamieniałe cierpienie moralne. Oczy wiecznie spuszczone, usta rzadko się uśmiechające, cicha, nigdy prawie gestem wyrazistym nieoparta mowa, ciągła niemal lekliwość i jakieś niedowierzanie sobie, zdradzające się we wszystkich ruchach, nadają im ową cechę automatu, która wzbudza litość i odtrąca zarazem. Zdaje ci się, że jakaś niewidoma a gniotąca zmora ciąży nad tą istotą, która robi wszystko, jakby ulegając parciu zewnętrznej jakiejś sprężyny. Nie ulega wątpliwości, iż zmora ową jest powaga patriarchalna męża, despoty domowego, i że mimo przebijającej się z pod wyrazu cierpienia rezygnacji, cały kobietom tylko właściwy tryb życia nie jest wpływem ich

usposobienia, lecz raczej koniecznem następstwem siły i przymusu zwyczajowego.

Najjaśniej bowiem dają się dostrzegać u mężatek tatarskich objawy, o których wspominaliśmy, tylko w obecności mężów i na ulicy. Przy mężu naprzykład Tatarka zawsze plecami obraca się do człowieka obcego, zwłaszcza innoplemieńca, jeśli takowy znajduje się w izbie. Wprost ani go zapytuje, ani odpowiada mu nigdy; w razie potrzeby mąż jej służy za tłumacza. Ale jeżeli się zdarzy, że mężatka, osobiście młoda, znajdzie się sam na sam z obcym innoplemieńcem, o, wtedy roskrywa się w całej nagości natura kobieca... Pojawia się i uśmiech zalotny na ustach, błyska namiętnym ogniem czarne oczko, i płyną potokiem w dźwięcznej mowie różnorodne pytania, przyczem brak dokładnej znajomości języka zastępuje się ożywionemi i wyrazistemi gestami. Ale w podobnym razie czuwa zawsze u drzwi domu młodsza siostrzyczka, starsza koleżanka, tj. jedna z żon męża, lub też własna córka, nigdy zaś brat ani synek. Na dany znak o zbliżaniu się pana domu wszystko zmienia się nagle do niepoznania, i jeżeliś nie był świadom wprzód podobnych zwyczajów pięknej płci tatarskiej, zadziwisz się, widząc nagły chłód lodowaty na niedawno ożywionej twarzy, i gębę otworzysz, kiedy ci na zapytanie, wymierzone do Tatarki, mąż jej odpowie, uniewinniając żonę, że nie rozumie twego języka... Nie dziw więc, że wobec tych okoliczności i tego ciągłego zadawania przymusu przyrodzie, Tatarki rzadko się doczekują zgrzybiałego wieku. Kobieta 35letnia wygląda już jak istna babka, jak trup o przygasłych oczach i twarzy pooranej, grobowo-bładej, mający jutro pójść do mogiły...

Ubiór mężatek różni się od ubioru dziewcząt tylko chustką, zawiązaną na głowie, brakiem, jeśli się nie mylimy, zupełnym włosów i wszelkich ozdób srebrnych.

Skoro obcy weszli z gospodarzem do izby, Tatarka, co karmiła dziecko, obróciła się twarzą do okna i odpowiedziała na pozdrowienie Władysława i Olesia lekkim tylko skinieniem głowy. Bystry i ciekawy wzrok płomiennych oczu towarzyszył natomiast odpowiedzi, wygłoszonej po moskiewsku przez dziewczynę.

— Rozbierajcie się znajomi! — mówił gospodarz, ukazując na stertę poduszek, leżących na tapczanie, jako na miejsce gdzie mają złożyć zdjętą odzież. — U mnie dzisiaj trochę prątnik; zabiłem młodego żrebiaka... musicie wybaczyć... zjedźcie się kilku sąsiadów na kolację.

— Cóż to, święto jakie? — zapytał Władysław, siadając na tapczanie.

— Dzisiaj piątek... nasza niedziela... lecz nie dla tego sprasiłem ja gości... Istnieje u nas zwyczaj, że kiedy za-

bijemy żrebię, spraszamy dobrych sąsiadów na wieczerzę... Wam koniny jeść nie wolno; zakon nie pozwala... prawda?

— Ja russki — odrzekł Oleś, do którego było zwrócone ostatnie pytanie — ale towarzyszyć mój Niemiec.

— Nasza wiara nie zakazuje nam jeść koni — dodał Władysław.

— Toż dobrze! będziecie z nami jedli... i tak nie miałbym was czem poczęstować, chyba suchym chlebem i mlekiem — prawił uradowany gospodarz — dla towarzysza przedstawimy samowar... Czy macie swoją herbatę? u nas, wiecie, domorodna, stepowa! —

Ubożsi między Tatarami używają zamiast herbaty chińskiej, która rozpowszechniona jest zresztą w Syberji i niezbyt wiele kosztuje, liści rośliny, rosnącej dziko po stepach i podobnej nieco do prawdziwej herbaty.

— Mamy kawałek kirpicza... wystarczy dla nas wszystkich! — odparł Oleś wyjmując z kieszeni zawinięty w papier spory kawałek prasowanej herbaty, znanej w handlu sybirskim pod nazwą «kirpicznej». Forma cegły, po moskiewsku: «kirpicz», w której ta herbata sprzedawaną bywa, nadała jej powyższą nazwę.

Oleś podał herbatę gospodarzowi i oświadczył, że może ją wziąć dla poczęstowania gości. Uradowany Tatarzyn zaszwargotał coś do żony. Ta nie nie odpowiadawszy, zawięła dziecko w pieluchy, złożyła je w pleciance, która wisiała u drąga przymocowanego do belki sufitu, (które to urządzenie kołyskę Sybirakom zastępuje), i wstała, aby zająć się około wieczerzy.

— Wy jedną tylko macie żonę? — zapytał po chwili milczenia Władysław.

— Jedną — odparł Tatarzyn — majątek mój nie pozwala jeszcze myśleć o drugiej.

— Musi to przykro być w domu, kiedy jest więcej gospodyn; nie ma zgody między niemi — zauważał Oleś.

— Dla czego by nie miało być zgody? — odparł Tatarzyn. — Kury nie czubią się, choć jednego tylko mają koguta... A jeżeli się i poszarżają kiedy, kogut tam wnet porządek przywróci... I u nas tak samo...

— Cóż wtedy, jeżeli która z żon nie chce słuchać? — zapytał Władysław.

— U nas się to nie zdarza. W jaki sposób żona nie miała by słuchać gospodarza, który ją żywi i odziewa! Czyż mnie koń się sprzeciwi, kiedy go zaprzęgę do telegi? U nas kobieta nie to, co mężczyzna... jej nie wolno nawet do meczetu chodzić, dla tego że kobieta.

— Powiadacie, że ja żywicie i odziewacie. Wszakże ona także przynosi wam jakieś wiano...

— Kto, żona? ... — zapytał zdziwiony Tatarzyn. — Żona nam nic nie przynosi, owszem my płacimy za nią rodzicom, według tego, jak się umówimy. O, gdyby tak było jak mówicie, toby każdy biedny żenił się a żenił, póki by nie został bogatym. U nas, widzicie, tylko bogaty może mieć więcej żon, bo ma czym za nie zapłacić. Toć i u russkich, tak samo podobno?

— Niezupełnie — odparł Oleś — wy płacicie rodzicom, my zaś dziewczę, która za te pieniądze kupuje sobie wyprawę. Pieniądze wasze nie wracają się, russki zaś nie potrzebuje sprawiać żonie niczego przynajmniej z początku.

— A u Niemców jak?

— U nas — odparł Władysław — rodzice nietylko że dają wyprawę, ale jeszcze pieniądze na wiano.

— Nu, tak u was się tylko żenić młodemu człowiekowi! — zauważał Tatarzyn.

— Proszę was — zapytał znowu Oleś — co znaczą te talary i ruble na piersiach i kosach waszych dziewcząt?

— To ich wiano.

— A więc i wy bierzecie wiano za żoną.

— A cóż mi po tych talarach i rublach? ... ja tego nie noszę... zresztą ona to odda znowu córce swojej, która wychodząc za mąż, zabierze z sobą. —

Podczas całej tej rozmowy kobiety krzątały się milcząco koło kociolka. Od czasu do czasu rzucała dziewczyna ukradkowe spojrzenia na przechodniów i szeptem udzielała uwag bratowej.

Do izby weszło kilku Tatarów. Pozdrowiwszy obecnych, zaczęli gawędkę z gospodarzem, nie nagabając wcale przechodniów ciekawymi pytaniami, jak to zwykle dzieje się u Sybiraków. Dopiero kiedy rozmowa stała się ogólną, zaspokoili jeden i drugi swoją ciekawość prostym, z toku rozmowy wypadającym pytaniem: skąd są, dokąd idą i co tam słyszą w świecie, na co Władysław i Oleś wiadome nam już dawali odpowiedzi.

Samowar zakipiał; gospodyni zaczęła przyrządzać do wieczery. Wyciągnęła z pod tapczana okrągły stolik o bardzo krótkich nóżkach, postawiła go na tapczanie, nakryła białym płóciennym obrusem, i złożyła na nim dwie ogromne misy, jedną próżną, drugą z potężnym poślądkiem żrebięcia. Dziewczyna nalewała herbatę w małe czaszki. Na boku od stołu postawiono przed Olesiem miseczkę z mlekiem, chleb i na przedzie na patelni usmarzone ołatki, coś w rodzaju naszych dołków; Tatarzy zaś z Władysławem usiedli około stolika na tapczanie, założywszy, zwyczajem tureckim, nogi pod siebie. Władysławowi ofiarowano pierwsze miejsce naprzeciw gospodarza, który siedząc na stolku przed tapczaniem,

krajał nożem pośladek w drobne kawałki i rzucał do próżnej misy na stoliku. Oczyszcwszy jedną kość z mięsa, podał ją do obgryzania Władysławowi, co było znakiem poważania i części. To samo uczynił potem po kolei z innymi gośćmi. Gdy już misa była pełna, podano trochę rosółu, nadzwyczaj tłustego, i podano herbatę. Zaczęto wieczerzać, biorąc palcami kawałki mięsa, maczając je w rosole i popijając herbatą, której dostarczała dziewczyna w miarę jak się czaszki wypróżniały. Ani jeden Tatarzyn nie zapytał się Władysława, jak to się dzieje, że on je z nimi; wszyscy tak się zachowywali, jakby to wcale dla nich nowem nie było; gospodarz tylko przygadywał mu czasem: «Aszaj, aszaj znakom!»*)

Oprócz mężczyzn jadła przy tejże misie i Tatarka-dziewczyna, będąc w domu tym także gościem. Żona gospodarza zaś piła herbatę i jadła na uboczu pod kominkiem, odwróciwszy się jak zwykle plecami do obcych.

Po wieczery Władysław pochwycił niebawem nic rozmowy, skierował ją na naród tatarski i jego religię i zaczął prawić o dawnej jego wielkości, o proroku, o Mekce, Kaabie i t. d. Z ciekawością słuchali go Tatarzy, a najciekawiej podobno młoda Tatarka, stojąca przez cały ciąg opowiadań nieruchomo u komina przy krzątającej się około naczynia gospodyni. Rzeczy, które Władysław opowiadał, osobliwie zaś szczegóły dotyczące się własnej ich historii, były dla Tatarów zupełnie nowemi. Naród ten żył się tak prędko z obecnem swem położeniem, że po trzech wiekach niewoli nie widać już u niego i śladów pamięci dawnej potęgi i wielkości. Tu i owdzie tylko zachowały się pomiędzy Tatarami głuche podania o dawnych chanach i carach, lecz tak niejasne i tak pogmatwane, iż sami widzieli się zmuszeni odnieść je do bardzo, bardzo odległych czasów.

Zauważać należy, że zapomnienie to własnej przeszłości daje się spostrzegać nietylko u Tatarów sybirskich, którzy mogą w tej mierze być wytłumaczeni odległością, jaka ich dzieli od siedziby dawnej narodowej świetności, t. j. od Kazanu, lecz także i u samychże Tatarów kazańskich, z których każdy niemal wytrzeszczy oczy, gdy mu zacznie mówić o prawach jego do ziemi, na której mieszka. Jest to namacalny dowód, ile brak oświaty, a tem samem brak znajomości krzywd swoich przyczynia się do łatwego nawyknienia do jarzma.

Późno w noc przeciągnęła się gawędka i jeszczeby jej dłużej słuchali byli ciekawi Tatarzy, gdyby im nie oznajmiło głośnie chrapanie Olesia, że i jego towarzyszkowi czas już do spoczynku.

*) Jedz, jedz, znajomy!

Nazajutrz po śniadaniu gospodarz odprowadził swoich gości aż do poskotiny aulu, i obiecał, żegnając się z nimi, wyszukać ich w Jałutorowsku, skoro tam przybędzie na targ.

— Przywiozę wam — mówił — pięknego nalima i kilka sterładek za skórzaną torbę, którą darowaliście mi wczoraj! —

*

Przed miasteczkiem Jałutorowskim, które opisaliśmy na wstępie opowiadania, leży o jakie 5 wiorst na północ dość wielka wioska. Chcąc z tej strony dotrzeć do miasta, trzeba koniecznie przez nią przechodzić, rzeka bowiem, bagna i moczary nie pozwalają innego przystępu. Nasi zbiegowie nie mogli jej także ominąć, a było już dobrze pod wieczór, kiedy się zbliżyli do niej. Ostrożność nakazywała przemocować i puścić się dopiero rankiem w dalszą podróż, i Oleś nawet tak radził; ale Władysław, obawiając się spotkania w dzień z jakim mieszkańcem miasteczka, któryby go mógł poznać, naglił, aby zbliżyć się nocą o ile można do Jałutorowska i zanoćować dopiero po tamtej stronie wioski.

We wszystkich miejscowościach Syberji, tak miastach jak i siolach, istnieją nocni stróże, tak zwani karaulszczyki. Jedni z nich strzegą gminnych składów zbożowych, drudzy cerkwi, inni samej miejscowości. Ci ostatni chodzą po ulicach i dają znać o sobie, uderzając drewnianym młotkiem o brzożową deskę. Nie zawsze i nie w każdym miejscu bywa ten prawem nakazany zwyczaj równie surowo przestrzegany. Częste pożary jednak, które się wydarzały niedawno przedtem w sąsiednim powiecie, sprawiły, że właśnie w czasie naszego opowiadania władze policyjne czuwały jak najbardziej nad tem, aby zwyczaj ów nie był nigdzie zaniedbywanym. Wszystkim wiejskim urzędom nakazano nadto jak najostrożniej wpoić karaulszczykom, że winni zatrzymywać każdego przechodzącego nocą przez wieś lub miasto i odprowadzać go do pisarza lub wójta, jeżeliby się im wydał podejrzanym.

Można sobie więc wyobrazić, na co się narażali zbiegowie, odważając się przechodzić nocą przez wieś, niebawem odległą od miasta, w którego więzieniu jeden z nich siedział przed czterema tygodniami jeszcze, i w którym go znano dobrze. Obaj wiedzieli o tem dokładnie, że jednak nie było zbyt późno, to spodziewali się, że przejdą siolo, nie spotkawszy nikogo. Weszli więc odważnie na główną ulicę wsi.

Zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków, tuż niedaleko przed nimi ozwało się głośnie pukanie nocnego stróża. Ciemność nocy nie pozwalała rozemnieć, czy karaulszczyk stoi, czy idzie naprzeciw, lub też czy w tym, co oni zdążają kierunku;

nie wiedzieli także, czy słyszał ich, czy nie; rozsądek więc nakazywał iść śmiało dalej, aby wahaniem się lub powrotem nie pogorszyć sprawy. Niebawem poznali, że stróż postępuje w tym samym, co oni kierunku, byli jednak tak blisko niego, iż wrócić się nazad lub też ominąć go nie było podobna bez narażenia się na gorsze jeszcze niebezpieczeństwo. Idąc więc za nim doszli do środka wsi i spotkali się z nim właśnie koło urzędu gminnego, przy którym się był zatrzymał.

— Kto idzie? — zapytał karaulszczyk groźnie i przystąpił bliżej.

— Swoi! — odrzekł spokojnie Władysław.

— Jakto swoi? tutejsi?

— Tak, tutejsi, z Jałutorowska... idziemy do domu.

— Skąd?

— Posłał nas był gospodarz do Tatarów, by się umówić z nimi o deski... Od nich to wracamy.

— Jaki gospodarz?

— Iwan Filipowicz Gałygin.

— To wy od Gałygina?

— Tak, od Gałygina! —

Ta odpowiedź, wyrzeczona śmiało i bez namysłu, zachwiała trochę podejrzenia młodego karaulszczyka, mniemającego zrazu, że ma do czynienia z włóczęgami. Gałygin był znaną osobistością w Jałutorowsku; Tatarzy zaś dostarczali rzeczywiciście na targi miejskie najznaczniejszej ilości drzewa budulcowego. Tłumaczenie się więc Władysława miało wszelkie pozory prawdy po sobie. Jednak stróż nie byłby Sybirakiem, gdyby był uwierzył natychmiast tym zapewnieniom.

— Ale wiecie wy, bracia — rzekł, przystępując jeszcze bliżej i chwytając Władysława za poję wierzchniej odzieży — że u nas teraz nie wolno chodzić po nocach, i że...

— Cóż ty mnie chwytasz za poję, mój miły! — przerwał Władysław stanowczym, choć powolnym głosem — czy sądzisz może, że ci wolno jako karaulszczykowi napastować spokojnych ludzi? Ja chwala Bogu trochę piśmienny, znam prawo i wiem co można, a co nie...

— Ale bo widzicie — mówił Sybirak, puszczając Władysława — kto was wie, co wy za ludzie?

— Jużci nie włóczęgi; w takim razie nie wchodzilibyśmy nocą do wsi... Słyszeliśmy cię przecież jeszcze na tamtym końcu, lecz nie zwróciliśmy w stronę...

— A macież wy paszport?

— Któż dzisiaj chodzi bez niego?

— Więc pójdźmy do wójta, tam go pokażecie.

— Po co nam chodzić po wójtach i czas tracić? I tak już późno... jutro trzeba nam być raniutko na targu...

— Ja was nie puszcę, póki nie pójdziecie — mówił stanowczo karaulszczyk — mnie tak przykazano! Zresztą cóż wam to szkodzi? Skoroście ludzie spokojni i macie paszport, nie potrzebujecie się obawiać wójta.

— Któż ci mówił, że się obawiamy? — prawil Władysław. — Lecz widzisz, przyjacielu, wy nas tu zatrzymacie z półgodziny, w drugiej wsi także tak będzie, i przyjdziemy do domu o północy... Lepiej zobacz sam paszport i nie będzie trzeba budzić wójta... Wasylewiczu — dodał zwracając się do Olesia — pokażcie papier!

Oleś podał żądany paszport. Władysław rozwinął go i pokazał Sybirakowi przy świetle, bijącym z okna przeciwległego domu. Zwrócił przy tem uwagę jego głównie na pieczęć u dołu i na podpisy. Widok formennoy bumagi*) rozbroił karaulszczyka ostatecznie. Schlebalo mu także poniekać i to, że Władysław przypuszczał w nim tyle rozumu, iż pozna się na tak ważnym dokumencie, jak paszport. Aby się więc zupełnie uspokoić, obrócił po kolei Olesia i Władysława twarzą do światła, przypatrzył się im uważnie i rzekł:

— Jak się zdaje, ludzie wy spokojni, i papier-to, widać, sprawiedliwy... jednak trzebaby pójść do wójta... pogrzałyście się trochę... zimno...

— Zagrzajem się w domu! — nie mamy teraz czasu na to bracie!

— Bywajcie zdrowi! — dorzucił Oleś.

— No, no, idźcie z Bogiem! chociaż wypadaloby... —

Lecz zbiegowie już byli daleko i nie słyszeli dalszych rozmowań podejrzliwego stróża, który udał się niebawem w dalszy obchód po wsi. Po krótkim przyspieszonym pochodzie ujrżeli się za ostatnimi wioski chatkami.

— No, przebyliśmy gorącą kąpiel! — zawołał Władysław, kiedy już byli na czystym polu.

— Mnie — prawil Oleś — skoro go tylko posłyszałem, aż kolana zadygotały... Coś mnie w tył ciągnęło... Nic już nie mówiłem, ale z wielką niechęcią szedłem naprzód... Mów co chcesz, człowiek posiada niekiedy przezcucia!

— Tak, kiedy widzi, że się chmurzy, przeczuwa, że będzie deszcz — odparł Władysław żartobliwie.

— Proszę cię, cośmy też byli robili z naszym paszportem u pisarza lub u wójta?

— A gdzieżbym ja był dopuścił do tego, żeby nas tam zaprowadzono... wszak to paszport tylko dla zamydlenia oczu nieumiejących czytać, jak karaulszczyk, nie zaś pi-

*) Prawem przepisano świadectwa.

sarzy... W ostatecznym razie byłem gotów na wszystko raczej, jak na niewolę, któraby nas niechybnie spotkała u którego z dygnitarzy wiejskich.

— Ja chciałem już uciekać!

— I jabym to był uczynił, ale wprzód poczęstowałbym był stróża nożem pod piętę zebro z lewej strony, aby krzyku nie narobił. Bo wiesz bratku, całą wieś by poruszył, gdyby nas widział uciekających...

— U! Władku, jak ty zimno mówisz o zbrodni; widać, żeś się długo ocierał o Moskali...

— Cóż chcesz, mój drogi! nasza ucieczka, to istna wojna, a w wojnie albo nie masz zbrodni, albo wszystko jest zbrodnią... Przytem nie chciej zapominać, że przegrana kosztowałaby mnie życie, czyli, co na jedno wychodzi, 80 pletni...

— Strach!... lepiej nie mówmy o tem!... Trzeba pomysleć o noclegu...

— Dziwna rzecz — mówił Władysław po chwili milczenia jakby sam do siebie — mam w tem mieście tylko kilku dobrych znajomych, a mimo że przeżyłem w jego więzieniu niejedną ciężką godzinę, już mi wesoło w duszy na wspomnienie, że do niego niedaleko. Tak samo było mi zawsze, kiedy wracając ze szkół na wakacje, zbliżałem się do domu... Przecie człowiek dobra istota... polubi nawet miejsce swego wygnania, zwłaszcza jeżeli tam znajdzie kilka serc współczujących... Tak, tak — dodał po krótkim namysle — najpiękniejsze moje wspomnienia z wygnania łączą się z nazwiskiem tej miejsciny: nie dziw, że serce drży, czując jej bliskość... Jak to przyjemnie musi być, Olku, temu, co po długiej i dalekiej, a do tego przymusowej i niebezpiecznej wędrówce, jak nasza, obaczy się dnia pewnego wśród pól rodzinnych, miejsc ojczystych, gdzie go każde drzewko, każdy krzaczek, każda ścieżka wita wspomnień miłych tysiącem!... O, muszą to być roskosze, dla których trudno wyszukać porównania...

— Pytanie tylko, czy się nam dostaną!

— Ty wątpisz Olku? Więc proszę cię, wątpij dla siebie... nie studź chłodem twoich obaw i uwag gorącej mej wiary, przekonania mojego, że się oswobodzę własną siłą z rąk przeklętych Moskali! Gdyby nie ta wiara, byłbym sobie już dawno w łeb wypalił... Nie będziesz mi może wierzył, daję ci jednak słowo, iż Syberja i ucieczka od lat najmłodszych nie przedstawiały mi się nigdy jedno bez drugiego.

— Trudno to wierzyć w udanie się tak dalekiej podróży wobec przeciwności, jakie napotykamy na każdym kroku. Wszak odkąd wyruszyliśmy z Tobolska, żadnej godziny

eszcze nie byliśmy bez serdecznej obawy... ciągle niepokój...

— A ty chciałeś inaczej?... Lecz bądź cierpliwym do jutra tylko; jutro zmieni się wiele... zobaczysz! —

Tak rozmawiając szli zbiegowie czystym polem wprost ku stronie, gdzie leżało miasto.

Po trzech wiorstach drogi, przybyli do gaiku brzozowego, którego dla ciemnej nocy zdala nie widzieli.

— Zanocejemy tu Władku! — mówił Olek, którego całodzienny pochód i nocna przygoda we wsi zmęczyły do tego stopnia, iż nie mógł już prawie zdążyć za spieszącym żwawo Władysławem. — Zostaje nam do miasta tylko dwie wiorsty, jutro przed świtem dotrzemy bezpiecznie.

— W lasku nam będzie niewygodnie — odparł Władysław — ale tam na prawo stały dawniej, ile sobie przypominam, owiny, w nich prześpiemy się doskonale!

— O, dla owin gotów jestem pójść jeszcze z pół wiorsty. —

Sybiracy nie stawiają stodoł w bliskości mieszkań, nie zwożą także jesienią zboża do domu, lecz zostawiają je w stertach na polu. Sterty te bywają zwykle ogrodzone i nazywają się owinami. Zimą dopiero, przy łatwiejszej drodze, sprowadzają zboże do domów i omłacają takowe. W niektórych okolicach zaś i tego nie czynią, lecz wyjeżdżają sami do owin, oczyszczają niewielki obszar ziemi ze śniegu, polewają go wodą, i robią sobie tym sposobem wyborne boisko na łądzie. Poczem okładają w pewnym oddaleniu całe gumno słomą, zapalają takową i młóć w środku cepami, mając zarazem i widok i ciepło. Ogień, którego ciepło nie jest znowu tak silne, aby się boisko miało rostopić, bywa podniecany ze środka słomą z wymłóconych snopów.

Szczególnie pięknie wygląda w nocy ten sposób młócenia śróć stepu. Po niezmiernie płaszczyźnie śniegów rozlega się daleko blask wielkiego, w kółko rozłożonego ogniska, a robotnicy, którzy w środku wywijają cepami, wydają się jak duchy nocne, wyprawiające swoje kupało. Nie wszędzie jednak młóć cepami; gdzieś wydeptują ziarno końmi, osobliwie w okolicach, gdzie ich jest wiele, i gdzie każdy, nawet najmniej zamożny, posiada ich kilkanaście. W innych jeszcze stronach używają do młócenia kłosa karbowanego, który się obraca na drągu, i który po rozłożeniu zboża konie ciągną.

Władysław nie mylił się. Rzeczywiście o kilkadziesiąt kroków od lasku stały sterty zboża. W jednej z nich sprowadził Oleś, mistrz pod tym względem, wygodne łoże, na którym obaj wypoczęli do rana.

Świt zastał zbiegów już pod miasteczkiem. Było to z tej strony, gdzie ciągnęły się kępami gaje brzozowe. Na

brzegu jednego z nich, w niewielkim oddaleniu od miasta, którego pierwsze domy widać było z poza drzew, stało kilka cegielni, należących do mieszczan Jałutorowskich. Do nich to udał się Władysław, spodziewając się znaleźć tam bezpieczne na kilka godzin schronienie. Była niedziela, nie miał więc obawy, że kto nadejdzie.

I w rzeczy samej wszystkie szopy stały próżne. Władysław nakreślił ołówkiem kilka słów na małym świstku papieru, wręczył go Olesowi i wytłumaczył, do kogo ma się udać. Dla Olesia miasto było zupełnie bezpiecznym. W ową porę mieszkało tam już do stu Polaków, mógł więc śmiało uchodzić za jednego z nich, w razie gdyby go kto zapytał o pochodzenie. Lecz i o to nie było najmniejszej obawy. Władysław zaś byłby niezawodnie zgubionym, skoroby się pokazał na ulicy. Mało kto nie znał go w Jałutorowsku. Wypadało więc rozłączyć się na czas krótki, chcąc się skomunikować ze znajomymi. A rozłączenie się, choćby na chwilę, staje się w podobnym położeniu bardzo ciężkiem, męczarnią prawie. Wspólne cierpienia i nieszczęścia kojarzą ludzi daleko ściślej, jak wiele innych rzeczy. Stara to prawda. Władysław i Oleś nieraz jej doświadczali. Nie dziw więc, że Władysław pożegnał czule Olesia, przypominając mu, aby się miał na ostrożności. Szopę, w której byli obecnie, naznaczono za miejsce, dokąd Oleś miał przyprowadzić z miasta znajomych.

Zostawszy sam na sam, Władysław patrzył przez szpary płotu, tworzącego ściany szopy, tak długo za odchodzącym towarzyszem, dokąd tenże nie znikł mu z oczu między pierwszymi domami miasteczka. Potem zwrócił wzrok w inną stronę i zatrzymał go na więzieniu, którego wysokie mury widne były także z za brzoź płaczących gaju. Niedawna przeszłość stanęła mu żywo przed oczyma. Przypominał sobie, jak często siadywał u okna swej celi, na które teraz patrzył, i jak długo nieraz przypatrywał się stepowi, co od stóp więzienia w dal pomykał. Słońce wschodzące zastawało go nieraz w nocy letnie na tem samym miejscu, gdzie go zostawiło zachodzące, i z tą samą tęsknotą za krajem ojczystym, gdzie podówczas dogorywał jeszcze bój srogi. Czasami bywała taka cisza podczas owych krótkich przestanków, dzielących latem wieczór od poranku, że zdawało mu się, iż rozróżnia z pośród brzęczenia komarów wrzawę bitwy, jęki konających, szum pożarów, szczęk broni i głośnie dowódców komendy. Zrywał się wtedy, latał jak szalony po celi, tłukł pięścią o ściany, gryzł kraty zębami, chcąc wyrwać na nich przynajmniej zemstę, że go trzymały w bezczynności przykutego do miejsca... Straszne to były wspomnienia, lecz stokroć straszniejszą była niegdyś rzeczywistość... Przyszła

mu na myśl i Marja, jej miłość, jej odwiedziny w więzieniu, i pamiętny ów dzień ślubu, kiedy patrząc z okna swej celi, widział, jak ją z pod drzewa w ogrodzie, pod którym upadła w niemej boleści, ciągnięto za ręce do cerkwi... Żywo przedstawił mu się obraz, kiedy oswobodziwszy jedną rękę z rąk matki, posłała mu drogę uczuciową, pomykały bystro naprzód, i już się widział w Kurganie obok kochanki, swobodny, wesół i szczęśliwy...

Na takich dumkach upłynęło z pół godziny czasu. Władysław był tak zajęty niemi, iż nie spostrzegł nawet, jak z miasta zbliżało się drogą ku cegielni kilka wozów, pełnych ludzi. Ocknął się dopiero wtedy, kiedy jeden z nich stanął obok szopy, w której siedział, i kiedy woźnica przemówił do siedzących na wozie dzieci, by zsiadły. Okropna to była chwila ocknienia, z którą wszystkie męczarnie niewoli stanęły mu naraz przed umysłem, wszystka krew napłynęła do głowy. Serce biło tak gwałtownie, że był zmuszony uchwycić się za lewy bok ręką i powstrzymać na chwilę oddech. Wyjść niepostrzeżenie z szopy było już niepodobna. Udał się więc czempredzej do kąta budynku i ukrył za małą kupą niewypalonych cegieł, które tam były złożone.

Szopa była długa i przedzielona plotem na trzy części. Do środkowej weszło dwóch Sybiraków i kilkoro dzieci. Te ostatnie zaczęły wnet latać po przeciwnym końcu szopy, podczas gdy starzy składali jakieś narzędzia u wchodu. Przez chwilę ludził się Władysław nadzieją, że zostanie niepostrzeżonym, lecz tylko przez chwilę. Jeden z Sybiraków bowiem udał się niebawem do tej części budynku, która służyła Władysławowi za schronienie, a każdy krok, zbliżający go do kupy cegieł, odzywał się w piersiach zbiega, jak pchnięcie pugnialu. Męczące oczekiwanie na niebezpieczeństwo napełniało go większym strachem i wydało mu się daleko okropniejszym, jak niebezpieczeństwo same.

— Co tu robisz? — zapytał groźnie właściciel szopy, spostrzegłszy skurczonego przy ziemi Władysława.

Jak głos trąby anioła, wzywający na sąd, wydał się temu ostatniemu dźwięk mowy Sybiraka. Niebezpieczeństwo zaskoczyło go tak nagle i tak niespodzianie, że stracił zupełnie przytomność, która mu teraz była tak potrzebna. W umyśle powstał chaos pojęć i myśli, i pozwolił mu zdobyć się tylko na słowa, drżącym wyrzeczone głosem:

— Szukam konia, co uciekł ze stajni!

— Tu szukasz konia?

— Tu przyszedłem tylko fajkę zapalić... na dworze wietrzno... — odrzekł Władysław, podnosząc się z ziemi.

— A psi synu! tu będziesz fajkę zapalał, abyś mi szope

puścił z dymem?... — wrzasnął Sybirak i uderzył wstającego Władysława tak silnie pięścią po plecach, iż tenże powalił się znowu na ziemię. — Poczekaj ty polska mordo! Spaliliście Kurgan, chcecie spalić i Jałutorowsk? Dam ja ci! zaraz odwieżę do policji! — Tu zamierzył się raz drugi.

Ale już po pierwszym uderzeniu Władysław skoczył był z ziemi jak oparzony i wyminał teraz pięć Sybiraka rzucając się w bok. Gniew i oburzenie rozjątrzyły go do ostateczności, i w stanie tym gorączkowym sięgnął już był po nóż do kieszeni. W porę jednak powstrzymała go zimniejsza rozważa. Na krzyk Sybiraka zleciały się dzieci i ostały do koła sporzących. Zbliżył się także drugi Sybirak i z podziwieniem spoglądał na scenę. O obronie nie było co myśleć. Grożące jednak niebezpieczeństwo dostania się w ręce władzy policyjnej, która mu czytała wyrok kilka tygodni przedtem, rozbudziło w Władysławie taką energję, iż ochłonął zupełnie z przestachu, którego go nabawił nagły przyjazd niespodzianych gości.

— Com ja za Polak? — krzyknął śmiało w odpowiedź Sybirakowi — djabeł mnie nim zrobił, czy kto?... Ja takiz Moskal jak i ty!...

— Jesteś nim psi synu! Widać to po twojej wornackiej mordzie!*) — wrzeszczał gospodarz. — Co postawimy nową szope, to nam palicie lotry! Ale my cię nauczymy... dziesiątemu zakażesz... Chłopcy, przynieście-no sznury, zwiążemy i odstawimy tego ptaszka dokąd należy. —

Dwóch chłopców pobiegło do wozu z właściciwą dzieciom wesolocią, kiedy się im wydarzy wyrzucić psotę. Sybirak przystąpił bliżej do Władysława, uchwycił go ręką za kołnierz i chciał znowu uderzyć.

— Nie rusz mnie... mógłbyś tego pożałować, bratku! — mówił mu Władysław zupełnie przytomnie. Jakaś myśl nagle oświeciła go widać, jak ma dalej postępować, bo niezwykle wiele energii i odwagi odmalowało się w rysach jego twarzy i odbiło się w dźwięku głosu, przedtem drżącego.

— Kumie! — rzekł Sybirak do starszego towarzysza, który stał dotąd na uboczu — weźcie-no go za drugą rękę, żeby się psia wiara nie rzucił z nożem. —

Starszy Sybirak przystąpił bliżej, lecz nie usłuchał wezwania towarzysza. Nagła zmiana w głosie i licu Władysława wzbudzała w nim jakąś obawę.

— Nie bój się — odparł spokojnie Władysław — nie ja ci tu nie zrobię... Możesz mnie związać i odstawić, ale jutro i ty będziesz siedział ze mną w więzieniu!

— Ja?! Ach ty wornaku sobaczy!... jam mieszczanin,

*) Wornak znaczy w sybirskim narzeczu rozbójnik.

gospodarz, a ty co, psi synu? co? włóczęga, złodziej!... I ty mnie chcesz do więzienia wsadzić?

— Pocóżes mi tu przyjść kazał dzisiaj i teraz gniewasz się, że się nie możesz zgodzić ze mną? Miałem ci przecież robić fałszywe pieniądze! — mówił Władysław z taką pewnością siebie, jaką tylko w podobnych wypadkach napotkać można u wytrawnych sybirskich włóczęgów.

Kolej osłupienia przysłał teraz na Sybiraka. Otworzył na poły gębę, wzrok błędny zastanowił na licu zbiega, potoczył nim potem po obecnych i spuścił ręce bezwładnie... Nadbiegli chłopcy ze sznurami i stanęli także w milczeniu, widząc zmianę w pozycjach.

— Tyś myślał — mówił dalej Władysław — że masz z durniem do czynienia? O, nie bratku! Mam ja tu w lesie zakopane farby i wszystkie narzędzia do robienia fałszywych pieniędzy. Pokażę, kiedy będzie potrzeba. Dla mnie tiumna nie nowina, chwala Bogu, ale ty jak w niej będziesz wyglądał, tego już nie wiem!

— Isz ty! sobaka kakoj!*) — zdołał tylko wyrzec gospodarz.

Aby zrozumieć nagle tę zmianę w postępowaniu Sybiraka, wywołaną dziwną groźbą Władysława, trzeba znać stosunki sybirskie. Trzeba wiedzieć, jak Sybirak wiedział, że urzędnicy powiatowi radzi chwytają podobne denuncjacje włóczęgów, choćby najmniej zgodne z prawdą, aby «podusić» kieszeń bogatych mieszkańców. Bardzo często zdarza się nawet, że urzędnik sam namawia włóczęgę do rzucenia takiej potwarzy na któregośkolwiek z bogatszych, i płaci mu naprzód za każdą po 5 i 10 rubli. Scena, która się zwykle odbywa przy tej umowie, nadto jest oryginalną, abyśmy jej nie mieli tu podać.

Przyprowadzają do zasiedatiela (assesora) świeżo pojmanego włóczęgę. Z postawy i miny poznaje w nim tenże molodca bywalca.

— Kto ty? — pyta siadając z zapaloną fajką na sofie.

— Niepomniesz,**) Wasze blahorodje!

— Włóczęga widać!

— Toczno tak-sss, Wasze blahorodje!

— W Nerczyńsku byłeś?

— Nie pamiętam Wielmożny panie!

— Rozumie się, gdzież tobie pamiętać!... a wódkę lubisz, he?

— Jakże nie lubić, Wielmożny panie! — mówi włóczęga, obcierając usta.

*) Patrz-no, co za pies!

**) Nie pamiętający ani mienia, ani nazwiska.

— Naturalnie, a pieniądze masz, co?

— Nikak niet-sss, Wasze blahorodje.

— A chciałbyś mieć?

— Jakże nie chcieć, Wielmożny panie? ale nie ma skąd wziąć...

— We wsi X., Y...skiej włości, mieszka bogaty chłop, R. B...owicz Z. Jest tam co podusić... rozumiesz?

— Poniał-sss, Wasze blahorodje!

— Nu tak maładec! masz tu kraśnieńkuju (10 rubli), napij się za moje zdrowie... Jutro cię zawołam do indagacji. —

Nazajutrz składa włóczęga formalne oskarżenie. Jadą z nim na miejsce i robią rewizję u oskarżonego. Biedny chłop nie może wyjść z podziwienia, gdy mu nigdy przedtem niewidziany człowiek prawie zaczyna w oczy niestworzone rzeczy. Zostawszy sam na sam z zasiedatielom, dowiaduje się nadto, że pójdzie do więzienia. A chłop wie, że więzienie, choćby był najniewinniejszym, nie potrwa krócej roku lub półtora. Zaczyna się więc godzić. Zasiedatiel dostaje 100, 200, 500 rubli, według tego jak wziąć może, uznaje oskarżenie za fałszywe, uwalnia chłopca z pod śledztwa i odjeżdża spokojnie do domu. Wszystko odbyło się po formie i według prawa, które oddaje wolność każdego obywatela na widzimisię każdego urzędnika policyjnego...

Wiedząc o tem dokładnie, gospodarz szopy przeczuwał, jak drogo by mu wypadło opłacić niegościnnosć, którą chciał okazać względem Władysława; przestał więc myśleć o oddaniu go w ręce sprawiedliwości, która i dla niego mogła się stać zgubną.

— Ach — wyrzekł po chwili milczenia, powściągając się w uniesieniu — nie chce mi się tylko wodzić po urządach, a tobym ja ci pokazał!... Idź sobie do diabła, skąd przyszedłeś! — i pchnął Władysława ku wrotom.

— Otóż tak! — mówił tenże, śpiesząc za wrota — będzie i dla mnie i dla ciebie wygodnie!... Bądźcie zdrowi, bracia! — dodał już na dworze będąc za bramą. Chłopcy wybiegli za nim, i wołając: — Włóczęga, wornak, włóczęga! — zaczęli rzucać kamieniami. Ale Władysław zgubił się corychlej między drzewami gaju.

Grożące chwilowo niebezpieczeństwo było wprawdzie usunięte, została jednak trudność co do dalszego postępowania. Sybiracy wrócili niebawem do miasta. Wypadało więc i Władysławowi opuścić to miejsce, aby nie narażać się na nowe nieprzyjemności, gdyby Sybirak przez zemstę dał znać n. p. władzy, że spostrzegł w gaju włóczęgę. Tymczasem lada chwila mógł nadejść Oleś ze znajomymi, i nie znalazłszy go na umówionem miejscu, nie tak łatwo odszukać

na innem. Więc i oddalić się było źle i zostać niebezpiecznie. Długo też wahał się Władysław, nim się zdecydował. To zbliżał się do szopy, to oddalał się od niej, nareszcie usiadł w gaju na pniu brzozy, skąd łatwo mógł przejrzeć drogie, wiodące do miasta, nie będąc sam widzianym.

Mineło ze dwie godziny czasu, a Olka jeszcze nie było widać... Niespokojność Władysława rosła z każdą minutą, rozgorączkowana wyobraźnia zaczęła już malować przyszłość w najczarniejszych barwach. Z początku bawił się przynajmniej widokiem gronostajów, co przemykały się jak kiście śniegu z norki do norki, później nie zwracał uwagi i na to, dość zresztą ciekawe widowisko.

Zniecierpliwiony tak długim i daremnem czekaniem i trawiony obawą niebezpieczeństwa, postanowił już był oddalić się i szukać lepszego schronienia, kiedy zdała dał się słyszeć umówiony świst Olesia. Władysław odpowiedział.

— Gdzieś tak długo siedział? — zapytał cierpko zbliżającego się szybko towarzysza.

— Jak to długo? — odparł tenże — wszakże byłem już raz w szopie i nie zastawszy cię, wróciłem nazad do miasta.

— Byłeś w szopie, i nie zastałeś tam nikogo?

— Ani żywej duszy; zaglądałem do wszystkich...

— I do kogoś poszedł w mieście?

— A do tego, do kogo miałem karteczkę, sądziłem, że się schował u niego przedemną... chciałem się przynajmniej poognać z tobą...

— No... bardzo źle mnie osądziłeś Olku!... Ja nie byłbym tego zdolnym!... Cóż znajomi?

— Zaraz nadejdą. Aleksander poszedł tylko po jakiegoś Polaka, którego chce przyprowadzić z sobą... I powiedz mi dla czego nie siedziałeś w szopie?

— Oj bratku, nie wiele brakowało, a byłibyśmy się rzeczywiście musieli rozstać... może na zawsze!... — Tu opowiedział pokrótce niedawną przygodę.

— Biedak — rzekł Oleś z rozrzuwaniem, wysłuchawszy wszystkiego — a ja Bóg wie co myślałem... Masz oto, buty; zdejm raz te przeklęte brodniska... Dał mi je poczciwy Aleksander dla ciebie, kiedy mu powiedziałem, że masz poranione nogi. A tu — dodał, wyciągając z kieszeni flaszeczkę — kupiłem trochę wódki. Napij się i przekąś watrobę... nie innego w mieście dostać nie mogłem... Wziąłem i chleba bochenek.

Dobry Olek wyrzucał sobie w sumieniu, że tak niesłusznie posądził towarzysza o postępek, który zakrawał po prostu na zdradę. Chciał też okazaniem szczerego współczucia zagładsć nieprzyjemne wrażenie, jakie podejrzenia jego wywołać musiały w umyśle Władysława.

Kilkakrotne ponowne świstanie zapowiedziało zbliżenie się oczekiwanych gości. Władysław wybiegł na brzeg gaju i dał znak ręką, w którą się mają udać stronę. Na widok Władysława jeden z przybywających przyspieszył biegu i z wyrazem nieklamanej radości na twarzy rzucił mu się w objęcia. Był to wspomniany tyle razy w ciągu niniejszego opowiadania Aleksander B., z którym się nam obecnie bliżej zapoznać wypadnie.

Był on najmłodszym synem bogatego kupca w Jałutorowsku. Podczas gdy uczęszczał na kazańską wszechnicę, powstały niepokoje między włościanami spaskiego powiatu z przyczyny regulowania stosunków poddańczych. Pokrzywdzeni chłopci zebrali się w pewnej wiosce i ruszyli ku dworowi z «manifestem» znoszącym poddaństwo, który jeden z nich trzymał, jakby świętość jaką nad głową. Chciano pana przekonać, iż inaczej sobie postąpił, niż nakazywał manifest; domagano się ziemi nie od niego, ale od cara. «My chcemy — mówili — carskiego nadiełu, nie barskoho!»*) Dla uśmierzania tych rozruchów posłano dwie rotę wojska z Kazania. Komendant oddziału rozkazał zebranim chłopom rozejść się po domach i wydać przewodźców. Chłopci nie usłuchali. Strzelono raz ślepymi nabojami, i tłum rozprzecznał się na wszystkie strony. Natenczas zaczęto strzelać naprawdę, zabito kilkunastu, raniono coś dwa razy tyle, aresztowano jeszcze więcej. Przywódcy chłopów dostali się także do niewoli; jeden z nich został wkrótce potem rozstrzelany. Za powód takiego postępowania komendant wojska podał okoliczność, jakoby chłopci po wystrzale ślepymi nabojami rzucili się do kołód i sposobili do obrony, co jednak wcale nie było prawdą.

Niesłuszne to postępowanie zrobiło sensację między uczniami wszechnicy. Kilkunastu akademików wybrało się w pielgrzymkę do owej wioski, by sprawdzić na miejscu zaszłe wydarzenie i wyrazić ludowi współczucie. Napisało nawet wiersze jakieś, opiewające cierpienia ludu i bęspawia rządu. Oczywiście, nie puścił tego płazem akademikom gubernator kazański. Zarządzono śledztwo i winnych wykluczono z wszechnicy, wzbraniając im oraz pobytu w mieście. Między winnymi znajdował się młody B. Tak więc nieskończony nauk, musiał wracać do domu i zamieszkał przy ojcu w Jałutorowsku. Tu poznał go Władysław w pewnym polskim domu i polubił serdecznie. B. przywiązał się także do Władysława i oddał się tej przyjaźni z całym zapalem młodzieńczego serca. Znany już wspólną ich ucieczkę i jej skutki.

*) Carskiego nadania, nie pańskiego.

Powierzchność B. przyjemnie sprawiała wrażenie. Był to młodzieniec lat 20, wysoki, nieco pochyło się trzymający, tuszy odpowiedniej wzrostowi, pięknie zbudowany, o jasnych, długich włosach, które zwyczajem akademików moskiewskich w tył zarzucone spadały mu na ramiona. Twarz okrągła, bez zarostu i bladawa, przypominała nieznaczna skłonnością do czworogranu, rysy tatarskie, jednak tak zlagodzone, że podobieństwo to gubiło się zawsze przy rozmowie. Wyraz oczu niebieskich, trochę może za małych, był bardzo łagodny i wzbudzał mimowolną sympatię miłą jakąś pośepnością, co tam gdzieś z głębi wychodząc, zdawała się być wywołaną cichym cierpieniem i tęsknotą za czemś nieznanem. Cały układ twarzy nie miał wprawdzie jeszcze tej męskości i energii, jaka bywa cechą ludzi dojrzałych, ale za to rozlana po niej dobroć i łagodność kazały się domyślać serca złotego i trwałych uczuć, i pociągały mocno rówieśnika być mu towarzyszem i przyjacielem, a starszego przewodnikiem i doradcą. Wrodzona lekliwość i pochodząca stąd nieumiejętność wynurzania swoich uczuć, czyniła go w dłuższym pożyciu jeszcze bardziej ujmującym. Zresztą był to istny syn Północy: małomowny, żyjący więcej życiem wewnętrznym, cichy, nie-namiętny, potulny i smętny — jak niebo co się unosiło nad nim od kolebki.

— Wy tu, Antonowiczu! — rzekł on podczas uścisku, którym powitał Władysława. — Gdybyście wiedzieli, jak ja z tego zadowolony!

— Alboż nie spodziewaliście się mnie teraz? — zapytał Władysław.

— O, byłem pewny, że was nie doprowadzą do Nerczyńska... ale nie spodziewałem się, że umkniecie tak prędko.

— Jak się masz Władku! — zawołał wesoło młodzieniec, który nadszedł tymczasem — zuch z ciebie... dotrzymałeś słowa! Pozwól, niech cię uściskę za to serdecznie. —

I uczynił jak powiedział.

Był to wygnaniec, młody, rumiany, nadzwyczaj powabnej powierzchowności, i tryskających życiem oczu. Czamarka z żółtego wielbłądniego sukna, z czarnymi potrzebami, wybornie zrobiona, uwydatniała jeszcze bardziej piękną jego postać. Francuska czapeczka, strzelba wisząca na ramieniu i wysokie myśliwskie buty nadawały mu pozór istnego powstańca.

— Dziękuję wam — mówił Władysław po polsku, ściskając ręce obydwóch nowoprzybyłych — żeście przyszli odwiedzić zbiega i pomódz w potrzebie! — Wszak ty rozumiesz Olku co mówię — zapytał, zwracając się do B.

— Rozumiem, rozumiem, choć mówić nie mogu — odparł tenże z uśmiechem — już wiele umiem po polsku...

— No opowiadajże, opowiadaj — prawil wygnaniec, którego Julkiem nazwiemy — jak to urwałes się z łańcucha?...

— Opowiem wam wszystko... lecz chodźcie stąd w krzaki, które leżą po tamtej stronie drogi, tu niebezpiecznie... — rzekł Władysław po moskiewsku i zwrócił się w głąb gaju.

Po drodze zaczęło się opowiadanie znanych nam wypadków i przygód. Doszedłszy do krzaków, wskazanych przez Władysława, wszyscy usiedli na trawniku. O kilkaset kroków od nich wznosiły się mury więzienia. Władysław ujrawszy je, odsunął się i ukrył za krzak, który je zasłaniał.

— Co? — zapytał Julek — niemiłe widowisko?

— Nie to — odparł Władysław — lecz tracę zawsze humor, kiedy na nie poglądam...

— I cóż wy teraz zamysławicie robić Antonowiczu? — zapytał Aleksander po chwili milczenia.

— Mielicie list od Marji? — była odpowiedź Władysława.

— Miałem; zdrowa... ale nie radzę wam jechać do Kurganu... Droga bardzo niebezpieczna; wszędzie po wsiach strażę. Wpadlibyście niezawodnie w ręce policji — mówił Aleksander takim głosem, jakby mu niemiłem było zapytanie Władysława.

— Władku! bądź ostrożnym, proszę cię — wtrącił Julek — tyś zanadto śmiały... Nie pojmuję, jak się odważyłeś przyjść tutaj, gdzie cię zna każde dziecko...

— Właśnie też dla tego przyszedłem, że tu niebezpiecznie — odparł Władysław.

— Jak to?

— Bo widzisz, gdzie oni wiedzą, że dla mnie jest najniebezpieczniej, tam i najmniej szukać mnie będą. Powiedz mi drogi, czy szukałbys mnie w Jałutorowsku, gdybyś był gubernatorem Tobolska?

— Niech cię diabli wezmą z twoją filozofją... dalibóg masz rację... nigdy!...

— Jestem pewny — ciągnął Władysław dalej — że kiedy przyjdzie zawiadomienie do gorodniczego jałutorowskiego o mojej ucieczce, odłoży je na bok i powie: «No, choć i uciekł, tu pewnie nie przyjdzie! tak głupim nie będzie, aby sam lał do więzienia!»

— Dziwna tylko — mówił Aleksander — że listu gończego dotychczas nie ma; wszak to już ze trzy tygodnie, jak uciekliście.

— Dwa i 5 dni — odparł Oleś, który w rachubie czasu był nadzwyczaj akuratywny.

— Bo po waszych błogosławionych urzędach — mówił

Władek — musi iść wszystko po formie. Najpierw będą robić śledztwo, w jaki sposób uciekłem, potem będą szukać po mieście dwa dni, dalej po powiecie dwa tygodnie, nareszcie po gubernji trzy miesiące, a dopiero po tem wszystkim rozpiszą po całej Moskwie. To podobno dosyć czasu, aby im figę pokazać...

— Jednak nie jedź do Kurganu — radził Julek.

— Nie, nie Antonowiczu... posłuchajcie mnie — nie jedźcie! — dodał skwapliwie Aleksander.

— To już moja rzecz, dokąd pojadę — odparł stanowczo Władek. — Główna to, że nie mam z czem ruszyć się z miejsca.

— Ach, zapomniałem... wszak mam dla was pieniądze!

— odparł Aleksander, wyjmując kieskę z kieszeni. — Jest tu kilkanaście rubli... weźcie Antonowiczu!

— Nie dziękuję ci Olku — mówił Władek, biorąc kieskę — obrazil bym cię tem...

— Wszak ty wiesz, że ci gotów oddać wszystko — odrzekł Aleksander, ściskając podaną dłoń Władysława.

— Teraz jeszcze jedno — zaczął znowu Władysław. — Nie mamy paszportu. Trzeba sobie koniecznie choć jakie świadectwo napisać. Stempel kupi mi towarzysz, ale pieczęci nie zrobię, bo wiele z tem zachodu. Otóż potrzeba, abyście poszli do więzienia i odszukali włóczęgę Lebedjewa. Znają go tam wszyscy. On doskonale i prędko robi pieczętki. Poproście go odemnie, aby mi jedną wyrznął na ołowiu według wzoru, który wam narysuję. Dacie mu za to rubla. Skoro mu powiecie, że ja was przysyłam, zrobi niezawodnie.

— Ależ takim sposobem domyśli się, żeś ty tutaj, i gotów jeszcze donieść.

— O, tego nie robi, bądź pewny... To prawdziwy włóczęga, jeden z tych, co to bywali już po kilka razy nad Karą. Zbrodniarz, jakich mało, ale wierny towarzysz do upadłego. A ty przecież wiesz, że zostając pod sądem, byłem policzony do kategorii włóczęgów, należę więc do tej wielkiej rodziny, co to o sobie mawia: Nasza derewnia welika, a poskotina dlinna!*)

— Wolałbym jednak — mówił Julek — aby to urządzić inaczej.

— Więc ci napiszę karteczkę — odpowiedział Władek — niby z Tobolska, i niby pieczętka ma być dla kogo innego. Będzie to jeszcze lepiej... on zna moje pismo, uwierzy. —

Władysław napisał karteczkę, narysował wzorek i wręczył znajomym, którzy go niebawem pożegnali i odeszli, obie-

*) Nasze sioło wielkie, zagroda szeroka.

cując odpowiedź nazajutrz na innem, naprzód wskazanem miejscu.

Po trzech dniach pobytu w gęstych krzakach nad rzeką koło miasteczka Jałutorowska zbiegowie przygotowali się zupełnie do dalszej podróży. Lebedjew wyrznął pieczęć doskonałą w przeciągu jednej nocy, Władysław był więc w stanie napisać dwa wcale formalne świadectwa.

Na czwarty dzień rano wyjechała ze wsi pobliskiej lekka teleżka, parą rączych koni zaprzężona, i powiozła do najbliższej stacji pocztowej na drodze do Kurganu dwóch oficyalistów prywatnych z Paduńskiej gorzelni, spieszących niby na jarmark...

*

No i pod śniegiem inohda
Bieżyт kipuczaja woda...
Lermontow.

Kilka wiorst na wschód od Kurganu stoi nad Tobolem wielki młyn na kilkanaście kamieni. Lud okoliczny zwie go po nazwisku właściciela młynem Wagińskim. Dla braku podobnych zakładów, które z powodu płaskiego położenia kraju stają się poniekąd niemożliwymi, młyn Wagina używa w tamtych okolicach dość wielkiego rozgłosu, i mąka w nim wyrabiana jest znanym przedmiotem handlu we wszystkich prawie miastach tobolskiej gubernji.

Położony pośród gęstych krzewów łożyny i karłowatej brzeziny, rosnących w tem miejscu szeroko po obu brzegach rzeki, tworzy on z zabudowaniami, które do niego należą, jakby futor jaki stepowy. Pobliskie lasy, pokrywające na południu łagodny stok łańcucha nie zbyt wysokich pagórków, które się ciągną wzdłuż Tobołu, nadają mu charakter lubego i powabnego ustronia, pobudzającego do spokojnych i miłych marzeń.

Było to w niedzielę, pod wieczór dnia jesiennego — jednego z tych, kiedy po raz ostatni zdajesz się widzieć słońce pogodnie zachodzące. Jakiś chłód rozwiany po całej przyrodzie, każe ci mimowolnie w taki wieczór przeczuwać śnieg i zimę nazajutrz. Młyn huczał rozgłosnie i napelniał wespół z szumem Tobołu spokojną dolinę czarodziejskim jakimś gwarem, z pośród którego zdawało ci się wyraźnie rozróżniać pożegnalne i tęskne głosy, niby płacz przyrody za bliskiem zgonu latem.

Na podwórzu młyna, które czystością zapowiadało skrzętnego gospodarza, było pusto. Kudłaty, wielki pies rasy tunguskiej leżał spokojnie w budce koło ogromnej wjazdowej bramy i złożywszy spiczastą mordę na wyciągnięte przed

siebie przednie łapy wodził rozumnym wzrokiem to po spichlerzach, co otaczały podwórzec, to po domu mieszkalnym, czysto wybielonym, co w pośrodku niego się wznosił, to po drewnianym budynku kilku: piętrowym, w którym się młyn mieścił.

Promienie zachodzącego słońca, ukrytego już do połowy za blaszaną kopułą widnej w dali cerkwi miasteczka, uderzyły właśnie w okno jednej z komnat mieszkalnego domu i rozprysły się na szybie w tysiące czerwono-jaskrawych iskiei, co zlawszy się w jedno kółko, tworzyły niejako drugie, mniejsze słońce. Szmer dolatujący od strony, na którą to okno wychodziło, obudził psa z drzemki chwilowej. Zerwał się na nogi, wysunął do połowy z budki, warknął, a zobaczysz, iż loskot sprawiony został otworzeniem okna w domu mieszkalnym, uspokoił się i zajął dawniejszą postawę, nie przestając jednak rzucać od czasu do czasu ukośnych spojrzeń na miejsce, które go niepokoju nabawiło.

W otwartem oknie pojawiła się postać kobieca. Wzrokiem niespokojnym objęła ona drogę, która brzegiem Tobołu z młyna do miasta wiodła. Ostatnie promienie gasnącego słońca rożlały na jej twarzy jakiś dziwny blask uroczy i odbiły się tęczą w jej łzawych oczach. Przekonawszy się, że droga pusta, podniosła wzrok ku błyszczącej kopule cerkwi, wlepiła go w płonący zachód, po chwili westchnęła głęboko i opuściła smutno głowę na piersi. Dwie łzy stoczyły się z jej powiek na posępne lica. Krótka ta zadumka i wyraz twarzy, który jej towarzyszył, dały by i nie biegłemu fizjonomiście poznać, iż jakiś ból tajemny toczył serce tej młodej niewiasty. Przymknęła potem okno i znikła w głębi pokoju.

Tą niewiastą była Marja.

Aby dać bliżej poznać tę w ciągu naszego opowiadania tylekrotnie wspomnianą kobietę, musimy wejść do wnętrza domu i udać się do jej sypialni, w której oknie ją spostrześliśmy.

Był to niewielki pokój, o dwóch oknach na północ i zachód wychodzących, z woskowaną posadzką i niebieskim papierem obitami ścianami. Umeblowanie jego wydobyło się każdemu Europejczykowi, jeśli nie pretensjonalnem, to przynajmniej niegustownem; sybirak ze sfery kupieckiej, do której Marja należała, nazwałby je wykwintnem. Komoda, naprzeciw drzwi siennych stojąca, przepelniona była porcelaną suto wyzłacaną. Nad nią wisiało kilka fotografii i jakaś ryцина z moskiewskiej litografii. Z drugiej strony okna z wielkimi muszlinowemi zasłonami mieściła się u tej samej ściany, co i komoda, wygodna sofa z wygiętymi wezgłowiami, pokryta zieloną materją. W tak zwanym przednim kącie na stoliku o trzech nóżkach umyślnie na ten cel sporządzonym

stał w maszynnych, szerokich ramach wielki obraz Bogarodzicy ze Żbawicielem na ręku. Złota, wypukła ryza okrywała wedle krajowego zwyczaju całe malowidło tak, że prócz dwóch twarzy i czterech rącek niczego z po za niej widać nie było. Obydwie korony jaśniały mnóstwem rubinków i pereł, i odbijały tysiącem iskiei drobny płomyk lampy ze szkła czerwonego, oprawnej w srebro, która wisiała na łańcuszku u pręcika, przymocowanego do górnej części ramy.

Wykwintny stolik toaletowy z orzechowego drzewa, wyrób przedniejszy jakiejś rękodzielni moskiewskiej, zajmował miejsce przed drugim oknem. Dalej stało łóżko jesionowe, staromodnej roboty. Czerwona, welniana zasłona zakrywała je prawie do ziemi. U głów wisiał mały, cedrowy krzyżyk prawosławnej formy i porcelanowy medaljonik z obrazem św. Inocentego Irkuckiego. Podobne medaljoniki zastać można w każdym domu syberyjskim, święty ten bowiem jest bardzo czczony przez krajowców.

Kilka krzesełek, taką co i sofa materją obitych, dopełniało umeblowania pokoju, który mimo widocznego braku gustu w urządzeniu, sprawiał to miłe wrażenie, jakiego się zwykle doznaje przy wejściu do budoaru młodej kobiety.

Marja siedziała przy stoliku toaletowym, zarzuconym drobno zapisanemi papierami. Rozwarta szkatułka z palisandrowego drzewa, perłową macią wyłożoną, kryła ich jeszcze więcej. W owej chwili nie czytała ona już. Na jednej ręce oparła głowę, druga z listem jakimś zwisała na poręczy fotelu. Dumiała z przymkniętymi oczami.

Lat mogła liczyć najwięcej dziewiętnaście. Rysy twarzy nie dawały jej prawa do nazwy pięknej kobiety, wszakże lice okrągłe, pełne, czoło wypukłe, miernej wysokości, usta powabne i świeże, nosik trochę może za płaski, miały coś takiego w sobie, co nadzwyczaj przypominało młode, rokoszne dziewczęta tatarskiego pochodzenia. Nadto pociągły bardzo ku sobie jej duże niebieskie oczy. Stanowiły one dziwną sprzeczność z prozaiczną jej twarzą, tak żywo przypominającą barysźnie moskiewskie, które Turgeniew z taką zwykłą w swoich powieściach opisywać trafnością. Patrząc w te oczy zdawało się, że spoglądasz w blade-niebieskie, sklepienia nieba sybirskiego, podczas jednego z dni, kiedy skwary letnie już ustaly, a jesień się jeszcze nie zupełnie zaczęła — kiedy sklepienie to mgłą cienką, jakby gazą powleczone, tak jest miłym, że im dłużej się weń wpatrujesz, tem więcej cię pociąga swoim powabem, i prostą a mimo to uroczym tajemnic pełną pięknoscia. Podobnie jak przez cały dzień znachodzisz wątek do dumania na widok takiego sklepienia, tak cały dzień przemarzyłbyś, spoglądając w oczy Marji.

Płowe, jak len lśniące i niedługie włosy otaczały nie-

wielką główkę i spadały na krągłe, precudnych kształtów ramiona, osłonięte jasnym perkałem sukienki. Niewysoka, lecz pełnych, zgrabnie zaokrąglonych form postać Marji odznaczała się wyraźnie w najlżejszych swych zgięciach pod fałdami lekkiego ubrania domowego i takim urokiem i powabem przykuwała do siebie, że trudno było od niej oderwać oczu. Co chwili odkrywała jakąś nową piękność w jej kibici i stanie, a lekko pod sukienką falująca pierś co chwili do nowych cię pobudzała marzeń.

Szelest jakiś w sieniach obudził ją z zadumy. Spoglądając na zegarek i zaczęła na nowo czytać w rozłożonym przed sobą zeszyt. Nieco później odsunęła go na bok, wyjęła z zanadru zmięty kawałek papieru i rozwinięty położyła go przed sobą. Papier był zapisany drobniutkiem pismem i zawierał kosmyk jasnych włosów. Widać, że nowo wyjęte przedmioty wzbudzały w niej miłe wspomnienia, bo smutne jej oblicze rozjaśniło się nieco na ich widok, a oczy nabrały tyle łagodnego i miłego wyrazu, iż łatwo było odgadnąć, że ta kobieta przeniosła się obecnie w przyjemną dla siebie przeszłość i zachwyca się szczęśliwymi chwilami ubiegłego życia. W miarę jak się przesuwali przed wzrokiem duszy te miłe wspomnienia, twarz Marji jaśniała coraz większym zadowoleniem i coraz pełniejszym oblewała się szczęściem.

Powstała potem z krzeselka, pochwyciła ze stołu zwitek włosów i przycisnąwszy go do ust zaczęła się przechadzać szybkim krokiem po sypialni.

— O tak! on nie kłamał — mówiła półgłosem, nie mogąc się dłużej oprzeć nieprzewycięzonemu pociągowi do zwierzenia się, choćby przed samą sobą z tego, co się w duszy działo. — On mnie kocha! A ja, ja jak kocham mego Władysława!.. chyba mocniej kochać już nie można. —

Tu znowu podniosła do ust trzymany w ręku przedmiot.

— On, co nigdy przedtem nie słyszał ruskiej mowy — ciągnęła dalej — nauczył się jej głównie dla tego, by ze mną mógł rozmawiać, by napisać mi wiersze... i co za wiersze!

Tu zbliżyła się do okna, zaczęła czytać z karteczki, w którą włosy były zawinięte, a ostatnią strofkę dwakroć z wzrastającym powtórzyła uczuciem.

O świec mu gwiazdeczko, świec szczęścia aniele!
Twój blask mu niezbędny pośród nieszczęść toni;
On biedny, lecz dobry i w sercu on chroni
Skrzwawionem miłości dla ciebie — o! wiele...

— Tak, wiele, wiele miłości! — mówiła, chowając papier za suknię. Oddychają nią wszystkie jego listy, które im częściej czytam, tem bardziej stają się dla mnie milemi. Ta miłość gore dotychczas jeszcze na ustach moich, na których

wycisnął pożegnalny pocałunek. Ach, gdyby się owa chwila raz jeszcze jeden powtórzyła!... Boże!... nie puściłabym go już od siebie... nigdy!... nigdy!... poszłabym z nim wszędzie, dokąd by mnie zaprowadził!... On powróci... jak Bóg na niebie, powróci! — szeptała po chwili milczenia — wszak przybiegał mi to ustnie i pisemnie... wszak pisze w jednym z listów: «Marjo! ogniwa łańcucha, skuwającego odtań nasze istoty, kute w strasznym ogniu namiętności, i poparzy się sromotnie ten, któryby je rozerwać pragnął. Mojemu powrotowi do ciebie, aniele, nie w świecie nie stanie na przedzkodzie: ni kraty, ni zamki, ni kajdany, ni zastraszaająca przestrzeń bezludnych stepów rodzinnej twojej ziemi! Gdziekolwiek mnie popędzą, zewsząd umknę, choćbym miał rozerwać kajdany, skuwające mi nogi i powalić niemi o ziemię strzegących siepaczy!... Bo ja cię kocham Maryniu!... bo ja muszę być przy tobie aniolku mój!» — I kiedyż nadejdzie raz ten dzień powrotu?... kiedyż będę mogła mu dowieść, że i ja go kocham nad życie?... Gołąbku mój, Władziu drogi! wracaj, pociesz swoją Marję, która cię tak mocno, szalenie, tak namiętnie kocha! —

Oczy jej błyszczały, twarz gorzała, pierś wzburzona wysoko się podnosiła pod roznamiętnionem wspomnieniami uczuciem. Rzuciła się na sofę, jakby ulegając ciężarowi wzruszenia.

W tem dał się słyszeć turkot zajeżdżającego na podwórze wozu.

Jak sarna, która dotąd spokojnie szczypała słodkie trawki na leśnej polance, przestraszona nagłym łoskotem łamanych pod czyjąś stopą gałęzi, zerwała się Marja z krzeselka, posłyszawszy turkot na dworze. Zadrżała z przestrachu i przysłuchiwała się przez chwilę z bijącym sercem odgłosowi toczących się po ubitej ziemi kół telegi, która zajeżdżała właśnie przed ganek. Nie było najmniejszej wątpliwości: ktoś do młyna przyjechał.

— Boże! to mąż! — jęła młoda niewiasta i rzuciła się z szybkością błyskawicy na rozłożone na stoliku papiery, chcąc je, niby lwica jedyne swe dziecko, ochronić przed cudzą napadcią. W oka mgnieniu wrzuciła je do rozwartej szkatułki, którą zamknęła kluczykiem, wiszącym zamiast krzyża na szyi. Osuszwszy chusteczką łzawe jeszcze oczy, wybiegła do kuchni, i rozkazała służącej nastawić samowar. Chciała tym sposobem ująć podejrzeń, któreby powstać mogły u męża, gdyby ją był zapłakaną zastał w sypialni.

Niebawem drzwi rozwarto, i ktoś wszedł do kuchni. Marja tak pewną była, że to mąż, iż umyślnie zwróciła się twarzą do okna, aby mu nie pokazać czerwonych jeszcze od łez oczu.

— Czy zastałem Marię Mikołajównę? — zapytał nowo przybyły głosem, na którego dźwięk Marii wszystka krew z gwałtownie jeszcze od poprzedniego strachu bijącego serca do głowy napłynęła. W umyśle biednej kobiety, wzburzonym tyłoma sprzecznymi, naraz powstającymi uczuciami pogmatwała się na chwilę władza pojmowania świata otaczającego. Nachyliła nad jakimś naczyniem kuchennym, nie ruszyła się z miejsca. Służąca, nie mogąc pojąć jej zachowania się, poglądała ze zdziwieniem to na gościa, to na nią.

Tym gościem był znajomy nasz, Władysław.

Od czasu, kiedy widzieliśmy go pod Jałutorowskiem, zaszła w ubiorze jego niejaką zmiana. Widocznem było, że chciał się ustroić. Z za nisko spuszczonej cholewy obszernych butów sybirskich, spływały moskiewskiem zwyczajem czarne, z grubego sukna sporządzone spodnie z szerokimi po bokach niebieskimi lampasami. Szare paletko Olesia zastąpiło dawniejszy chałat, a szyję miał owiniętą wełnianym szalem, którego długie końce, kokietniczo w tył zarzucone, z ramion mu spadały. Tak ubiorem, jak postawą Władysław skopjował jak najdokładniej przykaszczyka — coś w rodzaju commis voyageur, którego udawał podczas podróży do Kurganu.

— Przywiozłem list z Jałutorowska od Aleksandra Mikołajewicza i chciałbym go wręczyć Marii Mikołajównie — mówił, chcąc kochankę oswobodzić z drażliwego położenia i nie dopuścić podejrzeń u służącej. — Jadę z gorzelni pa-duńskiej na jarmark do Kurganu. —

Tu dobył z kieszeni pakietu i chciał go wręczyć służącej. Tymczasem Marija przyszła do siebie z pierwszego odurzenia. Obróciła się twarzą do Władysława, ogarnęła go bystrym wzrokiem, w którym tyle było nieklamanej radości, że łatwo się każdy mógł domyślić, iż nie sam list jej był przyczyną, i rzekła głosem aż nadto zdradzającym jej wewnętrzne wzruszenie:

— A! to wy! — tu omal nie nazwała Władysława po imieniu, lecz w porę jeszcze powstrzymując się dodała: — Witajcież mi! cóż tam nasi? zdrowi? Oles, czy zdrów?... Lecz ja głowę zupełnie straciłam.... darujcie mi!... proszę do pokoju! —

Władysław wyszedł za nią.

Marija tak była zmęczona przymusem, jaki sobie zadać musiała w kuchni, że skoro tylko ujrzała się sama w pokoju z tak gorąco pożądanym gościem, upadła mu bez sił prawie na piersi, a zwisając rękami na szyi jego, szepnęła ledwie zrozumiałym głosem:

— Władysławie Antonowiczu! ty przy mnie... czy to nie sen tylko?

— Nie, nie Marjo! to nie sen!... ja przy tobie mój aniołku! — rzekł Władysław i podniósłszy jej główkę, pocałował gorąco w usta.

Jakby prądem elektrycznym podrzucona, zerwała się Marija z niemocy, przygłnęła ustami na powrót do ust Władysława, i zawiśła na nich długo, długo. Potem odskoczyła, uderzyła radośnie w dłonie i zawołała:

— Tak, to nie sen, to ty Antonowiczu!... powitanie twoje przypomina mi pożegnanie w Jałutorowsku... Lecz powiedz że mi, jakim sposobem zjawileś się tu?... skąd... Czy widziałeś się z Olesiem?... Ach, prawda! z radości nie wiem nawet, co mówię... wszak dałeś mi list od niego! —

I nie czekając odpowiedzi na tyle pytań naraz rzuconych pobiegła do okna, chcąc przy gasnącej już zorzy odczytać pismo brata. Władysław spoglądał na nią przez chwilę z roskoszą, a potem rzekł:

— Daj pokój, Marjo, nie trudź się daremnie; listu nie znajdziesz w pakiecie. Przygotowałem go, aby mieć powód zobaczenia cię, gdybyś nie była sama w domu.

— A... to dobrze! i tak rospieczętować nie mogę — zaszczebotała Marija, zbliżając się do kochanka. — Jam tak szczęśliwa, żeś przybył — mój drogi, mój miły! uwierz mi trudno temu szczęściu!... Ale powiedz że przecie, jak mogłeś się wyrwać z tego piekła? Pisał mi Oles niedawno, że cię okuli w Jałutorowsku w kajdany i popędzili het, het, aż gdzieś do Nerczyńska... Ach, gdybyś wiedział, jakem płakała!...

— Czy mogłaś wątpić, droga, że przybędę? Uciekłem i jestem przy tobie, jak przyrzekłem jeszcze w Jałutorowsku... — odpowiedział Władysław, biorąc Mariję za rękę i prowadząc ją do krzeselka.

— Widzisz, Antonowiczu, zupełnie dziś głowę straciłam! nawet siadać cię nie proszę... daruj gołąbku! o niczem dziś pamiętać nie mogę... O, nie wątpiłam ja nigdy, mój sokole, że powrócisz do mnie! — mówiła dalej igrając długimi Władysława włosami. — Przed chwilą czytałam wszystkie listy twoje... często, bardzo często je odczytuje... modlę się na nich mój drogi!

— A mąż? —

Krzyk przerażenia wydobyl się po tej uwadze z piersi Marii. Wspomnienie męża, oddziaływało na nią podobnie, jak gdyby na płaz jadowity nastąpiła. Poskoczyła do okna, rozwarła je na ścieżaj i wlepiła wzrok błędny w drogę, co w wieczornym pomroku zacierała się w niewielkiem już oddaleniu.

Na dworze było cicho, tu i owdzie na czystem nieba sklepieniu iskrzyły się już gwiazdki, a zorza zachodnia oświe-

cała słabo niewielką tylko przestrzeń przymglonego sklepienia. Zebrane po nad nią chmurki wyglądały jak dym, co się nad gasnącą unosi pochodnią. Nie mogąc niczego dopatrzeć, Marja nadstawiała ucha. Po chwili daremnego nasłuchiwania zamknęła okno i wróciła do Władysława, który nie podniosłszy się z fotelu wzrokiem śledził ruchy kochanki. Wyraz twarzy jej zmienił się bardzo. Przypomnienie rzeczywistości spędziło wesołość z jej oblicza, i zasępiło czoło ciemną troski chmurą. Oczy przed chwilą takim życiem płonące, powlekła łza wilgotna.

— Władysławie — rzekła drżącym głosem — męża z siostrą tylko co nie widać z miasta. Gdyby cię tu zastali, wszystkiego by się domyślili. Szczególnie siostra męża... to baba z piekła rodem! Zna wszystkie plotki, które na karb nasz krążyły w Jafutorowsku. Nie wyobrazisz sobie, co ja nierzaz od niej wycierpieć muszę...

— Więc chyba pożegnamy się Marjo!... co robić...

— Nie, nie opuszczaj mnie tak prędko, mój gołąbku! Ledwie się doczekałam ciebie, jeszcze nie nacieszyłam się tobą do syta... a już mnie chcesz porzucić!... Zostań, sokole, zostań! — Tu Marja przypadła znowu do piersi Władysława, cisząc do niej płonącą twarz swoją.

Władysław musiał się chwilę namyślić, nim zdołał dać odpowiedź.

— Dzisiaj niedziela — mówił — we wtorek dzień główny jarmarku; czy nie mogłabyś przybyć do Kurganu?

— Ach prawda! we wtorek Dymitra... będę u Orłowa w Kurganie. Mąż pójdzie za interesami, a ja przyjdę do ciebie, mój luby! Tak będzie to najlepiej... powiedz tylko, gdzie cię szukać...

— Sam jeszcze nie wiem... Toć obecnie, aniółku, jam włóczęga bez dachu, za którym na wszystkie strony pogoń rozesłano...

— Boże mój! cóż tu począć? — zawołała Marja, która nadzieja rychłego widzenia się z kochankiem była już nieco rozweseliła, a która teraz na wspomnienie trudnego położenia jego w poprzedni zapadła smutek. — Gdyby cię tu złapali, Władysławie, nie przeżyłabym tego! nie przestałabym sobie nigdy wyrzucać, że to z mojej przyczyny się stało. Ty nie wiesz może, że lud w tutejszej okolicy okropnie jest oburzonym na Polaków z powodu pożarów. Po wsiach stoją strażę, które nikogo nie przepuszczają bez oglądnięcia paszportu... Władysławie, jeśli mnie choć trochę kochasz, miej się na baczności. Twoje nieszczęście pociągnęłoby niechyłnie śmierć moją za sobą!

— Nie lękaj się, Marjo! znam ja dobrze kraj tutejszy. Wszak widzisz, mimo wasze wiejskie strażę przybyłem do

ciebie!... Teraz jarmark, zewsząd spieszą kupcy, nie ma się więc czego obawiać... Gdzie pokój twego męża? — zapytał po chwili, jakby chcąc nadać rozmowie inny kierunek.

Na to zapytanie Marja z wyrzutem spojrzała na Władysława, który przypomnieniem męża po raz drugi, ją wyrwał z miłego zapomnienia.

— Potrzeba mi to wiedzieć, luba, dla przyszłych działań — dodał, zrozumiawszy wyrzut kochanki.

— Tu, gdzie i mój... — szepnęła Marja cichym głosem i powisła znowu na szyi Władysława.

Ten nic nie odpowiedział — westchnął tylko głęboko.

— Gołąbku mój! ty nie wyobrazisz sobie, jak wiele jam nieszczęśliwa! — mówiła Marja po chwili milczenia — Wiedziałeś z daleka przynajmniej tego okropnego dla mnie człowieka... Jego łaski tak mi obrzydły, że na świat boży patrzeć mi ciężko... Władysławie mój drogi, wyrwij mnie z tego piekła... wtrąć mi doń bezlitośni rodzice... ono mi piersi rozerwie!... Pójdę z tobą wszędzie, choć na świata kraniec, tylko oswobodź mnie sokole... Wiesz Władziu — dodała po chwili uśmiechając się smętnie przez łzy i usiłując drżącemu głosowi nadać odcień odwagi — jam się strzelać nauczyła! Mąż kupił rewolwer w Niżnym, zostawia go niekiedy w domu. Natenczas wymykam się w krzaki i strzelam. Dwa razy już blisko celu trafiłam. Mogłabym z tobą i na wojnę pójść, nieprawdaż?..

— Dobrze, Maryniu! zabiorę cię z sobą... słuszną, bym cię uwolnił, skoro tyś do mego oswobodzenia tyle się przyczyniła.

— Ja?... w jaki sposób? —

— A pieniędze...

— O, nie wspominaj o tem, Władziu! ta drobnostka nie warta tego... gdybym mogła była, stokroć więcej bym uczyniła!

— Dziękuję ci aniele, wiem ja, że mnie kochasz! — mówił Władysław biorąc Marję za rękę. — Toż pilno mi dowieść ci, że i ja kochać umiem! A teraz jedyna, trzeba nam się pożegnać. We wtorek zobaczymy się w Kurganie. Będę się przechadzał przed oknami Orłowych; skoro mnie ujrzysz, wyjdź na ulicę. W razie, gdyby nam przeszkodzone, przysłę do ciebie z listem towarzysza mego. Jest to polak, który razem ze mną uciekł; możesz mu zupełnie zaufać. Wygląda przytem zupełnie na tutejszego chłopca, nie wzbudzi żadnych podejrzeń we młynie. W liście napiszę, co i jak robić potrzeba.

— Dobrze, mój drogi! myśl ty za mnie, ja teraz nie będę mogła... będę ci we wszystkim posłuszną.. Tylko

strzeż się gołąbku, by cię nie wzięli... tego nie przeżyłabym!... Bywaj zdrów Antonowiczu! —

Władysław położył już rękę na kłance, kiedy Marja go powstrzymała.

— Wiesz, Antonowiczu — zawołała, jakby uderzona jakimś pomysłem — prześliczna myśl przyszła mi do głowy... Mój mąż nadzwyczaj kocha cara! cały salonik nasz zawieszony portretami carskiej familji. A ty przecież nienawidzisz go, prawda? —

— Z całej duszy! — odrzekł Władysław, nie pojmując do czego Marja zmierza.

— Wiem o tem, gołąbku! widziałam przed dwoma laty jakim wzrokiem oglądałeś obraz jego u nas w Jałutorowsku. Przyjechałeś był wtedy do Olesia z Paduna i myślałeś, że sam jesteś w salonie. Tymczasem ja patrzyłam na ciebie przez wpółotwarte drzwi przyległego pokoju... Skoro więc nienawidzisz cara, nienawidzić musisz także wszystkich, którzy go kochają — a zatem i męża mego... czy tak Władysławie?

— Nie wiedziałem, że mąż twój jest gorliwym wielbicielem cara — odparł Władysław z uśmiechem. — Z resztą gdyby nim nie był nawet, sprzyjać mu nie mógłbym dla tego już, że mi ciebie wydarł, aniele!

— Więc tem lepiej! nienawidzisz go podwójnie... Otóż zabij go sokole, a uwolnisz mnie najprędzej. Zabiorę wtedy co moje, pojedziemy daleko gdzie, do twojej ojczyzny na przykład i będziemy szczęśliwi... mój posag wystarczy nam na całe życie! —

Biedny marzyciel osłupiał na taką propozycję. Była ona dla niego czemś naksztalt błyskawicy, rozjaśniającej mu nagle przepaść, nad którą zaprowadził kochankę po przyćmionych namietnościami drożynach. Wzdrygnął się w duszy przed okropnem zbrodni widziałem, a coś głęboko tam w piersi szepnęło mu cicho: «Polka nie powzięła by nigdy podobnego zamiaru!» Zadumał się i młleżał ponuro.

Marja tłumaczyła sobie milczenie Władysława zupełnie inaczej. Jej się wydało, że i on tu nie złego nie upatruje, a tylko nie może naprędce obmyślić środków do uskutecznienia podanego przez nią pomysłu. Spoglądając więc w oczy kochanka z dziwną naiwnością rzekła po chwili:

— A jeśli ty mój gołąbku nie możesz tego uczynić, to ja cię wyręczę — otruję go! —

Okropne to zdanie wypowiedziała ona z taką pogodą na twarzy i z tak głębokiem przeświadczeniem, że nie zawiera nic złego, iż Władysław wpadł był na myśl, że Marja dostała pomieszania zmysłów. Powierzchnowość jej atoli nie uzasadniała wcale tej obawy. Wyglądała jak dziecko, które

upodobawszy sobie płomyk świecy, sięga ciągle za nim, chcąc go ująć koniecznie w rączęta, i nie wie bynajmniej, że się nim poparzyć może.

Domyślić się łatwo, że ta nieświadomość, objawiająca się dość wyraźnie w obliczu Marji, posłużyła Władysławowi za pożądaną pobudkę do jej zupełnego przed sobą uniewinnienia. Ona mu nie kocha — myślał — chciałaby połączyć się ze mną na zawsze, a tu wciska się między nas, rozłaczając, nienawistna postać przymusem narzuconego męża... Cóż dziwnego, że jak dziecko, które uderza nożem dręczycielkę-piastunkę, rzuca się na tę przeszkodę z postanowieniem usunięcia jej bądź co bądź i z silnem przekonaniem, że w takim usunięciu nie kary godnego nie ma? A potem tu Sybir... otrucia mężów przez żony stanowią tu prawie czwartą część wszystkich zbrodni — przykładów przeto nie brak. —

I Władysław, przez którego umysł uwagi te przemknęły się lotem błyskawicy pochwycił w objęcia kochankę, która ciągle wyczekiwała odpowiedzi patrząc mu w oczy naiwnie.

— Nie, Marjo! — rzekł ucałowawszy ją — za wiele by to wymagało zachodu! My nie mamy czasu na to wszystko... oswobodzę cię z mniejszym daleko trudem! uwolnimy się razem bez czyjejkolwiek śmierci... Pomyślę ja o wszystkim i powiem ci w Kurganie, co postanowiłem... Teraz bywaj mi zdrowa, mnie dawno już pora... noc zapada!

— Kiedy to trudno, więc wymyśl sam co lepszego! — odrzekła Marja. — Nie wątpię że i mnie oswobodzisz, skoroś siebie wybawił. Zrobię wszystko, co mi każesz... tylko spiesz się gołąbku, spiesz ile możesz. Długo nie wytrzymałabym w tem piekle! —

Władysław nie dał umyślnie poznać Marji prawdziwych pobudek, dla których odrzucił jej pomysły. Nie chciał on bowiem przyprowadzić jej do świadomości, że w postępku przez nią zamierzanym okropna kryła się zbrodnia. Wiedział, że świadomość taka wzbudziłaby koniecznie wyrzuty sumienia, któreby jej dały uczuć tem dotkliwiej przykrość obecnego położenia i tem natężywiej pobudzałyby ją do oswobodzenia się z niego. Poznawszy moralny swój upadek, Marja musiałaby jeszcze bardziej znienawidzić męża, którego uważałaby oczywiście za jedyną przyczyną złego. Przedstawienie więc fizycznej niemożliwości wykonania jej pomysłów — mniemał Władysław — prędzej ją od nich odwiedzie, jak morały, dające jej poznać, nad jaką stoi przepaścią. Nóż, którego dziecko natęczywie się domaga, rozsądna matka usuwa z przed oczu — nie tłumaczyć mu wcale, że w jego ręku jest narzędziem niebezpiecznem.

Pożegnawszy kochankę czule, Władysław wybiegł na

podwórze, gdzie stała zaprzężona telega. Marja pośpieszyła za nim na ganek. Oleś, który dotąd spokojnie leżał na wozie i przypatrywał się futorowi z bacznością, jakby snuł jaki plan wojenny, powstał na widok Władysława i Marji, skłonił się tej ostatniej uprzejmie i zawołał na woźnicę:

— Pojedziem ojcie! —

Po chwili telega potoczyła się ku drugiej bramie młyna i znikła z przed oczu Marji w cieniach wieczornych na drodze wiodącej do Kurganu.

— A cóż? zadowolonyś? — zapytał Oleś, gdy przejeżdżali przez most nad Tobołem.

— Potem ci powiem — odparł Władysław — teraz nie mógłbym!...

— Rozumiem, zanadto szczęśliwy!

— Mniej, jak sądzisz!

— Jakto? znowuś stchórzył, jak we więzieniu? O, kochanku, jeśli będziesz tylko podziwiał potrawy, które ci los zastawia, to wiecznie będziesz głodnym!...

— Gdybyście trochę dłużej byli zaczekali w młynie — przerwał woźnica, ukazując toczący się zdala ekwipaż — bylibyście się widzieli z Grzegorzem Iwanowiczem; wraca właśnie z miasta. Czy zatrzymać się? —

— Nie potrzeba! — odparł Władysław — będę go jutro widział w Kurganie. —

Niebawem zrównała się z telegą zbiegów śpiesząca w przeciwnym kierunku bryczka, w której siedział młody mężczyzna obok podstarzałej już nieco kobiety.

— W samą porę pożegnałem Marję — szepnął Władysław Olesowi — to mąż jej!

— Musiałeś się w czepku urodzić, mój Władku! — odrzekł Oleś. — W Jałutorowsku wszyscy powątpiewali, czy dotrzesz do Kurganu; prosili na Boga bym cię odwiódł od zamiaru odwiedzenia Marji, dowodząc, że to będzie zgubą dla nas obydwóch — a tu przypadek zdarza, żeś ją zastał samą. Dalipan, zaczynam wierzyć w twoją gwiazdę! —

*

Kurgan nie różni się niczem od innych powiatowych miasteczek w Syberji. Te same pod sznur wyciągnięte, szerokie, trawą pokryte i puste ulice, przerywane się jak sztaby kraty więziennej, które opisaliśmy na początku niniejszych szkiców w Jałutorowsku; te same niskie, drewniane domki, niknące w obec względnej okazałości kilku cerkwi z błyszczącymi kopułami, i ponurej, groźnej powagi ogromnego stosunkowo więzienia; ten sam brak życia i ruchu — przedstawiają się przybyszowi i tu zaraz na wstępie, i ostrze-

gają go niejako o jedynej owej woli, która rządzi tym krajem bez względu na położenie, na ludność i jej potrzeby istotne, która wszystko wszędzie w jedne i te same włacza formy i cięży ciężarem tak przynajmającym, iż nad poziom, do jakiego tu wszystko sprowadzono, wzniesić się niczemu i nikomu niepodobna. A poziom ten mało co wyższym się zdaje od poziomu ziemi!...

Prawda, że obok owych, nie dających się opisać uczuć smutku, liłości, trwóżnej obawy o siebie i ponurej tęsknoty, które wywołuje widok żołnierskiego porządku i nienaturalnej, bezbarwnej jednostajności martwych miasteczek Syberji, rodzi się i myśl pocieszająca, iż ziemia, uginając się pod tak ogromnym ciężarem despotyzmu, pęknie lada chwila i pochłonie go z hukiem i trzaskiem w swoich wnętrznościach, zalewając wrzącymi falami lawy jak krew czerwonej. Ale myśl ta i wywołana nią otucha nikną, a przynajmniej słabną natychmiast, skoro zwrócisz oko na gwiazdziste kopuły cerkwi i czerwony dach tiumny, których mury wznoszą się jak groźne mury wśród miasta, podobnego do smętarza. Widzisz w nich silne podpory ciężaru, i zapadasz znowu w pierwotny smutek i zwątpienie.

Taki jest Jałutorowsk, taki Kurgan, takie każde miasteczko Syberji; kto był w jednym, był we wszystkich.

«Jest to kraj — powiada słusznie pewien pisarz o Moskwie — w którym się natrafia i widzi wszędzie jedne i te same rzeczy». Tembardziej da się to powiedzenie zastosować do Syberji, która, jak trafnie zgaduje ten sam autor, niczem innym nie jest, jak «Moskwą w spotęgowaniu».

Dzień jednakże, w którym zaszły poniżej opisane wypadki, ocucił nieco Kurgan ze zwykłego zdętwienia. Było to bowiem święto Dymitra, początek jarmarku, który miał trwać dni kilka. Wspominaliśmy już, że dnie podobne przerywają na chwilę letarg sybirskich miasteczek powiatowych; to też i do Kurganu płynęła dziś kilkoma drogami z rozległych w około stepów znaczna ilość Sybiraków w sianach, śpiesząca na targ z bydłem, skórą, tytoniem, mięsem, lojem, zbożem, sianem i t. p. Dzień przedtem jeszcze przybyli kupcy z Szadryńska, miasta permskiej gubernji, i rozłożyli «krasnyj towar» w budach z desek zrobionych, które ciągnęły się szeregiem u stóp pagórka, służącego pewnie niegdyś za brzeg opodal teraz płynącego Tobołu.

Dzień jeden mrozu i śnieżnej zawieruchy zamienił całą jesienną niedawno okolicę w zupełnie zimową. Rzeka stanęła; drogą można było jechać tylko saniami, chociaż wczoraj jeszcze grzęzły tam w błocie koła telegi; kogo zaś zima dopadła w jesiennem ubraniu, ten przypłacił pewnie nieprzeorność swoją odmrożeniem nóg, rąk, lub twarzy. Nagły

przechód z ciepła do zimna, jest charakterystyczną cechą klimatu syberyjskiego, który dla tej głównie przyczyny staje się tak zgubnym dla nieprzyzwyczajonych doń cudzoziemców.

Z okolicą przybrał i jarmark fizjonomję zimową. Sprzedający i kupujący pozawijali się w obszerne, długie kożuchy, tak zwane tuluby, i starali się jak najprędzej załatwić interesa, aby co rychlej wrócić na kwatery i ogrzać się czajem. Wynikało stąd pewne pośpieszne krzatanie się, nadające całemu jarmarkowi pozór przelotnego i przypadkowego zebrania się ludzi, pragnących co rychlej się rozjechać.

Nie można wcale porównywać naszych miasteczkowych jarmarków z sybirskimi. Tam cięży i na takich nawet obyczajach życia społecznego żelazna ręka despotyzmu, wszystko pod sznur porządkującego. Największa część miasta pogrążona w zwyczajnym letargu, tylko ulice, bliższe targowicy, zdają się nieco więcej ożywione. Ale i tu nie odpowiednia ich szerokość pochłania wszystko do tego stopnia, że się wydają prawie pustemi. Na dolinie koło miasta, przeznaczonej urzędownie na targowicę jarmarczną, nie ma tego pstrokatego, nieprzejrzanego tłumu, co u nas; nie widać tego ruchu i zgiełku, świadczącego o życiu; pojedyncze, jednolite gromadki ludzi kupią się w pewnych miejscach około bud, straganów lub wozów, uporządkowanych w szeregi i oddziały. Trzeba bowiem wiedzieć, że policja w podobnych razach na ogólnej targowicy osobne przeznacza miejsca dla składu każdego towaru. Masz tam rząd sklepów z suknem i perkalem, inny z cukrem i herbatą, inny z czapkami i butami; jest kwartał dla wódek, dla przaników (pierników), dla żelaziwa, dla mięsa; inne wyznaczone są miejsca dla koni, inne dla krów, inne dla cieląt, siana, zboża, drzewa, skór surowych i t. d. Słowem, każdy przedmiot handlu na osobnem sprzedaje się miejscu — i cały jarmark, rozdrobiony w ten sposób na kilkanaście mniejszych, dość znacznie od siebie odległych kwartałów targowych, niknie na obszernej dolinie, jak znikają pojedyncze krzaki wśród stepu rozległego.

Najwięcej malowniczą stronę jarmarku w Kurganie stanowią Kirgizi, przybywający tu dość licznie z tabunami małych i wiotkich koni z niebardzo odległych stepów swoich. Jeżeli mówimy: «z niebardzo odległych» to w rozumieniu sybirskiem. Z Kurganu do pogranicza stepów, do tak zwanej linii, będzie naprost co najmniej wiorst kilkadziesiąt, jeżeli nie więcej. Odmienny ich ubiór, różne od krajowców i opalone wiatrem twarze, jakoteż różnobarwne, sukienne, futrem podszyte kapturki, które noszą nakształt czepków na głowie przyczyniają się bardzo do przydania jarmarkom kurgańskim tej szczypty różnaitości, z której słyną w okolicy.

Zmieszani z tłumem jarmarcznym mogli nasi zbiegowie

wejść niepostrzeżeni do miasteczka i zabawić w niem bez obawy odkrycia przez cały przeciąg jarmarku, którego pierwszy dzień, jak wiemy, był przeznaczony dla widzenia się Marji z Władysławem. Ulokowawszy się na samym końcu miasta w jednym z domów, udzielających za zapłatą pomieszczenie przybyšom okolicy, i uchodząc tu za przykaszczyków, starali się najprzód wejść w stosunki z Polakami, będącymi w Kurganie na wygnaniu. Oleś miał znajomych, spodziewał się więc od nich pomocy; a Władysławowi, który przewidywał, iż wypadnie im zabawić tu dłużej, śpieszno było obmyśleć i wynaleść bezpieczne jakie schronienie.

Nie znając atoli nikogo, zdał całą sprawę na towarzysza, sam zaś udał się na umówioną dla spotkania się z Marją ulicę.

Dwa dni upłynęło, jak widział się z kochanką. Krótki ten czas przeciąg sprawił już niejaka zmianę w jego umyśle. Dopięcie tak gorąco niegdyś upragnionego celu, który był dotąd krańcem wszystkich jego zachodów, po za który nie starał się zaglądnąć, wyprowadziło na porządek dzienny pytanie: co robić dalej? Odpowiedź była dla Władysława trudna, i stan rzeczy był tak zawikłany, rozwikłanie przedstawiało tyle trudności i niełatwych do usunięcia przeszkód, iż biedny marzyciel przeląkł się zrazu nie na żarty. Rozłączył się na zawsze z Marją — z istotą, która go tak kochała, tyle dała dowodów szczerego i gorącego przywiązania, którą i on tak ubóstwiał — niepodobna. Wszystkie uczucia oburzały się na samą myśl, że rozłączenie takie będzie może koniecznem... A wykraść ją, narażać podczas ucieczki na więzienie, wciągać i towarzysza w niebezpieczeństwo, które w takim razie stawało się niezaprzeczenie większem, gotować sobie w razie nieudania niechybną zgubę, jej zaś wstyd i hańbę — były to obrazy, na wspomnienie których wzdrygało się serce... Oleś i Marja ufali mu ślepo; przewidywał więc, że za wszystkie następstwa kroku, który przedsięwziął, on jedynie będzie odpowiedzialnym...

Jednak, mimo że nie mógł nie widzieć trudnego swego położenia i nie zatrważać się na widok jego w chwilach zastanowienia, Władysław nic jeszcze nie był postanowił. Ochłódł wprawdzie trochę, posmutniał, na zapytania Olesia odpowiadał często bez zwiasku; ale zawsze jeszcze rospędzał garnąc się tłumem troski o przyszłość marzeniami o chwilach rokosznych przy boku ubóstwianej istoty, i ukochanem słówkiem wartogłowów: Jakoś to będzie!

Nadechodzące spotkanie się z Marją obudziło na nowo i silniej jeszcze niż kiedykolwiek wszystkie obawy. Zbliżała się chwila stanowcza, trzeba było coś postanowić; nie zaś nie

jest bardziej męczącym dla marzyciela, jak takie chwile. Szedł więc z głową spuszczoną, wybierając najdłuższe drogi, i wodził od czasu do czasu błędnym wzrokiem w koło, aby się rozerwać obrazem życia jarmarcznego. Nareszcie stanął przed oznaczonym domem, z którego okien miała go Marja wypatrywać... a jeszcze nie wiedział co jej powie. Dopiero widok śpiesznie nadchodzącej kobiety, owiniętej w futro z labędzich szyjek, w której poznał kochankę, ocucił go z apatii i sprawił, że przepomniał natychmiast wszystkich trosk, które niepokoiły go przed chwilą. Cały widokrag zasepiony, wypogodził się jakby cudem przy pojawieniu się miłej twarzyczki, co uśmiechała się do niego radośnie z pod atlasowego kapturka.

Widzenie się z Marją było krótkie, pospieszne; mówiono urywkowo, namiętnie; ścisano się za ręce konwulsyjnie, jak zwykle przy podobnym rendez-vous na ulicy, gdzie każde słowo, każde spojrzenie mieści w sobie uczucie morze. Marja wręczyła Władysławowi pakietek, w którym były stare paszporta do przerobienia na nowe, ślubny jej pierścionek i kilkanaście rubli; Władysław zaś obiecał jej donieść listownie o swoich planach na przyszłość. Marja naprzód zgadzała się na wszystko.

Żegnając się serdecznem «do widzenia», biedni zakochani nie wiedzieli, że wiele czasu upłynie, nim los ich sprowadzi znowu na krótką chwilkę, i to dla tego tylko, aby się pożegnali na zawsze.

Wróciwszy na kwatę, Władysław zastał Olesia, krzątającego się około składania w wążek małego zapasu wspólnej bielizny. Zrozumiał więc, że wycieczka towarzysza udała się pomyślnie. Nie pytając o nic, zapłacił gospodarzowi za nocleg i rzekł mu, że ukończywszy interesa, pojedą do domu.

— Nasi założyli tu Towarzystwo bratniej pomocy — mówił Oleś, gdy już opuścili kwatę — możemy się spodziewać od nich zasiłków do dalszej podróży.

— A przechowują nas przez czas jakiś? — zapytał Władysław skwapliwie.

— Obiecali... ale nie będzie można zbyt długo nadużywać ich dobroci, bo sami są strzeżeni z powodu pożarów... Ileż ty potrzebujesz czasu Władku — dodał po chwili milczenia — i w ogóle, co zamýślasz robić?...

— Jeszcze sam nie wiem — odparł Władysław, któremu poruszenie tak drażliwej kwestji wcale nie było przyjemnem. — Gdzież my idziemy? — zapytał, chcąc nadać rozmowie odmienny kierunek.

— Do naszych!... Kilkunastu ich najęło cały dom, w którym będziemy bezpieczni do czasu. —

W Kurganie było podówczas do 150 Polaków. Wszyscy

należeli do kategorii tych wygnańców, którzy nie będąc praw pozbawieni, mogli mieszkać po miastach. Wysłano ich, mówiąc technicznym wyrazem moskiewskim, na żytyo, który to rodzaj kary należał do łżejszych. I rzeczywiście, względnie rzeczy biorąc, ręka despotyzmu najmniej czuć się dawała tej kategorii. Dawniejsze prawo zabezpieczało takim wygnańcom ciągłą zapomogę 150 rubli rocznie, płatnych co pół roku z dołu. Rozumie się samo przez się, że aby mózż żądać takiej zapomogi, trzeba było być szlachcicem. Pozbawieni praw szlacheice zaś, których wyrok opiewał na posilenie, dostawali po 100 rubli tylko. Funduszów na takie zapomogi jak i w ogóle na wszystkie koszta deportacji politycznych przestępców Polaków, dostarczały dochody z dóbr konfiskowanych. Prawo to atoli było praktykowane tylko do r. 1863. Po tym czasie jeden tylko gubernator tobolski wykonywał je w części, płacąc szlachcicom po 15 kop. a nieszlachcicom po 7 i 10 kop. dziennie. W innych guberniach można było wyjątkowo tylko dostąpić podobnej łaski. Takim więc sposobem wygnańcy w tobolskiej gubernji, osobiłwie mieszkający po miastach, mieli poniekąd byt zabezpieczony, bo pieniędzmi temi w tych stronach wyżżyć można łatwo. W początkach nie znali, co to bieda; później dopiero, gdy z przyczyny coraz wzmagającej się liczby wysłanych, zaczęto obcinać każdemu potrosze, dała im się nędzą dobrze we znaki.

W porę naszego opowiadania Polacy w miasteczku Kurganie zajmowali pierwsze miejsce między wygnańcami tobolskiej gubernji. Przodowali oni tak liczbą, jak i doborem, a najbardziej zgodnem i przykłądnem życiem między sobą. Tobolsk liczył wprawdzie nie równie więcej Polaków, lecz towarzystwo tam było mieszane. Znajdowali się tam bowiem i tacy, co wcale za złe nie brali pewnemu marszałkowi szlachty, kiedy poszedł do cerkwi na żałobne nabożeństwo za carewiczą i płakał publicznie, spodziewając się zapewne zwrócić tem uwagę rządu na siebie — (nic mu to jednak nie pomogło) — ani nie poskramiłi innego znów wygnańca i owszem podziwiali go, gdy się rujnował do szczytu na bale i assamble... To też każdy starał się zostać przeznaczonym do Kurganu, który prócz dobrowolnego towarzystwa miał jeszcze i to za sobą, że leżał w okolicy, której dano nazwisko Włochów Sybirskich. Pochlebna ta nazwa dostała jej się dla tego, że mrozy tam rzadko kiedy dochodzą 40 stopni i cieplomierz nie zamarza, jak w Tobolsku, przez półtora lub dwa miesiące. I stąd to mieszcina owa stała się podówczas niejako miejscem uprzywilejowanym, do którego, aby się dostać, trzeba było bardzo często używać protekcji.

Dom, o którym Olek wspominał, znajdował się na końcu głównej ulicy, w pobliżu zastawy, po naszymu rogatki, skła-

dającej się z dwóch murowanych, obszarpanych piramidek, co stoją na podstawach pomnikowych po obu stronach drogi, i wiecznie próżnej budki strażnika. Trudno odgadnąć, w jakim celu to wszystko tam było wybudowane. Akcyzy w miasteczkach powiatowych w Syberji nie ma, paszportów za przybyciem nie oglądają; jedyna wice przyczyna stawiania podobnych godeł może być chyba tylko ta, że chciano naśladować Moskwę i jej większe miasta.

Na obszernem podwórzu, które otaczał parkan, stało kilka budynków; główny z nich zajmowali Polacy. W pięciu jasnych, nie zbyt wielkich pokojach, mieściło się ich do 10. Zbiegowie zostali przyjęci przez jednego z nich, który zastępował miejsce gospodarza i był już uprzedzony o ich przybyciu.

— Tu oto ulokujecie się panowie — rzekł, wprowadzając przybyszów do najdalszego pokoiku, którego jedyne okno było zasłonięte okienicą z zewnątrz. — Tu będziecie bezpieczeni... W razie czego, można okienicę otworzyć — dodał, skuteczniejąc, co mówił — okno oto, zaszczeplone tylko na haczyk... wyskoczyć przez parkan i jużecie na stepie...

— Dziękujemy — odpowiedział Władysław, pomagając zaciągnąć sznurek, którym zamykała się okienica — i przepraszamy najmocniej za subiekcje...

— Co tam przepraszać... o tem nie myślcie panowie! do kogoż mieliście się udać, jak nie do swoich? Ale przebaczenie, muszę odejść, bo mi tam zając się spali w piecu... Nasi poszli oglądać Kirgizów... ja zostałem przy kuchni, bo to dzisiaj moja kolej — dodał, wskazując z uśmiechem na zakasane rękawy od koszuli.

— Sami menaż prowadzicie? — zapytał Olek.

— Sami... po kolei kucharzymy i lokajujemy... Najtaniej to i najlepiej. Najeliśmy byli z początku kucharkę, ale ta mospanie niepoń, co się zowie, i do tego kradła... No, do widzenia! —

Niedługo potem nadeszli z miasta wygnańcy, po największej części młodzi ludzie z rozmaitych stron Litwy i Kory. Prócz mieszkających w tym domu, przybyło jeszcze kilku innych, ciekawych zobaczyć zbiegów. Wieść o przybyciu ich do Kurganu rozeszła się była między Polakami z prędkością, z jaką się zwyczajnie rozchodzą nowiny podobne, i wzbudziła ogólne zajęcie; lecz do wtajemniczonych należeli tylko ludzie, którym zaufać było można bez wahania. Po przełamaniu pierwszych lodów, z jakimi zwykle walczyły potrzeba przy zawieraniu nowych znajomości, i które tu dość rychło stopniały od gorąca młodzieńczych uczuć, posypały się na zbiegów ze wszystkich stron pytania, jak uciekli, jak się dostali do Kurganu, którędy szli, i t. d. Długo i szeroko

opowiadali Oleś i Władysław swoje przygody, które jako niedawno przebyte, doskonale im tkwiły w pamięci. Młodzież słuchała z zajęciem i poczuła dla nich ową silną sympatię, którą wzbudza w szlachetnych sercach cudza odwaga i energia. Po godzinie rozmowy każdy był gotów przyjść zbiegom w pomoc, z czem mógł tylko.

— Jakżeż wy tu życie? — zapytał Władysław, zaskoikiwszy ciekawość swoich słuchaczy.

— My?... tak sobie... ujdzie... nie bardzo dobrze i nie bardzo źle znowu! — odpowiedział ten, do którego było zwrócone pytanie. — Byliśmy przygotowani, że gorzej będzie... Mieszkamy, jak pan widzisz, to po kilkunastu razem w osobnych domach, to po dwóch, po trzech u Moskali. Są i żonaci, ci sobie mieszkają osobno. Idzie jakoś... zwłaszcza odkąd zawiązaliśmy Towarzystwo wzajemnej pomocy... Jesteśmy teraz ściślej połączeni wspólnym interesem i niesiemy przecież jaki taki pożytek uboższej braci.

— Należałoby i innym kolonjom was naśladować.

— Myśmy zawiązali już względem tego korespondencje i spodziewamy się, że nie daremnie. Zapomogi, których nam rząd udziela, nie są jednakowe dla wszystkich. Jedni mają więcej, drudzy mniej; są i tacy, co nie nie dostają. niesprawiedliwość tę rządu, który nie wchodzi w to, żeśmy wszyscy za jedną sprawę walczyli, i że jednakowo się z nami obchodzić powinien, trzeba jakoś naprawić. Otóż na wniosek kilku naszych przodowników, a szczególnie zacnego hr. M., który jest naszym prezesem, urządziliśmy tak, że wszyscy członkowie Towarzystwa równą ilość pieniędzy pobierają, nie zważając na to, jak ich tam gubernator poklasyfikował. Prócz tego każdy daje co miesiąc pewną wkładkę. Z kapitału idzie jedna część na zapomogi i pożyczki, za drugą kupujemy hurtem cukier, herbatę, tytoń i inne drobnostki. Każdy członek jest obowiązany w naszym składzie kupować, i nie tylko że ma wszystko nierównie taniej i w lepszym gatunku jak w sklepie, ale przyczynia się jeszcze tym procentem, jaki od niego bierzemy, do powiększenia wspólnego kapitału. Nawet niektóre domy moskiewskie kupują u nas. Bogatsi z pomiędzy nas wkładają w ten interes swoje pieniądze; biedniejsi, prócz wkładki zwyczajnej, dają i pracę, robiąc patrony na papierosy, pudełka, robótki z kości, z chleba, i t. d. Pamiętaliśmy także i o moralnych korzyściach. Założyliśmy szkołę, w której ci co byli na akademjach, wykładają młodszemu dzieje polskie, nauki przyrodnicze, matematykę i t. d. Niektórzy rzucili się do rzemiosł. I tak mamy kowala, który remuśmy wybudowali kuźnię, i który wypłaca nam dług z procentem, a nadto uczy chcących się poświęcić temu rzemiosłu.

— A wielu liczyte panowie członków?

— Wyjawszy trzech arystokratów, wszyscy należymy do Towarzystwa.

— Nie żałujcie ich panowie! — mówił Władek. — Ich zdaje się przeznaczeniem być apostatami.

— My też nie wiele sobie z tego robimy. Weźmiemy się i bez nich do pracy, zwłaszcza teraz, gdy już nieszczęsne te pożary ustały i Moskałe zaczynają na nas inaczej patrzeć.

— Ale, ale — wtrącił Olek — co to było z temi pożarami?

— Bóg ich raczy wiedzieć!.. dla nas to nieodgadniona tajemnica. Naraz zaczęły się latem mnożyć ognie w Kurganie i w okolicy do tego stopnia, że sobie trudno było dać rady. Miasto trzykroć raz po raz gorzało... równocześnie rozeszła się wieść między Moskalami, że to Polacy podpala ją. Mieszkaństwo tutejsze, mimo żeśmy nie dali najmniejszego do tego powodu, było na nas tak oburzone, żeśmy nie wychodzili na ulicę, z obawy, aby nas nie ukamienowano. Perswadowała i policja i urzędnicy — nie nie pomagało... Rzeczy doszły do tego, żeśmy się już spodziewali, iż zaczęną napadać na domy, w których mieszkaliśmy. Oświadczyliśmy to gorończemu i prosiłymi o pomoc. Odpowiedział, iż nie w tej mierze nie zdoła uczynić, i kazał nam samym radzić o sobie. Schodziliśmy się więc na noc po kilkudziesięciu do jednego domu, i uzbrojeni w koły i noże, postanowiliśmy się bronić do upadłego w razie niebezpieczeństwa. Ale jakoś nie doszło do tego, choć raz już było blisko wybuchu. Wszczął się pożar w nocy. Kilku z naszych pobiegło ratować. Jednego z nich złapali mieszczanie i chcieli koniecznie w ogień wrzucić. Byłoby im się to udało, gdybyśmy go nie byli wyrwali z ich rąk. Ale dostał biedaczysko od nich tyle bicia, że wiek popamięta. Dwa miesiące z łóżka nie wstawał. Oczywiście nie puszcziliśmy tego płazem. Podaliśmy skargę do gubernatora; zjechała komisja i winnych osadzono w więzieniu. Mieli zacząć proces, kiedy krewni przyszli do poszkodowanego i ofiarowawszy mu 400 rubli namówili, aby od skargi odstąpił. Zgodził się, wziął pieniądze, oświadczył przed sądem, że nie chce dalej poszukiwać, i wyswobodził takim sposobem Moskali. Ale i sam musiał się przenieść do innego miasta, bo wszyscy tu nim zaczęli pogardzać. Po wsiach zaś, jak mówią, działy się rzeczy, którym wierzyć trudno. Nikogo nie przepuszczano bez rewizji, skoro zaś wydał się podejrzanym, w dyby i do katałazki (więzienie wiejskie) o głodzie... Lecz najdziwniejsza to, że takie same objawy były i w innych miejscach w tymże samym czasie, w Sybirsku, np. i w Barnaule. Z tego ostatniego miejsca

mieszczanie nawet wygnali naszych. Rząd musiał ich gdzieś indziej umieścić.

— Że to rządowa sprawa, szyje dają za to! — wtrąca których z obecnych.

— Gdzieżby się znowu Zenowicz czegoś podobnego dopuścił? — odpiera opowiadacz. — Wszakże zesłał komisję dla zbadania stanu rzeczy.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza — rzekł Władek. Ja sam nie mam Zenowicza za tak podłego, ale on o tem mógł nie wiedzieć. Nie każdy urzędnik wie, co oddział III. robi. Mnie się zdanie tamtego pana wydaje prawdopodobnem. Rząd się obawiał, abyśmy nie agitowali, nie uciekali, nie zrobili jakiego powstania na Syberji, gdzie tylko 12 bataljonów regularnego wojska, i chciał nas takim sposobem zdyskredytować.

— Najpewniej w świecie, bo prócz oszczerstwa, że podpalamy, rzucił był jeszcze pogłoskę, jakobyśmy mieli zamiar wyrzucić wszystkich Moskali. Nie przypominasz sobie rewizji mieszczan u naszego kowala, którego podejrzrywano, że robi dla nas kosy i noże?

— Ha, być może...

— Jakżeż teraz mieszczanie dla was usposobieni? — zapytał Władysław.

— Teraz już wcale co innego... Przekonali się niejednokrotnie, jak fałszywie nas posądzali, i starają się przeprosić... bardzo radzi widzą naszych u siebie. —

Tymczasem ściemniało na dworze. Ten, na którego kolej przypadła, nakrył do stołu i podał wieszczkę, składającą się z zająca i herbaty. Dobry humor, nieudana wesołość i swoboda niczem nie krępowana, były, jak się łatwo domyśleć można, najlepszymi jej przyprawami. Czuleś się szczęśliwym wśród grona tych ludzi, których nieszczęście w jedną zespoliło rodzinę, i tem chętniej oddawałeś im w duchu część przynależną, im jaśniej pojmowałeś, patrząc na nich, iż tylko takim dobrowolnem sprzężeniem w jedno ognisko sił pojedynczych mogli oprzeć się ze skutkiem wszelkim zgubnym wpływom wygnania, i uniemożliwić to, czego rząd moskiewski chciał dopięć wysłaniem ich z kraju. I zaiste, do najpiękniejszych wspomnień z długiej swej tułaczki po Sybirze, liczli nasi zbiegowie zawsze obraz życia wygnańców, jaki rozwijał się przed nimi podczas kilkunastodniowego pobytu w Kurganie.

Po wieszczce zebrali się wszyscy w pokoju, który żartem przezwano bawialnym, i zasiedli około wielkiego stołu do roboty. Jedni kleili patrony na papierosy, dzieląc między siebie żmudną tę robotę, drudzy zajęli się introligatorstwem; inny wyrzynał z kości krzyżyki, jeden zaś czytał w głos ja-

kąs książkę poważnej treści. Zbiegowie także nie próżnowali. Po godzinnem przysłuchiwaniu się odczytowi, zaproponował któryś śpiewy. Rozpoczął się długi szereg owych piosenek, które zrodziło powstanie, a donośny chór dźwięcznych i silnych głosów zastanowił niejednego Moskala, spieszącego ulicą.

— Zaczekajcie no panowie! — rzekł Władysław w jednej z chwil przestanku — zanucę wam piosnkę z nowszych już czasów!.. Pochód kajdaniarzy...

— Prosimy, prosimy! — ozwały się głosy do koła.

I Władysław zanucił.

Patrzcie, do ziemi brzęga
Step pusty tam się rozkłada,
Kresy mu mgła zalega,
A w wnętrzu straszy zagłada...
Ho, ho! znamy my ten brzeg:
Wieczny lód tam, wieczny śnieg!
I w tę puszcę mar
Nas to pądzi car!

Idziem, bez skarg, ochotczo:
Zniszczeniu niesiem ofiary —
Ale i pieśń proroczą
Z nad stepów szlemy Angary!
Bo choć chłód nam ziębi krew,
Grzmiać kajdany za to śpiew:
Skrzeszem światu dzień!
Wyrznięm carów w pień!

O, tam wichrzyca — żmija
Ze śniegu wzdyma tumany,
Burzy je, kłębi, zbija
Po stepie w góry, kurhany —
Żywo! po nad kłęby chmur
Wzniesemy kajdaniarżów chór:
Skrzeszem światu dzień,
Wyrznięm carów w pień!

Przodem, koledzy przodem!
Torujmy drogę śród śniegu —
Wichrem nas prą i chłodem,
Przysporzyć trzeba nam biegu!
Niech nad uraganów szum
Brzeczy kajdaniarż tłum
Piosnką: Skrzeszem dzień —
Wyrznięm carów w pień!

Padnie z nas w drodze który —
Niech leży! Spędzą nań burze
Śniegów tumanne chmury,
Mogilne sypać mu wzgórze!
Jemu nie pomoże lża,
Piosnki mu kajdannej trza:
Skrzeszem światu dzień,
Wyrznięm carów w pień!

Nie obyło się bez oklasków. Powtarzano ją kilka razy, śpiewając ostatnie wiersze zwrotek chórem, bo dzika nuta przypadała wszystkim do gustu.

Tak upłynęło dni kilka. Władysław z dnia na dzień odkładał ostateczne załatwienie swoich spraw sercowych i coraz więcej tracił wiarę w udanie się planu wykradzenia Marii. Wprawdzie nie wyznawał on tego przed sobą, żył się każdą razą, gdy mu się podobne nasuwały uwagi, nazywał je niestałością — ale nic nie postanawiał, bo i postanowić coś w tej mierze, było rzeczywiście niepodobieństwem. Wykradzenie nie natrafiłoby może wielkich przeszkód, ale ucieczka i zmylenie pogoni w kraju, gdzie tylko kilka dróg istnieje, nie mogły mu się nie okazać szaleństwem i przedsięwzięciem nie do wykonania. Nie podlegało bowiem wątpliwości, iż mąż i krewni użyliby w takim razie wszelkich środków, aby powrócić wykradzoną, z którą inaczej uciekać nie mógłby jak pocztą. Chcąc zaś upozorować jakimkolwiek powodem to przedłużanie pobytu w Kurganie, Władysław powiadał Olkowi i tym, którzy mu udzielili schronienia, iż czeka na pieniądze, potrzebne na kupno konia i sanek. W rzeczy zaś samej czekał tylko na jaki szczęśliwy przypadek, któryby go wycofał z honorem z przykrego położenia, jakie sam sobie zgotował. Wyznać przed sobą i Marią otwarcie niepodobieństwo wszelkich gwałtownych kroków i pójść drogą jedyną, która mu zostawała — nie miał siły. Wolał udawać, i to udawanie ukrywać przed sobą i wszystkimi, jak narazić się u kochanki na zarzut, że jest niestałym i słabym. Kto wie na czymby się to wszystko było skończyło, gdyby nie zdarzenie, które miało stać się właśnie takim szczęśliwym przypadkiem, jakiego Władysław wyglądał.

Wieczorem, ósmego czy dziewiątego dnia pobytu zbiegów w Kurganie, przyszedł do nich jeden z młodych wygnańców, który tak dla powabnej powierzchowności, jak i wykształcenia był pożądanym gościem we wszystkich znaczniejszych domach miasteczka. Wracał właśnie z wieczora u Orłowych, gdzie była i Marija z matką i bratem Aleksandrem, którzy przyjechali dzień przedtem z Jaktorowska. Dowiedziawszy się o przyjeździe Aleksandra, Władysław nie wątpił, że stanęła mu jeszcze jedna wielka przeszkoda w drodze, bo Aleksander nie pochwałał jego miłości. Ale inne jeszcze, daleko groźniejsze czekały go odkrycia.

— Siedzimy przy herbacie — opowiadał młody wygnańiec — i gawędzimy, kiedy wchodzi urzędnik z urzędu powiatowego, i przywitawszy nas, pyta z tajemniczą miną, czy słyszeliśmy o pewnej ważnej i ciekawej nowinie. Nie — odpowiadamy. — S. drugi raz uciekł... tym razem z zamku Tolskiego!... Możesz sobie pan wyobrazić zdumienie całego towarzystwa. Pańska historia tu głośna, prawie wszyscy znają pana z imienia, nowina zaintrygowała ich mocno. Pierwszem poruszeniem towarzystwa było, że każdy zwrócił oczy na

Marję i Aleksandra. Marja, która przez całe poobiedzie była rostargnioną i jakby nie swoją, tak, że wszystkich to dziwiło, straciła zupełnie przytomność. Stłumiony krzyk dobył się z jej piersi, zbladła jak chusta, i gdyby nie matka, byłaby upadła z krzeselka. Aleksander zachował się wcale inaczej. Twarz jego nie zdradziła najmniejszego wzruszenia. — Bajki! — rzekł z flegmą, podziwienią godną, i kończył zaczęty papieros. — Jakie tam bajki? — odparł urzędnik — dziś dostaliśmy z Tobolska uwiadomienie z poleceniem jak najostrejszem szukać go tu w Kurganie, gdzie albo już jest, albo pewnie przybędzie...

— To być nie może! — zawołał Władysław, który zrozumiał całą doniosłość takiego zwrotu rzeczy, i przewidywał niechybną zgubę, skoroby udało się rządowi wpaść na trop jego. — Chybaby — dodał on po chwili milczenia — zdradzili nas ci, co z nami uciekli z zamku...

— Nie, nie! — wtrącił stanowczo Oles — tego by oni nie zrobili, nawet gdyby ich pojmano.

— Toć prócz nich nikt o kierunku naszej ucieczki nie wiedział!

— Już ja tego nie wiem, jak się to stało; to pewna tylko, że ich posądzasz niesłusznie...

— Zresztą — mówił młody wygnaniec — przyjdzie tu niebawem sam Aleksander; on panu opowie to wszystko lepiej odemnie. Ja nie słyszałem, co tam potem rozmawiali, wyniosłem się zaraz, aby wam dać znać.

— A czy więc Aleksander gdzie mieszkamy? — zapytał Wladek.

— Wie... ja mu powiedziałem. Chciał zaraz iść ze mną, lecz zrobiłem go uważnym, iż mogą powziąć podejrzenie. Został więc, czekając sposobnej chwili wyjścia. Za godzinę mam pójść po niego. —

Niespodziana ta nowina była istnym gromem wśród dnia pogodnego dla zbiegów. Wszystkie ich rachuby opierały się na tem, że ich szukać nie będą w Kurganie, i że dotarłszy do tej mieściny, potrafiliby zatrzeć wszelki ślad za sobą. Obecny stan rzeczy pokrzyżował ich rachuby i zamiary, i zmuszał do ułożenia zupełnie nowego planu. Niecierpliwie więc wyglądał Władysław przybycia Aleksandra, od którego spodziewał się zasięgnąć dokładniejszych wiadomości, mogących go oświecić, coby dalej robić, i dręczył się prócz tego jeszcze wyrzutami, że stracił na próżno tyle drogiego czasu. Przyszedł nareszcie Aleksander i potwierdził słowa wygnańca.

— Lecz mogę ci razem powiedzieć także coś pocieszającego — dodał. — Oto Orlów dostał osobny rozkaz szukania cię. Piszą mu tam, że kiedy odbierał od ciebie listy z Tobolska, to musi wiedzieć, gdzie ty jesteś.

— A!... teraz rozumiem! — zawołał Władysław — pisałem z Tobolska list do Marji na jego ręce. Pewien więzień Moskalski widział to, przeczytał adres i przy śledztwie doniósł. Takim więc sposobem oni dowiedzieli się, że ja będę w Kurganie.

— Już ja tego nie wiem, jak było, ale Orlów strasznie zmartwiony. Powiada, że cię ani zna, ani widział, a tu posądzają go o korespondencję z tobą. Biedak nie wie, żeś to ty pisał do Marji przez niego. Otóż zaczęli się naradzać co robić z tym fantem, i orzekli, że niepodobna, abyś ty mógł przemknąć się przez tyle wsi, dzień i noc strzeżonych, i dotrzeć aż do Kurganu. Nie będą cię więc szukać tutaj, lecz wyszlą nazajutrz pogoń do Szadryńska...

— Durnie! więc oni myślą, że ja drugi raz tą samą drogą pojadę?... No, szczęśliwej podróży!... Ale jakżeż tyś się dowiedział o tem? wszak zdaje mi się, ciebie o radę nie pytali.

— Oczywiście... dla mnie miało to być największą tajemnicą... ale podczas, gdy się Orlów wydalił z kilkoma urzędnikami do swego pokoju, poszła za nimi i moja mała siostra. Nie zważali na dziecko i radzili przy niej, ona zaś wysłuchawszy wszystkiego, mnie powiedziała. Jednak nie radzę ci tu dłużej zostawać; niepokój Marji obudził w nich silne podejrzenia... mogliby zrobić rewizję u Polaków...

— A ona? Cóż z nią będzie? — zapytał Władysław.

— Antonowiczu! — odparł Aleksander błagalnie — zastanów się dobrze nad tem, co chcesz robić. Nie mnie tobie dawać rady, ale nie może być, abyś nie widział szaleństwa w tem, co zamierzasz. Marja mnie wszystko powiedziała, i oświadczyła, że gotowa pójść wszędzie za tobą, lecz czy to będzie rozsądnie? Czy nie złowią was, nim 200 wiorst ujedziecie? Przypomnij sobie pierwszą naszą ucieczkę, i osądź, czy można przy takich okolicznościach uciekać pocztą.

— Pójdziemy z początku trochę piechotą!

— Nie zapominaj, że ona kobieta! — Nie, nie, Władysławie! — mówił on po chwili, biorąc przyjaciela za rękę — ty nie uczynisz tak fałszywego kroku. Ja biorę na siebie pocieszyć ile będzie można Marję, i wykazać jej jasno niepodobieństwo podobnego przedsięwzięcia.

— Lecz coż ona wtedy pomyśli o mnie?

— Mówię ci, że biorę to na siebie! Ona mi ufa. Wierz mi, iżbym ci sam dopomógł, gdybym choć najmniejsze widział podobieństwo udania się...

— Ha, to urządzić przynajmniej tak, abym ją jeszcze raz widział. —

Długo się namęczył Aleksander, nim odwiódł Władysława i od tego zachcenia, lecz w końcu udało mu się. Zagrożona swoboda i potrzeba rychłego wyjazdu ucyliły Wła-

X dysława mniej upartym. Aleksander obiecał mu dostarczyć środków, na jakie go stać będzie, i wziął od niego słowo, że najdalej za dwa dni wyjedzie.

X Gdy się wygnańcy dowiedzieli o powziętem postanowieniu, rzucili się z swojej strony pomagać zbiegom wedle sił swoich. Tej samej nocy jeszcze przeprowadzono ich na inną kwaterę, z obawy, aby odwiedziny Aleksandra, które mogły być wyspiegowane, nie sprowadziły rewizji. Nazajutrz o świcie zaś schowano ich w kuźni Polaka, która stała za miastem na stepie. Złożywszy między sobą drugie tyle pieniędzy, ile dostarczył Aleksander, kupili konia, saneczki, zapatrzyli podróżny kuferek we wszelkie potrzeby, i oddali wszystko Władysławowi i Olesiovi razem z pozostałą od zakupu kwotą. Przygotowania te trwały dzień jeden tylko, bo zapobiegliwość i szczerą chęć niesienia pomocy braciom-zbiegom, potrafiły usunąć wszelkie przeszkody. Świt dwunastego dnia pobytu w Kurganie zastał już Olesia i Władysława na drodze w głąb Sybiru, którą wszyscy uznali za najbezpieczniejszą na razie.

IV.

Wnętrze Sybiru.

La difficulté qu'on éprouve pour s'introduire dans ce pays, m'ennuie — mais elle ne m'effraie pas; ce, dont je suis frappé c'est de celle qu'on aurait à s'enfuir, Custine.

Ici toute révolte paraît légitime, même la révolte contre la raison — contre Dieu! Cust. Russ.

Z siedmio- czy ośmio-miesięcznej podróży po wnętrzu Syberji, przedsięwziętej przez naszych zbiegów drogami najmniej uczęszczanemi, tak dla zatarcia wszelkich śladów po sobie, jako też i z ciekawości poznania bliżej kraju, którą powodował się najbardziej Władysław, zamierzamy przedstawić czytelnikom w szeregu szkiców tylko takie chwile i zdarzenia, które go nieco bliżej zapoznać mogą ze stosunkami i zwyczajami stron owych. Nie sądzimy, że wyczerpiemy przedmiot ten do dna; wiele będą mieli do powiedzenia jeszcze inni, wiele może i nigdy nie będzie powiedzianem; jednak mniemamy, że każdy, kto tam był przez czas dłuższy, powinien, o ile podola, przyczynić się do rzucenia światła na kraj, który sto lat właśnie temu, jak stał się mieczem Damoklesa, zawieszonym przez carat nad głową każdego Polaka, który ma odwagę przyznać się do swojej narodowości — na kraj, który żelazną dłonią ciąży nad Polską, zagłuszając w niej wszelkie głośniejsze domaganie się praw przyrodzonych, tłumiąc wszelką myśl swobodniejszą i uniemożliwiając wszelki czyn odważny, a zarazem jest Golgotą dla tylu męczenników, co poświadczają życiem i śmiercią jak najmocniej tę prawdę pocieszającą, że despotyzm jest tylko bezsilną anarchją z zarodkiem upadku już przy porożeniu; naród zaś piłką elastyczną, która tem wyżej skacze, im mocniej ją rzucisz...

Prawda ta jest dla nas jasną nie dla tego tylko, żeśmy zwolennikami wiary w wieczną sprawiedliwość, karzącą złe a nagradzającą dobre tak w pojedynczym człowieku, jak

i w rządzie i narodzie, ale i dla tego, że niewątpliwą jest rzeczą, iż wszystko, cokolwiek dąży do wywrócenia odwiecznego prawa przyrody, rozbija się o to prawo prędzej lub później, jak szklana bańka, rzucona o skałę granitową. Że zaś każda zbrodnia niczem innym nie jest, jak tylko takim dążeniem, a nikt ich więcej nie popełnia jak rząd despotyczny, pod którym prócz człowieka karzącego, nie ma zbrodniarzy, czyli innymi słowy, który jest winnym wszystkich zbrodni, jakie popełniają zostający pod jego władzą: to nikt nie powinien być pewniejszym strzaskania się na miarzę o swobody opokę, jak rząd podobny.

Przy pożegnaniu ze znajomymi w Kurganie, oświadczył Władysław na zapytanie, jaką drogą zamysła dostać się do kraju, że będzie próbował przejścia przez stępy Kirgiskie i Bucharję. Przybywszy atoli do pogranicza owych stępów, poznał tak z opowiadań krajowców, jak i z objaśnień wygnańców, służących tam w garnizonie, jak trudnem jest przyłączenie się do karawany, która kilka razy tylko do roku, i to letnią najczęściej porą, odbywa uciążliwą podróż przez niezmiernie obszary, dzielące Bucharję od Sybiru, i zarazem jak niebezpieczną, niepodobną prawie rzeczą byłoby puszczać się samemu w nieznaną pustynię, grożącą obcemu wędrowcowi to strasznymi uraganami, to brakiem zupełnym dróg, to napadem czyhających na Moskali Kirgizów.

Postanowił więc udać się dalej na wschód. Mniemał, że łatwo mu będzie przebyć kraj, napełniony rodakami, i dotrzeć do Nercyńskich kopaliń, zwrócić stamtąd w towarzystwie kilku lub kilkunastu katorżników Polaków na rzekę Amur, dopłynąć nią do Mikołajewskaja i przewieźć się do Ameryki. Olesz zgadzał się z nim we wszystkim.

Tak więc jechali nasi zbiegowie w głąb Sybiru, kierując się trochę na północ, ku Tarskiemu okręgowi, gdzie Władysław chciał odwiedzić znajomego wygnańca, Moskala, z którym go bliskie i przyjazne łączyły stosunki. Kraj, przez który przejeżdżali, był zamieszkały przez Sybiraków prawosławnego wyznania. Wszędzie mieli przed sobą ten sam step, rzadka zasiany podobnemi do siebie wioskami, a zmieniający się od czasu do czasu w ogromne lasy, lub nieprzebyte bagniska i trzęsawice.

Aby dać jakie takie wyobrażenie o topografii jego, pozwolimy sobie przytoczyć niektóre cyfry, poświadczające bażeczne rozmiary puszczy niezamieszkałych. Tarski okręg zajmuje powierzchnię 2,533 mil kwadratowych, z których 24 przypada na ziemię uprawną, co jeszcze nie powiada uprawioną, 64 na pastwiska, 272 na lasy, reszta zaś na błota i jeziora, których jest przeszło 112. Liczba mieszkańców, składających się z Tatarów i Moskali, (potomków sławnych

strzelców Piotrowskich i Kozaków ukraińskich, przesiedlonych tu za bunt), nie przenosi 50,000. To jeden okrąg, a jest ich 9 w gubernji Tobolskiej, która zawiera przestrzeni około 30,000 mil kwadratowych, a tylko coś trochę nad milion mieszkańców.

Samo miasteczko Tara leży o 500 wiorst na wschód od Tobolska, na lewym brzegu Irtysza, u ujścia jednej z tych częstych w Syberji rzeczulek czudzkiego nazwiska, co biorąc początek z jeziora lub błota stepowego, których tyle jest, że kraj cały od nich nazwano (Sibur, znaczy w tunguskim narzeczu błoto), przebiegają wiorst setki, to kryjąc się pod ziemię, to znowu na wierzchy wychodząc, to tworząc obszerne jeziora gęstym zarośnięte szuwarem, to ginąc w tundrach i urmanach (las na błotach stojące), pokrywających tysiące wiorst kwadratowych. Jedną część miasteczka wznosi się na wysokim tarasie, utworzonym przez brzeg Irtyszu; druga, tatarska, rozsiąga się u stóp na nizinie.

W miasteczkach syberyjskich nie ma pomników; Tara robi pod tym względem wyjątek. Wjeżdżając doń od strony zachodniej, widzisz po prawej stronie drogi krzyż łaciński, drewniany; pod nim zakopane są kajdany Polaków, którzy byli wysłani za sprawę Konarskiego w r. 1839 do pobliskiej gorzelni do robót katorżnych. Po oswobodzeniu stamtąd uczelili żelaza swoje tym prostym, lecz wymownym znakiem.

W tem to miasteczku mieszkał od niedawna znajomy Władysława, N., młody Moskal, którego wysłano z kraju za rozszerzanie ksiązek, pisanych przeciw rządowi. Był on synem djaka z Permskiej gubernji i uczęszczał na jedną z siedmiu podówezas, a teraz ośmiu wszechnic moskiewskich. Nie zawadzi przypomnieć mimochodem, że jeden tylko z tych ośmiu zakładów stoi na ziemi czysto moskiewskiej, reszta jest w krajach, z czasem dopiero do Moskwy przyłączonych.

Władysław poznał się z N. w Jałutorowsku, gdzie tenże zostawał podczas pierwszej jego ucieczki. Po odejściu rządu o zamiar towarzyszenia Władysławowi sprowadziło dłań najprzód kilkumiesięczne więzienie, a potem przeniesienie do Tary.

Zawiadomiwszy N. przez Olesia o zamiarze przybycia do Tary, Władysław odwiedził go wieczorem. N. zajmował całe pierwsze pięterko jednego z domów miasteczka, składające się z trzech pokojów, podobnych do klatek poddasza. Środki, jakich mu dostarczała praca w biurze pewnego przedsiębiorcy, pozwalały mu na ten zbytek, zwłaszcza że mieszkania w Syberji są bardzo tanie. Za stancję, usługę, pranie i samowar z śmietanką, płacił tylko 3 ruble miesięcznie.

N. mógł mieć lat 22 najwięcej. Twarz okrągła, pełna,

niby nalana; rysy grube i nieregularne, ruchy ciężkie i niezgrabne przypominały bardzo owe typy turańskie, których tak pełno po Moskwie, a które mimo zmieszania się z innymi narodowościami, i dziś jeszcze poświadczają tak dobitnie wcale różne od Słowian pochodzenie. Czoło wysokie z długimi, w tył zaczesanymi, jasnej barwy, włosami, i bure oko, tęskno jakoś zadumane, nadawały mu jednak pozór człowieka myślącego i wyróżniały go nieco od twarzy współplemieńców jego, które w młodości sprawiają na widzu wrażenie naczyń, napelnionych rostopionem i ostygającym masłem, w wieku dojrzałym budzą zwierzęcą wstręt i odrazę, w starości zaś jaśnieją często dziwnie łagodną, patryarchalną pięknością, przypominającą Abrahamów i Jakóbów biblijnych, nie mającą jednak nic wspólnego z rozumem wejrzeniem Nestorów Ijadi. Nieudolność i niedołęstwo, zwyczajne w młodzieńcach szczepów turańskich, zmieniły się u niego w dobroduszość, która go czyniła przyjemnym i sympatycznym; nad siłą fizyczną, rozwiniętą u nich zwykle do wysokiego stopnia i sprawującą, że wyglądają jak uśpione tygrysy, górował tu widocznie umysł, który zdradzało każde spojrzenie. Jeśli na kim, to na N. można było dosłownie zmian, jakie sprawia wykształcenie na surowym materiale.

— Miłosti prosim! miłosti prosim! — rzekł on, szczerze i serdecznie witając wchodzącego Władysława, na którego już oczekiwał. W głosie, którym wyrzekł te słowa, było coś tak za serce chwytającego, że nie podobna było wątpić o prawdziwości uczuć, które się przebiły w spojrzeniu.

— Jak się macie Platonowiczu? Dawnośmy się nie widzieli... co?... — odpowiedział Władysław ściskając przyjaciela. — Przyszedłem na całą noc do ciebie — dodał, kładąc pas wełniany i pistolet na stole — czy nie robi ci to różnicy?

— Cóż myślisz, że jabym cię prędzej puścił, jak przed rankiem od siebie? wszak rychłej nie nagadamy się, sądzę!

— O tak, bo też wiele mamy sobie do powiedzenia!

— Siadajże, drogi Antonowiczu... przedewszystkiem poczynajczajem... przeziębłeś pewnie! Ja tu codziennie wyglądałem ciebie na etapie, lecz wyznam ci szczerze, przyjemniej mi widzieć cię tak... bez straży!

— Dziękuję! To tyś nie wiedział, że uciekłem?

— Nie!... ale wstrzymaj się chwilę, popatrz, czyśmy bezpiecznie. — To rzekłszy N. wyszedł ze świecą do sieni, zaszczerpiał drzwi, prowadzące na schody i wrócił, dodając: — Nie ma wprawdzie nikogo, lecz nie zawadzi, że będziemy mówili ciszej.

— Albo co? — zapytał Władysław.

— Te głupie domy, widzisz są tak zbudowane, że słychać na dole, co się mówi na górze. A moim gospodarzom

przykazano podobno z policji śledzić mnie. Ale bądź spokojny, dziś jesteśmy bezpieczni... nie ma ich w domu. —

Zasiedli do herbaty i zaczęła się owa gawędka urywana, przedka, przeskakująca z przedmiotu na przedmiot, chcąc wszystko naraz wypytać i wszystko naraz opowiedzieć, jaka się zwykle zawiązuje po długim niewidzeniu między osobami, które łączy węzeł ściślejszej przyjaźni.

— Poczekajno Autonowiczu! — mówił N., nalewając drugą szklankę herbaty — jeżeli będziemy tak rozmawiać, noc przejdzie i nie będziemy nic wiedzieć. Ja ciekawszy jestem innych rzeczy, jak tego, że masz konia wiatskiej rasy, co robi 70 wiorst bez popasu!

— Pytajże! — odpowiedział śmiejąc się Władysław.

— Powiedz mi co się dzieje z Cieleckim? Od owego listu, oznajmującego słabość jego, która mu do nas przyjechała nie dała, nie miałem żadnej wiadomości od niego. Słyszałem tylko, że w skutek rewizji, przedsięwziętej z powodu twej ucieczki u wszystkich Polaków w gubernji, został aresztowany.

— Wiesz już z mego listu — opowiadał Władysław — o owych 10 listach moich, znalezionych u niego przy rewizji, co to mi pokrzyżowały wszystkie rachuby w komisji kazańskiej. Otóż wzięto go do więzienia najprzód za związek ze mną, a potem za jakieś drukowane pismo rządu warszawskiego, które także nierozważnie chował, i które przy rewizji dostały im się razem z listami owemi w ręce. Wszystko to jednak nic by nie było znaczyć. Zeznania nasze co do listów były zgodne: ja zeznałem, że go namawiał wprawdzie do ucieczki, lecz że on się na nią nie zgadzał; jako dowód podawałem jego pozostanie w Syberji; on zaś powiadał, że moich listów wcale nie rozumiał, i spodziewając się manifestu, nie myślał o ucieczce. Wina więc upadła. Pisma warszawskie nie były wielkiej wagi, i wytlómaczył się z nich także; więc gdy moja sprawa skończyła się w Kazaniu, chciano wypuścić jego i jeszcze jednego, co razem z nim był aresztowany za jakąś przepisaną piosnkę polską, lecz żądano, aby wprzód wypełnili rotę przysięgi, zwyczajną w wojsku. Bo i ten drugi skazany był do wojska, a przysięgi obaj jeszcze nie byli złożyli. I temu to żądaniu oni się oparli. Zawiązała się stąd nowa sprawa, do której dołączono kilkunastu innych jeszcze do wojska skazanych, co także przysięgać nie chcieli. Namawiano ich różnemi sposobami, grożono rostrzelaniem, obiecywano złote góry, lecz daremnie. Cielecki nietylko siebie, ale i drugih namówić nie pozwolił. Nareszcie wyprowadzono ich wszystkich, w liczbie 25, przed uszykowany bataljon, rozwinięto sztandar i kazano przysięgać. Cielecki plunął na ten sztandar wobec żołnierzy

i oficerów... zrobiono im więc proces bardzo niebezpieczny, bo gardłowy, za zelżenie znamienia... Przybywszy do Tobolska widziałem się z nim; siedzieli wszyscy na hauptwachcie; tylko po wodę przychodzili do więzienia. Pytałem go, czy nie lepiej było by przysiąc, zwłaszcza że upor przyjdzie im przypłacić zapewne katogą; ale tak mi wyłomaczył swoje postępowanie, że musiałem go tylko podziwiać. Oto — powiadał — uciekać nie mogłem z wami, byłem słaby. Gdy mnie chciano potem z więzienia wypuścić pod warunkiem, abym przysięgał, osądziłem to za niegodne siebie, oni zapelniają nami szeregi tych, których wysłali do Polski dla mordów. Nie godziło mi się być zastępcą takiego mordercy ziomków, zwłaszcza że na ucieczkę nie mogłem już rachować. Wolałem więc siedzieć w więzieniu, jak pełnić służbę za tego, co walczy z naszymi. Teraz zaś, kiedy powstanie prawie już uśmierzone, muszę być konsekwentnym i pokazać czynem, że miłość nasza ojczyzny silniejsza jak więzienia i katusze. Sprzeciwiając się im do ostateczności, lepiej, mniemam, usłużyć ojczyźnie, jak siedząc beczynnym w kazarmie, mało co różniac się od więźnia!*)

— Mołodec Cielecki! — mówił N. — Prawdziwie Antonowiczu, my was nie dorosli... nam tylko podziwiać was należy! — dodał i zadumał się trochę. — Co to za sprawa była w Kazaniu?... ja nie wiem! — rzekł po chwili milczenia — opowiedzno o niej, tam podobno byli i nasi.

— Nasz centralny komitet chciał wzniecić u was powstanie — mówił Władysław. — Zamierzał on zrobić rządowi dywersję, nastraszyć go i siły rozdzielić. Miejsce do tego wybrano w spaskim powiecie kazańskiej gubernji, gdzie i lud, pamiętający niedawne swoje krzywdy, był przychylny i miejscowość odpowiednia. Plan był bardzo dobrze obmyślany i miał wiele szansów udania się. Chciano rozbić arsenał kazański i 8000 ludzi, które były na pierwsze wystąpienie gotowe, zasilać z odbijanych polskich wygnańców, pędzonych na Sybir. Poczyniono nawet kroki do poruszenia raskolników permskiej i wiatskiej gubernji, nie bardzo jak wiesz przychylnych rządowi. Ostatnią tą sprawą zajęli się wasi kazańscy akademicy; wiedziało o wszystkim i towarzystwo «Zemla i Wola», a głównymi przywódcami mieli być H. Kiniewicz, syn emigranta polskiego z mińskiej gubernji, Janicki, kapitan wojsk moskiewskich, i Mroczek, porucznik. Janickiego i Mrocza aresztowano jeszcze w r. 1862 z powodu listu, pisanego chemicznym atramentem i przejętego na poczeku jak się zdaje.

*) Cielecki, Warszawianin, zesłany z czasów demonstracji, dokazał swego. Trzy lata wysiedział, i nie przysięgał! Wysłano go w roku 1866 podobno w głąb Sybiru, do katorgi, czy na posilenie, nie wiemy.

Odwieziono ich do Petersburga do petropawłowskiej twierdzy. Sprawa jednak nie była jeszcze przez to wykryta i nie postępowała naprzód. Pojawiły się z początkiem 1863 r. proklamacje i równocześnie pojmano w Wiatce Orłowa na rozdawaniu ich. Zjechała komisja z III. oddziału dla zbadania stanu rzeczy na miejscu. W różnych miejscach pojmała policja jeszcze kilku waszych, rozwołujących także wezwania podburzające, aresztowała ich i odesłała do Wiatki. Zdanow, mając sprawę z niedoświadczonymi młokosami, doszedł pozwoli po nitce do kłębka i przeniósł komisję do Kazania, dokąd sprowadził Janickiego i Mrocza. Dosyć tam miał zaskłodzić swojemi zeznaniami, niejaki Mittermann, jak mi mówili Orłow i Elpidin, młody chłopak lat 16 do 17. Kiedy mnie i Aleksandra przywieziono do Kazania, było już coś ze 200 aresztowanych. Między nimi znajdowało się tylko kilku-nastu Polaków, reszta zaś byli wasi akademicy i kilku chłopów. Całego spisku nie wykryto; niektórym udało się uciec jeszcze przed aresztowaniem. Między tymi ostatnimi byli dwaj oficerowie Polacy, Stankiewicz i Czernik. Z przygotowanej broni wzięto tylko kilkanaście rewolwerów, o których schowku Mittermann powiedział, a drukarni wcale nie odszukan. Aresztowani siedzieli w różnych miejscach: jedni na hauptwachcie w twierdzy, drudzy w jakimś szpitalu, inni przy policji, a jeszcze inni w miejskiem więzieniu.

Otóż na tej hauptwachcie siedziałem i ja na piętrze w nr. 5, podemną był nr. 1, gdzie siedział Mroczek, naprzeciw miałem Elpidina i Mittermanna; koło mnie zaś siedział z początku Aleksander, potem chłop jakiś. Na tem samem podwórzu siedział i Orłow. Okna nie były zamazane, i można je było otwierać, więc rozmawialiśmy po całych dniach na migi. Po jakimś czasie uknuliśmy byli plan ogólnej ucieczki, szalony naturalnie jak teraz rozważam, bo zasadzał się na tem; aby rozbroić na korytarzach straż, otworzywszy sobie wprzód niemocne w tem więzieniu drzwi... Często jednak w tej mierze komunikowania się na migi zostały spopatrzone, i komisja kazała mnie, jako najwięcej o rozmowę posądzonego, przenieść do innego, cięższego więzienia, pozostałym zaś pozakładano kosze na okna. Z Mroczkiem korespondowałem przez karteczki, które mi było łatwo spuszczać do niego na sznurku. Otóż dowiedziałem się, iż go jeszcze nie wolano do komisji, odkąd był w Kazaniu, i że nie wie, jak sprawa stoi.

Nareszcie widzimy pewnego dnia, że go poprowadzili na indagację; wrócił jednak bardzo rychło. Pytam go, dla czego tak krótko bawił, i dostałem odpowiedź, że będzie pisał zeznania w więzieniu. Mówił, że po pierwszych zaraz pytaaniach komisji poznał, iż wszystko o nim wiedzą; postanowił

więc odkryć całą prawdę, milcząc o tem, czego jeszcze nie wiedzieli. Nie było mi wiadomem podówczas, jak te rzeczy stały, bo jak wiesz, o sprawie we więzieniu z nikim się nie roznawia szczegółowo; nie mu więc prócz ogólnych rad ostrożności nie odpisałem. Wkrótce potem przeniesiono mnie, jak ci mówiłem, do innego więzienia, t. j. do miejskiej tiumy. Przybyli tam także stopniowo Mroczek, Mitterman, chłop i jeszcze kilku akademików. W baszcie siedział Kiniewicz. Janicki był trzymany osobno, bo na wszystkie zapytania komisji odpowiadał milczeniem... ani jednego zeznania od niego nie wydusili; oświadczył im, że mówić z nimi nie chce...

W tem to więzieniu dopiero dowiedziałem się szczegółowo o sprawie, wypuszczano nas bowiem na przechadzkę i mogliśmy z sobą rozmawiać przez okna. Mroczek zeznał wszystko — nawet i to, że mieli zamiar zrobić powstanie. Mówił, że trudno mu było inaczej postąpić, skoro inni się przynali... Powiedziałem mu już wtedy, że to pachnie gardłem.

— Ale gdzie tam — odrzekł mi — komisja całą tę sprawę uważa za dzieciństwo; sam Żdanow powiedział mi, kiedy pisałem do ojca o prawdopodobnem mojem degradowaniu, iż z tego nawet nie będzie. —

Robiłem go uważnym, że komisja umyślnie tak może postępuje, aby ich tem łatwiej wybadać; ale nie dał się przekonać. Bo też Żdanow rzeczywiście podszedł ich zręcznie. Pozwalał im w komisji palić cygara, rozmawiał z nimi podczas indagacji o rzeczach, wcale nie dotyczących się sprawy, śmiał się, żartował, nie zachowywał żadnych form zwyczajnych przy śledztwach, i wpoił prawie we wszystkich przekonanie, że to są głupstwa, że z tego nic nie będzie, że wszystko się skończy na kilkumiesięcznem więzieniu, i t. d.

Takim sposobem największa część więźniów wygadała się, zwalając winę na tych co uciekli. Kilku tylko, a między nimi Kiniewicz i Elpidin uwieść się nie dali. Pierwszy przeczuwał, co go czeka. Biedak wystawił raz, kiedy się przechadzałem, papier z napisem: «Mnie powiesz!» kiedy mu zaś zaprzeczałem na migi, powtórzył kilka razy w odpowiedź: — «Niezawodnie!» I omylił się nieborak tylko w rodzaju śmierci; w rok potem rozstrzelali go. Elpidin zaś, którego złapano z 300 proklamacjami, twierdził — że dostał je od nieznanego jakiegoś jegomości, i nie mogli go zmusić do zmiany zeznań. Prysłano raz popa do niego, aby go namówił do wyznania prawdy. Ten zaczął mu prawić, iż nieszlachetną drogą postępuje, sprzeciwiając się rządowi.

— A wy ojcie — odrzekł mu, ukazując jedwabną jego sutannę — szlachetną drogą przysłiszcie do tak drogiego odzienia?

Pop potwierdził.

— Wątpię — mówi mu na to Elpidin — tak drogą suknię nie mogliście kupić z waszej pensji.

— Lecz cóż to ma do rzeczy? — pyta pop.

— Oto — odpowiada Elpidin — że nie będąc sami szlachetni, nie macie prawa drugich wzywać do szlachetności. Mam honor was pożegnać! —

I pop musiał odejść z kwitkiem.*)

Tak stała sprawa, kiedy mnie wysłano na Syberję. W 10 miesięcy później nastąpiło rozwiązanie, o którym dowiedziałem się z wszystkimi szczegółami od naocznych świadków. Orłow, Janicki, Mroczek, Kiniewicz i schwytyany potem Stankiewicz, zostali przez sąd wojenny skazani na rostrzelanie. Gubernator ulaskawił Orłowa jako Moskala, a kazał rostrzelać 4 Polaków, co też nastąpiło dnia 6. czerwca 1864 r. Po odczytaniu wyroku śmierci Mroczek wydał jeszcze kilku oficerów Moskali, którzy zostali potem wysłani do katorgi... ale mu to nic nie pomogło. Wszystkich czterech prowadzono w towarzystwie tłumu 10tysięcznego, przeważnie czarno ubranego, na «Arskie pole», gdzie stały słupy. Całą drogę Mroczek był ponury i szedł z pochyloną głową; tamci palili cygara... Przyszedłszy na miejsce porzucali do grobów papierosy, wybrali sobie słupy i zaczęli się żegnać. Mroczkowi podano tylko ręce w znak przebaczenia... Kiedy kat przywiązywał Kiniewicza do słupa, dał mu tenże arkusz zapisanego papieru, i prosił, aby go doręczył naszym, co siedzieli w tiumie za nieprzyjęcie przysięgi wojskowej. Na nieszczęście spostrzegł to któryś z oficerów i odebrał list katowi.

Muszę ci jeszcze opowiedzieć, jakim sposobem dostano Stankiewicza, na którego więźniowie, jako na nieobecnego, góry zwalili. Uciekł on za fałszywym paszportem, wydanym na imię profesora literatury w Kazaniu i dotarł do Pskowa, gdzie podówczas była komisja śledcza dla powstańców, których w krajowych więzieniach pomieścić nie mogli. (Druga taka komisja była w Włodzimierzu). Tam go przytrzymało, podejrzewając podobno o fałszywy paszport, i posadzono razem z Polakami. Stankiewicz udawał Moskala, mówił tylko po moskiewsku, i ściągnął na siebie podejrzenie współwięźniów, że jest szpiegiem. Zaczęto go prześladować, lżyć, pogardzać nim i doprowadzono nareszcie do tego, że biedak, aby dowieść, iż nie jest tem, za co go mają, powiedział nazwisko swoje. Wywieziono go natychmiast do Kazania,

*) Elpidin, uczeń wszechnicy kazańskiej, wyszedł najgładziej z tej sprawy. Zostawszy bowiem oddany pod sąd, nie uważał za stosowne czekać wyroku, lecz zemknął z więzienia. Dziś mieszka w Genewie.

gdzie śmiercią przypłacił zbytnią swoją drażliwość...^{*)}. I tak widziśz Platonowicz, cała sprawa skrupiła się na Polakach! — zakończył Władysław.

— Bo też ze stanowiska rządu wyście i zasłużyli na to! — odparł N. po chwili.

— Jak to?

— I komuż my mamy zawdzięczać to wszystko, co u nas jest lepszego i szlachetniejszego, jak nie wam? Kto sieje pomiędzy nami od tylu lat zasady liberalne, wzniosłe, ludzkie; kto nas obeznał z prawami ludów, wzbudził poczucie godności człowieczej, zaszczerpił żądcę wolności i dał o niej pojęcie, jak nie wy — wy, którzy i na wygnaniu jesteście apostołami światła i prawdy, którzy i w minach staracie się zaszczerpić szlachetne uczucia w piersiach zbrodniarzy naszych, t. j. tam, gdzie ich nigdy nie było? Cokolwiek zlego naszych samodzierczów spotka w przyszłości od nas, wam będą mieli do zawdzięczenia, wam, którzyście nawet literaturze naszej pierwszy dali popęd. Wszak z początkiem XVIII. wieku, t. j. od czasu, od którego datuje się nasze piśmiennictwo, wasi pisarze tylko dostarczali nam materiału do tłumaczenia i naśladowania... Rząd wie o tem wszystkim; kogoż więc bardziej ma prześladować, jak nie was? Tak Antonowicz, rząd tu ma słusznosc, chodź mu o jego skórę, o jego byt! On się broni od zagłady. Lecz i my, broniąc się od niego, nie powinniśmy także przebierać w środkach...

^{*)} Dla uzupełnienia opowiadania dodamy jeszcze historję nader smutną drugiego zbiega i towarzysza broni Stankiewicza, tj. Czerniaka czy Czernika. Dotarł on szczęśliwie do Litwy i był dowódcą oddziału powstańców w trockim powiecie. Po upadku powstania dostał się do Petersburga, skąd za fałszywym paszportem miał wyjechać za granicę. Przy wsiadaniu na parowiec, czy też na kolej żelazną w Rydze, dokąd ich przyjechało dwóch zbiegów, zażądano paszportów. Obaj mieli chłopskie. Pierwszy zbieg udał chłopca doskonale i został przepuszczony. Czerniak zaś zdradził się ruchami i cienką koszulą i został uwięziony. Odesłano go do Wilna i posadzono w Dominikanów. Długi czas nie przyznawał się Czerniak kim jest, twierdził upornie, iż pochodzi ze stanu chłopskiego. Użyto fortelu. Sędzia śledczy Gogiel przyszedł do jego celi, skierował rozmowę tak, aby go podrażnić i rzekł w końcu:

— Więc kiedyś chłop, psi synu, ja cię każę natychmiast obić różgami! — Ty mnie różgami?! — zawołał Czernik — lotrze! jakże śmiesz mi to mówić, mnie który jestem takim oficerem jak i ty! —

Gogielowi tego tylko było potrzeba. Zmiał natychmiast, zaczął prosić asprasz jak najumięniejszej, zawołał przeka Łosiewa, który także prosił dlań o przebaczenie, dał się nawet od pułkownika wybeżtać za niestosowne postępowanie, słowem, odegrał komedię jak najumięniejszej. Dano Czerniakowi słowo honoru, że mu nie nie będzie, i wyłudzono od biedaka zeznanie. W kilka dni potem powieszono go do Kazania i rostrzelano przy końcu r. 1865 na tem samem miejscu, co i kolegów jego. Na drugi dzień po jego śmierci przestraszył cały Kazan jakiś niewytłumaczony huk podziemny, tak straszny i silny, że mieszkańcy oczekiwali już w największej trwodze zawałenia się miasta. Żadne badania rządowe nie zdołały dociec przyczyny tego nadzwyczajnego zjawiska, a lud przypisał go powszechnie gniewowi Bożemu za niewinną śmierć nieszczęśliwych męczenników. Moskiewskie czasopisma donosiły o zdarzeniu tem w swoim czasie.

Trucizna, sztylet, podstęp, kłamstwo i zdrada, wszystko czego tylko on przeciw nam używał i używa, powinno, musi być i jest nam pozwolone! I my niemniej mamy skórę do ochronienia, i my niemniej mamy bronić bytu. Głupiec niech idzie namawiać tygrysa do cnoty, przedstawiać mu, jak szkaradną jest rzeczą napadać ludzi bezbronnych, i dać się mu pożreć w nadziei, że bierne cierpienie przywiedzie zwierza do opamiętania; mądry zaczyna się i pali mu w łeb z za krzaku!

— U, Platonowiczu, jak tu z każdego słowa wygląda nihilista! — mówił z uśmiechem Władysław.

— Co? et tu Brute? — zapytał N.

— No, no, nie gniewaj się! — odparł Władek, ściskając rękę przyjaciela — żartuję! Znasz mnie przecież nie od dzisiaj i wiesz, że nie jestem zwolennikiem mistycznej moraliki, nakazującej znosić piekło w ciągu życia, dla nieba za grobem — moraliki, tak wygodnej dla tyranów, a zgubnej dla ucierpiętych. Może ona być bardzo szczytną, bardzo piękną i bardzo wzniosłą, ale niestety tylko na papierze i w mrzonkach wartogłów, którym wygodnie wyznawać ją w teorii, bo nigdy nie mają sposobności wykonywać jej w praktyce! Jestem pewny, że gdyby ich choć raz przeprowadzono wiatrskimi etapami na Sybir, gdyby choć na chwilę zrobili znajomość z Maczałkinem et consortes (naczelnik jednego z etapów) i przypatrzyli się bliżej rządowi w Moskwie, powiedzieliby jak ów ultramontanin, co pojechał szukać do Moskwy dowodów na uzasadnienie swej wiary w pożytek absolutyzmu^{*)}: Tu każdy rokosz zda się być prawnym, nawet rokosz przeciw rozumowi, przeciw Bogu!

— Mimo to, cała Europa na nas sarka i zwie nihilistów półgłówkami! — prawil N. — Ha, i nie dziw! Tam znają Moskwę tylko z urzędowych doniesień. Ganią objawy, nie będąc w stanie dopatrzeć przyczyn, które je wywołały; nie pojmują tego, że musieliśmy przyjść do postanowienia zniszczyć i zwalić wszystko, skoro wszystko u nas istnieje na to tylko, aby uczynić z człowieka kółeczko, posłuszne despotycznej woli jednej sprężyny — tyrana... Tak, my wypowiedzieliśmy wojnę wszystkiemu, bo wszystko u nas podle, niskie, nieludzkie, jak rozkazy i postęпки tych, co od wieków nami rządzą. —

Władysław milezał.

— Ty znasz nasze dzieje, Antonowiczu — mówił dalej N. — powiedzże, co ma sądzić myślący człowiek o takim porządku rzeczy, który w ciągu lat 1000 nie wydał ani

^{*)} J'allais en Russie pour y chercher des arguments contre le gouvernement représentatif — j'en reviens partisan des constitutions. Custine.

jednego człowieka, prawdziwie zasłużonego w dziejach ludzkości, który sprawił, iż historia narodu naszego z wszystkich tych lat zawiera się w dwóch słowach: niedola i upodlenie, a z postępów rządzących nami zrobił, jak się wyraża jakiś włoski pisarz: l'ultimo atto d'una tragedia nel un lupanar!... Wszak Kostamarow pierwszy dopiero oświecił nas, że nie mamy historii, i że to, co istnieje pod tem nazwiskiem, jest tylko na każdej karcie fałszowaną kroniką dworów książęcych i carskich. Pierwsze wieki wydały wielkorządców jak Włodzimierz, który został świętym, może dla tego, że zabił na-przód rodzonego brata i zabrał jego schedę, potem pojął sześć żon i miał przytem 800 nałożnic, a w końcu zmusił księżniczkę połocką, by wyszła za niego, zgwałciwszy ją sromotnie... Powiedz mi, co myśleć o religii, która ci prawi, iż samym chrztem można zmyć podobne zbrodnie i stać się świętym? Idźmy dalej; średnie wieki stworzyły książąt, co byli satrapami Złotej Ordy, musieli z gołą głową piechoto wynosić przed Moskwę czarę z kobyłem mlekiem dla poborców haraczu chańskiego i zlizywać językiem z grzywy konia każdą kroplę, która podczas picia spadła. Później byli Iwany III. i IV., których dość wymienić, aby sobie przedstawić morze krwi i łez, słysząc jęki zabijanych, gwałconych i duszonych, widzieć półwiekowy, prawie nieprzerwany tryumf i pastwienie się tygrysów. Nastąpił Piotr, scinający własną ręką głowy strzelców i podający sam truciznę synowi, którego zdradą do kraju sprowadził; po nim zaś przedłużała się przez całe pół wieku jedna nieprzerwana orgja wina, krwi i rozpusty, odbywana pod przewodnictwem dwóch Katarzyn, Anny, Elżbiety i ich kochanków, dosługujących się za parawanami, obszernych włości i licznych niewolników... Dziś mamy cichutkiemu Sasze, co udaje liberała, i pędzi 14-letnich chłopców pod biegun... Jak tu wobec tego nie zostać nihilistą? Jak nie plwać na wszystko i nie niszczyć wszystkiego, cokolwiek jest wyznaniem wiary ludzi, broniących starego porządku rzeczy?

Czy Europa myśli — mówił N. dalej — że powody, których jedna mała cząstka wywołała na Zachodzie sankt-lotów i jakobinów, mają z nas zrobić posłuszne i nieme narzędzia woli carskiej? Dawniej, kiedy Zachód był dla nas zamknięty, kiedy na najmniejszą myśl, choć trochę liberalną i ludzką, wkładano okowy cenzury jeszcze na granicach państwa, by jej we wnętrzu nigdzie nie dać kielkować, kiedy nam z małości starano się wpoić w formie zasad religijnych głęboką nienawiść do wszystkiego, co cudze, my niemniej czuliśmy ciężar gniozącego nas jarzma i szamotaliśmy się pod niem. Lecz urok władzy był tak silny, patryarchalne zasady tak głęboko wszczepione, iż nie rozróżniając rodziny

od państwa, nie pojmowaliśmy tego ostatniego bez jedynej głowy absolutnej, i nie śmieliśmy przeciw niej wystąpić. Nam się zdawało, że jak ryba bez wody, ptak bez powietrza, zegarek bez sprężyny, tak i ludzie istnieć nie mogą bez carów. Wszystkie nasze rewolucje zmieniały jeden despotyzm na drugi; ale za to szamotanie to pokazało się wybitnie w innym kierunku: nasza rozpusta weszła na całym świecie w przyszłość. Piliśmy, szukając szczęścia, którego nie było w rzeczywistości, w szalonych wybuchach, które sprawia wódka i wino, i w przechodnich uciechach, które dają roskosze zmysłowe. Żaden naród nie wykaże takich pijaków i takich grubych rozpustników, jak nas; ale bo też u żadnego narodu nie było takiego wszystko gniozącego ucisku. Dziś to ukradkiem, to z przyczyny głupoty naszych dozorców, to z powodu błędu Piotra, który poznał nas za pomocą knuta z zagranicą, błysnęło nam kilka promyków światła; ujrzeliśmy, że władza nie jest tak świętą, car nie tak nietykalnym, by im się oprzeć, by ich stracić nie można. Szamotanie się przybrało inny kierunek, i według tego samego prawa, według którego rozpusta i pijaństwo dosięgły granic potwornych, stała się opozycja nasza negacją wszystkiego. Ostateczność zrodziła ostateczność. To też my przeczmy znaczeniu patryarchalnej rodziny i cokolwiek ma z nią pośredni lub bezpośredni związek: jako instytucji, która posłużyła za wzór caratowi, zrodziła wiarę potworną dla nas w indywidualnego Boga; co każe słuchać tyranów i nazywa ich pomazańcami, uczyniła możebną arystokrację rodową i jej przywileje, kościół i jego hierarchję. My przeczmy istnieniu wrodzonych idei, raz dla tego, że wiara w takowe nie zgadza się z dzisiejszą nauką, powtóre, że pociąga za sobą koniecznie wiarę w nadprzyrodzone siły; sprzyja dumie i pyszałkowstwu ludzi, których zwą jenjuszami; skłania do ubóstwiania siebie, a protegując wyższość, rodzi w ostatecznej konsekwencji ucisk z jednej, niewolę z drugiej strony. My przeczmy chrześcijańskiemu znaczeniu służbów małżeńskich, jako jednej z przeszkód osobistej wolności, jako urządzeniu, które staje się u nas codziennie przyczyną tysięcy zbrodni: naprzykład, udawania, kłamstwa, sprzeniewierzenia się, morderstw nawet ze strony kobiet, despotyzmu i pastwienia się ze strony mężczyzn. My przeczmy wszelkiej nierówności, bo zawiodła nas do caratu. Słowem, odrzucamy wszystko, cokolwiek w jakibądź sposób sprzyja obecnemu stanowi rzeczy, który jest nie do zniesienia. I na tej drodze nie zastraszają nas konsekwencje, bo obecny stan, aby się ustalić, nie ustępował przed żadnem; szedł on prosto, niszczyć w prawo i w lewo, cokolwiek mu stało na przeszkodzie. My też bierzemy jego sposoby postępowania za przykład godny naśladowania, bo

został uwieńczony dobrym skutkiem. Nam powiadają, że wszystko, przeciw czemu występujemy, jest dobre w istocie, i wina, że instytucje te wydały u nas złe owoce, leży w nas samych, nie w instytucjach. My zaś pytamy: «Dla kogoż więc był ten porządek stworzony? Dla aniołów? niechże go anieli przyjmą! Nam ludziom złe z nim, więc go walimy...

Nie chcę ja zresztą występować jako sędzia we własnej sprawie; być może, że my się wydajemy słusznie Zachodowi anomalją... to pewna, że stan, w jakim nas trzymano lat setki, nie mógł czego innego zrodzić. Weź, proszę cię, mało na pozór znaczące zdarzenie, które niedawno temu mnie spotkało. Prosiłem jednego z moich dawnych towarzyszy, aby mi przysłał: La république de Platon. Z pocztu odebrał książkę gorodniczy tutejszy, jak zwykle; ale że po francusku nie rozumie, a słowo «république» ma ten przywilej, że jest zmorą, duszącą nasz rząd kochany, więc nie oddaje mi jej, lecz posyła do Tobolska, z zapytaniem, czy wolno mi czytać dzieło, traktujące o rzeczypospolitej... Powiedz, czy taka, w drobnostki prywatnego życia wchodząca opieka nie rozbiesi nakoniec człowieka do tego stopnia, że wznieci w nim pragnienie zniszczenia wszystkiego, cokolwiek sprzyja podobnym ciemnościom? A, Europo kochana, daruj, i my jesteśmy ludźmi, którzy nie możemy obojętnie patrzeć na to i na tych, co chcą z nas zrobić marionetki i martwe kółeczka maszyny! —

Całej tej apologii, którą staraliśmy się skreślić wiernie, ile pamięć pozwala, słuchał Władysław z uwagą, nie przerywając przyjacielowi, ani słowem, ani miną. Czuł on, że wiele by się dało powiedzieć przeciw temu; wiedział, iż nihilisci tem błędą najwięcej, że chcą wprowadzić w życie u nieprzygotowanych Moskali wszystkie najsłabsze konsekwencje teorii, do których Zachód doszedł po długiej dopiero i uciążliwej drodze walki, trwającej całe wieki; przyznawał, że mrzonką jest chcieć naprawić w jednym roku to, co psuły wieki; mimo to, przypominając własne uczucia w niektórych chwilach po więzieniach i etapach, powstrzymał się od głębszych zarzutów i uznał, że będąc Moskałem, sam byłby niezawodnie nihilistą... Raczej więc dla podniecenia rozmowy, jak dla opierania się zapytał:

— Więc wy wszystko niszczyście! i nie powiem, żebyście, patrząc z waszego stanowiska, nie mieli słuszności... ale cóż chcecie postawić na miejsce zniszczonego porządku?

— Oho, widać — odrzekł śmiejąc się N. — że czytałeś Turgeniewa: Ojcowie i dzieci! Nie nie szkodzi... ma to dzieło być przeciw nam wymierzone, lecz niektóre rysy, charakteryzujące nas, schwyciono tam szczęśliwie. Więc słuchaj, ja ci odpowiem razem z Bazarowem (postać z przytoczonej powieści): My burzymy, lecz nie budujemy, z tej prostej przy-

czyną, że nie mieliśmy czasu jedno i drugie razem uskutecznić. Nam trzeba coite que coite nowego porządku; aby takowy był możliwym, konieczną jest rzeczą zburzyć wprzód stary. Że zaś zaledwie tyle czasu mamy, aby się uporać ze zburzeniem, zostawiamy budowanie przyszłym pokoleniom... dzieje Zachodu nauczyły nas, że łatanie na nic się nie przyda! Że mamy słuszność w tej mierze, racz posłuchać istniejących naszych praw, których wprawdzie nie znajdziesz wyraźnie spisanych w «zwodzie zakonów» ale je spostrzeżesz na każdym kroku w praktyce. Zebrane one są z codziennego życia naszego i umieszczone w Hercena «Polarnej Zwieżdzie». Ja ci je odczytam.

N. dobył ze schowka pod piecłem spory zwiłek książek, broszur i pism, i rozłożywszy jedno z nich na stole, czytał:

Prawa moskiewskiego narodu. W Moskwie używają wszystkie stany tak dobroczynnych praw politycznych, o jakich żaden naród europejski najmniejszego nie ma pojęcia. Są one następujące:

Prawa dworjan: 1) W dowód osobliwszych względów stawać się od dzieciństwa własnością rządową fizycznie, obyczajowo i umysłowo.

2) Wstępować do służby rządowej, jeżeli przyjmą.

3) Opuścić służbę, jeżeli puszcza.

4) Jechać tam, dokąd pozwolą.

5) Być wolnym od kar cielesnych, dopóki nie wybiją.

Prawa urzędników. 1) Przed naczelnikiem milczeć tak długo, jak długo jemu się podoba; wobec podwładnego krzyczeć i złościć się, ile sił starczy.

2) Być odpowiedzialnym za winę naczelnika, swoją winę zaś zwałac na podwładnego.

3) Kasę rządową uważać za kopalnię Kalifornji; kieszeń zaś proszącego za los loteryjny.

4) Opuściwszy służbę być wolnym od wizyt (każdy urzędnik obowiązany jest robić kilka urzędowych wizyt do roku swoim naczelnikom) i przemienić się w zero.

Prawa duchowieństwa. 1) Nigdy się nie golić ani strzyd.

2) W Boga nie wierzyć, tylko za cara się modlić.

3) Nikogo nie nawracać słowami ewangelji, lecz brać tylko zapłatę za obrzędy.

4) Zamiast kary cielesnej, zostawać oddanym do wojska i być bitym w mundurze, nie w sutannie.

Prawa kupiectwa. 1) Dziś zostać zaproszonym na ceremonję do carskiego pałacu, dokąd jednakże bez pieniędzy nie wpuszczają; jutro siedzieć w policji za pijaństwo, skąd bez pieniędzy nie wypuszczają.

2) Oszukiwać na miarze, wadze i w rachunku kogo i ile

się tylko podoba, byle nie zapominać okazać policji swego uszanowania podarunkami, pożyczkami i miesięczną płacą.

3) Ofiarowane rządowi tysiące i miliony przemienić na medale, wartości od 3 do 25 rubli, według tego, ile naczelnicy mogą ukraść z ofiarowanej sumy.

4) W nagrodę za zupełne i dobrowolne bankructwo, dostawać wyżej wspomniane prawa szlacheckie, bądź dla siebie tylko na starość, bądź też dla dzieci i wnuków.

Prawa mieszczan i cechów. 1) Żyć, nie ucząc się niczego; ucząc się zaś czegokolwiek, zupełnie nie żyć.

2) Nauczysz się rzemiosła iść przy pierwszym poborze do pułkowego warstatu i oddać rękę i głowę na własność pułkownika.

Prawa wieśniaków. 1) Według słów: «Oddajcie cesarzowi, co cesarskie» płacić podatki carowi, czynsz obywatelowi, a wziętki każdemu, któkolwiek krzyknie i tupnie, i dla tej przyczyny nie mieć nic swojego.

2) Nie zapominać, że dusza należy do Boga, głowa do cara, grzbiet do pana.

3) Stosować się do przysłowia: «Bez winy winien» i z tej przyczyny nie mieć nigdy słuszości przed sądem, i nie żalić się, przed Bogiem nawet, ani na pałki, ani na szturchańce, ani na kradzież, ani na stratę.

4) Po ciężkim trudzie, zamiast odpoczywać, zarabiać kopiejkę na sól i wódkę.

5) Za karę być wysłanym na Sybir i tam z niewolnika stawać się wolnym.

Prawa żołnierzy. 1) Całe życie czyścić się i nie wyczyć się, całe życie uczyć się i nie nauczyć się, całe życie służyć i nie wysłużyć się.

2) W czasie pokoju być lalką komenderującego; w czasie wojny nie czyścić spodni, i nie wiedzieć, że nie mają nogawic i guzików; w czasie «odstawki» umrzeć z głodu bez wszelkiego o tem doniesienia.

Ogólne prawa wiernych poddanych. 1) Nie rumieniąc się głosić, że Bóg jest carem niebieskim, car zaś Bogiem ziemskim.

2) Nie pełnić przykazań boskich, jeżeli tego car wymaga, jak n. p. przykazania: «Nie będziesz dawał fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu» i za grzech ten nie obawiać się ostatecznego sądu.

3) Jeżeli car syty, czuć się niegłodnym; jeżeli caryca ma brylanty wielkości orzecha, uważać się za bogatego; jeżeli carewiczowi dadzą krzyż św. Jerzego, choćby za to, że widział z daleka jak naszych biją, mieć siebie za bardzo uczzonego.

4) Jenjalny rozum, kolosalne bogactwo, idealną piękność,

literackie i muzykalne zdolności, głośną na cały świat sławę, nawet świętość, słowem, wszystkie dary boże otrzymywać tylko bezpośrednio od najwyższej woli carskiej i z najwyższego rozporządzenia.

— Z tego możesz się przekonać — mówił Płatonowicz po ukończonej lekturze — ile my mamy do burzenia... jest tu czas myśleć o budowaniu? —

Władysław odpowiedział uśmiechem, co był tylko ciągiem dalszym tego, który błędził mu na ustach podczas czytania.

— Ty się śmiesz? — zapytał N.

— Nie z ciebie, ani z twojej ostatniej uwagi, wierząc Płatonowiczu — odparł Władysław — śmieję się z humoru i sarkazmu, z jakim te prawa napisane, a wiem dobrze, że nie są przesadzone.

— O, pewnie, że nie... rok pobytu u nas może każdego cudzoziemca przekonać o nich.

— Powiedz mi jeszcze jedno, Płatonowiczu! — rzekł Władysław po chwili. — Jakim sposobem się dzieje, że szeregi nihilistów są zapelnione synami popów, djakonów i diaków? Sądziłbym, że stan duchowny najmniej powinien być rewolucyjnym.

— O, mój kochany, snąć nie znasz położenia naszego duchowieństwa. Na całej kuli ziemskiej nie znajdziesz stanu, któremu by umyślnie starano się dać podjęjsze wychowanie i nikczemniejsze wpoić zasady, jak naszym duchownym. Tu w całym słowa tego znaczeniu chcą z nas zrobić narzędzia, ślepo posłuszne woli naszego cara-papieża i jego kreatur. W seminarjach starają się systematycznie zabić w nas od lat najmłodszych wszelką chęć oświaty, wszelki pociąg do nauk głębszych; wykorzeniają prawdziwie jeniálny sposóbem wszelkie poczucie godności człowieczej, robiąc z każdego malca szpiega i donosiciela na własnych towarzyszy. Patrząc zbliska na wszystkie postępkichanie wyższego duchowieństwa, służąc nierazko archierejom i bezennym rektorom za to, czem byli młodzieńcy plebejuszów dla arystokratów rzymskich po sławnych owych obiadach za czasów Cezarów, widząc na każdym kroku sprzeczność czynów z wygłaszaną teorią, tracimy za młodu wszelką wiarę w naukę, której stróżami być mamy. I zapewniam cię, nigdzie w Moskwie nie znajdziesz grubszego, cyniczniejszego poglądu na świat, jak między popami. Pop pijany, padający w rów z krzyżem w rękę, w pełnym ubraniu cerkiewnym, tak często się u nas zdarzający podczas znanych ci obchodów z obrazem po domach parafian, jest wiernym i charakterystycznym odbiciem naszego stanu duchownego. Nas uczą nie dogmatów, ale obrzędów; nam wpajają nie cnoty, ale posłuszeństwo; prócz

modlitwy za cara, innej nie znamy! My wiemy tylko o Bogu, noszącym na sobie wszystkie ponure cechy Iwanów Groźnych, i o takim tylko każą nam opowiadać ludowi. Fanatycznie przywiązani do obrzędów, które stanowią nasze utrzymanie, zostaliśmy pasterzami ludu, któremuśmy wpoili wiarę, scharakteryzowaną w następującym czysto ludowym przysłowiu: «I Chrystus Pan kradłby, gdyby nie miał rąk przedziurawionych!»... Nie skończyłbym do jutra, gdybym ci chciał powiedzieć, czym jesteśmy w skutek wychowania. Potem, jakież nasze społeczne położenie? Nasza kasta stanowi środek między niższymi warstwami ludu a dworząństwem. Wzgardzeni od tego ostatniego, my gardzimy pierwszym, nadymając się wobec niego, jak jedyki. Nie postępując jednakże w życiu prywatnym odpowiednio owemu nadymaniu się, jesteśmy nawzajem wzgardzeni u ludu. Widziałem sam, jak popa przyjmowano w obywatelskim domu szklanką siwuchy w przedpokoj, którą mu wyniósł ekonom... Zaś popów, całowanych przez wieśniaków w rękę w cerkwi, a bitych przez nich tegoż samego dnia w kabaku, mógłbym ci naliczyć setkami... Moje pierwsze wrażenie młodości był ojciec pijany, wracający z chrztu z podbitemi oczyma, i starający się potem w domu takież same sińce wybić pod oczami matki... Co może być z podobnie wychowywanego młodzieńca, kiedy mu wpadnie do rąk jakaś książka liberalna, choćby taki Kołokoł lub Polarnaja Zwiezda; kiedy wśród nocy, którą go umyślnie otoczyć się starają, błysnie mu promyk jasny, oświecający naraz i przepaść, w której pogrążony, i piękną okolicę, w której mógłby żyć, gdyby nie kajdany? Jużci musi się stać nihilistą! I nie wątpię, że i nam kiedyś wyrządzi Zachód sprawiedliwość, osądzi nas łagodniej... Wszak i sankilotów i jakobinów usprawiedliwiają teraz!

— Wszystkie nowe must przejść przez ogień walki, drogi Platonowiczu! — odparł Władysław, ściskając rękę przyjaciela — trudno żądać od starych, zakorzenionych przesądów, aby ustąpiły bez oporu. Nie podzielał wszystkich zdań twoich, lecz jestem przekonany, iż będąc Moskallem, czułbym, mówiłbym i działałbym jak ty! —

Jeszcze czas niejaki trwała gawędka o rzeczach mniejszej już wagi. Tu i ówdzie zaczęły się odzywać kury. Władysław pomyślał o wyjściu.

— Dokądże teraz zmierzasz, Antonowiczu? — zapytał N.

— Prosto na wschód. Będę wybierał drogi, jak najmniej uczęszczane, aby jak najwięcej widzieć; będę odwiedzał naszych; potem do Nerczyńska. Może mi się uda namówić kilku do ucieczki przez Amur. Jeżeli zaś niepodobna będzie dotrzeć do kopalń, zwrócę na zachód. Wygram to, że o mnie tu zapomną.

— Na tak daleką drogę potrzeba ci zasobów... Pozwól że i ja się cokolwiek przyczynię, by ci ich przysporzyć. Od dawna mam dla ciebie nagotowaną tę drobnostkę. —

N. podał Władysławowi zwitek banknotów, które wyjął z kieszeni. Władysław uściśnął go i pożegnał.

*

Po kilkunastodniowej podróży stanęli zbiegowie w Omsku.

Miasto to leży na pograniczu ogromnych stepów kirgiskich, na tak zwanej «linji», i odróżnia się od innych miast sybirskich wojskową powierchownością. Rzeka Om wpadająca tu do Irtyszu, dzieli je na dwie połowy, które łączy długi most drewniany. Rozrzucone po obu amfiteatralnie wznoszących się brzegach rzeki, małe domki, zbudowane po większej części z drzewa, zajmują wprawdzie znaczny obszar ziemi, nikną jednak przy tak zwanej twierdzy, z poza której murów wyglądają ogromne zabudowania rządowe. Twierdza owa, usprawiedliwiająca swą nazwę chyba tem, że ma służyć za obronę przeciw Kirgizom, narodowi nie mającemu pojęcia o wojowaniu z twierdzami, nadaje miastu ową wojskową powierchowność. Leży ona na wyniosłości przy samem ujściu Omu do Irtyszu, panuje nad szeroką okolicą stepową i przedstawia od rzeki widok wcale groźny. Wzrok, co spogląda z jej wałów na południe i zachód, gubi się w nągich ogromnych przestrzeniach płaszczyzny i szuka daremnie przedmiotu, na którymby się zatrzymać, spocząć mógł. Ni kurhanu, ni drzewa, ni krzaka nawet nie ujrzy. W lecie zieloność jednostajna, w zimie śniegi nużące oko... a zawsze pusto, dziko, martwo i smutno, a smutno, aż serce pęka... Śmiercią z nad tych stepów, jak z nad mogił wieje.

Wspominaliśmy już kilkakrotnie o budzącej prawie odrazę regularności mniejszych miasteczek w Sybirze, których ulice przerzynają się wszędzie jak krata więzienna. Omsk nie należy do tego rzędu. Przedstawia on w całości widok istnego koczowiska nomadów, na trzy podzielonego oddziału. Nie przypominamy sobie tam ani jednej prostej ulicy; pojedyncze zaś oddziały, jako to: twierdza, miasto, i przedmieście kozackie, przedzielone są pustymi miejscami, które ochrzczono mianem targowic. W dniu targu, bazaru, jak Moskale mówią z tatarską, bywają te miejsca ożywione rojami Kirgizów, przybyłych dla zakupna lub wymiany mąki z dalekich stepów na wielbłądach, które wprzegają także do sanek lub teleg jak konie. Niezmiernie przykrym jest ryk tych, zresztą bardzo cierpliwych zwierząt, kiedy im coś nie po myśli. Jest to jakby płacz przeraźliwy i chwytający za serce, a tem niezrozumialszy dla przybysza z obcych stron, ile że sprawca

jego, Kirgiz, wygląda w pstrej kapuzie na głowie i z nahajką w rękę jak karzeł przy zwierzęciu, które zmusił do krzyku.

W dniu powszednie Omsk zupełnie jest pustym, ginie wśród obszaru, który zajmuje. Niekiedy tylko dostrzeżesz na moście spieszącego do miasta żołnierza lub pomykającą z oficerem dorózkę.

Z powodu administracyjnego znaczenia jest Omsk najważniejszym miejscem w zachodniej Syberji. Znajdują się tu bowiem: siedziba general-gubernatora, sztab korpusu zachodnio-sybirskiego, główny zarząd kraju, i szkoła kadetów. Czy pomyślano o gimnazjum dla 17,000 mieszkańców tego miasta, choćby o podobnym jak w Tobolsku, nie wiemy. Jeżeli istnieje, musi zajmować bardzo podrzędne stanowisko; byliśmy tam bowiem w rozmaitych czasach trzykroć, ale nie słyszeliśmy o takim zakładzie.

Prócz murowanego znaczących rozmiarów więzienia powiatowego, które stoi na czele miasta od strony zachodniej, znajduje się jeszcze inne więzienie w twierdzy, przeznaczone dla skazanych do robót katorżnych «po krepostiam» (w twierdżach). Straszne to w dziejach męczeńskich Polski miejsce zostało opisane pod każdym względem znakomicie przez Dostojewskiego, Moskale, który w swoich «Zapiskach z mroźnego domu» skreślił 10-letni w nim pobyt. Rozdział ósmy tego dwutomowego dzieła przekreśliła całkowicie cenzura z przyczyny, że mieścił ów krwawy epizod, o którym Piotrowski wspomina.

W chwili naszego opowiadania było w tem więzieniu pięciu tylko Polaków, między nimi znakomitsi: Zamojski z Warszawy, Kurowski z WKs. Poznańskiego i Wróblewski z Korony. Wszyscy mieli kajdany na nogach i golone głowy. Niezmiennie odróżniano ich od zwykłych zbrodniarzy, z którymi mieszkali.

Zamojski, współpracownik Strażnicy, był to ten sam, o którym donoszono w swoim czasie, że go Moskale tak bili przy śledztwie w Modlinie, iż ciała kawałki odskakiwały do pułapu. Moskałom chodziło wtedy jeszcze (1862) o opinie. Wysłali więc dwóch obywateli warszawskich w towarzystwie jakiegoś generała do Modlina, i zawezwali Zamojskiego, aby podpisał zaprzeczenie tej fałszywej w istocie wieści. Uczynił on to tem chętniej, ile że, jak nam sam opowiadał, grożono mu tylko różgami, lecz ich nie użyto. Tem więcej wycierpiał potem na wygnaniu, uginając się nieraz pod ciężarem taczki z rumowiskiem, które mu kazano wywozić z jakiegoś rządowego budynku, lub pod potężnym ładunkiem drew, które sam musiał narząbać i nosić do kuchni placomendanta lub innego dygnitarza twierdzy.

Wróblewski nadwężył się przy dźwiganiu jakiegoś ciężaru

podczas naprawy wałów i umarł w więziennym szpitalu w r. 1864 czy 1865.

Kurowski aresztowany w r. 1861 za to, że znaleziono przy nim odezwę pociągającą Aleksandra II. przed kratki «sądu europejskiego» za popełnione na polskim narodzie zbrodnie, i inne jakieś pisma podobnej barwy i treści, został skazany na 10 lat do twierdzy i wywieziony do Omska, mimo że Kurjer Warszawski ogłosił swego czasu, iż go zwrócono do Księstwa. Tylko dziwactwem rządu moskiewskiego można wytłumaczyć osądzenie tego człowieka, który miał niezaprzeczenie, jak mówią, bzika. Podpisał się na odezwie onej, za którą kilka dni aresztu byłoby aż nadto dostateczną karą, całym swoim nazwiskiem, dodając: «komisarz wolnych ludów Europy». Moskale wzięwszy go za osobę znaczną, wydali nań jak na owe czasy niezwykle srogi wyrok. Kiedy siedział jeszcze w cytadeli i widział zabiegi komisji przy śledztwie, uwierzył sam, że coś wielkiego spletał. Strwożony okropnymi wieściami, jakich się nasłuchiwał o 10 pawilonie, a które Moskale najprawdopodobniej sami wówczas w obieg puszczali dla sprawienia przestachu, spodziewał się, że go lada dzień otrują, powloką na tortury, lub do Wisły wrzucą. Morok, jak nazywano Żukowskiego, dozorcę 10 pawilonu, nie mógł sobie dać rady z nim. Miewał on bowiem, lub też udawał, że miewa napady pomieszania zmysłów, i hałasował w celi i krzyczał. Był czas, kiedy cały miesiąc leżał w łóżku i prócz bułek żadnego posiłku nie przyjmował. W Omsku poweselał i odżył trochę, choć nigdy go nie opuściło przekonanie, iż miał być otrutym, i że winien ocalenie tylko pomysłowi karmienia się bulkami.

Wypisujemy te szczegóły dla tego, aby pokazać, jakich niepotrzebnych męczarni stać się mogą niekiedy przyczyną przesadzone opisy złego obchodzenia się Moskali przy śledztwie. Znamy wprawdzie takich, którzy siedząc w kaponierach cytadeli warszawskiej w r. 1863 i 1864 z braku wody, własną pili urynę, lub kamienie lizali po śledziach, które imi karmiono; znamy innych, co wracali z każdego przesłuchania z zakrwawioną twarzą, rozbitą instygatora pięstkami, w którym ukryty był klucz lub secyzoryk; bito okropnie i tych, na których miało podejrzenie, że należą do organizacji sztyletników; wszystko to prawda — ale wieści krążące o cytadeli w r. 1861 były po największej części przesadzone. Wtedy nikogo tam nie bito, przynajmniej w 10 pawilonie nie było w tym roku przykładu indagacji z różgami.

Nie twierdzimy stanowczo, że sami Moskale byli twórcami owych wymyślonych opowiadań, które krążyły po Warszawie w czasie demonstracji; pewna tylko to, że więcej im one przyniosły korzyści jak szkody. Z opinii mało sobie co ro-

*Zu edkronische
brat Hahnysh
weij aktorki*

bili, a z niejednego więźnia wydostali strachem to, czego byłby nie powiedział, gdyby nie był przyszedł do więzienia zbity z tropu przesadzonemi o niem opisami.

I w ogóle ile wiemy tak z kilkakrotnego własnego, jak i z doświadczenia innych, z któremi zdarzało się o tem rozmawiać, używają Moskale najczęściej przy śledztwach groźb i łajnia. Podobni oni są do widm piekielnych, skaczących z rozmaitemi kolącemi narzędziami około ofiary. Drażnią ją czas niejaki ciągle pogróżką, że zakłują i krew wysączą, jeśli nie uczyni ich woli; odstępują jednak, kiedy stała okaże się ta ofiara.

Lecz wróćmy do Omska.

Najwięcej tu podówczas było wygnańców skazanych do służby wojskowej. Dopiero później wzmożła się liczba wysłanych na zaludnienie tak, że zaprowadzone na wzór gdzieś indziej już istniejącego towarzystwo bratniej pomocy, mimo największe wysilenia nie mogło zapobiedz nędzy i niedostatkom. Byli tacy, co długi czas karmili się tylko chlebem, którego im udzielali współwygnańcy żołnierze. Za lokajów i do innych posług domowych nie chcieli Moskale Polaków przyjmować. Wymawiali się tem, że nie przyzwyczajeni są do grzecznego obchodzenia się ze sługami, któreby jednak wypadało używać względem Polaków jako ludzi wykształconych. Innych zaś zatrudnień, jak udzielania lekcji, albo jąc się nie było wolno, lub też brakło zdolności do nich. Przykrego tego położenia doznawali wygnańcy nie tylko w Omsku. Dało się ono im we znaki i w innych częściach Syberji. To też poszli nasi, jak to mówią do głowy po rozum, i rzucili się do nauki rzemiosł, które wszędzie w owym kraju najniezawisłego dostarczały utrzymania.

We wszystkich większych miastach Moskwy trzeba się mieć pilnie na baczności obcemu przybyszowi, który zamierza wieczorem wyjść z pomieszkania; w Omsku daleko lepiej zrobi, jeżeli nie opuści zupełnie domu o zmierzchu. Rabunki połączone ze skaleczeniem, a często z zabójstwem, są tu na porządku dziennym na ulicach nieco oddalonych od środka miasta. Kozacy, których stan już zda się wymagać rabunku; żołnierze, którym żołd na wódkę nie wystarcza; mieszczenie sami wreszcie, którzy pochodzą z wysłanych z Moskwy zbrodniarzy, czynią sobie rzemiosło z podobnych wieczornych i nocnych napadów.

Wypadek, jaki się tu wydarzył naszym zbiegom, da pojęcie o sposobach i podstępach, których do wykonania tego rzemiosła używają nocni rabusie.

Władysław i Oleś, przyjechawszy do miasta, najeli mieszkanie u wysłużonego żołnierza, który posiadał domek przy jednej z oddalonych ulic nad samą rzeką Omem. Wy-

padało im zabawić w Omsku przynajmniej dwa dni. Zmuszeni więc byli szukać mieszkania nie zbyt blisko policji, zwłaszcza że za paszport służyło im tylko proste, sfalszowane oczywiście, świadectwo, wydane z biura gorzelni prywatnym niby urzędnikom — prikaszczykom, jak mówią Moskale. Władze wiejskie dałyby się oszukać, dla władz miejskich było ono niedostatecznem.

Nie chcąc się pokazywać za często w twierdzy, gdzie był już raz dnia tego, Władysław posłał tam Olesia do znajomych, z którymi miał się sam widzieć po południu. Z powrotem spotkał ten ostatni na bezludnym już moście człowieka, wyglądającego z ubrania na mieszczanina.

— Dokąd spieszycie? — spytał go tenże, przypatrzwszy mu się wprzód z dala.

Oleś nazwał dzielnicę miasta.

— Pójdziemy razem; i mnie tamtędy droga do domu. —

To rzekłszy przyłączył się do Olesia, który nie podejrzewając niczego, rad był w duszy towarzyszowi. Bał się bowiem zabłądzić wśród sieci ulic i uliczek.

— Czyście tutejszy? — zapytał Sybirak po chwili.

— Nie! przyjechałem w interesie. —

Pytanie powyższe rzucone było tylko dla większego zapewnienia się. Przebiegły mieszczanin poznał niezawodnie w Olesiu przybysza, nim go jeszcze zaczepił. Jest to cechą Sybiraków, że się rzadko mylą w tej mierze. Z fizjonomji, ruchów i ubioru poznawają natychmiast obcego.

Oleś kroczył tymczasem dalej obok Sybiraka, ani myśląc, że może stąd wyniknąć coś niebezpiecznego. Po krótkim jednak czasie spostrzegł, że w zupełnie przeciwną dąży stronę i oddala się coraz więcej od miejsca, gdzie wiedział, że stoi dom wysłużonego żołnierza. Rzekł tedy:

— Bądźcie zdrowi, ojcze, mnie trzeba na dół iść, nie tu pod górę! —

— Ale co pleciesz! — zawołał mieszczanin biorąc go równocześnie za ramię. — Stepanów mój sąsiad, wiem gdzie mieszka... Tędy daleko bliżej... jeszcze kilka kroków, i będziesz w domu. —

Dziwaczna ta natrętność nabawiła Olesia trwogi. Zaczął podejrzewać, że Sybirak złego coś knuje i chciał się oddalić.

Mieszczanin atoli uchwycił go za poję kożuszką i ciągnął siłą do stojącego o podał domku. Oleś rwał się, pasował, a widząc, że mógłby uleść przemocy, zakrzyczał. Na to pojawiła się na progu owego samotnie stojącego domku niewiasta, która musiała być znajomą Sybiraka, gdyż dawał jej jakieś znaki.

— Daj pokój Prokopie — odpowiedziała — dzień jeszcze na dworze... gotowa bieda...

Na Olesia zimny pot wystąpił. Pojął z tej urywkowej rozmowy, że się znajduje w pobliżu jednego z tych gniazd zbójcekich, których pełno jest po większych miastach moskiewskich, i o których kilkakrotnie słyszał. Nagłym więc szarpnięciem oswobodził się od lotra i zaczął co tchu uciekać.

Atoli tak prędkie wypuszczenie ofiary z rąk swoich, nie skorzystawszy z niej niczego, nie leżało w zamiarze Sybiraka. Puścił się za Olesiem z krzykiem:

— Trzymaj, trzymaj złodzieja! —

Ulice były już puste; z domów na podobne krzyki nie zwykli Moskale wychodzić z obawy, aby nie zostali pociągnięci za świadków do sądu. Obawa przed sądem jest tak wielka w Moskwie, a szczególnie w Syberji, iż każdy stara się jak najusilniej unikać wszelkiej sposobności zetknięcia się z nim. Wie bowiem bardzo dobrze, iż winny czy niewinny, musiałby mu się opłacić. To też można być w nocy śród ulicy napadniętym, zrabowanym, nawet zabitym, nie zdolawszy pobudzić krzykiem mieszkańców do przyniesienia pomocy i obrony.

Nawoływania prześladowającego nie zrobiły tedy wrażenia na blisko mieszkających, ale za to zmusiły Olesia do zatrzymania się. Przyszło mu bowiem na myśl, iż mógłby mu kto z przechodniów stanąć w drodze, widząc prześladowanego i uciekającego i zapoznać z policją. A wiemy, jak ważne miał powody wystrzegania się takowej. Stał tedy śród ulicy i zawołał:

— Cóż ci ukradłem, że mnie zwiesz złodziejem?

— Co? — odrzekł mieszczanin, dopadłszy Olesia i chwyciwszy go za rękę — nie tyś mi wyrwał z za pazuchy woreczek z 25 rublami? Gdzie on jest? oddaj, oddaj złodzieju! — i rwał i szarpał go.

— Co ci się śni człowiecze — mówił przerażony tym nowym wybiegiem Oles — wszak przed chwilą zdybaliśmy się na moście i szli razem do domu!

— Oddaj złodzieju!.. Gdzieś go ukrył? oddaj, i chodź do policji! —

Nadszedł jakiś mieszczanin. Oles zwrócił się do niego i błagał o ratunek, opowiadając jaka go spotkała napaść. Przechodzień oglądając od stóp do głów obydwóch pasujących się i rzekł z znaczącym uśmiechem:

— Ha, gołąbku, nie moja rzecz was sądzić, jeszcze by mi potem świadczyć kazano, a na co mi tego. Jest naczałstwo, niech was pogodzi! —

Widząc, że się mieszczanin oddalił po tych słowach, jak ów faryzeusz biblijny od ranionego podróżnego, i nie spodziewając się już znikąd pomocy, Oles przywiedziony do

rozpaczy szarpnął się znowu w nadziei, że podoła zemknąć. Tym razem jednak rabuś trzymał go mocno.

— A!... więc ty się i naczałstwa boisz — rzekł mu — taki to ptaszek z ciebie! poczekajże, nie umkniesz mi teraz! — i zaczął go ciągnąć do mostu, przy którym wznosił się urząd policyjny.

Spostrzegłszy błąd swój i obawiając się złych jego następstw, Oles nie ociągał się więcej i odparł dość spokojnie:

— Do policji pójde chętnie, tam mnie znają; lecz idźmy środkiem ulicy, byś mnie znowu gdzie do jakiego domu nie zaprowadził i tam nie zamordował.

— Mordować ja cię nie chcę... Oddaj mi 25 rubli, to cię puszcze! — mówił mieszczanin.

— Zleś się wybrał bratku, ze mnie nic nie wydusisz, a co ci się za napaść dostanie, to będziesz trzymał!

— Im więcej zbliżał się do mostu, tym śmielszego udawał Oles, nie chcąc zdradzić obawy, jaka go coraz bardziej opanowywała. Mieszczanin natomiast spuszczał widocznie z tonu. Nareszcie gdy już widać było przez cienie wieczorne więź straży ogniowej, co się z tatarska zowie kałaneczka, i nad każdym domem policyjnym coznosi, przemówił:

— Wiesz co, daj na dwa sztofy wódki, a będzie zgoda.

— Za cóż? — zapytał Oles — zresztą gdybym i chciał dać, nie mam kopiejki przy duszy.

— Choć na sztof... albo co innego daj!

— Cóż ci dam innego?

— Daj, co masz!

— Chyba chustkę z szył!

— To mało... chodź do policji, tam cię będzie więcej kosztować, nim się wydobędziesz. —

Oles drżał na wspomnienie urzędu, ale szedł dalej. Doszli do bramy budynku.

— Ostatnie słowo — mówił rabuś — pół sztofa i zgoda. Ani kopiejki nie odstąpię. W policji będziesz musiał dać nadzierateliowi przynajmniej rubla, mnie nie nie będzie... znam się z nim. —

Zważywszy, że mieszczanin mógłby go być rzeczywiście zaprowadzić do bióra, rachując na znajomość swoją z urzędnikiem, Oles zgodził się na propozycję. Powiedział, że zastawi chustkę, pas lub czapkę i prosił sybiraka, by go zaprowadził do kabału, gdzie przyjmują zastawy. Sybirak przystał na to. Był to jednak nowy tylko podstęp, aby sprowadzić ofiarę do innego jakiego gniazda złodziei i tam obrabować z rzeczy, a może i zabić. Oles miał bowiem kożuszek na sobie, który wart był 5—6 rubli, a kwota ta aż nadto dostateczną jest, aby pobudzić sybirskiego złodzieja do morderstwa.

Na szczęście zrozumiał i Oleś ten nowy mieszczanina zamiar i nie wątpił o nim, gdy spostrzegł że powtórnie zbliża się do owej sieci ciemnych i pustych uliczek. Czekał tedy tylko sposobności, aby się wyrwać z rąk napastnika. Ta zaś nadarzyła się, gdy przechodzili koło karaulki budnika.

Slusznie jest, abyśmy wytłumaczyli, nim dalej pójdziemy, co znaczy karaulka, a co budnik.

Na znaczniejszych rynkach i placach, stoją w większych moskiewskich miastach budki, już to murowane, już drewniane, które zwą z tatarska karaulkami, co po naszymu ma znaczyć: strażnica. Są one okrągłe z dachem ostrokatnym i zupełnie podobne do namiotów kirgiskich, tak zwanych jurt; o których pomówimy później. W tych budkach, opatrzonych zwykle czterema okragłemi okienkami mieszkają strażnicy dla przestrzegania porządku w dzień i w nocy. Ich to zowią budnikami. W obu stolicach caratu napotkasz strażnice takie w każdej części miasta; w innych mniejszych grodach stoją one tylko dla formy na główniejszych miejscach, albo jedynie u wjazdu i wyjazdu. Tam gdzieby ich najbardziej potrzeba było, tj. w owych ciemnych oddalonych dzielnicach, w których zbrodnia główne lubi zakładać siedlisko, nie ujrzyś nikogo, coby przestrzegał, lub zdawał się przestrzegać bezpieczeństwa.

Mówimy zdawał się przestrzegać, ponieważ budnicy nie odpowiadają celowi, dla którego ich postanowiono. Prędzej możnaby powiedzieć, iż są jedną z głównych przeszkód dla osiągnięcia takowego. Zastęp ich bowiem składa się wyłącznie z wysłużonych żołnierzy lub podoficerów, ludzi najbardziej może zdemoralizowanych w niemoralnej Moskwie, ludzi uważających urząd swój jako przystań, w której po skolatanym i uciążliwym żywocie służby wojskowej począć wypada, i jako źródło, z którego na późniejszą starość trzeba zacerpnąć środków do życia. Przy bardzo lichych płacy i braku innych zarobkowania sposobów, uznawają zazwyczaj, że daleko korzystniej jest dla nich wchodzić w spółkę z tymi, których prześladować mają. To też każdy niemal budnik moskiewski należy do jakiejś korporacji nocnych rycerzy, rzezimieszków (z tatarska mazuryków), lub innych jakich maszenników (złodziei) i pobiera od nich pewny procent od zysku otrzymanego z wyprawy, na które patrzy przez palece. Nie dziw więc, że przy takim składzie rzeczy udają się owe śmiałe kradzieże i zuchwałe napady, o których tak często słyszać w grodach i grodach moskiewskich.*)

*) Ciekawych szczegółów nadużyć, które się dzieją w wewnętrznej administracji moskiewskiej, tak policyjnej, jako też wojskowej, dostarcza pod dostatkiem książka nosząca tytuł: Gubernskija ocerki (szkice gubernialne). Napisał ją radca Szczedrin, Moskal. Ta książka jest bardzo popularną w Moskwie.

Otóż zobaczywszy taką budkę, Oleś wyrwał się mieszczaninowi, który go dotąd trzymał za rękę, i skoczył do jej drzwi niziutkich. Na szczęście budnik był w domu. Opowiedziawszy mu napaść i nazwawszy się urzędnikiem prywatnym z gorzelni Alfonsa Tomaszewicza P. znanego w tamtych okolicach pana, wymagał, aby go odprowadził do domu, sowitą obiecując nagrodę. Budnik widząc, że ma przed sobą dobrze ubranego człowieka, skłonił się na jego stronę i nie zważał na reklamacje urwisza, który chciał iść koniecznie do policyi. Ubrał się tedy i poszedł z Olesiem, a mieszczaninowi kazał iść ze sobą. Ten uczynił to w nadziei, że przecież coś dostanie, gdy będzie trwał upornie przy swoim twierdzeniu o skradzionych mu 25 rublach.

Podczas tego Władysław siedział w domu i kreślił list, który miał wysłać na pocztę. Zaniepokojony długą nieobecnością towarzysza, i bojąc się, aby ten nie zbłądził w mieście, w którym po raz pierwszy przebywał, wyszedł naprzeciw. Było to właśnie wtedy, kiedy Oleś, uzyskawszy tak szczęśliwie opiekę, wracał do domu w towarzystwie budnika i sybiraka. Skoro więc spostrzegł Władysława, poskoczył ku niemu i objaśnił w kilku słowach niebezpieczeństwo. Za nadejściem budnika i mieszczanina Władysław zwrócił się do pierwszego i zapytał co wszystko ma znaczyć, a dowiedziawszy się o wypadku, zaprosił wszystkich z sobą do mieszkanka.

Gdy weszli do izby Władysław rzekł:

— Nim zaczniemy wyjaśniać tę sprawę, słuszną jest panie budniku, byście się dowiedzieli kto my jesteśmy.

Tu wyjął z pularesu świadectwo, rozwinął je ostrożnie i przeczytał poważnym, uroczystym prawie głosem, wskazując na podpis i pieczęć pana P. i na stempel rządowy.

— Teraz mi powiedzcie — ciągnął dalej — czy podobna, aby urzędnik służący u takiego pana, jak Alfons Tomaszewicz, człowiek któremu powierzono kilkanaście tysięcy rubli na zakupno zboża, dopuścił się rabunku na ulicy pośród dnia białego?

— Ja, wielmożny panie, nie powiadam, co to oni ukradli — mówił urwisz zdetonowany poważnym Władysława wystąpieniem — ale dalibóg ukradł mi woreczek jakiś człowiek, który kropla w kroplę był podobny do nich... tak mi daj Boże jutra doczekać.

— Ej Prokopie, Prokopie! — odezwał się gospodarz domu, który słuchał także tej sprawy — nie obrażajcie pana Boga, ta nie klniecie się! Niedawnoście wyszli za podobną sprawkę z turyi i znowu zaczynacie?

— Dalibóg, Piotrze Stepanow... — zaczął być urwisz.

— Milcz łotrze!.. jeszcze dzisiaj będziesz siedział w kozie — przerwał mu Władysław — czy ty wiesz psia ci mać,

kogoś zrobił złodziejem? Czyś nie słyszał nigdy o Alfonsie Tomaszewiczu? Jedno moje słowo wystarczy, psi synu, aby cię posłać w pobrzękuszkach tam, dokąd Makar ciętą nie ganiał.

— Winował wasze błagorodje! prastitie radi Boha!*) — przebaknął zbity całkiem z tropu sybirak.

Budnik, który wszedłszy do izby zatrzymał był czapkę na głowie i zachował postawę, świadczącą wymownie, że się uważa tu za coś wyższego, na grzmiący głos Władysława odkrył co rychłej głowę, i wyprostował się jak przed naczelnikiem. Władysław użył umyślnie tego zwrotu, bo wiedział bardzo dobrze, że tupnięciem i krzykiem w porę użytym, jakoteż wygłoszeniem kilku wyrazów ze sporego słownika łajdań moskiewskich, za pomocą których, jak dowcipnie powiada Dumas, człowieka stawi się o 20 stopni niżej psa, wszystko można zrobić w Moskwie. Tupnięciem i krzykiem usmierzył Mikołaj zbuntowaną podczas cholery czerń Petersburga. Zmieniły się też po tym energicznym wystąpieniu wszystkie role.

— Pojdę natychmiast do kwartalnego — mówił budnik niewolniczym tonem służalca — oświadczyć mu co zaszło.

— Ja nie zaniedbam sam uczynić tego jutro rano — odrzekł Władysław.

— Pan uczynisz to jutro, lecz ja muszę dziś jeszcze zdać raport... To rzecz ważna, proszę pana. Alfons Tomaszewicz raczą bywać zawsze u Polikarpa Chrystoforowicza, naszego policmajstra, ile razy przyjeżdżają do Omska. Oni raczą nawet mówić «Ty» jeden drugiemu, są przyjaciółmi... Gdyby się tedy Chrystoforowicz dowiedzieli, żem natychmiast nie raportował, i mnie dostałoby się porządnie. Nasz policmajster bardzo srogi... —

Jużci nie rad był Władysław takiemu obrotowi rzeczy, lecz nie kłopotał się bardzo, wiedząc jak łatwo będzie odwieść budnika od tej przedwczesnej chęci przysłużenia się. Wyjął tedy rubla i posłał gospodarza po wódkę, mówiąc do budnika:

— Oczywiście, służba przedewszystkim; róbcie jak wam powinność nakazuje... Lecz ja was nie mogę puścić, nie ugościwszy za pomoc, jakiej udzieliliście memu towarzysowi. Poczekaście więc trochę, napijemy się!

— Nie ma za co, panie! Dziękujemy pokornie waszej miłości! — odrzekł szanowny przestrzegacz porządku tym tonem, który właściwy jest tylko Moskalom, kiedy słowami mającymi objaśnić ich wymawianie się od traktamentu, tak wymownie się nań zgadzają i dziękują zarazem.

*) Przewiniłem, wielmożny Panie! wybaczenie dla Boga. —

Po chwili przybył gospodarz z flachą. Na widok wódki zaiskrzyły się oczy i rozumieniła twarz stojącego w kącie ze zwieszoną głową mieszczanina. Rzekłbyś, że zapach jej nowe wlał w jego apatyczną postać życie. Postąpił na środek izby i wymierzywszy głęboki pokłon Władysławowi, rzekł z cynicznym upodleniem, którego zdolnym jest tylko zbrodniarz moskiewski.

— Wielmożny panie! Przebaczenie mi dla miłości Boga! puścić grzeszną duszę na poprawę, nie gubcie mnie biednego... będę do Boga modlić się za was i za rodziców waszych!

— Widzisz psi synu, jakto kosa trafia na kamień! — prawil głosem mentora budnik, który z milczenia Władysława sądził na pojednawcze jego usposobienie. — Nie raz mówilem, Prokopie daj pokój, przestań szaleć, bo nażyjesz biedy... Masz teraz za swoje. —

Władysław nalał po raz drugi wódki i powtórzyła się prośba urwisza. Chcąc się go pozbyć, podał mu Władysław czarkę. Ten wychyliwszy takową uklonił się do ziemi, wziął czapkę i wyszedł.

— Jakkolwiek rzecz ta skończy się, zawsze Prokop dopiął swego! — wtrącił gospodarz.

— Jak to? — zapytał Władysław.

— Jemu proszę pana o nic nie chodziło, jeno aby wypił. No i wypił dzięki dobroci waszego serca... i poszedł.

— Odpowie on gorzko za to! — prawil budnik, na którym dwie spore czarki zwykle zaczęły już wywierać wpływ.

Po chwili dodał Władysław jeszcze trzecią i czwartą i sprowadził rozmowę na rzeczy obojętne. Budnik rosprowadził szeroko i długo o trudnościach swego obowiązków, jakoteż o małym za nie wynagrodzeniu i wtrącił jakby od niechcenia, że się zajmuje także klejeniem papierosów. Dodawszy, że wszyscy wysocy urzędnicy kupują takowe u niego, zawezwał i Władysława aby mu dał utargować. Chcąc podtrzymać do końca opinię hojnego, a zatem znacznego człowieka, Władysław zamówił sztuk 1000, oświadczył że nazajutrz rano przyjdzie po nie i dał zadatku 20 kopiejek. Nastąpiła potem piąta czarka i pożegnanie.

Wychodząc z izby uraczony budnik mało się nie przewrócił na progu i rzekł do Władysława:

— Toście mi dogodzili, wielmożny panie! — już dzisiaj i raportu nie będę mógł zdać nadzieratelowi. Ale za to jutro natychmiast doniosę, dalibóg doniosę! Trzeba lotra nauczyć!...

— Tylko nas bratku nie będzie już wtedy w Omsku! — pomyślał Władysław i zamknął drzwi za budnikiem.
O piątej z rana zbiegowie już byli za miastem.

*

8 maj
Dnie i tygodnie płynęły w podróży. Na każdej przestrzemi dzielącej miasto od miasta przedstawiali się Oleś i Władysław inaczej. Raz jechał ostatni żenić się, a pierwszy towarzyszył mu jako przysły drużba; to znów byli obaj wysłani od jakiego znanego kupca dla dowiedzenia się o cenach zboża po wsiach przyległych; gdzieindziej jechali na służbę do jakiejś sławnej w tej okolicy fabryki; tam znowu dążyli jako urzędnicy prywatni do złotych kopalń w Marynińskiej lub Jenisejskiej puszczy. Krętarstwu temu, najmniejszych nie budzącemu podejrzeń w nieufnych Sybirakach, zawdzięczali nasi zbiegowie okoliczność, że podczas ośmiomiesięcznej podróży po najrozmaitszych Sybiru stronach ani razu nie pytano ich o paszporta. Zawsze umiał Władysław tak zająć wieśniaków opowiadaniem i rozmową, iż nie mieli często czasu wypytwać się bliżej o cel podróży.

Jakim zaś sposobem brał się do tego, objaśni opis jednego z wieczorów, powtarzających się z małemi odmianami na każdej prawie stacji.

Przyjechawszy do wsi gdzie wypadało zanoć, zląził którykolwiek ze zbiegów ze sanek i szedł prosić o nocleg do chaty, co powierzchownością zdradzała zamożnego wprawdzie właściciela, lecz nie pełniącego żadnego we wsi urzędu, jako to starosty, pisarza, lub dziesiętnika. Długie w tej mierze doświadczenia taką nadały zbiegom naszym wprawę, iż rzadko się wydarzało, aby stanęli przed mieszkaniem jakiego z wyżej wzmiankowanych dygnitarzy. Nie przyjęto ich w jednym miejscu, jechali do drugiego, i tak dalej aż im pozwolono zająć na podwórzu.

Wtedy Władysław zabierał z sani manatki wraz z grubym wołokiem, który służył w drodze za okrycie na nogi, w nocy zaś za pościel, i wchodził zawsze pierwszy do izby. Oleś odpręgał tymczasem i umieszczał konia. Wypadało koniecznie w taki a nie inny sposób podzielić między siebie role. Władysław był bowiem więcej ostrzelany i mógł skuteczniej wytrzymać pierwszy ogień pytań, któremi zwykła zarzucać przybyśza ciekawość Sybiraków. Gdy tedy Oleś wchodził do izby z chomontem, dęgą i knutem, już pole było przygotowane, już gospodarz, gospodyni, babuszka i dzieci wiedzieli skąd i dokąd jadą przybyśze. Wiedzieli także, że Władysław jest Niemiec prawosławnego wyznania, bo z matki Moskiewki, Oleś zaś Rusin, czyli chachoł, jak Rosjanie zwą Rusinów czyli

Małorosjan. Może który z czytelników nie zna tej przewy. Chachoł oznacza pierwotnie w Moskwie każdą rzecz, która kształtem podobna jest do ostroka, lub do szyszki. Z tym przewyżkiem, o ile bywa dane człowiekowi, łączy Moskal pojęcie głupoty, niedoświadczenia, idjotyzmu, w ogóle pojęcie istoty nieukończony niższej od siebie. Ta wżgarda Moskali dla Rusinów objawia się wszędzie. Nieszczęsny bywa chachoł, gdy się dostanie do pułku złożonego z Moskali, używają go bowiem do najniższych i najcięższych posług. W więzieniu zaś służy za przedmiot żartów dla wszystkich zbrodniarzy, i ani razu nie widzieliśmy w turmie Rusina, pełniącego obowiązki starosty areztantów.

Z wielu szyderstw moskiewskich, krążących o Rusinach jako przysłowia, przytoczymy jedno: Boh stworzył trzy zła: barabańszczyka, inwalidna żołdata i chachoł! co po polsku znaczy: Bóg stworzył trzy rzeczy złe: dobosza, inwalidnego żołnierza (t. j. stróża areztantów) i Rusina. To przysłowie jest więzienne. Lud używa innych wersji tego samego przysłowia, lecz tylko dwa pierwsze wyrazy zmieniają się, chachoł zostaje zawsze.

— Tak wy Niemiec — zaczynał gospodarz, lub w jego niebytności główna w izbie osoba, gdy się zbiegowie ułatwili ze składaniem manatków. — Widać to z twarzy, żeście nie naszego rodu. Skoroście weszli do chaty, zaraz sobie pomyślałem, żeście cudzoziemiec. Czy z własnej woli zaszliście na Sybir, czy was zesłano za co?

— Z własnej woli! — odpowiadał Władysław. — Przybyłem tu z ojcem z Kijowa!

— Z Kijowa, wiecie, gdzie św. Ławra pieczarska i niegnijące ciała wielkich świętych pańskich Teodozego, Atanazego i t. d. — dodawał po chwili mileżenia.

Tu zaczynała się zwykle cała litanja imion z przydomkami jak: mnogostradalec (wiele cierpiący), zatwornik (pustelnik) wiecznoskorbiaszczyj (wiecznie płaczący), wielki postnik (wielki pościel), którejby sam Władysław powtórzyć już teraz nie mógł, a którą umiał wtedy doskonale na pamięć. — Zapewne sami, albo kto z waszych byliście tam, wiecie co Kijów — kończył potem, chcąc dowiedzieć się, jak mocną dozą kłamstwa może zaprawiać swoje opowiadania.

— Gdzie nam grzesznym być w Kijowie, rodzony ty nasz! — odpowiadano mu najczęściej — słyszeć to o nim słyszeliśmy, ale sami nie bywali.

— Więc ja wam opowiem o nim, jeżeli chcecie. Urodziłem się w nim i wychowałem, toż go znam jak własną chatę! O Kijów, Kijów batiuszka... święte miasto! pierwsze po matuszce Moskwie; Ławra w nim pierwsza na świecie! —

Po takim przemówieniu tradycyjna ciekawość Sybiraków

co do celu podróży obcych ludzi, ustępowała miejsca niemniej zakorzenionej chęci dowiedzenia się cudownych rzeczy. Sypały się pytania ze wszech stron; dzieci przysuwały się jak najbliżej, stara nawet babka, rzadko kiedy opuszczająca piec, zlaźła zeń w podobnych wypadkach i siadywała w kącie, nachylając trzęsącą się głowę ku Władysławowi, by jednego nie, uronić z jego opowiadań słowa; i opowiadacz mógł być pewnym, iż jak długo będzie prawil o Kijowie i jego cudach, nie zapytają go, w jakim podróżuje celu. Opowiadał też Władysław ze szczegółami, świadczącymi chlubnie o jego wyobraźni. Nie był wprawdzie przed owym czasem jeszcze w Kijowie, ale cudów, jakich dokonywać kazał świętym, mieszczącym się w tamtejszych pieczarach, mógłby mu pozazdrościć nie jeden pisarz żywotów świętych.

Mało jest miast, któreby u ludu tamtejszego podobnie popularnymi były, jak Kijów. Każdy kto był w Kijowie używa we wsi osobliwszej czci i poważania, uchodzi za mędrszego od innych, a pielgrzymka do Ławry i jej niegnijących ciał świętych (nielennyja moszczy swiatych ułodników Bożych) bywa najulubieńszym przedmiotem marzeń podeszłych osób pici obojga.

Znając to usposobienie Moskali łatwo przychodziło Władysławowi je wyzyskiwać. Lecz pozwólmy mu samemu opowiadać.

— Nie ma wprawdzie w Kijowie — prawil po obfitej wieczery zgromadzonym słuchaczom — jak w białokamienniej naszej matuszce Moskwie czterdzieści czterdziestek cerkwi, ale za to są w Ławrze pomiędzy 24ma trzy takie, co wszystkie w całym carstwie zakasują!

— Złote zapewne! — wtrącał gospodarz, który w takich razach sam tylko posiadał prawo mówienia z Władysławem. Reszta obecnych ceniła go tak wysoko, że chcąc się o czemś od niego dowiedzieć, gospodarza obierała za pośrednika.

— Co tam złote! nie byłoby to nic tak wielkiego... Na tych cerkwiach każdy kamyk jest cudowny; jedna z nich nawet nie człowieczemi stawiona rękoma, lecz anielskimi w niebie!

— Ach! — wołało zdziwione zgromadzenie.

— Tak, tak, moi mili, Moskwa stolica carów, Kijów samego Boga podnózek! Święty Innocenty wiecznoskorbiaczij, nie ten co w Irkucku, lecz z naszej Ławry, widział raz w zachwyceniu, jak Bóg siedząc na niebieskim tronie i rozmawiając z Matką Boską, oparł nogi o kopułę Ławry, i bawił się sercem największego jej dzwonu.*) I nie dziw; cała

*) Dosłownie z opowiadań pielgrzymów. To zaś co następuje opowiada Nestor kronikarz.

Ławra cudem postawiona. Św. Teodozy otrzymał plan jej z nieba; miejsce zaś na którym miała stać, było oznaczone raz rosą podczas ogólnej suszy, drugi raz suszą podczas ogólnej rosy. Kiedy zaś zaczęto budować, Bóg, chcąc oszczędzić pracy robotnikom przy wznoszeniu rusztowań, uczynił tak, że co przez dzień wymurowali, to w nocy zapadało w ziemię. I tak ciągle, aż postawili kopuły i zatknęli krzyże na nich. Tedy przez jedną noc cała cerkiew wylazła gotowiusienką z ziemi!

— Ach!... Patrz-no! — wołali znowu słuchacze.

— Co, co takiego, powiedział on na końcu mój gołąbku? — pytała staruszka cichaczem Olesia, nie dosłyszawszy ostatnich wyrazów Władysława.

— W Kijowie, babuszko, cerkiew wylazła sama z ziemi! — odpowiadał tenże nachylając się do jej ucha.

— Z ziemi wylazła... święty Boże! — szepleniła bez zęba staruszka, kiwając siwą głową.

— To jeszcze nie! — ciągnął dalej Władysław. — Ławra była budowaną od fundamentów; jest jednak inna cerkiew, którą zaczęto budować od kopuły, i która w miarę, jak postępowały prace, podnosiła się sama w powietrze; jeszcze inna zaś, co stoi nad pieczarami, spadła z nieba zupełnie gotowa... tak jak jest, z ołtarzem i carskimi wrotami. Św. Tychon wielkiej postnik, co jadła tylko raz na tydzień jedną proskurę, widział jak anieli znosili wapno i kamienie, kładli je jak potrzeba, a ś. Mikołaj młotkiem po nich klepał. Na trzy zaś kopuły zakładali krzyże Bóg Ojciec, Chrystus Pan i Matka Boska; Duch ś. zaś zapalał świece przy ołtarzu i obrazach, bo musicie i to wiedzieć, że cerkiew spadła na ziemię z zapalonemi świecami!

— Z zapalonemi świecami! — wykrzykiwali z podziwem wszyscy. Ta ostatnia uwaga miała przywilej zadziwiania najbardziej łatwowiernych Sybiraków, Władysław nie omieszczał też nigdy jej dodawać.

— Kamienie tej cerkwi są niebieskie i przeźroczyste, dach zielony, a kopuły złotem kryte. Każdy słaby, który się dotknie tych kamieni bywa natychmiast uzdrowiony, jeżeli nigdy w życiu nie palił fajki i nie pił herbaty.

— Naszemu Iwasiowi tam by pójść... przeszłego tygodnia oczy sobie prochem wypalił... odzyskał by może wzrok... — odezwał się czternastoletni najstarszy syn gospodarza.

— Gdzie jemu iść, gdzie! — poucza matka — on i wódkę i herbatę pije, i fajkę także pali!

— Cicho, wy dury! — karci gospodarz — słuchajcie... nie przeszkadzajcie. —

Przychodzi teraz kolej na cuda spełniane przez świętych pieczarskich. Tu już puszczał Władysław wszystkie wodze

swej wyobraźni i kombinował co tylko kiedykolwiek czytał o cudach w żywotach świętych i słyszał z ust zbrodniarzy lub pielgrzymów, z którymi się stykał dawniej.

I to, cośmy już powiedzieli, jak i to, co następuje, nie jest wcale wymysłem. Opowiadania te krążą oddawna w Moskwie między ludem, który ani przypuścić chce, by coś z tego było nieprawdą. Nestora powieść o powstaniu Ławry Kijowskiej, przytoczoną wyżej, słyszeliśmy powtarzaną przynajmniej na kilkanaście odmiennych sposobów.

— Jest w Ławrze naszej — prawil dalej Władysław — św. Prokop zatwornik, który przez kilkanaście lat żył zakopany w ziemi po samą szyję i karmiony był od braci połową tylko proskury*) co tygodnia. Otóż gdy umarł, zrobił Pan Bóg cud nad nim, to jest dopuścił, że po troszę sam wylazi z ziemi. Dotąd wysunął się już po piersi. Gdy wyjdzie cały, ma nastąpić koniec świata. Dwóch oficerów niedowiarków usłyszawszy o tem, i podpiwszy sobie, umówili się że pójdą do Pieczar i świętego Prokopa za barki wyciągną z grobu. Chcieli się przekonać, czy też rzeczywiście nastąpi potem koniec świata. I poszli, ale doszedłszy do świętego, padli nieżywi na ziemię, a ciała ich zaraz na tem miejscu ogień pochłonął! —

— Otóż i ujrzeli koniec świata! — kończył sentencjonalnie gospodarz.

Podczas takich wieczorów Oleś zostawał zawsze na drugim planie; w głębi, że tak powiemy, obrazu. Jako chachlem, więc istotą głupią, upośledzoną od Boga i ludzi, nie zajmowano się nim wcale, uważając go za rzecz przynależącą do rozumnego Władysława, za jego niewolnika. Siadywał zwykle w tym kącie izby, który zajmowała pleć żeńska mieszkańców. Trzeba wiedzieć, że na wszystkich zgromadzeniach, do których dopuszczone są kobiety, tak w cerkwi jak w domu (w publicznych naradach udziału nie mają) przeznacza im zwyczaj miejsca pośredniejsze od tych, które zajmują mężczyźni. Otóż milczał Oleś ciągle, jak przystało na chachla w obec Moskali, i odpowiadał półgłosem tylko na zapytania jakiej staruszki, co nie śmiejąc zaczepić Władysława, do niego się udawała. A było mu z tą rolą bardzo dobrze. Nie znając bowiem, zwłaszcza w początkach podróży, ni języka, ni krajowych zwyczajów, łatwo mógł być zdradzić się gadatliwością i wznieść podejrzenia.

Czasem znikał niepostrzeżenie z chaty wśród najżywszego zajęcia gospodarzy opowiadaniem Władysława, i pomyślał, że mu tenże był raz powiedział, iż ucieczka jest ciąglą wojną, w której niepodobna oglądać się na środki ku zwyciężeniu

*) Proskura, jest bułeczka poświęcana przy mszy prawosławnej.

nieprzyjaciela, badał położenie obory i śpichlerza zbożowego, dosypywał żen obficie ziarna swemu konikowi i brał czasem nawet zapas na przyszłość.

A szczególnie bo też to był konik. Pochodził z sławnej w Moskwie wiatskiej rasy, której wysokość nie przenosi 12 piędzi i która nadzwyczajną odznacza się siłą i wytrzymałością. Wiózł naszych zbiegów w lekkich i mocnych sanneczkach chyżo przez stepy sybirskie, ustrojony w piękną i trwałą moskiewską uprząż z wyrzynaną i malowaną dęgą, do której nawet i dzwonka wyszukał gdzieś Oleś podczas swoich nocnych poszukiwań. W krótkie, zaledwie 5 godzin trwające dni zimowe, robił po 60—70 wiorst t. j. 9—10 mil, i zadawał tym sposobem oczywisty kłam p. Buffonowi, co powiada, że koń, choćby go nawet najlepiej karmiono, nie zdoła wytrzymać przez kilka dni z rzędu takiej podróży, jaką wytrzyma człowiek idący pieszo. Jesteśmy pewni, że pan Buffon nie poważył by się był nigdy wyrzec tak krzywdzącej dla konińskiego rodzaju potwarzy, gdyby był znał wszystkie nieocnione przymioty i zalety ogierka naszych zbiegów.

Młody, krępy, silny, mały, kształtny i okrągłutki, przerzywał się nieborak jak kula przez głębokie śniegi dróg sybirskich i nie dawał się odstraszać, na wzór swoich panów, ni zimnem 40-gradusowem, ni uraganami, ni zawieją. A nie jadał nie przez dzień cały, aż w nocy na stacji, gdzie spożywał zwykle pudówkę t. j. 40 moskiewskich funtów owsa. W braku tego nie gardził ani żytem, ni pszenicą, ni mąką, ni jęczmieniem, ani chlebem pieczonym. Wszystkich cerealjów sybirskich używał przemysłny Oleś do karmienia go, które wyłącznie do niego należało; jednego grochu mu tylko nie dawał.

Dla dokończenia charakterystyki tego niezrównanego zwierzęcia, o twardej, wytrwałej i żarłocznej naturze moskiewskiej, dodamy, że w ciągu trzech najsroźszych zimowych miesięcy, przez które był w posiadaniu zbiegów, objechał z nimi ogromne koło, zawierające obwodu do 5000 wiorst, nigdzie dłużej nad dwa dni nie odpoczywając. Raz biedak mało nie padł ofiarą swego nienasyconego usposobienia. Pomylił się był Oleś w nocy w zasiękach i zamiast owsa nasypał mu tyleż prawie żyta. Ogierek zjadł wprawdzie wszystko, lecz na drugi dzień rozdał mu się okrągły zwykle i kształtny brzuszek do potwórnych pękatej beczki rozmiarów. Można sobie wyobrazić przestach naszych zbiegów, nie mających żadnych środków do kupienia innego konia, i znajdujących się podówczas śród ogromnej puszczy nad Kietią w jeniisejskiej gubernji, gdzie nie mogli żadną miarą rachować na pomoc od współwynajców. Chcąc tedy ratować biednego konika od zguby niechybnej, siebie zaś od nieprzy-

jemnej konieczności niebezpiecznego podróżowania piechotą, zaczęli go pędzić ile sił stało i ujrzeni po kilku już wiorstach nie bez zadowolenia, iż mu to na dobre wyszło. Z całej katastrofy została mu tylko lekka słabość w przednich nogach, która mu jednakże wcale nie przeszkadzała w podróżowaniu. I nie byłiby się zbiegowie rozstali z swoim przyjacielem, który ich kosztował wszystkiego 10 rubli, gdyby nie była nadeszła wiosna, i z nią nie pojawiły się u konika nieposłuszeństwo i narowy. Zamienili go też na spokojnego obskiego konia.

Zapytają może czytelnicy, skąd Oleś i Władysław brali potrzebne na tak dalekie podróże środki pieniężne. Odpowiadamy, że dzięki gościnności Sybiraków, zachwycających się wyżej wspomnianymi Władysława opisami i nie żądających najczęściej zapłaty za noclegi i jedzenie, jako też z przyczyny zapobiegliwości Olesia w zaopatrywaniu się bezpłatnie w furaz dla konika, nie potrzebowali wiele. Często też płacił Władysław za owies i siano, gdy inaczej dostać nie było sposobu, pisaniem listów lub podan do urzędów, za co Sybiracy sownie zwykli wynagradzać. I takim to sposobem stało się, że zbiegowie w ciągu 8^o miesięcznej podróży nie wydali nad 80 rubli, włączając do tej sumy i pieniądze wydane na konia, uprzęż i sanie. A kwoty tej dostarczyły im w części polskie towarzystwa bratniej pomocy, istniejące po miastach, w części zaś znajomi Władysława.

*

O zapadającym zmroku pokazały się pierwsze chaty pewnej wioski, położonej na głównej drodze między Kain-skim i Tomskim. Jeżeli podróżny, nie mogący jechać pocztą, lecz idący pieszo, lub jadący własnym ekwipażem, nie chce pozostać śród zimowej nocy bez noclegu, tedy musi się o takowy starać o zapadającym zmroku. W Syberji nie masz karczem po wsiach, do których by, jak u nas o każdej można zjechać porze. W kabakach sprzedają tylko wódkę, zaś postojalje dwory (zajezdne domy) są to zagrody możniejszych wieśniaków, które nie różnią się niczem od innych chat, i noszą tylko dla tego to miano, że służą za miejsce wypoczynku dla obozów podczas popasu.

Obozem zwie się pewna ilość, 30 do 60 i więcej wozów lub sani jednokonných, za pomocą których izwoszczyki czyli woźnice przewożą z miejsca na miejsce rozmaite przedmioty handlu. Herbata, skóry surowe, łój, wygrzebane kości zwierząt przedpotopowych i futra, są głównymi przedmiotami wywozu za granicę kraju. Wszelkie zaś wyroby fabryczne

i kolonialne, znane pod zbiorowem nazwiskiem «krasnij towar» stanowią przedmiot przywozowy.

Idzie więc zatem, że wspomniane zajezdne domy, których, jak mówiliśmy, żadna zewnętrzna nie wyróżnia oznaka, znajdują się tam, gdzie przejeżdżają takie obozy, więc tylko na głównym Sybiru gościńcu, na tak zwanej «bolszoi dorogie». Przytem nie każda wieś je posiada, bo tylko w pewnych z nich zatrzymują się woźnice na popas, i stacje te są oddalone jedna od drugiej o 35 do 45 wiorst.

«Izwoszczyki i postojalje dwory» na osobny zasługują opis, który zostawiamy na później.

Zwyczajni podróżni nie kwapią się do tych domów, ponieważ względnie dosyć są drogie. Starają się więc najczęściej o prywatną gościnność. Sybiracy udzielają jej chętnie, ale tylko w dzień, lub najpóźniej wieczorem. Zaskoczy cię burza na stepie, lub nie dozwoli inny jaki wypadek zdążyć na czas do wsi, tedy możesz być pewnym, że żaden Sybirak wrót ci swoich nie otworzy. Ogólnie panuje tam przesąd, że w nocy źli tylko podróżują ludzie, podobnie jak powszechnie wierzą, iż moc szatańska w nocy bywa najsilniejszą. Do tych religijnych przesądów nie dozwalających Sybirakom być podobnie gościnnymi w nocy, jak we dnie, miesza się także obawa przed sądem, który srodze karze tych, co dają przytułek zbrodniarzom lub złodziejom, bez względu na to czy wiedzieli, kogo w dom swój puscili, czy nie. Sybirak woli więc odmówić w nocy przyjęcia każdemu, jak przenocować zbrodniarza lub włóczęgę. — W dzień — prawi — widzę z kim mam do czynienia; widzę i sąsiedzi, że do mnie zajeżdża lub zachodzi; w nocy, kto go tam wie, co on za jeden, gdzie i po co jedzie. Nuż przed chwilą zrabował lub zabił kogo i u mnie go złapią... zasiedateli gotów powiedzieć, że ja był z nim w zмовie, choćby dla tego tylko, aby mnie obedrzeć. —

Nauczeni kilkakrotnie doświadczeniem i nie chcąc się narażać na przepędzenie nocy zimowej śród stepu przy stogu siana lub owinie zboża, jak to już kilka razy uczynili byli zmuszeni, zbiegowie przestrzegali pilnie zwyczaju i starali się zawsze tak urządzić, aby przybywać na nocleg przed zmrokiem. I teraz zatrzymali się we wsi i stanęli przed domem, którego powierzchowność zamożniejszego znamionowała właściciela. Wpuszczono ich zaraz, nie odsyłając do innej chaty.

Wszedłszy do izby i przekonawszy się z jej powierzchowności, szczególnie zaś z kształtu obrazów zawieszonych w przednim kącie, że mieszkający nie są raskolnikami jako też, że na piecu nie ma baby, której twarz zdradzałaby opisaną już w kartach niniejszych chorobą na «zepsucie», Wła-

dysław wziął się po zwykłym powitaniu wedle zwyczaju swego do fajki. Zdziwiło go trochę, że gospodarze nie okazali jakoś ciekawości i mało zajmowali się nowoprzybyłymi; myślał jednak że to później nastąpi... Milczał więc i on, czyszcząc potężną drewnianą fajkę o szerokim, zagiętym cybuchu i pracował nad wynalaskiem nowego jakiegoś świętego w Kijowie i jego cudów, o których dzisiaj opowiadać zamierzał. Właśnie chciał wykrzesać ognia, kiedy gospodarz zbliżył się na palcach, i rzekł tajemniczo głos zniżając.

— Pocztennijszyj!*) wybaczenie!... jeżeli chcecie palić, wyjdźcie do sieni!...

— Albo co? macie kogo «zepsutego» w chacie? — zapytał Władysław, chowając fajkę do kieszeni.

— Nie to, lecz mam dzisiaj takiego gościa w domu, przy którym palić nie można.

— Gdzież on?... wszak nie widać nikogo obcego w chacie.

— Tam! — rzekł gospodarz tajemniczo wskazując łóżko zakryte frankami.

Ozdoby takiej przy łóżkach używają tylko bogatsi włościanie.

Władysław spojrzał ciekawie na wskazane miejsce i teraz dopiero dostrzegł przez szparę zsuniętej zasłony siedzącego na pościeli mężczyznę ze skrzyżowanymi na sposób tatarski nogami. Był to człowiek lat około 35, chudy, cery słabowitej, o zwidłej, bladej twarzy, długich jasnych włosach, rozdzielonych w połowie, o rudej brodzie i wąsach, z całego składu oblicza podobny nadzwyczaj do żyda. Zdawało się na pierwszy rzut oka, że twarz, jaką Moskale zwykli nadawać Zbawicielowi na obrazach, i która bywa zawsze najczystszy typem twarzy żydowskich, upostaciowała się u tego człowieka w żywy odbitek, albo też, że służyła za wzór wszystkim malarzom, co nad podobnemi pracują bohomażami. Nos znacznie w haczyk zakrzywiony, usta wąskie, bezbarwne, rysy ostro odznaczone, i budzące to nieprzyjemne uczucie, które antypatją zwiemy, przypominały żywo potomka czystej krwi tych dziesięciu pokoleń, które Salmasar zabrał w niewolę, i które z Medji, gdzie były pierwotnie osadzone, rosproszyły się po wschodniej Europie. Oczy miał przymrużone, jeżeli zaś otworzył je, to wydawały się jak dwie soczewki szklane, martwe, zamglone i bez wyrazu. Patrzył na świat, jak trup, co skonał z rozwartą powieką, lub jak śpiący, co sypia z otwartemi oczami. Żadna myśl wyższa nie ożywiała twarzy; na bładem, wysokiem czole pomysłów

*) Tytuł ten znaczy po polsku «najpoważniejszy» i służy ludziom nie należącym do «dworjan», a będącym czemś więcej, jak chłopci. Należą tu więc kupcy, mieszcianie i żołnierze.

jakichkolwiek zdolna nie odbijała się dusza. Wszystko znamię pomieszane na umyśle, lub fiksata. Za cały ubiór służyła mu płócienna, po kostki długa koszula i letnia czarna suknia greckiego kroju, podobna bardzo do ubrania księży prawosławnych. Nogi miał boso, głowę niepokrytą.

— Kto to? — zapytał Władysław gospodarza, oglądającego bacznie tajemniczego gościa.

— Święty! — odrzekł Sybirak uroczyście i z niejaką dumą. — To cały jego ubiór, co ma na sobie... Butów nie czapki nie używa ni zimą ni latem... Zdybałem go dziś rano idącego przez wieś i nie dowierając oczom, aby człowiek mógł wytrzymać w takim ubraniu tak ostre mrozy, zaprosiłem do siebie, a raczej zaprowadziłem... Miał jeszcze ten oto woreczek z książkami, co widzicie na pulce, i kij, co tam stoi w kącie. —

Tu wskazał na pielgrzymi kostur, pomalowany na czarno i krzyżem zakończony. Było to coś naksztalt pastorału, z jakim świętych malują biskupów.

— Jak to, boso i w tej tylko odzieży szedł, mówicie?

— Tak, jak go tu widzicie... i tak idzie już z Irkucka tej zimy!

— Nie pytaście go, jakim sposobem to się dzieje, że nie zmarł gdzie na drodze podczas uraganu? — pytał zaciekawiony Władysław.

— Gdzież nam grzesznym godzi się pytać takiego człowieka... Zresztą on nic nie mówi. Odkąd tu jest, zaledwie kilka słów słyszeliśmy od niego... Widać nie zasłużyliśmy na to, aby z nami rozmawiał. Gdy zaś przypadkiem usłyszy, że ktoś powie co złego, lub zaklinie, wtedy oczy tylko odwróci i skrzywi się jak do płaczu...

— Cóż to za człowiek?... czy nie czuje zimna, czy co?

— Mówilem wam, święty! Jurodywyj, jak zwą takich pospolicie. Nad nim sam Bóg czuwa i wlewa weni przez anioła tyle niebieskiego ciepła, że nasze mrozy niczem mu się wydają. —

Między ludowymi typami w Rosji «jurodywyje», czyli półgłówki zajmują jedno z widniejszych miejsc. Żadna powieść, żaden dramat moskiewski, noszący czysto narodowy charakter na sobie, nie obejdzie się bez nich. Można się o tem przekonać dowodnie z wzorów literatury moskiewskiej ubiegłego stulecia, albo też i z nowszych, które przedstawiają byt domowy Moskali przed wiekiem 19. Każdy dawny bojar miał przy swoim dworze takiego półgłówka za blazna; jaką zaś rolę odgrywali na dworach carskich do Piotra włącznie, poucza historja.*)

*) Menzikoff, qui dans son enfance servit de bouffon dans les cours du palais aux soldats de la garde, et qui ayant un jour amusé le czar — devint favori. (Rulh. Anarch. I. III.) On voyait même à sa cour

Mając wiele wspólnego z «opętanymi» «porczenymi» i t. d., o których w niniejszych kartach już wzmiankowaliśmy, jurodywyje uważani są przez lud za istoty wyższe, natchnione od Boga. Przypisują im powszechnie dar przepowiadania przyszłości, rozumienie rzeczy ukrytych, nawet moc tworzenia cudów. Gmin moskiewski, tak dla tego że stoi na bardzo niskim stopniu oświaty, jako też że jest bardzo skłonny do fanatyzmu, rad podnosi do cudowności i otacza religijnem poszanowaniem i czcią niepospolitą, cokolwiek wychodzi z karbów zwykłego życia.

Jakkolwiek przesadzone są przymioty, które lud przypisuje jurodywym, są oni jednak rzeczywiście niezwykle istotami. Osobliwie wydają się takimi na pierwszy rzut oka. Nie podlega wątpliwości, że każdy z nich posiada jakiś niedostatek w umysłowym organizmie, ten niedostatek atoli nie czyni ich zupełnymi warjatami. Są to po największej części ludzie spokojni, głupekowatego wejrzenia, mało i właściwym sobie sposobem mówiący, na swój sposób bogobojni i prawie powszechnie nadzwyczaj wytrwali, raczej nieczuli, na rozmaite powietrza zmiany. Widziano z nich wielu, jak postępowali boso i w lekkim ubraniu za procesją jordanową i byli przytomni przy całym długim obrzędzie święcienia wody, nie ruszając się z miejsca. I ten to właśnie przymiot jest najgłówniejszą wzmiankowanego poważania u ludu przyczyną.

Niedowiarki twierdzą, że jurodywyje smarują sobie skórę jakąś maścią, która czyni ich ciało nieczulem tak na zimno jak na gorąco. Nie wiemy czy są w przyrodzie pierwiastki, podobne posiadające własności; sądzymy jednak, że nieczułość ta pochodzi raczej z błędu organicznego. Wiadomo że warjaci podobne posiadają przymioty. A gdy przypomnimy fakirów indyjskich i innych wschodnich fanatyków, o których pełne opisy podróźnych, i z którymi jurodywyje niezaprzeczenie są spokrewnieni, tedy ustanie wszelka wątpliwość, że mamy do czynienia z chorymi.

Po oświadczeniu gospodarza, Władysław wyszedł z fajką do sieni, i kryjąc się w obłokach dymu, dumał o dziwnym człowieku, o którym przed chwilą rozmawiał. Namyslał się także, jaką na dzisiaj wypada mu przyjąć rolę i o czem opowiadać, gdyby się zawiązała rozmowa. O Kijowie i jego świętych nie było co wspominać. Jurodywyj był tam niezawodnie i mógł zaprzeczyć, gdyby usłyszał zanadto jaskrawe kłamstwo. Wypadało więc zmyślić co świeżego. Tak du-

(Pierre I.) un de ses bouffons porter le nom de pape, jouer en cette qualité d'un palais et d'un revenu, et sous l'autorité de ce bouffon on y parodiait dans les plus folles débauches toutes les cérémonies de l'église romaine. (tamże l. IX.)

mającego zastał syn gospodarza, 18-letni chłopak, gdy przechodził przez sieni, zamierzając wyjść z domu.

— Co? tytoniek palicie, pocztenniszyj? — rzekł, uśmiechając się i ściągając kożuch wełnianym pasem.

— Tak sobie, miły, dla rospędzenia nudów! — odrzekł Władysław. — A dokąd to śpieszysz?

— Na wieczernicę!

— Gdzie? daleko?

— W sąsiedztwie... do sałatki...

— Mogłbym i ja pójść z tobą?

— Dla czegoż nie. Jest tam dziewczek dosyć. Kupicie którejkolwiek pół sztofa, i zabawicie się... Idźcie, ubierzcie się, ja zaczekam przed wrotami. —

Władysław należał do ludzi, co nie wzdragają się nawet przed mętami, byle dociec, jak te męty wyglądają. Słyszał wiele o wieczernicach, wiedział na czem zwykły się kończyć, lecz przytomnym nie był dotąd na żadnej. Propozycja sybiraka przypadła mu do gustu, zwłaszcza że należała do tych, jakich młodzi ludzie w ogóle nie każą sobie powtarzać. Poszedł tedy do Olesia, który wgramolił się już był na pałatki, czekając tam na wygodnem posłaniu wieczery, i wzięwszy z jego kalety kilka srebrników, udał się z sybirakiem do mieszkania sałatki.

Sałatka należy także do typów wyrazistych moskiewskiego społeczeństwa. Jestto kobieta, której męża wzięto do wojska, która zatem ni wdową jest ni mężatką. W każdej wsi bywa ich po kilka; sposób zaś, w jaki przepędzają życie, skazane na kilkunastoletnią zwykle samotność, już z tego można ocenić, że nazwa ich bywa tak w Moskwie jak i w Syberji, w tym ostatnim kraju najbardziej, synonimem nierządnic. Przyczyna ogólnej rozwiązłości tych kobiet jest zresztą łatwą do wytłumaczenia. Zostawszy po kilkunastu latach, najczęściej dwuletniem pożyciu małżeńskiem przymusowo rozłączone z mężem, którego nigdy albo po kilkunastu latach dopiero mają zobaczyć; będąc zupełnie swobodnymi i narażonemi na rozmaite pokusy, sałatki, choćby wielką była ich miłość ku małżonkom, muszą w końcu uleść demoralizującym wpływom, zapomnieć straty i pocieszyć się po niej, zwłaszcza że za mąż nie wolno im wychodzić. Żadna też prawie nie wylamuje się z pod tego prawa; po jakimś czasie poświęconym żalobie, który atoli zbyt długo nie trwa nigdy, używa świata, póki służą lata, hula, jak mawiają Moskale. —

W Syberji mieszkają one zwykle w małych, najczęściej dachem nie pokrytych chatkach, o dwóch, trzech okienkach i jednej izbie. Chatki te łatwo można poznać; nie mają ani obory ani zagrody, które dla nietrudniących się gospo-

darstwem właścicielek wcale sązbyteczne. Póki młode są i zdrowie sprzyja, życie upływa jako tako; lecz gdy nadejdzie starość, zmieniają dawne rzemiosło i stają się kuplerkami, położnicami babkami, wrózkami nawet, najbardziej zaś trudnią się plotkami. Że zaś to wszystko nie wystarcza na zaspokojenie niewielkich wprawdzie ich potrzeb, chodzą w pewnych czasach „po miru”, t. j. na żebry od chaty do chaty.

Taka stara sałatka mieszkała w chatce, dokąd młody Sybirak zaprowadził Władysława. Wchodziło się do wnętrza z małego przedsionka, pozbawionego zewnętrznej ściany, a zatem jakby wprost z ulicy. Izba nie różniła się w głównych rysach niczem od zwykłych izb sybirskich, była tylko o wiele mniejszą od nich. Piec zajmował jedną część, łoże wątpliwej trwałości i skrzynia wypełniały drugą, trzecią zaś, swobodną ścieśniały sosnowe ławy, stojące do koła ścian niezajętych. Pałatek tu brakło dla niskości pułapu, lecz kąt przedni owieszony był jak wszędzie licznymi w stosunku do objętości mieszkania bohomazami. Zamiast lampy, wisiało przed niemi coś naksztalt gołąbka z białego niegdyś papieru. Zamiast tej używają zazwyczaj biedniejsi, co nie mają za co sprawić lampy i kupić oliwy. Zapyta może kto, dla czego właśnie gołąbkowi przypadła rola zastępstwa świecznika, nie czemu innemu; na to odpowiemy, temu, że Sybiracy uważają gołąbka za godło Ducha św., który sam przez się bez lampy i oliwy jest światłodawcą.

Kiedy Władysław i Sybirak weszli do chaty, siedziało tu owdzie na ławach kilkoro dziewcząt, z których najstarsza mogła liczyć najwięcej lat 20. Przędły one wprawdzie wszystkie, lecz robota ta, która na podobnych wieczernicach podrzędna tylko zwykła odgrywać rolę, nie szła im jakoś sporo. Bywa ona jedynie pretekstem do schadzek dla tych dziewcząt, które posiadają srogich i moralności dzieci przestępujących, lecz bardzo nielicznych w Syberji, rodziców. Na środku izby stał świecznik, około którego krzątała się mała dziewczyna, lat 10 najwyżej licząca. I ona także była zajęta przedzeniem; prócz tego było jej obowiązkiem zakładać do świecznika świeżą szczepę, skoro poprzednia zgorzała.

Wypada poznać czytelnika i z tym sprzętem domowym, używanym dość często przez biedniejszych mieszkańców. W Moskwie znają go także w niektórych guberniach. Jest to kij stojący na krzyżowej podstawie i zakończony u góry żelaskiem, rozłupanem na cztery części. Pomiędzy takowe wkłada się suche i umyślnie na ten cel przygotowane łuczywo sosnowe lub brzożowe, które paląc się obdziela izbę prócz dymu i zagoru jeszcze czerwonaem, chwiałcem się światłem. Stojący u stóp świecznika cebrażyczek z wodą

przyjmuje opadające z łuczyw węgle, które gasnąc wydają bezustanne syczenie, jakby wtór do smeru pochodzącego od rojących się po ścianach tarakanów i szwabów.

W kącie izby stał jakiś parobczak i przysłuchiwał się monotonnej, jak linja koła wracającej w siebie piosnce, którą fałszywie, piskliwie i przez nos chórem nuciły dziewczęta. Na piecu leżała sałatka, obrócona grzbietem do góry, i sparszy roszochraną głowę na kościstych rękach, patrzyła bezmyślnie na komnatę. Być może przypominała czasy, kiedy rej wodziła na podobnych zebraniach. Zgasłe oko, pomarszczona twarz, przypruszony siwizną włos dawały jednak jawne świadectwo, że chwile owe w odległej gdzieś gubiły się przeszłości.

Wejście dwóch nowych gości nie przerwało zajęć dziewcząt. Podniosły tylko główki, aby ponad dym i blask czerwonaem łuczywa zobaczyć kto przyszedł, i opuściły je, dostrzegłszy młodego Sybiraka, który szedł przodem i był im zapewne dobrze znany. Piosnka nie ustała nawet podczas zwykłej modlitwy świeżo przybyłych.

— Fiołka, ruszaj mi się dzisiaj żwawo i świeć jasno!... Przyprowadziłem wam nowego gościa, cudzoziemca! — mówił Sybirak do małej dziewczynki przy świeczniku, posuwając się po skończonych modłach dumnie na środek izby. —

Na te słowa piosnka przymilkła. Dziewczęta podniosły oczy i zaczęły się ciekawie wpatrywać w głab chaty. Władysław, nie chcąc uchodzić za niebyswalcę, postąpił śmiało ku świecznikowi, potoczył wzrokiem po zdziwionych trochę jego przybyciem Sybiraczkach i rzekł:

— Jak się macie, moje gołąbki?

— Miłosti prosim, miłosti prosim! — zaszczebiotano w koło.

Zaczęły się po tem przywitaniu obserwacje i szepty między mizdrzącemi się prządkami; jedna z nich zbliżyła się do młodego Sybiraka, który stał na uboczu i wypytowała go o towarzysza. Wkrótce wszystkie wiedziały, kto był i skąd przyjechał Władysław.

— Czemuż przestałyście śpiewać? — zapytał on, usiadłszy obok najpoważniejszej.

— Bośmy was chciały obaczyć! — odpowiedziała śmiało.

— Wieg jużście widziały... śpiewajcie teraz dalej... A nie bolą was gardła? — dodał po chwili krztusząc się ostrym dymem, co zalegał izbę. — Uduśić się tu można... Czemu nie zaświecicie świecy?

— Nie mamy! — odpowiedziano mu. — Oto, kupilibyście... widniej byłoby w chacie i weselej...

— Jeśli o to tylko chodzi... — mówił Władysław dobywając grzywny (10 kop.) z kieszeni.

— Eudotjo! zleż-no z pieca, i skocz po świecę! — rzekł towarzysz Władysława do sądatki.

Po dwukrotnem dopiero wezwaniu i po zapewnieniu wynagrodzenia za trudy ruszyła się baba i powlokła na dwór. Śpiewy rozpoczęto znowu, i do chaty weszło po jednemu jeszcze kilku parobków. Niebawem pojawiła się i świeca i zastąpiła miejsce nieznośnego świecznika.

Śród śpiewów, o których melodie trudno mieć wyobrażenie, nie słyszawszy jej, przeplatanych śmiechem i żartami, których nie myślimy powtarzać, upłynęło ze dwie godziny. Z tego zaś, co podczas nich naprzędły dziewczęta, nie można by pewnie porządnego ukreślić stryczka.

Zaproponowano potem składkę na wódkę, do której najwięcej przyczynić się musiał Władysław. Ochota rosła w miarę jak mnożyły się czarki. Na widok ich i sądatka, jakby jej lat ubył z dziesiątek, zsunęła się z pieca i gadatliwszą się stała. Któryś z parobków przyniósł bałabajkę, więc przy jej cichych, choć nie pozbawionych wszelkich przyjemności dźwiękach, dobywanych palcami grajka z trzech tylko cienkich strun*) zaczęto płąsy, zwane triepak. Przy-pominały one kozaka, były atoli tak mdłe, bez życia, i pozbawione wszelkiej charakterystycznej cechy, jak te pieśni, które przed tem śpiewano... jak przegrywka, po której tańczono... Step sybirski, piosnka, taniec, jest to jeden akord nudny, długi, nieskończony, w którym ni ruchu, ni barwy mimo najszczerzej nie dopatrzysz chęci.

Mimo tej niedoskonałości tańców, Moskale lubią je namiętnie. Przy lada instrumencie gotowi pisać do upadłego i zapominają podczas tej zabawy o wszystkim. Podobni są w tem do murzynów, których jak wiadomo lada dźwięk przy-wodzi w szalone podrygi, choćby bezpośrednio przed tem surową odebrali chłostę.

Właśnie gdy się w najlepsze bawiono, jeśli podobne gwary i tańce wolno nazwać zabawą, dał się słyszeć na dworze potężny bas pijanego oczywiście jakiegoś człowieka, który się zbliżał ku chacie.

— Batuszka, batuszka idiot! — krzyknęła klaszcząc w dłonie jedna z dziewcząt i zerwała się z siedzenia.

— Otóż to dopiero będzie pociecha! — odezwały się chórem inne, zaprzestając tańców. — On tak śmieszny, kiedy pijany!

— Poczekajcie no! ja go dzisiaj omaluję... musi nas wozić po izbie osmarowany! Tylko szła! nie śmiejcie się, kiedy wejdzcie, pamiętajcie! — mówiła poprzednia trzpiotka i po-

*) Prócz bałabajki zakończonej trójkątną skrzyneczką, używają jeszcze sybiryacy bandurki, instrumentu o 5 strunach, podobnego do lutni. Gitarę w miastach tylko zobaczysz gdzieś gdzieś.

biegła wesoło do komina. Tam osmarowała sobie obie dłonie sadzą i odbiegła znowu na środek izby.

Tymczasem bas ryknął tuż pod drzwiami i słychać było jak ktoś szukał klamki. Po dobrej dopiero poszukiwaniu chwili rozwarło na roście wejście i do izby wszedł pop z piosnką na ustach: «Kaby ja, da kazaczka była, skakała, piasała i t. d.» Nucąc ją, podskakiwał pod szybki takt melodii, podobnej zupełnie do «triepaka».

Obecni w chacie zrobili ulicę; dziewczyna z czarnemi rękami stanęła naprzeciw skaczącego batuszki i zaczęła wraz z nim pisać. Pop cmokał ustami, klasnął w dłonie, wymachiwał rękami i nogami na wszystkie strony, przeginał się ciałem to w prawo to w lewo, puszczał się w prysyudy, tupał, rzucał się, i wszystko w takt piosnki, którą nie śpiewał, lecz ryczał po prostu. Ile razy zbliżyła się dziewczyna do niego, tyle razy gaskała go rękami po twarzy, skutkiem czego przeszła większa część sadzy z rąk trzpiotki na oblicze popa...

Był to widok nie lada. Władysław nie żałował kilkudziesięciu kopiejek, które wydał tego wieczora; ubawił się serdecznie...

Proszę sobie wyobrazić izdebkę małą, niską, na wpół tylko oświeconą lojówką, której płomień wahał się na wszystkich stronach od wzruszonego powietrza. Izdebka pełna ludzi skupionych w ciasne koło. W środku rzuca się jak opętany, oczerniony sadzą popisko. Wejrzenie jego pijane; czarna broda; włosy splecione w dwie kosy, spadają na barki. Głowę ma nie pokrytą, odziany zaś tylko w podriasnik*) przepasany rozstrzępionym od użycia wełnianym pasem. Przy podrygiwaniu ryczy potężnym głosem szaloną piosnkę. Proszę sobie to wszystko wyobrazić — mówię — a będzie się miało choć zbliżone pojęcie o tym obrazie, którego oryginalności nie wiele rzeczy wyrówna.

Wszystko to jednak miało być tylko przegrywką do oryginalniejszych jeszcze scen, które, o ile to będzie w naszej mocy, postaramy się oddać wiernie.

Dobre ćwierć godziny trwał ten prawdziwie szamański taniec**) wśród ogólnej w izbie wesołości. Nakoniec pop usiadł na ziemi, odetchnął głęboko i wrzasnął:

— Hou! tprrrr! pastoj brat, umorilsia do smerti — ***) tu dodał zwyczajne przekleństwo.

*) Jest to suknia duchownych moskiewskich, którą odziewają pod sutanne, przeważnie riasa.

**) Szamani są to kapłani pierwotnych mieszkańców sybirskich, jako to Tunguzów, Dolhanów i t. d. Przy obrzędach religijnych wyprowadzają oni tańce z rozmaitemi konwulsyjnymi ruchami, i stąd nazwa szamański taniec.

***) Zaczekaj bracie, zmęczyłem się strasznie!

— Nu tak už piasun iz was batiuszka!... mołodiec chot kuda*) — ozwał się jakiś parobek.

— Eh bratku! czy nie ma tam gdzie choć pół szkalika wódki? zatańczę wam nie tak jeszcze! — mówił pop, oglądając się w koło.

— Dam ci, ojcze, całą szklanę — zawołała trzpiotka o czarnych rękach — ale musisz nas jeszcze powozić po izbie.

— Dasz-li?

— Dalibóg dam!

— Siadaj! — krzyknął rozochocony i stanął na czworakach.

Śród nowego śmiechu zmieniła dziewczyna za pomocą pewnego niezbyt estetycznego manewru spodnice na spodnie i siadła na popa, jak na konia. Chwyciwszy go jedną ręką za kosa, jak za lejce, poganiała drugą, krzycząc piskliwym głosem: wio, wista, hej! Czolgając się po ziemi na nogach i rękach zrobił z nią pop koło i stanął.

— Dosyć już, zła! — mówił.

Dziewczyna usłuchała wprawdzie, ale nim się pop zdołał podnieść, już druga siedziała na nim. Krzyk pusty i dziki, zastępujący miejsce śmiechu towarzyszył tej igraszce, która się powtórzyła jeszcze kilkakrotnie.

Przy piątej czy szóstej przejazdce wbiegł do izby nowy, niepostrzeżony z początku gość, który miał w niebardzo przyjemny dla popa sposób zakończyć te dziwactwa. Była to kobieta wysoka, chuda, nie pierwszej już młodości o grubych, wyrazistych rysach twarzy, z iskrzącym wzrokiem i z roszochranymi włosami. Chustka, którą miała na głowie, zsunęła się podczas biegu na ramiona; włosy rozwinęły się w nieładzie i przypominały węże furji. Wyglądała jak istna czarownica, albo jak przekupka krakowska podczas rozdrażnienia.

Wbiegłszy do izby, stanęła tuż po za kołem widzów, podniosła się na palce i poglądała nad ich głowy przeszywającym wzrokiem na śmieszną scenę, wyprawianą kosztem popa. Trwało to tylko chwilę jedną; poczem rostrąciła parobków, tamujących jej wolny przystęp do środka, spadła niespodzianie jak sęp z pod chmury na grzbiet popa, kiedy się właśnie miał podnosić na nogi, by zażądać obiecaną za służbę wierzchowca nagrody, zatopiła suche, długie palce w bujne jego włosy i krzyknęła pieniać się ze złości:

— Ach, ty psi synu... podły ty! wornak... od dwóch godzin szukam cię już po wszystkich kabakach, a ty złodzieju oto co wyrabiasz!... Ja cię... —

*) Tęgi z was ojcze tancerz... zuch, jakich mało.

I posypały się po tem energicznem przemówieniu popadzi, gdyż nią była świeżo przybyła, prędkie razy kościaste pięści na nieszczęśliwy grzbiet zdumionego batiuszki, stojącego zawsze jeszcze na czworakach. Snać silnie uderzała rozjątrzona małżonka, bo po każdym uderzeniu dudniło w piersiach popa, jak w beczce.

Tak niespodziany zwrot sprawy rozśmieszył wszystkich jeszcze bardziej. Nikt z przytomnych nie starał się wybawić popa z rąk piekielnicy, lecz każdy poglądał na tę dziwną scenę, jak na dalszy ciąg poprzedniej igraszki. Ofiara jednak, której kosztem wszystko się odbywało, nie myślała podobnie. Chcąc w obronnej względem swej połowicy stanąć pozyceji, biedny popisko podniósł się trochę z ziemi i pokazał zarazem osmarowane sędzą oblicze. Spostrzegłszy je popadja wpadła w rozwścieklenie. Dzikie, niezrozumiałe tylko okrzyki dobywały się z zaschłej jej gardzieli, ręce zaś prędkością błyskawicy sięgały uderzeniami wszędzie, gdzie tylko dopaść mogły.

Nieprzyjemnym być musiał ten rzęsisty grad razów dla popa, na którego twarzy krew się pokazała, bo zaczął wrzeszczeć na całe gardło;

— Karauł, batiuszki, karauł! —*)

Scena była tak oryginalna i śmieszną, że obok stojący za boki się trzymali. Po chwili przemówił jeden z parobków do popadji:

— Dałybyście pokój, mateczko; cóż w tem złego, że się batiuszka trochę zabawił?... On wam nie przeszkadza i nie bije was, kiedy się włóczycie po wsi pijana z kochankiem, co u was jest furmanem! —

Jakby oparzona skoczyła popadja do niebaczego mówcy, zostawiając małżonka na środku izby. Ten nie czekał oczeiwicie jej powrotu, lecz wymknął się co rychlej na ulicę. Byłaby rozzłoszczona do ostatniego popadja obsypała razami swych pięści i parobka, co śmiał jej podobne przypominać grzeszki, gdyby ten nie był stanął w groźnej postawie z gotowem do uderzeń pięstkami i nie rzekł:

— Odstap! inaczej dalibóg nie będę zważał żeś pani, lecz poczęstuję cię tak, że drogi do domu nie znajdziesz...

— Poczekaj-że psi synu, dam ja ci!... do włosów, do zasiedatela zaskarżę... Będziesz siedział w tiurmie razem z wornakami — wrzasnęła popadja i wybiegła także z chaty, spostrzegłszy nieobecność męża.

Obrazek ten zdjęty jest z natury i stanowi jakby ilustrację do charakterystyki duchowieństwa moskiewskiego, skreślonej, jak sobie czytelnicy zapewne przypominają, przez nihilistę. Nie wyda on się bynajmniej przesadzonym tym

*) Ratujcie, ratujcie, ojeowie!

ludziom, co mieli sposobność poznać z bliska tę szanowną kastę.

Gdy zabrakło popa i komentarze o nim i o połowicy jego już się wyczerpały, zaczęto nową zabawę. Jedna z dziewic chodziła po izbie, nucąc jakąś monotonną piosnkę i przypatrywała się pilnie siedzącym w koło mężczyznom. Po chwili rzuciła pod nogi wybranego chustkę i kiękała. Parobek winien był rzucić na chustkę pieniądź, podnieść dziewczynę i ucałować. Władysław jako najhjojnieszy z całego towarzystwa zaszczycony był najczęsciej tą odznaką.

Po ukończeniu tej zabawy towarzystwo zaczęło się powoli uspokajać, rozsiadłszy się parami po rozmaitych kątach izby. Ci z parobków, którzy nie mieli bogdanki, wynieśli się do domów na spoczynek. W chacie zaczęły się rozmowy ciche, szepcane, przerywane tylko niekiedy głośniejszym wybuchem śmiechu jakiej dziewczyny...

Późno w nocy dopiero wrócił Władysław z towarzyszem do domu...

Nie od rzeczy będzie skreślić na tem miejscu kilka ogólnych uwag o stopniu moralności ludu syberyjskiego. Wieczernica dopiero co opisana, praktykująca się dość powszechnie w owym kraju, nie daje zbyt pochlebnego pojęcia o jego wysokości. Atoli sąd wynikający z powyższego opisu byłby za łagodnym. Szkic ten musiał pozostać dla względów przyzwoitości niezupełnym, nie wszystko obejmującym; wypada więc dodać w ogólnych rysach, czego nie wykazuje.

Moralność Sybiraków można nazwać więcej jak podejrzaną. Po wsiach zaś przy wielkim gościńcu, tej jedynej znośnej drodze, która przerzyna w prostej niemal linii cały kraj od zachodu na wschód, zepsucie dosięga potwornych rozmiarów. Słyszeliśmy niejednokrotnie od bywalców, że od granic zachodnich aż po Irkuck i dalej nie łatwo natrafić przy wielkiej drodze na porządną dziewczynę, zaczawszy już od lat 13, 14. «Wsie hulajut», mówią sami Moskale. I kilkakrotna nasza podróż po tych miejscach, jako też spostrzeżenia czynione w tej mierze potwierdziły w zupełności zdanie, które już na wstępie do Sybiru mieliśmy sposobność słyszeć.

Od samych dziewcząt, a zatem z najpewniejszego źródła wiemy, że matki dają swym córkom, kiedy te dochodzą lat 14, 15, pewny napój z ziół, który skutkuje na pewien czasu przeciąg i niszczy zdolność poczęcia płodu. W każdej wsi bowiem znajdziesz kilkanaście takich wyrodných kobiet, co same wprowadziły swe dzieci na bezdroża, sprzedawszy je po prostu jakiemu przejeżdżającemu urzędnikowi, kupcowi lub przykaszczykowi. Użycie podobnego środka przerwatynego

zowie się tam technicznym wyrazem «portit' briucho». Temu to środkowi, powszechnie używanemu zawdzięczają dziewice sybirskie to, że rzadko z nich która zostaje matką przed zamążpójściem. Za to rodzi zawsze prawie, skoro wyjdzie za mąż. Usłużne matki bowiem i inne babki we wsi umieją podaniem innego napoju naprawić to, co zepsuły na czas jakis.

Starsze kobiety sybirskie znają się niezaprzeczenie na szkodliwych i pożytecznych własnościach ziół niektórych. Jest to zresztą jedna z cech wszystkich narodów, żyjących w półdzikim stanie. Używaniu ziół takich i przygotowywaniu z nich potrzebnych leków towarzyszą wprawdzie zawsze niedorzeczne gusła i kabalistyczne obrzędy, mające w oczach ludu więcej doniosłości, jak leki same, ale fakt to niemniej pewny, że wiele sybiraczek umie pomódz, a jeszcze więcej zaszkoodzi ziołami.

Każdy młody sybirak nauczony tradycją, jakoteż doświadczeniem, wie, że kochanka może go przysuszyć, jeśli zechce, t. j. może sprawić tajemniczymi środkami, iż dostanie konsumpcji ciała. To też przestrzegają podczas drogi na Sybir wytrawni zbrodniarze-bywalcy młodych towarzyszków podróżu, aby się mieli na ostrożności, zawiązując stosunki miłosne z Sybiraczkami. — «I nie spostrzeżesz, jak cię zniszczy ziołami» — kończą zwykle swoje przestrogi.

Mniej świadomi są w tych rzeczach mężczyźni. Tak zwanych znachorów, czarowników, dosłownie: znających się, nie ma w Syberji. Daleko bogatszą już pod tym względem jest Moskwa. U Sybiraków nie widać nawet chęci nauczania się rozmaitych guseł, których używają kobiety; dobrowolnie, zda się, zostawiają oni tym ostatnim wyłączne na tem polu panowanie. Tę nieświadomość mężczyzn tajemnego czarów państwa stwierdza i środek, którego się chwytają, gdy pragną stałą uczynić kochankę.

Jest on następujący. Parobek stara się dostać całej lub kawałka koszuli, którą nosiła ulubiona. Wyrzyna z niej szmatkę, zamurówuje pod jakąś ściśle określoną cegłą pieca piekarskiego i po pewnym przeciągu czasu wyjmują ją stamtąd. Taka szmatka, która przeszła kwarantannę w piecu, ma mieć własność amuletu przyciągającego osobę, do której odzienia należała. W nieomyślność tego środka młodzi sybiracy tak mocno wierzą, że niejednokrotnie pod przysięgą nas zapewniali, iż byle były zachowane wszystkie formalności i nie opuszczona jakaś modlitwa, skutek będzie niewątpliwy...

Wspomniana niemoralność tak kobiet jak dziewic sybirskich, występująca na jaw po wszystkie dnie tygodnia, prócz soboty i wigilji świąt uroczystych, (bywają i tu wy-

jątki) nie jest tam zbyt potępianą przez opinię, i tajemniczy z niej nie robią. Owszem, śmiało powiedzieć można, że jest tolerowaną nie już jako złe konieczne, ale jako zwyczaj.

Inne tam zupełnie są pojęcia o życiu i obowiązkach, jak w naszych stronach. W każdej wsi natrafisz na ojca, «żyjącego» z synową, albo nawet z własną córką... Jest ta okoliczność tak powszechnie znana w Moskwie, że zdarzało nam się czytać rozprawy o niej w moskiewskich dziennikach.

Atoli nie zdaje się, jakoby niski ten stopień moralności wpływał z rasowych sybiraków właściwości, jak to się dzieje u Kannarów np. i innych ludów malajskich. Prowincja sybirska, t. j. część leżąca z boku głównej drogi, jest daleko moralniejszą. Znajdziesz tam rodziny, nawet wsie całe, przestrzegające gorliwie czystych patriarchalnych zwyczajów. Przyczyna zepsucia na wielkim gościncu sybirskim leży raczej w wadliwym ustroju społeczeństwa, i w wynikającej stąd żądzy posiadania pieniędzy. Uczuciem Sybiraczki nie umiesz. Podarki i pieniądze tylko przywiążą ją do ciebie...

Wiemy że wszystkie narody wschodnie wielce cenili czystość dziewic. Wiadome są w tym względzie prawa Mojżesza z Deuteronomium rozdz. 22. Większa część ludów azjatyckich wymaga do dzisiaj dowodów panieństwa od świeżo poślubionej dziewczyny. Do nich należą: Persowie, Turcy, Chińczycy, Arabowie, Tatarowie i t. d. Otóż i u Moskali, panuje po dziś dzień zwyczaj podobny. Nazajutrz po ślubie obnoszą przed zebranymi gośćmi białinę nowozamężnej...

Ten zwyczaj istnieje w Moskwie i Syberji, nie tylko u ludu; obserwują go także i przy dworze carskim. Wiadomo jak postąpiła Katarzyna II wyszedłszy za Piotra III, aby zadość uczynić zwyczajowi i odesłać Elżbiecie w hebanowej szkatulce wymagany dowód...

Otóż dziewczęta sybirskie, chcąc także zadość uczynić zwyczajowi, naśladową carycę, skoro która z nich za mąż wyjdzie. Wprawdzie nie oszukują tem nikogo; każdy z gości wie dobrze, w jaki sposób złożono przepisany zwyczajem znak; tem nie mniej jednak pije małżonek nazajutrz do rodziców zaślubionej całym, nie dziurawym jakby to powinien uczynić, kieliszkiem, obdarza matkę za dochowanie córki w cnocie podarunkiem, i sadza tę ostatnią w sanie albo wózek, u którego duga czerwoną jest obwinięta wstążką, aby ją przewieźć po wsi. Czerwona wstążka u długi ma oznajmnić mieszkańcom, iż wszystko było, jak być powinno...

W Moskwie trochę srożej na te patrzają rzeczy. Tam nie nie pomoże, skoro dziewczyna zabłąkała się na bezdrożach przed zamążpójściem. Małżonek takiej dziewczyny podaje

rodzicom dziurawy kieliszek, ubiera ich potem w chomonta i oprowadza po wsi na wstyd i hańbę.

*

Obiecaliśmy czytelników zapoznać z izwoszczykami w osobnym szkicu. Zasluguja oni nań bez wątpienia; jest to jeden z tych wielu wybitnie na tle ludu moskiewskiego odznaczających się typów, którego nie można pominąć milczeniem przy opisie, mającym na celu byt społeczny sybirskich Moskali.

Pewnego wieczora dognali byli zbiegowie o kilka wiorst przede wsią, gdzie im wypadało zanoćować, długi szereg sani jednokonných, naladowanych towarami. Szereg ten, jak już wiemy, nazywają Moskale obóz.

Wyminać go żadną miarą nie było można. Gościniec sybirski, podobnie jak wszystkie drogi rżnięte w Moskwie, szeroki jest wprawdzie dosyć, bo liczy 10 sążni od jednego rowu do drugiego. Ale o ile sprzyja w lecie rozminięciu dwóch, nawet trzech wozów, o tyle staje się niepraktycznym dla podobnych manewrów w zimie. Wtedy bywa na nim po największej części udeptana tylko wązka drożyna środkowa, mogąca pomieścić zaledwie parę koni i wóz. Po obu jej stronach zaś leży mialki i głęboki śnieg, w którym koń, zboczywszy trochę tylko z wydeptanego grzbieta, po brzuch zapada nierzadko. Ta okoliczność nie przeszkadza wprawdzie szerokokopytnym rumakom sybirskim wymijać dość długich obozów. Brną one w susach po śniegu i ciągną za sobą sanie, które z powodu płóz szerokich suną się po wierzchu. Jednak konik naszych znajomych był już zmęczony całodziennym biegiem i nie podobna go było narażać na tę dość trudną w ogóle przeprawę, która wynosiła niemal całą wiorstę. Puszczono go tedy stępem za obozem.

Nie będzie od rzeczy opisać obszerniej ten długi rząd sań, z którym w Sybirze, osobiście w zimie, bardzo się często można spotkać. Sprawiedliwie zauważył Custine, pisząc o Moskwie, że Moskale mają pociąg do malowniczości. Potwierdza się to we wszystkim, w czem narodowy charakter swobodnie się mógł rozwinąć. Obóz należy także do tych objawów.

Na przedzie idzie zwykle najlepszy koń w najlepszą ubrany uprzęż. Nad głową wznosi się w kablaku duga pstro malowana, szeroka, nachylona i u końców dolnych obita blachą. Dońsny dzwonek, zawieszony u jej wierzchu, wydaje głos dźwięczny za każdym konia poruszeniem. Woznice pokładają w tem niejaką dumę, aby «peredowaja łoszaď» przodujący koń jak najkorzystniej się przedstawiał. Leczą nie dla samej tylko próżności wybierają oni do tego naj-

lepsze rumaki. Nie każdy z tych rozumnych czworonożnych spełniłby, jak należy, ciężący na przodującym koniu obowiązek. Takowy jest bowiem tem w obozie, czem ogier w tabunie, czy w stadzie stepowym. Jego obrotów trzyma się prawie ślepo cały następujący szereg koni. Powinien być tedy doświadczony, bywalec i umieć zręcznie wymijać częste po drogach wydmy śniegowe, które ciągną się nieraz nieprzerwanie przez całe wiorsty, naksztalt garbków i dołków, i nadzwyczaj utrudniają jazdę. Potem musi być silnym, aby nie ustawał i nie zatrzymywał obozu. Nakoniec powinien posiadać enotę niezbaczenia z bitej drogi, aby nie sprowadził w śnieg całego następnego szeregu. To też patrząc na ruchy i obroty takich przodowych koni, zdumiewać się trzeba nad ich roztropnością i oględnością, zwłaszcza gdy się weźmie pod rozważę okoliczność, że nie kierują ich lejcami, lecz samopas zwykle puszczają. Leje często zupełnie nie ma przy uprzęży, jeżeli zaś są, to wiszą bez użytku u sani. Dobry przodowy koń, mawiają Moskale, lepszy od woźnicy.

Sanie lub telega, które ciągnie koń przodowy, bywają odpowiednie uprzęży. Są one zwykle jedne z najlepszych i najtrwalszych w obozie. Towar tak układają, że z przodu zostaje miejsce dla woźnicy, które budka z rogoży przekształca na liche schronienie przed zawieją, śniegiem lub deszczem. Takie miejsce, gdzie z biedą można leżeć skurczywszy się we dwoje, znajduje się i na tych saniach lub wózkach obozu, które rozpoczynają sobą szereg, należący pod zarząd innego woźnicy, i składający się zwykle z 5—7 koni.

Prócz trwałości i wytworności, że użyjemy tego wyraża, wyróżnia od wszystkich innych jeszcze jedna rzecz przodowy ekwipaż każdego obozu. Jest nią mała, drewniana, pokryta daszkiem i nierzadko, dzwoneczkami owieszona kapliczka, która zatknęta jest na drążku z przodu. W niej mieszczą się miedziane obraski prawosławnych świętych, co przedstawiają niejako penatów obozu. Tatarskie tylko obozy wyruszają bez podobnej kapliczki w drogę; moskiewskie zawsze ją wiozą z sobą. Bo też Moskal nie rozpocznie nigdy ważniejszego dzieła nie «pomodliwszy się wprzód na boga» któremu to zbiorowem mianem zwie wszystkie święte obrazy. Być może, że to bardzo piękny zwyczaj; zaprzeczać temu nie myślimy. Atoli wyznać wypada, że ile razy zdarzało nam się widzieć podobne kapliczki i modlących się przed niemi izwoszczyków, co dzieje się w chwili wyruszenia w podróż po naładowaniu towarów, przypominały nam się zawsze miedziane, żelazne, drewniane i gliniane szamańskie bożęta czy bałwanki, które biorą do kieszeni Tunguzi, kiedy wychodzą w głąb puszczy na polowanie. Po szczęśliwym polowie małą usta tym bożętom sadłem z ubitej zwierzyny, dziękując im

takim sposobem za protekcję. Nieudanie się polowania natomiast mszczą na nich naiwni ci bałwochwalcy wyrzuceniem na śmiecie, potłuczeniem i t. d.

Za opisanym przodowym zaprzęgiem ciągnie się mniej więcej ściśniony szereg innych zaprzęgów w liczbie 30—40 —50 i więcej. Malowniczy ów widok, o którym wzmiankowaliśmy, przedstawia się, gdy spoglądasz na obóz z tyłu. Rząd wystających po nad głowy końskie pstrych i trochę naprzd pochylonych dęg; dźwięk licznych dzwonków; bogata, oryginalna uprząż moskiewska; trochę dzika powierzchowność przyodzianych w dachy lub jagi*) woźnic, wszystko to dobrze się wydaje wśród monotonnego stepu... jakby ustęp piękny w nudnej księżce.

Przewóz przedmiotów handlu uskuteczniało w Syberji do niedawna wyłącznie za pomocą koni — gużom**), jak się wyrażają Moskale. W ostatnich dopiero latach zaczęto używać do tego także parowych statków, których budowaniem zajął się pierwszy na Sybirze, Poklewski-Koziello, Litwin. Że zaś nowszy ten sposób przewozu możeby być tylko w lecie i to od Tumienia przez Tobolsk do Tomsku jedynie, to w zimie, na przestrzeni zaś od Tomsku dalej na Wschód i w lecie, trzymają się zawsze jeszcze dawniejszego. Ludzie tedy co uskuteczniają ten przewóz, zowią się izwoszczykami, jamszczykami.

Trzy są miejsca, które służą na przewozowej drodze sybirskiej za główne składy czyli stacje, dokąd woźnice godzą się zwykle wieść towary: Tiumeń, Tomsk i Irkuck. Ostatnie stało się wtedy dopiero jednym z punktów centralnych handlu, kiedy główny targ przeniesionym doń został z Kiachty, tej byłej Odessy Sybiru. Najwięcej ruchu bywa na tej handlowej drodze w czasach jarmarku w Niżnym Nowogrodzie i w Irbiecie, miasteczku permskiej gubernji. Są to najznakomitsze targi w Moskwie. Pierwszy upadający znacznie od czasu wybudowania kolei żelaznych był punktem zetknięcia się Zachodu z Wschodem; drugi służy jeszcze dotychczas za miejsce schadzki dla kupców moskiewskich i sybirskich.

Otóż mając towary do przewozu, kupiec umawia się z izwoszczykiem, bogatym zwykle wieśniakiem i godzi go od puda wagi (40 fnt. mosk.). Woźnica dostarcza potrzebnej ilości zaprzęgów już to swoich własnych, już innych jamszczyków, których on sam najmuje. Na każdego konia ładują po 20—25 pudów towaru, przyjmując takowy li tylko na wagę, nie wchodząc zaś w jego wartość, i odpra-

*) Futra psie lub jelenie, obrócone szerścią na wierzch i nadzwyczaj ciepłe.

**) Guż — słowo zapewne tatarskiego pochodzenia. Oznacza dwa kawałki skóry surowej, za pomocą których przysługują dwa końce długi do dwóch dyszli, znajdujących się przy każdym wozie.

wiają się w drogę. Bardzo często zdarza się, że w umowie zastrzeżony jest czas, w przeciagu którego ma stanąć obóz na umówionem miejscu, i gdyby woźnica nie dopełnił umowy, czyli, jak Moskale mówią, na «srok» nie przyjechał, tedy nałożoną bywa na niego pewna konwencjonalna kara.

Ten rodzaj umowy, mogący dla braku obopólnej gwarancji obydwie strony o wielkie przyprawić szkody, bywa w Syberji daleko częściej zgubnym dla izwoszczyków jak dla kupców. Jedzie czasem przy obozie w charakterze dozorczy przykaszczyk kupca, lecz zwyczajnie powierzone bywają towary samym tylko woźnicom, raczej ich gospodarzowi. Mimo to nie zdarzało nam się słyszeć, aby woźnice, przyjąwszy towary tylko na wagę, korzystali z tego kiedykolwiek i wykradli co z pak pojedynczych. Za to wiemy o wielu wypadkach, w których kupcy przy obrachunku, następującym zwykle po przybyciu obozu na miejsce, niemiłosiernie pokrzywdzili izwoszczyków, już to wyzyskując z nich karę za nieprzybycie w terminie, już to rachując sobie zbyt wysoko za jaką paczkę, którą w drodze złodzieje ściągnęli z wozu. W Moskwie natomiast padają częściej kupcy ofiarą tych niedokładnych transakcji. Zdarza się tam nierzadko, że przy umowie, przy której kupiec zabiera zwykle paszport woźnicy dla swego bezpieczeństwa, bywa mu podsunięty fałszywy, umyślnie na ten cel sporządzony. Woźnica ładuje towar, bierze zadatek i znika na zawsze, jak kamfora. Dodać wypada, że w nowszych czasach zdarza się coraz mniej podobnych wypadków.

Rzemiosło woźnicy sybirskiego rzadko jest zyskownem, zawsze zaś połączone z wieloma niedogodnościami i niebezpieczeństwami. Dla naszego chłopka te przykrości i niebezpieczeństwa nie byłyby do przecięcia; uległby on im niezawodnie w pierwszym zaraz podróży tygodniu. Żysk, jaki przywożą z drogi do domu, ledwie na opłatę podatku za jedną wystarcza duszę.*) Będzie się może wydawać przesadzonym, gdy powiemy, że większa część izwoszczyków podaje za jedyny powód swojej podróży wykarmienie koni. Jednak tak jest w rzeczy samej. Skoro tylko śnieg wypadnie, ustali się sanna, co tegoż samego dnia zwykle następuje i odpowiednia nadarzy się sposobność, każdy taki izwoszczyk rad domowe porzuca progi, jakby mu się znużyło podczas lata i gotów jechać z towarami tysiące wiorst mimo srogiej zimy, wjуг i buranów (burze, zawieje) jeszcze sroższych.

Noc i dzień podczas drogi, nie trwającej mniej nad 20

*) W Moskwie nie płać podatku, lecz «poduszne» — wynoszące 6 do 8 rubli rocznie.

do 30 dni, musi izwoszczyk być na dworze śród mrozów nieznanym u nas i krótko tylko odpoczywa pod dachem zaizdanego domu, podczas gdy konie jedzą. Trudno sobie wyobrazić mozoły takiej podróży, w której rzadko obejdzie się bez odmrożenia nosa, uszu lub twarzy, mimo że każdy woźnica posiada ciepłą psią dachę lub jelenią jagę. A cóż dopiero gdy się co zepsuje w uprzęży, lub złamie u sani, gdy musi śród piekącego mrozu zwięzywać, łątać i poprawiać. Nie podobna nie uczuć politowania nad tymi ludźmi, kiedy wymijając obóz pocztą lub innym ekwipażem, widzisz ich przeziębłych, zmarzniętych, z ropiejącymi na twarzy od mrozu ranami, krzątających się około uprzęży lub idących mozolnie w ciężkiem ubraniu przy saniach.

Właściwa męczarnia jednak zaczyna się dla jamszczyka dopiero w nocy, w ciągu której najdłuższe zwykle odbywają się przechody. Mróz daleko silniejszy niż we dnie, nie pozwala mu spocząć pod budką na saniach. Nadto musi się ciągle mieć na baczności przed nocnymi złodziejami, którzy zaczajeni gdziekolwiek, sposobnej tylko wyczekują chwili, by podjechać w lekkich saneczkach, zwanych koszowa, zerwać paczkę i umknąć potem lotem błyskawicy na step lub w głąb lasu, dokąd żaden człowiek nie poważy się pognać za nimi.

Rozmaicie strzegą się izwoszczyki przed takimi niespodziewanymi napadami. Pospolicie wożą zatknięte koło siedzenia na saniach dubinki, t. j. koły opatrzone u góry już to potężnym sękiem, już przywiązany kamieniem, już wiszącą na łańcuszku kulą żelazną. Broni palnej nie lubią jakoś. Być może dla tego, że istnieje w Moskwie prawo potępiające człowieka, który w obronie swojej ugodził rozbójnika kulą w plecy. Podczas napadu pozwala ten sam paragraf strzelać tylko w piersi lub w oblicze. Ze zaś trudno w zgłębku wybierać miejsce dla kuli, to woźnice przenoszą nad gwintówki i pistolety buzdługany, dla których zwod zakonów kierunku uderzeń nie przeznaczają. Czasem wożą z sobą niektórzy liche, skałkowe pistolety, z których strzelają w nocy od czasu do czasu prochem, by odstraszyć złodziei, gdyby ci czekali gdziekolwiek. W miejscach okrzyczanych z rozbójów najmują «karaulszczyków», których obowiązkiem jest objeżdżać konno lub w saniach cały obóz, posuwający się powoli naprzód, i krzykami oznajmiać ukrytym złoczyńcom, że w razie gdyby wyszli na zdobycz, czujnych zastaną stróżów.

Nie zważając jednak na wszystkie te ostrożności, złodziejstwa zdarzają się bardzo często. Rzadko który transport podola się ustrzedz takowych, bo też i trudnem to bywa w obec sprytu i chyżości, z jakimi się dzieją. W miejscach

oto, gdzie droga jest najbardziej ciężka do przebycia, gdzie wydmy, zaspasy lub roskaty zmuszają niejednokrotnie izwoszczyków do jednego zbiedz się miejsca, by przewrócone wydźwignąć sanie, podjeżdża w lekkiej koszowie dwóch ludzi, z których jeden kieruje wzwyczajonym do podobnych wypraw biegunem, drugi zaś stoi beczynnie. Wymijają oni pędem obóz; upatrzywszy sposobną chwilę, przecina stojący w koszowie rabuś przygotowanym nożem sznury, którymi przywiązane są na saniach paki, przewala jedną lub dwie takowych do siebie, kierujący zaś skręca nagle w bok i umyka w step głuchy i pełen śniegu, zanim poszkodowani podążyć mogą dla obrony. Nikt się nie poważy pędzić tam za nimi. Ciszę nocną przerywa wprawdzie krzyk strwożonych woźnic, słysząc dzikie nawoływania i groźby, niekiedy i strzał pada, lecz rabuś cmoknąwszy na rączego bieguna, co płynie jak szczupak w głębokim na sążeń lub dwa łokcie śniegu, wydaje jakby na szyderstwo okradzionym głośny, radośny okrzyk i znika jak widmo w tumanie śnieżnym, lub w lasu i krzaków cieniu. Zostają tylko płaczący szkody woźnice, parszczące od zimna konie, i księżyc, co obojętnie na wszystko z zamglonego spogląda sklepienia...

O tak, Custine prawdę powiedział, Moskałe lubią we wszystkim malowniczość, nawet w kradzieży i nocnych rozbojach. Towarzyszy im i tu ten sam zmysł, co w innym razie znowu wymaga, aby oprawca, wymierzający knutem karę, czerwoną włożył koszulę z zakasanyimi rękami i w czarne aksamitne przyodział się spodnie...

Rzekliśmy, że zbiegowie, nie mogąc wyminać obozu, ruszyli stępem za nim. Powolna jazda opóźniła znacznie ich przybycie do wioski. Pomni, jak trudno znaleźć po nocy nocleg u sybiraków, postanowili tym razem zająć się razem z obozem na postojały dwór.

Wież, leżąca przed obozem i jadącymi za nim zbiegami była jedną z tych, w których jamszczyki zwykli się zatrzymywać dla karmienia koni. Posiadała aż kilka zajeżdżnych domów, t. j. zagród, różniących się od innych tylko obszernem podwórzem, sposobnem do pomieszczenia kilkudziesięciu koni i sań naładowanych. Właściciele tych domów wiedzą zwykle na kilka godzin naprzd o przybyciu transportu. Wysyłają bowiem od czasu do czasu umyślnego posłańca na zwiady, lub też rospytują przejeżdżających pocztą podróżnych, gdzie i jakie widzieli na drodze obozy. To też kiedy obóz wjeżdża do wsi, wychodzą na przeciw i zapraszają go do siebie. Jeżeli przodujący woźnica, który bywa zarazem głową wszystkich, nie ma znajomej we wsi gospody, dokąd w dawniejszych zwykł był zajeżdżać podróżach, wybiera tę, w której mu najdogodniejsze stawia warunki. Wypytuje się bowiem

naprzd o cenę owsa, siana i żywności. Zajechawszy na podwórze ustawiają sanie tak, aby mogli wyjechać w tym samym porządku, w którym dotąd podróżowali, poczem wypiergają konie, poją je natychmiast i karm im rozdają. Zamknawszy wrota i poleciwszy postawionemu przez gospodarza domu stróżowi jak najpilniejszą baczność, zrzucają dachy i jagi, których nigdy do chaty nie biorą, by od ciepła nie poniosły szkody, i spieszą do izby, gdzie ich już czeka szumiący ogromny samowar i flacha z wódką.

Wjchawszy ostatni na podwórze, zbiegowie stanęli na uboczu. Władysław pośpieszył z rzeczami do izby, aby tam najdogodniejsze dla noclegu zająć miejsce. W izbie taka była krzątania, że przybycia jego zaledwie dostrzeżono. Usiadł tedy na ławie przy piecu i zapaliwszy fajkę przypatrywał się bieganiu gospodyni, jej pomocnic i pomocników, zajętych przy ogromnym ognisku sporządzaniem wieczery i nastawianiem samowaru. Uszedł naturalnie tym razem wszelkich natrętnych pytań, bo pojawienie się obozu w zajeżdżie sybirskim bywa dla jego gospodarzy zdarzeniem tak ważnem, iż nie folgują w obec niego nawet ciekawości. Jest to zresztą bardzo łatwe do pojęcia. Każdy obóz zostawia na popasie 20 do 30 rubli, z których 7 do 8, nawet i więcej, stanowią czysty zarobek gospodarza. Starają się też we wszystkim jak mogą dogadzać woźnikom.

Po chwili wszedł Oleś; za nim ścigali się jeden za drugim jamszczyki, żegnając się przy wejściu przed obrazami i pozdrawiając obecnych. Gospodarz obchodził wszystkich z flachą wódki i zapraszał do stołu, na którym dziewczyna stawiała filiżanki rozmaitego kalibru. Promieniejąca twarz jego zdradzała widocznie chęć pokazania się uprzejmym dla pożądanych gości i ujęcia ich sobie i nadal. Wiedział bowiem, że układnemi słowy i przesadnem prawie poważaniem, okazywanem dla nich na każdym kroku przywiązując się najbardziej izwoszczyków. Nie tylko że radzi sami zajeżdżają tam, gdzie ich tak przyjmują, ale jeszcze i innych ciągną za sobą, rospowiadając o grzecznym gospodarzu.

Im większą uprzejmość okazywano woźnikom, tym bardziej zaniedbywano naszych zbiegów. Prawie nikt w całym domu na nich nie zważał; żądania ich zaspokojono wtedy dopiero, gdy już koło głównych gości żadnego nie było zajeścia.

Po wódce, umyciu rąk i powtórnej przy obrazach modlitwie, zasiedli woźnice do herbaty. Ile tam każdy wypił tego płynu, mając do spożycia tylko dwa małe kawałeczki cukru, już z tego wnosić można, że samowar mieszczący wiadro, cztery razy został tego wieczora dolewany. A było biesiadników dziewięciu. Rzadko który Moskal pija mniej

jak ośm i dziesięć filiżanek herbaty. A są tacy którzy doprowadzają do dwudziestu.

Po czajopiciu, podczas którego Władysław i Oleś spożywali na osobnym stoliku skromną wieczerzę, podaną im przez małą dziewczynkę, nastąpił posiłek jamszczyków. Na stole pojawiła się ogromna misa pochlebki i ze trzy dziesiątki kołaczy pszennych znacznej wielkości, które rozebrano natychmiast między siebie. Gospodarz chodząc z miejsca na miejsce, podsuwał każdemu łyżki, które przyniesiono na stół razem z misą. Ukończywszy to zajęcie usiadł przy starszym jamszczyku i zwykłym: kuszajcie na zdrowie — zapraszał do jedzenia. Niebawem pochlebka znikła i na znak gospodarza napełniono miskę raz drugi i trzeci. Jeżeli się kiedy doświednie przekonać można o prawdziwości przysłowia: zimno zaostża apetyt, to pewnie przy takiej wieczerzy woźnic. Wiadomo że ludy północne jedzą wiele. Każdy sybirak w dwójnasób tyle żywności potrzebuje, co nasz chłopiek. Woźnica atoli sybirski zjada dwa razy więcej od sybiraka.

Z ciekawością przypatrywał się Oleś temu dla niego zupełnie nowemu widowisku. W około stołu siedziało dziewięciu rosłych mężczyzn tak sztywnie, jakby ich kto na kolki powsadzał, i tak poważnie jakby nad wielkiej wagi obradowali sprawą. Wszystkich oczy były utkwione w misę i nie odwracano ich stamtąd nawet wtedy, kiedy rozmawiano między sobą. Dziewięć rąk w potężne uzbrojonych łyżki, których forma do szerokich tylko ust była zastósowaną, podnosiło się jakby na komendę razem, a zacerpnawszy strawy i zaniósłszy ją do miejsca przeznaczenia, spuszczały się na stół, by po pewnej wymierzonej chwili znowu to samo powtórzyć poruszenie. Łojowa świeca oświecała ogorzałe od wiatrów i lekkim zarostem pokryte twarze wieczerzających, z których każda nosiła na sobie ślady odmrożenia. U jednych były one na nosie, u drugih na nosie i na wystających kościach policzkowych. Wszyscy siedzieli w pstrych płóciennych, potem, brudem i dziegiem przesiąkniętych koszulach o wąziutkich, z boku zapinanych kołnierzykach, które obcisłały grube, tłuste i jak twarze opalone szyje. Szerokie barki i atletyczne formy ramion uwydatniały się bardzo dobrze z pod tego lekkiego odzienia i nadawały całemu obrazowi oryginalną cechę.

Po oświadczeniu, że już więcej pochlebki nie potrzeba podała gospodyni na wielkim drewnianym krążku ogromną kupę mięsa krawanego. Sól stała już dawniej na stole, zaś widelców miejsce zastąpiły palce. Druga potrawa raz tylko została odnowiona.

— U nas dwudziestu ludzi nakarmiono by taką porcją — szepnął Oleś Władowi.

— To jeszcze nie wszystko — odparł tenże — teraz zacznie się jedzenie z wychodźcem!

— Cóż to takiego?

— Zobaczysz! —

Nie długo czekał Oleś na przyrządzone wyjaśnienie. Zaledwie pojawiła się trzecia potrawa na stole, jeden z jamszczyków wstał i wyszedł na dwór, mówiąc:

— Trzeba zobaczyć, co tam konie robią! —

Wróciwszy po małej chwili, rzekł do jednego z towarzyszy:

— Wańku, twoja ryża zapętała się w uprząży bułanego Tymofieja! —

Dwaj nowi woźnicy wstali od stołu i wyszli na podwórze. Władysław trącił Olka i szepnął mu:

— Widzisz?

— Cóż takiego?

— Tak każdy z nich po kolei wyjdzie raz na dwór.

— Po co?

— By się przygotować do obfitszego jedzenia!...

— Zartujesz! gdzież znowu... przecież nie są takimi znów...

— Nie wierzysz? idź się przekonaj!

— Prawdziwie, że warto! —

I Oleś wyszedł także na podwórze. Zabawił tam tak długo, póki ci co wyszli przed nim nie wrócili do chaty i nie wysłali nowych. Z nimi i on wrócił.

— A co, przekonałeś się? — zapytał Władysław — rozumiesz teraz co znaczy obiad z wychodźcem?

— Istne to bezrogi, ci Moskale!

— Przedewszystkim bratku, jest to naród praktyczny. Zapłacił, więc żąda jak najwięcej jeść za swoje pieniądze. —

Po skończonej wieczerzy, która trwała dobre półtorej godziny, zaczęła się szeroka gawęda o cenie przewozowej, o rozmaitych wypadkach przy obrachunku z kupcami, o wydarzeniach w podróży, o koniach i t. d. Niektórzy woźnicy pokładli się na ławki i posnęli. Z mieszkańców domu gościnny tylko gospodarz domu dotrzymywał rozmawiającym placu i był, przynajmniej chciał być bardzo zajęтым opowiadaniem. Około północy najstarszy izwoszczyk pobudził śpiących, wysłał ich zaprzęgać na podwórze, sam zaś zasiadł z gospodarzem do obrachunku. Podano szczoty. Jest to przyrząd chiński do rachowania. Na deszczulce o podniesionych brzegach, naciągniętych jest dziesięć drucików; na każdym z nich nanizana jest dziesiątka gałeczek. Pierwszy rząd przedstawia jednostki, drugi dziesiątki kopiejek, trzeci oznacza już jednostki rubli, czwarty dziesiątki i t. d. Bez tych szczotów żaden Moskal przy rachunku się nie obejdzie.

Używają ich nie tylko w handlach, ale i we wszystkich urządzeniach, kasach i bankach.

Zaczął tedy woźnica liczyć osobno należytość za konie, osobno za ludzi, przesuwając zresztą palcem wskazującym galećki, i za każdym przesunięciem pytał gospodarza, który siedział obok z podpartą na ręku głową:

— Co? czy tak po waszemu wypada Tymofiejewiczu?

— Ta zdaje się, że tak, Wasilewiczu! zresztą spuszcza się na was. Krzywdy mojej nie zechcecie —

Była to tylko forma mówienia. Sybirak bowiem śledził dobrze za każdym poruszeniem kostek. Świadczył o tem wzrok nateżony i nabrzmiał na skroniach żyły. I nie podlega wątpliwości, że byłby zrobił uważnym jamszczyka, gdyby był spostrzegł jaką pomyłkę.

— Dwadzieścia dwa rubli 85 kopiejek! — rzekł ostatni po ukończonym rachunku i przysunął szczyty do gospodarza. — Szesnaście rubli i 85 kop. dostaniecie gotówką, sześć herbaty.

— Nie będzie za dużo herbaty Wasylewiczu? — mówił Sybirak, skrobiąc się w głowę.

— Nie, nie, Tymofiejewiczu; tak będzie właśnie dobrze. Zajedziem znowu z powrotem. Wszystkiego nie można płacić pieniędzmi, bo kupiec dał dużo herbaty na rozchód.

— Wiele straty będzie dla mnie... wy rachujecie funt po rublu, ja sprzedaję funt po 80 kop.

— Za tę możecie śmiało żądać rubla i 20 kop. to dobra herbata, familijna! —

Rada nie rad zgodził się gospodarz i woźnica wyciągnął z za koszuli wiszący na piersiach woreczek i zapłacił, ile był winien. Potem wyszedł na podwórze po herbatę. Po jego odejściu gospodarz wziął jeszcze raz szczyty, przerachował, a widząc, że mu tak samo wypada, zgarnął pieniądze do kieszeni.

— Czy dużo ci nie dopłacili? — zapytała żona z pieca.

— Sześć!... — odparł mąż leniwie.

— No, ujdzie jeszcze... — rzekła ziewając i obróciła się na drugą stronę.

Tymczasem nadszedł woźnica z sześcioma paczkami herbaty i wręczył je gospodarzowi, poczem obaj wyszli na podwórze, gdzie już wszystko było przygotowane do odjazdu. Dopiero gdy ostatni wyruszył zaprzęg z obory, wrócił Sybirak do chaty.

*

Pewnego razu wyjechawszy bardzo rano ze stacji przybyli zbiegowie na dwie godziny przed zmierzchem na nocleg. Tego dnia poszedł Władysław prosić o gościn-

ność i zaszedł do domu, w którym, jak to na pierwszy rzut oka można było poznać, odbywała się jakaś feta. Gospodarz i gospodyni byli podochoceni, na stole leżały porozrzucone resztki sutego obiadu, w izbie był nieład widoczny. Syn tylko nie zdawał się brać udziału w libacjach; siedział pod oknem i naprawiał coś u chomonta. Nie życząc sobie popasać między pijanych, co bywa niekiedy niebezpiecznie, a jest zawsze dla trzeźwego człowieka nieprzyjemnie, Władysław chciał się wycofać z izby. Lecz gospodarz, zostający pod wpływem różowego humoru, powstrzymał go, mówiąc jak najuprzejmiej:

— Zaczekaj przyjaciółku, zaczekaj! czego ci to potrzeba? —

Nie był on pijany zupełnie, lecz znajdował się w tym okresie podochocenia, w którym człowiek gotówby przycisnąć cały świat do wezbranej piersi, radby rospłynąć się z nadmiaru roszczenia. Głos jego wydawał się prawie płaczącym od samej dobroduszości. Trudno mu było nie odpowiedzieć. Przejętnawszy się więc przed obrazami, Władysław rzekł:

— Chciałem was prosić o nocleg dla siebie, towarzysza i konia, lecz widzę, dziś u was prątnik, więc miejsca może nie będzie...

— Niczewo družok!*) radziśmy zawsze dobrym ludziom. Miejsca nam nie wiele zabierzecie... oto próżne pałatki... zajeżdżajcie z Bogiem...

— A skąd jedziecie? — zapytała gospodyni.

— Z Kainska do Tomska, mateczko, do szklanej fabryki Isajewa.

— Aha, masterowye!**) — wtrącił gospodarz.

— Tak ojcze!

— No no, zajeżdżajcie... U nas wprawdzie hula najomszczyk, lecz to nic... Odmawiać noclegu nie godzi się przejeżdżającym. Jeździliśmy sami po bożym świecie, wiemy...

— Najomszczyk... to rzecz nowa, warto zobaczyć... — pomyślał Władysław i podziękowawszy gospodarzom, wyszedł na podwórze otworzyć wrota dla swego ekipażu. Niedogodności, które go czekały na noclegu, spędzonym wśród pijanych osób, wydały mu się małymi w porównaniu z przyjemnością, wynikającą z przypatrzenia się temu nowemu dla niego a charakterystycznemu objawowi bytu moskiewskiego.

Ten objaw, który w skutek najnowszych rozporządzeń rządowych zeszedł już z widowni, zawdzięczał byt swój nie zwyciężajom, lecz prawom moskiewskim.

Najomszczyk, jest to nazwa dla najętego za pieniądze

*) Nic nie szkodzi przyjacielu!

**) Rzemieślnicy.

substytutą do wojska. Takiej substytucji dozwalała do niedawna ustawa o poborze; dziś wymaga ukaz dotyczący już tylko złożenia 500 rubli, uwalniając od dostawienia człowieka. Lecz z przywileju onego, póki jeszcze istniał, mogli korzystać bogaci tylko ludzie. Aby nająć substytutą i oddać go, trzeba było wydać przynajmniej 600 do 800 rubli. Za cząsów mikołajowskich suma ta przechodziła nierzadko 1000 rubli. Że jednak naród moskiewski, jak i każdy inny nie rad niesie przymusowy podatek krwi, t. j. nie rad widzi synów swoich w mundurze, mając zresztą aż nadto ważne do tego powody, to każdy, kto mógł tylko, starał się o najomszczyka. Nie rzadko rujnowano się nawet dla tego. Zabiegi, kłopoty i wydatki przy takim najęciu były rzeczywiście ogromne. Trzeba było najprzód wyszukać człowieka, któryby nie będąc sam popisowym, ani też karany kiedykolwiek sądownie, zgodził się opuścić na lat 15 do 20 rodziną zagrodę i zamienić swobodne w niej życie na uciążliwą niewolę i nędzny byt żołdaka moskiewskiego. Był zaś ten, o którym straszne, często przesadzone krążyły między ludem wieści, nie pociągał bynajmniej, i ten co przystawał na podobne zaprzęgnięcie się, należał prawie zawsze do rzędu ludzi, zaliczanych przez ogólną opinię do wyrzutków społeczeństwa. Był on albo pijak, albo złodziej; najczęściej obydwa łączył w sobie przymioty. We wojsku pomiatali nim nawet towarzysze broni, dając szyderskie przezwisko: najomniejszokóra.*)

Aby więc bardziej zachęcić do sprzedania się i zrobić takowe ponętniejszem, wprowadzono w zwyczaj pewne stałe, dla ochotników bardzo korzystne formy układu, od których nie odstępowano nigdy. I tak płacił najmujący umówioną kwotę rodzicom lub krewnym najomszczyka, inną zaś jemu samemu; odziewał go od stóp do głów w nowe szaty i obowiązywał się nadto wyprawiać mu «gulanje» przez jeden, dwa lub trzy tygodnie przed samym odwiezieniem go do powiatowego miasta, lub gubernji na plac asenterunku.

Gulanje zależało na tem, że najmujący poił i karmił do upadłego najomszczyka wraz z jego kochanką, którą mu nieraz sam musiał wyszukać. Na kochanki, jeśli najomszczyk nie miał przedtem takowej, rekrutowały się młode żołdatki lub też gulaszczyje t. j. lekkiego prowadzenia wdówki, rzadziej dziewczki.

Otóż w porę takiego to gulanja czyli piru, jak tę hulankę także nazywają, zajęchali zbiegowie na nocleg do wspomnianego domu. Najomszczyka z podrugoj t. j. z kochanką nie było obecnie w chacie. Wyjechał on sankować się po wsi,

*) Zaprzędana skóra.

której przyjemności używa zwykle po obiedzie. Dostarczenie takowej cięży także jako obowiązek na gospodarzu.

Kiedy i Oleś przybył z podwórze do izby, zaprosiła gospodyni zbiegów do stołu i podała obiad, którego sposób przyrządzenia nie szedł bynajmniej w parze z obfitością. Był tam i tłusty rosół, lecz nieszumowany, jak go zwykle podają u wieśniaków w Syberji; figurowała i pieczeń pływająca w maśle, lecz wyskwarzona i wysuszona na ogniu; miało i ogromny pieróg z sterletami, te atoli piekąc się w ciastcie, straciły smak zupełnie; podano wreszcie bliny i oładki (naleśniki i dolki) lecz pierwsze były grube na palec, a drugie z zakalcem, w którym zęby grzęzły... Maczać je było trzeba w rostopionym maśle, które podano w garnuszczyku do wazonika podobnym, ale tak odrażającej nieczystości, t. j. tak przesiąkniętym tłustością i pokrytym z wierzchu popiołem, że spoglądając nań, odstępować cię już chętnie do jedzenia.

Podczas obiadu toczyła się rozmowa o szklanych hutach, których urządzeniem Władysław był bardzo zajął. ciekawych sybiraków. Prawie w połowie posiłku dały się słyszeć na ulicy donośne, piskliwym głosem nucone piosnki, skrzeczące tony harmoniki i głośnie brzęczenie dzwonków. Przejeżdżał mimo domu najomszczyk. Wszyscy obecni poskoczyli do okien, by się przypatrzeć widowisku. Było ono rzeczywiście niezwykle.

Trójka dziarskich rumaków, których bieg zwolniło pachole siedzące na koźle umyślnie przed domem, ciągnęła koszarową wyslaną tiumeńskim dywanem. Na tylnym siedzeniu rozparł się na pół leżąc obecny bohater wioski, z czapką na bakier w obszernem baranieniu futrze o sukiennej pokrywce, przepasany szerokim, jaskrawym pasem. Na piersiach były kłapy kożucha odsłonięte i pozwalały oglądać nową czerwoną koszulę. Wełniana chustka niedbale zawiązana, z zarzuconemi w tył końcami, otaczała szyję. Szczęśliwiec ten, któremu obecnej przynajmniej chwili każdy zazdrościł parobek, trzymał w rękę harmonikę o sześciu klapach z nieodmiennym czerwonym mieszkciem i starał się, grając na niej, popaść w takt piosnki, którą śpiewały, a raczej wrzeszczały siedzące z nim kobiety. A było ich cztery. Dwie t. j. kochanka i córka gospodarza siedziały po obu jego stronach. Że zaś zbyt szeroko się rozsiadł, przymuszone były dla pozyskania miejsca obrócić się nieco bokiem i zarzucić poza plecy jego po jednej ręce. Wyglądało to, jakby go obejmowały rękoma, które skrzyżowane w tyle spoczywały na dywanie, spadającym zewnątrz koszarowy. Każda ręka trzymała nadto pstrą chustkę, której końce wlokły się po śniegu. Na przednim, węższem siedzeniu mieściło się dwoje dziewcząt, obróconych

twarzą do najomszczyka. Były to rówieśniczki córki gospodarza, które umyślnie na katanje (sankowanie) zaproszono.

Cały ten pociąg wyglądał wprawdzie dziwacznie dla nieprzyzwyczajonego do podobnych widowisk oka, nie był jednak pozbawiony wdzięku. Ogniste rumaki, z których dwoje bocznych zawsze cwałowało z odwróconymi na zewnątrz głowami, podczas gdy środkowy (korennaj) tylko klusował z dumnie do góry podniesionym łbem, tykającym niemal pstręgo kabląka (dugi); siedzące na koźle z właścicielką tylko Moskałom gracją pacholę i kierujące umiejętnie za pomocą czterech lejców parszającą trójką; pstre, świąteczne odzienia dziewcząt, których rozochoczone, od mrozu prawie karmazynowe, przytęmione pełne buziaki, gorzały bardziej od jaskrawych chustek, co im głowy pokrywały; sam na koniec najomszczyk, pan samowładny tego wszystkiego, który butą przypominał zbogaconego i świeżo wychrzczonego barona, rozpierającego się w adamaszkowym fotelu, miną zaś oświadczał, że się znajduje w stanie, w którym Moskał widzi morze nie głębsze, jak po kolana, a niedbalstwem w postawie kazał się uważać za dziecko zepsute — wszystko to w połączeniu z piskiem, chichotem, graniem i dzwonekami miało coś w sobie, co mogło silnie działać na umysł napół dzikich ludzi, a zając malowniczością i niezwykłością nawet i europejczyka.

Długo stali wszyscy u okien izby, patrząc na pomykające sanie i odwrócili się od szyb dopiero wtedy, kiedy ekwipaż przemknął na powrót po pod okna, spiesząc na drugi wsi koniec.

Usiadłszy znowu do stołu, by przerwany skończyć posiłek, Władysław skierował rozmowę na najomszczyka.

— Za którego to syna zdajecie go, ojcze? — zapytał gospodarza.

— Za tego oto, co w chacie...

— Musi wam wiele robić wydatków...

— I nie pytaj, bracie! każdego dnia, wrywa mi 5 rubli z kieszeni na samą wódkę i nalewki, nie rachując jada. A takich dni ma wymówionych dziesięć. Prócz tego odziałem go od stóp do głów: trzy pary*) nowiusienki, buty kongurskie, tulup (futro) suknem kryty, szal, czapka — wszystko jak widziałeś. Dałem matce jego 200, jemu zaś mam dać 100 rubli. A co jeszcze wezmą przy zdawaniu w powiecie!

— Któż?

— Kto?... doktor, sprawnik, oficer, pisarze! Wszystkim

*) Koszula i spodnie noszą nazwę pary.

trzeba posolić i to dobrze. Inaczej powiedzą: niezdolny i wszystkie kłopoty i wydatki na nie!

— Jeżeli zaś dacie, przyjmą go?

— Oczywiście, przyjmą, choćby tam nawet był i błąd jaki... Oto przeszłego roku sąsiad mój powiózł ślepego na jedno oko... i nie, wzięli... kazali tylko trochę więcej zapłacić.

— Na cóż to gulanje? lepiej byłoby ugodzić się z nim na pieniądze, mniej kłopotu mielibyście w domu, a może i mniej wydatku.

— Gdzie tam, bracie!... gdybym mu dał pieniądze, a on się potem rzucił, osiadłbym na lodzie... Szukajże wtedy drugiego... Potem bywa jeszcze i tak, że weźmie zadatek, i robi sobie co na ciele. Powiesz go, nie przyjmują w żaden sposób... i kosztą poniosłeś i trudziłeś się daremnie... Tak zaś, widzisz, jest przy mnie; czuwać nad nim, by sobie czego nie zrobił, staram się, aby był ciągle pijany i nie myślał wiele o wojsku. Pijanego go też powiozę do powiatu, pijanego zdam... potem niech sobie tam robi, co zechce, już to nie moja rzecz... Zresztą któżby ci poszedł na najomszczyka, gdyby nie to gulanje; ono jedynie pociąga najbardziej.

— Więc kłopot macie nie lada, ojcze!

— Oj kłopot, kochany, kłopot wielki... I zapożyczyłem się, i wyprzedalem trochę bydła... Trzy konie poszły takie, że aż mi się teraz chce płakać za nimi; i wszystkiego tego będzie ponoć jeszcze za mało... Chuchasz nad nim, jak nad kniazem jakim, służysz mu jak pies, dogadzasz we wszystkim, czego dusza jego zapragnie... i jeszcze się obawiasz co chwila, by nie zwarjował, by sobie broń Boże czego nie zrobił... Chwała Bogu, że nie długo tak będzie nas męczyć; pojutro pojedziemy i zbędziem biedę z głowy. Wtedy niechaj i zdycha, już mi wszystko jedno, byłem miał w ręku kwit, że zdałem! —

Na dworze zaczęło szarzeć. Gospodyni zadrzemala przy piecu, zaś mileczący po największej części chłopak, z przyczyny którego wszystkie wyjaśnione przez gospodarza ponoszono trudy, wyszedł na obór opatrzyć bydło. Gospodarz podniósł się z ławki, wziął próżną fiaszkę ze stołu i udał się na drugą stronę domu, gdzie się mieściła izba, gornica zwana. Tam ją napełnił wódką i wrócił napowrót.

— Wy kochani — mówił do siedzących na ławie zbierających się i ścielecie sobie na pałatkach. Pora wam odpocząć, boście zdrożeni; nie zważajcie na nas! —

Wezwaniu temu uczynili zbiegowie natychmiast zadość, zwłaszcza że nie chcieli pozostać na widowni przy pojawieniu się najomszczyka, które wkrótce miało nastąpić. Niebawem

też legli na nadpowietrznem owem łóżku, skąd im się wyborny na całą izbę przedstawiał widok.

W ćwierć godziny później zabrzęczały na podwórzu dzwonki, ozwała się harmonika i śpiewy, a rozbudzona gospodyni zerwała się co rychlej z siedzenia i zaświeciła świecę. Wszedł do izby najomszczyk, za nim cztery towarzyszki przejażdżki. Był to parobczak lat 19 do 21, miernego wzrostu, krepki, silnie zbudowany, jeszcze bez zarostu na twarzy. Cała postawa, mina i wszystkie ruchy zdradzały głębokie przekonanie o swojej ważności i tę przesadną próżność i zadowolenie z siebie, które sprawiać zwykły to, co zwiemy arrogance. Nos nieco przyplaszczony i trochę do góry zadarty, wydęta spodnia warga, błyszczące od nadmiaru spirytusowych napojów nienaturalnym ogniem oczy i rozrzucone od mrozu policzki uwydatniały jeszcze bardziej rozlaną po twarzy butę i jeśliby kto potrzebował był wzoru do posagu, mającego przedstawić zarozumiałość, mógł go śmiało wziąć z najomszczyka w chwili, kiedy wróciwszy z przejażdżki, siadał w czapce na głowie w przednim kącie izby.

— Fiokło! — krzyknął na stojącą z dziewczętami koło pieca kochankę — ty czego tam stoisz? Nie wiesz, że twoje miejsce tu koło mnie? —

Kobieta usłuchała. Najomszczyk objął ją za szyję, poglądał przez chwilę w jej niezbyt powabne a do tego zwiędłe oblicze, pocałował i zawołał:

— Eh, Fiokłuniu, gołąbko ty moja! hulajmy póki czas jeszcze... Gospodarzu, wódki dawaj! —

Sybirak pośpieszył wypełnić roszak gromkim wypowiedzianym głosem. Skoro jednak najomszczyk zobaczył, że chce nalewać do kieliszka białą wódkę, co stała w flasce na stole, powstrzymał go mówiąc:

— Co ty mnie poisz śmierdziuchą?... czy ja u ciebie nie zasłużyłem lepszej? Nalewki dawaj!

— Nie mam w domu ani kropli nalewki, Ostapie Andrzejewicz!

— Mnie co do tego?... Ja chcę nalewki i koniec... słyszysz?... Patrzajno, nie ma w domu... poszlij i bądźiel!

— Dalibóg, rodzony ty mój, nie ma kogo i posłać. Pijcie już chyba tę; jutro skoro świt sam pójde!

— Widzisz go! nie ma!.. Ja za twego syna będę się włóczyć przez lat dwadzieścia po cudzych krajach, a ty lenisz się pójść kilka kroków do kabaku... Oj, dobrze mi mówili, abym się z tobą nie godził; bo ty i nie poszanujesz człowieka i wdzięczności znać nie będziesz.

— Ostapie Andrzejewicz! — wtrąciła gospodyni — grzech wam tak mówić. Czyż sobie sprawiedliwie krzywdo-

wać możecie u nas? czyż nie macie czego dusza tylko zapagnie?

— Oto, nalewki nie ma...

— Przecież już dziś dwa sztofy nalewki wypili — mówił znowu gospodarz. — Jutro będzie skoro świt, dalibóg będzie; wszak i jutro dzień jeszcze... Nie gardźcie Ostapie, nie gardźcie — ciągnął dalej podając kieliszek — wódka dobra, czyszczona.

— Pij, pij Ostapie! — nalegała kochanka przymilając się do najomszczyka — i ja z tobą się napiję.

— Co? i ty już psia wiaro z nimi trzymasz? — krzyknął rozzłoszczony Ostap i zerwał się z ławki. — Ach ty podły plazi!... ja cię tu... Żeby mi w tej chwili była nalewka, słyszysz? — mówił groźnie do gospodarza — jeżeli nie, to... — tu zrzucił futro z siebie — ja wnet wszystkiemu koniec zrobię! Ach, wy podłe stworzenia, jeszcze mi sprzeciwiać się śmiecie... mnie!

— Jakż bo z was gorączka, Ostapie Andrzejewicz! — odparł gospodarz zabierając się co rychlej do wyjścia — mnie nie tak idzie o pieniądze, jak o to, że posłać nie mam kogo. Uspokójcie się, uspokójcie, sam pójde; co robić... Aga! — dodał zwracając się do żony — daj tam flaszkę... Oto bieda przywiązała się do człowieka... tfu, przepadnij, Boże przebac! —

Tego ostatniego zdania, wyrzeczonego półgłosem, podczas kiedy ściągał z pałatek pas i rękawice, nikt nie słyszał w chacie, prócz zbiegów. Żona podała flaszkę i sybirak wyszedł mrucząc na dwór. Za nim pośpieszyły także dziewczęta, co stały dotąd w milczeniu przy piecu.

Ostap złożył tymczasem futro na ławce w przednim kącie, oparł się oń, wyciągnął nogi daleko przed siebie i poglądał chmurnie na chatę. Fiokla przysunęła się do niego i chciała pogłaskać, lecz ją brutalnie odrzucił, popierając czyn zwykłym moskiewskim łajaniem. Przyzwyczajona do podobnych, często gorszych łask swego tymczasowego kochanka, rozumna ta kobieta nie zraziła się, lecz próbowała dotąd, póki nie zwyciężyła. Najprzód zaniechał najomszczyk odpychać ją od siebie, potem przymilił się, pogłaskać i pocałować pozwolił.

W samem tem pozwoleniu jednak, jak i w ogóle w całym zachowaniu się Ostapę względem swej kochanki było coś brutalnego, coś, co kazało wnioskować, że ją nadzwyczaj nisko ceni. Za złe by mu tego brać nie można, gdyby wzgarda była wynikiem przekonania o nicości tej istoty. Lecz tak nie było. Obyczaję, jak już wspominaliśmy, ani przyczyniają ani umniejszają Sybiraczkom szacunku. Ostap, i jak każdy Moskal, każdy Sybirak, zachowałby się był tak

samo względem każdej innej kobiety, uważałby i mniej lekką dziewczynę za zabawkę, za istotę przeznaczoną do usług męszczyzny.

W tym względzie istnieją w Moskwie, bardziej jeszcze na Sybirze, zupełnie inne wyobrażenia, jak u nas, gdzie kobieta pomiędzy ludem nawet ma pewien szacunek, pewne uznanie, pewną wartość. To wszystko nie czyni jeszcze wprawdzie i u nas kobiety istotą równą męszczyźnie, lecz przynajmniej nie dopuszcza zniesienia jej do rzędu niewolnic, nie przekształca jej na proste narzędzie, jak to się dzieje w Moskwie.

Różnicę między położeniem kobiety moskiewskiej, a naszej, będącą jak wiadomo jedną z głównych wskazówek cale innych obyczajów i społecznych urządzeń, zauważał już nasz Pasek, kiedy mu się zdarzyło być posłanym naprzeciw posłom moskiewskim. — Mieszkalem tam — prawi — cztery dni, póki posłowie nie nadjechali, a gospodyni nie widziałem, bo tam oni żony tak chowają, że jej słońce nie dojdzie; wielką niewolę cierpią żony i ustawicznie uwiecznienie...

Prawda, od owego czasu zmieniło się wiele. Piotr wylałam przemocą drzwi, wiodące do teremów*) bojańskich i wypuścił więzione w nich kobiety na wolne powietrze. Lecz prócz tego nic więcej nie uczynił.

Nie od rzeczy będzie zrobić tu małe porównanie zapałki na tę kwestję naszego ludu i moskiewskiego. Wyświeci ono w głównych przynajmniej zarysach gromadną różnicę zachodzącą w obyczajach.

Nasz wieśniak, czy on jest mieszkaniem Mazowsza, czy Małej Polski, Litwy, czy Rusi, mając zamiar żenić się, stara się najprzód o względy dziewczyny. Dawno już znał on ją przedtem, dawno nosił jej z jarmarku podarunki, dawno chadzali razem do kościoła lub cerkwi, przy żniwie obok siebie żęli; dawno najmilej mu było z nią wybijać hołubce lub tańczyć kozaka w karczmie — ba, oddawna nawet zdarzało się zawsze tak jakoś wieczorkami letniami, że oboje mimowoli zdybywali się gdzieś w zaciszu na ustroniu i gruchali niby gołąbki, długo długo w noc pogodną. Jeżeli zaś posprzeczało się tam kiedy o co, to już pewnie nie ona jego, lecz on ją przeproszał, przynajmniej do przeprosin wynajdywał sposobność.

W Syberji i Moskwie zupełnie odwrotnie się dzieje. Tam parobek nigdy prawie nie żeni się z dziewczyną z którą żył t. j. miał znajomość przed ślubem. Mówimy żył, bo pla-

*) Terem znaczy właściwie po moskiewsku pokój. Rozumie się jednak pod tą nazwą część domu, w której mieszkają kobiety po dawnych bojańskich dworach. Węgrzy, do dziś dnia zowią pokój terem, a tureckie harem jest niezawodnie korzeniem tego słowa.

tonicznej miłości, słusznie podziwianej u naszego ludu — miłości wytrzymującej nieraz wszelkie próby nocnych schadek, tajemnych odwiedzin, ba nawet jak na Ukrainie i próbie wspólnego łoża, nie znają w Moskwie, co gorsza, absolutnie w nią nie wierzą.

Z za kilkadziesiąt często wiorst zjeżdża żenich t. j. pan młody ze swatami do wsi; spada jak z deszczem do mieszkania dziewczyny, której nie widział nigdy, i zna ją tylko z opowiadania ojca, lub ojcowskich przyjaciół; kłania się rodzicowi upatrzonej i prosi o jej rękę. Jeżeli rodzic zgadza się na propozycję, co czyni naturalnie bez zasięgnięcia rady swojej małżonki a matki dziewczyny, przywołują tę ostatnią do izby, aby pokazać żenichowi. Po oględzinach oświadczają jej o co rzecz chodzi; zapytują czasem czy nie ma nic przeciw temu, na co najczęściej odbierają odpowiedź: «Jak ojciec każe», i zaczynają pić wódkę, którą swatowie przynieśli z sobą. Pomiedzy swatami nie ma żadnej kobiety. Swaty, jak się wyrażają Sybiracy, «nie babie dzieło». Przez cały przeciąg raczenia się wzajemnego, swatowie nie siadają i odchodzą, nie zabawiwszy długo. W razie zaś odmownej ze strony ojca dziewczyny odpowiedzi, tej nie wołają i swatom wolno usiąść. Rozmowa odbywa się przez krótki przeciąg czasu o rzeczach obojętnych, poczem przybysze wynoszą się z chaty, nie odpuściwszy żadnej z przyniesionych z sobą butelek.

W ogóle można powiedzieć, że Moskale znajdują się dziś na tym samym stopniu wyobrażeń o małżeństwie, na którym znajdowali się Grecy za czasów Antistenesa, radzącego, by się żenić dla potomstwa tylko. Zachodzi tylko ta różnica, że Grekowie za radą tegoż samego filozofa wybierali co najpiękniejsze żony, Moskale zaś więcej są obojętnymi na fizyczne przymioty swoich towarzyszek. Być może dla tego, że Moskiewki nie zbyt się różnią jedna od drugiej.

U nas każda dziewczyna wychodząca za mąż wnosi z sobą na nowe gospodarstwo jakie takie wiano. Nie rzadko zdarza się nawet że parobek, żeniąc się «przystaje», jak lud powiada, «do gruntu» sam nic nie mając. Zatem idzie, że przyczyniając się do zwiększenia wspólnej od chwili ślubu własności, nabywa kobieta pewnego do niej prawa, ma głos przynajmniej doradczy w szafowaniu nią, słowem jest pod pewnym względem niezależną, równouprawnioną. Wiadomo, że chłopak nasz nie tak przedko przedsięwzięcie coś, nie poradziwszy się wprzód «swojej baby.» Duch też naszej mowy wymaga zwrotu: żenić się z kimś.

U Moskali odbywają się te rzeczy zupełnie odwrotnie. Tam kupują sobie niejako żonę. Pomiedzy ojcem bowiem panny młodej, albo też i nią samą z jednej, zaś panem mło-

dym z drugiej strony odbywa się formalny targ o sumę, której ten ostatni dostarczyć jest obowiązany na wyprawę. Ożenić syna wiele kosztuje w Syberji, wydać córkę nie lub mało co, w porównaniu z wydatkami ojca pana młodego. Czy taki stosunek wyrodził się tam dla tego, że na Północy jak wiadomo więcej rodzi się chłopców jak dziewcząt, czy dla innych jakich przyczyn, orzekać nie będziemy. Pewna tylko to, że i u Tatarów, Kirgizów, Czuwasów, Wotiaków i t. d. te rzeczy podobnym odbywają się porządkiem. Kwota zapłacona za żonę zwie się u tych ostatnich narodów «kałym».

To też żona u Moskali nie ma wcale w gospodarstwie głosu doradczego naszych kobiet. W bardzo rzadkich i to w mało znaczących wypadkach tylko odbywa z nią mąż wspólną naradę, lecz i wtedy zdanie jego jest decydującem. Zresztą jest on panem absolutnym w domu, szafarzem wszelkich dostatków i bez jego wiedzy i woli nic nie ubywa ani przybywa. Zdarzy się np., że podczas nieobecności męża ktoś chce kupić albo zboże, albo sztukę bydła, albo skórę z zarżniętej krowy, gospodyni tedy zwykle odpowiada: chaziana nietuti doma; eto už jewo dielo! (gospodarza nie ma w domu, to jego rzecz!) I patriarchalne te zwyczaje tak są wkorzone, że kobiety nie przeczuwają nawet swego prawa do większej wolności; mężczyźni zaś nie domyślają się, iż wielką względem płci słabszej popelniają niesprawiedliwość. Odpowiednio tym wyobrażeniom wymaga duch moskiewskiej mowy zwrotu: żenitsa na kom (żenić się na kimś).

U nas widzimy dalej kobietę dzielącą zabawy mężczyzn, wspólnie z nimi idącą do karczmy, razem pijącą. Młodzież igra pospołu, tańczy co niedziela, zbiera się, bawi razem. Zabaw publicznych bez uczestnictwa kobiet nie masz prawie.

W Moskwie zaś nie ujrzyś kobiety razem z mężem w kabaku, jak i w ogóle rzadko ją spostrzeżesz z nim idącą. Do cerkwi nawet małżeństwo nie udaje się razem, lecz osobno. Dla młodzieży nie ma tam karczmem do tańca; zaś przy tych zabawach, przy których się znajdują pospołu dziewczęta i parobcy, t. j. przy chorowodach, odbywanych na głównem licy wioski i będących czemś nakształt przechadzki parami ze śpiewem, nie dostrzeżesz tej serdecznej wzajemności w pożywciu, jaka u nas istnieje. Zauważać jednak należy, że chorowody przeważnie tylko istnieją w Moskwie zachodniej, we wschodniej zaś i w Syberji mało są znanymi.

W ogóle życie towarzyskie na Sybirze na bardzo niskim stoi stopniu. Orlanka*) i bój na pięści, najulubieńsze zaba-

*) Gra w pieniądze pod gołym niebem. Jeden z koła rzuca pieniądź do góry; jeśli takowy upadnie orłem na wierzch, wygrywa i zabiera wszystko, co kto stawiał. Jeśli zaś numerem upada na wierzch, rieszotka, jak mówią Moskale, tedy przegrywa i płaci każdemu. Kupcy przegrywają w tę grę ogromne sumy.

wy Moskali bez uczestnictwa kobiet, nie mają tam tego rozpowszechnienia co w Moskwie. Kaczal czyli hojdawka, umieszczona na pustym placu we wsi, i bardzo częsta w Moskwie, rzadsza zaś w Syberji, pozostawioną jest przeważnie dla dziewcząt. Parobcy stają zwykle na uboczu i przypatrują się; rzadko który usiądzie na hojdawkę z dziewczyną.

Co się zaś tyczy owych sławnych gór śniegowych, takowe bywają świetnemi tylko po większych miastach, dokąd Zachód przedarł się już trochę z swoją cywilizacją i gdzie wielcy i mali, kobiety i mężczyźni spuszczają się z nich na małych umyślnie dla tej zabawy sporządzonych saneczkach. Po wsiach zaś są one więcej zabawą dla dzieci, u których także dostrzedz już można odosobniania się płci i większej przewagi chłopiąt nad dziewczątkami.

Moglibyśmy przytoczyć jeszcze więcej takich porównań. Obyczaje, ba, prawa nawet moskiewskie długiego by do nich dostarczyły wątku. I wszędzie ujrzelibyśmy kobietę poniżoną, upośledzoną, wszędzie widzielibyśmy to, co każdy z Polaków, idąc na Sybir jako więzień mógł już spostrzedz. W każdym bowiem spisie imiennym stoją aresztantki na końcu. W drodze idą z tyłu partji więźniów; przy tak zwanej powierce rzeczy skarbowych bywają wołane dopiero po mężczyznach; do etapu na ostatku je wpuszczają.

To upośledzenie miechaj służy zarazem za dowód przeciw tym, co twierdzą, że jedynie chrześcijaństwo podniosło kobietę do tego znaczenia, jakie ma dzisiaj na Zachodzie. Nie podlega wątpliwości, że sprzyjało ono podniesieniu stanowiska kobiecego, lecz tylko tam, gdzie się zwyczaj nie sprzeciwiał temu. Germanowie dopuszczali kobiety, jak świadczy Tacyt i inni, do zgromadzeń na długo jeszcze przed chrztem; cześć też kobiet za czasów błędnego rycerstwa w Europie, przekształcona później na tę żałyłość i serdeczność w rodzinach dzisiejszych, jest bardziej wynikiem owych starodawnych zwyczajów, jak skutkiem przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Ani w Grecji, ani w zepnutym Rzymie nie czczono kobiet zbyt przed napływem fali germańskich ludów, choć krzyż dawno już błyszczał na koronach mocarzy władzących temi krajami. W Moskwie zaś istnieje chrześcijaństwo od drugiej prawie połowy trzynastego wieku*), w szesnastym można je uważać za rozpowszechnione na wschodniej północy, jednak społeczne położenie tamtejszej kobiety jest do dziś dnia mało co lepsze od położenia Tatarek. To samo dałoby się dowieść na ochrzczonych Persach i Georgijczykach.

*) Włodzimierz ochrzcił bowiem Ruś nadnieprzańską, nie Moskwę.

Lecz wróćmy do Ostapa, którego postępowanie z Fiołką trochę za daleko nas odwiodło.

Wrócił gospodarz z nalewką i zaczęła się pijatyka przepłatana śpiewami i graniem na harmonice, tej nieodstępnej towarzysze każdego najomszczyka. Ostap widząc, że nalewka nie bardzo jest mocną, wziął się do prostej wódki, która sposobniejszą była do podnoszenia obfitej mgły do mózgu z jego niezbyt na podobne działanie wrażliwego żołądka. Podochociwszy sobie doskonale, odłożył skrzeczący instrument na bok, odrzucił w tył włosy, czapki na bakier poprawił, kołnierzyk od koszuli odpiął, zakasał rękawy i usiadłszy w środku izby na stołku podparł się butnie pod boki.

— Ty, szelmo, psia ci mać, Fiołko! pójdź sam i stań tu naprzeciw mnie! — krzyknął do kochanki.

Kobieta usłuchała.

— Teraz powiedz mi, kto ja tobie? — i dodał znowu moskiewskie łajanie.

— Wy mój pan, Ostapie Andrzejewiczu! — odrzekła kobieta, przyzwyczajona jak widać do podobnych scen. — Wy mój dobrodziej, chlebowdawca! Wyście mi sprawili suknie, chustkę i trzewiki, poicie mnie codziennie nalewką... Winnam do Boga się modlić za was.

— Teraz ty stary psie zbliż się trochę do mnie!

Gospodarz przyszedł chwiejąc się, bo także był pijany.

— Powiedz-no mi ty, co ja tobie jestem?

— Wy Ostapie Andrzejewiczu, mój zbawca, dobrodziej mój! syna mi ratujecie, od śmierci zbawiacie!

— A ty co mi dajesz za to?

— Mało, mało, mój chlebowdawco; lecz Bóg widzi, nie mam więcej...

— Kłamiesz psi synu, masz, tylko nie chcesz! idź mi z oczu... won do djabła! —

Gospodarz odszedł. Przyszła potem kolej na gospodynię, na obydwóch synów i córkę. Z małemi odmianami odbyła się z nimi ta sama scena, co z gospodarzem.

Kiedy najomszczyk katechizmował w opisany sposób córkę, zbiegowie, którzy oczywiście nie myśleli o spaniu, pochowali głowy we futra, służące im za puduszki. Nie życzyli sobie bowiem, aby pijak pociągnął i ich do egzaminu. Lecz obawa była płonna. Najomszczyk nie wiedział nawet, że się znajdują w chacie.

Po ukończeniu komedji, dającej małą próbkę o próżności podobnych Ostapowi ludzi, egzaminator wstał zadowolony, objął Fiołkę za szyję i zwracając się do drzwi zawołał do gospodarza.

— Świeć mi teraz do gornicy. —

Gospodarz usłuchał i wyprowadził swego dobrodzieja ze świecą na drugą stronę.

— Chwalać ci panie! — rzekł Oleś — może się już teraz spać położyć, pójdę poszukać co dla konika.

— Tylko nie stukaj tam mocno; młody parobczak nie pijany! — szepnął Władysław.

— Nie bój się, wypatrzyłem jaza dnia jeszcze gdzie owies. — Wkrótce potem zaczęło się ogólne w chacie chrapanie. Drzwi od sieni skrzypnęły, a po chwili słychać było jakby radośne konia rżenie, gdy mu obrok sypią do żłobu.

Koniec tomu pierwszego.



509760

82

kol. z biblioteki
RiW Śliwowskich

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0517792